



natasha

m  **stert**

SEZON CZAROWNICY



Dwie siostry. Tajemniczy dom.
Wchożąc tam, wkraczasz do świata piękna,
ale i ciemności...

Przesycony dyskretną erotyką gotycki thriller,
w którym łączą się ze sobą pierwiastki
namiętności i śmierci.

ISBN 978-83-7359-726-6



9 788373 597266

natasha

m^ostert

SEZON

CZAROWNICY

z angielskiego przełożyła

AGNIESZKA WALULIK



Dla Carla, małego wojownika

*Po upalnych samotnych nocach, gdy zimne wiatry napływają
Rozsiewając mróz i rosę, przed świtem —
Znudzone głupstwami, o których muszą śnić dziewczęta,
Gdy w ich łózkach brakuje radości —*

*Dwie siostry podnoszą się i zdejmują odzienie.
Ich konie wybiegają z mroku na szeplem gwizdaną prośbę —
Ogromne widmowe kształty o łyskających bielą oczach,
Buchające wokół kolan ognistą parą:*

*W świszczących grzywach ich zacząjone, szperające dłonie,
Mocniejsze od kielzna, wędrują w powolnej pieszczocie.
Galopują poprzez mlecznobiałe piaski,
Brnąc daleko w śpiącą zatokę:*

*Mróz kłuje słodko palącym pocałunkiem,
Intymny jak miłość, zimny jak śmierć:
Ich usta, na których syczą pyszne drżenia,
Dymią lekkim pyłem ich oddechu.*

*Daleko w powodzi szarej ciszy
Patrzę, jak świt rozchodzi się czarownymi kręgami
Poza nie: i dzień rozplomienia się w ich krwi
Jak biała świeca w skulonej dłoni.*

Roy Campbell,
Siostry

PROLOG

Otaczał go spokój: jego umysł przestał wreszcie pulsować bólem.

Powoli otworzył oczy. Ponad nim czarne niebo rozświetlone gwiazdami. Księżyc w pełni zaplątany w rozłożyste konary drzewa.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że leży na plecach i unosi się na wodzie. Basen. Od czasu do czasu poruszał nogami i rękami, by utrzymać się na powierzchni. Ruchy były instynktowne i niemal bezwiedne.

Gdzieś śpiewały skrzypce, ich dźwięk dryfował przez nocne powietrze. Dochodził z domu, który wznosił się wysoką i ciemną bryłą po jego prawej stronie. Okna były ciemne, żadne światło nie przenikało przez maleńkie szybki w ołowianych ramkach. Strome mury pochylały się nad nim, a spiczasty dach załamywał się pod jakimś niemożliwym kątem.

W myślach miał zamęt, a jego czaszka pękała z bólu, który eksplodował w jego mózgu jak palący płomień. Lecz gdy spoglądał na dom, wciąż pamiętał, co kryło się za jego grubymi murami.

Bo jak mógłby zapomnieć? Miesiącami badał go z namiętnością mężczyzny odkrywającego ciało dawno niewidzianej kochanki. Przemierzał kręte korytarze, wspinał się po spiralnych schodach, wchodził

do zaklętych pokojów i sal. Pamiętał wszystko — każdy najmniejszy szczegół był zanotowany w jego zmaltretowanym mózgu.

Zielony pokój z fosforyzującymi liliami. Sala balowa z tańczącymi motylami. Pokój masek, w którym światło jakiegoś niewidocznego słońca przemieniało pajęczyny w złoto. Cudowne pokoje. Pokoje wypełnione pięknem.

Lecz w środku tego domu kryły się również pokoje cuchnące rozkładem i chorobą. Maleńkie pokoiki o ścianach wilgotnych i pokrytych liszajem, w których wyciągając rękę mógłby dotknąć wyrastających z sufitu oczu: oczu, których zamglone spojrzenie śledziło jego mozolną wędrówkę przez labirynt obrazów i myśli.

Znał ich porządek. Porządek miejsc, porządek rzeczy. Dokładnie przestrzegał zasad. Dlaczego więc coraz trudniej było mu utrzymać się na wodzie, z umysłem jak przepalona żarówka i ciałem tak strasznie ocieźniałym?

Zerwał się wiatr. Poczul na mokrej skórze jego pylisty oddech i zaczął się zastanawiać, czy pękaty księżyc nie spadnie z drzewa.

Był zmęczony. Czul napięcie w karku. Powinien spróbować dopłynąć do krawędzi basenu, lecz połowa jego ciała była jak sparaliżowana. Mógł jedynie lekko poruszać ramionami i nogami, by uchronić się przed zatonięciem. Pod nim rozciągała się czarna toń. I nagle zdał sobie sprawę, że nie odczuwa już spokoju, lecz potworny strach.

Wtedy ciepły promień światła rozdarł mrok. W domu zapaliła się jakaś lampa. Chciał krzyknąć, lecz głos uwiązał mu w gardle. Światło dochodziło zza drzwi z witrażowymi szybami ułożonymi starannie w kształt emblematu. *Monas Hieroglyphica*. Proszę bardzo, wciąż pamiętał...

Za rozświetlonymi rombami z czerwonego, zielonego i fioletowego szkła zamajaczył jakiś cień. Przystanął na chwilę, znieruchomiał.

Potem poruszył się. Drzwi stanęły otworem.

Wyszła bezszelestnie do ogrodu. Gdy szła w jego stronę, zdawało mu się, że czuje zapach jej perfum.

Wstąpiła w niego otucha. Przez cały czas musiała wiedzieć, że tu jest. Oczywiście, że wiedziała. A teraz przyszła go ocalić. Nie miał już czego się bać. Ale pospiesz się, pomyślał. Proszę, pospiesz się.

Wciąż miała na twarzy maskę, która zakrywała jej oczy. Jej włosy ukryte były pod czarnym kapturem peleryny. Na jej ramieniu siedział czarny jak węgiel kruk. Nawet w półmroku dostrzegał połysk na skrzydłach ptaka.

Uklękła na krawędzi basenu, pochyliła się i spojrzała mu prosto w twarz. Na jej ramię padła smuga żółtego światła. Na szyi miała cienki łańcuszek, z którego zwisał wisiorek w kształcie litery M. Lśnił na tle jej białej skóry.

Dźwięk skrzypiec dochodzący z wnętrza domu był teraz o wiele wyraźniejszy. Rozpoznał utwór. *Andante cantabile*. Kwartet smyczkowy Czajkowskiego, numer 1, opus 11. Ekstazy dźwięki wywołały falę wspomnień. Kiedy ostatnim razem słuchał tego utworu, w kominku płonął ogień, na ciemnym drewnianym stole stała misa przewietających róż w kolorze brzoskwińowym, a obok niej czekały na srebrnej tacy trzy kieliszki czerwonego wina.

Tonął. Jego stopy były jak blade bezpłetwe ryby, ociężale poruszające się w wodzie. Długo już nie wytrzyma. Ale ona mu pomoże. Wyciągnie go na brzeg. Poruszył z trudem ramieniem i wyciągnął błagalnie rękę.

Zmarszczyła czoło z troską, lecz oczy za maską pozostały tajemnicze. Położyła dłoń na jego twarzy i popchnęła ją delikatnie pod wodę. Przestraszony kruk zerwał się z jej ramienia, kracząc.

Otworzył usta chcąc zaprotestować i niemal utonął. Gwałtownie odwrócił głowę na bok, prychnął i kaszłąc. W panice spróbował od niej odpłynąć, lecz jego ciało było zbyt ciężkie.

Ponownie wychyliła się do przodu i popchnęła go pod wodę. I znowu. Za każdym razem wydobywał się na powierzchnię, łapał

powietrze, widząc tylko jej białe ramiona i zwisający z jej szyi łańcuszek z inicjałem M. Robiła to delikatnie, ale stanowczo. Jego głowa na przemian wychylała się i zanurzała w wodzie. Zrozumiał, że zaraz umrze.

Wyczerpanie. Jego płuca płoną. Podjął jeszcze jedną, heroiczną próbę uwolnienia się, lecz ona była silniejsza.

Nagle jej uchwyt zelżał, lecz on nie miał już siły, żeby wypłynąć na powierzchnię. Kiedy zaczynał tonąć, wciąż miał otwarte oczy, i przez warstwę wody zobaczył, jak się podniosła. Spojrzała na niego i uniosła dłoń jakby w geście żalu.

Powietrze wylatujące z jego ust marszczyło wodę, rozmywając jej postać, jej zamaskowaną twarz. Obracając się powoli twarzą w dół, pomyślał z dziwnym poczuciem oderwania, że może jego podróż wciąż trwa, może wciąż będzie szukać ścieżki, która wiedzie prosto do celu...

DOM O MILIONIE

DRZWI



*Zawsze chciałem poznać wszystko to, co jest na świecie
do poznania...*

Johannes Trithemius,
Steganographia (Tajemne Pisma), 1499

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czy jest na świecie coś równie wspaniałego, jak korek uliczny w skwarny dzień?

Światło zmieniło się na czerwone. Gabriel Blackstone zatrzymał rower na zakorkowanym skrzyżowaniu. Odwrócił się w bok i rozejrzał dokoła, z jedną stopą opartą dla równowagi o jezdnię, a drugą wciąż na pedale. Otaczały go samochody i Gabriel wyczuwał oczekiwanie — ledwie powstrzymaną agresję — czające się w sercach kierowców, którzy pocili się lekko za kierownicami swoich pojazdów. Wyglądali na rozluźnionych; łokcie wysunięte przez otwarte okna, głowy oparte swobodnie o zagłówki foteli. Ale Gabriel nie dał się nabrać. Kiedy zapali się zielone światło, będzie musiał się zwijać. W tej części londyńskiego City rowerzyści byli z trudem tolerowani. Oczywiście to była frajda: przeciskanie się między samochodami, ryzyko. Przed sobą Gabriel widział oczy taksówkarza — napuchnięte i otoczone zmarszczkami — które obserwowały go we wstecznym lusterku. Z tyłu telewizyjna furgonetka zaczęła już podpełzać do przodu, czając się przy tym irytująco.

Był piekielny upał. Gabriel otarł czoło wierzchem dłoni. Lato przyszło wcześniej. Asfalt pod jego stopą był miękki. Powietrze smakowało jak parafina. Ale lubił City w taką pogodę: lepkie, zapuszczone, z

poruszającymi się ociężałe pieszymi. Emocje buzowały tuż pod skórą niestłumione szalikami i grubymi płaszczami, niezakryte kapeluszami chroniącymi przed lodowatym deszczem.

Jego uwagę przyciągnęło mignięcie czerwieni: chodnikiem obok niego szła dziewczyna w pasowej spódnicy i bluzce, machając ozdobioną frędzlami torebką. Miała odsłonięty pępek i Gabriel zauważył motyla wytatuowanego na jej płaskim brzuchu. Szła tak niefrasobliwie, że aż uśmiechnął się z przyjemnością. Życie było piękne. Czwartą po południu w City... i miasto należało do niego.

Światło zmieniło się na zielone. Samochody wystrzeliły do przodu. Entuzjastyczny ryk odbijał się od stromych ścian budynków i wprawił ziemię w drżenie. Gabriel popedałował wściekle przez skrzyżowanie, wymijając zielonego mercedesa, którego kierowca wydawał się bardziej zajęty wrzeszczeniem do telefonu niż prowadzeniem samochodu.

Właśnie w takie dni Gabriel zdawał sobie jasno sprawę z tego drugiego — potajemnego — wymiaru City. Poza spalinami, hałasem i mgiełką żaru, było tam coś efemerycznego. Cyfrowy pył. Pedalując wzdłuż wznoszących się wysoko fasad londyńskich banków, firm ubezpieczeniowych i przedsiębiorstw, Gabriel wyobrażał sobie, że porusza się w niewidocznej, lecz migotliwej chmurze.

Za murami drapaczy chmur mruczały cicho maszyny wypełnione snami. Snami o pieniądzach i władzy. Snami rozłożonymi na kody binarne. Danymi. Najcenniejszym kapitałem w całym tym mieście, w którym obrót obcą walutą był równy czterem tysiącom sześciuset trzydziestu siedmiu miliardom dolarów dziennie. W mózgach komputerów kryły się pliki, notatki służbowe, dane badawcze. Skarbnica informacji chroniona zamkniętymi drzwiami, programami ochronnymi komputerów i zabójczymi hasłami.

Ale nie ma rzeczy niemożliwych, prawda? Gabriel uśmiechnął się do wiatru i pochylił się, skręcając ostro w wąską boczną uliczkę i

zostawiając za sobą najgorszy korek. Drzwi można wyważyć, na mury można się wspiać, a magię zaszyfrowanych zaklęć można przelamać. Sekrety istnieją po to, by je odkrywać. Potrzeba tylko skupienia i determinacji — a tak się szczęśliwie złożyło, że on obdarzony był i jednym, i drugim.

Dzisiaj udał się na misję wywiadowczą. Jego klientem był Bubbleboy, firma specjalizująca się w produkcji zabawek dla dzieci w wieku od sześciu do dziesięciu lat. Cel zaś stanowił Pittypats, największa konkurencja Bubbleboya. W tym okrutnym świecie sposobem na zdobycie przewagi było poznanie tajemnic rywali. Przeglądając raporty analityków finansowych z City i przekopując się przez gazety i czasopisma ekonomiczne, przedsiębiorstwa mogą dowiedzieć się całkiem sporo o konkurencji. Metoda ta jest nudna, banalna, lecz — trzeba to uczciwie przyznać — niepozbawiona efektów.

Publicznie dostępne dokumenty pozwalają jednak na odkrycie tylko części prawdy. Ostatecznie niezbędne staje się bardziej innowacyjne podejście. I tu właśnie na scenę wkraczał Gabriel. Jego dzisiejsza ekspedycja zwiadowcza stanowiła zaledwie pierwszy krok w skomplikowanej operacji, której celem było zapewnienie Bubbleboyowi dostępu do największych tajemnic głównego rywala.

Biura Pittypats, które Gabriel chciał obejrzeć, znajdowały się w dwóch prostych, choć uroczych kamienicach z końca osiemnastego wieku, o weneckich oknach i ozdobnych łukach. Bardzo skromnie jak na firmę o imponującym, globalnym zasięgu. Kamienice przysiadły sobie cichutko na końcu wąskiej uliczki, przytłoczone przez rażąco brzydką, betonową wieżę z lat sześćdziesiątych. Przez całą jej długość biegła stalowa barierka. Gabriel przypiął do niej rower. Prostując się, dostrzegł w wielkim szklanym oknie swoje odbicie. Buty do kostek, dżinsy, przybrudzona koszulka ze świecącym napisem Kurierzy City. Skórzana torba przerzucona przez ramię. Wciśnięta pod pachę podkładka z klipsem. Doskonale. Wyglądał jak trzeba.

Ochrona przy drzwiach frontowych Pittypats była szczątkowa:

wszechobecna kamera, dzwonek i domofon. Gabriel położył palec na przycisku i niemal natychmiast drzwi otworzyły się z trzaskiem.

W środku było już zupełnie inaczej. Pod sufitem znajdowały się czujniki ruchu, a drzwi prowadzące z maleńkiej recepcji do reszty budynku wyposażone były w czytnik kart magnetycznych. W pomieszczeniu nie było żadnych kamer, co nie gwarantowało, że nie kryły się gdzieś głębiej.

Kiedy Gabriel wszedł do środka, siedząca za wyłożonym zielono-złotą skórą biurkiem dziewczyna podniosła wzrok. Włosy miała skromnie związane z tyłu głowy, ale jej usta wyglądały tak, jakby należały do jakiegoś replikanta z *Łowcy Androidów*. Były niewiarygodnie błyszczące, wydawały się wręcz migotać. Były olśniewające. Lecz także w jakiś sposób groźne. Człowiek miał wrażenie, że gdyby je pocałował, mógłby sobie zedrzeć kawałek skóry.

— W czym mogę pomóc? — dziewczyna patrzyła na niego chłodno, z jedną brwią wygiętą w imponujący łuk.

Gabriel uśmiechnął się do niej i zsunął z ramienia skórzaną torbę.

— Przesyłka.

Gdy otwierał torbę, dziewczyna czekała, trzymając w palcach ołówek i stukając nim lekko w staromodną podkładkę na biurko.

— Proszę — Gabriel wyciągnął niewielką paczkę owiniętą w brązowy papier i położył ją razem z pokwitowaniem na blacie biurka. — Przesyłka dla pana Peake'a. I trzeba podpisać.

— Peake? — Dziewczyna zmarszczyła czoło. — Nie. Nie ma tu nikogo o tym nazwisku.

Gabriel wiedział, że nie ma. Upewnił się co do tego wcześniej, teraz jednak powiedział z przesadną cierpliwością:

— Tak. Peake. Niech pani zobaczy. Tak tu jest napisane — stuknął w kartkę palcem. — Pan Donald Peake.

— Nie. — Dziewczyna z irytacją odsunęła pokwitowanie w jego stronę. — Musiała zajść jakaś pomyłka.

— To firma Pittypats?

— Owszem. Ale...

Zerknął na adres na przesyłce.

— Pan Donald Peake. Dział zarządzania zasobami ludzkimi.

— Ach. — Twarz dziewczyny rozjaśniła się. — Nasz dział zarządzania zasobami znajduje się w Croydon. Pomylił pan biura.

Nie, złotko. Nie pomyliłem, powiedział Gabriel w myślach, ale ciągnął:

— A mógłbym zostawić tę przesyłkę tutaj? Znaczy, może pani przesłałaby ją panu Peake'owi?

Dziewczyna zawahała się. Gabriel patrzył, jak przygryza dolną wargę. Co zaskakujące, szminka w ogóle się nie rozmasała, pozostała nadnaturalnie lśniąca i gładka. Niesamowite.

— Może mogłaby pani chociaż zapytać? — podsunął. — Proszę, kochana. Pomóż mi.

Wahała się jeszcze przez chwilę. Potem wysunęła szufladę biurka i wyjęła mały plastikowy prostokącik. — Niech pan poczeka.

Odwróciła się i przesunęła klucz przez elektroniczny skaner. Małutkie czerwone oczko na czytniku zmieniło się na zielone i dziewczyna pchnęła drzwi. Przez chwilę Gabriel widział dobrze oświetlony, lecz całkowicie pusty korytarz. Nic nie wskazywało na to, co znajdowało się dalej we wnętrzu budynku.

Kiedy za dziewczyną zamknęły się drzwi, Gabriel opadł na kolana i otworzył torbę szerzej. W środku znajdował się jego iPAQ. Mały, dyskretny — wciąż pozostawał jego ulubionym narzędziem do tego typu zadań. Był już włączony, a ponieważ dookoła nie było żadnych kamer, Gabriel mógł zaryzykować szybki rzut okiem.

Ekran zamrugał, a to, co pokazał, sprawiło, że Gabriel uśmiechnął się z radością. Świetnie. Dalej pójdzie stosunkowo łatwo. To zlecenie nie będzie wymagać żadnych akrobacji, dzięki Bogu. Przy ostatniej robocie był zmuszony do włamania i czołgania się ponad podwieszonym sufitem. Przedzierał się przez kable telefoniczne, sprzęt do

klimatyzacji i instalację przeciwpożarową, by ominąć naprawdę nie-
znośne kontrole bezpieczeństwa i dostać się do zamkniętego obszaru
badań. Tym razem można było wręcz powiedzieć, że będzie mógł
ściągnąć informacje prosto z powietrza.

Drzwi się otworzyły. To była dziewczyna. Gabriel podniósł się i
spokojnie zamknął torbę.

— Dobrze. — Dziewczyna kiwnęła głową. — Może pan zostawić tu
paczkę. Zajmiemy się tym.

— Właściwie — Gabriel pokręcił z zalem głową i zarzucił torbę na
ramiona — wygląda na to, że jednak muszę jechać do Croydon. Wła-
śnie rozmawiałem z szefem — pokazał przypięty do paska telefon —
mówi, że pan Peake musi osobiście podpisać. Przepraszam za kłopot.

Westchnęła zniecierpliwiona, ale Gabriel widział, że straciła już
zainteresowanie jego osobą.

— Tylko proszę zamknąć drzwi, kiedy będzie pan wychodził.

Gabriel otworzył drzwi i obejrzał się. To była krótka wizyta.

Nie minęło więcej niż dziesięć minut, odkąd przekroczył próg. Ale
wyprawa zakończyła się niewątpliwym sukcesem. Nie mówiąc już o
całej reszcie, warto było chociażby zobaczyć te usta. Ale będzie miał
frajdę, opowiadając o nich Izydorowi.

*

Kiedy wyszedł na ulicę, odczepił komórkę i wybrał numer. Nikt
nie odebrał, co nie znaczyło, że Izydora nie było w domu.

Włączyła się automatyczna sekretarka i przez kilka następnych
chwil Gabriel musiał wysłuchiwać kolejnego nagrania. Zdaniem Izy-
dora poczucie humoru polegało na nagrywaniu co mocniejszych wer-
setów z Biblii — tych o straszliwej pokucie i wiecznym potępieniu —
po czym następowała prośba o zostawienie wiadomości. Gabriel cze-
kał cierpliwie na sygnał.

— Izydor, odbierz. Natychmiast. Trzask.

— Gabriel, człowieku. Gdzie się bujasz?

Gabriel westchnął. Izydor skończył Eton i Cambridge, lecz był

beznadziejnie zakochany w czarnym ulicznym rapie i od czasu do czasu okraszał swoje wypowiedzi bardzo osobistą wersją amerykańskiego slangu. Ponieważ jego akcent pozostawał uparcie arystokratyczny, efekt był co najmniej zaskakujący.

— Nadal jestem w City. Zgadnij, co. Bluetooth.

Izydor zachichotał.

— Nie gadaj. No, grzeczny z ciebie chłopiec. Należy ci się chyba odpoczynek. Zobaczymy się wkrótce?

— Już jadę.

Gabriel złożył komórkę i uśmiechnął się. Ta robota pójdzie jak z płatka.

Jego iPAQ zdradził mu, że w Pittypats korzystano z technologii bezprzewodowej. Bardzo modne. Brak przewodów z pewnością pomagał w tworzeniu schludnego środowiska pracy, w którym komputery porozumiewały się bez plątaniny grubych kabli. Istniał jednak pewien szkopuł. Bezprzewodowe przekazy elektroniczne można przechwycić, jeśli się ma odpowiedni sprzęt. Gabriel i Izydor zaś z całą pewnością taki posiadali.

Odpiął rower i zamienił zwykłe okulary na ray bany. Żar nieco zełżał, ale słońce wciąż raziło. Gabriel rzucił okiem na zegarek. Czwarta trzydzieści. Co najmniej kolejne dwadzieścia minut, zanim dojedzie do Izydora.

Izydor mieszkał przy targu na Smithfield i podobało mu się tam, czego Gabriel nie potrafił zrozumieć. Widok krwawych tusz za bardzo przywodził mu na myśl przerażające obrazy w stylu Francisca Bacona. Od ośmiuset lat na Smithfield sprzedawano mięso, a od niemal czterech wieków było to również miejsce, gdzie czarownice, heretycy oraz zdrajcy byli paleni lub gotowani żywcem, jakby byli kawałkami mięsa. Prawdopodobnie dlatego Gabriel był nieczuły na olśniewającą architekturę hal targowych z żeliwnymi ażurami oraz imponującymi łukami i kolumnami.

Izydor zajmował wąski dwupoziomowy segment, wciśnięty między dwa opuszczone domy o zabitych deskami oknach. Dobrze się składało,

że w sąsiedztwie nikt nie mieszkał: Izydor lubił głośne brzmienie. Wchodząc po niskich schodkach prowadzących do drzwi frontowych, Gabriel słyszał pulsującą zza podwójnych szyb muzykę. Całe szczęście, że miał klucze do domu: nie było możliwości, żeby Izydor usłyszał dzwonek przez ten harmider. Gabriel przekręcił klucz w zamku i przygotował się na uderzenie fali dźwięku.

Było nawet gorzej, niż się spodziewał. Miłością Izydora był rap, ale wyglądało na to, że jego przyjaciel był dziś w nostalgicznym nastroju. Hitem dnia byli tracący myszką Guns n' Roses. *Witamy w dżungli!* – darł się Axl Rose z pozadzroszczenia godnym brakiem kompleksów.

Zasłaniając uszy rękami, Gabriel wbiegł po schodach przeskakując po dwa stopnie i wpadł przez otwarte drzwi na górze. Podszedł prosto do regału i mocno wcisnął kciukiem przycisk zasilania na odtwarzaczu płyt kompaktowych. Nagła cisza aż porażała.

Odwrócił się. Przed nim, z opadającymi na czoło blond włosami i brwiami uniesionymi w wyrazie zaskoczenia, siedział na obrotowym fotelu Francis James Cavendish, pseudonim Izydor. Imię to przybrał w holdzie dla Jacka Isidore'a, zaburzonego bohatera *Wyznań Egarza* Philipa K. Dicka. Fikcyjny Isidore wierzył, że Ziemia jest pusta, a światło słoneczne ma ciężar. Prawdziwy Izydor potrafił wymyślać o wiele bardziej szurnięte teorie.

Teraz wyrzucił ręce w powietrze w geście kapitulacji. Jego długie palce były pokryte odciskami od godzin bębnienia w klawiaturę.

— Hej, stary. Co się stało?

— Nie chcę ogłuchnąć, to się stało. Cholera... — Gabriel przerwał i rozejrzał się dookoła. Każda wolna powierzchnia, której nie zajmowały komputery, ekrany, klawiatury, instrukcje obsługi, kable i inne komputerowe graty, zawalona była pustymi pudełkami po pizzy, opakowaniami po czekoladzie, puszkami napojów gazowanych i zatłuszczonymi paczkami chipsów.

— Ale tu jedzie. Wiesz, że robisz się banalny? Masz tu stereotypową hakerską melinę. Może by tak trochę oryginalności, na miłość Boską?

Izydor zdołał przybrać urażoną minę.

— Jak ty? Jeździsz jaguarem i słuchasz Chopina. Och, jasne. To dopiero oryginalne. Tylko czekam na dzień, w którym zaczniesz palić cygara. A do tego za pięć lat wciąż będziesz spłacał hipotekę za to swoje odpicowane mieszkanie, podczas gdy ja będę kołysał się w słońcu, sącząc mai tai.

Gabriel wiedział, że Izydor zamierzał w ciągu pięciu lat czmychnąć na Hawaje i spędzać czas, surfując po falach oceanu. Byłby to wspaniały plan, gdyby nie fakt, że Izydor nigdy w życiu nie pływał na desce surfingowej. A sama myśl, że w ogóle byłby w stanie zerwać z uzależnieniem od komputera i porzucić klawiaturę dla wspaniałego świata zewnętrznego, była jeszcze bardziej niedorzeczna. Ale ulubionym filmem Izydora był *Na fali*, a jego bohaterem — postacią grana przez Patricka Swayze.

Gabriel westchnął. Izydor był dupą wołową, ale też geniuszem. Nikt nie potrafił łamać kodów szybciej i w lepszym stylu.

— Okej. — Gabriel przysiadł na brzegu aksamitnego krzesła w kolorze dyni, strącając dwie butelki po piwie. — No to tak. Nie zdołałem zajrzeć do samych biur, ale nie ma żadnych wątpliwości, że w Pittypats stosują technologię bezprzewodową. Może dlatego, że zajmują historyczny budynek. Pewnie przepisy nie pozwoliły im na instalację przewodów i naruszenie konstrukcji.

Izydor kiwnął głową.

— Pozwolenia na budowę to wspaniała rzecz. A co z WEP-em?

— Jest. Zdaje się, że ich informatyk sprawdził się na tym froncie.

Izydor burknął, ale — jak przewidział to Gabriel — zupełnie nie wyglądał na zaniepokojonego.

WEP to była bułka z masłem: każdy półgłówek dysponujący ogólnie

dostępnym oprogramowaniem mógł go złamać. Izydor zaś miał szarych komórek aż w nadmiarze, i do tego posługiwał się oprogramowaniem zaprojektowanym przez siebie.

To niesamowite, pomyślał Gabriel, jak niedbale pewne korporacje podchodzą do ochrony danych. W nowoczesnych firmach i przemyśle biotechnologicznym zachowywano większą ostrożność, ale ogólnie rzecz biorąc bardzo niewiele przedsiębiorstw regularnie sprawdzało swoją sieć, czy chociażby wprowadzało funkcję MIC, żeby dowiedzieć się, czy ich pliki systemowe nie zostały w żaden sposób naruszone. A w przypadku sieci bezprzewodowych szyfrowanie WEP bardzo często nie było nawet uaktywniane.

Zasadniczo więc Pittypats mógłby ustrzec się przed elektroniczną penetracją jedynie wtedy, gdyby zainstalował w swoich biurach kilka warstw stali. A jedno było pewne: w tamtej kamienicy nie było żadnych stalowych ścian. Wszystko sprowadzało się więc do tego, żeby pomyszkować w zalewie elektronicznych przekazów i wyłowić hasło, nazwę pliku czy projektu, i sprawa załatwiona.

Nagle Gabriel ziewnął. Po raz pierwszy tego dnia poczuł się zmęczony. Rzucił okiem na zegarek.

— Muszę wracać do domu. Chciałem dziś rozpracować program podglądu, ale odłóżmy to na następny raz.

— Ważna randka? — Izydor spojrzał na niego złośliwie. — Wciąż ta... jak jej tam... Bethany?

— Briony. I nie, nie o to chodzi.

— Rzuciła cię, co?

— Można tak powiedzieć. To był ciężki cios.

— Daj spokój. Chodziłeś z nią tylko po to, żeby zbliżyć się do jej kumpeli, tej blondynki, co tak uroczo sepleni.

Gabriel skrzywił się.

— Wcale nie. No — poprawił się — może z początku, ale potem wszystko się zmieniło. Briony złamała mi serce.

— Serce? Człowieku, ty nie masz serca.

— Więc może serca są przeceniane.

— Dla większości z nas to kluczowe wyposażenie.

— Nie dla mnie. Ja jadę wyłącznie na seksapilu.

Izydor rzucił mu gniewne spojrzenie.

— Zjeżdżaj stąd, ty nadęty dupku. Ja też muszę wyszykować się na randkę.

— Nic nie mów — wyszczerzył się Gabriel. — Jakaś cyfrowa laleczka w królestwie *Dreadshine*.

Miał na myśli jeden z ulubionych zakątków Izydora w Internecie: grę sieciową, z rodzaju tych bardziej surrealistycznych. Tam, w cyberświecie zbudowanym wyłącznie ze słów, Izydor regularnie zmieniał się w średniowiecznego rycerza, który siekał z bezlitosnym entuzjazmem gobliny i demony na kawałki. Razem ze zgrają innych mieszkańców *Dreadshine* — z których wszyscy w równym stopniu olśnieni byli wytworami własnej wyobraźni — bawili się wyśmienicie, zadziwiając się nawzajem sprytem i wirtualnymi wyczynami. Lecz nigdy żadnego kontaktu twarzą w twarz. Romans i przygoda jedynie w wirtualnym świecie. Wszystko to było trochę smutne.

Gabriel zasalutował niedbale.

— No to miłej zabawy.

— Zawsze — Izydor uśmiechnął się z drapieżnym błyskiem w oczach.

Gdy Gabriel schodził po schodach, znowu zaczęła grać muzyka. Tym razem Belinda Carlisle. Dobry Boże!

*

Wbrew domysłom Izydora Gabriel nie miał tego wieczoru randki. Czekał z utęsknieniem na szklaneczkę dwudziestoletniej szkockiej, trochę ostrej chińszczyzny i długą kąpiel w swojej niezwykle kosztownej wyłożonej cedrem wannie.

Kiedy wszedł do mieszkania, lampka automatycznej sekretarki migiała, ale Gabriel zignorował ją. Zawiesił rower na ścianie, przeszedł przez ogromny pokój z piękną podłogą z drewna jarrah i otworzył przesuwane drzwi, które prowadziły na wąski balkon. Jego mieszkanie było największe w tym zaadaptowanym dawnym magazynie,

a balkon ciągnął się przez całą jego długość. Budynek znajdował się blisko Tower Bridge, a widok Tamizy zawsze wzbudzał w Gabrielu poczucie głębokiego zadowolenia.

Uwielbiał rzekę. Uwielbiał ją zimą, z białą mgłą wiszącą nieruchomo, spowijającą most zwieńczony złotymi wierzchołkami tak, że wyglądał jak zjawą. Uwielbiał ją latem, gdy stawała się leniwym, brązowym wężem, a w powietrzu unosił się zapach mokrej ziemi.

Apartament w lofcie z zachwycającym widokiem był nie tylko przyjemnym miejscem do życia. Był czymś o wiele, wiele ważniejszym. Uosabiał wszystko za czym Gabriel tęsknił jako dziecko. Okolice Bristolu, w których dorastał, były szare i pozbawione radości. Jego ojciec był kierowcą ciężarówki jeżdżącym na długich trasach, podczas gdy jego matka dokładała się do rodzinnych dochodów ścieląc łóżka i sprząając łazienki w hotelu. Rodzinie niczego nie brakowało, ale ich życie pozbawione było radości. W pamięci Gabriela zachował się obraz domu, w którym spędził pierwsze siedemnaście lat życia: ściany cienkie jak papier, zagracone pokoiki, niskie sufity. Telewizor bezustannie włączony na taką czy inną australijską operę mydlaną. Dom pachnący makaronem z serem i brudnymi wełnianymi skarpetkami brata. Pończochy i staniki matki ociekające wodą na poręczy pryszniaka. Okropne klaustrofobiczne uczucie ciągłego braku powietrza, którym można by odetchnąć.

Jego rodzice z trudem znosili się nawzajem, ich związek był mocno nadwyreżony codzienną rutyną. Jednym z jego najwcześniejszych wspomnień były sprzeczki, które rodzice prowadzili bezbarwnymi głosami z tępym, zażartym uporem: nieznośny ciągły szum. Nie byli okrutni — w ich domu nie było żadnej przemocy ani celowego zaniedbania — ale zdawali się nie przepadać za swoim potomstwem i mieli bardzo mało ochoty i energii, by się nim zajmować.

Zanim Gabriel skończył dwanaście lat, zadawał się już z grupką

chłopaków, których zachowanie balansowało niebezpiecznie na granicy rozrabiactwa i zwykłego chuligaństwa. Mógłby wpakować się w poważne kłopoty, gdyby nie nauczyciel, który zdołał załatwić mu stypendium w szkole, w której kładziono nacisk na ciężką pracę i wysokie standardy. Szkoła ta wyszlifowała jego akcent i zapewniła doskonałe podstawy, dzięki którym dostał się na Oxford. I wtedy, na sześć miesięcy przed ukończeniem studiów, Gabriel zrezygnował z nauki. Jego przyjaciele byli w szoku, lecz on nigdy nie próbował wyjaśnić nikomu swoich pobudek. Po prostu spakował rzeczy i wyjechał do Londynu. I został złodziejem.

Nie miał żadnych złudzeń co do obranej przez siebie dziedziny. Zmienił żyłkę do technologii informatycznych w lukratywną działalność przestępczą. Wiedział, że Izydor hołdował romantycznej wizji hakerstwa, uważając się za krzyżowca w pelerynie krążącego po cyberprzestrzeni, gdzie korporacje jak grube ryby pożerały małe płotki.

Mimo całej miłości do Izydora Gabriel nie miał cierpliwości do tego typu ideologii rodem z nalepek na zderzaki. Kradzież to kradzież. Wszystko jedno czy w cyberprzestrzeni, czy w rzeczywistym świecie. To, że medium jest inne, nie znaczy, że zasady się zmieniają. Jeśli ściągasz z Internetu chroniony prawem autorskim utwór, to właśnie wszedłeś do sklepu z płytami i zwinąłeś po cichu CD. Jeśli włamujesz się do danych jakiegoś przedsiębiorstwa i opylasz je konkurencji, to zakłócasz jego badania i budżet rozwojowy, wykradając mu lata pracy i finansowego wkładu. I chociaż większe korporacje mogą przetrwać utratę firmowych tajemnic, to dla mniejszych może to oznaczać koniec.

Zatem Gabriel nigdy się nie oszukiwał. Już od dziesięciu lat zarabiał na życie — i to bardzo wygodne życie — nielegalnie czerpiąc z twórczych wysiłków innych.

Rozłożył szeroko ramiona — po kilku godzinach jazdy na rowerze łupało go w kręgosłupie — i oparł dłonie na poręczu balkonu. Kiedy tak stał, zawieszony między niebem a wodą, czuł głębokie zadowolenie.

Zmierzch był jego ulubioną porą dnia. Uwielbiał chwile, kiedy miasto zwalniało, odprężało się. Migotanie świateł po drugiej stronie rzeki. Łagodniejszy blask ulicznych lamp, odbijających się w ciemnej wodzie, pluskającej cicho przy błotnistym brzegu.

Dopiero kiedy odwrócił się od rzeki i wszedł z powrotem do pokoju, zauważył to znowu: migotanie lampki w automatycznej sekretarce. Przez chwilę walczył ze sobą, czy nie odłożyć tego do następnego dnia — w końcu był piątkowy wieczór — ale więc jednak podszedł i wcisnął guzik odtwarzania.

Głos na taśmie brzmiał obco. Był to męski głos, raczej cienki, wymawiający słowa z wyważoną precyzją. Wiadomość była niewinna: prośba o spotkanie przy śniadaniu w najbliższy poniedziałek w celu omówienia biznesowej propozycji, która mogłaby przynieść stronom obopólną korzyść. Dzwoniący nie podał swojego nazwiska, przedstawiając się po prostu jako William i uściślając, że będzie siedział w boksie najdalej od wejścia.

Powściągliwość w udzielaniu informacji o sobie nie była dla Gabriela niczym niezwykłym. Potencjalni klienci zazwyczaj zachowywali się dość wstydliwie, przynajmniej z początku, i było to zupełnie zrozumiałe, biorąc pod uwagę rodzaj usług, z których mieli nadzieję skorzystać. Wiadomość zatem wydawała się zupełnie normalna. Nie było w niej nic nadzwyczajnego, a już z pewnością nic, co mogłoby zapalić w jego głowie czerwone światełko.

Jednak wiele miesięcy później Gabriel miał wrócić myślami do tego momentu, kiedy stał we wnętrzu swojego pięknego mieszkania, z palcem wciąż na przycisku sekretarki, podczas gdy za oknem gasł dzień i słychać było dźwięk głosów i śmiech, napływający razem z zapachami z baru na rogu. Miał zapamiętać tę chwilę, jakby była zatrzymana w czasie, i szukać w niej jakiegoś znaku, który świadczyłby o tym, że jego życie miało ulec całkowitej przemianie. Czy w ten ciepły letni wieczór, kiedy czuł, że posiada całkowitą władzę nad swym

losem, nie dostrzegł nic, co posłużyłoby jako ostrzeżenie? Przecież powinien coś wyczuć. Przecież musiał być jakiś znak.

Oderwał palec od przycisku, obojętnie, notując tylko w pamięci, że w poniedziałek musi wstać wcześniej, by zdążyć na Piccadilly na spotkanie z nowym, i jak na razie nieznanym, klientem.

Lecz kiedy szedł do kuchni, pogwizdując sobie pod nosem, chłodny wiatr uniósł nagle jedną z jedwabnych zasłon na ścianie. Na czerwonym jak wino niebie wschodził powoli pękaty księżyc.



Data wpisu: 20 maja

Podążać ścieżką, która wiedzie prosto do celu.

M. robi nowe drzwi. Klucz będzie wielki — na długość kobiecego ramienia — i wykonany ze srebra. M. pracuje w tak gorączkowym pośpiechu, że zaczynam się niepokoić. Ale to prawda, że drzwi wyglądają wspaniale.

Po drugiej stronie będzie okno. Niebo za nim będzie zawsze ciemne, a szyby będą pokryte szronem.

Kto zamieszka w tym miejscu pomiędzy drzwiami a oknem? Mim o ciężkim sercu i ślepych oczach, które krążą, krążą.

Muszę pomedytować nad swoim imieniem.

ROZDZIAŁ DRUGI

Wyglądał na bogatego. Trudno było powiedzieć, skąd brało się to wrażenie, lecz otaczała go wyraźna aura zamożności. Ubrany był konserwatywnie; w ciemnoniebieski garnitur, odprasowaną białą koszulę i błękitny krawat w maleńkie żółte kwiatki. Nosił czarne półbuty. Jednak to nie strój — choć nieskazitelnie skrojony — decydował o jego wyglądzie człowieka sukcesu. Chodziło o coś zupełnie innego. Błękitna krew i pieniądze. Jest to potężna mieszanka, wyczuwalna jak zapach.

Ludzie dobrze urodzeni i naprawdę bogaci są przyzwyczajeni do robienia tego, na co mają ochotę. Rzadko ktokolwiek im się sprzeciwia, i zwykle ktoś pilnuje, by nie ponosili konsekwencji złych manier lub błędnych decyzji. No i wszyscy śmieją się z ich dowcipów. Ten fortunny stan rzeczy — fortunny dla beneficjentów, nie dla ich służby, rzecz jasna — wytwarza w nich pewną nieokreśloną cechę, którą najlepiej określa zwrot „nieświadoma pewność siebie”. Mężczyzna siedzący w boksie najdalej od wejścia do kawiarni miał właśnie tę właściwość.

Miał także bladoniebieskie przenikliwe oczy.

— William? — Gabriel wyciągnął rękę.

Niebieskie oczy przyglądały mu się przez chwilę, jakby mężczyzna próbował podjąć jakąś decyzję. Potem, niespiesznie, wyciągnął dłoń. Jego uścisk był silny, lecz niemiażdżący.

— Gabrielu. Dziękuję, że przyszedłeś. Usiądź, proszę.

Gabriel wsunął się na swoje miejsce, a do stolika podeszła kelnerka z ponurym uśmiechem.

— Kawa?

— Poproszę. I jajka w koszulkach na toście. Trzy. Lekko ścięte.

Mężczyzna naprzeciw Gabriela wykonał dłonią odmowny gest.

— Dla mnie nic, dziękuję.

Z bliska wyglądał na sporo starszego, niż wydawał się w pierwszej chwili. Poruszał się swobodnie, ale skórę dookoła ust miał suchą i pokrytą cienkimi zmarszczkami. Był też bardzo chudy.

Gabriel spojrział mu prosto w oczy i się uśmiechnął.

— Zanim zaczniemy, kilka podstawowych zasad. Zakładam, że ma pan kłopot ze zbieraniem informacji i sądzi, że ja mógłbym go rozwiązać. Prawdopodobnie mogę. Ale najpierw muszę poznać pana nazwisko. Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. A potem możemy zaczynać.

Zakończył kolejnym uśmiechem, obliczonym na to, by pozbawić jego małą mówkę jadu. Zawsze najlepiej było przejść od razu do interesów. Czasem przyszli klienci w nieskończoność chodzili opłótkami, zbyt skrupowani, by powiedzieć wprost, o co chodziło. Bywało to bardzo męczące.

— Ależ oczywiście — powiedział mężczyzna uprzejmie. — Nazywam się William Whittington.

Gabriel miał rację co do pieniędzy. William Whittington. No, no. Filantrop i bankowiec, który zdołał znacznie rozbudować i tak już ogromną fortunę odziedziczoną po dziadku. Błyskotliwy strateg. I trochę samotnik. Sprawa zapowiadała się interesująco.

Lecz było w tym także coś dziwnego. Po co Whittington miałby spotykać się z nim osobiście? Gabriel przeważnie nie miał do czynienia z ludźmi tego formatu. W normalnych sytuacjach nie spotykał dyrektorów, przewodniczących rad nadzorczych czy innych członków

zarządu. Zazwyczaj kontaktował się z nim ktoś zajmujący o wiele niższą pozycję w łańcuchu pokarmowym. William Whittington podejmował duże ryzyko.

Mężczyzna lekko się uśmiechnął.

— Masz oczywiście rację. Faktycznie mam kłopot i faktycznie potrzebuję twoich wyjątkowych talentów. Choć może nie całkiem do tego, czego się spodziewasz.

Przez chwilę Gabriel miał nieprzyjemne uczucie, że Whittington w jakiś sposób bawi się jego kosztem. Zanim zdążył odpowiedzieć, znowu pojawiła się kelnerka i postawiła przed nim wyszczerbiony biały talerz.

— Trzy jajka, lekko ścięte. Zgadza się?

— Zgadza się — spojrzał na Whittingtona. — Na pewno się pan nie przyłączy?

Whittington potrząsnął głową. Wpatrywał się w talerz z mieszaniną rozbawienia, przerażenia i szacunku.

— Nie mógłbym. Ale ty się nie krępuj.

Jaja były dokładnie takie, jak Gabriel lubił. Wziął jeden kęs i powiedział:

— Zaczął pan coś mówić.

— Czy masz dzieci, Gabrielu?

Czegoś takiego jeszcze nie słyszał.

— Nie, nie mam.

— Ja mam syna — twarz Whittingtona stężała nagle, z jego oczu zniknęły wszelkie ślady rozbawienia. — Nazywa się Robert. Robert Whittington. Ma dwadzieścia jeden lat — Whittington zamilkł. — Zaginął.

— Zaginął?

— Zniknął dziewięć miesięcy temu. Chcę, żebyś go odszukał.

Gabriel opuścił widelec.

— Zdaje się, że źle pana poinformowano co do tego, czym się zajmuję. Jestem brokerem informacji. Nie prywatnym detektywem. Nie zajmuję się odnajdywaniem zaginionych ludzi.

— Ale kiedyś to robiłeś. — Długa przerwa. — W Eyestormie.

Przez chwilą Gabriel czuł się tak, jakby nagle w pomieszczeniu zabrakło tlenu. Spróbował przybrać obojętną minę, aby ukryć szok, który musiał się pojawić na jego twarzy. Wbił spojrzenie w czarną muchę, która spacerowała ostrożnie po samym brzegu laminowanego blatu. To przez upały: miasto roilo się od robactwa.

— Gabrielu? — Mężczyzna naprzeciwko wpatrywał się w niego z oczekiwaniem.

— Nie mogę panu pomóc. — Gabriel wciągnął głęboko powietrze i wytarł usta papierową serwetką. — Nie dobijemy razem żadnego interesu. Przykro mi z powodu pańskiego syna, ale powinien pan zwrócić się do policji, nie do mnie — starał się mówić spokojnym tonem.

— Nie jesteś ciekaw, skąd wiem o Eyestormie?

— Nieszczególnie. — Mucha odleciała. Wylądowała na krawędzi cukiernicy na stoliku w sąsiednim boksie.

— Cecily mi powiedziała.

Gabriel zaczął się już podnosić, ale na te słowa zamarł.

— Cecily. Cecily Franck?

— Tak.

— Frankie jest w Stanach.

Whittington potrząsnął głową.

— Już nie. Przez ostatnie dwa lata mieszkała w Londynie.

— Znowu się pan myli. Ona nigdy by tu nie wróciła.

— Ale wróciła. — Whittington uśmiechnął się, raczej smutno. — Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Widzisz, dwa lata temu się pobraliśmy. To moja żona.

ROZDZIAŁ TRZECI

— Mów mi Frankie — powiedziała, kiedy ich sobie przedstawiono.
— Wszyscy mnie tak nazywają. Cecily to imię mojej prababci. A mówiąc szczerze, nigdy za staruszką nie przepadałam. Wredna była z niej baba.

Uśmiechnęła się szeroko; miała zachwycający uśmiech i Gabriel odpowiedział tym samym. Choć nie całkiem ładna, Cecily Franck była jednakże niezwykle atrakcyjna. Wąska twarz. Jasnobrązowe włosy tworzące nad czołem trójkąt. Słodkie usta i zaskakująco bystre oczy. Nieskazitelna skóra. Głos miała niski, ale dźwięczny, jej amerykański akcent wyraźnie wybijał się w pokoju pełnym Brytyjczyków.

Gabriel rozejrzał się dookoła. W wielkim staromodnym salonie oksfordzkiego domu Alexandra Mullinsa musiało przebywać około czterdziestu osób. Pokój wydawał się zapuszczony, z zakurzonym dywanem w kolorze mchu, lampami o abażurach z frędzlami i porcelanowymi bibelotami. Goście sączący źle schłodzone wino i pogryzający kawałki gumowatego sera, tworzyli dziwną zbieraninę. Sądząc z informacji na plakietkach z imionami, pochodzili z różnych środowisk i z różnych miejsc Wielkiej Brytanii. Frankie była Amerykanką, ale na jej plakietce napisano tylko, że jest studentką. Tak samo jak na jego własnej. Pewnie dlatego właśnie instynktownie do siebie przyłączyli.

Jedynym wspólnym mianownikiem łączącym wszystkich gości był fakt, że każdy z nich znajdował się tam, ponieważ odpowiedział na to samo ogłoszenie w jednej z ogólnokrajowych gazet.

— Co o nim sądzisz? — Wzrok Frankie podążył za jego spojrzeniem w kierunku, chudego mężczyzny z imponującym orlim nosem, który rozmawiał wyraźnie przejęty kobietą.

— Mullins? — Gabriel wzruszył ramionami. — Za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć.

— Wygląda zupełnie inaczej, niż się spodziewałam — w głosie Frankie zabrzmiało zwątpienie.

— A czego się spodziewałaś, kogoś z kryształową kulą?

Uśmiechnęła się z żalem.

— Przynajmniej kogoś bardziej intrygującego. Wiesz, co mam na myśli.

— No cóż, facet jest naukowcem. Tacy zwykle nie słyną z ekstrawagancji.

Ale Gabriel wiedział, o co jej chodziło. Biorąc pod uwagę przyczynę spotkania, można jej było wybaczyć, że spodziewała się czegoś nieco bardziej teatralnego. Oczy Mullinsa, ukryte za absurdalnymi okularami w kształcie kocich oczu, były zimne i ostre jak laser. Jego reputacja zaś robiła wrażenie.

Alexander Mullins był wybitnym neuropsychologiem z trzydziestoletnim doświadczeniem w metodach statystycznych i procesach kognitywnych. Jednak jego prawdziwą pasją były zjawiska parapsychiczne. Eyestorm. Przyczyna, dla której zgromadziła się tu dziś cała ta zbieranina ludzi.

— Mogę cię o coś zapytać?

— Oczywiście. — Gabriel spojrzął na Frankie pytająco.

— Czy ty... — Zawahała się, czerwieniąc. — Czy nie czujesz się troszkę głupio, że tu jesteś? No wiesz, nie wydaje ci się, że to wszystko są jakieś idiotyczne czary-mary?

Gabriel uśmiechnął się, ale zanim zdążył odpowiedzieć, Alexander Mullins zastukał nożem w nóżkę swojego kieliszka. Szum głosów ustał i wszystkie oczy zwróciły się w kierunku gospodarza.

— Witajcie. Bardzo się cieszę, że zdecydowaliście się wziąć udział w dzisiejszym spotkaniu. — Wbrew tym słowom, głos Mullinsa pozbawiony był ciepła. — Fakt, że odpowiedzieliście na moje ogłoszenie, oznacza, że wszyscy uważacie, iż możecie mieć jakiś ukryty talent, jakiś rzadki dar. Dzisiaj zrobimy pierwszy krok, by określić, czy tak jest w istocie — lodowaty uśmiech. — Nie wszystkim z was się uda. Ale jeśli się sprawdzicie, zostaniecie zaproszeni do wielkiej przygody...

*

Jednak w ostatecznym rozrachunku z czterdziestu siedmiu uczestników jedynie troje zdołało przejść próbę. Po sześciu miesiącach tylko Gabriel, Frankie i podstarzały hydraulik o imieniu Norman zostali zaproszeni, by dołączyć do istniejącej już grupy osób o zdolnościach parapsychicznych, znanej ogólnie jako Eyestorm.

Eyestorm był brytyjskim odpowiednikiem amerykańskiego projektu Stargate. Zapoczątkowany w Stanach Zjednoczonych przez Departament Obrony program Stargate miał badać praktyczne zastosowanie telepatii i jasnowidzenia czy też jak to potem nazwano „dalekowidzenia”.

Termin „dalekowidzenie” został wybrany celowo. Uznano go za łatwe do przyswojenia, neutralne określenie. Wymyśliło go dwóch fizyków z Instytutu Badawczego Stanford, doktorów Harolda Puthoffa i Russella Targa, którzy zaangażowani byli w najwcześniejsze etapy projektu. Jak wyjaśnił Mullins tego pierwszego wieczoru: „niestety, określenia takie jak »jasnowidztwo« czy »telepatia« zostały zawłaszczone przez szarlatanów. Potrzebowaliśmy zamiast nich czegoś nowego. »Dalekowidzenie« to termin, który nie został jeszcze nadużyty przez fałszywe medium”.

Gabriel podniósł rękę.

— Są tacy, dla których wszystkie media z definicji są fałszywe. Zimne oczy Mullinsa rozbłyły spoza okularów.

— Pan... Blackstone, czy tak? Jeśli nie wierzy pan w parapsychologię, to czemu się pan tu dziś znalazł? — Nie dając Gabrielowi szansy na odpowiedź, ciągnął dalej: — Proszę przyjąć moje zapewnienie, że badania Stargate nad wewnętrzną świadomością opierały się na bardzo rygorystycznych metodach naukowych. I w taki właśnie sposób pracujemy także w Eyestormie — Mullins odwrócił oczy od Gabriela i przesunął wzrokiem po twarzach słuchaczy. — Pozwólcie, że wyrażę się bardzo jasno — powiedział z mocą. — Zasady stosowane w Eyestormie są wyjątkowo rygorystyczne. To nie jest miejsce dla poszukiwaczy potwora z Loch Ness czy nawiedzonych przez UFO.

Mimo iż Eyestorm kierował się w większości przykładem i ideałami Stargate, istniała między nimi jedna duża różnica, mówił dalej Mullins. W przeciwieństwie do amerykańskiego kuzyna, który przed zamknięciem w latach dziewięćdziesiątych otrzymywał fundusze rządowe, Eyestorm nie był sponsorowany bezpośrednio przez państwo. Grupa musiała polegać na dotacjach prywatnych klientów oraz — jak wyjaśnił Mullins z autoironicznym uśmiechem — na znacznej fortunie, którą odziedziczył jej założyciel. Cele obu organizacji były jednakże bardzo podobne. Zarówno Eyestorm, jak i Stargate zdecydowanie zamierzały dążyć do osiągnięcia praktycznych rezultatów. Żadna z jednostek nie była jedynie grupą naukowców; ich badania miały zastosowanie w rozwiązywaniu prawdziwych problemów.

Jednym z większych sukcesów jednostki amerykańskiej było wytropienie przemytników narkotyków. We współpracy ze strażą przybrzeżną, daleko widzący ze Stargate wykorzystali swoje zdolności jasnowidzenia, by zidentyfikować podejrzane statki, i w kilkunastu przypadkach zdołali naszkicować dokładną lokalizację kryjówek z narkotykami. Innym znaczącym osiągnięciem była pomoc amerykańskim siłom powietrznym w poszukiwaniu zestrzelonego sowieckiego samolotu w Afryce. Jeden z dalekowidzących zdołał zawęzić obszar poszukiwań do trzech mil od zestrzelonego samolotu.

Klienci Eyestormu nie mieli jednak powiązań z rządem, lecz zwracali się do organizacji po wyczerpaniu bardziej konwencjonalnych środków pomocy w postaci policji i prywatnych detektywów. Wiele ze spraw Eyestormu polegało na tropieniu skradzionych dzieł sztuki lub utraconych pamiątek rodowych. Były także misje poszukiwawcze oraz ratunkowe. Wykorzystując swoje zdolności dalekowidzenia, członkowie Eyestormu pomagali w odnajdywaniu zaginionych krewnych i zakładników.

To właśnie pociągało w tym Frankie: pomaganie ludziom.

— Pomyśl tylko, Gabrielu, jakie to musi być straszne nie wiedzieć, czy kochana osoba naprawdę zaginęła. Czy to nie cudowne, że możemy przynieść tym ludziom ukojenie?

Gabriel przytaknął, ale w głębi serca wiedział, że jego samego pociągało coś zupełnie innego. Dalekowidzenie było władzą. Gabriel cieszył się możliwością korzystania z talentu, którym obdarzony był jego umysł. Chodziło mu o adrenalinę. Dla Frankie zaś było to powołanie.

Ach, Frankie. Frankie o miękkich ustach i bystrym umyśle. Frankie, która spała przy włączonej lampce, bo bała się ciemności, ale nie wahała się zmierzyć z ulicznym oprychem, który groził starszemu mężczyźnie. Frankie, która oznaczała śmiech, pociechę i spokój. Kiedy poznali się w salonie Mullinsa, od razu poczuli do siebie sympatię. Więzy między nimi była silna, natychmiastowa i cudownie nieskomplikowana. A wkrótce sympatia zamieniła się w miłość.

Przemiana ta wolna była od gwałtownych huśtawek nastrojów i namiętnych ekscesów, zwykle utożsamianych z pierwszą miłością. Nie było żadnych gromów z jasnego nieba. Była to wyjątkowa przyjaźń stopniowo wznosząca się na bardziej intymny poziom. Dookoła nich inni studenci wdawali się w krótkie, namiętne przygody, sprawdzali granice swoich możliwości, eksperymentowali w miłości. On i Frankie obeszli się bez tego. Był to niezwykle dojrzały związek, biorąc pod uwagę, że zaczął się, kiedy oboje mieli zaledwie po osiemnaście lat.

A jednak to chyba z powodu młodego wieku w końcu się rozeszli. Gdyby byli starsi, może znieśliby Eyestorm o wiele lepiej. Zamiast dać się rozerwać na strzępy, może zdołaliby wyjść z tej burzy bez gniewu — albo, co jeszcze gorsze, bez tego strasznego poczucia rozczarowania, które w końcu zaczęli wzajemnie do siebie żywić.

Eyestorm ich rozdzielił. Lecz Eyestorm stworzył też między nimi nierozzerwalną więź. I stworzył środowisko, w którym mogli bez przeszkód oddać się wyjątkowemu i tajemniczemu talentowi, którym oboje byli obdarzeni.

Dalekowidzenie. Drugi wzrok. Dar. Lśnienie. Ostatecznie wszystkie te nazwy oznaczały jedno. A Gabriel wiedział o tym, odkąd był małym chłopcem: o małej skazie na swojej podświadomości. Początkowo zupełnie nie potrafił tego wyjaśnić, ani sobie, ani innym.

Dopiero kiedy przyłączył się do Eyestormu, nauczono go pojęcia „przestrzeni psi”: tego mglistego pola informacji, które zawiera w sobie skumulowaną wiedzę różnych umysłów. Powiedziano mu, że jako osoba o zdolnościach parapsychicznych, ma wysoce rozwiniętą sieć neurofizjologiczną, co umożliwia mu wejście do przestrzeni psi i sięgnięcie myślami do informacji generowanych przez umysły innych. W miarę nabywania doświadczenia, miał nauczyć się odbierać rezonans tych myśli z coraz większą łatwością.

Jako mały chłopiec Gabriel oczywiście nie był w stanie wyrazić, co się z nim działo. Wiedział jedynie, że ma dziwny talent do odnajdywania zaginionych rzeczy — „widzenia”, gdzie się znajdują. Nie próbował sprawdzać swoich umiejętności i z pewnością rodzina nie zachęcała go do ich rozwijania. Te kilka razy, kiedy znalazł zgubione lub zapodziejanie przez członków rodziny przedmioty, matka zareagowała podejrzliwie, oskarżając go o to, że sam je ukrył, by zwrócić na siebie uwagę. Po tym jak Jack, jego starszy brat, pobił go za to, że Gabriel niechcący wyjawiał jego tajną kryjówkę, chłopiec stanowczo zdecydował, że nie jest to talent wart rozwijania. Najwyraźniej nikt więcej nie

miał takich zdolności, co sprawiało, że Gabriel czuł się inny. A kto do diabła chce czuć się inny w takim wieku?

Myślał, że jeżeli będzie je ignorował, to znikną same. Jednak zanim skończył dwadzieścia lat, zdał sobie sprawę, że nie będzie to takie proste. Samo pragnienie, by dar zniknął, nie wystarczy. Musiał z tym żyć.

To odkrycie przywiodło go do Eyestormu i Alexandra Mullinsa.

Alexander Benedict Mullins. Już samo jego nazwisko brzmiało onieśmialająco. A on sam zdecydowanie taki był. Przez trzy lata Gabriel uważał go za mistrza i ojca. Nie żeby w jego zachowaniu było coś choćby zbliżonego do ojcowskiej czułości. Mullins nie był człowiekiem skłonny do pochwał czy — skoro już o tym mowa — do okazywania uczniom jakiegokolwiek sympatii. Jednak lojalność i podziw, które wzbudzał w swoich podopiecznych, były niezaprzeczalne. Gabriel, choć nigdy by się do tego nie przyznał, zacięcie rywalizował z innymi dalekowidzącymi z Eyestormu o jego aprobatę.

Wiedział, że Mullins uważał go za aroganta.

— Pamiętaj — ostrzegł Mullins do znudzenia. — Nigdy, przenigdy nie ulegnij czarowi swoich zdolności. Nigdy nie daj się osłepić ich światłem. To tylko talent — jak u kogoś obdarzonego słuchem absolutnym albo szerokim polem widzenia. Zdolności parapsychiczne są częste. Przeczucie policjanta, kobieca intuicja — to wszystko codzienne przykłady tego ukrytego talentu. Owszem, tylko niewielka liczba osób jest prawdziwie uzdolnionych tak jak ty. Ale nie ma w tym żadnej twojej zasługi. To po prostu coś, z czym się urodziłeś.

Pomimo iż były między nimi tarcia, potrzebowali siebie nawzajem. Gabrielowi niezbędna była pomoc nauczyciela, by mógł w jakiś sposób okiełznać swój całkowicie nieprzewidywalny talent. A jeśli nawet Mullins miał pewne wątpliwości co do swego ucznia, to i tak był bardzo zadowolony z niezmiennie wysokiego poziomu jego osiągnięć podczas tego pierwszego roku szkolenia. W ciągu wszystkich lat

swoich badań, Mullins nigdy nie natknął się na kogoś, kto byłby do tego stopnia niezawodny.

Fascynowała go zwłaszcza wszechstronność Gabriela. Większość daleko widzących preferowała jeden konkretny sposób kognicji, i stosowała go prawie zawsze. Niektórym lepiej wychodziło szukanie celu w stanie pełnej świadomości, inni niezdolni byli do aktywności parapsychicznej, jeśli nie posługiwali się snami — czasem ich znaczenie było wyraźne, czasem zawoalowane. Jeszcze inna grupa wprowadzała się w stan głębokiej medytacji. Jedni odnosili większe sukcesy w odkrywaniu i opisywaniu znaków szczególnych terenu, przedmiotów i kształtów geometrycznych; inni woleli skupiać się na uczuciach i myślach konkretnych ludzi. Gabriel zaś nie wykazywał specjalnych preferencji dla żadnego z poszczególnych rodzajów kognicji, i z równą łatwością opisywał obrazy wizualne, jak stany emocjonalne.

Po dwunastu miesiącach eksperymentów, testów na „podwójną ślepotę”, „pracy ze snami”, „filtrowania” i innych, Gabriel zostawił resztę klasy daleko w tyle i zaczął się niecierpliwić. Chciał wziąć się do pracy i zabrać za rzeczywiste problemy, a ostrożność mistrza go drażniła.

— Na co on czeka, do diabła? — skarżył się Frankie. — Przecież ty pracujesz już nad prawdziwymi sprawami, a nie chcę być zarozumiałą, skarbie, ale jestem w tym lepszy od ciebie.

— O, dzięki.

— Daj spokój, Frankie. Za bardzo cię kocham, żeby wciskać ci jakieś kity. Wiesz, że to prawda.

Frankie westchnęła.

— Okej. Spróbuję przekonać Alexandra, żeby cię włączył do zadań.

— Zrób to — przytaknął Gabriel żarliwie. — Staruszek ma do ciebie prawdziwą słabość. Poślij mu ten twój zabójczy uśmiech i potrzepocz trochę rzęsami, co?

— Czasami, Gabrieliu — powiedziała Frankie — potrafisz być totalnym dupkiem.

Ale mimo wszystko udało jej się przekonać Mullinsa, by pozwolił Gabrielowi pomóc w niektórych stosunkowo prostych przypadkach. Była wśród nich sprawa odzyskania skradzionego konia z okresu dynastii Qing. Było śledztwo w sprawie zagubionego manuskryptu. Innym razem on i Frankie współpracowali z doświadczonym daleko widzącym, by odnaleźć miejsce pobytu sprawców jakiegoś internetowego przekrętu.

Oczywiście nie zawsze im się udawało. Dalekowidzenie było czystą energią. Okiełznanie jej przypominało nawlekanie igły w oku cyklo-nu. Żeby znaleźć konkretne dane, takie jak dokładne adresy, nie wystarczyło zajrzeć do książki telefonicznej. Co więcej, dalekowidzenie często było niezbyt przyjemne. Daleko widzący nazywali proces widzenia „zjazdami”, a zjazdy te często prowadziły do wnętrza cudzego umysłu. Nie zawsze było to ciepłe i przytulne miejsce.

Nie żeby Gabriel hołdował obrazowi udręczonego medium, bez przerwy zdanego na łaskę swego mrocznego daru. Nie był żadną ofiarą — był wojownikiem. Dreszczyk podniecenia zaś po każdym sukcesie był jak narkotyk. Gabriel uzależnił się od samozadowolenia, jakie towarzyszyło każdemu zjazdowi.

Jego życie było pod pewnymi względami schizofreniczne. Z jednej strony Oksford, studia i przyjaciele, zarwane noce w bibliotece, egzaminy, tutorzy, wspólne zakuwanie, „wyścigi łodzi” w pubie. Z drugiej strony Eystorm. Jedyne łącznik między tymi dwoma światami stanowiła Cecily Franck. Fakt, że oboje prowadzili jakby podwójne życie, w nieunikniony sposób pogłębił więź między nimi. Był to ekscytujący czas.

I wtedy pojawiła się sprawa Cartwright.

Sześć tygodni później Gabriel opuścił Eystorm, wyjechał z Oksfordu i rozpoczął nowe życie w Londynie.



Data wpisu: 28 maja

Ostatniej nocy śniłam o R. Uśmiechał się do mnie, a jego dłonie sięgnęły po moje. Myśl, że nigdy już nie zobaczę tego jego uroczego, anielskiego uśmiechu, jest tak bolesna, że czasem czuję, jakbym traciła zmysły.

M. traci do mnie cierpliwość. Uważa, że tkwię w przeszłości — „plawię się”, jak to ujmuje. Może ma rację: nasza praca jest przecież tak ważna. Trzeba ją kontynuować. Jednak ciężko mi na sercu. Gdzie znajdziemy kogoś takiego, jak mój słodki chłopiec? Kogoś, kto szuka nowych wyzwań, a nie nowych przyjemności. Poszukiwacza. Kogoś zupełnie innego od wszystkich.

Tak czy inaczej w zeszłym tygodniu zrobiliśmy kolejny pokój. Zamieszka w nim mężczyzna o głowie pawiana. Tot. Bóg magii i pisma. Alchemii, arytmetyki i astrologii.

Muszę pomedytować nad moim imieniem.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Gabriel wiedział, kto stał po drugiej stronie drzwi, zanim jeszcze je otworzył. Czekał na nią od czasu spotkania z Williamem Whittingtonem trzy dni temu, lecz nagle poczuł się zupełnie nieprzygotowany. Trzydzieści lat. Dla każdego byłby to długi okres.

Znowu przycisnęła dzwonek.

Gdy tylko Gabriel otworzył drzwi, natychmiast poczuł zapach jej perfum. Jaśmin, cynamon i sugestia jakiegoś bardziej egzotycznego kwiatu. Jej gust się zmienił. Kiedyś wołała lżejsze, bardziej leśne zapachy. Lecz jej oczy wciąż były takie same. Te jasne, szare oczy, osadzone pod delikatnymi brwiami, które wyglądały jak skrzydła ptaka w locie. Cecily Franck. Nie, nie Franck. Whittington. A mówiąc dokładnie — pani Williamowa Whittingtonowa Trzecia.

— Gabriel. — Uśmiechnęła się do niego ostrożnie. Przez chwilę myślał, że wyciągnie do niego dłoń, ale Frankie nachyliła się i musnęła wargami jego policzek.

— Nie zaprosisz mnie do środka? — Uśmiechnęła się znowu i tym razem uśmiech był nieco śmielszy, chociaż w jej oczach wciąż widać było czujność.

Gabriel odsunął się o krok i otworzył szerzej drzwi. Frankie minęła go i weszła do pokoju.

— O! — W jej głosie brzmiało zaskoczenie. Rozejrzała się dookoła, ogarniając wzrokiem mieszkanie i niebo za oknami, rozświetlone blaskiem lamp. — Jak tu pięknie.

— Dziękuję. Pozwól, że wezmę twój żakiet.

Odwróciła się i zsunęła żakiet z ramion. Materiał zaszeleścił kosztownie. Miała na sobie zwodniczo prostą sukienkę, ale widać było, że zaprojektowanie jej i uszycie było bardzo pracochłonne.

Gabriel wskazał gestem sofę.

— Proszę.

Frankie przysiadła na samej krawędzi, lecz po chwili, prawdopodobnie zdając sobie sprawę, że wyglądała w ten sposób na bardzo spiętą, odsunęła się głębiej na poduszki.

— Mogę zaproponować ci coś do picia?

— Sherry. Jeśli masz.

Gabriel podszedł do barku i wyjął kieliszek oraz butelkę bardzo wytrawnego amontillado. Kolejna zmiana. Kiedyś nigdy nie piła. Cóż, bez wątpienia wszystkie te koktajlowe przyjęcia i wytworne imprezy, które stanowiły część jej nowego życia, wymagały zmiany na coś nieco bardziej wyrafinowanego niż sok pomarańczowy.

Wzięła od niego kieliszek. Zauważył, że nie nosiła żadnych pierścionków. Światło stojącej lampy nadawało jej brązowym włosom złocisty połysk. Gabriel usiadł w głębokim skórzanym fotelu, który stał w cieniu, poza kręgiem światła.

Marszcząc lekko brwi, Frankie wpatrywała się w bursztynowy płyn w kieliszku. Patrząc na nią Gabriel był zaskoczony swoją obojętnością. Przecież kiedyś kochał tę kobietę. I nie tylko to — była jego pierwszą miłością. A skoro stara miłość nie rdzewieje i tak dalej, to powinien w końcu coś poczuć, przynajmniej puls mógłby mu przyspieszyć. Zamiast tego Gabriel siedział sobie z umysłem spokojnym jak u buddysty i spokojnie bijącym sercem. Niesamowite.

— Dobrze wyglądasz, Gabrielu. Prawie się nie zmieniłeś.

— Dzięki.

— Wiesz, wypadaloby odpowiedziec czymś podobnym. — Frankie uśmiechnęła się słabo. — Tego wymaga uprzejmość.

— A tak, wybacz. Wyglądasz świetnie — w gruncie rzeczy była to prawda. Twarz Frankie była dojrzała, a ona sama straciła dziewczęcą pulchność, którą miała w wieku dwudziestu lat. Wyglądała na elegancką oraz zadbaną, i sprawiała wrażenie kobiety pewnej siebie i swoich zdolności.

Stała się kimś obcym.

— Nieźle się urządziłeś. — Rozejrzała się dookoła.

— Ty również.

Frankie zarumieniła się, słysząc w jego głosie ironię.

— Poznałeś Williama. To niezwykle człowiek.

— Istotnie. Ile ma lat?

Rumieniec się pogłębił.

— Sześćdziesiąt trzy.

Gabriel uniósł brwi.

— Cóż. Dobrze wygląda jak na swój wiek.

— Prawda? — Teraz w głosie Frankie pojawiło się coś, czego Gabriel nie rozumiał, ale nie bardzo go to obchodziło. Pora przejść do rzeczy i zakończyć to wszystko.

— Po co tu przyszedłeś, Frankie?

Postawiła kieliszek na stoliku przy sofie i spojrzała na niego spokojnie.

— Dobrze wiesz, po co tu przyszedłam.

— Przysłał cię twój mąż.

— Nie. — Frankie wzruszyła ramionami. — To była moja decyzja. Ale owszem, jestem tu w jego imieniu.

— Dlaczego od razu sama się do mnie nie odezwałaś?

— Pomyśleliśmy, że sprawa zainteresuje cię bardziej, jeśli uznasz ją za czysto finansowy układ. Gdybyś dał mu szansę, William wyjaśniłby, że bardzo by ci się to opłacało — przerwała. — Mam nadzieję, że cię nie obrażam.

— Pieniądze nigdy mnie nie obrażają.

Na jednym policzku miała maleńki pieprzyk. Gabriel dobrze go pamiętał. Frankie zobaczyła, jak mu się przyglądał, i odruchowo

podniosła rękę do twarzy. I w tym jednym, trochę niezręcznym ruchu, Gabriel zobaczył nagle dawną Frankie. Nieśmiała, lecz zdeterminowaną dziewczynę, której uśmiech wystarczył, by zaczęło mu się kręcić w głowie. Kiedyś tak mocno w niego wierzyła — dzięki temu czuł się, jakby miał trzy metry wzrostu. Aż do dnia, kiedy na jej twarzy pojawiła się pustka rozczarowania. Rozczarowania nim... mężczyzną, którego miała kochać niezależnie od wszystkiego.

Gabriel wciągnął głęboko powietrze, odwrócił wzrok.

— Powinniście iść na policję. Zaginione osoby to ich działka.

— Policja się poddała. Nie przyznają się do tego, oczywiście. Ale to widać. I zdaje mi się, że ich zdaniem Robbie nie tyle zaginął, ile chciał zaginać.

— Dlaczego?

— Relacje między nim a Williamem były raczej... trudne. Robbie już raz przedtem uciekł — William odnalazł go w końcu w jakiejś komunie w Kalifornii. Coś jakby kryjówka wyznawców New Age, gdzie dzień zaczyna się od grupowego uścisku, a ludzie hodują trawkę i wypłatają koszyki. Wiesz, co mam na myśli. To było trzy lata temu.

— Więc dlaczego sądzicie, że tym razem go tam nie ma?

— Bo nie ma.

Na ulicy ktoś niecierpliwie nacisnął klakson. Dźwięk był ostry, drażniący.

Gabriel pochylił się do przodu i uśmiechnął do Frankie.

— A więc tatuś i jego mały chłopiec się nie dogadują.

— Można tak powiedzieć. — Teraz w jej oczach pojawiła się wrogość. Wyraźnie nie podobał jej się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa.

— Pozwól, że zgadnę. Dziedzic nie spełnia oczekiwań. Za wysoko ustawiona poprzeczka. Zbyt wysokie oczekiwania ze strony ojca?

Frankie nie odpowiedziała, ale Gabriel wyczuł, że trafił w dziesiątkę.

Kiedy ponownie się odezwała, wyraźnie było słychać, że stara się mówić spokojnie.

— Nie przyszląbym do ciebie, gdyby był jakikolwiek inny wybór. Proszę cię o pomoc... przez wzgląd na dawne czasy.

Wzgląd na dawne czasy? Boże, co za banał. Co za pieprzone bzdu-ry. I nagle Gabriel poczuł złość. Jego spokój zniknął. Oddychał szybko i wiedział, że poczerwieniał na twarzy.

— Któregoś dnia zostaniesz bogatą wdówką. Bez syna wszystko będzie o wiele mniej skomplikowane, kiedy przyjdzie do testamentu. Pomyślałaś o tym?

— Jezu. — Skrzywiła się. — Co się z tobą stało, do cholery?

Gabriel podniósł się, ruchem tak gwałtownym, że aż drgnęła.

— Dobra. Dość tego. Nie mogę pomóc twojemu mężowi. Nie w sposób, na który liczycie. Ty powinnaś to najlepiej rozumieć ze wszystkich.

— On jest umierający.

— Co?

— William. Jest umierający.

Gabriel utkwiał w niej wzrok. Jego umysł odmawiał przetrwania tego, co powiedziała.

— Jak to umierający?

— Po prostu. Jeszcze rok, w najlepszym razie osiemnaście miesięcy. — Twarz Frankie była upiornie spokojna. Dłonie miała zaciśnięte tak mocno, że widać było żyły na nadgarstkach. — William chce pogodzić się z synem. Jak możesz sobie wyobrazić, stało się to dla niego dość palącą kwestią. Moim zdaniem nie będzie to możliwe. Moim zdaniem Robbie nie żyje. Właściwie jestem tego prawie pewna.

Gabriel usiadł ciężko. Jego uwaga o bogatej wdówce nagle wydała się niewiarygodnie prostacka.

— Jeśli on nie żyje, Frankie, to czego się po mnie spodziewasz?

— Chcę, żebyś się dowiedział, co się z nim stało. Chcę, żeby Wil-
liam wiedział, dlaczego jego jedyne dziecko zniknęło. Ja nie potrafię

dać mu tej pewności. Żałuję tego. Ale ty możesz to zrobić. Masz dar.

— Ty także go masz.

— Nie, ja mam pewną skłonność, to wszystko. Ty masz płomień. A ja nie.

Gabriel nie zaprzeczył: to, co powiedziała, było prawdą. Jej zdolności dalekowidzenia były dostatecznie duże, żeby przyjęto ją do Eye-stormu, i Frankie ciężko pracowała, by wzmocnić ten wrodzony talent. Ale praktyka, umiejętności i dyscyplina mogą wyćwiczyć umysł tylko do pewnych granic. Pomimo zapewnień Alexandra Mullinsa, że dalekowidzenie to po prostu ukryty zmysł, który można udoskonalić i rozwinąć za pomocą ciężkiej pracy i praktyki — jak wyrabianie w sobie refleksu czy uwrażliwianie nosa na zapach wina — każdy daleko widzący wie, że w końcu nadchodzi punkt, w którym dalekowidzenie staje się nie tylko nauką, ale także sztuką. Była to kapryśna energia. Rozbłyśki złudnych błyskawic, które rozświetlały ciemną stronę umysłu. Niektórym zjazdy wychodziły lepiej od innych.

— Zakładam, że próbowałaś go sama zlokalizować.

— Oczywiście. — Frankie kiwnęła energicznie głową. — I dlatego właśnie myśle, że on nie żyje.

— Nic nie wyczułaś.

— Totalna porażka. Żadnego zjazdu. A znałam go bardzo dobrze. Zanim się wyprowadził, mieszkaliśmy w tym samym domu prawie przez rok.

Gabriel wiedział, że kognicja Frankie zależała w dużym stopniu od osobistego podejścia. Aby pozyskać za pomocą umysłu jakiegokolwiek dane, musiała nawiązać z obiektem jakąś emocjonalną więź. Im więcej wiedziała o czyichś uczuciach i emocjach, tym większe było prawdopodobieństwo, że uda jej się odkryć coś przez dalekowidzenie. Skoro więc mieszkała ze swym zaginionym pasierbem pod jednym dachem, to ta osobista sieć, na którą musiała się „przełączyć”, już istniała. Jeśli Frankie w ogóle nie wyczuwała Roberta Whittingtona, to nie

zapowiadało się dobrze. Niestety, znaczyło to że prawdopodobnie, miała rację. Wszystko wskazywało na to, że chłopak nie żył.

Frankie sięgnęła po torebkę. Otworzyła ją, wyjęła ze środka brązową kopertę, z koperty zaś fotografie.

— To on. Robbie.

Twarz na zdjęciu była młoda i przystojna. Gęsta strzecha włosów tworzyła nad wysokim czołem masę lśniących loków. W kształcie oczu i nosa młodego Whittingtona Gabriel dostrzegł ślady ostrości Williama, ale na tym kończyło się podobieństwo między ojcem a synem. Usta Roberta były miękkie, a podbródek zaokrąglony. I te oczy. Boże, jego oczy miały wstrząsająco bezbronny wyraz. Co za niewinność. Gabriel nie pamiętał, kiedy ostatni raz widział taką ufność i akceptację w spojrzeniu kogoś, kto miał więcej niż trzy lata.

— Zrobisz to...? — Frankie nie dodała słów „dla mnie”, ale zawisły one w powietrzu tak wyraźnie, jakby wypowiedziała je na głos.

Gabriel nie odpowiedział. Delikatnie położył fotografię na podłokietniku fotela i odsunął ją od siebie.

Frankie opuściła kąciki ust i przymknęła na chwilę oczy. Potem, jednym szybkim i pełnym gracji ruchem, podniosła się. Jej głos brzmiał oficjalnie.

— Mogę prosić o mój zakiet?

Gabriel w milczeniu pomógł jej go włożyć. Otworzył drzwi.

— Do widzenia, Frankie.

Przystanęła w półobrocie, z ciałem skierowanym ku drzwiom i głową przechyloną na bok.

— Do diabła z tobą. — W jej głosie nie było żadnej pasji.

— Frankie, daj spokój...

— Kocham swojego męża. Zrobiłabym wszystko, by przywrócić jego życiu choć trochę spokoju. Błagam cię, Gabrielu. Chociaż raz, ten jeden raz, pomyśl o kimś poza sobą. Zawsze wykorzystywałeś zjazd tylko dla własnych samolubnych celów.

Gabriel zaczynał wpadać w złość.

— Możesz sobie tak mówić...

— Mogę tak mówić, ponieważ to prawda. Alexander miał rację. Życia, które ocaliłeś, dobro, które czyniłeś, wszystko to było przy okazji. Chodziło tylko o ciebie i zjazd. I z powodu jednego nieudanego zjazdu postanowiłeś rzucić to jak jakiś znoszony but, który już się do niczego nie nadaje — odwróciła się i stanęła przodem do niego. — Wiesz, jaka byłam o ciebie zazdrosna w Eyestormie? Szokuje cię to? Słodka mała Frankie zazdrosna o mężczyznę, którego kochała? To masz niespodziankę. Były chwile, kiedy zazdrość dosłownie mnie zżerała. Zjeżdżałeś sobie tak pięknie, z taką łatwością, i z kompletnym lekceważeniem.

To go ubodło.

— Nigdy tego nie lekceważyłem.

— Byłeś arogancki. A co do całej naszej reszty... w głębi serca nami pogardzałeś. Dla ciebie byliśmy tylko zgrają zawziętych miernot.

Wpatrywał się w nią oniemiały. Wściekłość w jej oczach uderzała go z niemal fizyczną siłą.

— Dlaczego postanowiłeś odejść, Gabrielu? — Frankie pochyliła się do przodu i stanęła na czubkach palców, tak że jej twarz znalazła się niemal na poziomie jego twarzy. — Czy naprawdę odszedłeś z powodu Melissy Cartwright, czy też po prostu twoja duma została zraniona tak głęboko, że nie mogłeś znieść możliwości kolejnej porażki?

— Wynoś się. — Gabriel opuścił wzrok na swoje dłonie. Drżały. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. — Wynoś się.

W oczach Frankie nagle pojawił się ból.

— Gabrielu, przepraszam...

— Po prostu wyjdź... proszę.

Podniosła dłoń, jakby chciała położyć mu ją na ramieniu.

— Jeśli zmienisz zdanie... — urwała niepewnie — mój numer telefonu jest na odwrocie zdjęcia.

Nie odpowiedział. Po krótkiej chwili Frankie opuściła rękę, i

odwróciła się od niego. Odeszła ciężkim krokiem. Na zakręcie korytarza przystanęła i Gabriel pomyślał, że obejrzy się w jego stronę. Ale wtedy ruszyła dalej i zniknęła mu z oczu.

Naraz Gabriel poczuł śmiertelne znużenie. Spróbował oczyścić umysł, odciąć się od sceny, której właśnie był uczestnikiem; od emocji, które wysysały z niego energię i spokój ducha. Melissa Cartwright. Popielatoblond włosy i fiołkowe oczy. Była śliczna. To znaczy za życia.

Nie. Przestań. To do niczego nie prowadzi. Potrzebował tylko odpoczynku. Snu. A jutro wstanie i jego życie potoczy się dalej jak przedtem. Gabriel lubił je takie, jakie było. Ciężko nad nim pracował. Nie było w nim miejsca na upiory przeszłości.

Właśnie miał zgasić światło, kiedy jego wzrok padł na fotografię Roberta Whittingtona leżącą na oparciu fotela. Zawahał się przez chwilę. Potem jednak wcisnął gwałtownie wyłącznik i pozostawił młodzieńczą twarz o absurdalnie bezbronnych oczach, by patrzyła łagodnie w ciemność.



Data wpisu: 3 czerwca

Najwyższa pora skończyć żałobę. R. odszedł.

Czas znów wziąć się w karby. Zabrać się do pracy.

Co nadaje życiu sens? Czym jest pasja? To były pytania, na które próbował odpowiedzieć R.

Był poszukiwaczem. Pomagaliśmy mu w jego podróży. Pozwoliłyśmy mu uczestniczyć w grze. Wzniosła gra: boski eksperyment, który pomógłby mu znaleźć odpowiedzi, których szukał. Lecz ostatecznie światło okazało się dla niego zbyt silne. Nie potrafił przebyć tej drogi.

Odszedł.

M. ma rację: nie powinniśmy czuć się winne. Człowiek rodzi się, by eksperymentować. A jeśli eksperyment zakończy się chwalebą porażką — cóż, lepsza już porażka niż życie, które miałyby się potem okazać wyłącznie rozczarującym przypadkiem.

Znów czuję się silna. A jeśli nie szczęśliwa, to przynajmniej szczęśliwsza. Owszem, brakuje mi R. Brakuje mi człowieka, który trzymał mnie za rękę, kiedy patrzyliśmy, jak topnieje ocean. Jak płoną skały. Ale w moim sercu znowu są maki o jaśniejących oczach. Mimo że nie znalazł tego, czego szukał, wierzę, że mój R. nie przerwał podróży, że jego stopy wciąż szukają ścieżki, która wiedzie prosto do celu.

Muszę pomedytować nad moim imieniem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

— Uważaj!

Gabriel zahamował gwałtownie. Jakiś otyły mężczyzna z przyciśniętą do brzucha paczką wszedł na ulicę tuż przed jego samochodem. Gabriel zatrąbił głośno. Otworzył okno i krzyknął na niego, czerpiąc pewną satysfakcję z widoku bladej, przestraszonej twarzy.

— Idiota! — Zamknął okno i nacisnął pedał. Samochód szarpnął, co nie poprawiło nastroju Gabriela. Po chwili stanął.

— Kurde!

Gabriel miał ochotę w coś walnąć. Kątem oka widział, jak Izydor mu się przygląda.

— Co jest, stary?

Gabriel wzruszył ramionami. Wiedział, że od kilku dni jego cierpliwość była na wyczerpaniu i nie było możliwości, żeby Izydor tego nie zauważył. Zwłaszcza że sam nie raz padł ofiarą jego nerwów.

— Wiem, w czym rzecz. — Izydor pokiwał głową ze zrozumieniem. — Wciąż myślisz o tej kobiecie.

Gabriel skrzywił się. Tydzień temu powiedział Izydorowi o wizycie Frankie w nagłym i nieoczekiwanym przyplywie zwierzeń, wywołanym trzema wysmienitymi butelkami wina Baroness Nadine. Wszystko po prostu się z niego wylało.

Frankie. Eyestorm. Zaginiony dziedzic. O ile sobie przypominał, zupełnie się rozkleił — chociaż alkoholowa mgielka, która spowijała wydarzenia tamtego wieczoru, sprawiała, że wspomnienia z rozmowy nie były zbyt ostre. Wtedy wyrzucenie z siebie emocji było jak katharsis, lecz teraz Gabriel tego żałował. Czuł, że Izidor umiera z ciekawości, ale nie chciał znowu mówić ani myśleć o tamtej części swojego życia. Na nic mu były stare wspomnienia, od których tylko się rozklejał. I nie powiedział Izidorowi o sprawie Cartwright. Nawet tuzin butelek wina nie skłoniłby Gabriela, by zaczął o tym mówić.

Melissa Cartwright. Przez lata usiłował o niej nie myśleć. A jednak nigdy nie odeszła, prawda? Zawsze była w pobliżu: eteryczna istota, przechadzająca się po jego podprogowej jaźni.

Izidor odezwał się od niechcienia:

— Moim zdaniem twój problem polega na tym, że jakaś część ciebie naprawdę chce to zrobić.

— Co zrobić, na litość boską? — Gabriel przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zawarczał leniwie i samochód w końcu zapalił.

— Pomóc jej. Pomóc jej i jej staruszkowi odnaleźć syna.

— Mylisz się. Nie mam najmniejszej ochoty się w to angażować. A poza tym już ci mówiłem. Nie robię już zjazdów. Nie zajmuję się już dalekowidzeniem.

— Skoro tak mówisz... — Jego ton sprawił, że Gabriel rzucił na niego okiem. Izidor zaciskał usta w bardzo irytujący sposób.

— Co to, do diabła, miało znaczyć?

Izidor porzucił na chwilę slang.

— Och, daj spokój, Gabrielu. Bądź uczciwy. Naprawdę mam uwierzyć, że ten twój dar ani trochę nie pomaga ci w hakowaniu? Właściwie, wyjaśniałoby to wiele rzeczy, które zawsze mnie zastanawiały.

— Pleciesz. — Gabriel ostro szarpnął kierownicą i jaguar cudem wyminął szalonego motocyklistę z kompleksem samobójcy. — A w ogóle to zmienię temat, dobrze?

Izydor jednak ciągnął niewzruszenie:

— Tamtej nocy po naszej rozmowie poszperałem trochę w Internecie. Wiedziałeś, że grupa dalekowidzących w Stanach przewidziała wydarzenia z 11 września, zanim do nich doszło?

Zamieścili nawet w sieci rysunek samolotu rozbijającego się o jedną z wież i wysłali do FBI list otwarty z ostrzeżeniem, że coś takiego się stanie. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Stary, to naprawdę ekstra-szajs.

Gabriel nie odpowiedział. Wiedział o tym incydencie i zdawał sobie sprawę, że wiele organizacji daleko widzących w Stanach prześcigało się teraz w próbach przyszpilenia działaczy al Kaidy. Mówiło się nawet, że z niektórymi z tych grup regularnie konsultowało się CIA. Gabriel wątpił jednak w skuteczność działania tej rzeszy nowych, komercyjnych daleko widzących. Zbyt często wyciągali oni pochopne wnioski, które w Eyestormie nauczono go odrzucać. Owszem, Eyestorm także był grupą do wynajęcia, ale fanatycznie trzymał się zasad ustalonych przez amerykańskie wojsko w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. A zasady te były wyjątkowo surowe.

Izydor znowu coś mówił.

— Jednego tylko nie rozumiem. Ten Robert Whittington. Powiedzmy, że koleś naprawdę nie żyje. Więc jak możesz go namierzyć czy wyśledzić, czy jak to tam się mówi? Znaczy się... przecież jest martwy, prawda?

— To, co myślał w chwili śmierci, może wciąż rezonować w przestrzeni psi.

— Rezonować w przestrzeni psi. Czad. Nie mam pojęcia, co to znaczy. Ale brzmi ekstra.

— Miło mi, że ci się podoba.

— Więc jak to działa? Będziesz mógł spojrzeć przez oczy tego koleśia? No wiesz, w tym momencie, kiedy ktoś poderznął mu gardło albo spalał go na śmierć czy coś?

— Izydor, cholera. Nigdy nie miałem cię za wampira.

— Dobra, wybacz. Ale wiesz, o co mi chodzi? Będziesz w stanie odczytać jego ostatnie myśli, zanim umarł?

— Jeśli zdecyduję się do nich sięgnąć, to owszem.

— Więc będziesz mógł zobaczyć, kim był zabójca.

— Och, na litość boską. Ten dzieciak może nawet wcale nie umarł. Pewnie siedzi gdzieś na Goa, paląc hasz i próbując wyzwolić się z więzów cielesności.

— Tamtej nocy mówiłeś coś innego. Mówiłeś, że jeśli Frankie nie była w stanie go wyczuć, to biedak pewnie już wykitował. Tak właśnie powiedziałeś.

Gabriel nie odpowiedział. Gwałtownie zahamował.

— Tam masz metro. Wysadzę cię tutaj. Weź się za tę antenę dla Pittypatsa i porozmawiamy jutro, okej?

— W porządku — powiedział Izydor, niezrażony jego groźną miną ani szorstkim tonem. Gabriel obserwował we wstecznym lusterku, jak jego tyczkowata postać oddala się od samochodu i znika na schodach do metra. Westchnął i puścił sprzęgło. Izydor był prawdopodobnie jedynym człowiekiem, którego naprawdę uważał za przyjaciela. Co nie zmieniało faktu, że czasem miał ochotę go udusić.

Dotarcie do domu zajęło mu kolejne piętnaście minut. Zaparkował jaguara w podziemnym garażu i wjechał windą do apartamentu na ostatnim piętrze. Zwykle poszedłby schodami, ale dzisiaj po prostu nie mógł się do tego zmusić. Właściwie w ciągu ostatnich kilku dni wszystko wymagało większego wysiłku. Jakby na potwierdzenie tych obaw Gabriel kichnął potężnie i poczuł w głębi gardła podejrzanę drapanie. Cholera. Tylko tego mu brakowało. Przeziębienia.

Otworzył drzwi wejściowe i rzucił klucze do ręcznie rzeźbionej misy na owoce z Ghany, którą nabył na aukcji w Sotheby zaledwie miesiąc temu. Kupił ją pod wpływem chwili. I pewnie jeszcze przeplacił. Markotnie podniósł plik nieotwartych listów, które czekały na niego na stole. Od ponad tygodnia nie sprawdzał korespondencji.

Trafił na nie podczas przeglądania kopert — zdjęcie Roberta Whittingtona. Nie pamiętał, żeby kładł je razem z pocztą, ale jednak leżało tam, wsunięte między rachunek od dentysty a przypomnienie, że

kończy mu się prenumerata magazynu „Smakosz”.

Wciąż trzymając fotografię, usiadł powoli na zwróconym do okna fotelu. Ten dzieciak miał naprawdę niezwykle bezbronną twarz; jak gdyby był otwarty na wszystko, co mogło go spotkać. I ten wyraz jego oczu: żadnej zarozumiałości ani pozowania. Gabriel przypomniał sobie chłodną pewność siebie jego ojca, ten lekko ironiczny dystans, z jakim Whittington senior zdawał się patrzeć na świat. O tak, potrafił sobie wyobrazić spięcia między nimi.

Ziewnął i opuścił dłoń na uda. Zdjęcie tkwiło luźno między jego palcami. Nagle poczuł senność. Słońce wpadające przez okno grzało przyjemnie. Gabriel zastanawiał się, jakiego koloru były oczy Roberta Whittingtona: na zdjęciu nie było tego widać. Ciemnoszare albo może niebieskie...

Lniane zasłony po obu stronach okna uniosły się i wydeły. Zerwała się bryza. Gabriel tylko do pewnego stopnia zdawał sobie z tego sprawę. Znalazł się między jawą a snem.

Coś w jego umyśle przeskoczyło. Otworzyła się brama jego wewnętrznego oka.

Na pewnym poziomie świadomości Gabriel wiedział, że właśnie rozpoczął zjazd, że jego umysł ruszył w podróż, ale ciało pozostało na miejscu. Lecz jak zawsze, kiedy szykował się do zjazdu opartego na tak szczegółowych informacjach, zaczął gwałtownie tracić kontakt z człowiekiem, który spoczywał teraz w fotelu z nogami wyciągniętymi do słońca. W jednej chwili był jeszcze świadom tego, że siedzi z głową lekko odchyloną do tyłu, z całkowicie rozluźnionymi członkami, i patrzy w sufit niewidzącymi oczyma. Po chwili znajdował się już w jakimś małym pokoiku, zwrócony twarzą do zamkniętych drzwi.

Kiedy położył rękę na masywnej framudze, zauważył, że jego dłoń była wąska, a palce długie i szczupłe. Była to męska dłoń, lecz nie należała do niego. Gabriel patrzył teraz cudzymi oczami.

Znajdował się w czymś umyśle.

W tym momencie zerwała się ostatnia wątpia nić łącząca jego własny umysł z umysłem, do którego się dostał, i Gabriel przeszedł na drugą stronę — całkowicie pogrążając się w myślach drugiego człowieka.

*

Drzwi, które miał przed sobą, zrobione były z ciężkiego drewna. Było ono pociemniałe ze starości.

Na drzwiach umieszczony był herb. Koło nad krzyżem. Wzór był dziwnie nowoczesny: wyglądał niemal jak symbol kobiecości. Krzyż i koło ujęte w płatki rozkwitłej róży.

Znak był znajomy. Dobrze go pamiętał. Zbadał go przecież ze szczegółami. Monas. Czuł, jak narasta w nim podniecenie.

Nie widać było żadnej klamki, lecz kiedy oparł się o drzwi, te otworzyły się bezszelestnie. Przeszedł nad wysokim progiem do wnętrza wąskiego pokoju. Wydawało się że sufit jest oszłamiamjąco wysoko. Ściany zastawione były półkami, na których aż po krokwie ustawione były książki. W tej zamkniętej przestrzeni pachniało starym, zapleśniałym papierem i nadgniłymi skórzanymi okładkami.

Jakimś sposobem znał dokładne wymiary tego pokoju. Trzydzieści osiem kroków na szesnaście. Dziwne, że to wiedział.

Cichy odgłos sprawił, że podniósł głowę. Wysoko ponad nim, przycupnięty ostrożnie na szczycie niewiarygodnie wysokiego regału, siedział kruk. Był duży, a jego fosforyzujące pióra lśniły zielenią i czernią. Przez chwilę przypatrywali się sobie nawzajem. Kruk poruszył się w miejscu, uniósł jedno skrzydło. Za nim, na ścianie, jego cień drgnął niczym niespokojny duch.

Oderwał wzrok od ptaka i ruszył dalej. Nie mógł tracić tu czasu. Przed nim znajdowało się dwoje drzwi. Wiedział, nawet bez zastanowienia, że powinien wyjść z pokoju przez drzwi po prawej stronie. Idąc w ich kierunku, zdawał sobie sprawę, że kruk podąża za nim, frunie za jego ramieniem.

Korytarz. I jeszcze więcej drzwi. Cały szereg. Musiał podjąć decyzję, ale które to miały być? Siódme czy szóste?

Myśl. To ważne. Przypomnij sobie. A tak. Siedem drzwi w dół i na prawo. Jego stopa idealnie pasowała do wgłębienia na pojedynczym kamiennym stopniu, który prowadził do przejścia. Drzwi otworzyły się z cichym trzaskiem.

Znalazł się w sali balowej, ta zaś wypełniona była motylami. Całe miliony motyli monarchów, których drżące skrzydelka oślepiały jego oczy.

Jednak nie wolno mu było pozostać dłużej w tym pięknym miejscu. Musiał iść dalej. Miał do otworzenia jeszcze setki drzwi. Tysiące.

Miliony.

Pamiętaj o porządku miejsc, porządku rzeczy. I oto znalazł się przed kolejnymi drzwiami, które miały umożliwić mu kontynuację wędrówki. Wiedział bez patrzenia, że w górze za nim znajdował się kruk sunący cicho jego śladem.

Powoli ruszył do przodu, ostrożnie wybierając drogę wśród chmury bursztynowych skrzydeł. Bez wahania otworzył znajdujące się na wprost niego środkowe drzwi.

W miarę jak przechodził z pokoju do pokoju, w jego piersi narastała ekscytacja. Zmierzał prosto do celu. Jego pamięć działała tego dnia doskonale, dzięki czemu za każdym razem wybierał właściwe drzwi. Porządek miejsc, porządek rzeczy. Znał tę formułkę na pamięć, a jego wędrówka przebiegała bezbłędnie. Obejrzał się i poszukał wzrokiem kruka, swojego towarzysza, który wciąż leciał z tyłu, wpastrując się w niego oczami czarnymi jak węgle.

Drżącymi palcami otwierał jedno drzwi po drugim, przenosił się z jednej fantastycznej przestrzeni do następnej. W miarę, jak każde wybrane przez niego przejście okazywało się tym właściwym, zaczynał czuć się coraz bardziej pewnie. Tym razem mu się uda, nie miał żadnych wątpliwości. Był nieomylny, niezwyknięty. Ogarnęła go ogromna fala uniesienia, podniecenie tak wielkie, że jego krew zdmuchiwała się buzować.

Oczywiście nie każde drzwi otwierały się na pokój pełen pięknych motyli. W niektórych pomieszczeniach znajdowały się przedmioty i postaci, które — nawet po tak długim czasie — wciąż budziły w nim niepokój. Były tam maleńkie pokoiki z tkwiącymi w suficie bezrzęsymi oczami. Wielkie rozbrzmiewające echem przestrzenie wypełnione olbrzymimi szklanymi kulkami, które wydawały ogłuszające dźwięki, przetaczając się z rogu do rogu. Pokój wypełniony setkami tykających chaotycznie zegarów, z których każdy miał własny niespokojny, nieregularny rytm. Za jednymi drzwiami bezoki mnich nieustannie polewował swoje puste oczodoły kawałkiem skrwawionego papieru ściernego. Na ten widok zrobiło mu się niedobrze i pospiesznie ruszył dalej, odwracając twarz. W jednym pokoju znajdowało się stado cicho gruchających gołębi pawików. W ciemnym świetle wyglądały jak wata cukrowa, ale on czekał w napięciu na odgłos wystrzału, który miał nadejść. I nadszedł — ostry huk — a w następnej chwili cukrowe ptaki spływały szkarłatem.

Lecz jego wędrówka trwała dalej. Przemierzał labirynty korytarzy i delikatne pajęczce sieci schodów. Korytarze te rozciągały się w bezkresną dal, schody zaś wydawały się nieskończone. Była to podróż bez końca: podróż wypełniona milionami drzwi czekających, aż on otworzy je dokładnie we właściwym porządku...

Na chwilę zamknął oczy: jego umysł ogarnął podziw dla wspaniałości tego wszystkiego. Jak to możliwe, że w ogóle się tu znalazł? Nie był godny tego miejsca. Ta gigantyczna budowla ze swoimi komnatami i galeriami, z krętymi, tajemniczymi przejściami i niekończącymi się stopniami, była przestrzenią uświęconą. W jej boskich głębinach znajdowały się rozwiązania wszystkich problemów wszechświata, odpowiedzi na wszystkie pytania przeszłości z przyszłości. Mieściły się w niej proroctwa i zaklęcia. Treść każdej książki, jaką kiedykolwiek napisano. Treść każdej książki, która wciąż jeszcze nie została napisana. Wartość każdej niewyobrażalnej liczby. Nuty muzyki, której

jeszcze nie skomponowano. Nawet historia jego własnych narodzin i najdrobniejsze szczegóły życia, które mógłby wieść, ale nie wiódł...

Coś otarło się o jego ramię. Otworzył oczy przestraszony. Był to kruk, który właśnie przeleciał obok niego na drugą stronę pokoju. Jego wzrok podążył za ptakiem. Światło w tym pomieszczeniu było słabe, a cienie głębokie, i chwilami kruk zdawał się nikać w mroku. Nagle jednak zakończył lot. Osiadł delikatnie na ramieniu kobiety, która obserwowała go, stojąc w jednej z licznych wnęk drzwiowych.

Wciągnął powietrze. Co ona tu robi? To miała być jego własna podróż. Dzisiaj miał wyruszyć sam.

Jak zawsze miała na sobie pelerynę, a jej oczy ukryte były za maską. Peleryna była ciemnozielona, o suto drapowanych fałdach z akсамitu z kapturem, który całkowicie zakrywał jej włosy. Jej palce były długie i białe. Wzywały go.

Chodź.

Zawahał się. To nie była właściwa droga. Wiedział, że powinien wyjść przez trzecie drzwi po swojej lewej stronie. Dyktował to porządek miejsc, porządek rzeczy.

Ponownie uniosła rękę. Skinęła palcem: Chodź za mną...

Podszedł do niej niepewnie, a ona z zadowoleniem skinęła głową. Chciał coś powiedzieć, lecz ona podniosła palec do ust: nakazywała mu milczenie. Odwracając się do niego plecami, delikatnie otworzyła drzwi za sobą i wślizgnęła się w ciemność.

Natychmiast ruszył za nią, choć serce biło mu nerwowo. To nie było w porządku. Postępowali teraz wbrew wszelkim zasadom. Powinien sam kontynuować podróż, otwierając znajome drzwi, przechodząc przez znajome miejsca. Nie miał pojęcia, gdzie się teraz znajdował. Nigdy przedtem nie szedł tą drogą.

Potem jednak skarcił sam siebie. Czym się tak przejmował? Tak długo, jak był przy niej, nic mu nie groziło. Kto mógłby poprowadzić go lepiej w tej podróży? Jednak pod powierzchnią opanowania niepokój drżał w nim jak falujące wodorosty.

Poruszała się szybko, trzymając się ciągle o kilka kroków przed nim. Wyczuwał jej perfumy, wątlą nitkę zapachu. Opończa wirowała wokół jej kostek w miarę, jak kobieta szybko przemierzała kręte korytarze otwierające się z tej czy innej strony. Był to labirynt, lecz ona poruszała się po nim bez wahania.

Pędzili wciąż naprzód, mijali zaciemnione pokoje o oknach bez zasłon, mijali zamknięte drzwi, spękane i obłazące farbą drogowaskazy z nieczytelnymi napisami, wskazujące drogę do Bóg wie jakich miejsc. Obce. Nieznajome. Stracił wszystkie punkty odniesienia, zagubił porządek miejsc, porządek rzeczy. Czuł, jak narasta w nim przerażenie. Zagubić się, zagubić się na zawsze...

Próbował stłumić panikę i rozpaczliwie trzymał się wzrokiem szczupłej postaci, która szła przed nim. Wydawała się być zjawą, prawie tak niematerialną, jak podążający za nią ulotny cień.

Nagle stanęła i położyła dłoń na nierównym kamieniu osadzonym w gładkiej ścianie. Kiedy odsunęła rękę, zobaczył, że był w nim wyrzeźbiony symbol Monas.

Przez chwilę nic się nie działo, lecz potem — ociężałe — ściana zaczęła się poruszać, odsłaniając słabo oświetloną przestrzeń po drugiej stronie. Ziemia pod jego stopami wibrowała, a w powietrzu rozlegał się szum.

Znalazł się w ogromnym, okrągłym pomieszczeniu z wysoką kopułą. Było puste. Kopułę wypełniało oślepiające światło, lecz sama komnata była bardzo słabo oświetlona. Ulotne światło wystarczało jednak, by zobaczyć, że ściany nie były nieruchome. Zostały skonstruowane z kręgów: koncentrycznych kamiennych kół pokrytych gęsto znakami. Księżyce, krzyże, świece, pentagramy — symbole tak znane, jak przedmioty codziennego użytku. Były też jednak inne znaki, ezoteryczne i tajemnicze.

Jego puls przyspieszył. Czy to możliwe? Czy to naprawdę możliwe? Nagle zrozumiał, czym było miejsce, w które go przyprowadziła. Portal. Kiedyś mu je opisała, a on próbował nawet wykonać rysunek na podstawie tego opisu, ale nigdy nie sądził, że kiedykolwiek zobaczy

to miejsce na własne oczy. Ogarnięty uniesieniem, z sercem przepelnionym miłością i wdzięcznością, odwrócił się do niej.

Zniknęła.

Próbował zgłębić wzrokiem otaczające go cienie, lecz ona rozplynęła się, jak gdyby była jedynie duchem. Pozostał tylko kruk. Opadł na podłogę o parę kroków od niego, przysadzisty i nieruchomy, a paciorkowate oczy połyskiwały czerwono.

Przez chwilę czuł się bardziej samotny, niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Potem jednak wziął głęboki oddech. Sprawi, że będzie mogła być z niego dumna.

Powoli obrócił się na pięcie i rozejrzał dookoła. W ścianie osadzone były drzwi. Mówiąc dokładnie, było ich trzydzieścioro.

Trzydzieścioro drzwi. Za jednymi z nich kryła się nagroda. Ale które miał otworzyć?

Zawahał się. Czemu nie mógł sobie tego przypomnieć? Nigdy przedtem nie trafił do portalu, ale powinien znać odpowiedź. Które przejście?

Drzwi wpatrywały się w niego, przytłaczające w swoim podobieństwie.

Które drzwi ma wybrać? Przypomnij sobie... jednak pewność, która prowadziła go przez pierwszą część wędrówki, opuściła go. Wiedział też, że nigdy nie zdoła wrócić po swoich śladach.

Zgubił się.

Przeżony obrócił się dookoła. Które drzwi? Które drzwi? Starał się opanować panikę, która zaczynała przejmować kontrolę nad jego umysłem. Nie! Zachowaj spokój.

Ale które drzwi? Które drzwi?

Spróbował oczyścić umysł ze wszystkich emocji. Kontrolować oddech. Zdecydować. I jakby w odpowiedzi na modlitwę jedne drzwi uchyliły się leciutko...

Poczuł ogromną ulgę. Podeszedł do drzwi, położył na nich dłoń i otworzył je szeroko.

Krzyknął, kiedy w jego mózg uderzyła z siłą pociągu towarowego

kakofonia dźwięków i ruchomych obrazów. Napływ był tak gwałtowny, że nie był w stanie przetworzyć wiadomości, nie potrafił wydobyć sensu z wizji, które uderzały w niego jak gigantyczna pięść. To było tak, jak gdyby ktoś wlewał mu informacje do mózgu z prędkością światła. Jego głowę wypełniała lawina obrazów i emocji, a jego umysł nie był wystarczająco pojemny — nawet w przybliżeniu — by to wszystko pomieścić. Patrzył, niezdolny do mrugnięcia okiem, z wyschniętymi oczami i ustami wykrzywionymi w groteskowym uśmiechu, i czuł, jak jego umysł zapada się pod ogromnym ciężarem wiadomości spływających naraz do jego mózgu. Czuł się tak, jakby nagle mógł zajrzeć pod własną skórę i patrzeć, jak każdy organ z osobna spina się i próbuje oprzeć potężnemu atakowi. Zaczynał wariować. A najgorsze ze wszystkiego było to, że zdawał sobie z tego sprawę.

Jego mózg pękł jak przejrzały owoc. Z jego oczu spłynęły jasne perelki krwi.

Cisza.

Spokój. Jak blask księżyca na wodzie.

Woda. Unosił się na plecach w basenie. Jego umysł był cudownie spokojny.

Usłyszał muzykę. Skrzypce. A kiedy spojrział w niebo, zobaczył na nim księżyc: ciężki i napuchnięty, zaplątany w konary drzewa.

Był zmęczony. Jedna strona jego ciała była jak sparaliżowana. Woda go wciągała. Odwrócił głowę w kierunku domu, który majaczył czarno na tle antracytowego nieba. Jedyne światło wydobywało się zza drzwi ogrodowych. Na tle żółtawego blasku rysowała się sylwetka kobiety.

Wyszła do ogrodu. Dzięki Bogu. Wiedział, że nigdy by go nie zostawiła. Jego oczy wypełniły się łzami wdzięczności.

Jej twarz wciąż była zakryta maską. Jej piersi na tle zielonego akсамitu sukni były białe jak mleko. Na jej szyi kołysał się naszyjnik: cienki, srebrny łańcuszek, z którego zwisał wisiołek w kształcie litery M. Na jej ramieniu siedział kruk.

Pomóż mi. Uratuj mnie.

Wyciągnęła do niego swoje blade, białe palce.

I wepchnęła jego głowę pod wodę.

Kruk zakrzeczał. Machnął gwałtownie skrzydłami i odfrunął na bok, po czym opadł na zwieszającą się gałąź drzewa.

Naciskała lekko, ale jej palce były jak ze stali. Do nosa i ust naląła mu się woda. Tonął. Jego piersi płonęły. Kobieta trzymała jedną rękę na jego ramieniu, drugą na głowie. Próbował się wyrwać, rozluźnić dłoń, która trzymała go w łagodnym, śmiertelnym uścisku.

Znowu popchnęła jego głowę w dół. O Boże, nie. Dlaczego? Przecież dokładnie przestrzegał zasad... dokładnie...

Nie mógł z nią walczyć. Nie miał na to siły. A jego ciało było tak ospałe, tak ciężkie. Zaczynał tonąć.

Podniosła rękę w geście żalu. Woda zacierała jej postać, ale gdy zaczął opadać w dół, ich oczy się zetknęły.

Dlaczego? Otwierał i zamykał usta jak ryba, woda zatapiała jego słowa. Dlaczego? Dlaczego?

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Światło słońca, ostre jak drzazga w oczach. Jego ciało nie marzło już w wodzie, lecz spływało potem. Otaczało go znajome, krzepiące wnętrze jego mieszkania. Przez kilka chwil Gabriel siedział bez ruchu. Z jednej strony wiedział, że już jest po zjeździe, że dotarł bezpiecznie do domu, ale z drugiej wciąż kręciło mu się w głowie po tym, co właśnie przeżył.

Jego usta były szeroko otwarte i Gabriel musiał dokonać świadomego wysiłku, by rozluźnić mięśnie twarzy. Siedział w swoim fotelu przy oknie, ze zdjęciem Roberta Whittingtona na kolanie. W mieszkaniu było cicho, ale wydawało się, że powietrze drży, jakby dopiero co krzyczał z bólu i jakby ten dźwięk wciąż unosił się w pokoju.

Podniósł się niezgrabnie, ściskając w ręce fotografię. Frankie. Musiał z nią porozmawiać. I to szybko.

Przy wybieraniu numeru musiał zmrużyć oczy, żeby odczytać cyfry, które Frankie zapisała na odwrocie zdjęcia. Wyglądało na to, że miał problemy ze skupieniem wzroku. Rzucił zdjęcie na stół i zobaczył, że jego palce pozostawiły wilgotne smugi na lśniącej powierzchni fotografii.

Dźwięk sygnału rozchodził się echem po jego głowie. Trzask. Energiczne: rezydencja państwa Whittington? Lekko oficjalny głos dobrze wyszkolonego służącego.

— Chciałbym porozmawiać z Cecily Franck — ku swemu zaskoczeniu Gabriel odkrył, że mówienie sprawiało mu kłopot.

— Słucham? — powiedział głos zbolalym tonem.

— Cecily Franck. To znaczy Whittington. Chciałbym z nią rozmawiać. — Jego język był niewiarygodnie ociężały. Nic dziwnego, że w głosie dupka po drugiej stronie brzmiała taka dezaprobata. Pewnie myślał, że dzwoni jakiś pijak.

— Proszę jej powiedzieć, że dzwoni Gabriel. I że to pilne.

Pełna zwątpienia przerwa. A potem:

— Proszę zaczekać. Sprawdzę, czy pani może odebrać.

Zrób to, pógłówku, pomyślał Gabriel. Położył dłoń na czole i odkrył, że ocieka potem. Całe jego ciało nim ociekało. A jego mózg... jego mózg był jak papka. Najwyraźniej pani jednak mogła odebrać.

— Halo? Gabriel?

— Frankie.

— Gabriel? Co się stało? Jakoś dziwnie mówisz.

— Chyba powinnaś przyjechać.

— Czemu? Co się stało? Roześmiał się słabo.

— Zjazd. Właśnie zaliczyłem zjazd. — Z jakiegoś powodu nagle wydało mu się to śmieszne.

Tym razem zapadła jeszcze dłuższa cisza. Kiedy Frankie w końcu się odezwała, jej głos był napięty, jakby próbowała opanować podniecenie.

— Zaczekaj na mnie. Nigdzie nie wychodź. Zaczekaj na mnie.

— Uwierz mi, w tym stanie na pewno nigdzie się nie wybiorę.

Zanim się rozłączyła, spytała bez tchu:

— Gabrielu... czy on żyje?

— Nie wiem. — Pamiętał wrażenie tonięcia: ciężkie nogi, ogień w piersiach, a potem cudowne poczucie oderwania, kiedy opadał w dół. Niewątpliwie wyglądało to tak, jakby coś się skończyło. — Nie jestem pewien.

— No a ten zjazd był przynajmniej niezły?

— Niezły? — Gabriel pomyślał o koszarnej podróży, o obłądnych obrazach, które zwały się do jego umysłu. — Powtarzam jeszcze raz, nie wiem. Po prostu przyjeżdż, dobrze? Porozmawiamy, kiedy tu będziesz.

Odłożył słuchawkę, wciąż myśląc o pytaniu, które mu zadała. Niezły zjazd?

Cóż, to chyba zależało od punktu widzenia? Jeśli przez „niezły”, miała na myśli „szczegółowy”, to owszem, był to spektakularny zjazd. Najlepszy w jego życiu. Ale jeśli mówiąc „niezły” chciała wiedzieć, czy dużo z niego zrozumiał, to nie, raczej nie. Oczywiście, dalekowidzenie to nie pieczenie ciasta. Obrazy i emocje, które odbierało się podczas zjazdu, często bywały dwuznaczne.

Ale przede wszystkim było to po prostu przedziwne. W całym swoim życiu Gabriel nie przeżył tak koszmarnie surrealistycznego zjazdu. Ta wędrówka przez dom — jeśli tak ogromną przestrzeń można nazwać domem — była zdumiewająca. I czy to, co przeżył na końcu, było morderstwem? Śmiercią? Cała ta scena wydawała się dziwnie wystylizowana — kobieta z krukiem na ramieniu i księżyc wiszący na niebie jak na chińskim drzeworycie. Jednak fizyczna agonია, której doświadczył, zdecydowanie wyglądała na rzeczywistą.

I czemu w ogóle doszło do zjazdu?

Gabriel z całą pewnością tego nie planował. Zniknięcie Roberta Whittingtona musiało podświadomie zainteresować go bardziej, niż przypuszczał.

Cholera. Głowa pękała mu z bólu, i czuł się zupełnie ogłupiały. Czy zawsze po zjeździe odczuwał taką dezorientację? Chyba kiedyś wracał do siebie o wiele szybciej? Nie przypominał sobie tego ogromnego, miazdzącego wyczerpania, które teraz ogarnęło jego ciało. Na skraju świadomości zaś wciąż czaił się horror, który przeżył podczas zjazdu. Ten potworny strach.

Podniósł się i stwierdził, że nie jest nawet w stanie iść prosto.

Z trudem zdołał dotrzeć do kuchni. Otworzył lodówkę, wyjął dzbanek z lodowatą wodą, po czym, nie sięgając po szklanke, zaczął pić prosto z dzióbka. Przynajmniej tyle sobie przypominał: to potworne pragnienie, które zawsze następowało po zjeździe. Gabriel pił łapczywie i niezdarne, a woda ściekała mu po brodzie.

Zanim przyjechała Frankie, czuł się już trochę lepiej. Nie dobrze, ale lepiej. Jednak jej pierwsze słowa nie brzmiały zachęcająco.

— Mój Boże, wyglądasz strasznie. Wszystko w porządku?

— Tak naprawdę to nie. Czuję się do dupy. Siadaj.

Frankie przysiadła na samym skraju kanapy, ani na chwilę nie odrywając od niego wzroku.

— Więc co się stało?

— Ja... — Gabriel urwał.

Frankie wychyliła się do przodu w oczekiwaniu, lecz Gabriel czuł się zupełnie zagubiony. Od czego zacząć?

— No? — Teraz Frankie zaczęła się niecierpliwić.

Chyba od drzwi. Od tego właśnie powinien zacząć. Zacznie od drzwi z dziwnym herbem...

*

Przez cały czas jego opowieści Frankie nawet nie mrugnęła okiem i w ogóle nie przerywała. Teraz jednak odezwała się zmęczonym głosem.

— Więc go zabili. Ktoś go utopił. Ta kobieta.

— Prawdopodobnie. Wrażenie, że tonąłem, było bardzo rzeczywiste.

— Nie rozumiem tylko, jak zdołała go obezwładnić. Robbie był szczupły, ale na pewno nie był słabeuszem. Powinien spokojnie sobie z nią poradzić. I dobrze pływał. To był jego ulubiony sport, przynajmniej dwa razy w tygodniu przepływał kilka długości basenu. Zawsze mówił, że najlepiej czuje się w wodzie. Więc dlaczego nie opierał się bardziej?

— Pamiętaj, że miał uszkodzony mózg. Kiedy unosiłem się w basenie,

jedna strona ciała wydawała mi się ciężka jak u kogoś po udarze. Myśle, że mózg Robbiego doznał jakiegoś urazu, i że wpłynęło to na jego koordynację ruchową.

— No ale przynajmniej widziałeś jakiś dom. To już jakiś początek. Mamy dobry punkt wyjścia.

— Ale pozwól mi przypomnieć, że był to dom, w którym znajdowały się między innymi pokoje wypełnione stadami motyli i ślepych mnichami. I było tam coś, co nazywało się portal.

Frankie zmarszczyła brwi.

— Może to jakiś symbol.

— A może obłąd. — Gabriel zamilkł. Jak jej opisać to niewiarygodnie przeładowanie zmysłów, którego doświadczył? — Nigdy nie przeżyłem czegoś takiego, jak w tej jednej chwili, kiedy otworzyłem drzwi we wnętrzu portalu. Czułem się jak szaleniec. Czułem się tak, jakby mózg przeżarły mi środki do dezynfekcji, jakby smażył mi się w czasie.

— Cóż, może właśnie w tym rzecz. Może Robbie chciał wypróbować jakieś halucynogenne prochy i przedawkował.

Gabriel pokręcił głową.

— Myślałem o tym, ale nie wydaje mi się. Najdziwniejsze, że podczas zjazdu miałem poczucie wielkiego zdyscyplinowania. Przechodziłem z pokoju do pokoju zgodnie ze ścisłym porządkiem. Była w tym jakaś ustalona sekwencja, która wymagała ogromnego skupienia umysłu. Nie otwierałem drzwi ot, tak sobie. Był tam określony wzór. Niektóre drzwi zostawiałem zamknięte... celowo. A musiałem otworzyć ich setki. Tysiące.

— Tysiące?

— Może nawet setki tysięcy. Wiem, to szaleństwo. I pamiętam też to jedno zdanie, które ciągle przewijało się przez mój umysł jak mantra: porządek miejsc, porządek rzeczy. Jakby była to jakaś myśl przewodnia albo główna wytyczna, albo coś takiego. Pomimo chaosu ta wędrówka przebiegała zgodnie z niewiarygodnie surowymi zasadami

— to coś zupełnie innego, niż po prochach. Początkowo miałem wszystko pod kontrolą, i było to przyjemne uczucie. Tak jakby ktoś mnie sprawdzał, a fakt, że za każdym razem potrafiłem wybrać odpowiednie drzwi, sprawiał mi niesamowitą satysfakcję. Ale pod koniec — kiedy poszedłem za tą kobietą — wszystko się zmieniło. A wkrótce potem mózg zaczął mi się roztopiać i wtedy obudziłem się w basenie. Cholera jasna — Gabriel westchnął. — To zupełnie nie ma sensu. Może i masz rację. Może to był narkotykowy odlot. W każdym razie emocji mi nie brakowało.

— Wygląda na to, że miałeś fantastyczny zjazd — w głosie Frankie pobrzmiwała nuta żalu. Przypomniało mu to o jej zaskakującym wyznaniu podczas ich ostatniego spotkania. Były chwile, kiedy zżerała mnie zazdrość. Przez te wszystkie lata, kiedy byli razem — jak mu się zdawało szczęśliwi — żywiła do niego urazę o jego zdolności dalekowidzenia. Gabriel nadal nie potrafił powiązać takich emocji z młodą, skromną Cecily Franck, którą kochał. Właściwie żałował, że mu o tym powiedziała.

Frankie odezwała się znowu:

— A co z kobietą?

Gabriel zastanowił się przez chwilę.

— Była prawdziwa — powiedział wolno. — Była prawdziwa. Czuję ją jak rzeczywistą osobę. Tak, zdecydowanie. Co sprawia, że prawdopodobieństwo narkotyków jeszcze się zmniejsza.

— Pewnie nie zrobiłeś żadnych ideogramów?

Gabriel potrząsnął głową. Frankie mówiła o metodzie, którą posługiwało się wielu dalekowidzących: podczas zjazdu pozwalali, by ich ręka jakby automatycznie się poruszała, rejestrując widziane przez umysł obrazy. Gabriel rzadko pracował w ten sposób. Niemniej czasem rysunki się przydawały.

Podniósł się i podszedł do biurka. Otworzył szufladę, wyjął z niej blok oraz ołówek i zaczął szkicować. Kółko nad krzyżem, przecięte mniejszym półkolem, całość osadzona na tle rozkwitłej róży. Gabriel nie miał wielkiego talentu do rysowania i jego róża wyglądała bardziej

na steranę stokrotkę, ale to wystarczało. Po kilku sekundach wrócił do czekającej na niego Frankie.

— Pamiętasz, jak mówiłem o herbie, który widziałem? Na drzwiach i na ścianie prowadzącej do portalu? Oto on. A przynajmniej tyle zapamiętałem ze zjazdu. Może skojarzy ci się to z czymś, co ma związek z Robertem. — Bez większej nadziei wyciągnął do niej blok. — Coś ci to przypomina?

— Mój Boże. — Frankie wbiła wzrok w rysunek.

— Co? — powiedział Gabriel ostrzej. — Wiesz, co to jest?

— Robbie miał to wytatuowane po wewnętrznej stronie prawej ręki, nad nadgarstkiem.

— Po co? Był hetero? Dla mnie wygląda to jak symbol kobiecości.

Frankie uśmiechnęła się.

— Ten znak nie ma nic wspólnego z seksem. To kombinacja kilku astrologicznych symboli. Nazywał to Monadą albo Monas, coś takiego. Monas, jeśli dobrze pamiętam. Ale nie wiem, o które dokładnie symbole chodzi i co oznaczają. Lecz nie to jest ważne, Gabrielu. Liczy się to, że ten symbol jest wzorowany na herbie w Monk House.

— Monk House?

— Siostry Monk. — Frankie popatrzyła na niego z podnieceniem w oczach. — Morrighan i Minnaloushe Monk. Robbie przyjaźnił się z nimi. Mieszkają w takim wielkim, pełnym zakamarków domu z czerwonej cegły w Chelsea. Byłam tam tylko kilka razy, ale pamiętam ten herb. Jest wszędzie. Pytałam o niego Robbiego, a on powiedział mi, że pochodzi jeszcze z szesnastego wieku, i że miał coś wspólnego z rodziną Monk.

Gabriel jeszcze raz spojrział na rysunek. Szesnasty wiek. Wzór wydawał się wyjątkowo nowoczesny jak na rok tysiąc pięćset któryś.

— Nadal nie widzę w tym sensu.

— Wierz mi, bardzo niewiele z tego, czym zajmował się Robbie, miało sens. Ale na łańcuszku tej kobiety w twoim zjeździe wisiała

litera M., co oznacza, że mógł on należeć do Minnaloushe albo Morri-ghan. A symbol z Monas wskazuje na Monk House.

— Ale przecież nie ma tam chyba basenu?

W oczach Frankie pojawił się wyraz bólu.

— Skoro już o tym mowa, to owszem. Jeden z bardzo nielicznych odkrytych basenów w Chelsea. Nie jest duży, ale za to głęboki. Ze-szłego lata odbyło się tam przyjęcie w ogrodzie. Wtedy po raz pierw-szy spotkałam siostry.

Na chwilę zapadła między nimi cisza, w trakcie której zastanawiali się nad możliwymi implikacjami.

— Sam dom jest niezwykle fascynujący, ale mroczny — Frankie skrzywiła się lekko. — Mają tam bardzo imponującą bibliotekę, ale z całą pewnością nie przypominam sobie, żebym widziała fruujące dookoła motyle albo gołębie. I raczej wątpię, żeby za którymiś drzwiami kryli się samookaleczający się mnisi.

— I pewnie nie było też udomowionego kruka.

— Przykro mi.

— Mówiłaś, że przyjaźniły się z Robbiem.

— Właściwie przez jakieś dziewięć ostatnich miesięcy stale z nimi przebywał. Przez cały czas sądziłam, że miało to coś wspólnego z jego decyzją, by wyprowadzić się od nas do własnego mieszkania.

— Tatusiowi pewnie nie bardzo się to podobało?

— Wręcz przeciwnie. William pochwalał tę przyjaźń. Była to niemal jedyna rzecz, którą pochwalał, jeśli chodzi o Robbiego. Uważał, że siostry miały na niego stabilizujący wpływ.

— A miały?

Wzruszyła ramionami.

— Chyba tak. Po raz pierwszy od kiedy go poznałam Robbie wy-dawał się zadowolony.

Jej głos zabrzmiał jakoś dziwnie. Gabriel pochylił się do przodu.

— Dlaczego ich nie lubisz?

— Nie powiedziałam, że ich nie lubię — powiedziała Frankie obronnym tonem. Zmarszczyła też brwi.

Gabriel powściągnął uśmiech. Te kobiety. Pora zmienić taktykę.

— Morrighan i Minnaloushe Monk. To brzmi jak jakaś zagadka. Ich rodzice musieli mieć oryginalny gust. Ciekawe, czemu nie Mary i Mabel.

Frankie uniosła brwi.

— Wierz mi, te kobiety nie wyglądają na Mary i Mabel. Są raczej... egzotyczne. Robbie był nimi oczarowany. Zwłaszcza jedną.

— Którą?

— A wiesz, że właściwie nie wiem? Jakoś zawsze myślę o nich w parze. I mówiąc szczerze, nie obchodziło mnie to aż tak bardzo. Robbie bez przerwy się w kimś podkochiwał. — Uśmiechnęła się smutno.

— Przez pewien czas bujał się nawet we mnie.

— Cóż, nie mogę go za to winić.

— Dziękuję.

— Nie, naprawdę, mówię poważnie.

Była to prawda. Gabriel popatrzył na Frankie badawczo. Nie można było nazwać jej piękną, ale miała niezwykle pociągającą twarz. Siedziała odwrócona do niego profilem. Gabriel objął spojrzeniem zarys jej policzka, nos leciutko zadarty na czubku, oraz wygięcie jej górnej wargi, przez które Frankie zawsze wyglądała, jakby właśnie zamierzała się uśmiechnąć. Dziś miała na sobie sukienkę w kwiaty i wyglądała młodo i świeżo. Jakoś do tej pory tego nie zauważył, co było bardzo nie w jego stylu. Chociaż kiedy do niego przyjechała, czuł się tak paskudnie, że nie zwróciłby uwagi, nawet gdyby do pokoju weszła Monica Bellucci. Sukienka Frankie miała szeroki, wycięty dekolt i Gabriel dostrzegł malutkie, miedziane piegi na jej obojczyku. Pocałunki słońca, tak je kiedyś nazywał, gdy jeszcze byli razem. Teraz, kiedy o tym myślał, nie wydawało się to zbyt oryginalne. Ale pamiętał, jak lubił je liczyć. Zwykle robił to po tym, jak się kochali. Taki mały, prywatny rytuał.

Frankie odwróciła głowę i przyłapała go na przyglądaniu się. Po jej oczach widać było, że wyczuła, o czym myślał. Na jej policzkach wykwitł blady rumieniec i Frankie odruchowo podniosła rękę do szyi.

A zatem pani Whittington nie była aż tak niewzruszona, za jaką chciała uchodzić. Gabriel uśmiechnął się i dotknął jej ręki, zwlekając chwilę z odsunięciem palców.

— Ładnie wyglądasz w tej sukience.

— Dzięki. William też bardzo ją lubi. Kupił mi ją w Mediolanie.

No tak. To było dość bezpośrednio. Powinien pamiętać, że mimo wrodzonej słodyczy, Frankie nie dawała sobą manipulować. I zawsze potrafiła pokazać mu, gdzie jego miejsce. Gabriel cofnął rękę.

— Zakładam, że policja przesłuchiwała siostry? — odezwał się spokojnie.

— Szczegółowo. — Gabriel widział, że jego rzeczowy ton sprawił jej ulgę. — Nie znaleźli absolutnie nic podejrzanego.

— Mówiłaś, że Robbie podkochiwał się w jednej z nich. Z wzajemnością?

— O nie — w głosie Frankie zabrzmiało współczucie. — Są o dobre kilka lat starsze od niego. I nie ma absolutnie żadnej możliwości, aby któraś z nich zainteresowała się nim jako partnerem. Myślę, że był dla nich jak mały szczeniak, który ciągle za nimi chodzi, i że bawiło je jego oddanie — przerwała, postukała palcem w usta. — Mogłabym cię wprowadzić do ich domu. Pójść do nich z wizytą i zabrać cię ze sobą.

Gabriel pokręcił głową i natychmiast się skrzywił. Ból głowy jeszcze nie minął.

— Potrzebuję swobodnego dostępu. Jeśli zabierzesz mnie ze sobą jako gościa, podadzą nam herbatkę w salonie i na tym się skończy. Muszę rozejrzeć się trochę w spokoju. A poza tym, chciałbym zobaczyć dom, zanim poznam właścicielki. W ten sposób łatwiej będzie wyrobić sobie obiektywną opinię.

Frankie spojrzała na niego podejrzliwie.

— Chyba nie myślisz o włamaniu?

— Z twoją pomocą, owszem.

— Gabrieliu... poczekaj chwilę. Posunęlibyśmy się za daleko.

— Cóż, decyzja należy do ciebie. Ja mogę się wycofać w każdej chwili.

Co nie było do końca prawdą. Odkrycie, że wciąż potrafił tak wyraźnie daleko widzieć, było dla niego sporą niespodzianką. Pytanie tylko, czy miała być ona przyjemna. Ale Gabriel dał się już złapać.

Następne słowa Frankie dowiodły zaś, że nie zdołał jej zwieść:

— Kłamiesz. Ten zjazd cię wciągnął. Widzę to po twoich oczach. Czy to był twój pierwszy raz, odkąd... — przerwała delikatnie, a potem najwyraźniej wyczytała odpowiedź z jego twarzy. — Rany. Musisz być wykończony.

Gabriel wzruszył ramionami. Był wyczerpany, ale podekscytowany. I wciąż nie mógł wyjść ze zdziwienia, że w ogóle do tego doszło. Trzeba przyznać, że okoliczności były sprzyjające. W idealnych warunkach dalekowidzenie polegało na tym, by widzący odpowiednio pokierował falami mózgowymi o frekwencji od czterech do siedmiu cykliów na sekundę. Fale theta powstają w trakcie głębokiej medytacji i stanowią dla umysłu optymalny stan do przeskakiwania na drugą stronę. Kiedy Gabriel dokonywał zjazdu, jego ciało było całkowicie zrelaksowane. Zazwyczaj dalekowidzenie zdarzało mu się właśnie w takich momentach: kiedy już dryfował, ale jeszcze nie odpłynął.

— Więc ułożmy jakiś plan.

— Co konkretnie masz na myśli? — spytała Frankie ostrożnie.

— Musisz zaprosić je któregoś wieczoru do siebie na obiad, żebym miał pewność, że dom będzie pusty.

Frankie przygryzła wargę z niepewną miną.

— No, dalej, Frankie. Zdobądź się raz na trochę ryzykanctwa.

— Cóż, ty z pewnością zmieniłeś repertuar. Nie przypominam sobie, żeby włamywanie się należało do twoich umiejętności.

— To nie będzie włamanie. Tylko oglądanie bez dotykania.

Skrzywiła się, ale Gabriel widział, że powoli zaczynała oswajać się z tą myślą.

— W porządku — powiedziała, — Ale nic jeszcze nie powiem Williamowi. On bardzo je podziwia.

Może troszkę za bardzo, pomyślał Gabriel, i może pani Whittington się to nie podoba?

Frankie rzuciła okiem na zegarek, podniosła torebkę.

— Muszę iść. Umówiłam się na lunch. Ale zadzwonię do sióstr, kiedy dotrę do domu. Ustalę jakiś termin.

— Okej.

Przy drzwiach Frankie przystanąła i spojrzała na niego.

— Powiedziałaś, że podczas jazdy odczuwałeś tę kobietę jako kogoś rzeczywistego. Co wyczuwałeś? Wrogość?

— Nie. Nie wrogość. Chciwość.

— Chciwość?

— Trudno to opisać. Nie chciwość pieniędzy, ale chciwość wiedzy. Chyba odpowiednim słowem będzie ciekawość. Tylko że to nie dość mocne. Mówię o bardzo intensywnej ciekawości. Ciekawości do kwadratu, można by rzec.

— Ciekawość czego? Gabriel wzruszył ramionami.

— Nie mam zielonego pojęcia.

Ale gdy zamykał drzwi za Frankie, zdał sobie sprawę, że jego opis nie był do końca dokładny. Owszem, w zamaskowanej postaci, która tak badawczo patrzyła mu w oczy, Gabriel wyczuł wszechogarniającą ciekawość. Ale promieniowała z niej również inna emocja. Coś o wiele bardziej prostego i jednoznacznego. Była to kobieta, której oczekiwania nie zostały spełnione. Skryte uczucie, które Gabriel w niej wyczuwał, można było podsumować jednym słowem.

Rozczarowanie.



Data wpisu: 11 czerwca

Rozczarowanie to najsmutniejsze ze wszystkich uczuć. M. zgadza się, ale mówi, że tym uczuciem, które wyżera ci duszę, jest żal.

Wczoraj wieczorem dokończyliśmy komnatę Tota. Jestem z niej zadowolona, ale też odczuwam pustkę. Jak M., pragnę znaleźć kogoś nowego do gry. I nie mam wątpliwości, że ten ktoś się zjawi. To tylko kwestia czasu.

Ciekawe, kto to będzie. R. był poszukiwaczem, i był niewinny. Ale może M. ma rację. Może potrzeba nam mężczyzny, w którego żyłach, płynie bardziej gorąca krew.

Kogoś, kto jest nie tylko marzycielem, ale też wojownikiem.

Ciekawe, gdzie teraz jest — ten nasz przyszły partner do gry. O czym myśli właśnie w tej chwili?

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Monk House był jedynym wiktoriańskim domem przy ulicy pełnej eleganckich georgiańskich fasad. Przysiadł zwalście na rogu: staroświecki, zamyślony i wyzywający w swojej inności. Zbudowany był z ciemnopomarańczowej cegły, a stromy dach i wystający z boku wykusz nadawały mu gotycki charakter. Było późne popołudnie i na maleńkich szybkach ujętych w ołowiane ramki połyskiwało czerwono słońce, co sprawiało wrażenie, jakby we wnętrzu płonął ogień.

Front znajdował się w jednej linii z sąsiadującym domem, a do okien mogły zaglądać budynki z drugiej strony ulicy. Wejście było opatrzone podwójnym zamkiem i Gabriel zdążył się już przekonać, że jeden z nich był firmy Bramah. Tędy nie zdoła wejść. O wiele łatwiej będzie przedostać się do ogrodu na tyłach i wślizgnąć się przez francuskie drzwi prowadzące do salonu. Za tę informację Gabriel musiał podziękować Frankie, ponieważ tył domu był teraz niewidoczny. Dwudziestometrowy mur był wysoki na co najmniej cztery metry i nie tylko gwarantował całkowitą prywatność, ale stanowił również całkiem niezłe zabezpieczenie. Trudno byłoby go pokonać.

Lecz na tyłach domu biegła alejka, a w murze znajdowała się furtka. Gabriel podejrzewał, że korzystano z niej przy wystawianiu pojemników dla śmieciarzy. Aby obejrzeć ją sobie bliżej, zbadał uliczkę

już wcześniej w ciągu tygodnia. Tak jak się spodziewał, w drewnianych drzwiach znajdował się zwyczajny zamek. Nie zapowiadało się na żadne trudności.

Niecierpliwie stukał palcami w kierownicę jaguara. Chciał już wysiąść z samochodu. Mimo iż słońce straciło do tej pory sporo ze swej mocy, wciąż było piekielnie gorąco. Koszula kleiła mu się do pleców w miejscu, gdzie przylegała do skórzanej tapicerki. Gabriel zaparkował pół przecznicy od Monk House i miał na niego dobry widok z boku. Nic się nie ruszało.

Spojrzał na zegarek. Siostrzyczki czekały do ostatniej chwili. Było już za dziesięć, a Frankie powiedziała mu, że umówiła się z nimi na drinka i kolację o siódmej. To powinno zapewnić mu więcej niż dość czasu, by się rozejrzeć. Gabriel miał także przy sobie swój telefon komórkowy. Frankie obiecała zadzwonić, gdy tylko siostry wyruszą z powrotem do domu. Nie chciał, żeby przyłapano go na gorącym uczynku, chociaż spodziewał się, że zdąży skończyć o wiele wcześniej.

Przed dom podjechała czarna taksówka. Gabriel obserwował kierowcę, gdy ten wchodził po stopniach i dzwonił do drzwi frontowych. Po kilku sekundach taksówkarz powiedział coś do domofonu. Przez sekundę czy dwie słuchał odpowiedzi, po czym ruszył z powrotem do taksówki i usiadł za kierownicą. Silnik był włączony.

Gabriel czekał. Drzwi wciąż były zamknięte.

Wcześniej tego dnia zrobił przystanek w mieszkaniu Roberta Whittingtona. Frankie dała mu klucz. Poświęcił niemal godzinę na otwieranie szafek, przeglądanie szuflad i pudeł. Żalosne przedsięwzięcie. Nie tylko mieszkanie promieniowało smutną aurą niezamieszkanego miejsca, ale Gabriel odnosił też wrażenie, że wszystko tam należało do człowieka poszukującego.

Książki o samodoskonaleniu stały razem z tomiszczami o buddyzmie, astrologii i czytaniu tarota. O ścianę opierały się dwa obramowane obrazy: plakat *Archivum X* ze sloganem „Chcę uwierzyć” oraz kultowy wizerunek Che Guevary, nieprawdopodobnie wręcz przystojnego i czarującego. Na półkach ustawione były świece, kryształy

i kilka posążków Buddy — niektóre wesołe i o wystających brzuchach, inne onieśmielająco ascetyczne.

Nad łóżkiem wisiała drewniana maska. Wyglądała na afrykańską: puste oczodoły otoczone były grubymi powiekami, a usta rozciągały się w wystylizowanym grymasie. Umeblowanie było skromne, mieszkanie małe. Trudno było uwierzyć, że mieszkał tu dziedzic ogromnej fortuny.

Na stoliku przy łóżku stała fotografia w ramce. Przedstawiała Roberta Whittingtona jako nastolatka, z dużym nosem i dużymi stopami, obejmującego ramieniem talię krępej blondynki. Istniało między nimi wyraźne rodzinne podobieństwo — Gabriel domyślił się, że kobieta była matką Robbiego. Frankie powiedziała mu, że zginęła w wypadku na nartach, kiedy chłopiec miał zaledwie czternaście lat. Pierwsza pani Whittington na pewno nie była piękną, lecz miała bardzo łagodne oczy. Spoglądając na obie twarze, Gabriel poczuł nagłe ukłucie współczucia. Utrata matki musiała być strasznym ciosem, zwłaszcza jeśli relacje z ojcem od dzieciństwa były napięte.

Jedyną rzeczą w całym mieszkaniu, która naprawdę go zaciekawiała, był ołówkowy szkic przyczepiony do wyblakłej korkowej tablicy. Wykonano go z niezwykłą zręcznością i z niemal architektonicznymi szczegółami. Ukazywał okrągłą przestrzeń z kopułowym sklepieniem i ściany zbudowane z kół, gęsto pokrytych symbolami. Niektóre łatwo było zidentyfikować: gwiazda, świeca, książka. Inne były bardziej tajemnicze: różne esy-floresy i niemożliwe do odczytania znaki przypominające bazgroły. Na dole szkicu napisano pochyłym pismem Portal, a pod spodem widniał prosty podpis: Robert, oraz data. Wyglądało na to, że Robert Whittington był utalentowanym rysownikiem.

Ale to nie umiejętności artysty sprawiły, że Gabriel przystanął, a jego serce zaczęło bić szybciej. Chodziło o fakt, że linie ołówka na papierze były odbiciem miejsca, które odwiedził zaledwie kilka dni wcześniej. Tej fantastycznej przestrzeni, w której znalazł się na chwilę

przed tym, zanim wessał go koszmarny huragan obrazów i dźwięków, od których niemal postradał zmysły. Ogromna komnata z obracającymi się kołami pełnymi symboli była bramą szaleństwa i śmierci. Już sama myśl o niej przyprawiała go o dreszcze.

Portal.

Patrząc na szczegółowy rysunek, Gabriel zaczął drżeć. Myśl ujęta w materię. Dowód, że rzeczywiście zdołał przedrzeć się przez śliską granicę umysłu Roberta Whittingtona.

Drzwi Monk House otworzyły się. Gabriel zamrugał i wrócił do teraźniejszości. Mieszkanki domu w końcu wychodziły. Na dworze pojawiła się kobieta z rudymi włosami do ramion. Odwróciła się bokiem i Gabriel dostrzegł za lśniąco zasłoną włosów czubek delikatnego nosa i brody. Najwyraźniej rozmawiała z kimś, kto nadal znajdował się w środku.

Rude włosy. Zatem to musiała być Minnaloushe. Frankie powiedziała mu, że Morrighan była brunetką. Ktoś — druga kobieta, która nie pojawiła się jeszcze w zasięgu jego wzroku — wskazał ręką taksówkę: zza drzwi wysunęło się szczupłe, odkryte ramię. Rudowłosa kiwnęła głową i zeszła po schodach, poprawiając na szyi długi, zwiewny szal. Wsunęła się do taksówki, zanim Gabriel zdołał porządnie przyjrzeć się jej twarzy.

Druga kobieta wyszła na zewnątrz, i zamknęła za sobą drzwi. Gabriel dostrzegł błysk kluczy. Ta była nieco wyższa od rudej. Jej włosy były czarne jak węgiel i uczesane w elegancki kok. Zaniknąwszy drzwi, rozejrzała się w obie strony. Przez chwilę Gabriel miał doskonały widok na jej twarz: twarz w kształcie serca i z kośćmi policzkowymi, którymi można by ciąć szkło. Naprawdę niezła. Potem ona również wsiadła do taksówki. Samochód ruszył z miejsca i przyspieszył.

Gabriel odczekał jeszcze kilka minut po tym, jak taksówka zniknęła za rogiem. Nie zaszkodzi upewnić się, że rzeczywiście odjechały. Następnie wysiadł z jaguara i ruszył w stronę alejki, starając się, by jego krok był energiczny i pewny siebie. Na uliczkę wychodziły tylne

okna kilku piętrowych domów, ale nie bardzo się tym przejmował. Należało iść z wystarczającą pewnością siebie, a zazwyczaj nikt nie zwracał na człowieka uwagi. Natomiast skradanie się ukradkiem zawsze wzbudzało zainteresowanie. Jedyny szkopol mógł tkwić w zamku przy ogrodowej furcie. Będzie trzeba pracować szybko.

Gabriel nie musiał się martwić. Właśnie miał wyciągnąć narzędzia, kiedy jego ramię oparło się o furtkę, a ta otworzyła się sama. Ktoś zostawił ją otwartą. Gabriel szybko wszedł do środka i zamknął za sobą drzwiczki.

Stał na skraju długiego, wąskiego ogrodu, który sprawiał cudowne wrażenie wystudiowanej dzikości. Kaskada fioletu, purpury i różu — lawenda, bez, czarnuszka — wyrastała wśród srebrzystych wiechci i pierzastych grzyw delikatnie chwiejących się traw. Ściany domu pokrywały pnące róże o bladych płatkach. Lecz chociaż w ogrodzie panował urokliwy bałagan, przy bliższych oględzinach widać było, że ktoś włożył wiele wysiłku w rozplanowanie tej bujnej roślinności. Może i wyglądało to na botaniczną anarchię, lecz nieład ten znajdował się pod ścisłą kontrolą. Umysł, który zaplanował tę kwietną fantazję, musiał przykładać wielką wagę do szczegółów.

Na prawo od Gabriela znajdował się basen, ocieniony przez przygarbione drzewo o jasnoczerwonych kwiatach. Gabriel podszedł i przyklęknął na ceglanej krawędzi, przeciągając dłonią po nagrzanej słońcem wodzie. Jak powiedziała Frankie, basen nie był duży, ale wydawał się dość głęboki. Na powierzchni wody unosiły się zbłąkane płatki kwiatów. W pobliżu filtra Gabriel dostrzegł kołyszące się delikatne ciała martwych owadów.

Oczyścił umysł z emocji i czekał. Skoncentrował się. Dłoń trzymał zanurzoną pod wodą.

Pustka. Jeśli zginął tu Robert Whittington, to echo jego śmierci już przebrzmiało. Gabriel nie wyczuwał zupełnie nic.

Podniósł się i wytarł dłoń o koszulę. Może wewnątrz domu będzie miał więcej szczęścia.

Okna na parterze były zamknięte, podobnie jak dwoje wysokich francuskich drzwi. Ale kiedy ruszył w ich stronę, nagle zobaczył coś znajomego. Witrażowe panele osadzone w drzwiach przedstawiały herb, który Gabriel widział podczas zjazdu. Monas. Według Frankie były to symbole astrologiczne.

Wprawdzie nie przypominały żadnych znaków, które Gabriel kiedykolwiek widział, ale trzeba przyznać, że jego związki z mistycznym światem zodiaku nie były zbyt bliskie. W przeciwieństwie do niego, Izidor co dnia skrupulatnie sprawdzał swój horoskop, a niepomyślna przepowiednia wpędzała go w depresję szybciej niż trwa wypowiedzenie słów „Saturn w aplikacji”. Ale skoro już o tym mowa, to może dobrze byłoby poprosić Izidora o sprawdzenie tego symbolu Monas. Musiało to być coś ważnego, skoro Robert Whittington wytatuował go sobie na rękę.

Gabriel przystanął i sprawdził drzwi. Były zamknięte, ale sam zamek był zupełnie zwyczajny. Nie widać było także żadnych śladów alarmu. Poza wyższym niż zwykle murem ogrodowym siostry nie wydawały się nadmiernie przejmować zabezpieczeniami. Co mogło znaczyć, że nie miały nic do ukrycia.

Albo i nie. Mogła to być również oznaka arogancji.

Gdyby Gabriel był prawdziwym włamywaczem, wypchnąłby jedną ze szklanych szybek w drzwiach, po czym po prostu wsadził rękę do środka i otworzył sobie drzwi. Jednak w tej sytuacji nie chciał zostawić śladów swojej bytności, więc konieczny był nieco większy wysiłek. Z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął giemzowy futerał, w którym znajdowały się wytrychy, i wyciągnął jedno ze spiczastych narzędzi. Kiedy zabrał się do roboty przy zamku, na jego twarzy pojawił się uśmiech. To będzie łatwizna. I rzeczywiście, po zaledwie kilku sekundach poczuł, jak rygiel odskakuje. Wślizgnął się do środka i zamknął za sobą drzwi.

Przez kilka chwil stał bez ruchu, pozwalając oczom przyzwyczać się do panującego we wnętrzu mroku. Okna były zasłonięte okiennicami, przepuszczającymi przez szczeliny jedynie smużki światła.

Powietrze było ciężkie. Okiennice nie tyle chroniły przed upałem, ile zamykały go i więziły w środku. Nad głową Gabriela szumiał leniwie zamontowany pod sufitem wiatrak. Ledwo poruszał powietrzem, a szept wolno obracających się skrzydeł tylko podkreślał ciszę w pokoju.

Każdy dom ma swój własny, szczególny zapach. Kiedy tylko Gabriel odwiedzał jakieś miejsce, zawsze była to pierwsza rzecz, na jaką zwracał uwagę. Nie wystrój. Zapach. Mógł się zmieniać z dnia na dzień — gotowanie, sprzątanie, praca: wszystkie te czynności zostawiały swój olfaktoryczny ślad — ale zasadnicze jądro pozostawało niezmiennie. Zapach tego domu był niezwykle kobiecy. I zaskakująco staromodny. Talk. Jakiś stary, pachnący gatunek róż. Przyprawy takie jak cynamon i goździki. Mandarynki? A także coś jeszcze. Coś, czego Gabriel nie potrafił dokładnie określić, ale co wgrzyzało się w jego podniebienie, lekko gorzkawe i kwaśne. Oczywiście był jeszcze ten składnik, który sprawiał że zapach tego domu był niepowtarzalny jak odcisk palca. Jego mieszkanki. Siostry Monk. Je również Gabriel wyczuwał.

Sam pokój przywodził na myśl styl kolonialny. Kremowe ściany, ciemna olejowana podłoga i także okiennice, rattanowe meble i widmowy klimatyzator przypominały bardziej wnętrze z jakiegoś zakątka kolonii, a nie z centrum Londynu.

Obok wyściełanego krzesła z bardzo głębokim siedziskiem stał rozchwiany, trzcinyowy parawanik. Na jednej ze ścian wisiała duża kolekcja rzeźbionych afrykańskich masek. Przypomniało to Gabrielowi o masce, którą widział w mieszkaniu Roberta Whittingtona. Nie zdziwiłby się, gdyby pochodziła z tego pokoju. Po obu stronach łysiejącej skóry zebrały przodem do siebie dwa ciemnozielone fotele, obite popękana i pomarszczoną skórą. Przy ogromnej sofie obitej aksamitem ustawiony był rattanowy stolik do kawy oraz kilka rattanowych skrzyń, na których leżały czasopisma. Po drugiej stronie pokoju stały dwa robocze stoły z metalu, zastawione najróżniejszymi przedmiotami.

Wszędzie porozstawiane były róże. Na wieku skrzyni, bocznych stolikach, parapetach. Róże jedwabiste i krwistoczerwone, inne w odcieniu głębokiej moreli, a także woskowate kwiaty o różowych żyłkach, które opadały znad krawędzi alabastrowych mis. Lecz, co dość ciekawe, nigdzie nie było żadnych fotografii. Z doświadczenia Gabriela wynikało, że samotnie mieszkające kobiety zawsze otaczały się podobiznami swoimi i tych, których kochały. Ale poza grafiką Salvadora Dalego przedstawiającą ukrzyżowanie — na której piękny, wysmukły Chrystus zwisał upiornie w przestrzeni — w pokoju nie było żadnych innych obrazów.

Było to wyjątkowo duże pomieszczenie, i najwyraźniej wykorzystywane nie tylko jako salon, lecz także jako biblioteka i pracownia. Jedną ze ścian całkowicie zasłaniały wypełnione do granic możliwości półki, które ugiwały się niebezpiecznie pod ciężarem tyłu tomów. Nawet z tyłu znajdowały się upchnięte bez ładu i składu książki.

Gabriel przechylił głowę na bok, żeby odczytać niektóre z tytułów: *De Imaginum*, *De umbris idearum*, *Ars notoria*, *De occulta philosophia*, *Księga Dzyan*, *Hermetyczny Sekret*. Nie były to raczej lektury przeznaczone do relaksu w wannie. Ale nie wszystkie książki dotyczyły wiedzy tajemnej. Było tam również wiele tomów, które nosiły imprimatur wydawnictw uniwersyteckich, napisanych przez luminary rzadko spotykanych dziedzin nauki. Stephen Jay Gould. David Gelernter. Daniel Dennett. Freeman Dyson. Roger Penrose. Słowo eklektyczny nawet w przybliżeniu nie opisywało tego zbioru.

Lecz siostry wyraźnie żyły też w erze elektroniki. Dwie dolne półki zajęte były przez stopy płyt DVD. Gabriel dokonał szybkiego wyliczenia: dziesięć płyt w jednej kupce, dwadzieścia kupek — w sumie było tam ponad dwieście DVD. Wyciągnął jedną płytę. Na naklejce z wierzchu napisane było schłodnie: *Projekt Ludzkiego Genomu*. Inny dysk opatrzony był napisem *Encyklopedia Britannica*. Pół giga.

Gabriel uniósł brwi zaskoczony. Jeśli wszystkie te płyty były wypełnione, to znajdowała się na nich ogromna ilość informacji. Wyglądało na to, że siostrzyczki składowały w salonie całą zawartość Brytyjskiej Biblioteki.

Odwrócił się od półek. Chciał jeszcze przyjrzeć się bliżej dwóm metalowym stołom. Zadomowiły się na nich przedmioty niezwykle i cudownie dziwaczne. Były wśród nich lśniące miedziane kompasy. Astrolabium. Wybielone szkielety ptaków, przedziwnie eteryczne, jakby najłżejszy dotyk mógł sprawić, że kostki rozkruszą się w pył. Szklane klosze. Suszone zioła. Kartki ręcznie robionego żyłkowanego papieru. Prawdziwe kałamarze i wymyślne pióra ze stalówkami.

Co za przedziwna kolekcja. W każdym innym domu niektóre z tych przedmiotów mogłyby zostać wyeksponowane jako oryginalne dzieła sztuki — już samo astrolabium musiało być warte ładną sumkę, a paciorki w liczydło wyglądały na prawdziwą kość słoniową — jednak w tym pokoju wyglądały tak, jakby ktoś nieustannie z nich korzystał.

Były też komputery. Ustawione obok siebie IBM i Macintosh. Oba były podłączone i na chodzie. Miały też taki sam wygaszacz ekranu: kobieta z długimi rozwianymi włosami i falującym płaszczem, trzymająca w dłoniach świecące jasno słońce, które rosło i rosło, a potem powoli kurczyło się, aż pulsująca czerwona masa malała do tego stopnia, że między rękami kobiety pozostawała tylko kropeczka światła. Efekt dwóch wzbierających i malejących słońc był dziwnie hipnotyzujący.

Gabriel usiadł na staromodnym krześle do pisania na maszynie i wcisnął klawisz na klawiaturze IBM-a. Niepotrzebne było żadne hasło. W komputerze była otwarta jakaś strona internetowa.

Świetnie. Może zdoła się dostać do skrzynki pocztowej sióstr. Może znajdzie jakąś starą korespondencję z Robertem Whittingtonem. W mieszkaniu chłopaka nie było komputera, ale według Frankie miał kiedyś całkiem przyzwoity sprzęt, zanim na krótko przed zniknięciem postanowił oddać go na cele dobroczynne. Dla Gabriela było to kompletne wariactwo, lecz Frankie najwyraźniej wcale nie uważała za coś

dziwnego, że jej pasierb oddał notebooka wartego trzy tysiące funtów.

— Robbie robił różne niewytłumaczalne rzeczy, kiedy coś go naszło — wzruszyła ramionami. — Jednego dnia podniecał się luddyzmem. A następnego czymś zupełnie innym.

Z komputera korzystały obie siostry, ale kiedy Gabriel sprawdził wysłane i otrzymane wiadomości oraz prywatne foldery, rozczarował się. Listy były niewinne — przyjaciele, znajomi od wspólnych interesów — i o ile mógł się zorientować, nie było żadnej wiadomości do lub od Roberta Whittingtona.

Może coś bardziej przydatnego kryło się wśród dokumentów. Gabriel zaczął otwierać pliki na chybił trafił. Ich zawartość prezentowała się raczej przyziemnie. Plik Rachunki precyzyjnie odpowiadał swojej nazwie: był to po prostu spis domowych wydatków, chociaż liczba na samym dole sprawiła, że Gabriel zagwizdał bezgłośnie. Pieniądze nie stanowiły w tym domu problemu.

Przewijał listę plików dalej, aż nagle zatrzymał się. Dziennik. Strzał w dziesiątkę.

Najechał myszką na nazwę pliku i kliknął. Ale tutaj skończyła się jego dobra passa. Ekran opustoszał i pojawiło się pytanie o hasło. Furtka zamknięta.

Oczywiście hasło niekoniecznie musiało być bardzo skomplikowane. Jeśli znało się osobę, którą chciało się szpiegować, czasem nie tak trudno było się go domyślić. Większość prywatnych użytkowników posługiwała się słowami związanymi z ich codziennym życiem i zainteresowaniami. Lecz Gabriel nie znał Minnaloushe i Morrighan Monk i nie miał pojęcia, czym się interesowały. Zatem kiedy wpisał imiona sióstr — tylko jak, u licha, pisze się „Minnaloushe” — i nie uzyskał odpowiedzi, pogodził się z porażką.

Odchylił się na krześle z rękami założonymi za głowę. Więc na tym koniec. Był w kropce. Przynajmniej na razie. Ale już sam fakt, że Dziennik był jedynym chronionym hasłem plikiem, który udało mu się znaleźć, musiał coś oznaczać. Będzie trzeba poradzić się Izydora i

ułożyć jakiś plan. Może zdołają zyskać dostęp przez podanego mailem. Nie będzie to jednak bułka z masłem. Na pasku zadań komputera, który Gabriel miał przed sobą, znajdowała się ikona programu antywirusowego Kaspersky. KAV nie miał sobie równych: jego zdolność do wykrywania wirusów była wręcz niesamowita. Izydor będzie musiał porządnie się nagłowić.

Gabriel obrócił się na krześle i spojrzął na Maca. Może przy tym komputerze bardziej mu się poszczęści. Wcisnął klawisz enter i wygaszacz zniknął.

Gabriel przerwał. Dziwne. Po pierwsze, komputer nie był podłączony do Internetu. Po drugie, wydawał się służyć wyłącznie do przechowywania jednego dokumentu. Dokument ten nazywał się „Klucz Prometeusza”.

Brzmiało interesująco. W Oksfordzie Gabriel chodził na zajęcia z kultury i historii klasycznej i swego czasu uważał się nawet za entuzjastę starożytności. Prometeusz, jeśli go pamięć nie myliła, wykradł bogom iskrę ognia, by ofiarować ją ludzkości i otworzyć ich umysły na wiedzę. Został za to ukarany przez Zeusa i dożył swoich dni przykuty do skały, podczas gdy ogromny orzeł wyjadał mu wątrobę. Niezła historia. Ci greccy bogowie się nie cackali.

Gabriel bez większej nadziei kliknął na dokument. Tak jak się spodziewał, ten również był chroniony hasłem.

Dwa chronione pliki. Na pewno w którymś momencie przyda mu się rzucić na nie okiem. Tylko że w przypadku Maca istniało jeszcze spore dodatkowe utrudnienie. Ponieważ komputer nie był podłączony do Internetu, on i Izydor nie będą w stanie zyskać do niego wygodnego dostępu z zewnątrz przez szerokopasmowe połączenie. Żeby się włamać, Gabriel będzie musiał wrócić tu osobiście. Nie była to szczególnie zachęcająca perspektywa. O wiele bardziej wolał obserwację z daleka.

Jednak w tej chwili nie było sensu tracić czasu na komputery. Kiedy rzucił okiem na zegarek, ze zdumieniem odkrył, że spędził w tym domu już całe czterdzieści minut.

Kiedy podnosił się z krzesła, zamarł. Na półce tuż przed nim, na wysokości oczu, stał szklany pojemnik. W środku znajdowały się kamyczki, piasek i kawałki skał oświetlone słabym fioletowym światłem. Miniaturowy, upiorny krajobraz pustynny. Na jednej ze skałek, ostrożnie balansując na włochatych nogach, zawisł niczym duch jeden z największych pajaków, jakiego Gabriel kiedykolwiek widział.

Zamrugnął. Stworzenie wydawało się nie całkiem rzeczywiste — jak widziadło, jakaś senna mara. Gabriel zdał sobie sprawę z tego, że zaczyna mu się podnosić poziom adrenaliny. Obraz pajaka ominął analityczną część jego mózgu i wysłał impuls prosto do jądra migdałowatego.

Z wahaniem zbliżył twarz do pojemnika. Lawendowe światło sprawiało, że trudno było określić kolor pajaka, i wzmagało jeszcze wrażenie, że stwór został żywcem wyjęty z jakiejś wyjątkowo kiepskiej narkotykowej halucynacji. Sam jego korpus musiał mieć jakieś dziesięć centymetrów. Nogi zdawały się unosić w powietrzu. No i te ogromne kły. Gabriel nie był ekspertem, ale miał niemal całkowitą pewność, że patrzy na tarantulę. To powinno go uspokoić. Tarantule były nieszkodliwe dla ludzi — przynajmniej tyle wiedział. Gdzieś nawet czytał, że niektórzy trzymali je jako domowe zwierzątka.

Zwierzątka? Spojrzał na terrarium. Pająk niemal niedostrzegalnie poruszał przednimi odnóżami. Gabriel poczuł mdłości, kiedy rozpoznał ciemną plamę z jednej strony pojemnika. Był to na wpół zjedzony świerszcz.

O rany. To już przesada. Gabriel zmusił się, by oderwać wzrok. Nie mógł marnować czasu na to obrzydlistwo. Ale co jeszcze, u diabła, czekało na niego w tym domu?

Następnym pokojem była ciemna mahoniowa jadalnia, za nią zaś znajdowała się toaleta dla gości, zaprojektowana chyba dla Pigmejów, oraz dość przyzwoita kuchnia. Gabriel otworzył lodówkę i zajrzał do środka. Butelka szampana marki Krug dzieliła półkę z kilkoma smakowicie wyglądającymi kartonikami i tackami, na których znajdowały

się naklejki z delikatesów Harrodsa. Gabriel uniósł rozek jednego z białych pudełek. Confit z kaczki. Może panienki miały dziwny gust, jeśli chodziło o literaturę i wystrój wnętrz, nie mówiąc już o zwierzętach, ale w sprawach jedzenia pokazały prawdziwą klasę.

Na ścianie, po przeciwnej stronie pomieszczenia, wisiały dość ciekawie wyglądające grafiki. Nie były to obrazki z rodzaju martwych natur, których człowiek spodziewa się w kuchni: żadnych wesołych pomidorków ani kolbek kukurydzy. Wykonane zostały akwarelami i, mówiąc ogólnie, były niezwykle dziwaczne. Masa gołych hermafrodytów w wiejskim otoczeniu, pływających w pobliżu buchających ogniem palenisk. Upiorne mrowie węży, słońc i księżyców.

Pod ścianą stał wiejski sosnowy stół co najmniej trzymetrowej długości. Znajdował się na nim komplet miedzianych mis oraz, co ciekawsze, flaszki o szerokich dnach z rodzaju takich, jakie można zobaczyć w laboratoriach chemicznych. Do chromowych podstawek były przymocowane kuliste kolby, razem zaś z palnikami Bunsena i wolno stojącymi płytkami grzewczymi stały naczynia do filtrowania o długich szyjkach. Na płytach półeczkach przy ścianie ustawione były schludnie liczne torebki z brązowego papieru, podpisane kształtnym charakterem pisma: *Juniperus virginiana*, sumak karłowaty (łodyga), *Trifolium pratense*, *Viscum album*, *Rosa canina*...

Półka poniżej zastawiona była plastikowymi pojemnikami. Gabriel podniósł jeden z nich i uchylił wieczko. Na wierzchu napisane było „popiół zasadowy”, więc spodziewał się, że w środku będzie pył. Zamiast tego pojemnik wypełniony był po brzegi białą, mazistą substancją. Gabriel powąchał ją. Właściwie nie śmierdziała, ale teraz znalazł już pochodzenie tego ostrego zapachu, który wyczuł po wejściu do domu.

Wszystko to było niezwykle fascynujące, jednak nie dostarczało żadnych wskazówek co do losów Roberta Whittingtona. I jak dotąd podczas eksploracji domu Gabriel nie rozpoznał żadnego z pokoi. Nie widział ich w swoim zjeździe. Jedyne, co poznawał, to symbol Monas. Był wszędzie: znajdował się nawet na drzwiach do kuchni.

Siostry musiały go bardzo lubić. Gabriel zanotował sobie w pamięci, żeby spytać o to Izzydora.

Kuchnia wychodziła bezpośrednio na przedpokój o wysokich ścianach i drewnianych listwach przypodłogowych wysokości co najmniej trzydziestu centymetrów. Pełno w nim było roślin doniczkowych: paproci, aksamitnych fiołków afrykańskich, dużej liczby mlecznych orchidei, siedzących obok siebie na niskim parapecie niczym duchy. A jeszcze więcej było róż. Te kobiety miały jakąś obsesję na ich punkcie. Sam Gabriel także lubił zieleń, ale to było jak przedzieranie się przez cholerną dżunglę.

Na ścianie, na mocno wytartych wieszakach, wisiało kilka lekkich płaszczy przeciwdeszczowych i żakietów. Przechodząc obok nich, Gabriel zauważył jedwabisty szal w kolorze fuksji, który zsunął się z wieszaka i leżał na ciemnej drewnianej podłodze jak kałuża roztopionych klejnotów. Pochylił się, by go podnieść. Szal był przesiąknięty perfumami. Gabriel wyczuwał je nawet kiedy ostrożnie drapał szal na ramionach połyskliwego wieczorowego żakietu. Obudziło to w nim jakieś wspomnienie. Kobieta z jego zjazdu — czy przypadkiem nie pachniała tymi samymi perfumami? Na chwilę skoncentrował się mocno, po czym zrezygnował. Problem w tym, że chociaż ten zapach coś mu przypominał, to jednak zajmował bardzo niewielką część jego pamięci. Nie można było mieć pewności.

Gabriel postawił nogę na pierwszym stopniu schodów i spojrzął w górę, gdzie rozwijały się one w pełną gracji eliptyczną spiralę. Ażurowa poręcz z kutego żelaza była przepiękna. Ale kiedy zaczął wchodzić na górę, skrzywił się. Schody były z drewna i trzeszczały. Głośno. Byłby to prawdziwy kłopot, gdyby musiał ponownie odwiedzić dom w czasie obecności właścicielek.

Na pierwszym piętrze znalazł niewiele: surowo urządzony pokój w błękicie i bieli, który wyraźnie służył jako pokój gościnny, oraz przylegającą do niego łazienkę. Jedyne pozostałe na tym piętrze pomieszczenie zostało przerobione na wyjątkowo obszerną garderobę, z której

najwyraźniej korzystały obie siostry. Świadczyły o tym chociażby buty w różnych rozmiarach.

Wzdłuż ścian biegły drążki, z których zwisały się udrapowane na obciągniętych materiale wieszakach suknie. Były także półki z pudłami na kapelusze, wzorzystymi bluzkami i stertami swetrów. Siostrzyczkom nie brakowało ubrań. I z pewnością nie kupowały ich w H&M. Gabriel spojrzął na metkę wszytą w kołnierzyk brązowego kostiumu: Gucci. Pasujące do niego buty były od Christiana Louboutina. Gabriel zastanawiał się, skąd brały na to pieniądze. Frankie nie znała żadnych konkretów. Nie wiedziała, jak siostry zarabiały na życie. Pewnie to dziedziczna fortuna, pomyślał Gabriel, przesuwając dłonią po jedwabistej wieczorowej sukni z odkrytymi plecami i diamentową lamówką. Niektórzy rodzili się pod szczęśliwą gwiazdą. Inni sami musieli zapracować na szczęście.

W normalnych okolicznościach Gabriel z radością spędziłby trochę czasu wśród pachnących jedwabi i koronek, lecz teraz, kiedy tak patrzył na te wszystkie półki z damską bielizną i innymi parafenalia-
mi, czuł się jak jakiś zboczony podglądacz. Właściwie, mówiąc szczerze, ten dom zaczynał działać mu na nerwy. Z jednej strony go fascynował — z pewnością nie była to jedna z tych wypełnionych kiczem rezydencji — lecz było w nim też coś takiego, co sprawiało, że Gabriel czuł się nieswojo. Miałby duży kłopot z ujęciem tego w słowa — mógłby co najwyżej powiedzieć, że czuł się tak, jakby dom wstrzymywał oddech, przez co on sam też miał ochotę to zrobić. Musiał przyznać, że brzmiało to absolutnie niedorzecznie.

W każdym razie wątpił, że znajdzie jakieś ślady Roberta Whittingtona wśród butów od Jimmiego Choo i torebek marki Birkin. Może na następnym piętrze bardziej mu się poszczęści? Jeszcze raz skierował się w stronę schodów.

Kiedy doszedł do górnej kondygnacji, zatrzymał się, lekko zdyszany. Na prawo od niego znajdowało się łukowato zwieńczone okno. Na szczycie schodów stała wysoka i bardzo piękna komoda z orzecha

włoskiego. Po obu jej stronach znajdowały się zamknięte drzwi. Pewnie prowadziły do sypialni.

Kiedy Gabriel wyciągał dłoń, by przekręcić klamkę drzwi po lewej, coś kazało mu się zatrzymać. Dlaczego zniecka miał wrażenie, jakby ktoś go obserwował?

Odwrócił się i obejrzał przez ramię. Za nim ciągnęły się puste schody. Słońce naprawdę już zachodziło i łukowate okno stało się ramą dla spalonego, pomarańczowego nieba, zamglonego od smogu. Dzięki oknu miejsce, w którym stał Gabriel, nadal było oświetlone, lecz kiedy odsunął się od zamkniętych drzwi i wyjrzał przez poręcz, przedpokój w dole był niemal zupełnie ciemny. Pajęczynowe paprocie na konsolce i wiszące na wieszakach płaszcze prawie nie rzucały cieni.

Gabriel wyprostował się powoli. Zachowywał się absurdalnie. Nikogo tam nie było. Jeszcze raz podszedł do drzwi i przekręcił klamkę.

Obok jego ucha śmignęła nagle z nienawistnym sykiem czarna smuga. Coś zeskoczyło z komody za jego plecami i zniknęło właśnie za uchylonymi drzwiami. Było to tak nieoczekiwane, że Gabriel z osłupieniem wbił oczy w drzwi. Rozum mówił mu, że to tylko kot, ale tętno podskoczyło, a włosy stanęły dęba.

Ostrożnie otworzył drzwi szerzej. Skrzypiały w zawiasach tak, że aż zęby bolały. Krok dalej smolście czarny kot z falującym ogonem i uniesioną wyczekująco łapą obserwował go wrogo. Prychnął na niego i wydał gardłowy przejmujący dźwięk. Brzmiało to jak wrzask obdzieranego ze skóry dziecka.

— Kici, kici, kici... — Gabriel wyciągnął uspokajająco rękę. Wszystko, byleby uciszyć ten nieziemski głos.

Kot skoczył z prędkością światła i w następnej chwili Gabriel spoglądał na cztery głębokie szramy na nadgarstku. Ilość krwi wzbierająca w rozcięciach była doprawdy zaskakująca.

Jasna cholera. Znowu poczuł mdłości i lekki zawrót głowy, co było niedorzeczne — w końcu nie odniósł śmiertelnej rany. Wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa i niezdarnie obwiązał nią nadgarstek. Jeśli nie

będzie ostrożny, wszędzie zostawi ślady krwi.

Wcisnął przełącznik światła przy drzwiach, żeby lepiej widzieć: nie było sensu dawać temu piekielnemu pomiotowi dodatkowej przewagi. Kot zwięził źrenice. Wciąż miauczał głośno. Był to nieznośny dźwięk. Gabriel ruszył groźnie w stronę kocura, który musiał wyczuć, co się święci, bo natychmiast wdrapał się po zasłonie na szafę i przyczaił tam jak spięta futrzana kula, łypiąc na niego z wredną miną. Ale przynajmniej przestał zawodzić.

No dobra. Pora się zbierać. Gabriel wziął głęboki oddech. Zdezynfekuje rany, kiedy dotrze do domu. Ale na razie — ignorować kota. Skupić się na swoim zadaniu. Musiał tylko pamiętać, żeby przed wyjściem wykopać stąd to cholerstwo. Pewnie drzwi zostały zamknięte specjalnie po to, żeby przekłety zwierzak nie laził po pokoju.

A był to uroczy pokój. Teraz, kiedy serce przestało mu walić w piersiach, Gabriel mógł poświęcić wnętrzu całą swoją uwagę. Dominującymi kolorami były brzoskwiniowy i różowy, lecz choć z taką paletą łatwo popaść w ekliwość, ten pokój absolutnie nie był przesłodzony. Stojąca na toalecie gigantyczna czaszka wieloryba, której jeden oczodół wypełniony był stokrotkami, stanowiła pierwszy dowód na to, że sypiąca tu osoba miała oryginalny gust. Nie wspominając już o poczuciu humoru. Lampka przy łóżku była fioletowa, plastikowa, i do tego w kształcie *Dawida* Michała Anioła. To znaczy, była to postać Dawida minus głowa.

Na łóżku leżała otwarta bombonierka i chusteczka z odciskiem jasnoczerwonej szminki. Gabriel nie mógł opanować uśmiechu. Wszystko to było cudownie kobiece. Na kołdrze obok bombonierki leżała otwarta, lecz odwrócona wierzchem do góry książka z postrzępionym grzbietem. Rzucił okiem na tytuł: *Umysł Hermesa*. Bez wątpienia fascynująca lektura.

Biorąc ją do ręki, Gabriel uważał, by zostawić ją otwartą na tej samej stronie. Książka wyglądała, jakby przeczytano ją od deski do

deski kilkanaście razy. Powlekany papier zmiękł od zaczytania, czcionka była rozmazana. Uwagę Gabriela przyciągnął mocno podkreślony ołówkiem fragment: *jeśli obejmiesz myślą wszystko naraz, czas, miejsce, substancją... pojmiesz Boga*. Na marginesie ktoś dopisał ścisłym, lecz pełnym zawijasów kobiecym pismem:

Boskość została wygnana z uniwersum, w którym żyjemy. Próbujemy stworzyć doskonałą maszyną umysłu, ale utraciliśmy alchemiczny impuls i pragnienie, by przemienić się w człowieka boskiego. Zamiast pozwolić nam ogarnąć bogactwo wszechświata, maszyna umysłu sprawiła, że nasze mózgi są puste jak papierowy kubeczek, są bezwartościowe – kawał tkanki mogący jedynie odbijać wiedzę o wszechświecie, nie chłonąć ją!!!

Gabriel skrzywił się. Maszyna umysłu... komputer? I jaki znowu alchemiczny impuls? Same słowa były dość niejasne, ale trudno było nie zauważyć pasji, jaka się za nimi kryła. Świadczyło o niej chociażby hojne zastosowanie wykrzykników.

Cóż, co komu pasi, jak powiedziała by Izydor. Przemiana w boskiego człowieka nie plasowała się wysoko na liście priorytetów Gabriela. Wyznawał zasadę, że dobre życie jest najlepszą zemstą.

Właśnie miał odłożyć książkę, kiedy rozdzwonił się przypięty do jego paska telefon. Nagły hałas sprawił, że Gabriel poderwał się z miejsca.

— Halo?

— Gabriel! — Tylko jedno słowo, ale słychać było, że Frankie jest zmęczona.

— Frankie, cześć. Co się dzieje? — mówiąc to, Gabriel spojrzął na zegarek. Przebywał w domu od sześćdziesięciu minut. W Casa Whittington pewnie nie zabrali się jeszcze za przystawki z kawiozem.

— Wracają. A właściwie wyszły stąd nieco ponad kwadrans temu.

— Co? Czemu nie zadzwoniłaś?

Piętnaście minut. Cholera. Pewnie stały już pod drzwiami.

— Przepraszam. Ale William źle się poczuł. Dlatego właśnie prze-rwaliśmy przyjęcie — głęboki oddech. Jej głos był napięty. — Możesz sobie wyobrazić, że telefon do ciebie nie był pierwszą rzeczą, o której myślałam.

— Okej. Muszę się stąd wynosić. — Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl: — A co z nim?

— Wydobrzeje. To się ostatnio często zdarza. Ale dzięki, że pytasz. A teraz zmiataj stamtąd!

Gabriel przyczepił telefon do paska. Czas się zmywać. Odwrócił się i spojrzał na kota, który wciąż patrzył na niego z szafy złym wzrokiem. Będzie musiał jednak zostawić zwierzaka w pokoju i mieć nadzieję, że siostry pomyślą, iż same zapomniały zamknąć drzwi. Książka leżała z powrotem na łóżku, gdzie ją znalazł, więc z tym będzie spokój. Co jeszcze? Światło. Powinien wyłączyć światło.

Kiedy wyszedł na korytarz, jego wzrok padł na drzwi po drugiej stronie komody, wciąż zamknięte. Może zdąży jeszcze rzucić szybko okiem? Ostrożnie otworzył drzwi i wsunął głowę do środka. Kolejna sypialnia, tym razem w odcieniach lila i żółtym. Gabriel widział wszystko bez przeszkód, ponieważ ktoś zostawił włączoną lampę. Na połączanym lustrze, w którym odbijało się zasnutę moskitierą z gazy łóżko z baldachimem, udrapowane były długie bladoróżowe rękawiczki. Ale uwagę Gabriela przykuła ściana po przeciwnej stronie pokoju. Rozglądał się za zdjęciami — i wreszcie je znalazł. Prawdziwa galeria.

Amatorskie fotki, zdjęcia studyjne, czarno-białe, kolorowe. Dzie-siątki fotografii: wiele przyczepionych luźno do korkowej tablicy, z zachodzącymi na siebie krawędziami, inne elegancko oprawione.

Frankie mówiła mu, że siostry były atrakcyjne, a to, co Gabriel

zdołał dostrzec, kiedy wychodziły wcześniej z domu, zdawało się potwierdzać jej opinię. Lecz kiedy spoglądał teraz na te spowite ciszą twarze, Gabriel zdał sobie sprawę, że „atrakcyjne” było zbyt słabym określeniem. Te kobiety nie były po prostu konwencjonalnie ładne. Były zaskakująco, zapierająco dech w piersiach, piękne.

Minnalously — ta z rudymi włosami — była delikatniejsza. Kości policzkowe miała równie wysokie, jak siostra, ale rysy jej twarzy były bardziej zaokrąglone, mniej ostre. Usta miała pełne i łagodnie zarysowane, oczy bladozielone, o rozkojarzonym wyrazie, jakby dopiero co wstała z łóżka i spoglądała na świat zaspanym wzrokiem. Figurę miała niemalże krągłą: talia była bardzo wąska, lecz piersi dosyć ciężkie.

Morrighan, dla kontrastu, miała budowę atletki. Jej ramiona były szczupłe i umięśnione, jej długie nogi pełne gracji, lecz mocne. Miała niebieskie oczy, o barwie tak intensywnej, że wydawała się niemal sztuczna. Na jednym zdjęciu jechała konno. W surowym, czarnym jeździeckim żakiecie i hiszpańskim kapeluszu, z kłębiącą się u szyi koronką, wyglądała jak Andaluzyjka. Zdjęcie, zrobione z profilu, przykuwało uwagę. Widać było łeb konia, czarne wygięcie jego szyi i jedno szalone, wytrzeszczone oko. Dłonie amazonki w rękawiczkach trzymały wodze w stalowym uścisku. Wszystko to sprawiało wrażenie siły, koncentracji, elegancji.

Gabriel pomyślał, że między obiema kobietami istniało tylko niewielkie rodzinne podobieństwo — obie miały twarze w kształcie serca. Lecz jako dzieci wyglądały niemal jak bliźniaczki. Było tam kilka zdjęć z tego okresu — szczerbate zęby, włosy szczesane do tyłu w ciasne warkoczyki — w dodatku ich matka lubiła ubierać je w identyczne ubrania — sukienki z szarfami, skarpetki wykończone falbanką i dziecięce buciki o zaokrąglonych czubkach. Właściwie wyglądało to wszystko dość staromodnie. Nie było żadnych zdjęć w dżinsach, tenisówkach czy czapkach baseballówkach. Kiedy tak patrzył na te fotografie, Gabriel przypomniał sobie zdanie Johna Galswortha:

„Oczy człowieka są tym, czym jest on teraz, usta człowieka są tym, czym ma się stać”. Twarze dziewczynek nosiły nikle podobieństwo do ich dorosłych wcieleń, ale nawet w tak młodym wieku w ich oczach widać było zaskakująco dojrzałe poczucie humoru i inteligencję.

Kiedy jego wzrok przesuwał się po zdjęciach na ścianie, serce Gabriela na sekundę stanęło. Szukał Roberta Whittingtona i nagle, bez żadnego ostrzeżenia, odnalazł go. Miał przed sobą chudą, ascetyczną twarz, bezbronne oczy, uśmiech promieniejący zachwytem. Robert Whittington stał ramię w ramię z obiema siostrami, a zdjęcie zrobiono na tle czegoś, co wyglądało na miejski park. Hampstead Heath? Z tyłu widać było zieloną murawę, klomby kwiatów i kilka barwnych latawców unoszących się na bladym niebie.

Whittington wyglądał na szczęśliwego. Patrzył prosto w obiektyw. Po jego prawej stronie stała Minnaloushe, jedną ręką próbując przytrzymać falujące na wietrze włosy. Troszkę z tyłu, po jego lewej stronie widać było Morrighan. Szczupłymi palcami obejmowała jego ramię, jej spojrzenie zaś skierowane było w jakiś punkt za fotografującym.

Były także inne zdjęcia. Na większości z nich Whittington był sam. Na jednym znajdował się w ogrodzie, leżał na hamaku z jedną nogą dyndającą z boku. Na innym siedział oparty plecami o pień drzewa. Było to drzewo, które rosło przy basenie — tych płomiennoczerwonych kwiatów nie dało się z niczym pomylić. Było tam również zdjęcie, na którym chłopak robił śmieszny minę z komicznym zezem, i miał na sobie koszulkę z napisem *Hug not Drug*. Gabriel rozpoznał pomieszczenie. Był to salon Monk House: wskazywały na to afrykańskie maski na ścianie. A za ramieniem Whittingtona widać było wyraźnie wzór Monas.

Gabriel zobaczył także jedną czarno-białą fotografię w ramce o wymiarach osiem na dziesięć, która z jakiegoś powodu go zaniepokoiła. Przedstawiała Roberta Whittingtona i obie siostry w trakcie czegoś, co wyglądało na otwarcie wystawy w jakiejś modnej galerii.

Whittington przyglądał się uważnie jakiemuś obrazowi olejnemu. Minaloushe i Morrighan stały z tyłu, każda z kieliszkiem szampana w dłoni. Nie patrzyły na obraz, tylko na chłopaka. I to właśnie wyraz ich twarzy sprawił, że Gabriel się zatrzymał. Czujny, spragniony, ciekawski. I znowu to samo: ta ciekawość. Tak samo jak u kobiety nad basenem. Obie obserwowały Roberta Whittingtona z zainteresowaniem, które graniczyło z chciwością. Wydawały się podekscytowane, zafascynowane, podniecone. Jakby wszystkie ich zmysły były rozedrgane. Dlaczego?

Gabriel miał ochotę zabrać zdjęcie ze sobą, ale było oprawione i jego brak mógłby zostać zauważony. Zawahał się. Potem wyciągnął rękę i zabrał fotografię Roberta i obu kobiet na Hampstead Heath. Tak wiele zdjęć walczyło tu o przestrzeń, że chyba zabranie tego jednego niczym nie groziło.

Pora iść. Pora iść. Gabriel wsunął zdjęcie do wewnętrznej kieszeni kurtki i wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi. Zszedł szybko po schodach, teraz czarnych od cieni. Kiedy dotarł do najniższego stopnia, jakiś dźwięk sprawił, że przystanął. Był to odgłos przekręcanego w zamku klucza, i dochodził od frontowych drzwi — drzwi, które na jego oczach zaczynały się otwierać.

Gabriel ruszył prosto do drzwi salonu, lecz przedpokój z armią roślin doniczkowych był jak cholerne pole minowe. W jednej przerażającej chwili niemal zahaczył nogą o pochyloną aspidistrę. Lecz w końcu zdołał dotrzeć do salonu, a tam, po przeciwnej stronie, znajdowały się drzwi prowadzące do ogrodu. Jego droga ucieczki.

W przedpokoju za nim zapaliło się światło, żółta plama sięgnęła z korytarza aż do salonu i rozlała się po stopach Gabriela. Dźwięk kobiecego głosu — słowa niewyraźne, ale sam głos niski i przyjemny. Inny kobiecy głos, tym razem lekki i trochę zachrypnięty, powiedział:

— Ale musisz przyznać, że jest całkiem słodki!

Gabriel szybko przemierzył pokój, pamiętając, aby ominąć szerokim

łukiem chwiejny trzciny parawanik. Drzwi ogrodowe otworzyły się pod naciskiem dłoni i w końcu znalazł się na zewnątrz. Parne powietrze i hałas ulicy po przebywaniu w hermetycznie zamkniętym domu były dla niego szokiem. Gabriel cicho zamknął drzwi i przebiegł przez pociemniały ogród. Kiedy dotarł do furtki w murze, przystanął i obejrzał się.

Drzwi ogrodowe były jasno oświetlone, witraże w nich lśniły kolorowo, a kiedy Gabriel na nie patrzył, ktoś rozsunał okiennice przy jednym z okien i otworzył je szeroko. Gabriel usłyszał muzykę. Ogród pachniał różami, nocne powietrze przesiąknięte było ich wonią.

Na tle jasnego światła odcinały się dwie postaci. Stały przodem do siebie, ze zbliżonymi do siebie głowami. W ich postawie było coś ukradkowego, nawet skrytego. Gabriel zadrżał, chociaż nocne powietrze było ciepłe jak krew. Zapach róż nagle wydał mu się mdlący, sprawiał, że Gabriel poczuł się odurzony i bierny.

Kiedy tak obserwował obie kobiety, wydało mu się, że ta chwila zastygła w czasie. Dom z dwiema postaciami pogrążonymi w tajnej rozmowie, intruz przyglądający się z ciemności, ogród zalany wonią: był to zaczarowany świat z własnymi zasadami, daleki od Londynu, który rozciągał się wokół nich niczym pulsujący organizm. Czas stał tutaj w miejscu, nawet jeśli poza obrębem murów tego ogrodu płynął równo.

Jakiś samochód zatrąbił głośno, wrywając Gabriela z odrętwienia. Co on tu jeszcze robił? Był zmęczony, a jego dłoń pulsowała bólem w miejscu, gdzie zadrapał go kot. Nagle ogarnęło go jedno prężne uczucie — uciec daleko od tego domu. Obejrzał się w stronę oświetlonego okna. Postaci zniknęły.

Westchnął, tym razem z ulgą, i pospieszył do wyjścia. Ale kiedy odwracał się w stronę furtki, wydało mu się, że usłyszał — bardzo słabo — kobiecy śmiech.



Data wpisu: 23 czerwca

Nadal nie trafiłyśmy na nikogo do gry. M. sądziła, że znalazła kandydata, ale okazał się wielkim rozczarowaniem. Nie ma w nim żadnej ciekawości. Żadnego poczucia przygody. Zdecydowanie nie nadaje się na partnera do gry.

Zatem M. wykorzysta go teraz tylko jako kochanka. Ale szczerze wątpię, czy ją zadowoli. Bardzo przystojny, ale też wyraźnie tego świadomy, a żadna kobieta nie chce czuć, że mężczyzna, z którym jest, uważa się za ładniejszego od niej. Nie pobędzie tu długo.

Skoro już o tym mowa: idealny kochanek — jaki by był?

Byłby mężczyzną namiętym. Mężczyzną o gwałtownym umyśle. Mężczyzną o zręcznych palcach, który wie, jak należy dotykać. Uwiedzie mnie łagodnością i pozna mnie gwałtownie.

Subtelność. Maestria. Niebezpieczeństwo.

Gdzie znaleźć takiego mężczyznę? Jakie będzie nosił imię?

ROZDZIAŁ ÓSMY

— Więc mówiłeś, że kim on właściwie jest? — Frankie odwróciła głowę w jego stronę i zmrużyła oczy przed słońcem. Nalegała żeby usiąść przy stoliku na zewnątrz, chociaż Gabriel nie znoślił siedzieć na dworze. Spożywanie posiłku al fresco na wsi miało w sobie pewien sielankowy urok, ale w mieście siedziało się o wiele za blisko przechodniów, którzy pluli i kichali w talerz. Nie mówiąc już o spalinach.

— Izydor? To mój współpracownik. Spec od komputerów, i jest świetny w wyszukiwaniu różnych rzeczy. Poprosiłem, żeby sprawdził Minnaloushe i Morrighan Monk i zobaczył, czy znajdzie się tam coś ciekawego. — Gabriel spojrział na zegarek. — Obawiam się, że punktualność nie jest jego mocną stroną. Ale przyjdzie. — Podniósł rękę i skinął na kelnerkę. — Jeszcze kawy?

Frankie rozkruszyła na talerzu croissanta.

— Nie, dzięki. Wczoraj wieczorem wypiałam jej tyle, że starczy mi do końca życia.

— Jak się czuje William?

— Lepiej — powiedziała zwięźle.

Najwyraźniej nie była w nastroju do rozmowy. I wyglądała na zmęczoną. Czerwona sukienka, którą miała na sobie, tylko to podkreślała: wesoły kolor nie współgrał z bladością twarzy i suchymi ustami

Frankie. W jej oczach widać było wielki smutek.

Więc naprawdę zależało jej na tym facecie. Gabriel poczuł nagle i niepożądane ukłucie zazdrości. Frankie należała do przeszłości. Czemu obchodził go jej związek z mężem?

— Ty go naprawdę kochasz, prawda?

— Nie musisz mówić takim zdziwionym tonem.

— Ale powiedz szczerze, Frankie. Kiedy go poznałaś... czy to była taka miłość na zabój?

Frankie pochyliła się do przodu.

— To były motyle w brzuchu, wilgotne dłonie i fantazjowanie o północy. W nikim nie byłam bardziej zakochana.

— Ach.

Frankie uśmiechnęła się sardonicznie.

— Myślisz, że skoro byłeś w moim życiu, nikt inny nie będzie mógł się z tobą równać, prawda?

— Oczywiście, że nie.

Ale daj spokój, powiedział Gabriel w myślach. Co takiego miał Whittington, czego jemu brakowało? Tylko kilkaset milionów funtów.

Frankie pokręciła głową i krótko się zaśmiała.

— Jesteś niewiarygodny. Zawsze miałeś się za największe cudo pod słońcem. Najwyraźniej nic się nie zmieniło.

Gabriel spojrział na nią zimno.

— Och, Gabrielu. Przestań się dąsać. Opowiedz mi o swojej wizycie w Monk House. Mówiłeś, że poza zdjęciami nie było żadnych śladów Roberta?

Gabriel westchnął.

— Nie. I nie wyczułem w domu jego obecności. Żadnego śladu.

— A co z kobietą ze zjazdu, tą w masce i z krukiem na ramieniu? Wyczułeś jakiś jej ślad?

— Niestety, nie.

— Zupełnie nic?

Wzruszył ramionami.

— Zdecydowanie nie, ale wciąż uważam, że jesteśmy na właściwym tropie. Pytanie oczywiście, kim była ta kobieta ze zjazdu? Minnaloshe czy Morrighan? Widziałem zdjęcia ich obu, ale tamta kobieta była w masce, a włosy miała schowane pod kapturem, więc nadal nie wiem, która to mogła być.

Frankie zmarszczyła brwi.

— Są sobie bardzo bliskie. Skąd wiesz, że nie zrobiły tego razem?

Gabriel potrząsnął głową.

— Podczas zjazdu wyczułem tylko jedną. Nie dwie. Jeśli miało tam miejsce morderstwo, tylko jedna kobieta jest za nie odpowiedzialna. Tylko jedna fizycznie położyła rękę na głowie Roberta Whittingtona i wepchnęła go pod wodę. Ta druga być może wie, co zaszło, i może nawet wspierała siostrę, ale tylko jedna z nich faktycznie dokonała zbrodni.

— Zbrodni. Boże. — Frankie wzdrygnęła się. — To brzmi tak zimno. Zdajesz sobie sprawę, że będziesz musiał dokonać jeszcze jednego zjazdu? Spróbować tam wrócić; sprawdzić, czy tym razem nie uda ci się zrozumieć czegoś więcej.

— Tak, wiem. Myślałem o tym.

— Więc kiedy?

— Niedługo.

Jednak Gabriel zaczynał mieć ambiwalentne uczucia w stosunku do całej sprawy. Z jednej strony to, co zobaczył podczas zjazdu, głęboko go zaintrygowało — jak mogłoby być inaczej? To był naprawdę niezły odlot. Odczuwał więc zdecydowaną chęć dalszej eksploracji, która zawsze napędzała jego przygody z dalekowidzeniem.

Z drugiej strony nie bardzo podobało mu się doświadczenie popadania w obłąd. I nie miałby nic przeciwko temu, żeby pominąć również ten kawałek z topieniem. Co więcej: po tym konkretnym zjeździe, kiedy wreszcie wrócił do rzeczywistości, wciąż czuł się tak, jakby jego mózg był obity niczym piłka do rugby po ciężkim sezonie. Nigdy

wcześniej mu się to nie zdarzyło, i to go przerażało. Gabriel nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jeśli znowu zjedzie, będzie jak szalony naukowiec, który wstrzykuje sobie nieprzetestowany i być może morderczy specyfik, żeby przekonać się, czy działa.

— A przy okazji, miałam cię spytać... — Frankie wskazała ręką jego zabandażowany nadgarstek. — Co ci się stało?

— Miałem starcie z wściekłym kotem. W Monk House.

— A, pamiętam tego kocura. Czarny, prawda?

— Miły zwierzak. Niemal oderwał mi rękę.

Frankie uśmiechnęła się.

— Na pewno musiałeś go czymś rozdrażnić.

— Rozdrażnić?

— No, kiedy ja u nich byłam, mruczał i ocierał mi się o nogi. Prawdziwy pieszczoł.

Gabriel otworzył usta, by odpowiedzieć, ale w tym momencie na stolik padł jakiś cień. Gabriel poczuł na swoim ramieniu czyjąś dłoń.

— Przepraszam za spóźnienie.

Izydor uśmiechnął się szeroko. Miał na sobie różową koszulkę bez rękawów, a z gęsto pokrytych nadrukami spodenek kąpielowych wystawały jego białe, chude, włochate nogi. W ręce trzymał lśniącą, jasnobrązową teczkę. Razem z kąpielówkami tworzyła ona dość ciekawą kompozycję.

— I to nie byle jakie spóźnienie.

— Cholerne korki, cóż mogę powiedzieć? A do tego przed wyjściem zajrzałem do puszki po pringlesach w Pittypats. Nie zgadniesz: ci idioci wciąż korzystają z domyślnych ustawień WEP-a. — Izydor puścił do Gabriela oko.

— Puszka po pringlesach? — powiedziała Frankie ze zdumieniem.

Gabriel ostrzegawczo pokręcił do Izydora głową. Wiedział oczywiście, że Frankie zdawała sobie sprawę, czym się teraz zajmował, ale nie było potrzeby przypominać jej o co bardziej niechlubnych aspektach jego pracy. Puszka pringlesów była ich zaszyfrowanym określeniem na bardzo skomplikowaną antenę kierunkową, której używali

do namierzania systemów bezprzewodowych.

Izydor opadł na krzesło naprzeciwko Gabriela. Wyciągnął rękę i powiedział:

— Pani Whittington. To prawdziwa przyjemność.

Frankie uściśliła jego dłoń z lekkim zdziwieniem.

— Dzięki. Ale proszę, mów mi Frankie.

— Frankie. Ekstra imię.

Frankie uśmiechnęła się, wyraźnie oczarowana.

— Dziękuję, że mi pomagasz.

— Nie ma sprawy. — Izydor sięgnął po teczkę i spojrzął na Gabriela. — Udało mi się zebrać w Internecie całkiem sporo wiadomości o siostrach Monk. Nie wiem, czy na coś się to przyda, ale mimo wszystko proszę. — Wyciągnął z teczki pomarańczowy segregator. Rozłożył go przed sobą na stole i zamrugał jak sowa.

— Cokolwiek o herbie, o tym Monas?

— To nie herb. To sigil.

— Co?

— Sigil, pieczęć albo przedmiot posiadający rzekomo okultystyczną moc, wykorzystywany w astrologii lub magii — Izydor mówił z przesadną cierpliwością kogoś, kto musi coś tłumaczyć niezbyt bystremu uczniowi.

— Co ty nie powiesz. Więc o czym tu mówimy, o czarnoksięstwie?

Izydor ściągnął usta.

— Cóż, czarnoksięstwo to słowo bardzo negatywnym zabarwieniu, nie uważacie?

— Och, na litość boską, Izydorze. Do rzeczy. Co to, u licha, jest?

— Dobra, dobra. — Izydor wykonał ręką pojednawczy gest. — Przede wszystkim pełna nazwa tego sigila to *Monas Hieroglyphica*: hieroglificzna monada. W tysiąc pięćset sześćdziesiątym czwartym roku pewien doktor John Dee wykorzystał ją jako frontysepis swojej książki o mistycyzmie, zawierającej wszelkiego rodzaju niejasne

odwołania do numerologii, kabały, astrologii, kosmologii i matematyki. Ciężka rzecz. Podobno jest to przytłaczająco złożone dzieło, a Dee zdołał napisać je w jakimś szaleńczym porywie w ciągu zaledwie dwunastu dni. Mówię wam, facet był Jedi.

— Ale co to przedstawia?

— Monas to kilka astrologicznych symboli złożonych w jeden: Dee wierzył, że przedstawia to kosmiczną jedność.

— Nadal nie wiem, co to właściwie jest.

— Chodzi o to, że to nie tylko symbol, rozumiesz? To pieczęć obdarzona prawdziwą mocą astralną. Nie tylko ją wyobraża, ale też ją posiada. Więc nie tylko odzwierciedla jedność wszechświata. To narzędzie, za pomocą którego można zjednoczyć samą psychę. I jest to również symbol inicjacji. Każdy, kto nosi na sobie ten znak, sygnalizuje, że został odmieniony.

— Alchemia — powiedziała Frankie cichym głosem. — O to w tym wszystkim chodzi, prawda? O transformację.

Izidor spojrział na nią bystro.

— Tak. Zatem znasz się na tym.

— Alchemia była jedną z wielkich namiętności Robbiego. Przeczytał całe stopy książek na ten temat. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego wytatuował sobie to coś.

Gabriel patrzył to na Izidora to na Frankie. Czuł się odsunięty poza nawias, jakby tamci posługiwali się jakimś obcym językiem i rozmyślnie nie pozwalali mu zrozumieć.

— Ale przecież w alchemii chodzi o przemianę ołowiu w złoto, prawda?

Izidor pokręcił głową.

— To tylko część zagadnienia. Tak naprawdę alchemicy próbowali przemienić duszę. A nawet ciało. Istnieją przekazy o alchemikach dożywających niewiarygodnie długiego wieku. To znaczy ci, którzy nie zatruli się chemikaliami, których używali.

— Więc kim był ten John Dee?

— A, i tu właśnie zaczyna się robić ciekawie. John Dee to wzorcowy okaz człowieka renesansu. Był geniuszem matematycznym. Jego dzieło wyprzedziło Newtona o niemal sto lat — a bez jego zdolności kartograficznych większość najważniejszych morskich wypraw badawczych epoki elżbietańskiej nie byłaby możliwa. Co więcej, był też doradcą i tajnym agentem królowej Elżbiety I. Jego szpiegowskim pseudonimem było zero zero siedem. Nieźle, nie? — Izydor uśmiechnął się. Doskonale się bawił.

— Fascynujące. I co?

— Cierpliwości, mój synu. Wszystko zostanie ci objawione. — Izydor pokiwał mądrze głową, a Gabriel ugryzł się w język. — Wśród wielu jego zainteresowań — ciągnął spokojnie Izydor — Dee był też głęboko zafascynowany okultyzmem, co, możecie mi wierzyć, było w tamtych czasach bardzo ryzykowne. Mogli cię spalić na stosie, zanim zdążyłbyś powiedzieć abrakadabra. Dee naprawdę bardzo dużo ryzykował. *Monas Hieroglyphica* to tak naprawdę książka o magii. Co więcej, Dee miał fioła na punkcie wiedzy, był od niej kompletnie uzależniony. Nie był zamożny, ale w pewnym okresie zgromadził najbardziej imponującą bibliotekę w całej Brytanii. Wiedza była dla niego magicznym eliksirem... albo trucizną, zależy, jak na to patrzeć. Chyba trochę przedawkował. I sfiksował. W końcu zaczął wierzyć, że potrafi kontaktować się z aniołami, i stał się pośmiewiskiem jemu współczesnych. Bardzo smutne, bo był naprawdę błyskotliwym człowiekiem.

— Wszystko to nadal nie tłumaczy, dlaczego siostry Monk mają cały dom oblepiony znakiem Monas. Praktycznie nie można zrobić kroku, żeby nie wpaść na ten symbol.

— Sigil.

— No dobrze. Sigil.

— Myślę, że możemy mieć tu do czynienia z przykładem rodowej dumy.

— Chcesz powiedzieć...? — Frankie pochyliła się do przodu i uniosła brwi.

Izydor skinął głową z dumą maga, który właśnie wyciągnął z kapelusza wyjątkowo pulchnego królika. — Minnaloushe i Morrighan Monk są bezpośrednimi potomkiniami doktora Johna Dee, największego umysłu epoki elżbietańskiej.

Frankie powoli odchyliła się do tyłu.

— Imponujące.

— Przyznaję. Sam nie pogardziłbym takim przodkiem jak Dee. Taki geniusz w puli genów jest dość silny, żeby przetrwać wieki.

— Nie, mam na myśli, że to imponujące, że udało ci się dokopać do tego wszystkiego.

Izydor starał się przybrać skromną minę.

— Mam pewne zdolności do...

— Węszenia — wtrącił Gabriel. — Wtykania nosa.

— Nie, to tylko zdrowa ciekawość. Poszerzanie wiedzy. Sam jestem w pewnym sensie człowiekiem renesansu.

Gabriel popatrzył na Frankie.

— Skromność to jedna z bardziej rozczulających zalet Izydora. Wiesz, że kiedy wchodzi do pokoju, musi to robić bokiem? — Frankie zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc. — Inaczej jego wielka głowa mogłaby utknąć w drzwiach. — Gabriel spojrzął z powrotem na Izydora i powiedział: — W porządku. Dobra robota. Zatem Monas to magiczna pieczęć stworzona przez wariata z szesnastego wieku.

— Natchnionego wariata.

— W porządku. Natchnionego wariata. A co z jego praprapraprawnuczkaami?

— Chyba opuściłeś kilka pra. Ale zobaczmy. Zatem, na początek, same siostry również praktykują alchemię. Ale tę mniej ezoteryczną. Produkują perfumy, napitki i kosmetyki do kąpieli oparte na zasadzie spagiryicznej.

— Spa - jakiej?

— Spagiryicznej. Rozbieranie na części i ponowne składanie. Rozkładanie surowców roślinnych na aktywne komponenty, po czym mieszanie ich znowu razem z osadem mineralnym czyli popiołem

zasadowym, by ponownie stworzyć zrównoważoną całość.

Gabriel przypomniał sobie stół ze sprzętem do chemii w kuchni Monk House.

— Chyba widziałem ich laboratorium. Więc one to sprzedają?

— Tak, przez Internet.

Gabriel skrzywił się.

— To brzmi tak, jakby były szurnięte. Udało ci się znaleźć o nich jakieś osobiste informacje?

— Oczywiście. I to jakże fascynujące. Siostry Monk. Minnaloushe Monk ma trzydzieści sześć lat, Morrighan jest o rok starsza. Ich matka odeszła, kiedy miały po kilkanaście lat...

— Tak jak matka Robbiego — wtrąciła Frankie.

— Chyba tak. — Izidor wzruszył ramionami. — W każdym razie Gabriel miał rację, sądząc, że to bogata rodzina. Zdaje się, że niczego im nie brakuje, i jako te polne lilije nie muszą pracować ani tkać. Handel przez Internet to dla nich tylko kieszonkowe.

— Pozwól więc, że zgadnę — powiedział Gabriel. — Zajmują się także dobroczynnością. I bywają w modnych miejscach. Glynderburne, Wimbledon, Henley, Puchar Świata Cartiera w grze w polo? Późne kolacje u Gordona Ramsaya albo w Sketchu? Latem południe Francji, zimą Aspen?

— Tak właściwie, to wcale nie. Dobroczynność zajmuje ważne miejsce w ich życiu, ale siostrzyczki mają też zainteresowania niezbyt typowe dla eleganckich dam. W przypadku Minnaloushe geny pradiadka Dee są bardzo wyraźne. Zrobiła doktorat w Imperial College, a tematem jej pracy była pamięć.

— Jest neurologiem?

— Nie, naukowcem. Jej dziedziny to matematyka i filozofia. Ale wygląda na wieczną studentkę. Nie ma żadnych danych o tym, żeby kiedykolwiek gdzieś uczyła. Ale opublikowała kilka prac. Ściągnąłem parę i wydrukowałem je dla ciebie. — Izidor podsunął Gabrielowi cienką teczkę. — Proszę. Lektura na dobranoc dla odważnych.

Gabriel bez entuzjazmu dotknął teczki.

— Dzięki. Nie mogę się doczekać.

— Na ile zdołałem się zorientować, reakcje na jej teorie były mieszane. Są tacy, którzy uważają ją za drugiego Einsteina, ale większość kolegów po fachu sądzi, że jest kompletną świruską. Problem tkwi częściowo w tym, że Minnaloushe zdaje się łączyć religię — albo przynajmniej duchowość — z tym, co większość naukowców postrzeża po prostu jako funkcje mózgu.

— Znowu echa papcia Dee.

— Właśnie. Tak czy inaczej, od pięciu lat niczego nie opublikowała.

— Więc co ostatnio porabia?

— No, poza produkcją bąbelków do kąpieli prowadzi również inny domowy interes: sprzedaje afrykańskie maski.

Gabriel przypomniał sobie obwieszoną maskami ścianę w salonie Monk House. Zastanawiał się wtedy, jak ktokolwiek mógłby chcieć żyć pod spojrzeniem tych wszystkich pustych oczodołów.

— Interes jest skromny, ale niezwykle dochodowy — ciągnął Izydor. — Znalazłem jej stronę aukcyjną i niektóre z tych masek sprzedają się po kilkanaście tysięcy dolarów. Nie żeby potrzebna jej była ta forsa. Dla niej to tylko dodatek.

— A Morrighan? Jaki ona ma powód, żeby wstawać z łóżka?

— Cóż, ona z kolei jest działaczką na rzecz środowiska. Bardzo ją obchodzi dobro matki Ziemi.

Gabriel jęknął.

— Tylko tego mi było trzeba. Kolejna, co przykuwa się do drzew. Pamiętasz Danielle? — Kiedyś Gabriel przez całe sześć miesięcy umawiał się z kobietą, która między innymi przekonała go, by w samym środku zimy na pięć dni przywiązał się do drzewa w ramach protestu przeciwko budowie wiaduktu. Było to bardzo krępujące i zupełnie nie w jego stylu. Po tym doświadczeniu pozostało mu bardzo żywe wspomnienie wilgoci i przygnębienia oraz niesprawne kolano,

które wciąż go bolało, kiedy było zimno. Gabriel pamiętał też, że przyjaciele Danielle mieli zniechęcająco pozytywne nastawienie i byli zupełnie pozbawieni poczucia humoru. Patrząc z perspektywy czasu, był zdumiony, że zdołał wytrzymać z nią tak długo. Seks musiał być naprawdę niezły. Izydor uniósł brew.

— Oczywiście, że pamiętam Danielle. Ale chyba nie całkiem chwytasz, o czym mówię. Ty myślisz o grzybicy i gardłujących zielonych. A Morrighan to zupełnie inny poziom. Jest prawdziwą ekowojowniczką. Pożarłaby Danielle na śniadanie. To członkini żeńskiej grupy o bardzo wojowniczym nastawieniu. Człowieku, te babki są jak Dzikie Kobiety. Nie biorą więźniów. Sama Morrighan także była notowana. Trzy razy ją aresztowano, a ostatnim razem złamała policjantowi szczękę. Narobiła tym sobie sporo kłopotów — Izydor wysunął z koszulki kartkę z ziarnistym kolorowym zdjęciem. — Wydrukowałem z Internetu. Ta w czerwonej czapce to Morrighan.

— Wielkie nieba. — Gabriel wbił oczy w fotografię. Przedstawiała ona dwie kobiety w strojach bojowych, spuszczone się po ścianie wielopiętrowego szklanego wieżowca jak para samobójczych artystek cyrkowych. Rozwijały między sobą monstrualnie duży transparent. Nie zdążyły jeszcze go napiąć, więc Gabriel był w stanie odczytać tylko pierwsze słowo sloganu: Bojkotujcie.

— Bojkotujcie co?

— Borgesse. To firma, która prowadzi i finansuje przedsięwzięcia bezpośrednio związane z genetycznie modyfikowanymi produktami spożywczymi.

Gabriel znowu spojrzął na zdjęcie.

— A zatem panienska lubi ryzyko. I przemoc. Ciekawe.

— Tak myślałem, że ci się spodoba. Ale przez ostatnie dwa lata siedziała cicho. Nie wiem, co przez ten czas knuła. Mogę tylko powiedzieć, że nie było to nic, co trafiło na nagłówki.

Frankie dotknęła wydruku jednym palcem.

— Czy Minnaloushe jest taką samą aktywistką jak jej siostra?

— No cóż, właściwie... — Izydor przerwał i uśmiechnął się. — Można powiedzieć, że Minnaloushe nie jest tak nastawiona na aktywność fizyczną jak Morrighan. Chociaż nie, jej zainteresowania są w sumie niezwykle fizyczne. Teraz jego uśmiech był bardzo szeroki.

— O czym ty mówisz?

— Chyba sam powinieneś sprawdzić. Zobaczyć znaczy uwierzyć. Znajdziesz ją pod tym adresem za, hmm... — Izydor spojrzął na zegarek — za jakąś godzinę.

Gabriel popatrzył na skrawek papieru.

— Stowarzyszenie Wino Życia?

— Tak. Zrobiłem już dla ciebie rezerwację.

— Rezerwację na co?

— Nieważne. Dopilnuj tylko, żeby zjawić się na czas. Wybacz, Frankie — powiedział Izydor przepraszająco — ale rezerwacja jest tylko dla jednej osoby.

— W porządku. Muszę wracać do Williama. — Frankie wstała. — Przy okazji — powiedziała, podnosząc torebkę — co z mężczyznami? Czy siostry miały jakieś znaczące związki?

— Z pewnością miewają „związki”, ale wątpię, czy można je nazywać znaczącymi. Te dziewczyny lubią skakać z kwiatka na kwiatek. Z tego, co zdołałem wyczytać na stronach towarzyskich, przez ich życie przewija się bardzo wielu mężczyzn. Ale panienki chyba szybko się nudzą. Wszyscy faceci, z którymi się zadają, mają bardzo krótki okres przydatności.

— Ja już się zbieram. — Frankie wyciągnęła dłoń do Izydora, po czym zmieniła zdanie i pochyliła się, żeby pocałować go w policzek. — Dziękuję, że zadałeś sobie dla mnie tyle trudu. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak bardzo to doceniam.

Izydor spuścił głowę.

— Nie ma sprawy. Cieszę się, że mogłem się przydać.

Frankie odwróciła się do Gabriela.

— Zadzwonisz?

— Jasne.

Kolejny uśmiech dla Izydora i Frankie odeszła wyprostowana,

stukając obcasami. Gabriel pomyślał, że była w niej jakaś dzielność. Zdążył już zapomnieć o tej cichej odwadze, która tak go pociągała, kiedy byli ze sobą w Oksfordzie.

— Miła dziewczyna. — Izydor dotknął policzka. — Naprawdę miła. Czemu wam nie wyszło? Gdyby chodziło o mnie, trzymałbym się jej ze wszystkich sił. Człowieku, to jedna z tych kobiet, z którymi chciałbyś się zestarzeć. Jak to się stało, że dałeś jej odejść?

Dobre pytanie. Czemu pozwolił jej odejść? Ponieważ nie był już w stanie patrzeć jej w oczy. Ponieważ w ich życie wpadła z siłą meteoru kobieta o imieniu Melissa Cartwright.

Gabriel potrząsnął głową.

— Dawne dzieje. — Jeszcze raz spojrzął na kawałek papieru w ręce i powiedział: — Ulica Three Lisson. To w Chelsea?

— No. Tylko kilka przecznic od Monk House.

— Stowarzyszenie Wino Życia. Dlaczego po prostu nie powiesz mi, co to jest?

— O nie! — Izydor pokręcił głową. — Nie śmiałybym psuć ci niespodzianki. — Uśmiechnął się szeroko. — Ale przygotuj się na coś niesamowitego!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Sztuka jest w istocie nie chlebem, lecz winem życia. Jean Paul Richter 1763–1825. Słowa te wymalowano zgrabnym pismem wysoko na jednej ze ścian. A poniżej: Sztuka to nie coś, co poślubiasz, lecz co gwałcisz. Edgar Degas 1834–1917.

Niezbyt poprawne politycznie, pomyślał Gabriel, ale w końcu Degas żył w epoce, kiedy trudniej było kogoś urazić. Jego oczy przesunęły się po zgromadzonych w pokoju ludziach. Byli tam sami mężczyźni, i wyraźnie panowała między nimi atmosfera serdeczności, a także jakby nieco wyblakłej swawoli. Na wpół pełne butelki wina — każda opatrzona imieniem właściciela — dzieliły przestrzeń ze sztalugami, biurkami zawalonymi płachtami papieru, ołówkami, pędzlami, szmatami i pudełkami pełnymi ogryzków kredy. Ktoś zdążył już wyjaśnić Gabrielowi, że po wstąpieniu do klubu nowych członków nie tylko zachęcano do przynoszenia własnego napitku, ale też pozwalano zostawić go w klubie na następny raz — stąd etykiety z imionami. Powietrze pachniało ostro terpentyną, co bez wątpienia musiało stępić wrażliwość każdego podniebienia na subtelniejsze niuanse bukietu wina, lecz Gabriel odnosił wrażenie, że tej grupki zupełnie to nie kłopotalo. A sądząc po tym, co widział, dla większości obecnych tam

mężczyzn opróżnienie flaszki czy dwóch w czasie jednego posiedzenia nie stanowiło żadnego problemu. Popatrzył na zegarek. Była dopiero jedenasta rano, lecz większość butelek była już odkorkowana.

Podszedł do niego mężczyzna drobnej budowy o białych włosach i rozwichrzonej brodzie.

— Poezja czy życie?

— Proszę? — przez chwilę Gabriel sądził, że tamten próbuje wciągnąć go w filozoficzną dyskusję.

Mężczyzna poklepał podkładkę z klipsem, którą trzymał na ramieniu.

— Jest pan zapisany na dwugodzinny kurs z Chaucera czy na jednogodzinne zajęcia z życia?

Dobre pytanie. Po chwili wahania Gabriel powiedział:

— Życie.

Nawet Izydor nie kazałby mu przez sto dwadzieścia minut słuchać *Opowieści kanterberyjskich*. Cholera — Gabriel miał taką nadzieję. Z Izydorem nigdy nic nie wiadomo.

— Nazwisko?

— Gabriel Blackstone.

Mężczyzna zajrzał na listę, przesuwając palcem — zielonym od pyłu z pasteli — w dół krótkiej listy nazwisk.

— Blackstone. Tak. — Wskazał kciukiem przez ramię. — Zarezerwowano dla pana sztalugi numer trzy. Proszę się rozgościć. Zaczniemy za pięć minut.

To było gorsze od Chaucera. Gabriel nie potrafiłby nic narysować nawet pod groźbą śmierci. Izydor spłonie za to w piekle. Podchodząc z obawą do sztalug, Gabriel zauważył przyczepioną do deski niewielką ulotkę.

STOWARZYSZENIE WINO ŻYCIA — PRZYSTAŃ DLA PROFESJONALNYCH I PÓLPROFESJONALNYCH ARTYSTÓW WIZUALNYCH, PISARZY ORAZ POETÓW — ZOSTAŁO ZAŁOŻONE W TYSIĄC OSIEMSET CZTERDZIESTYM TRZECIM ROKU I PRZETRWAŁO DWIE WOJNY ŚWIĄTOWE, KRYZYS EKONOMICZNY ORAZ KILKA PRÓB ZMUSZENIA DO

ZMIANY SUROWEJ POLITYKI „TYLKO DLA PANÓW”. DRZWI KLUBU OTWIERAJĄ JEDNAK SWE PODWOJE DLA DAM W PIERWSZĄ SOBOTĘ KAŻDEGO MIESIĄCA. GOŚCINNE WIZYTY DLA DŻENTELMENÓW ZAINTERESOWANYCH WSTĄPIENIEM DO KLUBU MOŻNA UMÓWIĆ ZA USTALONĄ OPŁATĄ.

Żadnych pań. A to nie była pierwsza sobota miesiąca. Izydor mówił, że będzie tu Minnaloushe Monk. Jeśli nie wpuszczano tu żadnych kobiet, to co on tu u diabła robi?

Drzwi po przeciwnej stronie sali otworzyły się. Do podestu na środku pokoju podeszła kobieta, owinięta w biały szlafrok. Była boso i miała długie włosy do ramion. Długie, rude włosy.

Gabriel wbił w nią oczy. Kompletnie opadła mu szczeka. Kobieta odwróciła się plecami do sali i zsunęła szlafrok z ramion. Była naga. Dość szerokie ramiona, piękne długie plecy i delikatny tatuaż przy podstawie kręgosłupa. Gabriel rozpoznał wzór z poczuciem absolutnej nieuniknioności. Coś, co wyglądało jak znak kobiecości nałożony na różę. Monas. Oczywiście. Cóżby innego.

Odwracając się przodem do zebranych, kobieta z gracją opadła na stertę ułożonych na podeście poduszek, wyciągając smukłe ciało. W ogóle nie próbowała się zasłaniać. Uniosła lekko jedną nogę, drugą ułożyła w płaski trójkąt, opierając stopę o wewnętrzną stronę uda. Poza nie pozostawiała absolutnie żadnego pola dla wyobraźni.

Ciężkie piersi z ciemnymi, różowymi aureolami. Krągłe biodra i ramiona. Z pewnością nie miała nadwagi, lecz była w niej jakaś miękkość, jakaś obfitość niemal staromodna w czasach, kiedy w cenie był bardziej kanciasty typ urody. Miała długie, bardzo zgrabne nogi i wąskie kostki. Gabriela uderzyło to, jaka była rozluźniona. Nie było w niej ani śladu napięcia. Twarz miała spokojną, a w oczach ten zamyślony wyraz, który rozpoznawał z fotografii widzianych w Monk House. Jakby dopiero co obudziła się z wyjątkowo realnego snu. I pomyśleć, że za tymi przejrzystymi oczami krył się umysł z doktoratem.

Jednak w tym konkretnym momencie to raczej nie jej umysł najbardziej go interesował. Przygotuj się na coś niesamowitego, powiedział Izydor. Cóż, ten widok z pewnością był niesamowity. Gabriel ledwie był w stanie przełknąć ślinę, tak mu zaschło w ustach.

Ale nie mógł po prostu siedzieć tam w osłupieniu. Ścisnął w spoczonej dłoni kawałek węgla i niepewnie narysował kilka cienkich jak szept linii. Ale jak przenieść to wspaniałe ciało na płaską pustkę niezczułego kawałka papieru — to dopiero pytanie. I co ważniejsze — jak zignorować to wspaniałe ciało, i skupić się wyłącznie na technice. Gabriel rozejrzył się ukradkiem dookoła. Pozostali mężczyźni w grupie wydawali się nie mieć problemów z wepchnięciem niskich popędów z powrotem do jaskini. Nie było absolutnie żadnych lubieżnych spojrzeń ani cmokania. Wszyscy szkicowali energicznie i — Gabriel nie mógł tego nie zauważyć — zaskakująco umiejętnie. Przy sztaludze po jego lewej stronie stał mężczyzna, który stanowił wierny klon Vin Diesela — koszula w kratę, napompowane bicepsy, wygolona czaszka. Trzymał węgiel niezwykle delikatnie i rysował z podziwu godną pewnością. A to, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak przypadkowe maźnięcia, zaczynało przybierać kształt czegoś pięknego. I rozpoznawalnego. Dzieło samego Gabriela — jeśli nie zaliczyć go do kategorii kreskowych ludzików — wyglądało na dość żalostną próbę prymitywizmu.

Wszystkie oczy skierowane były na kobietę, lecz ona wydawała się prawie nieświadoma obecności mężczyzn. Patrzyła w jakiś nieco oddalony punkt, ale w jej obojętności nie było nic wystudiowanego. Od czasu do czasu mrugała — niemal w zwolnionym tempie — a jej oczy niespiesznie omiatały pokój. Gabriel dwa razy napotkał jej wzrok. Było to dziwne wrażenie. Pierwszy kontakt trwał zaledwie sekundę, ale Gabriel poczuł, jak przesywa go leciutki dreszcz. Za drugim razem jej oczy spoczęły na nim na dłużej, a jej spojrzenie pozostało przy nim jak dotyk nawet wtedy, gdy odwróciła wzrok.

Kiedy wstała i nasunęła z powrotem szlafrok, Gabriel był zaskoczony. Spojrzał na zegarek. Trudno uwierzyć, ale odkąd wszedł do pokoju, minęła już pełna godzina. Dookoła niego mężczyźni przeciągali się i pakowali sprzęt. Atmosfera wystudiowanego spokoju, która przeważała do tej pory, zaczynała się rozwiewać. Ktoś powiedział coś pod nosem, po czym rozległo się kilka głośnych wybuchów śmiechu.

Gabriel stał pochylony, grzebiąc w plecaku i szukając kluczyków do samochodu, kiedy zdał sobie sprawę, że obok niego stoją dwie bose stopy. Ich palce były małe, a paznokcie pomalowane na delikatny róż. Właśnie spędził całą godzinę, przyglądając im się uważnie. Były doprawdy prześliczne.

— Więc moja pupa jest aż tak wielka?

Gabriel wyprostował plecy. Minnaloushe Monk uśmiechała się zagadkowo, z rozbawieniem.

— Hm... — Gabriel popatrzył na płótno i swoją żalosalną artystyczną próbę. Naprawdę żenujące. Dzięki Bogu, że miała poczucie humoru.

Odwrócił się do niej ze skruchą.

— Proszę się nie gniewać. Winny jest brak zdolności artysty, nie uroda modelki.

Znowu się uśmiechnęła. Jej oczy były bladozielone, z delikatnymi plamkami żółci. Unosiły się lekko w kącikach, co przydawało jej wspaniałej, jakby kociej urody.

— Co za galanteria — jej głos był leciutko zachrypnięty — może się mylę, ale mam wrażenie, że jest pan... nowy, jeśli chodzi o rysowanie?

— To chyba kwestia entuzjazmu przewyższającego zdolności. Ale pani pozwoli, że się przedstawię. Gabriel Blackstone, niedoszły artysta.

— Hmm. — Po dłuższej chwili wyciągnęła rękę. — Jestem Minnaloushe Monk — uścisk miała lekki, ale z pewnością nie słabowity. — Zatem czym się zajmujesz, Gabrielu Blackstone? To znaczy, kiedy nie gonisz za muzą.

Wciąż się uśmiechała, ale Gabriel odnosił wrażenie, że przestała zwracać na niego uwagę, że z jakiegoś powodu straciła zainteresowanie rozmową. Odwróciła się lekko w bok, jakby zamierzała odejść.

Gabriel wziął głęboki oddech.

— Jestem złodziejem.

— I oczywiście kradniesz klejnoty — Minnaloushe ciągnęła rozmowę, ale tylko przez uprzejmość. Pewnie myślała, że to jakiś kiepski podryw.

— O nie. Nic aż tak romantycznego. Kradnę informacje.

Wreszcie spojrzała prosto na niego. Jej źrenice się rozszerzyły. Gabriel miał wrażenie, że dopiero teraz naprawdę się na nim skupiła, i zaczęła patrzeć na niego jak na osobę.

— Informacje?

— Dane.

— Jak?

— Przeważnie z komputerów wielkich korporacji.

Jeśli była zszokowana, z pewnością tego nie okazywała. Wpatrywała się w niego bystro, a w jej głosie brzmiało podekscytowanie.

— To musi być niesamowite uczucie: wszystkie te informacje dostępne na wyciągnięcie ręki.

Gabriel uśmiechnął się szeroko.

— Można tak powiedzieć.

— Przyswajasz je sobie?

Zamilkł. Nie był pewien, co miała na myśli.

— Sprzedaję je. Jak to złodziej.

— Oczywiście. — Minnaloushe nadal mu się przyglądała. Jej spojrzenie zmieniło się z lekko skupionego na laserowo intensywne. Gabriel zaczynał czuć się nieswojo.

— A ty? To dobrze płatna fucha? Takie pozowanie?

Roześmiała się.

— Raczej nie. To tylko coś, czym zajmuję się na boku. Normalnie sprzedaję maski. Głównie afrykańskie. Trochę polinezyjskich.

— Brzmi fascynująco. Chętnie obejrzałbym twój sklep.

— Pracuję w domu. — Minnaloushe wciąż przyglądała mu się bawdawczo. — Jeśli cię to interesuje, może pójdziesz ze mną i się rozejrzysz? Może coś przypadnie ci do gustu.

— Znaczy, teraz?

— Lepiej wcześniej, niż później. Daj mi tylko minutę na ubranie się. — Spojrzała na kluczyki w jego ręce. — Masz tu gdzieś samochód? Świetnie. Mieszkam w pobliżu, ale możesz mnie podwieźć.

Gabriel nie mógł uwierzyć, że tak łatwo mu poszło. Kiedy wyznał, że jest złodziejem, chciał ją zaintrygować, ale jakimś sposobem udało mu się wypowiedzieć magiczne słowo które sprawiło, że i teraz drzwi do Monk House miały stanąć przed nim otworem. Gdyby tylko wiedział, jak ono brzmiało. Może po prostu kręciło ją to, że łamał prawo. Bogata, znudzona panienka szukająca dreszczyku podniecenia.

Kiedy wróciła, miała na sobie długą letnią sukienkę na cienkich ramiączkach. Wyglądała młodziej, mniej wyrafinowanie. Lecz tym, co sprawiło, że Gabrielowi nagle zabrakło tchu, był cienki srebrny łańcuszek na jej szyi. Łańcuszek, z którego zwisał wisiorek w kształcie litery M.

— Wszystko w porządku? — Minnaloushe spojrzała na niego pytająco.

— Jasne. — Oderwał oczy od jej szyi. Jeśli będzie się tak gapił, na pewno ją wystraszy. Co więcej, było jeszcze za wcześnie na jakiegokolwiek wnioski, wisiorek czy nie wisiorek. Jednak trudno mu było opanować podekscytowanie. Nie miał żadnych wątpliwości. Łańcuszek na jej szyi był identyczny z tym, który nosiła kobieta przy basenie.

Doszli do jaguara. Otwierając przed nią drzwi, Gabriel przysunął się bliżej. Gdyby tylko zdołał wyczuć zapach jej perfum, i gdyby były to te same, którymi pachniała zamaskowana kobieta... Lecz tu spotkało go rozczarowanie. Minnaloushe pachniała mydłem i szamponem. Czysto, świeżo.

Zamknął drzwi i wsiadł od strony kierowcy. Kiedy przekreślał kluczyk

w stacyjce, Minnaloushe przesunęła palcem po desce rozdzielczej.

— Orzech włoski?

— Tak. Ale niestandardowy. Miałem szczęście, że udało mi się go zdobyć.

— XK sto pięćdziesiąt to mój ulubiony model. Ma najlepszą konstrukcję. I świetny moment obrotowy.

Gabriel oderwał oczy od jezdni i spojrzął przelotnie na Minnaloushe.

— Interesujesz się samochodami?

— Lubię je. Ale specjalistką jest moja siostra. Mogłaby pracować jako mechanik. Więc gdzie znalazłeś tę ślicznotkę? — znowu poklepała deskę.

— Wyszukałem w Internecie. Zakochałem się i kupiłem, nawet nie oglądając jej na żywo. Fakt, że kiedy wreszcie dostałem ją w swoje ręce, nie była w zbyt dobrym stanie. Trzeba było włożyć w nią dużo pracy, a w dodatku utrzymanie sporo kosztuje. Ale w końcu pamiętajmy, że ma już czterdzieści siedem lat.

— Mężczyzna, który potrafi docenić dojrzałą kobietę, to rzadkość. A poza tym wszystko, co jest coś warte, ma wysokie koszty utrzymania.

— I amen.

Nagle Gabriel zdał sobie sprawę, że odruchowo skierował samochód w stronę Monk House. Było to bardzo głupie, bo w końcu powinien udawać, że nie wie, gdzie mieszka Minnaloushe.

— Dokąd? — spytał szybko. — Jadę w dobrym kierunku?

— Hmm? Tak, w sumie tak. Jeszcze tylko dwie przecznice. Potem skręć w prawo. To będzie ten dom na rogu.

Tuż przed domem znajdowało się miejsce do parkowania. Kiedy Minnaloushe otwierała drzwi wejściowe, Gabriel wrzucił do parkometru kilka monet. Sześćdziesiąt minut. Wątpił, żeby chciała zatrzymać go aż tak długo, ale nigdy nie wiadomo.

Wchodząc do przedpokoju, jeszcze raz zwrócił uwagę na dziwną mieszkankę zapachów, którą wyczuł poprzedniego wieczoru. Niezwykła

kombinacja woni. Ten kwaśny, gorzki zapach popiołu zasadowego, na który nakładała się słodsza woń róż i mandarynek. Nie było wątpliwości, że w tym domu mieszkały kobiety.

— Morrighan? — Minnaloushe stanęła u podnóża schodów i spojrziała w górę. — Jesteś?

Nie było odpowiedzi. Po chwili czy dwóch Minnaloushe odwróciła się z powrotem.

— Miałam nadzieję, że moja siostra będzie w domu. Chciałabym, żebyś ją poznał.

Pochlebiające. I niespodziewane. Gabriel nie grzeszył skromnością, ale nadal nie miał pojęcia, dlaczego ta kobieta nie tylko zaprosiła go do swojego domu, ale teraz chciała także przedstawić go krewnym. Wątpił, by chodziło o jego powalający seksapil. Minnaloushe obserwowała go z tym samym wyrazem zastanowienia, który Gabriel zauważył już wcześniej. Jakby była entomologiem, on sam zaś — jakimś ciekawym gatunkiem motyla. Trochę go to krępowało. Minnaloushe była jednak całkowicie rozluźniona. Gabriel wciąż nie mógł wyjść ze zdziwienia, że zupełnie nie przeszkadzało jej towarzystwo mężczyzny, którego w ogóle nie znała, a który przez większą część poranka gapił się na nią w stroju Ewy.

Rozejrzał się dookoła.

— Piękne schody.

— Prawda? — Skinęła energicznie głową, rude włosy zafalowały jedwabście nad nagim ramieniem. — Z całego domu właśnie je lubię najbardziej. Uwielbiam schody. Nie mogłabym mieszkać gdzieś, gdzie by ich nie było. Moim zdaniem są niezbędne dla każdego, kto chce prowadzić ciekawe życie. Tyle jest cudownych historii o domach ze schodami: *Przeminęło z Wiatrem*, *Wojna i Pokój*...

— *Sinobrody*?

— Oczywiście. Zapomniałam o nim. — Minnaloushe uśmiechnęła się. — Tędy. — Skinęła w stronę drzwi prowadzących do salonu.

Pokój wydawał się nawet większy, niż poprzedniego wieczoru. Gabriel zauważył, że komputery były wyłączone. Wygaszacze z kobietą trzymającą eksplodujące słońce zastąpiła czern. Przypomniało mu to o kolejnym problemie. Dziennik. I ten drugi plik chroniony hasłem: „Klucz Prometeusza”. Jak je otworzyć?

Tarantula wciąż siedziała w swoim szklanym pojemniku. Włochata i złośliwa w świetle dnia wyglądała przynajmniej jak rzeczywiste stworzenie, a nie coś wziętego żywcem z jakiejś obłądnej halucynacji.

Widząc, jak Gabriel przygląda się pająkowi, Minnaloushe uśmiechnęła się.

— Dlaczego odnoszę wrażenie, że niespecjalnie przepadasz za pająkami?

— Muszę przyznać, że to prawda.

— Ten pochodzi z Ameryki Południowej. Jest zupełnie niegroźny.

— Ale i tak brzydki.

— Piękno leży w oku patrzącego. — Minnaloushe bez ostrzeżenia zsunęła z terrarium wieko i sięgnęła do niego ręką. Kiedy ją wyciągnęła, na środku siedział pająk. Włochate ciało niemal wypełniało dłoń, długie nóżki balansowały na rozczapierzonych palcach.

Gabriel odruchowo odsunął się do tyłu.

— Po co go kupiłaś? To domowy pieszczoch?

— Powiedzmy, że mnie fascynuje. Tak jak wszystko, co magiczne.

— Magiczne?

— Pomyśl o tym w ten sposób. Ten oto Goliat porusza się tak delikatnie, że nie zostawia żadnych odcisków. Możesz to sobie wyobrazić? Stworzenie, które nie zostawia po sobie żadnych śladów. Jak duch. Moja siostra mawia, że jeśli to nie jest magia, to co niby ma nią być?

Zbliżyła do siebie obie ręce. Gabriel zauważył, że jej dłonie po wewnętrznej stronie były różowe, a linie na nich głębokie i proste. Z taką

linią życia powinna dożyć setki. Po chwili wahania tarantula delikatnie przestąpiła z jednej ręki na drugą.

— Ale ciebie przecież nie interesuje Goliat. — Minnaloushe włożyła dłoń z powrotem do pojemnika i łagodnie postawiła pająka na granitowych kamykach. — Chcesz obejrzyć moje maski. Pokażę ci. — Odwróciła się twarzą do Gabriela, dotknęła lekko jego ramienia i wskazała na ścianę. — Oto one. Podobają ci się?

Niespecjalnie, pomyślał Gabriel. Wyglądały dość złowieszczo.

— Jak je zdobywasz?

— Mam kilku szperaczy, od których je skupuję. I raz do roku sama jeżdżę do Afryki.

Gabriel powiódł oczami po rzędach stylizowanych twarzy. Były enigmatyczne. Zamyślane. Nieodgadnione.

— Co sprawiło, że zaczęłaś się interesować maskami?

— Ciekawi mnie zagadnienie tożsamości. I transformacji.

Transformacja. Dobra, to mu coś mówiło. Izydor powiedział, że alchemikom tak naprawdę chodziło o transformację duszy. I jeszcze ten fragment z książki w sypialni. Gabriel nie potrafił przypomnieć go sobie słowo w słowo, ale było tam coś o przemianie w boskiego człowieka, albo inne podobne bzdury. Minnaloushe mówiła dalej:

— Większość afrykańskich masek przedstawia duchy, zwłaszcza duchy przodków. W niektórych kulturach, na przykład u ludu Mende ze Sierra Leone, maska jest narzędziem do przenoszenia się na wyższy poziom. Zakładając ją, noszący staje się duchem. Zatem w procesie tym chodzi nie o reprezentację, lecz o przemianę.

— A ja zawsze sądziłem, że maski służą do ukrywania.

— Ukrywanie to oczywiście bardzo ważna część. Zatajanie swojej tożsamości. Albo przybieranie fałszywej. — Minnaloushe spojrzała na niego zagadkowo. — Akurat ty powinienes to rozumieć.

Serce Gabriela na moment stanęło.

— Co masz na myśli?

— Cóż, żyjesz w cyberprzestrzeni. A tam tak łatwo można przyjąć inne imię. Wtedy właśnie odkrycie czyjejs prawdziwej tożsamości staje się prawdziwą nagrodą, nie sądzisz? Prawdziwe imię człowieka jest jego największą tajemnicą.

— Chyba tak.

Serce wciąży waliło Gabrielowi w piersiach. By ukryć zmieszanie, wskazał palcem maskę o migdałowych oczach, szerokim nosie i karykaturalnym szyderczym uśmiechu. Miała także zęby.

— Ta mi się nawet podoba.

— Masz dobre oko. To wyjątkowo rzadka maska. Pochodzi ze środkowej Afryki i należy do typu Makishi. Takich masek używa się podczas ceremonii obrzezania. Potem zazwyczaj się je pali, więc miałam wielkie szczęście, że zdołałam uratować ten egzemplarz, przed zniszczeniem.

Gabriel wyciągnął rękę, ale zanim zdążył dotknąć maski, Minnaloushe powiedziała:

— Na twoim miejscu bym tego nie robiła.

Gabriel zastygł z uniesioną do góry dłonią.

— Czemu nie?

— Podobno tego rodzaju maski Makishi są tak potężne, że sprowadzają chorobę na osobę, która dotknie ich bez inicjacji.

— Chorobę?

— Mógłbyś zarazić się jakąś straszną przypadłością. Albo postradać rozum.

Gabriel wolno opuścił ramię.

— Nieźle. Wierzysz w takie rzeczy?

Minnaloushe uniosła brew.

— Przezorny zawsze ubezpieczony.

— Przezorny zawsze się nudzi.

— Doprawdy?

Znowu obrzuciła go tym taksującym spojrzeniem, z namysłem w zielonych oczach. Jakby chciała go oszacować, pomyślał Gabriel. Jakby zastanawiała się, czy się sprawdzi.

— Może ta będzie bardziej w twoim stylu. — Zdjęła ze ściany grubo

ciosaną maskę w kształcie serca. — Z plemienia Kwele w Gabonie.

Gabriel wziął od niej maskę z pewną dozą ostrożności.

— Do czego służy?

— Do walki z czarną magią.

Spojrzał na nią zaskoczony. Uśmiechała się łagodnie z trudnym do odczytania wyrazem oczu.

Gabriel z powrotem opuścił wzrok na trzymaną w dłoniach maskę. Jej rysy były bardzo delikatne; zupełnie inne, niż maski Makishi o krwiożerczych zębach.

— Cóż, może się na coś przyda. Ile kosztuje?

— Może najpierw z nią pomieszkasz? Sprawdzisz, czy ci odpowiada? Wszystkim klientom polecam, żeby najpierw wypróbowali swoją maskę. Przekonali się, czy mogą żyć z nią pod jednym dachem.

— To bardzo miłe z twojej strony. Dziękuję.

I będzie miał pretekst, by wrócić. Powód, aby znowu się z nią skontaktować.

— Chce ci się pić? — spytała nagle Minnaloushe. — Może masz ochotę na herbatę? Zwykle o tej porze zaparzam sobie imbryk herbaty z dodatkiem naszego własnego żeńszenia i liścia lucerny.

Liść lucerny nie brzmiał zachęcająco, ale Gabriel skinął głową.

— Tak, dziękuję.

— Chodźmy do kuchni.

Kiedy tam weszli, Gabriel zeszywniał. Na jednym z krzesel leżał kot, jego nemezis z poprzedniego wieczoru. Kocur z piekła rodem nadal w pełni odwzajemniał jego niechęć. Gabriel ledwie zdążył go zauważyć, kiedy kot wsparł się na łapach i zaczął machać ogonem, wpatrując się w niego intensywnie.

— Hej, Bruno — Minnaloushe przystanęła i podniosła go. — Co się dzieje?

Gabriel przyglądał się kotu niespokojnie. Zwierzak był napięty jak sprężyna i wydawał się gotów w każdej chwili zeskoczyć z ramion Minnaloushe i rzucić się na niego.

— Chyba mnie nie lubi.

Minnaloushe spojrzała na kota i podrapała go za uszami.

— Dziwne. Zazwyczaj Bruno jest strasznym pieszczochem. Ale cóż — uśmiechnęła się — jest samcem. Tak jak ty. To jego dom, więc może chodzi po prostu o obronę swojego terytorium.

Świetnie, pomyślał Gabriel. Zawody w sikaniu. Z kotem. Oczy Bruna rozbłysły. Kocur otworzył i zamknął pysk, nie wydając przy tym żadnego dźwięku. Sprawiało to bardzo dziwne wrażenie.

Gabriel odchrząknął.

— Bruno. Zawsze uważałem, że to raczej imię dla macho. No wiesz, dobre dla jakiegoś dokera. Albo ochroniarza. Albo śpiewaka operowego.

— Albo męczennika. — Minnaloushe przykłęka i pozwoliła kotu zeskoczyć ze swoich ramion. Bruno natychmiast się odsunął, z lekko wygiętym grzbietem i wyprężonym ogonem, po czym znowu otworzył pysk w tym irytującym, bezgłośnym grymasie. — Bruno dostał swoje imię po Giordano Bruno.

Z jej tonu wyraźnie wynikało, że powinien wiedzieć, o kim mowa. Gabriel mruknął coś niewyraźnie. Minnaloushe wyduła usta.

— To taki włoski czarownik, którego torturowała inkwizycja. A potem spalili go na stosie.

Urocze. Gabriel zastanawiał się właśnie nad stosowną odpowiedzią, kiedy usłyszał trzask zamykanych drzwi i niedający się z niczym pomylić odgłos rzucanej na podłogę torebki.

— To moja siostra — Minnaloushe spojrzała na niego. — Wybacz na chwilę. Zaraz wracam.

— Jasne.

Popatrzył za nią, gdy wychodziła. Zostali z Brunem sami, czujnie się obserwując.

Gabriel czekał. Tykanie staromodnego kuchennego zegara zdawało się dziwnie głośne. Słyszać było niewyraźny dźwięk głosów w przedpokoju, niskich i przyciszonych. Gabriel rozpoznał lekko zachrypnięty głos Minnaloushe. Głos Morrighan był niższy. Chociaż

nie wychwytywał słów, Gabriel był tak pewny, że rozmawiały o nim, jakby stał tuż obok.

A potem nagle obie znalazły się w kuchni. Zastawiły przejście, stanęły w drzwiach, i przez ułamek sekundy Gabriel miał niezwykle wrażenie, że właśnie został osaczony i wzięty do niewoli. Minnaloushe jednak podeszła do niego z uśmiechem.

— Gabrielu, to jest Morrighan. Moja starsza siostra.

Pierwszą rzeczą, na którą Gabriel zwrócił uwagę u Morrighan Monk, były jej oczy. Każdy by je zauważył. Zdjęcia które oglądał dały mu przedsmak ich niezwykłości, lecz Morrighan widziana twarzą w twarz wywierała nieporównanie większe wrażenie. Jej oczy były niesamowite. Miały najbardziej niebieskie tęczęwki, jakie Gabriel kiedykolwiek widział, białka zaś były jasne jak śnieg. Lecz spojrzenie Morrighan wydawało się chłodne. Nie chodziło o to, że jej oczy pozbawione były wyrazu, wręcz przeciwnie. Rzecz raczej w tym, że blask i głębia barwy czyniły ten wyraz trudnym do odczytania. Oczy Minnaloushe przywodziły na myśl ocean. Oczy Morrighan zaś sprawiały, że człowiek zaczynał myśleć o kosmosie.

Drugą rzeczą, którą Gabriel zauważył, był wisiorek na jej szyi. Cienki srebrny łańcuszek ze zwisającą z niego literą M. Kurczę. Właśnie, kiedy zaczęło mu się wydawać, że wszystko rozgryzł. A zatem nadal nie wiedział, która z dwóch siostr była kobietą z jego zjazdu.

Morrighan była ubrana w szorty, błękitną koszulkę i tenisówki. Miała — Gabriel nie mógł nie zwrócić na to uwagi — fantastyczne nogi. Jej długie czarne włosy związane były w koński ogon i opadały na plecy niczym połyskliwy wąż. Pachniała delikatnie rozgrzanym na słońcu potem. Na jej policzkach i u nasady włosów widać było błyszczące kropelki.

— Jak się udał skok?

Minnaloushe nastawiła już czajnik i teraz zajęta była przygotowywaniem filiżanek i podków.

— Świetnie. Wracam tam w sobotę. — Morrighan spojrzała na Gabriela. — Skoki na bangee — wyjaśniła. — To moja pasja.

Skoki na bangee. Gabrielowi nasuwało to na myśl niepokojące obrazy kanionów, mostów i głębokich przepaści. Zastanawiał się, gdzie w Londynie można było znaleźć miejsce do uprawiania tego sportu.

— Most Chelsea — powiedziała Morrighan, jakby Gabriel zadał pytanie na głos. — Stoi tam żuraw, który świetnie się do tego nadaje. Przy okazji — odwróciła głowę do Minnaloushe — po południu przyjdzie ślusarz.

— To dobrze. — Minnaloushe podsunęła Gabrielowi filiżankę pełną zielonej cieczy, która wyglądała jak olej. Spojrzała na niego przełotnie. — Będziemy wymieniać zamki. Podejrzewamy, że ktoś się do nas wczoraj włamał.

Gabriel starał się mówić normalnym tonem.

— Włamanie? Coś zginęło?

— Właściwie nie. A drzwi i okna są nieuszkodzone.

— Tak?

— Ale zauważyliśmy kilka drobiazgów, które się nie zgadzały, no wiesz. — Morrighan przysunęła sobie krzesło do stołu i usiadła. — Na przykład, kiedy wieczorem wychodziłyśmy z domu, mój szal leżał na podłodze, a po powrocie okazało się, że ktoś go podniósł. No i Bruno był w pokoju, w którym nie powinien być.

— Tak — dodała Minnaloushe. — I ktoś szperał nam w lodówce. Obrzydliwość. Wywaliłyśmy do kosza wszystko, co w niej było.

Co one gadały? Przecież ledwo dotknął jedzenia z lodówki. Gabriel zastanowił się. Jeśli dobrze pamiętał, to podniósł tylko róg pojemnika z confitem z kaczki. I odwrócił butelkę szampana, żeby obejrzeć etykietkę. A szal na podłodze? Kto by to zauważył? W słowniku imiona tych kobiet powinny figurować pod hasłem „upierdliwy”.

— Ten drań wszedł też do sypialni. Zabrał jedną rzecz. Nic cenniego. Ale miało to dla nas obu wartość sentymentalną.

Zatem wiedziały o fotografii. Po karku Gabriela przebiegł lekki dreszczyk.

— Musiało was to zdenerwować — lyknał zielonej herbaty.

Była paskudna, ale dała mu sekundę czy dwie na wzięcie się w garść. — Może powinnycie zawiadomić policję.

Morrighan uśmiechnęła się z lekką pogardą.

— Nie warto. Same to załatwimy. — Przeciągnęła się gibka niczym kot. — Muszę wziąć gorący prysznic. — Przeciągnęła się jeszcze raz. — To był dobry skok. Nie ma to jak trochę ryzyka, żeby poczuć, że się żyje, nie sądzisz?

Gabriel znowu mruknał coś niezrozumiałego.

— Po twojej minie wnioskuję, że się nie zgadzasz?

— Nie gustuję w filozofii rodem z ciasteczek z wróżbą.

— To znaczy? — Lekkie skrzywienie brwi.

— Cały ten pomysł, że dzięki ryzyku człowiek czuje w sobie więcej życia... wydaje mi się zupełnie bez sensu. I, mówiąc zupełnie szczerze, trochę banalny.

Posunął się za daleko. Oczy Morrighan zmieniły się w stal.

— Co robisz w sobotę rano?

— W sobotę?

— Tak. Może wybierzesz się ze mną poskakać? Wypróbujesz na sobie moją filozofię rodem z ciasteczek z wróżbą.

Gabriel wpatrywał się w nią przez chwilę z uczuciem całkowitej pustki w głowie. Zamierzał tylko wciągnąć ją w żartobliwe przekomarzanie. Na pewno nie spodziewał się, że Morrighan wyzwie go na pojedynek. Nie miał najmniejszej ochoty, by rzucać się w pustkę z przyczepioną do kostki elastyczną liną. Z pewnością nawet Frankie zgodziłaby się, że wykraczałoby to daleko poza jego obowiązki.

Obie kobiety przyglądały mu się spokojnie. Pod nieruchomym spojrzeniem dwóch par oczu — jednej zielonej, drugiej niebieskiej — Gabriel poczuł się jak przyszpilony do deseczki owad. Coś mówiło mu, że jeśli chciał dostać kolejne zaproszenie, musiał udzielić właściwej odpowiedzi na pytanie.

Wziął głęboki oddech.

— Niezły plan.

— Świetnie — Morrighan spojrziała na Minnaloushe i przez moment

Gabriel miał wrażenie, że między obiema kobietami coś przeskoczyło. Jakby mentalne skinienie.

— Dobra. No to postanowione. — Morrighan wstała. — Spotkamy się w sobotę o dziewiątej rano przy moście Chelsea. Może być?

Gabriel kiwnął głową.

— W porządku.

Morrighan zatrzymała się w drzwiach i spojrzała na niego przez ramię.

— Nie przejmuj się — powiedziała, mrużąc oczy w uśmiechu. — Dobrze się tobą zaopiekuję.

*

Tego wieczoru Gabriel zrobił sobie na kolację kielbaski z purée ziemniaczanym. Jedzenie na pokrzepienie. Zamiast dobrać odpowiednie wino, zadowolił się piwem, chociaż nie był to jego ulubiony trunk. Podczas posiłku kartkował prace badawcze Minnaloushe Monk, które dał mu rano Izydor. Były odstraszająco ezoteryczne. W wielu miejscach Minnaloushe posługiwała się tak niezrozumiałym językiem i przytaczała tak skomplikowane obliczenia, że zniechęcony Gabriel kręcił tylko głową.

Lecz o ile mógł się zorientować, główna hipoteza była dziwnie prosta i nienaukowa. Pamięć — utrzymywała Minnaloushe — była tym, co odróżniało ludzi od ich zwierzęcych krewnych. Dusza człowieka jest nierozzerwalnie związana z jego zdolnością zapamiętywania.

A razem z tą hipotezą szło ostrzeżenie:

Nasze mózgi stały się leniwe. Zatracamy umiejętność przypominania sobie. Nasza pamięć długotrwała jest coraz gorsza. Zamiast ćwiczyć naturalną zdolność zapamiętywania, tak jak musieli to robić nasi przodkowie, korzystamy ze współczesnej technologii — Internetu, telewizji, fotokopiarek — by wspomóc naszą słabnącą umiejętność przypominania

sobie faktów i zdarzeń. Jesteśmy świetni w pobieżnym przeglądaniu. I beznadziejni w zapamiętywaniu.

Wiele ryzykujemy, podążając tą ścieżką. Bez wyćwiczonej pamięci zabraknie nam zdolności zrozumienia niespokojnego wszechświata, w którym żyjemy. Bez elastycznej pamięci nie jesteśmy w stanie dostrzegać związków między różnymi pojęciami.

Co więcej: grozi nam wręcz utrata własnych dusz. Pamięć jest boska. To ona daje człowiekowi jego niebiańską iskrę.

Nic dziwnego, że koledzy zmieszali ją z błotem, pomyślał Gabriel, zamykając teczkę. Żadna hipoteza dotycząca duszy i psyche — nie mówiąc już o niebiańskiej iskrze — nie zagrzeje sobie miejsca w aulach zinstytucjonalizowanej nauki. Minnaloushe naruszyła kilka bardzo potężnych tabu.

Ale dość już o tym. Jej teorie zawierały swego rodzaju oryginalny urok, ale raczej nie miały nic wspólnego z Robertem Whittingtonem i jego nieszczęśliwą śmiercią. Gabriel odsunął od siebie teczkę.

Włożył naczynia do zmywarki, po czym zaparzył sobie cappuccino i postawił filiżankę na biurku. Z tego miejsca nadal mógł oglądać światła po drugiej stronie rzeki. Czas już zrobić notatki i uporządkować myśli. Usiadł na obrotowym krześle i otworzył laptopa.

Robert Whittington był uzdolnionym artystą. Wcześniej tego dnia Gabriel próbował dowiedzieć się w Stowarzyszeniu Wino Życia, czy chłopak był jednym z członków, ale w klubie byli pod tym względem niezwykle dyskretni i nie chcieli mu nic powiedzieć. Oczywiście w niczym mu to nie przeszkodziło. Włamanie się do bazy danych stowarzyszenia i potwierdzenie podejrzeń było dla niego dziecinną zabawą. I rzeczywiście, Robert Whittington należał do klubu od trzech lat.

Gabriel położył palce na klawiaturze komputera i wpisał:

Stowarzyszenie Wino Życia. Robert spotyka Minnaloushe?
Minnaloushe = matematyczka i filozofka. Sprzedaje maski. Pozuje nago.

Morrighan = działaczka na rzecz środowiska. Lubi dreszczyk emocji.

Obie siostry = alchemiczki

Potomkinie Johna Dee. Elżbietański alchemik i twórca *Monas Hieroglyphica*. Główny cel badań: transformacja siebie. Robbie także zafascynowany alchemią i transformacją. Kolejne łącze między Robbiem a siostrami?

Przerwał. Był teraz niemal pewien, że kobietą ze zjazdu była jedna z siostr Monk. Ale która?

Kobieta nosiła wisiołek z inicjałem M. Minnaloushe czy Morrighan?

Kobieta nosiła maskę. Maską = Minnaloushe?

Co jeszcze? Kobieta ze zjazdu miała na ramieniu czarnego kruka. Tego samego, który podązał za nim w czasie wędrówki przez dom o wielu drzwiach. Co prawda niewiele to pomogło, ale mimo wszystko dodał jeszcze jeden wpis.

Kruk.

Bandaż na nadgarstku przeszkadzał mu w pisaniu. Gabriel żałował, że nie może go zdjąć, ale zadrapania po starciu z Bninem wciąż się nie zasklepiły i wyglądały na rozjątrzone, a zamiast swędzieć — co znaczyłoby, że się goją — paliły jak ognie piekielne. Na myśl o Brunie Gabriel zmarszczył brwi.

Kot. Nazwany po Giordanie Brunie. Naukowiec i męczennik. Zginął na stosie.

Dwa pliki komputerowe. Chronione hasłami.

Komputer IBM = Dziennik.

Mac = Klucz Prometeusza.

Wymyślić sposób dostania się do obu komputerów.

Odchylił się na krzesło i przeczytał wszystko, co napisał. Nie robiło to wielkiego wrażenia. Gabriel ani na jotę nie zbliżył się do odkrycia, jak i dlaczego zamordowano Roberta Whittingtona, ani do odpowiedzi na to jedno najważniejsze pytanie.

Morderczyni = Minnaloushe czy Morrighan?

Przytrzymał klawisz o kilka chwil za długo i rząderek znaków zapytania rozciągnął się jak nagłące wezwanie do broni.

Morderczyni = Minnaloushe czy Morrighan?????

Przez kilka sekund Gabriel wpatrywał się nieuważnie w ekran. Na jakimś poziomie świadomości jego umysł zarejestrował odległe wycie alarmu samochodowego, nagły wybuch śmiechu dochodzący z chodnika na dole, obecność skupionych na nim oczu.

Oczy.

Serce zabiło mu mocniej i Gabriel gwałtownie obrócił się na krzesło — po czym spojrział prosto w okrągłe oczy maski, którą dała mu Minnaloushe.

Cholera. Gabriel dotknął czoła. Sam ją tam powiesił ledwie kilka godzin temu. Właściwie był z niej całkiem zadowolony. Dobrze pasowała do makaty Shoowa, którą kupił na wakacjach w Kenii.

Po chwili wahania wstał z krzesła i podszedł do ściany. W porównaniu z innymi maskami ta nie miała szczególnie przygnębiającego wyglądu. Jedyne, co trochę mu przeszkadzało, to szczelina między wargami. Rozciągały się one na podobieństwo słabego uśmiechu, nadając masce taki wyraz, jakby bawiła się jego kosztem.

Wypchaj się, pomyślał Gabriel, i dał drewnianej twarzy lekkiego kuksańca pięścią.

Teraz, kiedy serce przestało mu walić w piersiach, poczuł nagłe zmęczenie. Wystarczy na jeden wieczór. Ale jutro powinien porozmawiać z Izydorem o postępach w sprawie Pittypats. Nie należało zaniedbywać pracy na rzecz zabawy w Sherlocka Holmesa.

Gabriel zatrzymał się w drzwiach i wyłączył światło. W pokoju zapadła ciemność. Ekran jego komputera był jasną plamą w mroku, a słowa rysowały się czarno na białym tle.

Morderczyni = Minnaloushe czy Morrighan?????



Data wpisu: 29 czerwca

Sukces! Być może znalazłyśmy kogoś nowego do gry. To całkowite przeciwieństwo R. Ale M. ma rację. R. nie był dość silny. Nie sprostałby zadaniu. Jedno jest pewne: G. jest zupełnie inny. Tym razem będziemy grać z kimś wyrafinowanym, nie niewiniątkiem...

Jest niezaprzeczalnie przystojny. Wygląda jak awanturnik — współczesny pirat. Mogę go sobie doskonale wyobrazić stojącego na burcie żaglowca z nożem w zębach, gotowego, by łupić i palić!

Wyraźnie ma w sobie coś narcystycznego. I nie chodzi mi tylko o zwykłą próżność — to także próżność umysłu. Głęboka wiara we własne możliwości. Przekonanie, że może pokonać każdego, na każdych warunkach.

Miejmy nadzieję, że za tą aż nadto przystojną twarzą nie kryje się mierny umysł

Ale zapowiada się nieźle. G. to ryzykant i złodziej. I w dodatku nie byle jaki złodziej: kradnie informacje. Jak powiedziała M. nie mogłybyśmy życzyć sobie kandydata, który lepiej spełniałby nasze wymagania. Człowiek, który codziennie zagłębia się w danych, lecz dla którego wiedza jest tylko walutą.

Możemy to zmienić. M. i ja możemy zabrać go w podróż aż do gwiazd.

Czy poradzi sobie z tym? Czy będzie dość silny? Może w sobotę dowiemy się więcej.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Sobota. Przepiękny poranek. Błękitne niebo, leciutka bryza. Kiedy Gabriel przystanął w Starbucks, by kupić kawę na wynos, wszyscy w kawiarni siorbali latte i pogryzali ciastka. Ani jednej skrzywionej miny w zasięgu wzroku. Sami promienni, szczęśliwi ludzie.

Z wyjątkiem jego. On jeden był ociężały i skwaszony. I niemal świrował ze strachu. Nadszedł dzień sądu. Dzień, w którym miał zaznać rozkoszy skoków na bungee. Zastanawiał się, skąd wzięło się słowo „bungee”. Brzmiało tak niegroźnie — jak jakaś umiarkowanie męcząca zabawa dla dzieci. Tyle tylko, że za jakieś trzydzieści minut Gabriel z okrzykiem „Geronimo” miał skakać do Tamizy głową w dół z ogromnej wysokości.

Skręcając jaguarem w stronę mostu Chelsea uznał, że godząc się na to szaleństwo, musiał być w stanie jakiegoś delirium. Zginie, niezależnie od obietnicy Morrighan Monk, że „dobrze się nim zaopiekuje”. Poza tym przyszło mu do głowy, że kobieta, która miała kierować jego zabawą w Ikara, mogła być także osobą, która zabiła biednego Roberta Whittingtona. Co za wspaniała refleksja. Czemu nie pomyślał o tym wcześniej?

Morrighan oczekiwała go ubrana w dopasowane spodnie z lycry i śnieżnobiałą koszulkę z głębokim dekoltem. Na jednej piersi widniał mały tatuaż — replika tego, który jej siostra miała na plecach. Bardzo

seksowny, chociaż ta obsesja na punkcie Monas zaczynała trochę działać Gabrielowi na nerwy. Morrighan znowu ściągnęła swoje czarne włosy w kucyk, a jej oczy były nawet bardziej niebieskie, niż zapamiętał.

— Cześć. — Morrighan skinęła mu głową. — Więc jednak przyszedłeś.

— Oczywiście. Przecież powiedziałem.

— Faktycznie. — Wzruszyła ramionami, uśmiechając się lekko. — Tak przy okazji, świetny wóz.

— Dzięki.

Gabriel spojrzął przez jej ramię na błękitny żuraw, który wznosił się ku niebu na wręcz nieprzyzwoitą wysokość. U jego stóp umieszczono jakieś urządzenie podobne do klatki.

Morrighan podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Dość wysoko. Trzysta stóp. Będziesz miał czas, żeby się nacieszyć.

— Mhm. — Gabriel próbował wymyślić w odpowiedzi coś inteligentnego, ale wyglądało na to, że cały dowcip go opuścił.

— Okej, to zaczynajmy. Muszę porozmawiać z Wayne, żeby dowiedzieć się, na którą jesteśmy zapisani. — Morrighan wskazała krótką kolejkę czekających w pobliżu klatki osób. Ich miny oscylowały między wyjątkowym niepokojem a napuszeniem w stylu „patrzcie-ale-ze-mnie-twardziel”. Na czele kolejki stał przeraźliwie chudy człowieczek w bardzo skąpych czerwonych kąpielówkach. Rozmawiał z blondynem ubranym w kombinezon z napisem na plecach: MISTRZ SKOKÓW.

Gabriel spojrzął na Morrighan i znowu ogarnął go niepokój.

— Dlaczego ten koleś ma na sobie kąpielówki? Czy tu się leci aż do samej wody?

— Nie, nie — Morrighan mówiła uspokajającym tonem, ale w oczach miała błysk. — To nie są skoki z nurkowaniem. Nie zmokniesz, spokojnie. Nie mam pojęcia, czemu ten koleś ma potrzebę, żeby chwalić się gaciami. Ludzie przychodzą tu w najróżniejszych dziwnych kostiumach. Kiedyś widziałam, jak ktoś skakał w sukni ślubnej. A inny koleś przyjechał zawinięty w kaftan bezpieczeństwa.

— Cóż, może coś było na rzeczy.

— Och, daj spokój. — Błysk w jej oczach stał się wyraźniejszy. — Zobaczysz, będziesz miał świetną zabawę.

Mężczyzna w kombinezonie mistrza skoków podszedł do nich i uśmiechnął się ujmująco. Mówił z australijskim akcentem i zdecydowanie dziwną intonacją. Brzmiało to tak, jakby każde zdanie kończyło się wykrzyknikiem.

— Morrighan! Puszczę was przodem! Czy to ma być szczęśliwa ofiara! — Miażdżący uścisk i kolejny oślepiający, miętowo świeży uśmiech. — Super! Ale będziesz miał frajdę! Kochana! Na razie nie ma nikogo na górze! Mogę ci zostawić przypinanie mu lin! — Gabriel zmęczył się od samego słuchania.

— Oczywiście. — Morrighan posłała mistrzowi skoków równie olśniewający uśmiech. — Zajmę się tym. — Odwróciła się do Gabriela. — Wayne i ja jesteśmy starymi kumplami. Kiedyś uprawialiśmy razem base jumping.

Base jumping. Powiedziała to tak beznamiętnie. Nic dziwnego, że bungee nie robiło na niej wrażenia. Gabriel miał znajomego, który również uprawiał kiedyś base jumping. A teraz już nie. Jego spadochron zawiódł i chłopak wpadł na ścianę tamy, z której skakał. Przy base jumpingu człowiek nie miał szans na otworzenie zapasowego spadochronu w razie sytuacji kryzysowej. Nie było na to czasu. Przyjaciel Gabriela zginął w ciągu kilku sekund od momentu, w którym zaciął mu się spadochron. Jeśli ta kobieta uprawiała base jumping, to znaczyło, że szukała po prostu oryginalnego sposobu na popełnienie samobójstwa.

Gabriel wziął głęboki oddech i spróbował przestać myśleć o roztrzaskanych ciałach, staczających się w przepaść.

— Więc co teraz?

Morrighan uniosła brew.

— Ostatnia szansa, żeby iść do toalety.

Gabriel przelknął ślinę, usiłując zachować resztki godności.

— Nie trzeba.

— To dobrze. Ile ważysz?

— Co?

— Twoja waga — powtórzyła Morrighan niecierpliwie. — Ile wazysz? Musimy to wiedzieć, żeby umocować ci odpowiednie liny.

— A. Osiemdziesiąt sześć kilo. — Mogła sobie pomyśleć, że to ciut przyciężko jak na jego wzrost, ale Gabriel nie zamierzał ulegać próżności i kłamać, kiedy jego zdrowie zależało od wyboru liny, która zdołałaby utrzymać jego ciężar.

— Dobra. Zielona dla ciebie. Pomarańczowa dla mnie. — Morrighan pochwyciła jego spojrzenie. — Różne kolory lin odpowiadają różnym przedziałom wagowym.

— Ty też będziesz skakać?

— No, właściwie — Morrighan uśmiechnęła się wolno — pomyślałam, że będzie fajnie, jeśli skoczemy razem. No wiesz, skoro to twój pierwszy raz. Chyba najlepiej będzie, jeśli potrzymam cię za rękę, że się tak wyrażę.

Skoki w tandemie. Ciekawe, jak to właściwie wygląda, zastanawiał się Gabriel. Jakoś do tej pory wyobrażał sobie, że rzuci się ku ziemi z ramionami rozłożonymi szeroko jak u ptaka w locie. Wyrwanie się z więzów grawitacji i tak dalej. Wizja samego siebie, z całej siły czepiającego się ramionami swojej towarzyszki, nie była już aż tak heroiczna.

Klatka była w rzeczywistości koszem, który, jak się okazało, miał stanowić ich środek transportu na szczyt żurawia. Gabriel ostrożnie wszedł do środka. Kosz nie wyglądał na szczególnie stabilny, chociaż w tej chwili prawdopodobnie nic poza twardym gruntem nie wydałoby się Gabrielowi bezpieczne.

Kiedy klatka ruszyła w górę, Morrighan powiedziała energicznie:

— Okej. Wiem, że pewnie bardzo się denerwujesz, ale skoki na bungee naprawdę nie kończą się śmiercią. Powiem ci czego możesz się spodziewać. Pierwsza część skoku jest najbardziej gwałtowna. W ciągu zaledwie kilku sekund twoja prędkość wzrośnie od zera do pięćdziesięciu mil na godzinę. Następnie zacznie spadać, dopóki lina

nie rozciągnie się do końca, po czym znowu powoli przyspieszysz. Potem jeszcze kilka wahaniec i żuraw odstawi cię z powrotem na ziemię.

— I to jest właśnie ta część, której najbardziej nie mogę się doczekać.

— Naprawdę, nie ma się czego bać. Sprawdzają zabezpieczenia po kilka razy. No i ja będę przy tobie. — Znowu ten maleńki uśmiech. — Będzie fantastycznie, obiecuję. Kiedy ostatnim razem zabrałam ze sobą faceta, odmieniło to jego życie.

— W jaki sposób?

— Zmieniło się całe jego spojrzenie na to, jak chciałby je przeżyć. Zdał sobie sprawę, że jeśli się nie podejmuje ryzyka, można nigdy nie poznać swoich granic. A jeśli nie poznasz swoich granic, nie dowiesz się, kim jesteś jako istota ludzka. Jak mówi poeta, człowiek nigdy nie powinien kolekcjonować motyli. Raczej samemu być motylem.

— Bardzo głębokie. Więc ten facet nadal skacze? Coś w głębi jej oczu rozblęzło.

— Nie.

— Kim on był?

— Robbie? Tylko kolegą. — Morrighan odwróciła się gwałtownie w drugą stronę.

I tym lepiej, że stanęła do niego plecami, bo Gabriel wiedział, że nie byłby w stanie zapanować nad wyrazem twarzy. Robbie. Robert Whittington. Dźwięk jego imienia z ust Morrighan Monk był szokiem. Kiedy Gabriel przyglądał się fotografiom chłopca w Monk House, odnosił wrażenie, że patrzy na pomnik. Ołtarzyk. Oczywiście, wszystkie fotografie przechowują wspomnienia z przeszłości, ale kiedy Gabriel patrzył na tamte zdjęcia, nie miał żadnych wątpliwości, że Robert Whittington nie żyje. Teraz, kiedy usłyszał jego imię z ust Morrighan Monk, brzmiało tak świeżo, bezpośrednio. Jak gdyby Gabriel mógł się odwrócić i zobaczyć Robbiego za sobą, z tymi jego bezbronnymi oczami, z tym wiecznym uśmiechem.

Klatka zatrzymała się z szarpnięciem. Gabriel zerknął na zegarek.

Dziewiąta dwie. Morrighan zρέcznie przeszła na platformę. Po chwili wahania Gabriel podążył za nią.

Tam w górze było wietrznie. Takie było jego pierwsze wrażenie. Potem Gabriel zauważył też, że dzień był jasny i że można było sięgnąć stamtąd wzrokiem aż po kraniec świata. Widok nie miał końca. Dachy. Iglice. Oazy zieleni. Nawet w miejscu, gdzie spotykały się niebo i ziemia, horyzont wydawał się przezroczysty.

Tuż pod nim i z boku rozciągał się most Chelsea. Samochody jadące wolno dwoma pasami były jak zabawki. Sam most był tak mały, że Gabriel mógłby go podnieść między palcem wskazującym a kciukiem. Pod spodem zaś płynęła Tamiza, o wodzie pomarszczonej i szarej jak skóra słonia.

— Czy to nie przepiękne?

Morrighan klęczała, sprawdzając raz jeszcze zielone liny na kostkach Gabriela. Podniosła na niego wzrok.

— Tak.

Gabriel poczuł zawroty głowy. Serce waliło mu w piersiach. Spojrzał na zegarek. Dziewiąta jedenaście. Gdzie się podział ten czas? Jak przez mgłę zobaczył, że Morrighan robi krok naprzód, podchodząc tak blisko, że poczuł na policzku jej ciepły oddech. Na końcu jednej brwi miała maleńką bliznę — dopiero teraz to zauważył.

— Muszę związać nas razem — powiedziała. — A potem się obejmujemy. I będziemy się trzymać, dopóki nie dolecimy na dół, w porządku?

Gabriel zdołał kiwnąć głową. Zaszło mu w gardle. Dłonie miał mokre od potu. Jej ciało dotykało go teraz w niepokojąco intymny sposób, ale Morrighan wydawała się nie zwracać na to uwagi. Jej oczy były tajemnicze i ciemne jak kosmos.

Przysunęła usta do jego ucha.

— Czas stać się motylem.

*

Krok w czeluść. Coś całkowicie sprzecznego z instynktem samozachowawczym.

Spadanie. Spadanie. Ekstatyczna prędkość wciągająca jego umysł i ciało w jakieś obłądne miejsce. Niebo jak ostry pęd błękitu przy policzku. Wiatr w uszach niczym huragan.

Ciało Morrighan było przyciśnięte do jego ciała: nogi i brzuchy stykały się, biodra przylegały do siebie. Jej twarz zasłaniała niebo na wprost przed nim. Widział na niej wyraz niemal bólu: zmarszczone czoło, przymknięte oczy, lawendowe żyłki przeświecające przez delikatną skórę pod dolnymi powiekami, zaciśnięte szczęki. Gabriel z lekkim szokiem zdał sobie sprawę, że jej mina była tak naprawdę odbiciem jego własnego wyrazu twarzy. Dotknął językiem swoich ust, a ona zrobiła to samo. Zamrugał i otworzył oczy najszerzej, jak mógł, a Morrighan natychmiast spojrzała na niego oczami okolonymi bielą. Kiedy lekko otworzyła usta, jakby w proteście, Gabriel wiedział, że jego własna szczęka także się rozluźniła. To było tak, jakby Morrighan przeżywała skok nie przez pryzmat własnych wrażeń, lecz za jego pośrednictwem. Mimo iż spadał właśnie z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę, wrażenie, że Morrighan karmi się jego odczuciami, wzbudziło w Gabrielu niepokój.

Zaczęli zwalniać. Odgłos wydany przez linę, kiedy rozciągnęła się na pełną długość, brzmiał jak furkot żagla na masztowcu. A potem znowu przyspieszyli, w górę, w górę, i nagle zawiśli w miejscu: nieważcy. Żadnego w górę ani w dół. Całkowita dezorientacja.

Serce Gabriela niemal stanęło. Wstrzymywał oddech. Kiedy wreszcie wciągnął łąpczywie powietrze, tlen uderzył mu do głowy jak dodatkowy zastrzyk adrenaliny. Znowu runęli w dół i Gabriel usłyszał, jak z jego piersi wyrывa się wrzask: okrzyk zwycięstwa, ryk wyzwania.

Zobaczył, że Morrighan uśmiecha się szeroko, jej zęby wyglądały jak białe rozcięcie na twarzy. Otworzyła szeroko ramiona, puściła go i odchyliła się do tyłu tak, że jej szyja wygięła się w łuk, a kucyk zakoczył się niczym sznur czerni i spłynął z jej ramion w dół. Całe napięcie

zniknęło. A potem oboje zaczęli wrzeszczeć i pisać z radości na cały głos, pijani uniesieniem.

*

Gabriel wjechał na górę jeszcze raz. Tym razem sam. Morrighan zdecydowała się na niego poczekać, a kiedy przeprosił za to, że ją zatrzymuje, machnęła ręką.

— Na pewno nie masz nic przeciwko? — spytał Gabriel, dołączając jeszcze raz do kolejki za mistrzem skoków. Uformował się nowy sznurerek oczekujących, ale Gabriel z zaciekawieniem zauważył, że żadna z pozostałych osób, które skakały wcześniej, nie poszła w jego ślady. Był jedynym klientem, który wrócił.

Obejrzał się na Morrighan.

— Ale nie czuj się zmuszona do pilnowania mnie. Poradzę sobie.

Uśmiechał się — ten sam głupi uśmiech idiotycznego zachwytu, który miał przyklejony do twarzy, od kiedy skończyli pierwszy wspólny skok. Wciąż miał wyostrome wszystkie zmysły.

Morrighan pokręciła głową.

— Lubię tu przebywać. Więc nie krępuj się.

— Jeszcze ten jeden raz i dam sobie spokój.

— Świetnie. A potem zapraszam cię na lunch. Zdziwisz się, jak zobaczysz, jaki będziesz miał apetyt.

Co do tego miała rację. Kiedy Gabriel zakończył drugi skok, przeżycie było równie intensywne jak za pierwszym razem, nie tylko był na haju, ale też umierał z głodu. Morrighan wybrała małą, bezpretensjonalną restauracyjkę z bardzo dobrym jedzeniem.

Kiedy Gabriel w końcu rozparł się wygodnie, najedzony, przechyliła głowę na bok.

— Na pewno nie masz ochoty na nic więcej? — spytała usłużnie. — Może jeszcze jeden krem brûlée?

— Przepraszam. — Gabriel zarumienił się lekko. — Żarłem jak

świnia. Ale miałaś rację. Po tym poranku miałem diabelny apetyt.

— Flirt z niebezpieczeństwem zwykle tak działa.

— No, ty wiesz najlepiej. Chyba masz do tego prawdziwe skłonności. Base jumping, bungee, i co jeszcze? Fajnie jest być uzależnionym od adrenaliny?

— Od dopaminy. To jak łaknienie czekolady.

— I to mocnej czekolady.

Morrighan zrobiła minę.

— Nie próbuj mnie oszukać. Sam też to poczułeś, dziś rano, te niesamowite emocje. Dowodzi tego fakt, że wróciłeś, żeby skoczyć jeszcze raz. Wiesz, większość ludzi po jednym skoku już nie wraca. Tylko jakieś piętnaście procent robi to po raz drugi.

Aprobata w jej głosie sprawiła, że Gabriel na chwilę zamarł. Jakby właśnie zaliczył jakiś test, z czego nawet nie zdawał sobie sprawy.

Zmarszczył czoło, poruszył ramionami, jakby chciał odepchnąć tę myśl.

— Więc twoja życiowa misja to poszukiwanie dreszczyku?

— Chyba tak. — Przez chwilę Morrighan wyglądała na zamyśloną.

— Oczywiście, szanse na odkrycie tej największej podniety są niewielkie. Surferzy wiedzą najlepiej, że najlepsze fale pozostają niezdo-byte. Rozbijają się o bezludne brzegi, przetaczają przez oceany, których nie ma na mapach.

— Poważnie, Morrighan. Dlaczego to robisz? Tylko nie wciskaj mi kitu, że czujesz w sobie więcej życia. Tu chodzi o coś więcej.

Morrighan zawahała się przez chwilę.

— Nie zastanawiasz się czasem, jak silny, jak szybki, jak odważny jesteś?

— Przykro mi, że sprawiam ci zawód, ale nie. Raczej nie.

— Cóż, chyba chodzi o przenoszenie się na wyższy poziom. I nie mówię tylko o zeskakiwaniu z wieży. Równie dobrze może to być coś umysłowego. Nieważne, czy chodzi o wyzwanie dla ciała, czy dla

ducha. Łączy je to, że odwracasz się plecami do bezpieczeństwa i stawiasz twarzą w twarz z pustką.

Jak zjazd, pomyślał nagle Gabriel. Jak porzucenie względnie bezpiecznego otoczenia własnych emocji dla obcej krainy cudzych myśli. Poczucie zatracania siebie, niezdolności do powrotu. Było to coś, czego bał się każdy daleko widzący. Strach przed beznadziejnym i nieodwracalnym zagubieniem się w labiryncie czyjś umysłu.

— Gabrielu?

— Przepraszam. Po prostu myślałem o tym, co powiedziałaś. O stawianiu twarzą w twarz z pustką. Niektórzy nazwaliby to ukrytym pragnieniem śmierci — Gabriel uśmiechnął się drwiąco. — Pewnie Freud miałby coś do powiedzenia na ten temat.

— Ależ miał. Podobno szukanie przeżyć ma coś wspólnego ze stłamszonym poczuciem winy.

Gabriel spojrział na nią kątem oka, zastanawiając się, czy powinien zaryzykować.

— Winy, tak? Więc jest coś, o co się obwiniasz?

— Obwiniam? Powiedzmy, że żałuję kilku rzeczy. Być może. I miałam też kilka rozczarowań. — Morrighan skierowała na niego te swoje niesamowite oczy. — A co z tobą, Gabrielu Blackstonie? Co tobie nie pozwala spać w nocy?

Gabriel spojrział na nią i nagle zabrakło mu słów. W jego umyśle, nieproszony, pojawił się obraz kobiety o idealnie owalnej twarzy i długich blond włosach. Chociaż kiedy znaleźli ją w tamtej szopie, jej jasne pukle były sklezione potem i brudem. Melissa Cartwright. Gabriel słyszał potem, że kiedyś, gdy jeszcze dorastała w Stanach, wygrała jakiś konkurs piękności.

Podniósł wzrok. Morrighan Monk przyglądała mu się z nieustającą uwagą.

— Śpię jak suseł. A poczucie winy to marnotrawstwo uczuć — próbował mówić nonszalancko, ale wiedział, że jego głos zabrzmiał szorstko.

Na chwilę zapadła między nimi cisza. Napięcie. Potem Morrighan

uśmiechnęła się i uniosła zagadkowo brew. Wychyliła się na krzesło do przodu, opierając łokcie o stół.

— Słuchaj. Przeżyłeś dziś coś wyjątkowego. Na krótką chwilę uniośłeś się w niebo i leciałeś. Ale nie popadajmy w nadmierną powagę. Wiesz, co G.K. Chesterton mówił o aniołach i lataniu.

— Co?

Morrighan uśmiechnęła się znowu i cała jej twarz się rozświetliła.

— Że latają, bo lekce się ważą.

*

Gabriel do końca dnia odczuwał podniecenie po skoku. Nawet teraz, kilkanaście godzin później, wciąż był nabuzowany.

Znajdował się z powrotem w swoim mieszkaniu. Siedział na balkonie na leżaku w czerwone pasy, z książką na kolanach i stygnącą filiżanką kawy w dłoni, patrząc, jak noc pożera miasto. Rzeka pachniała mocno. Most Tower, jakby unosząc się w mroku, sprawiał wrażenie jakiejś baśniowej konstrukcji z cudownego światła. Trochę bliżej, na ulicy w dole, mrugał znak ponad witryną optyka — ogromna, nieustannie migająca para neonowych okularów.

Gabriel po raz enty przyłapał się na odtwarzaniu skoku w głowie. Ten strach. To ekstatyczne poczucie wyzwolenia. Może nie stanowiło to doświadczenia, które zmieniłoby całe jego życie, ale z pewnością było upojne. I zawdzięczał je enigmatycznej pannie Morrighan Monk. Była fascynującą kobietą. Tak ona, jak i jej siostra.

Zaskoczyło go, i trochę rozbawiło, z jaką niecierpliwością czekał na następne spotkanie. Nie mógł też wmawiać sobie, że chodziło tylko o ten jego dziwny zjazd albo o złożoną Frankie obietnicę. Te dwie kobiety po prostu go intrygowały.

Minnaloushe była bardziej jawnie zmysłowa. Morrighan miała w sobie nieco więcej chłodu. Jednak obie nosiły się z pewnością, która była niezaprzecalnie erotyczna, nawet jeśli — a może właśnie ponieważ

— był to erotyzm zabarwiony niebezpieczeństwem. Gdy Minnaloushe na kogoś patrzyła, za jej rozkojarzonymi, zielonymi oczami wyczuwało się potężny, ukryty prąd wodny. Dotknij jej, a możesz utonąć. Morrighan była ostra jak diament. Dotknij jej, a zaczniesz krwawić.

Zanim rozeszli się w swoje strony, Morrighan zaprosiła go na weekendowy obiad w Monk House. Gabriel nadal nie rozumiał, dlaczego siostry się nim interesowały. Miał wysokie poczucie własnej wartości — Izydor bez wątpienia użyłby słowa „nadęty” — i wiedział, że jest pociągający, ale był też wystarczająco bystry, by nie pochlebiać sobie przekonaniem, że siostry uznały go za nieodparcie czarującego.

Cóż, nie było sensu się tym zamartwiać. Może i miały jakieś plany, ale on także. Nie tylko będzie miał okazję spędzić czas w towarzystwie dwóch niezwykle atrakcyjnych, inteligentnych kobiet, ale też przy odrobinie szczęścia może odkryje, co się stało z Robertem Whittingtonem.

Myśl o chłopaku sprawiła, że Gabriel skrzywił się i spojrzał na otwartą książkę na kolanach. Wybrał ją spośród licznych tomiśczy znajdujących się w mieszkaniu Roberta. Była stara, a jej kartki były w dotyku jak pergamin. Nosiła tytuł *Student alchemii* i zawierała historię alchemii oraz jej podstawy.

Była to ciężka lektura, chociaż znajdowało się w niej parę dość zabawnych informacji:

Niemiecki filozof, Agrippa, autor alchemicznego traktatu De occulta philosophia, splancał podobno wierzycieli złotymi monetami o niezwykłym blasku, które jednak w ciągu dwudziestu czterech godzin nieodmiennie zmieniały się w lupek albo kamień.

Ha! Wiedział, że to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Całe to gadanie o magicznej przemianie ołowiu w złoto. Ci wszyscy alchemicy byli po prostu zgrają szalbierzy. Gabriel miał też wrażenie, że stawiali sobie za punkt honoru pisanie jak najbardziej zawiłym językiem. Skoro

nikt nie był w stanie zrozumieć, co mówili, nikt nie mógł też dowieść, jakimi byli oszustami.

Gabriel łyknął kawy, po czym odstawił kubek na mały stolik przy leżaku. Odchylił głowę na oparcie i ziewnął. Jego wzrok padł na maskę od Minnaloushe, która wisiała na ścianie salonu. Drewniana twarz uśmiechała się do niego cierpliwie zza dzielących ich szklanych drzwi. Gabriel popatrzył w puste oczodoły...

Coś przeskoczyło w jego umyśle. Brama jego wewnętrznego oka stanęła otworem.

W pewnym sensie Gabriel się tego spodziewał. Wiedział, że aby odkryć, co stało się z Robertem Whittingtonem, konieczny będzie następny zjazd. Mógł zmusić się do niego już wcześniej, i nieraz nawet się nad tym zastanawiał. Wciąż kusiła go myśl o kolejnej próbie – tamten zjazd był po prostu niesamowity, bardzo wyraźny i niezwykle intrygujący. Ale topienie się w basenie było obrzydliwym przeżyciem. Ktokolwiek powiedział, że śmierć przez utonięcie jest spokojna, całkowicie się mylił. Gabriel zdecydowanie wolałby uniknąć ponownego przechodzenia przez ten cały koszmar ognia w piersiach i wyłazających z orbit oczu.

Lecz jeszcze większy od niechęci do łykania zimnej wody był strach przed ponownym przeżyciem tej strasznej, przygniatającej chwili, kiedy Gabriel przeszedł przez portal i został zmieciony z nóg przez lawinę obrazów. Nadal nie miał najmniejszego pojęcia, z czym właściwie się zetknął. Wiedział tylko, że zupełnie dosłownie postradał wtedy rozum.

W Eyestormie zdarzało mu się dokonywać zjazdów, które były o wiele bardziej upiorne w tradycyjnym sensie tego słowa. Raz nawet Gabriel wszedł do umysłu mordercy i gwałciiciela. Ale tamte zjazdy, chociaż okropne, nie mogły się równać z tym szczególnym przerażeniem, jakiego doświadczył podczas zjazdu przez myśli Roberta Whittingtona. Było to takie uczucie, jakby struktura jego umysłu rozpadała się kawałek po kawałku, jakby odnogi jego systemu nerwowego

stapiały się w jedno niczym przegrzane kable przed ostatecznym, spektakularnym wybuchem.

Dlatego, kiedy Gabriel poczuł, że znowu obsuwa się do zjazdu i traci kontakt z bezpośrednim otoczeniem — mieszkaniem, balkonem, czerwonym pasiastym leżakiem, na którym siedział, z maską Minna-loushe uśmiechającą się po drugiej stronie szklanych drzwi — jego świadomy umysł zawahał się na ułamek sekundy. W tym momencie Gabriel wciąż mógłby zablokować ten odruch.

Potem jednak odpuścił i wślizgnął się do umysłu Roberta Whittingtona z taką swobodą i łatwością, jakby przechodził przez otwarte drzwi. Drzwi zrobione z ciemnego, grubego drewna, z umieszczonym po zewnętrznej stronie znakiem Monas...

*

Szedł tą samą drogą: przez bibliotekę z zapleśniałymi książkami, salę pełną motyli, niekończące się pokoje z ich enigmatycznymi mieszkańcami i tajemniczymi przedmiotami.

Nadal był tam bezoki mnich, i wciąż wycierał sobie oczodoły papierem ściernym. Zegary dalej tykały w niespokojnej asynchronizacji. Gołębie pawiki nadal ginęły krwawą śmiercią. Porządek miejsc, porządek rzeczy... Ten zjazd był dokładnym powtórzeniem poprzedniego. Był identyczny. Gabriel przemierzał dom o milionie drzwi, otwierając i zamykając je w surowo określonym porządku. A ponad nim sunął cicho kruk.

Schody, korytarze, perspektywy, od których kręciło się w głowie. Gabriel zaczął się przeprowiać przez wąski most wiszący, ostrożnie stawiając jedną stopę za drugą. Pamiętał ten zawrotny spacer z poprzedniego zjazdu. Po drugiej stronie mostu znajdowała się sala, w której po raz pierwszy zobaczył zamaskowaną kobietę. Zastanawiał się, czy już tam była i czekała na niego...

Ostrożnie przemierzył most, czując jego kołysanie. Ostrożnie, powiedział sobie. Utrzymuj równowagę...

A potem coś się stało.

Most pod jego stopami zapadł się bezgłośnie. Czarna przestrzeń ruszyła mu na spotkanie.

Nawet przy takim przyplywie adrenaliny Gabriel z całkowitą jasnością zdał sobie sprawę z tego, że nie znajdował się już w domu o milionie drzwi. Nie wiedział, dokąd trafił, tyle tylko, że było to gdzieś na zewnątrz: unosił się swobodnie jak oko na niebie.

Przejście było zupełnie niespodziewane. Zjazd całkowicie się zmienił. Wszystko wydawało się inne. Zaledwie sekundę zajęło Gabrielowi zorientowanie się, dlaczego tak było.

Nie patrzył już oczami Roberta Whittingtona.

Wszedł do innego umysłu.

Kiedy jego umysł z zaskoczeniem zarejestrował ten fakt, Gabriel zaczął już doświadczać otoczenia przez pryzmat innej świadomości.

Gdzie się znajdował? Czyje oczy sobie zawłaszczył?

Najwyraźniej znajdował się w pobliżu rzeki: wyczuwał jej wilgoć. Światła płonące na nabrzeżu. Most Tower. Ogromna para neonowych okularów zapalała się i gasła, neon jaśniał migotliwą zielenią na tle czarnego nieba.

Gabriel patrzył na figurkę siedzącą na leżaku na balkonie. Leżak był w czerwone pasy. Balkon pogrążony był w cieniu, ale przez szklane przesuwane drzwi wylewało się światło. Na ścianie w środku wisiała drewniana maska.

Postać na leżaku była bezwładna jak ktoś pogrążony we śnie, ale jej oczy były otwarte. Na jej kolanach leżała książka, bryza przewracała kartki. Książka wyglądała na starą, strony pożółkły i wyglądały jak pergamin. Gabriela zaciekawiło, czego dotyczyła. Gdyby przysunął się bliżej, może zdołałby odczytać litery na kartce.

Coraz bardziej i bardziej zbliżał się do postaci na leżaku. Teraz patrzył już prosto w twarz mężczyzny przed sobą. Wpatrywał się głęboko i badawczo we własne, szeroko otwarte oczy.

Gabriel wrzasnął. Krzyk rozchodził się w jego głowie drżącym echem.

Z niemal fizycznym szarpnięciem zamknął wewnętrzne oko i zakończył zjazd. Zerwanie połączenia między wirtualną a fizyczną rzeczywistością było bolesne: Gabriel czuł się tak, jakby głowa miała mu się rozpaść na części. Wstrząsnęły nim mdłości.

Pochylił się do przodu i chwycił za kolana, by uspokoić żołądek.

Okej. Spokojnie. Jesteś bezpieczny. Jesteś w swoim mieszkaniu. Już po zjeździe. Jesteś bezpieczny. A teraz weź się w garść. Jesteś bezpieczny. Lecz skórę miał lepką i zimną od potu. Był śmiertelnie przerażony. Znowu zadrżał.

Co się stało? W jednej chwili był w samym środku zjazdu, patrzył oczami Robbiego. A za moment perspektywa się zmieniła i nagle spoglądał przez inną parę oczu. Czyich?

A co więcej, zjazd przeskoczył z przeszłości w teraźniejszość. Robert Whittington nie żył. W pierwszej części zjazdu Gabriel przeżywał ponownie wydarzenia, które miały już miejsce w przeszłości. A osoba, której spojrzeniem zawładnął pod koniec, zdecydowanie żyła. A najbardziej przeraził go fakt, że ta nowa para oczu skupiała się na nim: na Gabrielu Blackstonie. Ktoś próbował go szpiegować. To odkrycie ścieło mu krew w żyłach.

Z czym umysłem się połączył?

Ale przecież znał odpowiedź na to pytanie, prawda? Z niczym nie można było pomylić tej arogancji, zimnej kalkulacji, tej wszechogarniającej ciekawości. Już raz poczuł to wszystko, kiedy tonął w basenie, spoglądając w oczy kobiety z morderem w sercu.

Więc jak to się stało, że wszedł dziś do jej umysłu?

Istniała tylko jedna odpowiedź na to pytanie.

I potwornie go przeraziła.

Jasna cholera, pomyślał Gabriel. Jasna cholera.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Frankie wyglądała na przemęczoną. Na łóżku przed nią leżała otwarta walizka, samo łóżko zaś zawałone było ubraniami. Bluzki, zakąty, bielizna. Frankie co chwilę spoglądała na stojący na szafce nocnej zegarek. Gdy Gabriel zadzwonił do niej o świcie, stwierdziła, że nie będzie w stanie się z nim spotkać.

— Przepraszam, ale strasznie się spieszę — powiedziała zmęczonym głosem. — Nie możesz po prostu powiedzieć mi przez telefon?

— Nie, wolałbym to omówić twarzą w twarz. Cholera, Frankie. Wczoraj znowu miałem zjazd. Nie jesteś przynajmniej ciekawa?

— Oczywiście, że tak. Ale mam się spotkać z Williamem w Szwajcarii, a wciąż jestem niespakowana... — Gabriel usłyszał jej westchnienie. — No dobrze. Może podjedziesz teraz? Tylko miej na uwadze, że przed dziesiątą muszę być na lotnisku.

— Skąd lecisz? Z Heathrow?

— Ze Stansted. Prywatnym samolotem — wyjaśniła zwięźle.

Prywatny samolot. Oczywiście. Gabriel zastanowił się, jakby to było podróżować po świecie swoim własnym prywatnym odrzutowcem.

— Więc powiedz im, żeby go dla ciebie zatrzymali. Myślałem, że na tym właśnie polega część picu.

— Nie mogę. W południe muszę być w Bernie. Chodzi o to, że... — Gabriel usłyszał w jej głosie wstrzymywane podniecenie. — Jadę, bo William ma spotkanie ze specjalistą z pewnej kliniki, który może będzie mógł pomóc. Podobno facet jest geniuszem. Ma mu zaproponować nowe leczenie. Chcę tam być w czasie konsultacji i nie mogę się spóźnić. Więc przyjedź tu szybko, dobrze?

Gabriel w rekordowym czasie dotarł do jej domu w Holland Park — który składał się z samych białokremowych, stiukowych kolumn oraz ogrodzenia z czarnego, ozdobnie kutego żelaza — jednak zaczął myśleć, że szkoda było zachodu. Nie był w stanie sprawić, by Frankie skupiła się na tym, co do niej mówił. Ciągłe przerywały im telefony oraz skwaszony kamerdyner, wyraźnie niezadowolony z faktu, że jakiś dziwny facet przesiadywał w sypialni pani domu. Zwłaszcza że pani domu jeszcze się nie ubrała i miała na sobie tylko koszulę nocną. Trzeba powiedzieć, że była to bardzo ładna koszula. W niebieskim zawsze było Frankie do twarzy.

— Podaj mi tamten pasek, dobrze? — Wskazała na skórzany pasek z misterną sprzączką. — Dzięki. Cholera, gdzie ja wsadziłam mokasy-ny? Miałam je tuż przed sobą. Pamiętasz? Miałam je w ręce sekundę temu, prawda?

Gabriel westchnął.

— Frankie, musisz się skupić. Po prostu mnie posłuchaj, dobrze?

— Cały czas słucham.

Otworzyła szufladę toaletki i zaczęła zgarniać szminki, pędzle do pudru, przybory toaletowe. Lustra jej toaletki były ogromne i wspa- niale odbijały wykwinny wystrój pokoju. Daleko mu było do zaku- rzzonego mieszkanka, które dzielili w Oksfordzie, pomyślał Gabriel.

Frankie wzięła kredkę do brwi i wrzuciła ją do kosmetyczki.

— Cały czas słucham — powtórzyła. — Mówiłeś, że wczoraj wieczorem

przeskoczyłeś z myśli Robbiego do myśli jego zabójczyni. Świetnie. To duży postęp. Więc w czym problem? Już wcześniej udawało ci się przeskoczyć z ofiary do zbrodniarza. Pamiętasz sprawę Rushkoffa?

Oczywiście, że pamiętał sprawę Rushkoffa. To był jeden z jego pierwszych sukcesów w Eyestormie. Zdołał przejrzeć nie tylko myśli Olivera Rushkoffa – zamożnego brokera – ale także umysł jego porywacza. Całymi dniami szukał nadaremnie. Wszystko, co udawało mu się wyciągnąć z umysłu Rushkoffa, to ciemność i poczucie klaustrofobii: mężczyzna przez cały okres uwięzienia miał zasłonięte oczy, co oznaczało, że Gabriel nie był w stanie zdobyć żadnych wizualnych wskazówek. Ale zdołał dokonać przeskoku z myśli Rushkoffa do umysłu jego porywacza, i to natychmiast rozwiązało sprawę.

– Frankie, nie rozumiesz. Nie chodzi o to, że zmieniłem perspektywę.

Frankie pokręciła niecierpliwie głową i jej lśniące włosy zafalowały.

– Ale właśnie powiedziałaś...

– Nie. Przestań. Posłuchaj.

Coś w jego głosie sprawiło, że wreszcie zwróciła na niego uwagę. Odłożyła kosmetyki, po czym stanęła twarzą do Gabriela.

– No dobra. Słucham.

– Nie rozumiesz? Tu nie chodziło tylko o przełączenie perspektywy. To nie ja skanowałem morderczynię. To ona skanowała mnie.

Frankie zaskoczona machnęła ręką.

– To niemożliwe.

– Mówię ci, że tak właśnie się stało.

– Chcesz powiedzieć, że morderczyni Robbiego jest dalekowidząca?

– Właśnie to chcę powiedzieć.

– Że jedna z tych kobiet potrafi dokonywać zjazdów?

– Tak.

Na długą, długą chwilę zapadła między nimi cisza. Gabriel ujrzał w jej twarzy ten sam szok, który sam przeżył poprzedniego wieczoru.

— Dlaczego cię skanowała?

— To właśnie jest pytanie za milion dolarów, prawda?

Frankie opadła ciężko na stołek przy toaletce.

— Więc musi wiedzieć, że próbowałaś odkryć, co się stało z Robbiem.

Gabriel wolno pokręcił głową.

— To możliwe, ale jakoś mam wrażenie, że nie o to chodzi.

Ona chyba nie wie, że sięgnęła do mnie, kiedy sam byłem w trakcie zjazdu. Gdy tylko zaczęła mnie skanować, natychmiast wypadłem z przestrzeni psi Robbiego. Nie weszła ze mną do tego domu. Nie, nie sądzę, żeby jej skanowanie miało cokolwiek wspólnego z chłopcem. To ja ją interesuję. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, żebyś nie wyszedł na potwornego zarozumialca, ale te kobiety są mną zafascynowane.

Frankie uniosła brew.

— Wiem, wiem. Ale powinnaś widzieć, jak Minnaloushe mnie otaksowała, kiedy spojrzałem na nią na tych zajęciach z rysunku. A Morrighan znowu zaprosiła mnie do ich domu.

Jutro wieczorem jem tam obiad. Mówię ci, że siostry chcą poznać mnie lepiej. O wiele lepiej. Nie pytaj dlaczego.

Frankie uśmiechnęła się nagle.

— Cóż, jesteś całkiem śliczny.

— Nie aż tak.

— Zgadzam się. I szczerze mówiąc, te kobiety mogą mieć każdego.

Frankie skrzywiła się i przeciągnęła palcami po swoich krótkich włosach, przez co nastroszyły się wokół jej twarzy niczym aureola. Nadało jej to wygląd osłupiałego chochlika. Gabriel dobrze pamiętał tę jej manierę. Kiedy jeszcze byli razem, zawsze wyciągał rękę i z powrotem przyglądał jej włosy. Ale gdyby teraz tego spróbował, pewnie nie zostałyby to dobrze przyjęte.

Frankie wciąż wyglądała na zszokowaną.

— Nie mogę uwierzyć, że jedna z nich jest dalekowidząca. To zupełnie nieprawdopodobne.

— Wiem. To jakiś cholerny surrealizm.

— Och! — Frankie zakryła usta dłonią. — Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza. Teraz pewnie wie, że ty też jesteś dalekowidzący. Świadczy o tym fakt, że zdołałeś zablokować jej skanowanie.

— Wiem. Ale pamiętaj, jej się wydaje, że była incognito. Założy po prostu, że instynktownie wyczułem i zablokowałem skan.

— Dokładnie mówiąc, to nie wiesz, kto to był. Minnaloushe czy Morrighan.

— Ale wiem przynajmniej, że to jedna z nich. Zdołałem wyczuć ciekawość. A także... arogancję.

— A zatem to było spotkanie umysłów.

— Co masz na myśli?

— Cóż, spójrzmy prawdzie w oczy: nie jesteś najskromniejszym facetem na świecie. Zawsze zakładałeś, że nikt cię w te klocki nie pokona. Byłeś Panem Superdalekowidzącym, który uważał się za zbyt dobrego, by stanowić część zespołu. Nie wiem, czy w ogóle zdawałeś sobie z tego sprawę, ale niektórzy z pozostałych w Eyestormie nie byli zachwyceni tą twoją dumą.

— Więc pewnie bardzo się ucieszyli, kiedy wyleciałem z wielkim hukiem.

Tym razem cisza między nimi była pełna napięcia. Frankie machnęła lekceważąco ręką.

— No dobra, nie zaczynamy tego tematu. To w niczym nie pomoże. — Jej wzrok znowu padł na zegar z połączanego brązu. — Kurczę. Muszę wziąć prysznic i się zmywać.

Przykro mi.

Gabriel wstał.

— Jak długo cię nie będzie?

— Cztery dni. Po konsultacji jedziemy z Williamem do Paryża.

Interesy. Mogłabym wrócić do domu, ale nie chcę go teraz zostawiać, rozumiesz.

— Oczywiście.

— Ale bądź w kontakcie, słyszysz? Masz mój numer na komórkę. Daj mi znać po jutrzejszym obiedzie.

— Dobrze.

Odwróciła się, żeby wyjść, ale Gabriel położył rękę na jej ramieniu i zatrzymał ją.

— Powiedziałś mężowi, że jednak postanowiłem spróbować rozwiązać tajemnicę zniknięcia Robbiego?

Frankie zawahała się.

— Jeszcze nie.

— Dlaczego? Przecież tego właśnie chciał.

— Wiem. Ale nie chciałam mu mówić, że zgodziłeś się tym zająć, dopóki nie byłam pewna, że się wciągnąłeś. Nie było sensu robić mu nadziei tylko po to, żeby znowu się rozczarował. Na początku nie bardzo się do tego paliłeś i bałam się, że może po kilku dniach zrezygnujesz.

— Myślisz, że jestem aż tak niegodny zaufania? — Gabriel nie mógł powstrzymać gorczy w głosie.

Frankie westchnęła.

— Powiem mu dzisiaj.

— Dobrze. Zrób to.

— A ty? Co teraz zrobisz?

— Jadę spotkać się z Izydorem. Myślę, że klucz do tego, co stało się z chłopakiem, może być zamknięty w tych dwóch komputerach w Monk House. Pamiętasz te dwa pliki z chronionym dostępem, o których ci mówiłem?

Kiwnęła głową.

— Dziennik i „Klucz Prometeusza”.

— Właśnie. Musimy się dowiedzieć, co w nich jest. Fakt, że tylko one są chronione hasłami, musi coś znaczyć. Izidor stworzył wirusa, którego podrzucimy im do systemu. Zrobimy to dzisiaj.

— Powodzenia.

— Tak, i tobie też.

Frankie uśmiechnęła się, ale był to tak smutny uśmiech, że Gabriel poczuł, jak serce mu się ściska. Zastanowił się, jak to jest żyć z kimś, kto umiera. Nie móc robić planów na przyszłość. Dobrze to znosiła. Ale w końcu niczego innego się po niej nie spodziewał.

Frankie odezwała się zmęczonym głosem:

— Nawet jeśli temu nowemu doktorowi się uda, to nie oznacza, że William będzie wyleczony. Po prostu zyska trochę więcej czasu.

— Więcej czasu to dobra rzecz. — Gabriel objął ją. — Trzymaj się, Frankie.

Na chwilę oparła się o niego. Ciężar jej głowy przy jego ramieniu był zaskakująco znajomy. Kiedyś przytulał ją dokładnie w ten sam sposób. Zawsze dobrze do siebie pasowali. Frankie była od niego o tyle niższa, że jej głowa sięgała mu tylko do brody.

Jego ramię mocniej zacisnęło się na jej talii i przez jedną sekundę Gabrielowi zdawało się, że czuje, jak Frankie reaguje na to i przysuwa się bliżej do niego.

Odsunęła się gwałtownie.

— Dzięki. Wszystko w porządku.

— Frankie...

— Musisz już iść. — Jej głos był sztywny. We wgłębieniu jej szyi wyraźnie widać było pulsujące tętno.

Nagle Gabriel poczuł przygnębienie. Co on sobie myślał, do diabła? Czyżby właśnie próbował się przystawiać do żony umierającego człowieka? Co za klasa, Blackstone. Ale nie mógł się powstrzymać. Była taka ciepła i miękka przy jego ramieniu. A przez ostatnie kilka dni przyłapywał się na tym, że myśli o niej o wiele częściej, niż by chciał. Raz nawet zaczął bazgrolić coś bez zastanowienia na skrawku papieru, a kiedy w końcu się skupił, odkrył, że pokrył kartkę sercami, strzałami i przeplecionymi inicjałami. Żałosne.

— Gabrielu...

Spojrzał na nią czujnie. Ale jej następne słowa były dla niego zaskoczeniem.

— Bądź ostrożny. Obiecuj mi, proszą, że będziesz ostrożny.

Martwiła się o niego? Gabriel uśmiechnął się szeroko i nagle poczuł się o wiele lepiej.

— Nic mi nie będzie. Pamiętaj, że jestem Panem Superdalekowi-dzącym.

— Nie bądź zbyt pewny siebie. I proszę, nie daj się uwieść siostram. Są niebezpieczne. Pilnuj się. Obiecujesz?

Posłał jej całusa.

— Obiecuję.

*

Kiedy Gabriel zjawił się u Izydora, ten oglądał właśnie stary odcinek *CSI: Zagadek Kryminalnych Miami*.

— Rany, ta Catherine Willows to niezła laska. — Izydor kiwnął głową w kierunku telewizora. — Uwielbiam silne, seksowne, dojrzałe kobiety.

— Jestem pewien, że silne, seksowne, dojrzałe kobiety na całym świecie szaleją z radości.

Izydor z rozpaczą wyrzucił ramiona do góry.

— O nie, mamy dziś dobry humor.

— Bez obaw. Raz-dwa i znowu będę normalnym, posępnym sobą.

Gabriel rozejrzał się dookoła. Od czasu jego ostatniej wizyty chaos na biurku Izydora wzrósł o kilka pustych pojemników po chińszczyźnie, tłustych i zaplamionych na czerwono i pomarańczowo. Zacytana kopia cienkiej książeczki Philipa K. Dicka *Tractates Cryptica Scriptura* służyła jako podstawka pod kubek wypełniony do połowy zimną czarną kawą i zastygłym kleksem poźółklej śmietanki. Fakt, że Izydor był w stanie funkcjonować w takim otoczeniu, był nie do pojęcia.

Gabriel spojrzał na samego Izydora, który wciąż gapił się w telewizor z wyrazem rozmarzenia w oczach.

— Mam nadzieję, że zajmowałeś się czymś więcej, niż tylko oglądaniem

powtórek. Nie płacę ci za nurzanie się w fantazjach erotycznych. Muszę się dostać do tych komputerów w Monk House. *Pronto.*

Izydor westchnął potężnie i wyłączył pilotem telewizor. Zsunął długie nogi ze stolika do kawy, po czym wykonał przed Gabrielem żartobliwy ukłon.

— Nie lękaj się, o wielki. Twój wierny sługa wykonał zadanie. Spójrz tutaj. Myślę, że to powinno wystarczyć.

Zaczął bębnić po klawiaturze i jak zwykle Gabriel na sekundę dał się oczarować tempu i zręczności, z jaką Izydor posługiwał się urządzeniem, które miał przed sobą. Prawdziwie wielcy hakerzy byli jak magicy. Potrafili wdrzeć się do umysłu swoich komputerów tak głęboko, że te zdawały się odpowiadać na ich myśli, zmieniając związek między człowiekiem a maszyną z mechaniki w telepatię.

Izydor odchylił się na krześle.

— Dobra. Skleciłem tu sprytnego trojana. Ale mówiłeś, że siostrzyczki mają u siebie Antywira Kaspersky'ego, co stanowi spore utrudnienie. KAV to dobra rzecz. Bez żadnego wysiłku wywęszy większość trojanów.

— Powiedz mi, że będzie szczęśliwe zakończenie.

— Oczywiście, że tak. Mój geniusz kwitnie w obliczu wyzwania. Zaprojektowałem takiego sukinkota, że rozniesie KAV-a na części. Zmiecie go z powierzchni. Nazwałem go Dawid.

— Tak jak ten Dawid od Goliata? Co za oryginalność.

Izydor uśmiechnął się litościwie.

— Po prostu zazdrościsz.

— No a co zrobimy, jak odkryją, że ich KAV przestał działać? Natychmiast zaczną coś podejrzewać. Nie chcę, żeby w ogóle przyszło im do głowy, że tam weszliśmy.

— Ach. I ponownie mnie nie doceniasz. Doczepiłem Dawidowi genialną opcję. Kiedy tylko zabije KAV-a, doda do paska zadań fałszywą ikonę, żeby stworzyć wrażenie, że KAV wciąż żyje i ma się świetnie. Ekstra, nie?

Gabriel musiał przyznać, że faktycznie ekstra.

— A zatem — ciągnął Izydor — ja odwalilem swoją część. Reszta należy do ciebie. Jak zamierzasz to wysłać? Jeśli te kobiety są dostatecznie wyrafinowane, żeby zainstalować sobie KAV-a, to widzi mi się, że nie otworzą naiwnie załącznika od obcej osoby.

— Cóż, może uda nam się je skusić. Napisałem fałszywy list, rzekomo od kogoś, kto ma do sprzedania bardzo rzadką kongijską maskę Makishi i chce spytać Minnaloushe, czy byłaby zainteresowana. Razem z listem będzie musiała ściągnąć zdjęcie maski. Chwyci przynętę, możesz mi wierzyć.

— I co potem? Kiedy będzie chciała kupić i dowie się, że nie ma żadnej maski?

— Proste. Poślemy jej wiadomość, że się spóźniła i ktoś inny już ją nabył. Na pewno ciągle jej się to zdarza. Czemu miałyby coś podejrzewać?

— A skąd wzięłeś zdjęcie maski? — spytał z ciekawością Izydor.

Gabriel uśmiechnął się.

— Buchnąłem ze starego katalogu Muzeum Wiktorii i Alberta.

— Chytre. — Izydor pokiwał uroczyście głową. — Jestem z ciebie dumny. No, to rozwiązuje sprawę Dziennika. Będziesz mógł przeczytać go w trymiga. Prawdziwy kłopot tkwi oczywiście w tym drugim.

— „Klucz Prometeusza”.

— No. Ponieważ w tym przypadku komputer nie jest podłączony do Internetu, będziesz musiał osobiście zainstalować w hardwarze keyloggera, żeby się tam dostać, staruszk. Przykro mi.

Gabriel westchnął. Keyloggerzy były potwornie niewygodne. Jedy-
nym sposobem, żeby je zainstalować, był osobisty dostęp do samego komputera. Co oznaczało, że kiedy jutro uda się do Monk House na obiad, będzie musiał po prostu liczyć na to, że siostry zostawią go samego w pokoju wystarczająco długo, żeby zdążył zainstalować to draństwo.

— Nie rozpaczaj — powiedział wesoło Izidor. — Przynajmniej nie będziesz musiał szarpać się z jakimiś lichymi loggerami z funkcją inline. Zdołałem wyszukać ci powalającego, maleńkiego, robionego na zamówienie szpiega. Stary, to szczyt techniki. W sklepie tego maleństwa nie kupisz. Ja miałem szczęście: facet, od którego to pożyczyłem, to mój kumpel czarownik z *Dreadshine*, i wisi mi przysługę. — Izidor wręczył Gabrielowi małe, prostokątne pudełko. — Proszę. Dbaj o to. Chyba, że chcesz, żeby mój przyjaciel Aaron złożył ci wizytę.

— Dzięki — Gabriel ostrożnie wsunął pudełeczko do kieszeni marynarki. — Jutro zrobię z niego dobry użytek.

— Więc co się do tej pory wydarzyło? — spytał ciekawie Izidor. — Jakies wskazówki co do naszego chłopaczka?

Gabriel spojrzął na jego rozentuzjazzowaną twarz. Czy powinien powiedzieć mu o przedwczorajszym zjeździe? Zwykle miał dość duże opory przed rozmowami o dalekowidzeniu z kimkolwiek, kto sam nie był widzącym — to niedowierzanie i ignorancja były męczące. Jednak Izidor, choć szurnięty, nie był idiotą.

Kiedy Gabriel opisywał zjazd, jego przyjaciel słuchał z godną pochwały uwagą. Lecz gdy opowieść dobiegła końca, zapiał z zachwytu.

— Ale ostro. To jest... — szukał właściwego słowa i w końcu się poddał. — Wiesz, nadal nie mogę przetrwać faktu, że skanowałeś myśli martwego człowieka. To upiorne.

— Izidorze, to nie są myśli martwego człowieka. W tamtej chwili Robert Whittington był jak najbardziej żywy. A ponieważ te myśli wciąż stanowią część przestrzeni psi, czyli pola świadomości, mogą dokonać zjazdu.

Izidor pokiwał mądrze.

— Teraz wiem już wszystko o przestrzeni psi. Mówiłem ci, że włamałem się do plików wojskowych na jakiejś witrynie College Park w Marylandzie? Kolesie napisali sporo o przestrzeni psi, kiedy jeszcze rząd Stanów sponsorował projekt Stargate. Naprawdę niesamowite rzeczy.

Gabriel spojrział na niego ostrzegawczo.

— Igrasz z ogniem. Jeśli cię przyłapią, pochowają cię razem z tą ich ustawą antyterrorystyczną.

— Och, błagam. Przyłapią mnie? Jestem duchem. Nigdy mnie nie złapią. A poza tym, co takiego groźnego jest w wiedzy o przestrzeni psi? Na ile ja to rozumiem, to coś jak urządzenie do przechowywania informacji. Jak dane z umysłu przechowywane w jakimś kwantowym komputerze świadomości, do którego dalekowidzący mają dostęp, bo znają hasło.

Gabriel nie mógł powstrzymać uśmiechu. Mógł się spodziewać, że Izydor wymyśli jakąś informatyczną analogię.

— Ale chciałbym wiedzieć, czy kiedykolwiek zapominasz hasła. Znaczy, czy zawsze udaje ci się podłączyć?

Gabriel pomyślał o Frankie. Pan Superdalekowidzący. Ale nawet Pan Superdalekowidzący czasem zawodził. A konsekwencje mogły być potworne.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Izydor przygląda mu się z ciekawością. Wzruszył ramionami.

— Z różnymi sukcesami. Nie można tego nazwać nauką ścisłą. Wrażenia, które odbieram, są przeważnie bardzo niewyraźne. Czasem jest tego tak mało, że do niczego się nie przydaje.

— Ale kiedy zjechałeś przez umysł Robbiego, szczegóły były bardzo wyraźne, prawda?

— Tak, ale to był czysty obłąd. To, co ten dzieciak widział, zanim utonął, jest po prostu niemożliwe. Znaczy się, szedł przez dom o milionie drzwi. Przecież to zupełnie nieprawdopodobne. Zazwyczaj podczas zjazdu widzi się fragmentarycznie. No wiesz, poodrywane kawałki, zamazane wrażenia. W tym zjeździe było tyle szczegółów, ile w rolce filmowej. Tyle że to wszystko nie miało za grosz sensu.

— Może Whittington brał prochy.

— Frankie też to sugerowała. Ale ja nadal sądzę, że nie o to chodzi.

— No dobra, a co z tym drugim zjazdem? Kiedy wlałeś do umysłu damy z krukiem? A raczej ona wlała do twojego. — Izydor uśmiechnął

się. — Dama z krukiem. Człowieku, to jak coś żywcem wyjętego z gry fantasy. Po prostu odlot. Gabriel zgarbił się z irytacją.

— Dla mnie fakt, że morderczyni Roberta też jest dalekowidzącą, wcale nie jest odlotowy.

— No. To tak, jakby odbierała ci przewagę, nie? — Izydor przybrał pozę gladiatora. — Bitwa dalekowidzących. Umysł kontra umysł!

— To nie jest gra komputerowa — Gabriel spojrzał na niego zniecierpliwiony. To tyle, jeśli chodzi o głęboką wymianę myśli. Powinien pamiętać, że w życiu Izydora granica między światem realnym a rzeczywistością wirtualną była raczej wątła. To, co działo się w wirtualnej przestrzeni *Dreadshine'a*, było dla Izydora równie prawdziwe jak codzienne wydarzenia z rzeczywistego świata. Prawdopodobnie nawet bardziej.

— Tak czy siak nie mogę tu siedzieć przez cały dzień — Gabriel podniósł się z miejsca. — Przyślę ci potem list i zdjęcie dla Minnaloushe. Wsadź tam Dawida i poślij jej wiadomość. Daj mi znać, gdy tylko otworzy załącznik, okej? Bardzo jestem ciekaw, co znajduje się w tym Dzienniku.

— Się wie. Sam nie mogę się doczekać. Dziennik pisany przez jedną z tych dwóch babeczek musi być ostry. Nie żeby kierowało mną cokolwiek poza pragnieniem odkrycia, co naprawdę stało się z biednym Robertem — dodał Izydor cnotliwie.

Lecz kiedy otwierał Gabrielowi drzwi frontowe, nagle spowaźniał.

— Będziesz na siebie uważał?

Gabriel zerknął na niego z rozbawieniem.

— I ty zaczynasz? Frankie też się całkiem rozkleiła. Ale po tobie bym się tego nie spodziewał. Naprawdę się o mnie martwisz? Jakie to wzruszające.

— Poważnie, Gabe. Ta kobieta to morderczyni. I będzie chciała znowu dostać się do twojej głowy. Lepiej się na to przygotuj. Będziesz w stanie się połapać, kiedy spróbuje cię zeskanować?

— Zdecydowanie. Natychmiast ją rozpoznam. — Gabriel uśmiechnął się trochę ponuro.

Kiedy jeszcze był w Eyestormie, został pod tym względem doskonale wyszkolony. Alexander Mullins upierał się, żeby dalekowidzący z Eyestormu rutynowo skanowali również siebie nawzajem. Można szczerze powiedzieć, że Gabriel nigdy nie lubił tej części treningu. Ciężko było pozwolić komuś przejść przez własne wewnętrzne oko. Kiedy tylko do jego umysłu wchodził inny dalekowidzący, Gabriela natychmiast przechodziły ciarki i zaczynał się pocić. Impuls, żeby blokować, zawsze był nie do odparcia.

Ale jedną rzeczą, której nauczyły go ćwiczenia w skanowaniu, był fakt, że każdy dalekowidzący miał inną „sygnaturę”. Gabriel zawsze potrafił rozpoznać, kto próbował zbadać jego umysł. Ślad, jaki wyciska dalekowidzący na umyśle gospodarza, jest unikatowy: bezkształtny, bezbarwny, ale nieomylny. Co dziwne, Gabriel zawsze utożsamiał go z zapachem. Woń Frankie, jak pamiętał, była jak sosnowe igły. Jak bryza. Kiedykolwiek Frankie wchodziła do jego umysłu, czuł świeżość. Sygnatura kobiety, która weszła do jego umysłu poprzedniej nocy, była zupełnie inna. Piżmo, uroczyn. Bardzo potężny zapach.

Gabriel spojrział w niespokojne oczy Izydora.

— Nie martw się. Jeśli znowu spróbuje mnie zeskanować, rozpoznam ją i zablokuję.

— Jesteś pewien, że dasz radę to zrobić? Gabriel skinął z naciśnięciem.

— Absolutnie. — Pstryknął palcami. — Nie ma strachu.



Data wpisu: 8 czerwca

Wspaniałe wieści!

G. jest dalekowidzącym. Odkąd to odkryłyśmy, M. i ja nie rozmawiamy niemal o niczym innym.

Z jednej strony było to jak otwarcie paczki i znalezienie w środku jadowitego węża. Z drugiej — wyzwanie, które przed nami leży, podnieca mnie jak erotyczny sen. Węża można zakląć. To tylko kwestia doboru odpowiedniej muzyki...

Muszę przyznać, że z początku szok był ogromny. Ale teraz, kiedy miałyśmy czas to przemyśleć, zdałyśmy sobie sprawę, że to właśnie jest znak, na który czekałyśmy.

G. jest widzącym. Ciekawe, czy wie, jak bardzo jest wyjątkowy. Reprezentuje sobą kolejny krok ewolucji. Człowiek multisensoryczny.

Pomyślmy tylko o tych wszystkich możliwościach.

Pomyślmy o prędkości. Błyskawica. Ekstaza.

A także niebezpieczeństwo. To może być niebezpieczne.

I dlatego właśnie musimy pozwolić, żeby upłynęło trochę czasu, zanim spróbujemy kolejnego skanu. G. będzie teraz ostrożny. Musimy sprawić, żeby się rozluźnił. Żeby przestał się tak pilnować. A następnym razem skan będzie tak delikatny, jak kroki Goliata na

jedwabiu. Żadnych śladów. Jak widmo przesuujące się przez jego myśli.

G. przychodzi do nas jutro wieczorem. Obie nie możemy się doczekać, żeby go znów zobaczyć. Cała nasza trójka wyruszy wkrótce we wspólną podróż, a nasze prawdziwe imiona na zawsze się połączą.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Gabriel wspiał się po stopniach prowadzących do frontowych drzwi Monk House i przycisnął dzwonek. Sygnał był długi i melodyjny. Czekaając, przestępował z nogi na nogę. Bukiet kwiatów w jego rękach wydawał się nieodpowiedni. Gabriel pocił się lekko, zarówno z gorąca, jak i z nerwów.

Nagle przyszło mu do głowy, że może niewłaściwie się ubrał. Zdecydował się na dżinsy, białą koszulę i marynarkę. Marynarka była od Armaniego, ale może powinien włożyć coś bardziej wieczorowego? Z tego co wiedział, kolacja mogła równie dobrze być przyjęciem, a inni goście mogli przyjść wystrojeni w najlepsze ciuchy.

Czemu się tak denerwował? Nie uważał się za nieśmiałego, ale przy tych kobietach czuł się niezdarny niczym nastolatek. Świadomość, że w wewnętrznej kieszeni jego marynarki znajdował się szpieg do klawiatury, również nie pomagała. Przy każdym ruchu Gabriel wyczuwał spoczywające na jego sercu maleńkie, blaszane pudełeczko.

We wnętrzu nic się nie poruszało. Światło na ganku było wyłączone, a frontowe okna ciemne. Dom wydawał się opuszczony. Przez chwilę Gabriel zastanawiał się, czy nie pomylił dni.

Ale wtedy ktoś zapalił lampę w okienku nad wejściem, a w środku rozległy się lekkie kroki. Chwilę potem drzwi stanęły otworem i do

Gabriela uśmiechnęła się Minnaloushe Monk, ubrana w zwiewną czarną spódnicę i cienką jak pajęczna sieć bluzkę. Wyglądała cudownie: jak brzoskwinie ze śmietanką. I do tego te zmysłowe włosy.

— Gabriel. — Pochyliła się do przodu i pocałowała go w policzek. Jej usta były miękkie. — To dla nas? Dziękuję, są śliczne. — Przyniosła kwiaty do nosa. — Uwielbiam frezje.

Mimo jej rzekomej radości, Gabriel pomyślał nagle, że jakiś inny podarunek byłby bardziej na miejscu. Może wino. Albo czekoladki. Przynoszenie kwiatów do tego domu było jak wożenie lodu na Antarktydę. Kiedy wszedł za Minnaloushe do przedpokoju wypełnionego po brzegi roślinami doniczkowymi, przypomniał sobie, że było tu już dość zieleniny. No i zapomniał o różach. Kiedy wszedł do salonu, ich zapach był po prostu wszędzie. Unosił się z ogromnych pąków w alabastrowych misach i wpływał — gęsty i zmysłowy — przez otwarte na ogród francuskie drzwi. Wisiał w powietrzu, osiadał na meblach jak niewidzialny szal.

Morrighan podniosła się z dużego wiklinowego fotela, na którym siedziała. Miała na sobie prostą, białą lnianą sukienkę. Była boso. Czarne włosy opadały jej swobodnie na ramiona. Wydawała się młodszą i bardziej przystępna. Lecz niezmiennie piękna. Ta rodzinka miała geny na medal.

— Witaj. — Morrighan również go pocałowała: jej usta ledwo musnęły policzek Gabriela. — Rozgość się. — Wskazała mu jeden z foteli. — Czego się napijesz?

— Ginu z tonikiem, jeśli macie.

— Oczywiście. — Morrighan podeszła do ciężkiego dębowego kredensu i otworzyła drzwiczki. W środku znajdowały się kieliszki i cały zestaw butelek z alkoholem.

— Dla mnie czerwone wino — powiedziała Minnaloushe. Spojrzała na Gabriela. — Wybacz na chwilkę. Włóż tylko kwiaty do wody.

— I zajrzyj do jagnięciny, dobrze? — Morrighan zerknęła przez ramię. — Przykręć ją trochę. — Wręczyła Gabrielowi kieliszek i dodała:

— Będzie nas tylko troje, ale Minnaloushe i ja miałyśmy ochotę zasza-
leć. Zatem na główne danie mamy jagnięcinę z sosem pesto. A na
przystawkę ravioli z homarem. Mam nadzieję, że masz apetyt.

— Brzmi wspaniale.

Morrighan kiwnęła głową.

— Skromność skromnością, ale całkiem niezłe z nas kucharki. —
Podeszła do głębokiego fotela i na powrót na nim usiadła, wsuwając
pod siebie szczupłe stopy. — W każdym razie, na zdrowie.

— Na zdrowie.

Gabriel spróbował swojego drinka. Idealny. Nie za dużo ginu. Do-
kładnie tak, jak lubił.

Rozejrzał się dookoła. Salon wyglądał tego wieczoru przytulnie.
Oświetlały go liczne świece; maleńkie migotliwe płomyki mrugały z
pólek, stolików, nawet z podłogi. Przedmioty w pokoju wydawały się
połyskiwać. Kompasy i astrolabium były jak z polerowanej miedzi.
Szklane klosze lśniły. W tym słabo oświetlonym pomieszczeniu blade
szkieleciaki ptaków nie wyglądały już dziwnie, lecz zyskiwały jakieś
kruche piękno. Nawet maski na ścianie utraciły swoją aurę groźby i
zdawały się raczej oryginalne niż dziwaczne. Jedyne dysonans stano-
wił Goliat, wciąż zdecydowanie nieprzyjazny w swoim terrarium.

Do pokoju wróciła Minnaloushe. Opadła na aksamitną sofę i się-
gnęła po swój kieliszek wina.

— W kuchni wszystko pod kontrolą. Za jakieś pół godziny będzie-
my mogli jeść — powiedziała do Gabriela i uśmiechnęła się. — Tak
właściwie powinniśmy pić dziś szampana, żeby uczcić twój skok.
Morrighan mówiła, że poczułeś się jak ryba w wodzie.

Patrzyła na człowieka z niezwykłą uwagą. Wygląda na to, że jest
szczerze zachwycona moją obecnością, pomyślał Gabriel. Wrażenie to
potęgował jeszcze jej zachrypnięty, ściszony głos. Gabriel zastanawiał
się, ilu facetów dało się na to złapać. Na pewno nie mieli nic przeciw-
ko temu.

— Było fajnie — odwrócił się do Morrighan. — Ale miałem dobrego trenera.

— Dzięki ci, miły panie. — Morrighan uśmiechnęła się i uniosła kieliszek żeby spełnić toast.

Gabriel odwzajemnił ich uśmiechy, cały czas zastanawiając się, która z siostr była wcześniej jego gościem. Zaledwie dwie noce temu przeżył zjedną z nich coś bardzo intymnego. Któraś z tych kobiet weszła do jego umysłu. Bardziej już nie można było się zbliżyć.

Lecz jeśli liczył na to, że wychwyci od którejś z nich jakieś echo, to spotkało go rozczarowanie. Rozmawiali przyjaźnie, przeskakując z tematu na temat. Książki, filmy, sytuacja na Bliskim Wschodzie. Konwersacja, jaka mogłaby toczyć się na każdym przyjęciu. Obie kobiety były czarujące, bardzo odcytane, dowcipnie wyrażały swoje opinie i wyraźnie cieszyły się jego towarzystwem. Gabriel nie odnosił też tego upiornego wrażenia, że miały względem niego jakieś ukryte plany. Były nawet zaskakująco otwarte w stosunku do samych siebie i swobodnie opowiadały o swoim dzieciństwie.

— Kiedy byliśmy małe, nienawidziłyśmy się — powiedziała wesoło Minnaloushe. — We wszystkim rywalizowałyśmy. Chłopaki, szkoła, wszystko. Morrighan była wredną smarkulą. Nie dało się z nią żyć. W dodatku była dość brutalna. Mogę ci pokazać, gdzie rzuciła we mnie szczotkę do włosów. Została mi blizna.

— Ach, tak? — Morrighan uniosła brew. — A ty? Rozpieszczona księżniczka. Byłaś córeczką tatusia. I mamusi. I wszystkimi manipulowałaś. Co tylko Minnaloushe chciała, to dostawała.

Gabriel popatrzył na nie osłupiały.

— To niespodzianka. Jakoś cały czas wyobrażałem was sobie niemal jako bliźniaczki. Najlepsze przyjaciółki od urodzenia. Własny wymyślony język tylko do waszego użytku. Takie tam rzeczy.

Minnaloushe roześmiała się.

— Zdecydowanie nie. Tak się nie cierpiałymy, że rodzice postanowili posłać nas do różnych szkół. Przez większość dzieciństwa spędzaliśmy razem tylko wakacje. A i te były raczej burzliwe, możesz mi wierzyć.

— Więc co się zmieniło?

— Trudno powiedzieć. Zaczęło się, kiedy miałyśmy ponad piętnaście lat.

— Macie przed sobą jakieś sekrety? — Takie jak uwiedzenie niewinnego chłopaczka, dodał Gabriel w myślach. Albo morderstwo?

— Oczywiście. Siostry zawsze mają przed sobą tajemnice, nieważne, jak blisko są związane. Są do tego genetycznie uwarunkowane. — Minnaloushe zmarszczyła nos. — Wiesz, nadal mamy całkowicie różne zainteresowania i poglądy. I nadal niczego tak nie lubimy, jak się ze sobą kłócić. Tylko że teraz zwykle patrzymy na dzielące nas różnice z tolerancją i — rzuciła siostrze roześmiane spojrzenie — ze współczuciem. Ale mówiąc poważnie, teraz naprawdę wzajemnie o sobie dbamy. Martwimy się o siebie. No a przynajmniej ja zdecydowanie martwię się o Morrighan, kiedy wyrusza na te swoje ekologiczne krucjaty.

Gabriel odwrócił się do Morrighan.

— Jakie było twoje najtrudniejsze zadanie?

Morrighan przechyliła głowę na bok i zastanowiła się.

— Chyba to, kiedy przez dwa miesiące siedziałam w namiocie na Egg Island w Arktyce. Pogoda była zabójcza, a tam byłam tylko ja, jeszcze jedna dziewczyna, nasz laptop i aparat cyfrowy.

— Co tam robiłyście?

— Rejestrowaliśmy wykroczenia koncernów robiących odwierty ropy.

— I udało się wam?

— Całkowicie. Dzięki dowodom, które zebrałyśmy, jeden z koncernów został obciążony bardzo znaczącą grzywną. Ale to była ciężka robota.

— To była głupia robota — powiedziała Minnaloushe niskim głosem. — Morrighan o mało nie zginęła. Przyczepiała coś na jakiejś platformie, spadła i złamała sobie kręgosłup. Całymi tygodniami leżała sparaliżowana. Zanim znowu stanęła na nogi, musiały minąć miesiące fizjoterapii. Niemal zamieszkała w basenie.

Gabriel wyjrzał za okno, a jego spojrzenie powędrowało na daleki koniec ogrodu. Światło wylewające się z domu było wystarczająco mocne, by oświetlić ceglana krawędź basenu i czarną wodę oraz rosnące obok zgarbione drzewo, którego płomienne kwiaty były bezbarwne na tle nocnego nieba.

Poczuł w sercu chłód. W niemal całkowitym mroku woda wydawała się ciemna. Na krótką chwilę Gabriel wrócił myślami do zjazdu i przypomniał sobie jej zimny dotyk na skórze. Wyczerpanie i ociężałość w członkach. A potem jego głowa została wepchnięta pod powierzchnię i płuca eksplodowały bólem...

Popatrzył znowu na Morrighan.

— Widać, że terapia poskutkowała.

— Miałam szczęście.

Minnaloushe powiedziała ciepło:

— To coś więcej, niż szczęście. To była siła woli. Morrighan jest niezwykle uparta. Nigdy się nie poddaje.

W to wierzę, pomyślał Gabriel. Morrighan była niezaprzeczalnie kobieca, lecz pod jej urokiem kryła się stal. Na chwilę Gabriel przypomniał sobie skok, który razem wykonali. Jej ciało dotykające jego ciała. Wyraz niemal bolesnej ekstazy na jej twarzy. Całkowity brak strachu, z jakim rzuciła się w przestrzeń.

Podniósł wzrok i spojrzał prosto w te niezwykle, błękitne oczy. Poczuł jakby delikatny elektryczny prąd przebiegający przez jego ciało. Czy ona wie, o czym myślę?

Morrighan zamrugęła. Z rozmysłem odwracając głowę w kierunku siostry, powiedziała:

— Nie daj się zwieść Minnaloushe, Gabrielu. Jest o wiele twardsza

ode mnie. Oczywiście ma inny sposób bycia. Ja zazwyczaj walę prosto z mostu. Minnaloushe jest bardziej przezorna. Ale wierz mi, potrafi być nieustępliwa.

Gabriel popatrzył na Minnaloushe, która przysłuchiwała się z zagadkowym wyrazem twarzy.

— Tak?

— Zdecydowanie. I jest odważniejsza ode mnie. Pomyśl tylko o jej pozowaniu w Stowarzyszeniu Wino Życia. Jeśli to nie jest heroizm, to nie wiem już, co nim jest.

Usta Minnaloushe drgnęły.

— Ci mężczyźni są bardzo profesjonalni. Lubieżne spojrzenia są ograniczone do minimum.

Gabriel spojrzął na nią.

— Po co to robisz? Mówiłaś, że nie dla pieniędzy.

— Ani nie z narcyzmu, jeśli to chciałeś powiedzieć — Minnaloushe owinęła na palcu pasemko jedwabistych rudych włosów. — To ćwiczenie na koncentrację. Skupianie się z tymi wszystkimi zwróconymi na mnie oczami wzmacnia mój umysł. Hartuje mózg. Wierz mi, zachowanie wewnętrznego spokoju, kiedy znajdujesz się w takiej sytuacji, wymaga dyscypliny.

Gabriel uwierzył, chociaż wciąż wydawało mu się to cholernie dziwnym sposobem na wzmocnienie koncentracji. Czy nigdy nie słyszała o szachach? Krzyżówkach? Buddyzmie zazen?

— Więc o czym myślisz, kiedy tak tam siedzisz? Układasz w głowie listę zakupów? Liczysz owce?

Minnaloushe znowu się uśmiechnęła. I po raz pierwszy tego wieczoru w jej uśmiechu pojawiło się coś, czego Gabriel nie rozumiał. Jakaś skrytość.

— Nie. Mogę z całą pewnością powiedzieć, że nie liczę owiec. — Minnaloushe zerknęła na zegarek i jej głos stał się rzeczowy. — Jagnię powinno być prawie gotowe.

— Dobrze, więc zaczynajmy — Morrighan wstała. — Gabrieliu, może przejdiesz do jadalni? Dołączymy do ciebie za moment.

Spojrzała na niego czekając, aż podąży za nią. I Gabriel niechętnie ruszył za nią. Miał nadzieję, że na czas szykowania kolacji zostawią go samego w salonie. Może akurat zdążyłby zainstalować w klawiaturze Maca swojego keyloggera.

Jednak myśl, że jedna z siostr mogłaby okazać się morderczynią, z każdą minutą wydawała mu się coraz bardziej nieprawdopodobna. Jasne, żadna z nich nie była typowa. I obie prowadziły raczej niekonwencjonalny tryb życia. Jednak nie można było przecież brać tego za oznaki morderczych skłonności. Czy któraś z nich naprawdę zabiła Roberta Whittingtona? Utopiła go? Gabriel niemal był w stanie przekonać samego siebie, że to wszystko jakaś pomyłka. Że źle zinterpretował pierwszy zjazd. Że to, co przeżył, wcale nie było śmiercią. Niemal... Jeszcze raz wyrzał przez okno na basen pełen wody, połyskującej ciemno w odległym kącie ogrodu.

Wszedł do jadalni i usiadł na jednym z krzeseł o wysokich oparciach. Kiedy był tu ostatnim razem, uznał to pomieszczenie z jego solidnymi meblami z mahoniu za ponure i ciężkie, ale dziś pokój był odmieniony. Świeży biały obrus na długim stole, lśniące sztuce i elegancki kandelabr wyglądały oficjalnie, lecz odświętnie.

A Morrighan nie przesadzała, mówiąc, że dobrze gotują. Jedzenie było wyśmienite. Wbrew nakazom rozsądku Gabriel zaczął się rozluźniać. Naprawdę dobrze się bawił. Wieczór okazał się niezwykle przyjemny. Gabriel miał również wrażenie, jakby czas we wnętrzu tego pokoju zwolnił, sprawiając, że wszystko wydawało się jak ze snu. A może po prostu troszkę za dużo wypił. Morrighan ciągle dolewała mu wina, a atmosfera była tak miła, że trudno było odmawiać.

— Od jak dawna mieszkacie w tym domu? — zapytał Morrighan, kiedy stawiała przed nim talerzyk z deserem: tartą cytrynową z czymś, co wyglądało na lody pistacjowe.

— Należy do naszej rodziny od wielu lat. Tutaj dorastałyśmy. Ja nawet się tu urodziłam. Oczywiście pod wieloma względami nowoczesne mieszkanie byłoby o wiele bardziej praktyczne — Morrighan

westchnęła. — Utrzymanie tego miejsca kosztuje bająnskie sumy. Hydraulika jest nie z tej epoki. Jeśli w czasie deszczu wieje wiatr z północy, zawsze przecieka dach. Mimo wszystko, nie chciałabym mieszkać nigdzie indziej.

— Ani ja — Minnaloushe kiwnęła stanowczo głową. — To jest nasz dom.

Odsunęła z twarzy zblakany kosmyk włosów i zamyśliła się na moment. Jej włosy były niesamowite. W pewnym świetle wyglądały jak złoto — potem Minnaloushe poruszała głową i ich barwa zmieniała się w cynober.

Morrighan oparła łokieć na stole i spojrzała na Gabriela, podpierając dłonią podbródek.

— A co z tobą, Gabrieliu? Gdzie jest twój dom?

— Dorastałem w Bristolu, jeśli to masz na myśli. Ale nie byłem tam od wielu lat. Więc chyba odpowiedzią na twoje pytanie jest Londyn.

Zjadł kawałek cytrynowej tarty.

— I jest to zapewne lepsze miejsce dla złodzieja.

Gabriel szybko podniósł wzrok. Ale w głosie Morrighan nie było dezaprobaty.

— Opowiedz nam o tym — utkwiała w nim swoje niezwykle oczy. — Jak to jest, być złodziejem?

Gabriel zawahał się.

— Nie będziemy cię osądzać — Morrighan podniosła szczupłą dłoń, jakby składała ślubowanie — więc nie musisz się wstydzić.

Gabriel postanowił być nonszalancki.

— Powiedzmy po prostu, że złodziejstwo bije na głowę pracę.

— A czemu właśnie informacje? — głos Minnaloushe był równie lekki.

— Informacja sprawia, że świat się kręci.

— A ja myślałam, że to miłość.

— Przykro mi, ale nie. — Gabriel wzruszył ramionami. — Wszystko sprowadza się do bitów, bajtów i danych.

— Jakie to romantyczne.

— Dla niektórych ludzi owszem. Nie mówiąc już o tym, że jest to uzależniająca. Informacja to kokaina dwudziestego pierwszego wieku. Bardziej uwodzicielska niż pieniądze, bardziej uzależniająca niż seks.

— A ty? Jesteś uzależniony?

— Prawdopodobnie. Ale nigdy nie podchodzę do tego sentymentalnie. W przeciwieństwie do mojego przyjaciela Izydora, który uważa, że informacja powinna być jak tlen. Darmowa, dostępna, nienależąca do nikogo i należąca do wszystkich. Niesplamiona kwestiami takimi jak zyski i prawo własności.

— Twój przyjaciel wydaje się interesujący. Chyba chciałabym go poznać — powiedziała Morrighan.

Gabriel uśmiechnął się w duchu. Izydor miał problemy z trzymaniem nerwów na wodzy w towarzystwie kobiet. Gabriel był zaskoczony jego swobodą podczas pierwszego spotkania z Frankie, ale w końcu Frankie zawsze tak działała na ludzi. Mieli wrażenie, że znają ją od lat, i otwierali się przed nią w zupełnie niezwykły sposób. Przydawało jej się to w Eyestormie. Jednak przy tych dwóch kobietach biedny Izydor zostałby zredukowany do wstydlivego bełkotu w czasie krótszym, niż zajmuje wypowiedzenie słowa „Linux”.

— Cóż... — Minnaloushe na ułamek sekundy spojrzała Morrighan w oczy i między nimi przebiegła ta nić mentalnego porozumienia, którą Gabriel zauważył ostatnim razem, kiedy widział siostry w ducie. Jednak trwało to tak krótko, że mógł to sobie jedynie wyobrazić. Minnaloushe popatrzyła z powrotem na niego. — Chyba czas na kawę. A może masz też ochotę na brandy, Gabrielu?

— Brandy byłaby świetna, dzięki.

— Doskonale. Przejdźmy z powrotem do salonu. Zajmiesz się kawą, siostrzyczko?

— Oczywiście.

Gabriel odsunął swoje krzesło.

— Pomogę wam posprzątać ze stołu.

— Absolutnie nie — powiedziała Morrighan stanowczo. — Ale dzięki za propozycję. Może następnym razem.

A więc miał być jakiś następny raz. Brawo, Blackstone.

Jednak kiedy Gabriel wszedł za Minnaloushe do salonu, jego wzrok padł na oba komputery i Gabriel poczuł lekki wstrząs. Niemal zapomniał, po co tu przyszedł. Wciąż musiał zainstalować keyloggera. Ale jak?

Okazja zjawiła się nieoczekiwanie. Minnaloushe właśnie wręczała Gabrielowi jego brandy, kiedy w korytarzu zadzwonił telefon.

— Przepraszam — Minnaloushe obejrzała się przez ramię. — Muszę to odebrać.

Zaczekał, aż zniknęła w przejściu, po czym szybko podszedł do komputerów. Zignorował IBM-a, w którym był zainstalowany modem. Tym zajmie się wirus Izydora. Gabriel skupił się na nieodłączonym do Internetu Macintoshu. Komputer był wyłączony, a jego ekran czarny. Lecz to mu nie przeszkadzało. Obchodziła go tylko klawiatura. Spojrzał na zegarek. Za trzy jedenasta.

Odwrócił klawiaturę spodem do góry i przyjrzał się trzem maleńkim śrubkom, którymi była skrecona. Ponieważ nie mógł po prostu podłączyć keyloggera do portu, musiał otworzyć klawiaturę i wsunąć swojego maleńkiego szpiega do środka. Niektóre klawiatury były składane za pomocą plastikowych zatyczek, które łatwo było wyjąć, ale od pierwszej wizyty w tym domu Gabriel wiedział, że tu nie pójdzie mu tak łatwo. Był na to przygotowany: zanim wyruszył do Monk House, wsunął do kieszeni marynarki mały elektryczny śrubokręt. Poza tym całe popołudnie trenował, rozkładając i składając klawiatury na czas.

Zabrał się za pierwszą śrubkę. Zmusił się, by patrzeć sobie na ręce, mimo iż miał nieodpartą ochotę spoglądać na drzwi prowadzące na korytarz i do jadalni. Słyszał jednak głos rozmawiającej przez telefon Minnaloushe, a ze strony kuchni dochodził go szeceł naczyń.

Pierwsza maleńka śrubka wyjęta. Odłożył ją ostrożnie na bok i włożył koniuszek śrubokręta w główkę drugiej. Ręce mu się spociły i śrubokręt o mało nie wyslizgnął mu się z dłoni, przez co na chwilę zamarło mu serce.

Spokojnie. Skoncentruj się. Minnaloushe roześmiała się w korytarzu.

Gabriel przeklął świece. Tworzyły wspaniałą nastrój, ale po prostu się przy nich pracowało. Umyślnie zwolnił ruchy. Jeśli jedna ze śrubek upadnie na podłogę, w tym mroku nie zdoła jej odnaleźć. Przez głowę przemknął mu obraz siebie na czworakach, z obłędem szukającego kilkumilimetrowej śrubeczki. Z trudem przełknął ślinę.

Wcześniej zastanawiał się, czy po prostu nie zastąpić starej klawiatury kompletnie nową, z już zainstalowanym loggerem. Oszczędziłoby mu to zabawy z małymi, kłopotliwymi śrubkami. Była to sztuczka, którą już się posługiwał. Miał bardzo wiele używanych i celowo zabrudzonych klawiatur w każdym typie i rozmiarze — ofiary zazwyczaj nawet nie zauważały, że ich klawiatury zostały zastąpione innymi. Jednak tym razem Gabriel postanowił tego nie robić. Siostry były zbyt spostrzegawcze. Substytut mógłby się lekko różnić — mieć nieco inny opór i fakturę klawiszy. Połapałyby się.

Dwie z głowy. Została jedna. W korytarzu zrobiło się cicho. Gabriel zerknął nerwowo na drzwi. Czy Minnaloushe już tu szła? Ale wtedy cichy głos na powrót się odezwał.

W ogrodzie zerwała się lekka bryza, unosząc zasłony okienne. Trzecia śrubka była już lekko poluzowana i Gabriel mógł ją szybko wyjąć. Świetnie. Ostrożnie rozdzielił dwie warstwy klawiatury, po czym wyjął z wewnętrznej kieszeni małą owalną puszczkę.

Logger wyglądał jak lśniący stalowy guzik. Kiedy Gabriel brał go do ręki, błysnął w mroku srebrem. Maleńki szpieg o elektronicznym sercu, najbardziej wyrafinowany, jakiego kiedykolwiek używał. Żadnego instalowania. Żadnych zdradzieckich śladów w postaci plików

logowania albo programów działających na poziomie systemu operacyjnego. Niewykrywalny przez software. I żadnych nieporęcznych kabli. Będzie całkowicie niewidzialny. Za kilka dni Gabriel wróci tu po niego, a uderzenia w klawiaturę, które nagra keylogger, powinny umożliwić mu odgadnięcie hasła do „Klucza Prometeusza”.

Tak jak przewidywał, sama instalacja była najszybszą częścią całej operacji. Ponowne włożenie śrubek było zaś łatwiejsze od ich wyjmowania. Gabriel szybko rzucił okiem na zegarek: dokładnie jedenasta. Zabrało mu to równo trzy minuty. Jak na razie, nieźle.

Lecz kiedy umocowywał trzecią śrubkę, wydało mu się, że kątem oka zauważył jakiś ruch w kącie pokoju.

Odwrócił głowę i zmrużył oczy. Nic. Tylko niewyraźne migotanie światełek na tle ściany.

Odwrócił się z powrotem, ale znowu zauważył jakiś ruch i tym razem udało mu się go pochwycić. Była to jego nemezis: Bruno, kot z piekła rodem. Jakby w reakcji współczulnej zadrapanie na ręce Gabriela, które zdążyło się już zasklepić, zaczęło swędzieć.

Kocur wbił w niego spojrzenie, wygiął grzbiet. Potem z kocią gracją dał susa na siedzisko skózanego fotela — tego, na którym siedział wcześniej Gabriel — jakby wyzywając go, by spróbował odzyskać swoje miejsce.

Dźwięk szcękających o spodki filiżanek poderwał Gabriela z miejsca. Cholera. Morrighan wyszła z kuchni i była już w jadalni. W drzwiach widać już było jej cień. Gabriel wrzucił śrubokręt do kieszeni i pchnął klawiaturę z powrotem na miejsce. W jakiś sposób zdołał odejść dwa metry od komputera, zanim weszła do pokoju, niosąc w rękach tacę z dzbankiem do kawy, filiżankami i talerzykiem ciasteczek.

— Pozwól, że ci pomogę.

— Dzięki. — Oddała mu tacę. — Widzę, że Bruno zajął twoje miejsce.

— Wyglądał, jakby było mu bardzo wygodnie, więc nie chciałem mu przeszkadzać.

W gruncie rzeczy kot wcale nie wyglądał, jakby mu było wygodnie. Wciąż stał w fotelu na czubkach łap niczym nerwowa balerina, a jego wąskie oczy wpatrywały się w Gabriela z mrozącą intensywnością.

Morrighan pochyliła się i zgarnęła kota w ramiona.

— Cześć — powiedziała i ukryła twarz w jego futrze. — Gdzie się podziały twoje maniery?

Bruno potulnie ułożył brodę na jej ramieniu, lecz nadal machał ogonem.

Do pokoju weszła pospieszonym krokiem Minnaloushe.

— Wybaczcie oboje. Dzwoniła Karina — powiedziała do Morrighan wyjaśniająco. — Wiesz, jaka ona jest. Po prostu nie można jej odebrać od telefonu.

Morrighan delikatnie postawiła Bruna na ziemi. Przyklękła przy stoliku i zaczęła nalewać kawę do filiżanek.

— Ciasteczko, Gabrielu? I nie spróbowałeś jeszcze swojej brandy.

Bruno litościwie zniknął za sofą, a Gabriel znowu usiadł na swoim fotelu i podniósł szklaneczkę o grubym dnie. Adrenalina, która krążyła w jego ciele podczas pracy nad klawiaturą, zaczynała już ustępować, a jej miejsce zajęła upojna mieszanina ulgi i satysfakcji, którą zawsze odczuwał po udanej robocie. Musiał spojrzeć prawdzie w oczy: lubił te emocje. Spojrzał poza Morrighan w kierunku stojącego na stole Macintosha, z klawiaturą ustawioną schludnie na wprost ekranu. Dobra robota. Naprawdę musiał to przyznać. Trzy minuty to niemal osobisty rekord.

Rozluźnił się i wsunął głębiej w fotel. Minnaloushe krzątała się przy wieży, wsuwając do odtwarzacza jakąś płytę. Kiedy pierwsze nuty wypełniły przestrzeń, Gabriel rozpoznał utwór. Czajkowski. *Andante cantabile*, kwartet smyczkowy numer 1, opus 11. Narastające dźwięki skrzypiec były niemal nieznośnie wzruszające.

Minnaloushe usiadła na sofie, po czym podniosła swoją brandy.

— Za przyszłość.

— I za nowe przyjaźnie — dodał serdecznie Gabriel i uniósł szklanczkę. Przez bursztynową brandy przesączył się blask świec, sprawiając, że płyn wydawał się połyskiwać czarodziejsko.

— Za nowe przyjaźnie — powtórzyły jednym głosem kobiety.

Uśmiechnęły się do niego, a ich uśmiechy były pełne obietnicy. Ich oczy wyglądały jak klejnoty. Morrighan jeszcze raz uniosła szklankę w ostatnim toastzie.

— Za nas. Za naszą znajomość...



Data wpisu: 9 czerwca

G. zaskoczył mnie dzisiaj. Za tym ostrożnie wypracowanym uśmiechem kryje się coś bardzo niepokojącego. Jakiś chłód. Jakieś okrucieństwo. Widać to czasem w jego oczach. Myślę, że on sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie wydaje mi się, żeby pielęgnował te cechy — wygląda to bardziej na nieświadomioną moc. Niebezpieczny. Niezwykle seksowny. Ten facet pochodzi z głębin gąszczy kobiecych fantazji.

Tylko raz do tej pory spotkałam kogoś takiego jak on: mężczyznę, który wydawał się tak samo leniwie bezwzględny. Ale może moje wspomnienie o nim nie odpowiada już rzeczywistości. W końcu miałam tylko trzynaście lat.

Pamiętam, że byłam na jakimś weselu i nudziłam się. Ceremonia w kościele była piękna — panna młoda w połyskującej białej sukni i w zwiewnym welonie, pan młody uroczo podenerwowany. Uśmiechnięte drużny. Radosna muzyka.

Ale samo przyjęcie weselne było potwornie nudne. Pod markizą w ogrodzie było duszno jak w łaźni. Pamiętam zapach zamaskowanego dezodorantem potu i spływający makijaż. Jedna sentymentalna przemowa za drugą. Pamiętam też, że M. i ja pokłóciliśmy się. Ona podstawiła mi nogę, a ja ją popchnęłam. To była jedna z tych naszych kłótni. Nie mogłam już dłużej znieść jej obecności, więc

wymknęłam się od stołu, przy którym M. siedziała z mamą i tatą, i weszłam do domu.

W środku było cicho. Zakradłam się na schody, licząc na to, że znajdę jakąś kryjówkę na całe popołudnie. Sypialnie były na piętrze. Kiedy szłam wzdłuż wyłożonego dywanem korytarza, usłyszałam jakiś hałas. Jęk. Poczulałam, jak podnoszą mi się włoski na ramionach — nie ze strachu, lecz w oczekiwaniu.

Drzwi były uchylone. Pchnęłam je i otworzyłam jeszcze szerzej. Nie zatrzęszczały, a żadne z dwojga ludzi w pokoju nie zauważyło mnie, gdy tak stałam i przyglądałam się chciwie. Kochali się. Blondynka i czarnowłosa mężczyzna, których rozpoznałam z wesela.

Podczas nabożeństwa siedzieli w ławce przede mną. Kapelusz kobiety stanowił idealną oprawę dla jej delikatnej twarzy. Była piękna w ospały, nieco chłodny sposób. Mężczyzna, w przeciwieństwie do niej, miał niefrasobliwy uśmiech, a jego żywotność była wręcz namacalna. Ubrany był tak surowo i formalnie, jak tylko można było sobie życzyć, ale było w nim coś nieokiełzanego. Sprawiał wrażenie, że nie powinno się go zbyt denerwować. Mógł być niebezpieczny. Ale czyż ryzyko nie jest największym afrodyzjakiem? Nawet w tym wieku instynktownie to wiedziałam.

Kiedy panna młoda wkroczyła do kościoła, mężczyzna odwrócił się i przez kilka chwil patrzył mi prosto w oczy. Jego twarz była fascynująca: pełne usta, widoczny pod skórą ciemny zarost, czarne oczy okolone długimi rzęsami. Spojrzał na mnie badawczo — prawdopodobnie w sposób, w jaki dorosły mężczyzna nie powinien patrzeć na nastolatkę. Ale nie było to lubieżne spojrzenie, bardziej kiwnięcie głową — uznanie tego, jaką kobietą się stawałam. Podziw, aprobata. Zawadiackie pozdrowienie. Zarumieniłam się od tego. Był to także pierwszy raz, kiedy poczułam moc, jaką pociąga za sobą bycie kobietą.

Kiedy tak stałam w drzwiach sypialni, oddech zamarł mi w pierśsiach w przyjemnym napięciu. Blondynka siedziała na kolanach mężczyzny. Nogi miała zaciśnięte za jego plecami, a jej pełne, krągłe

piersi były płasko przyciśnięte do jego torsu. On miał skórę pociemniałą od słońca, ona — kremową. Trzymał ją za kark, jakby musiał siłą zmuszać ją do uległości. Widok jego żądającej uległości ręki oraz jej pochylona głowa spoczywająca na jego ramieniu mówiły o cudownej władzy i ujarzmieniu. Poczułam, jak moje własne członki drżą. Kobieta poruszała się na nim powoli, leniwie. Zapach w pokoju był jak maślanka. Ciepły. Kwaśny.

Mężczyzna odsunął się od niej i chwycił ręką jedną z jej piersi, pocierając sutek między palcami. Kobieta wydała z siebie cichy, jęczący odgłos i jej głowa opadła jeszcze niżej na jego ramię. Potem zaczął głaskać jej włosy, jej szyję, jej policzek, jego usta szeptały jej do ucha. Zaczęła poruszać się na nim jeszcze szybciej. Widziałam miejsce, w którym w nią wszedł, i spocone gniazdo z włosów i pomarszczonej skóry u podstawy jego członka. Gapiałam się zafascynowana, sama czując w ciele gorączkę. A potem nagle kobieta wydała zduszony krzyk i wygięła plecy. Poczułam, jak moje ciało drży.

A więc to jest to, pomyślałam. Dla tego ludzie ryzykują piekłem. Ta udręka i ekstaza ciała.

Więc jakie to smutne, że nigdy już nie uchwyciłam do końca tego uczucia zachwyty, które czułam tamtego dnia, stojąc w drzwiach sypialni w obcym domu — jeszcze nie kobieta, już nie dziecko. Całe lata później, kiedy sama zaczęłam uczestniczyć w miłosnej grze, a nie tylko ją obserwować, spodziewałam się dymu, miodu, kryształu, ognia. Ale rzeczywistość jakoś nigdy nie dorównała w pełni tamtemu pierwszemu, doznaniu, kiedy patrzyłam zza drzwi sypialni.

Czy G. pociąga mnie tak bardzo dlatego, że przypomina mi o tym nieznanym mężczyźnie z młodości? Seksualny odcisk— ukryta zasadzka zastawiona w moim mózgu całe lata temu?

Ale G. został wybrany na uczestnika gry, nie na mojego partnera do łóżka. Ma podążyć śladami R. Przewyższyć go. Solve et coagula.

Muszę pomedytować nad swoim imieniem.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

— Wdech. Wydech. I rozciągamy się.

Było to o wiele trudniejsze, niż się spodziewał. Gabriel zerknął ukradkiem na kobietę, która zajmowała matę po jego lewej stronie. Bez wysiłku wykonywała ćwiczenie: plecy proste, nogi napięte, ale nie sztywne. Musiała mieć mięśnie jak struny fortepianu. W przeciwieństwie do niej Gabriel chwiał się jak szczęśliwy pijaczek.

— I do dołu — głos instruktora jogi był bardzo spokojny. — I rozluźniamy się. Dobra robota. Do zobaczenia za tydzień.

Gabriel odwrócił z bólem głowę i pochwycił swoje odbicie w lustrze, które zajmowało całą ścianę sali do ćwiczeń. Miał czerwoną twarz. I czyżby w kąciку ust pojawiły mu się jakieś bąbelki?

Jeszcze przez kilka chwil leżał rozłożony na macie, wyczerpany. Poza bólem w miejscach, w których nawet nie podejrzewał istnienia mięśni, dolegały mu także efekty kolacji w Monk House poprzedniego dnia. Wiedział, że nie powinien był pić tego ostatniego koniaku. Czuł się tak, że w każdej chwili mógłby zasnąć.

Ale instruktor jogi zaczynał zwijać swoją matę i w oczywisty sposób szykował się do wyjścia. Rusz tyłek, Blackstone. Czas wziąć się do roboty.

— Panie Scott.

Instruktor odwrócił się do niego.

— Ariel, proszę.

— Hm, jasne. Ariel.

— Mogę ci w czymś pomóc?

— W recepcji powiedziano mi, że na tych zajęciach jest już komplet i nie będę mógł znowu na nie przyjść. Może prowadzisz jeszcze jakieś inne grupy?

— Oczywiście. W każdy wtorek o szóstej trzydzieści rano.

Gabriel wzdrygnął się. Szósta trzydzieści. Rany. To nieludzkie.

Wyraz twarzy musiał go zdradzić, ponieważ Ariel powiedział przepraszącąco:

— Wiem, że to bardzo wcześnie, ale prowadzę zajęcia tylko na pół etatu. Mam też stałą pracę w ciągu dnia.

Gabriel niemal się uśmiechnął. Tak, wiedział wszystko o stałej pracy pana Scotta. To właśnie ona go interesowała. Pozycja lotosu i mantry nie mogłyby obchodzić go mniej. Ale joga miała być jego wejściówką. Jeśli znaczyło to, że będzie musiał nauczyć się zwijać w precel i wstawać o jakiejś bezbożnej godzinie, to niech i tak będzie.

Ariel otworzył swoją sportową torbę i wyjął z niej niezwykle wręcz odzienie, które następnie naciągnął przez głowę. Gabriel utkwiał w nim wzrok. Czy to było poncho?

— No, to do widzenia. — Ariel skinął głową. — Mam nadzieję, że zobaczymy się na wtorkowych zajęciach.

— Poczekaj. — Gabriel dotknął jego łokcia. — Chciałbym trochę z tobą porozmawiać o jodze. Niezbyt się w tym orientuję. Ale po dzisiejszych zajęciach wiem, że jest to coś, co mogłoby stać się moją pasją — jakimś cudem udało mu się zachować powagę. — Jeśli masz trochę czasu, to może dasz się zaprosić na herbatę? Właśnie miałem się gdzieś wybrać. Na zieloną herbatę — zaimprovizował. Instruktor jogi wyglądał na takiego, co pija zieloną herbatę.

— Oczywiście. Dziękuję.

Kiedy siadali przy stoliku w kafejce i składali zamówienie, Gabriel szybko powtórzył w myślach wszystko, co wiedział o człowieku, którego miał przed sobą. Naturalnie Ariel to nie było imię, które nadała mu jego matka. Został ochrzczony jako Donald Michael Scott i był pracownikiem niższego stopnia w dziale kadr kompanii farmaceutycznej o nazwie Levelex. A tak się akurat złożyło, że Gabriel i Izidor zostali wynajęci przez konkurencję Levelexa, by włamać się do ich bazy danych.

Pieniądze za robotę były świetne — jeśli im się uda. A wcale nie było to takie pewne. Zabezpieczenia w Leveleksie były wyjątkowo mocne. Raz za razem Gabriel i Izidor kończyli w ślepych zaułku. Nie można się było tam włamać. Izidor miał już zamiar dać spokój, ale Gabriel nie zamierzał rezygnować. Wymyślił inny plan.

Plan, którego częścią był pan Scott.

Gabriel patrzył, jak instruktor jogi upija ostrożnie łyk herbaty, ściągając usta. Ten skromny człowieczek w kropkowanym poncho miał dostarczyć informacji, których potrzebowali, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Współkspirator... ale nieświadomy.

Zapowiadało się na łatwiznę. Słuchając, jak Ariel nawija o asanach i ajurwedzie, Gabriel nie miał żadnych wątpliwości, że był to strzał w dziesiątkę. Jego strategia była genialna, mimo że tylko on sam tak o niej mówił. Kiedy sprawdzał dane o pracownikach Leveleksa, Donald Scott zwrócił jego uwagę po prostu dlatego, że przypadkiem chodził do tej samej siłowni, co Gabriel. A kiedy Gabriel odkrył, że pracownik ten był również instruktorem jogi, natychmiast zapisał się na jego zajęcia. Osadzając Scotta w roli mentora, zmniejszył jego wrodzoną skłonność do nieufności wobec obcych. W końcu nauczanie wymagało otwartości na ludzi.

Jedynym problemem, jaki Gabriel przewidywał w całym planie, był Izidor, który nie lubił tego typu manipulacji ludźmi. Kooptowanie pracowników w taki sposób, że nawet nie zdawali sobie z tego sprawy,

nazywał „łajdacką taktyką”. Ale czego Izydor nie widzi, tego Izydorowi nie żal.

— Jeszcze herbaty? — Gabriel uśmiechnął się do Donalda Scotta.

— Tak, dziękuję.

Gabriel podsunął gliniany imbryczek w jego stronę.

— Więc czym się zajmujesz, kiedy nie uczysz jogi i nie prowadzisz swoich uczniów do oświecenia?

— No cóż, właściwie to pracuję w firmie farmaceutycznej...

To było aż nazbyt łatwe. Wpadł jak ryba w sieć.

*

Kiedy pożegnał się z Arielem, obiecując, że zapisze się na jego wtorkowe poranne zajęcia, Gabriel wsiadł do jaguara i wyjął komórkę. Pora złożyć meldunek Frankie.

Złapał ją dokładnie w momencie, kiedy miała wejść do holu swojego paryskiego hotelu. Słabe połączenie sprawiało, że jej głos brzmiał tak, jakby była w Arktyce, a nie zaledwie o rzut beretem po drugiej stronie kanału. Jednak słysząc ją, Gabriel poczuł gwałtowny napływ radości. Tęsknił za nią.

— Mów — powiedziała Frankie oszczędnie.

— Dzień dobry.

— Wybacz. — Odkaszlnęła dyskretnie. — Ale William i ja mieliśmy się właśnie zameldować w hotelu. Z nim wszystko w porządku — dodała, zanim Gabriel zdążył spytać. — A ten lekarz, z którym się konsultowałem, był przekonany, że zdoła wydłużyć prognozy o rok.

— To wspaniale.

— Cóż, owszem. Jeszcze zobaczymy. Więc jak poszło wczoraj z siostrami?

— Całkiem nieźle. Chcą się zaprzyjaźnić.

W odpowiedzi Frankie wydała z siebie odgłos, który podejrzenie przypominał prychnięcie. Potem spytała:

— Domyślasz się, która jest dalekowiedząca?

— Nie mam zielonego pojęcia. Nie wyczułem nic od żadnej z nich.
— W każdym razie uważaj.
— Będę uważał. Nie martw się o mnie. Zamierzam się dobrze bawić.

— Tego właśnie się obawiam — powiedziała zagadkowo Frankie i rozłączyła się.

Gabriel uśmiechnął się i wybrał numer Izydora. Żeby odzyskać loggера, którego zainstalował w klawiaturze Maca, musiał poczekać na kolejne zaproszenie siostrzyczek. Jednak w międzyczasie nie zamierzał się objąć. Do tej pory wirus Izydora powinien już spełnić swoje zadanie w IBM-ie, co oznaczało, że chociaż „Klucz Prometeusza” jeszcze przez jakiś czas pozostanie tajemnicą, to dziennik już wkrótce odsłoni swoje sekrety. Oczywiście wszystko zależało od tego, czy Minnaloushe ściągnęła załącznik. Gabriel był pewien, że przynęta znakomicie zadziała — okazja do zdobycia kolejnej maski Makishi musiała być dla niej pokusą nie do odparcia — ale nigdy nie wiadomo.

Jednak wieści były dobre.

— Twój plan się powiódł — powiedział Izydor bez wstępów. — Mamy to.

*

Bar Smith's w Smithfield był wypełniony po brzegi. Ogromna, magazynowa przestrzeń szumiała odgłosami licznych rozmów, okna były zaparowane. Z kuchni wylewał się nieustanny strumień talerzy wypełnionych zapiekaną fasolą, grubymi stekami, sadzonymi jajkami i kromkami białych tostów. Gargantuiczne porcje i żadnych niskotłuszczowych dań w zasięgu wzroku. Smith's znajdował się zaledwie kilka przecznic od domu Izydora i należał do jego ulubionych miejsc.

Izydor pochylał się nad końcem jednego z wielkich, kuchennych stołów, z długimi nogami wsuniętymi pod niską drewnianą ławę. Miał minę kota, któremu udało się dorwać do wyjątkowo tłustej śmietanki. W jego oku był błysk, na widok którego Gabriel zastygł na chwilę.

Opuścił plecak i przyjrzał się podejrzliwie przyjacielowi.

— Wyglądasz na zadowolonego.

— To efekt zdrowego trybu życia i czystych myśli. Powinieneś czasem spróbować.

— Tak, o mistrzu Yodo.

— Spędziłeś wczorajszy wieczór z naszymi paniami, kolego? — Na twarzy Izydora wciąż widniał ten uśmieszek kota z Cheshire.

— Owszem.

— No i?

— Powiedziały, że chciałyby poznać mnie lepiej.

— Naprawdę? Ciekawe dlaczego.

— Pociąga je mój błyskotliwy umysł. Nie mogą się nim nasycić.

— Jesteś pewien, że tylko o to chodzi? — głos Izydora ociekał sarkazmem.

— Nie, masz rację. Chodzi także o moje ciało.

— Nadęty duppek. — Przez chwilę Izydor spoglądał na niego z obrzydzeniem. Potem jednak uśmiechnął się jedwabście i sięgnął do swojego plecaka. Wyciągnął papierową teczkę i położył ją równo przed sobą, odsuwając na bok cukiernicę.

— Właściwie to wiem co nieco o twojej wczorajszej wizycie u dziewcząt.

Z jakiegoś powodu był niezwykle rozbawiony. Gabriel obserwował go uważnie.

— No dobra. Gadaj. Ten Dziennik. Przeczytałeś go?

— O tak. No, w każdym razie fragmenty.

Gabriel czekał. Izydor wyraźnie chciał się nacieszyć tą chwilą.

— Dziennik sięga całe lata wstecz — przeczytanie wszystkiego potrwa wieki. Więc po prostu przeleciałem przez najnowsze wpisy, rozumiesz.

— I?

— Stary, jest tam sporo dziwnego szajsu. Jakieś odwalone opisy i trochę bardzo ezoterycznych bzdur, ale — Izydor przerwał, ubawiony

— są tam również bardziej osobiste uwagi, zwłaszcza wpis z ostatniego wieczoru, jak sam się zorientujesz, i tu właśnie robi się bardzo ciekawie.

— Co masz na myśli?

— Mówię o tobie, mój stary. Jesteś jednym z głównych bohaterów. Ewidentnie intrygujesz autorkę. Kiedy siądziesz do swojego komputera, możesz sobie przejrzeć wszystko na spokojnie. Ale na razie wydrukowałem parę stron dla twojej informacji — Izydor popchnął teczkę w stronę Gabriela. — Jak sam zobaczysz, zaznaczyłem kilka najciekawszych fragmentów.

Gabriel otworzył teczkę. Wewnątrz znajdowało się kilka kartek. Niektóre ustępy zostały podkreślone różowym markerem. Na górze pierwszej strony widniała wczorajsza data. Kiedy zaczął czytać, poczuł, jak robi mu się gorąco.

G. zaskoczył mnie dzisiaj. Za tym ostrożnie wypracowanym uśmiechem kryje się coś bardzo niepokojącego. Jakiś chłód. Jakiś okrucieństwo. Widać to czasem w jego oczach. Myślę, że on sam nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie wydaje mi się, żeby pielęgnował te cechy — wygląda to bardziej na nieświadomioną moc. Niebezpieczny. Niezwykle seksowny. Ten facet pochodzi z głębin gąszczy kobiecych fantazji.

— Ale nie wszystkie opinie są tak entuzjastyczne. Jak widać tutaj... i tutaj — Izydor pochylił się usłużnie i wskazał długim palcem dwa fragmenty.

G. ma w sobie arogancką próżność. Widać ją w każdym geście, każdym eleganckim ruchu. Nawet w sposobie, w jaki się ubiera. Muszę przyznać, że ma bardzo piękne dłonie. I śliczny tyłeczek! Szkoda tylko, że o tym wie...

Wyraźnie ma w sobie coś narcystycznego. I nie chodzi mi tylko o zwykłą próżność — to także próżność umysłu. Głęboka wiara we własne możliwości. Przekonanie, że może pokonać każdego, na każdych warunkach.

Izydor odchylił się do tyłu.

— To dopiero jest proza penetracyjna. A przeczytałeś te ostre kawałki z wczorajszego wpisu? Chyba przypominasz jej jakiegoś faceta z fantazji erotycznych, którego spotkała w latach młodości.

— Kto to napisał? Minnaloushe czy Morrighan?

— No cóż, tu właśnie zaczyna się problem. Nie wiem. Każda osoba w tym dzienniku opisywana jest inicjałem. Co oznacza, że autorka wciąż odnosi się do swojej siostry jako do M. A to oczywiście w niczym nie pomaga. Jak na razie nie mogę znaleźć nic, co w jakikolwiek sposób wskazywałoby na to, do kogo należy ten głos. Cała ironia polega na tym, że ta kobieta ma obsesję na punkcie własnego imienia... popatrz, niemal każdy wpis kończy się stwierdzeniem: *muszę pomedytować nad swoim imieniem*. Szkoda, że nie przestała medytować i nie zaczęła mówić.

— Czy w dzienniku jest jakakolwiek wzmianka o dalekowidzeniu?

— Tak. Tutaj, gdzie nazywa cię „człowiekiem multisensorycznym”. Chwytlive, nie sądzisz? Bije na głowę Batmana i Supermana. — Izydor zachichotał. — Jej zdaniem stanowisz kolejny szczebel ewolucji. Człowieku, jeśli ty masz być tym, co czeka ludzkość w przyszłości, to zaczynam się martwić.

Gabriel westchnął.

— Bądź przez chwilę poważny, dobrze? Czy autorka jest tą z dalekowidzeniem?

— Nie mam pojęcia. Wciąż powtarza, jakie były we dwie zaskoczono, kiedy odkryły, że jesteście dalekowidzący, ale nie pisze, kto właściwie przeprowadzał skan. Na przykład tutaj: *...skan będzie tak delikatny, jak kroki Goliata na jedwabiu. Żadnych śladów. Jak widmo przesuwające się przez jego myśli*. Ale nadal nie pisze, kto właściwie ma skanować. I kim w ogóle jest ten Goliat?

— Pająkiem.

— Że co?

— Nieważne. A co z Robertem Whittingtonem? Są tam o nim jakieś wzmianki?

— Bardzo dużo. Kiedy siądziesz do komputera, cofnij się o jakieś osiemnaście miesięcy: wtedy po raz pierwszy pojawia się jego imię. Czy raczej inicjał. R. oznacza pewnie Roberta. Autorka zawsze wydaje się pełna żalu, kiedy o nim pisze. I wciąż powtarza, jak bardzo za nim tęskni. Ale żadnych mrozących krew w żyłach wyznań ani morderczych myśli. Co nie znaczy, że ten dziennik nie jest czasem przerażający. Stary, niektóre fragmenty nieźle mnie wystraszyły. Wierz mi, to nie są zwyczajne, trywialne zapiski z rodzaju „kochany pamiętniczku”. Nie ma prawie żadnych drobiazgów w stylu oto-co-dziś-robiłam. Żadnych konkretów.

— Sprawdziłaś, co napisała w tygodniu, kiedy chłopak zniknął?

— Oczywiście. Ale to na nic. Nie ma żadnego wpisu z tego okresu. A kiedy następny raz wspomina o Robercie, pisze tylko, że „odszedł”. Izydor pokazał palcami symboliczny cudzysłów.

Gabriel spojrział na wydruki.

— Więc nie znalazłeś żadnych śladów, że coś mu się stało.

— No, nie. Tylko tyle, że odszedł, bo nie był w stanie sprostać wyzwaniu, o cokolwiek w tym chodzi. I że nie był dość silny. Oczywiście może to tylko eufemizmy, na przykład kiedy pisze „odszedł”, może mieć na myśli, że odszedł z tego świata.

— Nic o topieniu?

— *Nada.* — Izydor potrząsnął głową. — Ale one knują coś dziwnego, Gabe. I cokolwiek to jest, zdołały też wciągnąć w to Whittingtona. Spójrz na tę stronę. Drugi akapit.

Nasza trójka rozpocznie wkrótce najwyższą grę. Powiedzieliśmy dziś o niej R. Aż się do niej pali, słodki chłopiec. Zabawnie będzie z nim grać. R. jest poszukiwaczem. Szukał

już białego światła gdzie indziej. Ale teraz jego podróż rozpocznie się naprawdę. Pasja. Śmierć. Odrodzenie.

— Nie mogę się zdecydować, czy planowały jakąś erotyczną orgię, czy chciały go zabrać do kościoła. I te wszystkie odniesienia do „gry” z nim? — Izydor zabębnił palcami po blacie. — Mówiąc szczerze, cholernie mnie to przeraża. Jakby był lalką albo coś takiego. Co to ma znaczyć?

— Nie wiem.

— I czym jest ta „gra” i to „białe światło”?

— Izydorze, nie wiem.

— No, w każdym razie muszę cię ostrzec, że te paniusie mają też plany co do ciebie. Kiedy zaczniesz czytać ten dziennik, zobaczysz, że postanowiły zrobić z ciebie swojego kolejnego towarzysza zabawy.

— To pewne?

— O, zdecydowanie. Zostałeś wybrany.

— Pewnie powinienem czuć się zaszczycony.

— Nie, stary. Powinieneś czuć się zaniepokojony.

Gabriel ponownie spuścił wzrok na kartki, które trzymał w dłoniach.

M. i ja jesteśmy przekonane, że G. idealnie nadaje się do gry. Ale w przeciwieństwie do R. nie jest żadnym poszukiwaczem prawdy. Pokarm duchowy nie należy do jego priorytetów. Natychmiastowy zysk. Materializm. Oto jego bogowie. Handlarz informacją. Sprzedaje je i idzie dalej. Co z oczu, to z serca. Nic nie pozostaje w jego duszy.

To będzie wyzwanie i wielka przygoda. Wszystko wskazuje na to, że ten facet lubi naciskać guzik z napisem „niebezpieczeństwo”. Ryzyko równa się poznaniu siebie. Takich lubię.

Gabriel zmarszczył brwi.

— To nam w niczym nie pomaga. — Zamknął teczkę i odsunął ją.
— Cholera.

— Może odpowiedź znajduje się w drugim komputerze. W „Kluczu Prometeusza”.

— Może.

— Więc przynies mi tego loggera, a ja dostarczę ci hasło.

— Taki mam zamiar. Kiedy tylko znowu mnie zaproszą — Gabriel wbił w teczkę ponure spojrzenie. — Szkoda, że nie wiem, kto jest autorką dziennika: Minnaloushe czy Morrighan.

— No, nie załamuj się. Teraz będziesz miał do niego dostęp, kiedy tylko będziesz chciał. Może autorka ujawni się w kolejnych wpisach.

— Nadzieja matką głupich.

Izydor zaśmiał się.

— A może po prostu nie będzie w stanie utrzymać rąk z dala od twojego „słodkiego tyłeczka”. To by była niezła wskazówka. — Roześmiał się i uchylił przed kostką cukru, którą cisnął w niego Gabriel. — Więc, co dalej?

— Skoro panie tak bardzo pragną spędzić ze mną trochę czasu, chyba nie powinienem sprawiać im zawodu. Zrobię, co w mojej mocy, żeby im to umożliwić. Trochę się we trójkę zabawimy, że użyję zwrotu z twojego słownika.

— Myślisz, że to rozsądne?

— Pewnie nie. — Gabriel uśmiechnął się szeroko. — Ale komu zależy na rozsądku, kiedy można się zabawić? W międzyczasie... muszę trochę poczytać.

*

Przeczytanie całego Dziennika, który obejmował okres blisko pięciu lat, zajęło Gabrielowi niemal tydzień. Niektóre z wpisów były długie na tysiące słów, inne miały zaledwie po kilka zdań. Autorka nie pisała codziennie, ale rzadko robiła przerwy dłuższe niż tydzień. Najwyraźniej zależało jej na regularnym zapisie swoich myśli i upływu czasu.

Dzięki wirusowi Izydora Gabriel miał dostęp do elektronicznych stron Dziennika, kiedy tylko przyszła mu na to ochota. Umożliwiało mu to przeczytanie nie tylko starych wpisów, ale także tych zupełnie nowych, robionych na bieżąco. Raz nawet zalogował się dokładnie w momencie, kiedy autorka była w trakcie pisania. Było to dziwne uczucie — patrzeć, jak bezcielesne słowa płyną przez ekran, i wiedzieć, że ona nie ma pojęcia o jego obecności po drugiej stronie lustra.

Wiele z tego, o czym czytał, było niejasne: *Białe światło. Będę go szukać jak zagubionego pod falami, zakłętego miasta, idąc za stłumionym przez wodę dźwiękiem dzwonów, bijących w zatopionych katedrach.*

Co jakiś czas przewijały się te same myśli. *Białe światło, podróż, gra.* Język, którym opisywała te pojęcia, był frustrująco niezrozumiały.

Co na przykład miał sądzić o tym?

Po co szukać jakiegoś wyższego celu w niewyraźnych snach czy poplątanych liniach na swoich dłoniach? Zagraj w grę. To wszystko, czego trzeba. Podążaj ścieżką, która zmierza prosto do celu.

Obrazy i uwagi nie miały wiele logicznego sensu, ale na kartach dziennika autorka stworzyła magiczny świat; dziki świat. Cały dziennik był celebracją niezwykle wyobraźni: poetycki, niepokojący, sugestywny.

Czy słyszysz, jak zachodzi słońce?

Jaki kolor ma uwiedzenie?

Prostą odpowiedzią byłaby czerwień, ale wydaje mi się, że to nieprawda. Czerwień jest zbyt oczywista. Uwiedzenie to piórko ocierające się o skórę po wewnętrznej stronie uda. Subtelne. Drażniące. Myślę, że uwiedzenie ma kolor cappuccino. Ciemna kawa zmieszana ze śmietanką.

Od miłości do śmierci:

Śmierć nie powinna mieć obwisłego podbródka, nie powinna być sflaczała i próbować wypowiadać głębokie słowa bezzębnymi ustami. Śmierć powinna być silna i męska, i chwycić cię za rękę, gdy biegniesz przez omiataną wiatrem ciemność, przekraczając płomień za płomieniem.

Było też polecenie dla siebie samej, jak przewijający się motyw: *Muszę pomedytować nad swoim imieniem.*

Ale nigdy go nie zdradziła.

Nie każda uwaga była mistyczna czy niejasna. Dziennik zawierał także pragmatyczne, codzienne obserwacje: rozważania o polityce, lokalnych zdarzeniach, popkulturze — nawet zdawkowe informacje wyczytane w gazetach i magazynach. Obserwacje te były prześmiewcze i dowcipne. Często niewiarygodnie ponure. Czasem wnikliwie.

Nie jest to zwyczajny, trywialny dziennik, powiedział Izydor — i z pewnością była to prawda. Głos mówiący z tych stron należał do kobiety o złożonej osobowości.

Chociaż wiele z tego, o czym pisała, miało wymiar duchowy, autorka Dziennika najwyraźniej nie odmawiała sobie przyjemności ciała. Była niezwykle zmysłowa. Wpisy roiły się od seksualnych przygód: mężczyźni, zawsze określani jedynie za pomocą inicjałów, zajmowali w nich zaledwie po kilka słów. Zwykle opisywani byli z sympatią, lecz w gruncie rzeczy lekceważąco. Na stronach Dziennika jej partnerzy byli redukowani do liter alfabetu. Tym, co celebrowała, był sam akt miłosny.

Egipcjanie wierzyli, że miłość mieszka w mózgu, nie w sercu. Aleja wierzę, że miłość powinna być gwałtowna, fizyczna, wymazywać racjonalne myśli. Kapię się w jego męskości: jego zapach, jego dotyk, jego cudowna brutalność.

Następnego poranka posiniaczone ciało, łóżko w nieładzie. I to przesywające poczucie, że życie jest radością i namiętnością.

Kolejny wpis:

Dlaczego kobiety uważają męskie dłonie za tak pociągające? Czy chodzi o siłę widoczną w potężnych pakach i nadgarstkach, czy też po prostu z powodu roli, jaką odgrywają dłonie podczas uprawiania miłości? Dłonie, które mogą pieścić, drażnić, ścisnąć w ekstazie. Dłonie, które odgarniają mi włosy z twarzy, otwierają moje usta, uspokajają mnie.

Gabriel wiedział, że powinien mieć poczucie winy: te zdania nie były przeznaczone dla jego oczu. Wmawiał sobie, że nie ma wyboru — że było to konieczne w jego dochodzeniu prawdy o śmierci Roberta Whittingtona — ale wiedział, że chodziło o coś więcej.

I nie był to tylko potajemny dreszcz obserwatora, podglądacza. To sięgało głębiej. Im więcej czytał, tym bardziej oczarowany był osobą, która kryła się za słowami.

Zwykle wpisywała swoje myśli do komputera późnym wieczorem. Pisanie Dziennika było pewnie ostatnią czynnością, którą wykonywała przed pójściem do łóżka. Gabriel wyobrażał ją sobie, ubraną już do snu: bosa stopy, twarz pozbawiona makijażu, lekko zmarszczone czoło, kiedy stuknęła w klawisze, wahając się nad tym czy tamtym słowem. Widział, jak siedziała przy długim stole w salonie, w słabym świetle lampy, z dłońmi opartymi lekko o klawiaturę, z twarzą odwróconą tyłem do niego. Udawało mu się dojrzeć zarys jej postaci pod zwiewną koszulą nocną: zobaczyć cień, spowijający jej stopy. A potem odwracała się w jego stronę i natychmiast jej rysy stawały się zamazane, a on nie był w stanie zobaczyć nawet koloru jej oczu.

Minnalously? Czy Morrighan?

Dzika zmysłowość, która buchala z każdego zdania, przypominała mu o Minnaloushe. Ale to muśnięcie ciemności — nieustanny pościg za ryzykiem — to była cała Morrighan. *Ryzyko sprawia, że nasze zmysły drżą. Niebezpieczeństwo jest erotyczne. Najbardziej świadomi siebie jesteśmy wtedy, kiedy znajdujemy się w cieniu śmierci.*

Czy to możliwe, żeby zakochać się w głosie z pamiętnika?

Nie można się było oprzeć kobiecie mówiącej z tych stron. Gabriel nie mógł się nią nasycić. Czytał jej dziennik i było to jak oglądanie pięknej tancerki, która stopniowo zdejmuje ubranie. Jak sułtan i Szeherazada, pomyślał, szydząc z samego siebie. Kręci mnie potęga słów. Potęga o wiele bardziej wyrafinowana niż ładna twarz.

Ta kobieta go zauroczyła.

Oczarowała.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

— Masz obsesję.

Gabriel odwrócił głowę i spojrział na Izydora. Siedzieli w furgonecie, o przecnicę od biur Pittypats. Lecz zanim mogli zabrać się do pracy ze swoją puszką pringlesów, musieli gdzieś zaparkować. Czasami Gabriel myślał, że najtrudniejszą częścią ich pracy było po prostu szukanie odpowiedniego miejsca parkingowego.

— Zakochałeś się w tej kobiecie z Dziennika. Poraziło cię, Gabe. Przyznaj się.

— Ona cudownie pisze.

— Zdajesz sobie sprawę, że ten czarowny głos może należeć do kobiety, która kogoś utopiła? Do morderczyni?

— Niemożliwe. — Gabriel potrząsnął głową. — Niemożliwe.

— Tego nie wiesz — ostrzegł go Izydor. Spojrział na Gabriela i gwałtownie zmienił bieg. Nie należał do najlepszych kierowców.

— A jeśli nawet go nie zabiła — ciągnął — to z dziennika jasno wynika, że brała przynajmniej udział w tej dziwnej grze z Whittingtonem, o cokolwiek w niej chodziło. Ona i jej siostra.

— Nic nie wskazuje na to, że ta gra doprowadziła do jego śmierci.

— Nic nie wskazuje na to, że tak nie było — Izydor zniecierpliwiał się. — Na miłość Boską, ona pisze o przechodzeniu przez ten potworny dom o wielu drzwiach, to niby nie jest dziwaczne?

— Więc?

— Nie kapujesz? Własnymi słowami wyznaje, że była w tym samym miejscu, co kobieta, która utopiła Robbiego Whittingtona.

Gabriel zamilkł. Izydor mówił o tym aspekcie Dziennika, który go niepokoił. Nie było żadnych wątpliwości, że jego autorka była zaznajomiona z domem o milionie drzwi. Z domem, w którym Robert Whittington spotkał kobietę odpowiedzialną za jego śmierć. Nie tylko знаła ten dom — odwiedzała go regularnie. *Podróż trwa. Codziennie wspinam się po niezmięrzonych schodach, przechodzę wzdłuż pochylonych korytarzy, przeprowiam się przez zdradzieckie mosty i otwieram zwodnicze drzwi.*

Zwodnicze drzwi. Niezły opis, chociaż trochę oszczędny. Za którymś z tych drzwi kryło się wrzeszczące szaleństwo.

Gabriel wyjrzał przez okno ciężarówka.

— Ona nie jest morderczynią, Izydorze. Ja to wiem.

— Oszukujesz sam siebie, przyjacielu. A nawet jeśli go nie zabiła, to pewnie pomagała siostrze to zatuszować.

— Myślę, że ona nie wie o tym morderstwie. Wiesz, siostry niekoniecznie mówią sobie o wszystkim. Zwłaszcza o morderstwie.

— Racjonalizujesz. Izydor przycisnął pedał gazu nieco zbyt energicznie i furgonetka znowu szarpnęła do przodu. — Zabujaleś się.

Tak, pomyślał Gabriel. To prawda. Zabujalem się w kobiecie, w której sercu kwitną świecące maki. W kobiecie, która napisała wiersz — i to ni mniej, ni więcej, lecz w rymowanych strofach — do swojego dużego palca u nogi. *Oda do Lorda Magnipusa.* Jak można nie pokochać kobiety, która nadaje imiona swoim palcom u nóg i pisze wiersze na ich cześć?

Nagle zauważył bezpłatną zatoczkę dla samochodów dostawczych na zewnątrz przysadzistego budynku z lat sześćdziesiątych naprzeciwko biur Pittypats. Cuda się zdarzają. Poklepał Izydora po ramieniu.

— Dobre oko. — Izydor skręcił gwałtownie w stronę zatoczki. — Chociaż są spore szanse na to, że pogoni nas ochrona budynku.

— Więc bierzmy się do roboty.

Izydor sięgnął za swoje siedzenie, by wyciągnąć torbę ze sprzętem, i zajęczał:

— Rany, zupełnie się dziś do tego nie nadaję. I pomyśleć, że mógłbym w tej chwili być na Hawajach.

— Głowa do góry. „Pracuj ze śpiewem na ustach”, to moje motto.

— Hej ho, hej ho.

— Większość ludzi żyje w milczącej desperacji.

— Nie pierdol. Zakładam, że nie ty jesteś autorem tych nieśmiertelnych słów?

— Nie. Thoreau. Ale ja potrafię być niemal tak samo poetycki. Co powiesz na „życie jest do dupy”?

— Dla mnie bomba. — Izydor wciągnął sobie torbę na kolana. — A przy okazji, sądzę, że powinniśmy sobie odpuścić tę robotę z Leveleksem. Stary, to miejsce jest jak Fort Knox. Im wcześniej się wycofamy, tym lepiej.

Gabriel pokręcił głową. Wciąż urabiał Ariela Scotta — zaledwie wczoraj wypił z nim kolejny imbryk zielonej herbaty. Wydobyć z niego przydatnych informacji było tylko kwestią czasu. Oczywiście Izydor nic o tym nie wiedział.

— Poczekajmy jeszcze chwilę.

— W porządku. Ty tu jesteś szefem. — Izydor wklepał cyfry do keylocka. — A wracając do siostrzyczek, kiedy znowu się z nimi spotkasz? Od kolacji minął prawie tydzień. Ciągle nie odzyskałeś loggера z ich komputera. To będzie trudne, jeśli cię znowu nie zaproszą.

— Nie martw się o to.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz. Muszę go oddać kumplowi. Pamiętasz, że tylko go wypożyczyłem. A chociaż Aaron jest świetnym koleśkiem, to potrafi być bardzo agresywny, kiedy coś go wkurzy.

— Izydorze, wyluzuj. Na pewno mnie zaproszą.

— Skąd wiesz?

— Czytałem dziennik. I widać z niego, że o mnie nie zapomnieli. Spodziewam się, że odezwą się w ciągu najbliższych dni.

Po drugiej stronie wielkich szklanych płyt, na frontowej ścianie budynku, przed którym się zatrzymali, Gabriel widział ochroniarza w czapce, który dzielił biurko z recepcjonistką przedsiębiorstwa. Mężczyzna wydawał się patrzeć w ich kierunku.

— Dobra — pociągnął torbę w swoją stronę i opuścił szybę — skup się. Musimy zabrać się do roboty, zanim przysła nam tamtego zombie, żeby nas sprawdził.

— Tak, tak. Ale jesteś pewien, że znowu cię zaproszą?

— Uwierz mi. Tak będzie.

*

I miał rację. Następnego dnia, kiedy zalogował się w Dzienniku, poczuł, że puls zaczyna mu przyspieszać.

Data wpisu: 20 czerwca

M. sądzi, że czas już skontaktować się z G Całkowicie się zgadzam.

Kiedy o nim myślę, czuję, jak całe moje ciało ogarnia podniecenie. Wilgotne dłonie, trzeszczące neurony, burze elektryczne w każdej komórce.

Uważaj, dziewczyno! M. nie będzie tym zachwycona. I ma rację. G nie pojawił się w naszym życiu jako kandydat do romansu. Czeka go inna droga.

I tym razem nie możemy się spieszyć. R. sam chciał przyłączyć się do gry. G. nie. Trzeba będzie go skusić.

*A wtedy będziemy mogły nadać mu imię...
Więc niczego nie przyspieszajmy. Musimy podchodzić do
niego z wielką rozważą. Powolny taniec. Zaloty.*

Wciąż patrzył w ekran, kiedy — jakby na zawołanie — rozległ się dzwonek u drzwi.

Był to kurier z listem. Pismo na kopercie było kobiece, lecz zdecydowane: delikatne, płynne kreski, lecz także bujne zawijasy przy g i 1. W środku znajdowała się złożona na pół kartka cudownie pachnącego papieru ryżowego. Wiadomość była krótka, lecz słodka: *Dwie damy potrzebują przystojnego towarzysza. Czy możemy liczyć na twoją rycerskość? Bilet załączony. Obowiązują stroje wieczorowe.*

Do liściku przyczepiony był papierowym klipsem bladożółty bilet. Miejsce na drugim balkonie na premierowym przedstawieniu *Romea i Julii* w Covent Garden.

Zaloty się rozpoczęły.

CZAROWNE LATO



Nam et ipsa scientia potestas est. Wiedza to potęga.

Francis Bacon, *Meditationes Sacra. De Haeresibus*, 1597

Wiedza nie jest potęgą. Potęgą jest kod.

Erik Davis, *Technognoza, Magia, Pamięć*

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Romeo i Julia to był wieczór fraków i szampana. Jednak, jak miał się przekonać Gabriel, gusta i zainteresowania sióstr Monk były bardzo eklektyczne.

W ciągu tego tygodnia towarzyszył im także na otwartym wieczorze poezji, podczas turnieju kick boxingu w Essex i pikniku na cmentarzu. Cmentarz, trzeba powiedzieć, był nie byle jaki, bo sam Highgate: miejsce wiecznego spoczynku Marksa, Christiny Rossetti, George'a Eliota i Michaela Faradaya.

— Oraz ulubione miejsce Lucy Westenry — dodała Morrighan. Siedziała po turecku na trawie z talerzem kanapek na kolanach. Jej palec zawisł pomiędzy ogórkiem a jajkiem z majonezem. — Drakula — wyjaśniła w odpowiedzi na pytanie malujące się na jego twarzy.

Gabriel popatrzył na nią, gdy tak siedziała swobodnie, ale z wyprostowanymi plecami. Morrighan rzadko się garbiła. Nawet kiedy była zupełnie rozluźniona, miało się wrażenie powściąganej energii. Obok niej klęczała Minnaloushe z rudymi włosami związanymi w niedbały węzeł. Próbowwała odkorkować butelkę wina. Gabriel wiedział, że powinien zaproponować pomoc, ale Minnaloushe wyglądała tak uroczo z butelką zaciśniętą w jednej ręce i językiem lekko wysuniętym z wysiłku, że tego nie zrobił. A kiedy spojrzął na obie kobiety,

siedzące obok siebie, zrobiło mu się lżej na sercu.

— Drakula?

— Tak. To właśnie z Highgate Bram Stoker zaczerpnął inspirację.

Morrighan zamknęła oczy i zaintonowała celowo smętnym tonem: *Jest młody i silny, ma całusy dla nas wszystkich... Dziewczyzna uklęknęła i pochyliła się nade mną, po prostu promieniejąc z radości. Miała w sobie jakąś świadomą zmysłowość, która była jednocześnie podniecająca i odrażająca, a wyginając szyję oblizwała sobie usta jak zwierzę, tak że w świetle księżycy widziałem wilgoć lśniąca na szkarłatnych wargach i czerwonym języku, dotykającym ostrych białych zębów...*

Morrighan urwała i otworzyła te swoje zaskakująco niebieskie oczy. Zanim Gabriel zdążył dojść do siebie, odezwała się Minnaloushe, najwyraźniej podejmując w miejscu, w którym przerwała jej siostra.

Jej głowa schodziła niżej i niżej, w miarę jak jej wargi oddalały się poza zasięg mych ust i brody... Słyszałem mlaskanie jej języka... Czulem miękki, drżący dotyk ust na wrażliwej skórze szyi, i twarde wypukłości dwóch ostrych zębów, które ledwie dotknęły mojej szyi, po czym znieruchomiały. Zamknąłem oczy w powolnej ekstazie i czekałem — czekałem z bijącym sercem.

— Jasny gwint. — Gabriel powiódł wzrokiem od jednej kobiety do drugiej. — Co to było, do diabła?

— Biedny Jonatan Harker. Walczący z sukubami hrabiego Drakuli. Erotyczne, nie sądzisz?

— No chyba. To był fragment książki?

Morrighan skinęła.

— Ci wiktorianie znali się na uroku seksualnej dominacji i uległości, trzeba im to przyznać.

— No, w każdym razie widzę, że to twoja ulubiona lektura. Trzymasz ją przy łóżku?

— Może Minnaloushe trzyma ją pod poduszką. Nie zdziwiłoby mnie to. Ale ja nie czytałam Drakuli od czasów szkoły.

— Ja też nie. — Minnaloushe pokręciła głową. — Muszę przyznać, że kiedy miałam czternaście lat, hrabia był dla mnie idolem. Mroczny, przystojny, dobre zęby. Ale z radością mogę stwierdzić, że dorosłam i nie wymagam już, aby moi mężczyźni byli aż tak egzotyczni — roześmiała się i pochyliła, żeby przybić piątkę siostrze.

Gabriel roześmiał się razem z nimi, ale czuł się lekko zdezorientowany. Podczas gdy on miał problemy z zapamiętaniem własnego numeru telefonu, te kobiety najwyraźniej potrafiły zapamiętać słowo w słowo całe akapity tekstu. Z książki, której nie czytały od lat. Imponujące... i przedziwne.

Z butelki w dłoniach Minnaloushe dobiegło satysfakcjonujące pyknięcie i korek wreszcie został wyciągnięty.

— Wina, Gabrielu?

Butelka, jak zauważył, nie miała żadnej etykiетки. Gabriel nieufnie powąchał ciemnoczerwony płyn. — Co to jest?

— Wino jagodowe, produkcji Morrighan.

Gabriel ostrożnie łyknął z kieliszka. Napój był zaskakująco pyszny.

— Mógłbym się przyzwyczać. — Upił kolejny łyk.

Na twarzy Minnaloushe pojawił się uśmiech.

— To dobrze. Jest bardzo zdrowe. Wzmocni twój system odpornościowy. Powinieneś je włączyć do codziennej diety.

— Może tak zrobię — Gabriel dopił do końca. Płyn pozostawił na dnie kieliszka krążek czerwonego osadu.

Minnaloushe znowu kiwnęła głową, zadowolona.

— Jeszcze jeden kieliszek?

— Czemu nie?

— Za nas. — Minnaloushe uśmiechnęła się.

— Za to, żebyśmy się lepiej poznali — dodała Morrighan. Zmrużyła oczy przed mocnym światłem słońca. Brzęk, jaki wydał jej kieliszek,

stykając się z kieliszkiem Gabriela, był tak czysty, że brzmiał jak radość.

*

Może jagodowe wino Morrighan było zdrowe, ale dawało też porządnego kopa. Kiedy Gabriel dotarł do domu, zasnął przed telewizorem. Gdy się obudził, odkrył, że leży skulony na kanapie pod bardzo niewygodnym kątem, a ślina ścieka mu na poduszkę, którą miał pod głową. Telewizor wciąż był włączony. Telefon na stoliku do kawy dzwonił.

Gabriel zerknął na zegarek. Dwudziesta trzecia pięćdziesiąt trzy. Za późno na towarzyskie pogaduszki.

Wcisnął guzik wyłączenia dźwięku na pilocie i podniósł słuchawkę.

— Obudziłam cię? — głos Frankie był tak wyraźny, jakby stała tuż przy nim.

— W porządku. Co się stało?

— Niewiele. — Długa przerwa. — Po prostu chciałam pogadać. Zastanawiałam się, jak sobie radzisz.

Gabriel zmarszczył brwi.

— U mnie w porządku. A u ciebie?

— Wszystko okej. — Ale coś w jej głosie brzmiało nie tak.

— Co się stało, Frankie? Już późno. Dlaczego nie jesteś w łóżku?

— Jestem w łóżku.

— Aha. A William? — przecież nie dzwoniła do niego żeby pogadać, kiedy obok leży jej mąż.

— Śpi. Odkąd zaczął chorować, sypia we własnym pokoju. Nie chce się martwić, że mi przeszkadza — przerwa. — Z początku byłam absolutnie przeciwko. Ale uparł się. I może w ten sposób jest mu łatwiej.

— Na pewno. — Gabriel zastanawiał się, ile jeszcze było fizycznej bliskości między Frankie a jej mężem. Wiedział, że nie powinien myśleć o takich rzeczach, ale w tych okolicznościach trudno było się powstrzymać.

— Gabrielu...

— Tak?

Długa przerwa, tak długa, że przez chwilę sądził, że Frankie się rozłączyła.

— Myślałeś kiedyś, jakby to było, gdyby...

— Gdyby co?

— Gdybyśmy się nie rozstali?

Gabriel potarł czoło.

— Oczywiście, że tak. — I nie tylko to, dodał w myślach.

Odkąd ponownie zjawiała się w jego życiu, były takie chwile, kiedy zastanawiał się, czy nie mogliby dostać jeszcze jednej szansy. Nie czuł się z tym dobrze — to tak, jakby życzył Whittingtonowi śmierci, co z całą pewnością nie było prawdą.

Ale fakt pozostawał faktem: w nie tak bardzo odległej przyszłości Frankie znowu będzie wolną kobietą.

Długie, przeciągłe westchnienie. Teraz głos Frankie był stłumiony.

— Kocham Williama. Całym sercem. Musisz w to uwierzyć.

— Wierzę, oczywiście.

— Ale czasami nie mogę się powstrzymać przed myślą... Przepraszam; nie powinnam mówić takich rzeczy. I nie powinnam cię tym obarczać. To nie w porządku.

— Wiesz, że możesz ze mną porozmawiać o wszystkim.

— Jest za wcześnie, rozumiesz? On i ja nie mieliśmy dla siebie dość czasu. A teraz, kiedy zachorował, odsuwa się ode mnie. Już się ze mną pożegnał. Jest dla mnie niedostępny.

— Frankie, tak mi przykro.

— Ty zawsze byłeś blisko. Pod wieloma względami byłeś draniem, ale zawsze wiedziałam, o czym myślałeś.

— No cóż, chyba dziękuję.

— Czuję, że jestem nielojalna kiedy mówię takie rzeczy.

— Każdy potrzebuje ramienia, na którym może się wypląkać.

— Wiem.

— Frankie...

— Przepraszam, że cię obudziłam — teraz mówiła w pośpiechu. Gabriel słyszał, że żałowała tego telefonu.

Westchnął.

— Jestem do twojej dyspozycji.

Odłożył słuchawkę i popatrzył na telefon. Dwa tygodnie temu nie uwierzyłby, że taka rozmowa była możliwa. Że Frankie mogłaby otworzyć się przed nim, mówić o ich wspólnej przeszłości. I dwa tygodnie temu szalałby z radości po takim telefonie. Teraz jednak nie był aż tak podekscytowany, jak mógł się spodziewać, i nie trzeba było psychologa, żeby mu wytłumaczył, dlaczego tak się działo. Przez chwilę myślał o nieszczęsnym Jonathanie Parkerze, którego szyja niemal posłużyła jako cukierek dla oblubienic hrabiego Drakuli. *Zamknąłem oczy w powolnej ekstazie i czekałem — czekałem z bijącym sercem.*

Rany. Dlaczego wszystko zawsze musiało być tak cholernie skomplikowane?

*

Oczywiście określenie „skomplikowane” nawet w najmniejszym stopniu nie opisywało sytuacji, w jakiej się znalazł.

W ciągu następnych ośmiu tygodni on oraz Minnaloushe i Morrighan Monk stali się praktycznie nierozłączni. W miarę jak Gabriel dawał się wciągać coraz głębiej i głębiej w świat sióstr, zaczynał tracić zdolność myślenia o nich z obiektywizmem.

Wiedział, że coś planowały. Było to jasne jak słońce. Czy powinien się przez to mieć na baczności? Bez wątpienia. Czy miał się na baczności? Raczej nie. Im więcej czasu spędzał w ich towarzystwie, tym trudniej było mu zachowywać ostrożność. Powoli go uwodziły. Bycie przedmiotem uwagi dwóch tak niezwykłych kobiet uderzało do głowy.

A były one naprawdę niezwykle. Mimo że widywał je niemal codziennie, czasem nawet w najbardziej przyziemnych sytuacjach — przy praniu albo rano, kiedy wciąż jeszcze były w szlafrokach i miały zwichrzone włosy oraz nieumalowane usta — przypominały jakies

egzotyczne stworzenia, a ich życie było spowite tajemnicą. Niewątpliwie należały do swojej epoki, ale w ich sposobie myślenia było coś zupełnie nienowoczesnego. Widać to było wyraźnie nawet w ich bezpośrednim otoczeniu.

— Wciąż z tego korzystacie? — spytał kiedyś Gabriel Minnaloushe, wskazując na liczydło o koralikach z kości słoniowej.

— Oczywiście — odparła, jakby zdumiona pytaniem.

No i to ich zainteresowanie alchemią. Był w nim powiew magii, starych zakurzonych ksiąg i niezmiernego szaleństwa.

Gabriel zaczynał zaniedbywać pracę. Zawsze pracował równie intensywnie, jak się bawił, lecz teraz równowaga zaczynała się chwiać. Codziennie towarzyszył Minnaloushe i Morrighan w jakichś imprezach. Obie panie robiły wrażenie, gdziekolwiek się pojawiały, i przyjemnie było wchodzić do pokoju na oczach wszystkich, z olśniewającymi kobietami po obu stronach. Gabriel czuł dumę, a nawet pewien rodzaj zaborczości. One są ze mną, myślał, zauważając przeciągłe spojrzenia. Ja jestem ich facetem.

Ale kiedy później wracał myślami do tych dwóch miesięcy, nie przypominał sobie wieczorów galowych, meczów polo czy kolacji w restauracjach. Najbardziej zapadły mu w pamięć te wieczory, które spędzali spokojnie w Monk House. Długie zmierzchy w ciemniejącym ogrodzie, patrzenie, jak zgarbione drzewo o płomiennych kwiatach zmienia się w plamę czerni, wdychanie woni jaśminu, który spowijał kraty treliazu. Kiedy indziej Gabriel rozsiadał się na jednym z wygodnieionych skórzanych foteli w salonie, z kieliszkiem jagodowego wina Morrighan w dłoni. Morrighan zwiwała się na innym fotelu, czytając z intensywnym skupieniem. Na wysokim stołku przy roboczym stole siedziała Minnaloushe z lilipucim dłućkiem w ręku, odnawiając jakąś zniszczoną maskę.

Z zestawu muzycznego Nakamichi, który sam w sobie stanowił dzieło sztuki, zawsze leciało coś pięknego. Siostry miały ogromną płytotekę, ale ich ulubionym utworem było *Andante cantabile*, kwartet

smyczkowy Czajkowskiego numer 1, opus 11. Kiedy później Gabriel przypominał sobie tamte długie letnie wieczory, zawsze przychodziły mu na myśl te słodkogorzkie tony skrzypiec: muzyczny temat przepłatający się przez ich dni niczym złota nić.

Jednak życie, które wtedy prowadził, było życiem schizofrenika.

Za nas. Za to, byśmy się poznali... Tylko że... ich mała grupka miała też czwartego członka. Niewidzialnego, lecz zawsze obecnego. Kiedy napełniali swoje kieliszki winem, on również siedział przy stole, podnosząc lampkę w milczącym toaście. Kiedy przebywali w ogrodzie, chłonąc blask słońca, on wyciągał swoje długie nogi, by pochwycić promienie i uśmiechał się słodkim, szczerym uśmiechem, a jego oczy — te absurdalnie niewinne oczy — marszczyły się w kącikach.

Robert Whittington. Który zginał krzyżąc, z rozszarpanym umysłem.

Gabriel śmiał się razem z siostrami, flirtował, drażnił się z nimi czule. Jednak przez cały czas pod powierzchnią przyjaźni czaiła się świadomość, że któraś z nich była morderczynią.

Czasem o tym zapominał. Może po prostu nie chciał o tym myśleć. W końcu jedna z tych kobiet co noc nawiedzała jego sny. A niezwykle fakt, że Gabriel nie miał pojęcia, o którą z nich chodziło, oznaczał, że nie chciał, by którakolwiek z nich była winna.

Zdawało mu się, że w miarę, jak będzie coraz lepiej poznawał siostry, nadanie głosowi twarzy stanie się nieuniknione, ale mimo upływu czasu tożsamość autorki dziennika pozostawała dręcząco nieuchwytna.

Minnaloushe, choć pełna ciepła i ogromnego uroku, była również w jakiś sposób skryta. Przywodziła mu na myśl dym nad wodą. Opary, mgłę i ukryte miejsca. Była niezwykle kobieca. Długie, złotorude włosy, które opadały kaskadą na policzki, obfite piersi i krągłe biodra, a także pełne cygańskie usta były pod każdym względem kobiece.

Osobowość Morrighan była mniej tajemnicza. Wszystko w niej wydawało się czyste i wyraźnie zarysowane. Jej rysy miały w sobie elegancję profilu z greckiej urny. Czerń włosów była tak głęboka, że lśniła błękitem nocy, a białka oczu były tak białe, że wyglądały niemal na sztuczne. Nosiła się z kocią gracją. Człowiek miał wrażenie, że czego tylko pragnęła od życia – i miłości – to brała. Bez wahania.

W Minnaloushe wyczuwało się powolną, pulsującą erotyczną energię. Gabriel przypomniał sobie jeden z wpisów w dzienniku: *Jestem uzależniona od doświadczania miłości wszystkimi zmysłami*. Z pewnością głos w Dzienniku musiał należeć do Minnaloushe.

Miłość to sport ekstremalny. Ćwiczy mięsień umysłu tak samo intensywnie, jak wspinaczka górską ćwiczy mięsień serca. I jest tak samo niebezpieczna. Czy ten głos należał do Morrighan?

Gabriel codziennie obserwował siostry: oceniał ich zachowanie, próbując dopasować je do enigmatycznego tekstu Dziennika. Jeśli będzie się przyglądał wystarczająco uważnie, może mu się poszczęści. Potrzebował tylko jednego, zdradliwego gestu; jednego słowa, które ujawniłoby jej prawdziwą tożsamość.

Nie przyszło mu do głowy, że poszukiwanie autorki Dziennika stało się ważniejsze od szukania morderczyni Roberta Whittingtona. Gabriel wmawiał sobie, że oba te cele były nierozdzielnie połączone. Kiedy tylko zdoła ustalić, kim jest autorka, ujawni się również tożsamość M., o której była mowa w dzienniku. I Gabriel odnajdzie zabójczynię.

Nawet nie brał pod uwagę możliwości, że mogła nią być sama pisząca.

*

Gabriel wiedział, że był jeszcze inny sposób na ustalenie tożsamości morderczyni. Odpowiedź mogła kryć się w tajemniczym pliku o nazwie „Klucz Prometeusza”. I tak, w ciągu kilku dni od wieczoru,

kiedy towarzyszył siostrom w teatrze na *Romeo i Julii*, postarał się odzyskać małego elektronicznego szpiega, którego zainstalował w ich klawiaturze.

Izydor odetchnął z ulgą. Prawowity właściciel loggiera — czarownik o imieniu Aaron — miał umysł komputerowego maniaka, ale ramiona zapaśnika. Zadzieranie z nim było czymś, czego należało unikać. Zanim zwrócił szpiega, Izydor zanalizował uderzenia w klawisze, zarejestrowane przez urządzone.

Następnego dnia zadzwonił do Gabriela z hasłem.

— Hasło do „Klucza Prometeusza” to imię: Hermes Trismegistus. T-r-i-s-m-e-g-i-s-t-u-s.

Gabriel uważnie zanotował słowa.

— Niezły łamacz językowy.

— Teraz, kiedy masz już hasło, możesz rzucić okiem na ten plik. Tylko dopilnuj, żeby cię na tym nie przyłapały.

— Zrobię to, kiedy tylko będę mógł.

Kiedy wypowiadał te słowa, mówił szczerze. Ale w miarę upływu dni ciągle to odkładał. Trzeba przyznać, że idealna sposobność dobrania się do Maca nie pojawiła się natychmiast. Jednak kiedy Gabriel dostał wreszcie swoją szansę, nie wykorzystał jej.

Było to niedzielne popołudnie. Gabriel był w kuchni i kroił cytrynę, żeby dodać ją do świeżo zrobionej granity. Minnaloushe i Morrighan były w ogrodzie, leżąc w jednym hamaku i bez wysiłku utrzymując go w równowadze. Minnaloushe posłała Gabriela po coś do picia.

Kiedy pokroił cytrynę, wyjął z lodówki dzbanek z granita i wlał mieszankę do wysokiej szklanki. Odstawił dzbanek na miejsce i przystanął.

Drzwi lodówki pokryte były zwisającymi krzywo spod kolorowych magnesów zdjęciami. Wiele fotografii przedstawiało jego samego. O proszę, tutaj przedrzeźniał Alego G., co nadało mu wygląd kompletnego krety. Żenujące. Tamtego wieczoru musiał wypić zdecydowanie za wiele. Pomyślał jednak, że na wszystkich zdjęciach wyglądał zaskakująco beztrudnie. Szczęśliwie.

Tak samo, jak Robert Whittington.

Gabriel zmarszczył brwi i przypomniał sobie fotografie chłopca przyczone do ściany w sypialni na górze. Po tamtej pierwszej potajemnej wizycie w Monk House nie miał już okazji odwiedzić górnego piętra. Pewne rzeczy wciąż były poza jego zasięgiem, mimo przyjaźni z obiema kobietami. Sypialnie stanowiły terytorium zakazane. Niestety.

Podniósł szklanekę i wyszedł z kuchni. Kiedy przechodził przez salon, jego wzrok padł na Macintosha. Wygaszacz ekranu był włączony, kobieta z rozwianymi włosami i turkoczącą szatą uśmiechała się łagodnie do eksplodującego słońca, które wzbierało i malało w jej dłoniach.

Gabriel stanął. Kostki lodu w szklance zabrzęczały lekko.

Przez szpary w okiennicach widział hamak i obie siedzące na nim kobiety. Morrighan zakryła twarz kapeluszem i wydawała się drzeć. Minaloushe czytała czasopismo.

Gabriel spojrzął z powrotem na komputer. Musiał jedynie wpisać hasło. Otworzyć plik. Zwinąć jedną z pustych płytek z plastikowego pudełka i ściągnąć dane.

Łatwizna.

Więc zrób to.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że przy szybie rozpaczliwie byczy uwięziony trzmiel. W szklanym pojemniku na półce nad komputerem drgnął Goliat, jego długie nóżki poruszyły się niespokojnie.

Gabriel czekał, czując w umyśle dziwną pustkę. W piersiach miał jakieś nieprzyjemne uczucie.

Zawartość tego pliku mogła wyjawic, kto zabił Roberta.

Zrób to.

Na ściankach szklanki zaczęły się zbierać kropelki. Jego dłoń była mokra.

Przełożył szklanekę z jednej ręki do drugiej i wytarł dłoń o spodnie. Otworzył szeroko drzwi i wyszedł z powrotem w skwar ogrodu.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mniej więcej w tym samym czasie zaczął mu się śnić pewien sen.

Znajdował się w portalu. Tam, gdzie Robert Whittington otworzył drzwi i odkrył szaleństwo. I chociaż Gabriel zdążył już dobrze poznać portal, za każdym razem, kiedy wchodził w tę ogromną, kulistą przestrzeń, jego osłupienie było tak silne, jakby widział ją po raz pierwszy. Oślepiające światło pod kopułą. Ogromne koncentryczne ściany z kamienia pokryte symbolami. Uczucie, że wkracza w przestrzeń *sacrum*.

W tym momencie snu Gabriel był szczęśliwy. Oczekiwanie sprawiało, że było mu lekko na sercu. Gdyby tylko na tym się kończyło — ale nigdy tak nie było.

Drzwi. Drzwi, w których otwierała się maleńka szczelina. Wiedział, że powinien trzymać się z daleka. Wiedział, co się za nimi czaiło. Ból i lawina obrazów i dźwięków, która zmiażdży jego umysł na papkę.

Pocił się. Zawróć. Zawróć. Ale wciąż szedł naprzód, jego palce wyciągały się do przejścia.

Gabriel czytał gdzieś, że sny mogły być zapowiedzią tego, co czeka człowieka w przyszłości. Ludzie, którzy śnili o okaleczeniu i śmierci, miewali potem poważne kłopoty ze zdrowiem. A im bardziej koszmarnie stawały się ich sny, tym bardziej ich stan się pogarszał, mimo

iż w niektórych przypadkach nawet nie zdawali sobie sprawy ze swojej choroby. Coraz gorsze sny odzwierciedlały postępy choroby.

Sen Gabriela również się rozwijał. Za każdym razem Gabriel wiedział, że jest o krok bliżej do otwarcia drzwi. W każdym odcinku zbliżał się do tego momentu, w którym jego palce nie tylko do nich sięgną, ale szeroko je otworzą.

*

Lecz chociaż jego życie we śnie postępowało naprzód, nie można było powiedzieć tego o jego życiu na jawie. Wciąż nie przybliżył się do identyfikacji kuszącego głosu, który nawiązał z nim nic niewidzialnej zażyłości. Czasem wydawało mu się, że kobieta prowadziła jakąś okrutną, nieustanną grę podniecania. Oto ja, zdawała się mówić. Możesz patrzeć, ale nie wolno ci dotykać.

Doprowadzało go to do szaleństwa.

Ostatniej nocy myślałam w łóżku o G. Fantazjowałam. Dotknij mnie tutaj, powiedziałam, i położyłam jego dłoń na swojej piersi. I tutaj, po czym poprowadziłam jego palce między swoje nogi.

Czytał jej słowa — chłodna czerń na bieli — i jego ciało pocilo się, i nie mogło zaznać spoczynku, i Gabriel był wręcz obolały z pragnienia, by dowiedzieć się, kim była.

— A którą byś wolał? — zapytał go Izydor.

— Co masz na myśli?

— Gdybyś miał wybór — spytał Izydor na wpół poważnie, na wpół szyderczo — to którą wybrałbyś na swoją tajemniczą żonę? Minnalou-she czy Morrighan?

Jednak na to pytanie Gabriel nie potrafił dać jasnej odpowiedzi.

— Chciałbym, żeby to była ta, która nie zabiła Roberta Whittingtona. Oto, którą bym wolał.

— Więc przyznajesz, że autorka dziennika mogłaby być winowajczynią. Kiedy ostatnim razem rozmawialiśmy, mówiłeś, że to absolutnie niemożliwe.

— Nadal tak sądzę... przeważnie.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Gdybyś musiał wybierać między Minnaloushe a Morrighan, to którą byś wybrał?

— Nie wiem.

— Nie możesz lubić ich obu tak samo, Gabe. Daj spokój. Kieruj się intuicją.

— Izydorze, nie wiem.

— Co najbardziej lubisz w Minnaloushe?

— Jej ciepło. Jej żartobliwość.

— A w Morrighan?

— Morrighan... Morrighan jest nieustraszona.

— Dobra. Spróbujmy tak. Gdybyś miał przeżyć resztę życia na bezludnej wyspie, to którą z nich wolałbyś mieć przy sobie?

Do umysłu Gabriela napłynęły obrazy Minnaloushe, przeciągającej się leniwie jak kot, zwiijającej się w kłębek na zalanym słońcem parapecie. Włosy przy jej skroniach są złote, a jej oczy to turkusy z plamkami brązu. Jej piersi są pełne i ciężkie pod jedwabną bluzką. Przyłapuje go na tym, że się jej przygląda, i przybiera nienaturalną pozę — jak modelka ustawiająca się przed aparatem — a potem posyła mu całusa.

Lecz gdy Gabriel uśmiechał się jeszcze na to wspomnienie, natchmiast pojawiło się inne. Morrighan susząca włosy, jej przedramiona perlą się kroplami wody po prysznicu. Szlafrok przywiera do jej wilgotnej skóry, podkreśla urocze plecy w kształcie litery V. Materiał jest cienki, a światło pada w taki sposób, że Gabriel widzi zarys jej wąskich bioder, cień między długimi nogami. Morrighan rozczesuje włosy z pochyłą głową i dostrzega go przez trójkąt ramienia. Uśmiecha się — zachwycony uśmiech kobiety, która wie, że ktoś ją podziwia.

Gabriel westchnął.

— Nie potrafię wybrać. To zbyt trudne.

— Wiesz, że igrasz z ogniem.

— Wiem.

— Masz jaja ze stali, przyjacielu. A jeśli nawet twoja pisareczka nie jest morderczynią, to musiała wiedzieć, co knuje jej siostra. Te dwie są do siebie bardzo przywiązane.

Owszem, były bardzo przywiązane, pomyślał Gabriel, ale była to bliskość niepozbawiona konfliktów.

*Arogancja M. Ta czysta, arogancja, która płonie w niej jak ogni-
sty miecz.*

Dziennik odsłonił przed nim związek, który był mieszaniną czułości i awersji. Mówiąc szczerze, uczucia piszącej w stosunku do siostry zdawały się czasem oscylować między niezwykłym podziwem a otwartą wrogością.

*Przepelnia mnie respekt dla M. Jej myśli są jak uderzenia mło-
tem. Wystarczająco mocne, by roztrzaskać świat na części.*

Kolejny wpis: *Czasem nie mogę tego znieść. Patrzę na M. i skóra
zaczyna mnie swędzieć jak od jakiejś toksycznej wysypki. Jej obse-
sja jest jak narośl, która wysysa cały tlen z powietrza. Czuję, że się
duszę. Mam ochotę krzyczeć do niej, raz za razem: Przestań! Prze-
stań! Przestań!*

*

Ale nie tylko dziennik mówił mu, że między siostrami nie wszyst-
ko gładko się układało.

— Każdego potrafi skłonić, żeby zrobił to, czego ona chce — głos Morrighan był zdawkowy, jakby wspominała po prostu o jakimś try-
wialnym szczególe pozbawionym znaczenia.

Gabriel odwrócił się do niej zdziwiony. Pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się słabo.

— Nie możesz mnie winić za to, że jej zazdrosczę. Minnaloushe zawsze potrafiła owijać sobie ludzi dookoła małego palca. A kiedy już raz czegoś od ciebie zapragnie, nie spocznie, póki tego nie dostanie.

Gabriel poczuł się niepewnie.

— Minnaloushe jest piękna, Gabrielu. Nie sądzisz?

— Ty także jesteś piękna, Morrighan.

— Wiem — powiedziała bez żadnej fałszywej skromności. — Ale nie mam jej uroku. Tego powalającego uroku. Ona potrafi sprawić, że wejdiesz za nią prosto do płonącego domu.

I jej głos nie był już zdawkowy.

Rywalizacja nie była jednostronna. Raz, zupełnie przypadkowo, Gabriel wyciągnął z jednej z półek w Monk House album ze zdjęciami. Były w nim wycinki z gazet i zdjęcia co bardziej awanturnicznych wyczynów Morrighan. Morrighan wykonująca akrobacje na spadochronie. Morrighan uprawiająca wolną wspinaczkę. Morrighan pikietująca przed elektrownią jądrową na Ukrainie, stawiająca czoła uzbrojonym w pałki ochroniarzom o groźnych ramionach. Kiedy Gabriel z fascynacją przeglądał album, dołączyła do niego Minnaloushe. Zajrzała mu przez ramię i patrzyła w milczeniu, gdy przewracał strony.

— Twoja siostra wie dzie niezwykłe życie.

— Tak. Zazdroścę jej.

— Zazdrościsz?

— Zazdroścę Morrighan tego, że jest taka nieustraszona. Popatrz na to zdjęcie.

Minnaloushe postukała w czarno-białą fotografię w zbliżeniu. Morrighan miała głowę odrzuconą do tyłu i twarz ubrudzoną sadzą. Spocone włosy przylegały do jej czoła. Na jednym policzku widniało zadrapanie. W jej oczach było wyzwanie, ale na ustach miała uśmiech. Wyglądała jak piratka.

— Kiedy je zrobiono? — spytał Gabriel. — Co ona robiła?

— Bóg jeden wie. Nie pamiętam. Możesz być pewien, że było to coś, co wymagało jaj i totalnego lekceważenia względów bezpieczeństwa. — Minnaloushe westchnęła. — Jestem przekonana, że w poprzednim życiu Morrighan była wielkim wojownikiem, który prowadził armie prosto w noc. Albo może jakąś Joanną D'Arc. Już widzę, jak przyjmuje ból z otwartymi ramionami.

— A ty?

— Ja? Ja jestem niezdarą — powtórzyła to słowo, jakby podobał jej się jego smak na języku. — Niezdarą.

Czasem drobne niesnaski w ich relacjach zaogniały się do otwartej wojny.

Gabriel drzemał akurat w ogrodzie, kiedy nagle obudził się z niewyjaśnionym poczuciem niepokoju. Jakby przed sekundą ktoś krzyknął mu do ucha. Jednak kiedy rozejrzał się dookoła, nikogo w pobliżu nie było.

Wytoczył się z hamaka i ruszył w stronę domu. Kiedy zbliżył się do drzwi, zobaczył w salonie obie siostry. Stały zwrócone do siebie twarzami. W ich postawach było coś takiego — sztywność w ramionach Minnaloushe, Morrighan ze szczęką wysuniętą do przodu — co kazało mu zwolnić kroku.

— Zrobiłaś to specjalnie — głos Minnaloushe był twardy, oskarżycielski.

— Nieprawda.

— Owszem. Wiedziałaś, że się zdenerwuję.

Morrighan prychnęła zirytowana.

— Wiem, że trudno ci w to uwierzyć, Minnaloushe, ale nie zawsze myślę o tym, co ci się spodoba, a co nie. Myślisz, że cały świat kręci się wokół ciebie. Ale tak nie jest.

— Czasami — teraz w głosie Minnaloushe było drżenie — czasami myślę, że powinnam opuścić ten dom.

— A czasem jesteś tak dziecinna, że to nie do zniesienia.

Nie powinienem tego słuchać, pomyślał Gabriel. Powinien się stąd wynieść. Zrobił jeden duży krok do tyłu, próbując poruszać się tak cicho, jak to tylko było możliwe.

Lecz w tym momencie Minnaloushe ostro zwróciła głowę w jego stronę. I chociaż Gabriel nie zamierzał podsłuchiwać, zrobiło mu się wstyd.

Śliczna twarz Minnaloushe była zarumieniona, a jej oczy lśniły jasno. Przez sekundę wyglądała, jakby zamierzała coś powiedzieć, ale zamiast tego odwróciła się na pięcie. Wyprostowała plecy, po czym wyszła — a raczej wypadła — do jadalni i zniknęła mu z oczu. Po kilku

chwilach oboje usłyszeli, jak drzwi do kuchni zamykają się z trzaskiem.

Cisza. Tak jakby cały dom zamarł w szoku.

Gabriel spojrzął na Morrighan. Pochwyciła jego spojrzenie i uśmiechnęła się chłodno. Podniosła do góry dłoń.

— Przepraszam za to.

Gabriel ostrożnie wszedł do salonu.

— Nie ma za co. Przepraszam, że przeszkodziłem.

— Nie. Lepiej, że tak się stało. Inaczej mogłybyśmy w końcu powiedzieć sobie coś, co na całe dni zatrułoby atmosferę — Morrighan wyglądała na zmęczoną. Miała podkrążone oczy.

— Nie zastanawialiście się nigdy, żeby zamieszkać oddzielnie? — spytał Gabriel, myśląc o ostatnich słowach Minnaloushe.

— O tak. Często mi się zdaje, że najlepiej byłoby, gdyby każda z nas poszła własną drogą.

— Więc czemu tego nie zrobicie?

— To skomplikowane. Potrzebujemy się wzajemnie. I żadna z nas nie chce opuszczać tego domu.

Uniosła dłoń do wiszącego na szyi wisiorka. Gabriel widział już kiedyś, jak to robiła, jakby czerpała z niego jakąś siłę. Był to wisiorek w kształcie litery M.

Patrzył, jak Morrighan owija srebrny łańcuszek wokół palca. Miała śliczne dłonie o długich, pełnych gracji palcach. Jej paznokcie były niepomalowane i krótko obcięte.

— Matka mi go podarowała — powiedziała do Gabriela, widząc jego zainteresowanie.

— Minnaloushe też taki ma, prawda?

— Tak. Mama dała nam je w tym samym czasie. Ja miałam wtedy szesnaście lat. Sześć miesięcy później mama nie była już w stanie nas rozpoznać. Cierpiała na alzheimera.

— Przykro mi. Musiało wam być ciężko.

— To był koszmar. Myślę, że to najbardziej pierwotny ze wszystkich lęków, strach, że matka o tobie zapomni.

— Przykro mi — powtórzył Gabriel.

— To właśnie z powodu jej choroby Minnaloushe zainteresowała się zagadnieniem pamięci. Napisała o tym doktorat.

— Tak, wiem.

— Myślę, że to pomogło jej pogodzić się z tym całym okropieństwem.

— A ty?

— Ja płakałam — powiedziała Morrighan po prostu. — Przez długi czas płakałam. — Przerwała. — Nadal płacę.

Ten jeden raz na jej twarzy nie było żadnej maski, zniknął wyraz rozbawienia. Morrighan rzadko wyglądała na bezbronną. To był pierwszy raz, kiedy tak się przed nim otworzyła.

Gabriel dotknął jej ręki ze współczuciem. Jej palce drgnęły pod jego dotykiem, a kiedy spojrzął jej w oczy, jej źrenice się rozszerzyły.

Gabrielowi zabrakło tchu.

Morrighan spojrzała ponad jego ramieniem. Gabriel odwrócił się.

W drzwiach stała Minnaloushe i uśmiechała się do nich. Jej uśmiech skierowany był również do siostry: wyraźny znak, że kłótnia poszła w niepamięć.

— Przepraszam, siostrzyczko.

Morrighan westchnęła.

— Ja też przepraszam.

Minnaloushe przeniosła wzrok na Gabriela.

— Zostaniesz na kolacji, jeśli obiecamy być grzeczne?

Gabriel zawahał się na chwilę.

— Proszę?

Rozluźnił się.

— Dzięki. Z przyjemnością.

— To dobrze. — Minnaloushe wzięła go pod ramię i zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu. — Bo dziś rano upiekłam na deser moje magiczne czekoladowe ciasto.

— Magiczne?

— Pewnie. Zjedz je, a staniesz się bystry, seksowny i zdobędziesz zdolności parapsychiczne.

— Myślałem, że już taki jestem.

— Staniesz się także skromny — dodała Morrighan, biorąc go za drugą rękę. — Wspominała o skromności?

Gabriel roześmiał się razem z nimi — skrępowanie, które poczuł na widok ich sprzeczki, zaczęło już ustępować. Objął je obie w talii i przyciągnął do siebie. Wciąż roześmiani, ruszyli we trójkę do ogrodu, gdzie zmierzch zmieniał błękit nieba w róż.

Później tego wieczoru, kiedy wrócił do siebie, Gabriel zalogował się do Dziennika.

Kiedy G. położył mi dziś rękę na plecach, całe moje ciało zareagowało. Ciekawe, czy to zauważył. Poczułam, jak oblewam się gorącym i pocę pod pachami. Nogi mi zmiękły. Jego palce dotykały dokładnie tego miejsca, w którym mężczyzna kładzie rękę, gdy prowadzi kobietę w tańcu, zapraszając ją — och, tak łagodnie, lecz och, tak nagłaco — by podążyła za nim. I tak samo jak w tańcu zapragnęłam, by się do mnie przytulił. Chciałam poczuć mięśnie napinające się w jego udach. Poczuć, jak moje biodra ruszają się w jego rytmie. Pożądanie rozpalone, lecz trzymane w ryzach przez formalność kroków.

Widziałam, że M. mnie obserwuje. I to nie tylko z powodu dzisiejszej sprzeczki. Wiem, że wyczuwa moje zainteresowanie G. Czy boi się, że się zawaham i nie nadam mu imienia? Czy też jest zazdrosna?

Lecz nie potrafię się powstrzymać. Myślę o tym zbyt często. Jakby to było posmakować jego ust. Jakby to było, gdyby leżał na mnie wycieńczony, gdyby miażdżył mnie swoim ciężarem.

Gabriel wstał i wyszedł na balkon, zacisnął mocno dłonie na barierce. Serce waliło mu tak, jakby właśnie skończył sprint na sto metrów. Wbił oczy w ciemność obmytą światłami.

Moja miłości. Kim jesteś?

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Patrząc na instruktora jogi, który znów miał na sobie poncho w kropki, Gabriel stłumił westchnienie. Poświęcił facetowi sporo czasu, ale wyglądało na to, że nie wyciągnie z niego nic godnego uwagi. Szczerze mówiąc, zaczynał tracić zapał do całego przedsięwzięcia. Ariel nie był najbardziej ekscytującym partnerem do rozmowy, a wtorkowe pobudki bladym świtem zaczynały się robić męczące. Poprzedniego wieczoru Gabriel jak zwykle siedział do późna z siostrami. Nastawienie budzika na szóstą rano było wręcz heroicznym wyczynem. Może powinien dziś zakończyć projekt. Ale byłoby szkoda. Naprawdę sądził, że mu się uda.

Ariel jęczał z powodu presji, jaką wywierano na niego w pracy. Gabriel słuchał jednym uchem, tak naprawdę nie przykładając do jego słów większej wagi. Zastanawiał się, czy ma w swojej szafce jakiś nurofen. Bolała go głowa — naprawdę powinien ograniczyć spożycie wina Morrighan. Zaczynał nieco za bardzo przyzwyczajać się do wieczornej szklaneczki.

— Słucham? — skupił się na Arielu. — Co mówiłeś?

— Powiedziałem, że firma, w której pracuję, instaluje teraz łącza w kafejce, żeby pracownicy mieli dostęp do sieci przedsiębiorstwa podczas lunchu. Co to za diabelski pomysł? Naciskają na nas, żebyśmy pracowali podczas jedzenia. Już nawet nie można zjeść w spokoju kanapki.

Bingo. Gabriel wbił w niego oczy.

— Łacza — powtórzył wolno.

— No. Nie sądzisz, że to wywieranie presji na pracowników, by kontynuowali pracę podczas przerwy? To skandal.

— Tak. Skandal. — Gabriel kiwnął głową. Jego mózg pracował na najwyższych obrotach. Zawsze wiedział, że aby złamać szyfry Leveleksa, będzie musiał włamać się do ich budynku. Ale Levelex zatrudnił ochroniarzy, którzy wyglądali jak komandosi, a ich budynek był właściwie nie do zdobycia. Z wyjątkiem kafejki. Kafejka znajdowała się w sektorze o słabszej ochronie. Miało to sens: nie było tam nic specjalnie cennego. Poza tymi łączami. Jedyne, co musiałby zrobić Gabriel, to dostać się do niestrzeżonej stołówki. Kiedy już się tam znajdzie, będzie mógł podłączyć kabel Ethernet ze swojego laptopa do gniazdka w ścianie. A wtedy... nic, tylko brać, ile wlezie.

Spojrzał na Ariela i zastanowił się, jaka byłaby jego reakcja, gdyby mu powiedział, że wyjawiając ten jeden drobny szczegół o swojej pracy — którego pewnie nawet nie uważał za poufny — umożliwił hakerom kradzież danych swojej firmy. Brawo, Blackstone. Wiedział, że w którymś momencie trafi w dziesiątkę.

Teraz pozostawało tylko ściągnąć Izydora.

*

Izydor był wyjątkowo zirytowany.

— No i gdzie ten raport? Obiecałeś, że skończysz analizę wczoraj wieczorem. Więc gdzie ona jest?

Gabrielowi pękała głowa. Po tym, jak pożegnał się z Arielem, pokłknął dwa nurofeny, ale w starciu wina jagodowego z proszkami, wino bezspornie wygrało.

Gabriel spojrzał na przyjaciela przez zmrużone oczy.

— Skąd ten humorek, słoneczko?

— Mówię poważnie, Gabe. To nie w porządku. Ty bawisz się w Casanovę, a ja odwalam nadgodziny. Wczoraj wyniknąłeś się wcześniej

i obiecałeś mi analizę na dziś rano. A właściwie, to obiecałeś mi ją już dwa tygodnie temu. Więc jak wygląda ten twój plan? Czy ty w ogóle go masz?

Gabriel usiadł ciężko w koszmarnym welurowym fotelu w kolorze dyni. Naprawdę czuł się źle. Kazanie było ostatnią rzeczą, jakiej w tej chwili potrzebował.

Izydor przeniósł kupkę książek z jednego końca biurka na drugi. Poruszał się gwałtownie i walił książkami o blat z hukiem, który rozchodził się echem po głowie Gabriela.

— Zdecydowałem, że powinniśmy zamknąć sprawę Leveleksa — głos Izydora brzmiał stanowczo. — Poświęcam mu zbyt wiele czasu, a włamanie się do nich jest po prostu niemożliwe. Wiem, że pieniądze są niezłe, ale musimy oddać im zaliczkę.

Chwilunia. Gabriel wyprostował się.

— Nie rób tego, Iz. Pracuję nad tym.

— Jeśli ja nie mogę się do nich włamać, to i ty tego nie zrobisz — powiedział Izydor rzeczowo.

Gabriel westchnął. Oczywiście była to prawda. To Izydor był tutaj mistrzem.

— Nie mówię o hakowaniu. Znalazłem inny sposób.

— Tak? A jaki?

Gabriel zawahał się.

— O kurwa. Nie! — Izydor podniósł głos. — Nie mów mi, że urabiasz kogoś z firmy.

— Uspokój się, Izydorze. Facet nie straci pracy. Nawet nie zdaje sobie z tego sprawy.

— Nie w tym rzecz. Do cholery, Gabe. Wiesz, co sądzę o manipulacji ludźmi.

— Najpierw zarzucasz mi, że się nie staram, a kiedy proponuję ci rozwiązanie problemu, to się wściekasz.

— Gabrieliu, nie jestem twoją służącą, okej? Ja też mam coś do powiedzenia w tym biznesie. I mówię ci: nie. Manipulacja ludźmi nie wchodzi w grę.

Gabriel zaczerwienił się, słysząc pogardę w głosie Izydora.

— Nie bądź tak cholernie przeczulony. Tak to już jest na tym świecie, rozumiesz? I to nie ty brudzisz sobie ręce. Idź, pobaw się z kolegami w *Dreadshinie*. A mnie zostaw trudną robotę.

Przez chwilę patrzyli na siebie gniewnie. Zanim którykolwiek z nich zdążył się znowu odezwać, zadzwonił dzwonek do drzwi.

Nie pytając nawet, kto tam, Izydor wcisnął palcem guzik. Drzwi na dole otworzyły się i zatrzasnęły.

Gabriel zmarszczył brwi.

— Kto to?

— Frankie — powiedział krótko Izydor. — Poprosiłem ją, żeby przyjechała.

Cholera. Gabriel skrzywił się. W ciągu ostatnich tygodni unikał Frankie, nie odbierał jej telefonów, wysyłał tylko niezobowiązujące e-maile i esemesy. Najwyraźniej dzisiaj czekało go wielkie starcie.

Na schodach rozległy się lekkie kroki i po chwili Frankie weszła do pokoju. Ubrana była w strój do treningu i adidas. Miała rozwiane włosy i śliczne kolorki na policzkach. Wyglądała energicznie i promiennie. To sprawiło, że Gabriel poczuł się jeszcze bardziej niedołącznie.

— Cześć — powiedziała Frankie po przyjacielsku i pochyliła się, żeby dać Izydorowi buziaka. Potem odwróciła się i spojrzała na Gabriela, z miażdżącym wyrazem twarzy.

— No.

Wystarczyło to jedno słowo, aby temperatura emocji w pokoju spadła o kilkanaście stopni.

— Cześć — powiedział słabo Gabriel.

Na kilka potwornie długich chwil zapadła między nimi cisza. Izydor pchnął w kierunku Frankie krzesło.

— Może powinnaś usiąść.

— Dzięki — rzekła, nie odrywając oczu od Gabriela. Znowu cisza.

— Co się dzieje, Gabrielu? — jej głos był zwodniczo miękki.

— Nie rozumiem, co masz na myśli. — Wiedział, że zabrzmiało to, jakby się bronił.

— Zupełnie zapomniałeś o Robbiem.

Gabriel przycisnął ręce do skroni.

— To nieprawda.

— Och, czyżby — powiedział Izydor, zdrajca jeden. — Więc czemu nie dostałeś się jeszcze do „Klucza Prometeusza”? Dałem ci hasło do tego komputera całe tygodnie temu. Do tej pory musiałeś mieć mnóstwo okazji.

Gabriel posłał mu rozgoryczone spojrzenie.

— No dobra. Więc zapomnijmy na chwilę o komputerze. Wiele ostatnio przebywałeś z siostrzyczkami. Do tej pory powinieneś już się dowiedzieć, która jest dalekowidząca. Gdybyś poznał jej tożsamość, to właściwie wyjaśniłoby się, która z nich jest morderczynią.

Gabriel poruszył się na fotelu.

— Ale się nie dowiedziałem, Frankie. Nie chciałem ryzykować skanowania którejkolwiek z nich, żeby nie zdradzić się przed tą widzącą. A ona nie próbowała ponownie skanować mnie.

— Jesteś pewien? Jesteś przekonany, że wiedziałbyś, gdyby próbowała cię dosięgnąć?

— Na litość boską. Przynajmniej w to mogłabyś uwierzyć. Oczywiście, że bym wiedział.

Frankie odezwała się zduszonym głosem.

— Dlaczego mnie unikasz, Gabrielu? Czy to z powodu tamtego telefonu? Tak bardzo cię przestraszyłam?

Izydor poczuł się wręcz namacalnie skrepowany.

— Może powinienem dać wam trochę prywatności.

Frankie poczekała, aż zamknął za sobą drzwi.

— Chodzi o ten telefon? Wiem, że się wtedy rozkleiłam.

— To nie przez telefon.

— A zatem chodzi o siostry.

Tym razem cisza przeciągnęła się potwornie długo, jak gumka, która nie chce pęknąć.

— Oczarowały cię, prawda? Tak jak Robbiego.

Nie odpowiedział.

— Gabrielu... co z tobą? Jedna z nich to morderczyni. A druga prawdopodobnie jej pomagała.

— Tego nie wiesz.

— Wiem, że one są jak trucizna. A ty umierasz powolną śmiercią.

— Frankie, błagam. Za wczesna godzina na melodramaty.

— Powinam była wiedzieć. Powinam wiedzieć, że nie zdołasz utrzymać się od nich z daleka. Nigdy nie byłeś długodystansowcem. Ani w Eyestormie, ani teraz.

Twarz Gabriela spłonęła rumieńcem.

— Nie muszę tego wysłuchiwać. Wstał.

— Gabrielu, nie odchodź. Musimy porozmawiać.

— Ja już skończyłem rozmowę.

Kiedy przechodził obok niej, powiedziała coś cicho.

— Proszę, nie zawieź mnie. Nie tym razem.

*

Wypadł z domu Izydora w paskudnym nastroju. A więc tak się kończy, kiedy próbujesz komuś pomóc, pomyślał. Żaden dobry czyn nie uchodzi na sucho. Powinien się trzymać z dala od Frankie i jej zaginionego pasierba.

Tylko że... wtedy nie poznałby dwóch najbardziej fascynujących kobiet, jakie spotkał w całym swoim życiu.

W jego stronę nadjeżdżała taksówka z zapalonym światłem i Gabriel podniósł rękę.

— Drake Street trzymaście — powiedział do taksówkarza. — Chelsea.

*

Drzwi Monk House otworzyła Morrighan. — Gabriel. Co za miła niespodzianka. Spodziewałam się ciebie dopiero wieczorem.

— Przepraszam. Przeszkadzam?

— Ależ skąd. Wchodź. Minnaloushe nie ma, więc obawiam się, że ja będę musiała ci wystarczyć.

Kiedy wszedł do środka, natychmiast poczuł, jak poprawia mu się nastrój. Dom był cichy i spokojny. Wszędzie unosił się zapach kwiatów. Gabriel poszedł za Morrighan do kuchni i usiadł na krześle.

— Zrobić ci herbaty?

— Nie, dzięki. Nie przeszkadzaj sobie.

— Robię właśnie spis inwentarza — powiedziała Morrighan, odwracając się w stronę sosnowego stołu z wyposażeniem do chemii. — Już dawno trzeba było to zrobić. Zaniedbałam się.

Zaczęła liczyć malutkie brązowe torebeczki i plastikowe pojemniki. Mruknęła do siebie i zapisała coś w książce, która leżała otwarta na stole.

— Wszystko w porządku? — spojrzała na Gabriela.

— Oczywiście.

— Kiedy przyszedłeś, wydawałeś się nieco poruszony.

— Nie, wszystko dobrze.

— Okej — powiedziała Morrighan po przyjacielsku i odwróciła się z powrotem do stołu.

Gabriel patrzył, jak podniosła jakąś flaszkę i spojrzała zmrużonymi oczami na zawartość. Jej ruchy były pewne i wyćwiczone.

— Więc kto tu jest alchemikiem, ty czy Minnaloushe?

— Laboratorium to głównie mój konik. Ale obie interesujemy się alchemią. Ja wolę podejście praktyczne, podczas gdy Minnaloushe interesuje się bardziej aspektem psychicznym — Morrighan zacisnęła usta. — Myślicielka i kobieta czynu. Jak zawsze.

Gabriel odchylił się na krześle. Zaczynał się rozluźniać. Sprzeczką z Izydorem i Frankie nagle wydała mu się bez znaczenia. Liczyło się tylko to, że był tutaj, w Monk House, z uroczą, fascynującą kobietą, która cieszyła się z jego towarzystwa. Czego więcej mógł pragnąć?

Morrighan miała na sobie koronkowy top na cienkich ramiączkach. Czarne włosy opadały jej na ramiona jak chmura. Była piękna. Nagle Gabriel pomyślał, jakby to było odgarnąć włosy z jej twarzy, przycisnąć usta do miękkiej skóry jej szyi...

Mężnie odwrócił wzrok i wbił go w oprawione grafiki na ścianie. Co prawda nie skłaniały one do zwracania myśli ku wznioślejszym sprawom. Przedstawione na nich nagie postaci obejmowały się, stykały czubkami palców, tańczyły z pogańskim zapamiętaniem przed bulgocącymi kotłami. Płomienie, żar, pot.

— Powąchaj. — Morrighan wyciągnęła do niego niewielki pojemniczek.

Gabriel powąchał ostrożnie.

— To perfumy?

— Tak. Ale w stanie stałym. Wciera się je, a nie spryskuje się nimi. Zastanawiamy się, czy nie sprzedawać ich razem z resztą produktów. Podobają ci się?

Gabriel nie był tego całkiem pewien. Zapach był dziki i leśny i z jakiegoś powodu wzbudzał w nim niepokój. Lecz z pewnością się wyróżniał.

— Zrobiłam go zgodnie z zasadami alchemii. Rozdzielanie i ponowne składanie. Widzisz? — Morrighan uniosła brwi. — Alchemia może mieć również całkiem przyziemne zastosowania.

Gabriel wskazał na flaszki z płynami i grafiki.

— Musisz przyznać, że to wszystko wygląda na niezłe hokuspokus.

— Nie wierzysz w magię? — ton jej głosu był taki, jakby spytała „Nie wierzysz, że ziemia jest okrągła?”.

— Raczej nie.

— Nigdy nie przytrafiło ci się nic, czego nie można wytłumaczyć prawami fizyki?

Zjazdy pewnie by się kwalifikowały, pomyślał Gabriel. Ale dalekowidzenie było wolne od zaklęć i czarów, i nigdy nie wyczuł w nim nawet śladu siarki.

Wzruszył ramionami.

— Na pewno są rzeczy, które nie mają jeszcze wytłumaczenia, ale kiedyś je znajdą. Nie sądzę, żeby alchemia się do nich zaliczała. Już dawno ją zdyskredytowano.

Morrighan stanowczo pokręciła głową.

— Alchemia była kiedyś bardzo poważaną dziedziną. A wiele wielkich postaci nauki dedukcyjnej, które otwarcie ośmieszały alchemię, było tak naprawdę ukrytymi alchemikami. Kopernik, Kupler, Bacon. Nawet Newton próbował odkryć tajemnicę kamienia filozoficznego. Niektórzy z alchemików działających w okresie średniowiecza i renesansu odpowiadają za przełomowe odkrycia w dziedzinie metalurgii, chemii i medycyny. Pomyśl tylko o Paracelsusie.

— Że niby o kim?

Morrighan zmarszczyła brwi, widząc jego lekceważący stosunek.

— Wprowadził do medycyny związki chemiczne i opisał cynk. Był jednym z największych lekarzy w historii i potrafił leczyć kończynny ogarnięte gangreną, syfilis i wrzody — uśmiechnęła się szeroko. — Uprawiał nawet wczesną formę homeopatii, lecząc ofiary zarazy małeńkimi dawkami ich własnych odchodów.

— Nowatorskie.

— Wiedziałaś, że to zrobi na tobie wrażenie. — Obróciła się dokoła i wskazała buteleczki i słoje na stole. — Podczas produkcji moich emulsji i napojów korzystam z wielu jego technik — zauważyła minę Gabriela. — Bez ekskrementów, spokojnie.

— No, muszę przyznać, że facet wydaje się dość wszechstronny.

— I do tego odważny. W tamtych czasach praktykowanie alchemii było bardzo niebezpieczne. Alchemicy kończyli jako mokra plama — przerwała, znowu zmarszczyła brwi. — Nie, to zła przenośnia. Kończyli jako bardzo sucha plama. *Corpus kaput*. Zwykle palono ich na stosie. Tak jak Bruna. — Pochyliła się i pogłaskała po łbie kota, który

łasił się do jej nóg. — Nieprawdaż, moje najśłodsze kochanie?

Gabriel przyglądał się temu chłodno. On i kocur zawarli swego rodzaju rozejm. Wciąż zdecydowanie się nie lubili, ale z szacunku dla dam starali się nie ulegać wzajemnej wrogości. Jednak gdy tylko Gabriel wchodził do pokoju, ogon Bruna zaczynał falować, jakby ożywiony jakimś elektrycznym prądem. Minnaloushe i Morrighan uważały to za bardzo zabawne.

Morrighan podniosła wzrok na Gabriela.

— Wiesz, że Bruno dostał imię po Giordano Bruno?

— Tak. Minnaloushe mi mówiła. Powiedziała, że był czarownikiem.

— Większość alchemików nimi była, i nie mam tu na myśli sztuczek z kartami. Ci ludzie byli mistrzami. I byli bardzo, bardzo potężni.

Gabriel wzruszył ramionami.

— No, jeśli potrafili zmieniać ołów w złoto, to jestem za.

— Czemu mnie to nie dziwi? — Morrighan uśmiechnęła się chłodno. — Ale w alchemii tak naprawdę nie o to chodziło. Materialna transmutacja stanowiła tylko jej część. W rzeczywistości alchemia to przemiana ducha w wyższą formę świadomości. Oświecenie. Spoglądanie Bogu w twarz i odkrywanie, dlaczego stworzył wszechświat, i jakie jest twoje w nim miejsce. Nie sądzisz, że to o wiele większa tajemnica niż to, jak zmienić jeden metal w drugi?

— Czy znienawidzisz mnie, jeśli powiem, że mimo wszystko nadal wolałbym złoto?

Morrighan westchnęła.

— Ależ z ciebie barbarzyńca.

— Taki już jest ten świat. Wszystko w nim kręci się wokół pieniędzy i rzeczy, które można zmierzyć, zobaczyć i zważyć.

— O nie — powiedziała Morrighan. — Świat wcale taki nie jest.

Przecież — położyła jedną dłoń na piersi w dziwnie ekstatycznym geście — czy nie zdajesz sobie sprawy, że... że świat to wyobraźnia. Świat to magia.

Gabriel spojrział na jej dłoń. Morrighan dotykała palcami tatuażu Monas na swojej piersi: róża i enigmatyczny symbol wyrysowane tuszem na zapierającej dech w piersiach, kremowej skórze. Niezwykle erotyczny siniec.

Morrighan opuściła dłoń.

— Alchemia jest fascynująca. Gabriel przełknął ślinę.

— Zaczynam myśleć, że może to prawda.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Gabriel miał spędzić cały dzień z Izydorem, przekopując się przez najnowsze dane, które zebrali do projektu Pittypats, ale po słownej utarczce z poprzedniego dnia nie miał ochoty się z nim spotykać. Nie był na razie w stanie stawić czoła jego oburzeniu. I tak, zamiast udać się w kierunku Smithfield, wyruszył z Minnaloushe do księgarni w północnym Londynie.

Minnaloushe przysunęła sobie podnózek i weszła na niego. Wyciągnęła ramię jak najdalej, po czym zaczęła wysuwać dwie książki z półki, która znajdowała się niemal poza jej zasięgiem. Kiedy Gabriel tak na nią patrzył, jej koszulka podjechała do góry, odsłaniając podstawę kręgosłupa i delikatny, misterny wzór Monas.

Niesamowite, jaką radość może sprawić oczom kilka centymetrów nagiej skóry, pomyślał Gabriel. I co za szczęście, że miał przywilej oglądania ich już drugi dzień z rzędu.

Minnaloushe spojrzała przez ramię i przyłapała go na tym, że się gapi.

— Hej, ty — podała mu książkę — przestań się ślinić i weź to. I nie zaglądamy mi pod bluzkę.

Gabriel uśmiechnął się.

— Słoneczko, przecież wszystko to już widziałem. Pamiętasz? I jeszcze o wiele więcej.

Minnaloushe uśmiechnęła się szeroko.

— Faktycznie. No dobrze. Więc przypatrz się dobrze.

Po czym bez żadnej żenady podniosła koszulkę i pochyliła się do przodu, z włosami opadającymi na twarz jak wodospad. Po drugiej stronie pomieszczenia jakiś pracowicie wyglądający młodzieniec wlepił w nią oczy i upuścił książkę. Sprawiał wrażenie, jakby ktoś rąbnął go w głowę, powodując mocne wstrząśnienie mózgu. Kiedy zauważył, że Gabriel na niego spogląda, gwałtownie podniósł książkę i znowu zabrał się do czytania. Może jednak rzeczywiście miał wstrząs mózgu. Książka była do góry nogami.

Gabriel dotknął lekko tatuażu.

— Bardzo ładny.

Minnaloushe wyprostowała się i posłała mu przekorny uśmiech.

— Prawda?

— Zauważyłem, że Morrighan też taki ma.

— Zrobiłyśmy je sobie tego samego dnia.

— Co to oznacza? Make Peace not war? Precz z bombą?

— Och, proszę. Mógłbyś uznać, że mamy trochę więcej oryginalności. To przedstawia jedność kosmosu.

— Bardzo w stylu Ery Wodnika.

Trzepnęła go po ramieniu.

— Zaprojektował to w szesnastym wieku pewien mag. John Dee. Jego osobiste zapiski znajdują się na twojej *Alma Mater*. w Bibliotece Bodlejańskiej w Oksfordzie. A najlepsze jest to, że był moim przodkiem.

— Ekstra.

Minnaloushe przechyliła głowę na bok.

— Nie wyglądasz, jakby wywarło to na tobie dostatecznie duże wrażenie.

— Nie, nie wywarło. Naprawdę. Niezły szpan. — Lecz coś w jej słowach wzbudziło jego niepokój. Gdyby tylko mógł określić, co to takiego.

Minnaloushe czytała teraz fragment jednej z książek, które zdjęła z

półki, a na jej twarzy pojawiła się maska koncentracji. Wyglądała przez to niemal surowo. Gabriel zauważył to już wcześniej. W jej oczach albo w wyrazie ust pojawiała się coś, co — tylko na chwilkę — zaskakiwało go. Sprawiało, że zaczynał się zastanawiać, co też czało się pod tą żartobliwością, tą kobiecością, które tak bardzo z nią utożsamiał. Minnaloushe miała jeszcze drugie oblicze, które było chłodne, czujne i zdeterminowane.

Gabriel odwrócił wzrok i przesunął oczami wzdłuż rzędów książek ułożonych przeraźliwie ciasno na długich półkach. Po przeciwnej stronie pokoju księgarka wypisywała coś na tablicy. Była szczupła i miała delikatnie owalną twarz oraz brązowe włosy z trójkątną grzywką nad czołem. Tak samo jak Frankie. Frankie, która wczoraj patrzyła na niego z rozczarowaniem. A na jej twarzy malował się ból.

Nie. Gabriel z rozmysłem odsunął ten obraz. Nie zamierzał pozwalać sobie na poczucie winy. Nie miał powodu czuć się winny.

Minnaloushe odstawiła pierwszą z książek, które zdjęła z półki, po czym otworzyła drugą. Gabriel stał trochę z tyłu i na ukos od niej, więc mógł zerkać na zawartość tomu, w miarę jak Minnaloushe go kartkowała. Strony wydawały się być pełne akwareli, lecz scenki przedstawione na malowidłach nie były sielankowe. Ciągłe przewijał się w nich ogień. W płomieniach zaś stały kobiety o rozwianych szatach. Ich ciała wiły się w agonii, lecz twarze pozostawały upiornie spokojne. Wszystko to było w jakiś sposób wstrząsające.

— Czarownice — głos Minnaloushe był beznamiętny. Nie podniosła głowy znad książki, ale musiała wyczuć jego reakcję. — Albo raczej kobiety uznane za czarownice.

— Uznane przez kogo?

— Och, przez mężczyzn. Mężczyzn przerażonych myślą, że kobiety mogłyby pragnąć poznać wielkie tajemnice. A także innymi rzeczami. Jak na przykład kobiecą seksualnością. — Zatrzasnęła książkę. — Wiesz, w jaki sposób sprawdzali, czy kobieta jest czarownicą?

Gabriel pokręcił głową.

— Wrzucali ją do rzeki z ciężarami przywiązanymi do stóp. Jeśli tonęła, była niewinna. Jeśli się unosiła, była wiedźmą. Albo wrzucali ją z wysokiego urwiska, żeby sprawdzić, czy potrafi latać. W wielu siedemnastowiecznych zapiskach z angielskich procesów o czary można znaleźć słowa: „niewinna, nie latała”. Co oczywiście znaczy, że te kobiety musiały po prostu zginąć, by udowodnić swoją niewinność.

Znowu weszła na stół i wepchnęła grube tomisko z powrotem na miejsce. Było o wiele większe od pozostałych książek i dziwacznie wystawało.

Kiedy wychodzili przez prowadzące na dwór, szerokie drzwi, Gabriel obejrzał się za siebie. Nawet z tej odległości wciąż widział czarną skórzaną okładkę książki, której grzbiet wystawał niczym oskarżycielski palec. Zadrżał.

Lecz na dworze świeciło słońce i niepokój, który Gabriel poczuł we wnętrzu księgarni, zaczynał się rozwiewać. Była pora lunchu, więc kupili sobie kanapki w Marksie & Spencerze i zabrali je do parku Regent's. Z wnętrza swej pojemnej torby Minnaloushe wyjęła także butelkę i dwa plastikowe kubeczki.

— Przygotowałam się — powiedziała z szerokim uśmiechem.

— To wino Morrighan?

— Oczywiście. Pij do dna. Dobrze ci zrobi.

Jedli wolno i w milczeniu. Naprzeciwko nich jakiś ekshibicjonistyczny typek ściągał koszulę i nacierał się olejkiem. Gabriel musiał przyznać, że facet miał imponującą budowę: same napięte mięśnie i brzuch twardy jak skała. Miał także ten wyraz twarzy, który mówił „jestem-taki-super-że-sam-już-nie-wiem-co”. Minnaloushe gapiała się na niego bezwstydnie.

Rzuciła okiem na Gabriela i pochwyciła jego ironiczny uśmieszek.

— Jest niezły — przyznała.

— Widzę to po twojej minie.

— Ale to wciąż dzieciak. Musi minąć jeszcze jakieś dziesięć lat,

zanim stanie się interesujący. Mężczyźni nie są warci uwagi, dopóki nie przekroczą trzydziestki.

— Więc przynajmniej się kwalifikuję.

— Ale wiesz, to nie dotyczy automatycznie każdego faceta.

— Jasne.

— Z kobietami jest oczywiście inaczej. Kobiety rodzą się interesujące. — Minnaloushe uśmiechnęła się znowu, po czym rzuciła płasko na trawę.

Obserwując ją, Gabriel nalał sobie do kubeczka jeszcze trochę wina. Leżała z rozpostartymi ramionami i zamkniętymi oczami. Włosy miała jak hiszpański mech. Czy to była jego ukochana? — zadał sobie po raz setny pytanie. Czy to ty jesteś dziewczyną, która słyszy, jak zachodzi słońce? Która lubi nurkować aż na dno oceanu, gdzie dno zrobione jest ze szkła, a ryby pływają bez celu?

A może by tak po prostu ją spytać? Minnaloushe, szpiegowałem ciebie i twoją siostrę. Myślę, że jedna z was kogoś zabiła. Ale ta druga prowadzi wyjątkowo fascynujący Dziennik i zakochałem się w niej. Czy to ty nią jesteś?

Gdyby to było takie proste.

Minnaloushe otworzyła oczy.

— O czym myślisz?

Gabriel leniwie wyciągnął dłoń i podniósł pasemko jej jedwabście miękkich włosów.

— Minnaloushe. Takie ładne imię. Pasuje do ciebie. Jest bardzo kobiece.

Minnaloushe uśmiechnęła się łagodnie, z rozbawieniem.

— To bardzo miłe, że tak mówisz. Ale tak właściwie to męskie imię.

— Nie...

— Owszem. Z wiersza Yeatsa o kocie. Czarny Minnaloushe, co błąka się i jęczy, źrenice zmieniają mu się z kręgów w sierpy, krew ma wzburzoną przez czyste, zimne światło księżyca. To był ulubiony wiersz mojego ojca. Po Morrighan rozpaczliwie pragnął chłopca, wybrał już nawet imię. A zamiast tego trafiłam mu się ja. Wielkie

rozczarowanie. Ale i tak nadał mi to imię. Pewnie mogło być gorzej. Mógł sobie wymarzyć Cuchulainna. Roześmiała się i usiadła.

— A Morrighan? To także niezwykle imię.

— Wyobraź sobie, że znowu irlandzkie. Tym razem z mitologii. Nasza mama pochodziła z Galway.

— Więc jesteście w połowie Irlandkami.

— O tak. Wywodzimy się od elfów i skrzatów, i pięknych wiedźm.

— I wielkiego Johna Dee.

— Kolejny czarownik — Minnaloushe wstała i otrzepała się. — Zaczyna się robić późno. Morrighan będzie czekać.

Dopiero kiedy dotarli z powrotem do Monk House, Gabriel zrozumiał, co zaniepokoiło go wcześniej, kiedy rozmawiali o Johnie Dee. Minnaloushe powiedziała, że jego dzienniki można znaleźć w Bibliotece Bodlejańskiej. Na dawnym uniwersytecie Gabriela. Tylko że Gabriel nigdy nie mówił jej, że studiował w Oksfordzie. A zatem siostry rozpytywały się o niego. Co oznaczało, że prawdopodobnie wiedziały też o Eyestormie. Oczywiście i tak zdawały już sobie sprawę, że był dalekowiedzącym, ale Gabriel nie chciał, żeby wiedziały też o Eyestormie. Pewnie powinien się spodziewać, że go sprawdzą, ale mimo wszystko był wytracony z równowagi.

— Gabrielu?

Podniósł wzrok i zobaczył, że Minnaloushe przytrzymuje dla niego drzwi.

— Nie wejdiesz na drinka?

Zawahał się. Po raz pierwszy poczuł opór przed wejściem do środka. Tak jakby jakiś wewnętrzny sejsmograf ostrzegał go przed groźącym mu niebezpieczeństwem. Jeśli chciał go uniknąć, powinien uciec już teraz.

Chwila minęła. We wnętrzu domu zapaliło się światło, a na tle karonkowej zasłony pojawił się ruchomy cień. Morrighan zajęta taką czy inną pracą.

Nagle Gabriel poczuł zmęczenie i zaczął myśleć tylko o tym, jak przyjemnie byłoby nalać sobie drinka i wyciągnąć się na sofie w chłodnym salonie o wysokim suficie pełnym zapachu róż.

— Tak — powiedział. — Już idę.

*

Tej nocy miał sen. Był to stary, znajomy sen o portalu, ale tym razem coś się zmieniło. Przez chwilę Gabriel wciąż był we wnętrzu wielkiej, okrągłej przestrzeni o ścianach pokrytych symbolami, zbliżając się do drzwi, które przyciągały go jak magnes. Jak zawsze pocił się i drżał w oczekiwaniu na chwilę, kiedy drzwi otworzą się do końca.

I nagle nie był już sam. Plecami do niego stała kobieta. Włosy miała zaczesane pod kapelusz o szerokim rondzie. Odwróciła się i Gabriel zobaczył, że była to Minnaloushe. W jednej dłoni miała dużą, czarną, skórzaną książkę. W drugiej trzymała kieliszek wypełniony płynem, który iskrzył jak magiczny napój w komiksie.

— Proszę — powiedziała, wyciągając go do niego. — Pij do dna. Dobrze ci zrobi.

Lecz kiedy Gabriel wyciągnął rękę, by wziąć od niej wino, Minnaloushe nagle zajęła się ogniem, a płomień spowił ją jak świetlisty kokon.

W następnej chwili Gabriel znalazł się na szczycie wieży i razem z Morrighan szykował się do skoku. Stała przyciśnięta do niego i czuł jędrność jej piersi, jej biodra poruszały się przy jego nogach. Kiedy zstępowali w pustkę, objęła ramionami jego szyję i coś powiedziała. Gabriel wytrzymał słuch, by rozróżnić słowa: Tak cudowne, jak latanie, powiedziała Morrighan, a wiatr porwał jej głos. Tak cudowne, jak latanie.

Jednak kiedy spadali dalej, a niebo i ziemia stopiły się obłądną plamę, Gabriel zdał sobie sprawę, że się przesłyszał. Tak cudowne, jak umieranie, mówiła Morrighan, raz za razem. Tak cudowne, jak umieranie.

CIENIE



Poszukiwanie oświecenia tak naprawdę jest jak uzależnienie: narkotyk, który więzi nas w cieniu.

Akron, Tarot R. H. Giger

Pragnąłem wiedzieć, w jaki sposób ludzki umysł reagował na widok własnego zniszczenia.

C. G. Jung, Wspomnienia, Sny, Myśli

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Drugi znak, że siostry go sprawdziły, pojawił się zaledwie kilka dni później.

Gabriel przyjechał z wyprzedzeniem do dentysty tylko po to, by sekretarka o skwaszonej minie powiedziała mu, że samochód pana Guileya się zepsuł, w związku z czym doktor przyjedzie godzinę później. Gabriel nie miał ochoty na kartkowanie kobiecych czasopism. Lepszym rozwiązaniem wydawał się spacer. Lecz kiedy wyszedł na ulicę, zobaczył, że zbierało się na deszcz. Kilka pierwszych kropli spadło już na chodnik.

Gabriel zawahał się, myśląc, czy nie lepiej byłoby wrócić do środka. Stał na rogu ruchliwej ulicy, ale po jego prawej stronie z dala od zgiełku ciągnęła się jakaś cicha alejka. Mieściły się przy niej trzy małe sklepiki: kwaciarnia, której witryna zastawiona była kłującymi kaktusami, smutno wyglądająca kawiarnia z metalowymi stolikami, oraz sklepik z zakurzoną szyldem wyglądającym zza jeszcze bardziej zakurzonego okna. *Pogański Krąg*. Pod spodem znajdowały się słowa: *Przyrzędy wróżbiarskie, sztuka druidyczna oraz inne przedmioty niezbędne w życiu pełnym magii*.

Znowu magia. Gabriel niespecjalnie wierzył w synchronie, ale to zaczynało się robić niedorzeczne.

Kiedy popchnął drzwi, gdzieś w górze zabrzęczał cicho dzwoneczek. Na ten dźwięk mężczyzna za ladą podniósł głowę. Miał chudą twarz o dzikim spojrzeniu i przypominał Gabrielowi wychudzonego wilka. Grzbiety jego dłoni, tak jak i palce, pokryte były tatuażami — niebieskimi pajakami tkającymi atramentowe sieci. Mężczyzna spoglądał przez chwilę na Gabriela wzrokiem pozbawionym wyrazu, po czym wrócił do książki.

Sklepiak był mały, lecz jego półki były zapchane do granic możliwości. Ze ścian oblażyła farba, a przy listwach podłogowych widać było plamy wilgoci. W całym tym ścisku Gabriel zauważył także trzy pułapki na myszy, z zakurzonymi kawałkami sera tkwiącymi w ich stalowych szczękach. Skrzywił się. Gdyby musiał się przyznać do jakiejś fobii, to byłyby nią myszy. Szczury zaś należały już do królestwa totalnej hysterii. Gabriel nie miał pojęcia, skąd wziął się jego strach przed tymi gryzoniami, ale stanowiły dla niego szczyt koszmaru.

W powietrzu czuć było lekki zapaszek. Słodkawy, mdły. Gabriel rozpoznał go i zmarszczył nos. Dobrze pamiętał tę woń z czasów młodości, lecz teraz nie spotykał jej aż tak często. Marihuana. Ktoś w tym sklepie popalał trawkę. Cóż, pomyślał ironicznie Gabriel, mistycyzm i haj zawsze szły w parze.

Znowu rzucił okiem na właściciela. Mężczyzna nadal pogrążony był w lekturze. Łokcie położył na ladzie, a głowę podparł rękami.

Na przeciwległej ścianie znajdowały się dwie grafiki. Jedna była czarno-biała i ukazywała śmierć — wyszczerzonego kościotrupa — z klepsydrą w ręce. Druga była bardzo kolorowa i przedstawiała kobietę o rozwianych włosach i w furkocącej pelerynie, spoglądającą na trzymane w dłoniach słońce. Obrazek wydawał się znajomy: Gabriel gdzieś już widział tę scenę. Nagle sobie przypomniał. Ten sam obraz służył jako wygaszacz ekranu w komputerach Monk House.

Podszedł do grafiki, wymijając zwisające z sufitu indiańskie łapacze snów. Nie miał żadnych wątpliwości: był to ten sam obraz. Rozwiane

włosy, peleryna, długie białe palce obejmujące złociste słońce. Gabriel odwrócił się i spojrział przez ramię.

— Przepraszam...

Właściciel sklepu podniósł głowę i Gabrielowi ponownie przyszyły na myśl wilki. W jego oczach było coś takiego...

— Mógłby mi pan pomóc? — Gabriel wskazał grafikę.

Mężczyzna wolno zamknął książkę.

— Ten obrazek... co on przedstawia?

Właściciel wyszedł zza lady i podszedł do Gabriela. Dookoła jednego z jego ramion, chudych, lecz umięśnionych, wiła się bransoletka w kształcie węża. Głos mężczyzny był cichy i kulturalny.

— Jak widać po kolorze płaszcza, ta kobieta jest wiedźmą.

Gabriel znowu popatrzył na obrazek. Płaszcz był zielony.

— Słońce w jej dłoniach wskazuje, że jest to wiedźma słoneczna.

— Słoneczna?

— Wiedźmy słoneczne uprawiają wysoką magię.

Gabriel zaczynał odczuwać irytację.

— W przeciwieństwie do magii niskiej?

Mężczyzna nie zareagował na wyraźny sarkazm w jego głosie.

— Magię można podzielić na zwyczajną i wysoką. Magia zwyczajna to bardziej barwna strona czarodziejstwa, ta, która od zawsze przyciąga gapiów na ulicy. Elixiry, inkantacje, zaklęcia — w jego głosie znać było znudzenie. — Kobiety na miotłach i w spiczastych kapeluszach. Książki o Harrym Potterze. Programy telewizyjne. Wiele z tego opiera się na przesądach i mitach. Magia dla mas.

Zakreślił ręką szeroki łuk, obejmując gestem przeszklone gabloty wypełnione różdżkami do odnajdywania wody, sztyletami i biżuterią.

— Większość z tego, co tu widać, przeznaczona jest dla ludzi parających się magią zwyczajną. Muszę z czegoś żyć, prawda? — Uniósł

brwi, jakby zaskoczony, że się do tego przyznaje. — Ale magia wysoka... magia wysoka zakorzeniona jest w hermetyzmie, kabale i w orientalnym mistycyzmie. Magia wysoka to coś zupełnie innego.

Gabriel czekał. Niebo za oknem mocno pociemniało, a o szyby zaczęły uderzać krople deszczu.

— Jeśli chce pan praktykować magię wysoką, to ma pan przed sobą trudną drogę. Będzie pan musiał poddać się procesowi oczyszczenia. Na koniec pańska świadomość zostanie nieodwracalnie zmieniona. To podróż pełna rygorów, w którą niewielu się udaje. Na pana miejscu nawet nie myślałbym, żeby tego próbować.

Gabriel nie miał bladego pojęcia, czemu mężczyzna podejrzewał go o takie wariackie zamiary. A poza tym, spojrzął z powrotem na obrazek, zielony nie był jego kolorem.

— Musiałbym nosić taki płaszcz?

Właściciel sklepu nie zareagował na kiepski żart. Popatrzył na Gabriela wzrokiem pozbawionym wyrazu.

— W czasach średniowiecza i renesansu wysoka magia uprawiana była przez tajne stowarzyszenia oraz loże. Oczywiście Kościół próbował to stłumić. Uważano to za wielką herezję — mężczyzna wzruszył dziwnie jednym ramieniem. — Wysoką magię uprawiali czarownicy i czarownice, którzy pragnęli poznać sekrety wszechświata. Byli gotowi bez mrugnięcia okiem spojrzeć Bogu w twarz. To wymaga odwagi, prawda? Kościół lubił, żeby masy były posłuszne i przerażone. Alchemicy źle na tym wychodzili. Jeśli ich przyłapano, umierali do prawdy straszliwą śmiercią z rąk inkwizytorów. — Dotknął ust palcem wskazującym, jakby wyjawiał jakiś sekret. — Pan jakąś zna, prawda?

— Kogo?

— Czarownicę.

— Nie wiem, o czym pan mówi.

Właściciel sklepu uśmiechnął się nagle, wargi odsłoniły zęby i ukazały bardzo różowe dziąsła.

— A ja myślę, że pan wie. Wiedziałem, że został pan dotknięty, kiedy tylko pan tu wszedł. Wyczuwam jej odciski na tkance pańskiego umysłu.

Gabriel poczuł u nasady kręgosłupa chłód, chociaż wmawiał sobie, że facet po prostu się z niego nabija. Spróbował być nonszalancki.

— Czy ona przynajmniej uprawia dobrą magię?

— Nie ma czegoś takiego, jak dobra czy zła magia. Magia jest amoralna. To zamiary czarownicy mogą być dobre lub złe.

— No więc, czy ma dobre zamiary?

— Nie wiem — właściciel sklepu znowu wzruszył ramionami. — Wyczuwam... ambiwalencję. Więc niech pan uważa.

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, żeby jej pan nie złościł. Niech pan nie pozwoli, by poczuła się zagrożona.

— Bo co?

— Magia ma trzy funkcje. — Mężczyzna wyliczył je na pokrytych pajęczynami palcach. — Tworzyć, chronić oraz niszczyć. Nawet dobra czarownica może się czasem posłużyć magią niszczycielską w samoobronie. Więc jeśli ta kobieta poczuje, że musi się przed panem bronić... no, niech się pan pilnuje.

Małeńki sklepik o zapleśniałych ścianach zaczynał przytłaczać Gabriela. Przez ułamek sekundy wydawało mu się też, że widział, jak coś małego i ciemnego pomyka po jednej z półek. Mysz?

— Muszę iść.

— Niech pan poczeka. — Właściciel sklepu podszedł do jednej z przeszklonych gablotek i otworzył zamek wieka. Sięgnął do środka i wyjął srebrzysty krążek przyczepiony do filcowej podkładki. — Proszę, niech pan to weźmie. To amulet.

Gabriel wziął od niego przedmiot. Był mały, ale zaskakująco ciężki.

— Żelazo — powiedział mężczyzna, jakby Gabriel zapytał go na głos. — Dobry metal do ochrony przed czarami.

— Zdawało mi się, że mówił pan, że takie rzeczy należą do magii zwyczajnej.

— Magia zwyczajna też się czasem przydaje. Gabriel wsunął amulet do kieszeni.

— Dzięki. Ale proszę pozwolić mi za to zapłacić.

— Nie. To będzie mój dobry uczynek na ten miesiąc — mężczyzna uśmiechnął się znowu, różowe dziąsła jeszcze bardziej podkreślały jego podobieństwo do wilka. — I powodzenia w pańskiej podróży. Sam nie uprawia pan magii, ale żyje pan w jej orbicie. Ona pana wciągnie. Już niedługo.

Gabriel spojrział na niego zaniepokojony. Nagle zaczęło mu się wydawać, że rozlatujący się sklepik jest pełen maleńkich ruchliwych cieni. Poczul strach.

Mężczyzna znowu usadowił się za ladą i sięgnął po swoją książkę.

— Ta podróż będzie próbą dla pana zdrowego rozsądku — stwierdził rzeczowo, jakby w jego słowach nie było nic nadzwyczajnego. — A kiedy raz już obierze pan tę drogę, nie będzie odwrotu. Zacznie pan łąkać tej adrenaliny. Wie pan, od szaleństwa można się uzależnić. Można się w nim rozsmakować — popatrzył na trzymaną w rękach książkę, zmarszczył brwi i przewrócił stronę.

Gabriel odczekał chwilę, ale było jasne, że mężczyzna stracił nim zainteresowanie.

— Proszę mocno zamknąć za sobą drzwi—powiedział tylko, nie podnosząc wzroku. — Mają skłonność do otwierania się.

*

Później tego dnia, kiedy deszcz przestał padać, Gabriel wyszedł pobiegać. Gdy ruszył wzdłuż Embankment, dzień rozpląwał się już w niebieski zmierzch.

Biegł szybko. Pot spływał mu z czoła i Gabriel ze złością otarł twarz ramieniem.

Wiedział, co było przyczyną jego gniewu. Był przestraszony. Pozwolił sobie uwierzyć w celowo niejasne ostrzeżenia jakiegoś wariata

na hajju, który pewnie lubił napędzać stracha naiwnym klientom.

Gabriel nie wierzył w wiedźmy. Nie wierzył w czary.

A jednak, a jednak...

Wiedźmy słoneczne to wiedźmy, które szukały samopoznania i oświecenia. Gabriel nie był w stanie zrozumieć, w jaki sposób takie poszukiwanie mogło być uznane za złowieszcze czy niebezpieczne. Ale w jakiś sposób doprowadziło ono do śmierci Roberta Whittingtona. Dlaczego?

I jak? Nie miał prawie żadnych wątpliwości, że Robbie sam próbował zostać słonecznym magiem. I że częścią jego podróży było przejście przez dom o milionie drzwi. Może to właśnie była ta „gra”, o której wciąż wspominała autorka Dziennika? Ale czym właściwie był dom o milionie drzwi?

Od szaleństwa można się uzależnić... Można się w nim rozsmakować.

Kobieta, która pisała Dziennik, nie była szalona. Jednak — i po raz pierwszy Gabriel zmierzył się z tą prawdą — niektóre fragmenty zapisków brzmiały tak, jakby stojący za słowami umysł był nastrojony zbyt subtelnie. Jakby autorkę rozpalala wizja o tak gorączkowym pięknie, że żar mógł spalić ją od środka.

Czy coś w niej pękło? Czy jej rozpaczliwe poszukiwanie oświecenia w jakiś sposób pchnęło ją w cień?

Ta myśl była tak nieprzyjemna, że Gabriel odruchowo zwolnił i zaczął iść. Przed nim znajdowała się drewniana ławka. Pokrywało ją graffiti i dekoracja z ptasich odchodów, ale mimo wszystko opadł na nią ciężko.

Możliwe, że zakochał się w morderczyni.

Przez długi czas po prostu siedział, gapiąc się na Tamizę. Unoszący się w noc zapach glonów był tu silny i cuchnący. Gabriel kochał tę rzekę, ale gazety codziennie trąbiły o tragediach. Ciało skoczka ze strzaskanymi kośćmi. Odcięta głowa kołysząca się na wodzie niczym mięsista kula do kręgli. Strzykawki. Fiolki po kokainie.

Czy pokochał zabój czynię?

I jeszcze bardziej wstrząsająca myśl: czy na pewno chciał poznać prawdę?

Oczami umysłu ujrzał siebie, jak stoi w wysokim salonie Monk House, ze szklanką granity w spoconej dłoń. Tamtego dnia mógł dostać się do komputera z plikiem „Klucz Prometeusza” i tego nie zrobił. Nie starczyło mu odwagi. Jeśli kobieta z zapisków była tą samą, która wpychała głowę Robbiego pod wodę, póki chłopiec się nie utopił, to Gabriel nie chciał o tym wiedzieć.

Zrobiło mu się zimno. W powietrzu czuło się chłód, który ostrzegał, że lato zbliżało się do końca. Czas wracać do domu.

W holu swojego apartamentowca przystanął, żeby zajrzeć do skrzynki pocztowej. Wyjął dwa rachunki — za gaz i elektryczność — oraz katalog wysyłkowy. Wrzucił go do otwartego kosza na śmieci, przeznaczonego na ulotki, które otrzymywali mieszkańcy. Były w nim skrawki kilku biletów autobusowych i menu z restauracji z jedzeniem na wynos. Babbaloo. Gabriel rozpoznał dużą czcionkę i charakterystyczne logo. Lokal znajdował się tylko trzy przecznice od Monk House. Widok tego menu tutaj nieco go zdziwił. To zupełnie inna dzielnica, a z tego co wiedział, Babbaloo dostarczało jedzenie tylko w swoim rejonie.

Hol wejściowy był jasno oświetlony. Światła na schodach również powinny się palić, ale z jakiegoś powodu panowała ciemność. Gabriel zawahał się przez chwilę, po czym skierował w stronę windy.

Tuż przed tym, jak nacisnął guzik, by ściągnąć windę na dół, spojrzął na znajdujący się nad wejściem do niej rząd kółeczek z cyframi. Świeciło się ostatnie. Ten widok sprawił, że Gabriel zastygł.

W budynku było tylko osiem mieszkań, rozmieszczonych na czterech piętrach. Na najwyższym piętrze znajdowało się tylko jedno. Jego.

Winda stała otworem na najwyższym piętrze.

Gabriel zmarszczył brwi i wbił wzrok w świecące kółeczko otaczające literę P. P jak penthouse. Ktoś pojechał windą do jego mieszkania i wciąż musiał tam być.

Gabriel odwrócił się i ruszył w stronę nieoświetlonych schodów. Przeskakując po dwa stopnie i opierając się na poręczy, zastanawiał się, czemu odczuwał taki niepokój. To mógł być każdy. Portier. Posłaniec. Nawet sąsiad — chociaż mieszkańcy budynku zwykle trzymali się osobno. Cóż, za chwilę się dowie.

Kiedy jednak doszedł do trzeciego piętra, usłyszał charakterystyczny szum ruszającej windy. Zjeżdżała w dół.

Gabriel zawrócił i ruszył pędem w dół schodów. Ale kiedy zbliżał się do pierwszego piętra, szum ucichł i został zastąpiony szorstkim dźwiękiem oznaczającym, że winda jechała już na parter. Nie zdąży. Zatrzymał się zdyszany i wychylił przez balustradę, patrząc w dół i wyrażając wzrok, by dostrzec pasażera.

Usłyszał, jak otwierają się drzwi. Na podłogę padł strumień światła. Najlżejsza sugestia czarnego wełnianego płaszcza. Lekkie kroki. A po chwili stłumiony szum obrotowych szklanych drzwi w holu wejściowym. Cisza.

No, więc to by było na tyle. Gabriel wyprostował plecy, czując rozczarowanie i niemal gniew.

Drzwi wejściowe do jego mieszkania były zamknięte na zamek. Lecz jeszcze kiedy przekreślał klucz, wiedział, że ktoś był w środku.

Co prawda nie widać było żadnych oczywistych śladów. Papiery na jego biurku wciąż leżały w schludnym stosiku. O ile Gabriel był w stanie się zorientować, nic nie zginęło. Najbardziej obchodziły go dane w komputerze, ale na szczęście przez cały dzień nosił notebooka ze sobą i zanim poszedł biegać, nie zdążył go znowu podłączyć. Komputer wciąż znajdował się w pokrowcu wewnątrz sejfów, a zamek był zamknięty. Płyty CD były bezpiecznie schowane w pięknej, osiemnastowiecznej szafce z drewna owocowego z bardzo skomplikowanym zamkiem z dwudziestego pierwszego wieku.

Ale mimo wszystko pozostały pewne ślady. Kuchenny schowek na miotłę można było zamknąć tylko wtedy, kiedy mocno pchnęło się drzwi, a Gabriel nigdy tego nie robił, bo potem potwornie trudno było je znowu otworzyć. Kiedyś przy próbie dostania się do środka zniszczył dwa bardzo dobre noże kuchenne i od tego czasu nigdy już nie domykał schowka. Zamierzał naprawić zamek, ale jakoś jeszcze się za to nie zabrał.

Drzwi były nieruchome. Gabriel pociągnął klamkę, ale się nie otworzyły. Ktoś przechodził obok tej szafki i odruchowo ją domknął, nie zdając sobie sprawy, że będzie to jasny sygnał, iż w domu przebywał intruz.

Drugi ślad znajdował się w sypialni. Zanim wyszedł biegać, zmienił ubranie na szorty i koszulkę, marynarkę zaś i spodnie rzucił po prostu na łóżko bez składania. Ubrania wciąż leżały tam, gdzie je zostawił. Koszulę z długim rękawem Gabriel wrzucił do kosza na brudną bieliznę, i nadal się w nim znajdowała. Wszystko było tak, jak powinno. Lecz na wierzchu koszuli leżały dwie skarpetki i to się nie zgadzało. Kiedy je zdjął jak zwykle próbował trafić nimi do kosza. Średnia trafionych rzutów wynosiła dziewięćdziesiąt osiem procent, ale dzisiaj słabo wycelował i jedna ze skarpetek wylądowała na podłodze. Pamiętał, że go to zirytowało. Kiedy wychodził z domu, jedna skarpetka znajdowała się wewnątrz kosza, druga na zewnątrz. A teraz już nie.

Kroki w holu wejściowym należały niewątpliwie do kobiety. I tylko kobieta sprzątnęłaby rzuconą skarpetę. No i było jeszcze to menu z Babbaloo w koszu na dole. Poskładawszy wszystko razem, Gabriel zyskał całkiem jasne wskazówki co do tego, w którym kierunku powinien szukać.

Nigdy nie zapraszał siostr do siebie: tak jakby czuł, że tę część swojego życia musi przed nimi chronić. A jednak dziś wieczorem jedna z nich złożyła mu wizytę.

Obie siostry interesowały się transformacją i alchemią. Lecz tylko jedna przeszła na stronę mroku. Jego wytatuowany przyjaciel zapewniał

dziś rano Gabriela, że magia była amoralna. Klucz stanowiły intencje praktykującego. Więc kto wszedł dziś wieczorem do jego mieszkania? Dobra wiedźma, czy wiedźma o złych zamiarach? Gabriel uśmiechnął się, czując ponure rozbawienie na myśl, że był już w stanie używać słowa „wiedźma” bez żadnej ironii.

Nagle przyszła mu do głowy jakaś myśl i zrobiło mu się zimno. Zdjęcie Roberta Whittingtona i obu kobiet na Hampstead Heath. To, które ukradł podczas pierwszej wizyty w ich domu. Gdzie ono było?

Podszedł szybko do regału i wyciągnął ciężki słownik języka angielskiego wydawnictwa Oksford. Położył kciuk na zakładce oznaczonej literą „R” i otworzył stronę.

Zdjęcie wciąż tam było, razem z fotografią chłopca, którą dała mu Frankie. Gabriel westchnął głęboko z ulgą. Jego tajemnica była bezpieczna.

Co pozostawiało zasadnicze pytanie bez odpowiedzi. Kto wszedł dziś do jego mieszkania: jego ukochana, czy też jego przeciwniczka?

I co, jeśli były jedną i tą samą osobą?

*

Gabriel wciąż stał z ciężkim słownikiem w ręce, kiedy rozdzwonił się telefon.

Natychmiast rozpoznał głos. Postarał się, by w jego własnym głosie brzmiał spokój.

— Co mogę dla pana zrobić, panie Whittington?

— Chciałbym, żebyś spotkał się ze mną w moim domu, Gabrielu. Dzisiaj, jeśli to możliwe.

O nie. Ostatnią rzeczą, na którą miał ochotę, była rozmowa z umierającym człowiekiem o jego martwym synu. Kiedy nie odpowiedział, Whittington odezwał się znowu.

— Proszę. Tylko ty i ja. Cecily będzie na kolacji na cele dobroczynne.

No, przynajmniej nie będzie musiał widzieć się z Frankie.

Nie widział jej od tej sprzeczki trzy dni temu. On i Izydor znowu ze sobą rozmawiali, chociaż stosunki między nimi wciąż były napięte. Ale Frankie... rozczarowanie w jej oczach było już wystarczająco nieprzyjemne. Lecz jeszcze gorsza była rezygnacja, którą wyczytał z jej twarzy— jakby miała nadzieję, że jej nie zawiedzie, ale właściwie nie była zdziwiona, że tak się stało.

— Proszę — powtórzył Whittington. — Koło ósmej. Będę na ciebie czekać.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kamerdyner, który otworzył przed nim drzwi rezydencji państwa Whittingtonów, miał na twarzy wyraz męczeńskiej cierpliwości i zarazem wyglądał jakby miał lekkie mdłości.

— Pan Whittington oczekuje pana — powiedział, i udało mu się nadać głosowi wyraz zbolalego zaskoczenia. — Pan pozwoli tędy.

Gabriel podążył za nim w milczeniu, chociaż miał ochotę wymierzyć kopniaka w jego nadęty tyłek. I kto w ogóle zatrudniał jeszcze kamerdynerów? Czy nie poszli już śladem ptaków dodo?

Przeszli pod kopułą imponującego holu wejściowego, który pachniał pastą do czyszczenia mebli, po czym weszli do pokoju, służącego najwyraźniej za gabinet. Panowała w nim męska atmosfera: same skórzane, klubowe fotele, grafiki ze scenkami z polowań i książki oprawione w wytłaczaną cielejącą skórę.

Przy oknie wykuszowym znajdowało się gigantyczne biurko. W jego prawym rogu stało zdjęcie w pozłacanej ramce. Fotografia zwrócona była tyłem do pokoju, więc Gabriel nie mógł zobaczyć, kogo lub co przedstawiała. Nad kominkiem wisiał olejny portret Frankie naturalnej wielkości. Była to wyśmienita podobizna: artysta zdołał uchwycić samą istotę modelki. Namalowane oczy były jak żywe i świetnie

oddawały opanowanie, współczucie i humor Frankie.

Gabriel odwrócił się do kamerdynera, który obserwował go spod oka. Przez chwilę spodziewał się, że mężczyzna zabroni mu czegokolwiek dotykać, lecz tamten powiedział tylko:

— Proszę tu zaczekać. Pan Whittington wkrótce do pana dołączy.

Gabriel usiadł na jednym z klubowych foteli i skrzyżował nogi w kostkach, próbując się rozluźnić.

Na odgłos od strony drzwi podniósł głowę. Do pokoju wszedł William Whittington. Po raz kolejny Gabriel odczuł siłę jego osobowości. Nie była to oczywista arogancja typowego, zamożnego samca alfa — chodziło o coś znacznie bardziej subtelnego. Nie było jednak wątpliwości, że miał przed sobą dużego, dużego drapieżnego kota, mimo że poruszał się delikatnie.

— Gabrielu. Dziękuję, że przyszedłeś. — Whittington wyciągnął dłoń. Ściskając ją, Gabriel zauważył pod skórą nabrzmiałe żyły. I czy tylko mu się zdawało, czy też uścisk był słabszy, niż kiedy spotkali się po raz pierwszy? — Napijesz się czegoś? — Whittington podszedł do przeszklonego regału i położył rękę na drzwiczkach. Odsunęły się i odsłoniły barek z lustrem, kieliszkami i kilkoma rządami butelek.

— Whisky, dziękuję.

— Burbon czy szkocka?

— Może być szkocka.

Whittington wręczył Gabrielowi szklanekę i usiadł na obrotowym krześle za biurkiem. Przez jego twarz przemknął grymas bólu i Gabriel poczuł ukłucie litości. Wiedział jednak, że Whittington nie należał do ludzi, którzy byliby wdzięczni za współczucie.

Whittington podniósł szklanekę.

— Na zdrowie.

— Na zdrowie — Gabriel upił łyk najdelikatniejszej whisky, jakiej kiedykolwiek próbował. Rzucił okiem na butelkę. Marka była mu nieznana — jakaś niewymawialna szkocka nazwa. Pewnie co najmniej dziesięć funtów za kolejkę.

— Po pierwsze — Whittington spojrział spokojnie na Gabriela — chciałbym ci podziękować.

Gabriel poruszył niezręcznie ramionami.

— Jak dotąd nie odniosłem większych sukcesów.

— Przywiodłeś nas bliżej prawdy, niż ktokolwiek inny. To więcej, niż zdołała osiągnąć policja i prywatni detektywi, których wynająłem. Teraz przynajmniej wiemy, gdzie kryje się zło. W Monk House.

Gabriel poczuł ukłucie irytacji. Zło? Kiedy myślał o Monk House, widział kwiaty, śmiech, piękną muzykę oraz... przyjaźń. Whittington przyglądał mu się uważnie.

— To fascynujące kobiety.

Gabriel mruknął coś neutralnego.

— Ktoś powiedział kiedyś: „Wszystko, co zwodzi, może być nazwane czarującym”.

— To Platon. — Gabriel także potrafił być erudytą. Whittington uśmiechnął się lekko.

— W rzeczy samej.

— Panie Whittington...

— William, proszę.

— Williamie. Żałuję, ale naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć ci nic więcej. — Nagle Gabriel zdał sobie sprawę, że boli go głowa. Ból pojawił się znikąd, lecz teraz pulsował tuż za oczami.

— Powiedz mi tylko czy mój syn żyje?

Gabriel wziął głęboki oddech.

— Przykro mi. Ale nie sądzę.

— Nie sądzisz, czy wiesz, że tak nie jest?

— Wiem.

W pokoju zrobiło się bardzo cicho. Whittington siedział na swoim fotelu w niezwykłym bezruchu. Gabriel odwrócił wzrok, by nie być świadkiem bólu w oczach mężczyzny. Jego spojrzenie wybiegło ponad ramieniem Whittingtona i poza rzeźbione okno wykuszowe, aż spoczęło na oświetlonym reflektorkiem posągu nagiej kobiety. Stała w niszy muru ogrodowego, a dookoła jej bioder spływały z fałszywą

skromnością loki, ledwo zakrywające wzgórek Wenus. Miała pełne piersi i pięknie zaokrąglone ramiona. Lecz jej ciało było omszałe i skorodowane, a zamiast oczu miała zaledwie płytkie wgłębienia w pustej twarzy.

Kiedy Whittington znowu się odezwał, w jego głosie zdawało się brzmieć wyczerpanie.

— Frankie mówiła, że Robert mógł zostać utopiony.

— Tak. Podczas zjazdu odebrałem wrażenie śmierci przez utonięcie.

— Mój syn był doskonałym pływakiem. Uwielbiał wodę.

— Wiem. Frankie mi powiedziała. Ale coś się z nim stało, zanim się utopił. Coś, co wpłynęło na jego mózg i doprowadziło do częściowego paraliżu ciała. Co to było, nie wiem. Ale myślę, że właśnie dlatego nie był w stanie się bronić. Nie będę cię oszukiwać. W tej chwili wszystko jest zamazane. Niczego nie widzę wyraźnie. Jediną rzeczą, co do której jestem przekonany, jest to, że twój syn już nie żyje. Przykro mi, chciałbym móc powiedzieć ci coś innego.

Whittington pochylił głowę.

— Frankie próbowała mi powiedzieć, ale sam musiałem to od ciebie usłyszeć. Dziękuję ci za szczerość. — Sięgnął po fotografię na biurku, a kiedy ją do siebie przysuwał, Gabriel przelotnie zobaczył zdjęcie. Była to odbitka tego, które dała mu Frankie, kiedy po raz pierwszy do niego przyszła. Robert Whittington. Uśmiechnięty.

Żywy.

Whittington dotknął zdjęcia kciukiem. Podniósł oczy i w jego oczach nie było już smutku, lecz determinacja.

— A teraz chcę spytać o coś innego. Czy będziesz w stanie dowiedzieć się, co się wydarzyło?

Czasem lepiej, żeby pewne rzeczy pozostały tajemnicą. Słowa zjawy się w jego umyśle nieproszone i przez jedną straszną chwilę Gabriel myślał, że wypowiedział je na głos.

Ale Whittington nie był głupcem.

— Myślisz, że lepiej nie budzić licha.

— Nie. — Gabriel przycisnął czubki palców do punktu ponad nasadą nosa, gdzie zagnieżdził się ból. Boże, był wykończony. Zdał sobie również sprawę, że w jego czaszce wibrował jakiś niesłyszalny dźwięk; słaby, lecz nagły. Jakby... jakby coś drapało w jego umysł, próbując się dostać do środka...

— Gabrielu? — głos Whittingtona wyrwał go z zamyślenia.

Gabriel spojrział na niego i z zaskoczeniem odkrył, że ma kłopoty ze zogniskowaniem wzroku.

— Nie przestanę szukać. Masz moje słowo. Będę szukał dopóty, dopóki będziesz tego chciał. Przestanę tylko wtedy, kiedy tak zadecydujesz.

— Nigdy się nie poddam — powiedział Whittington. — Póki starczy mi tchu.

Słowa te mogłyby wydawać się nadmiernie dramatyczne, gdyby nie fakt, że Gabriel wiedział, iż patrzy na człowieka umierającego. W tej sytuacji były przejmujące. I przez jeden niepokojący moment, kiedy Gabriel spoglądał w twarz Whittingtona, zdawało mu się, że dostrzega połysk czaszki prześwitującej przez jego skórę jak proroczy hologram.

Whittington otworzył usta i powiedział coś jeszcze, ale Gabriel nie był w stanie skupić się na jego słowach, ponieważ na króciutką chwilę w jego umyśle pojawił się obraz pająka, a woń piżma i uroczynu zbudziła jakieś wspomnienie...

NIE! Zatrzasnął wewnętrzne oko i jego głowę przeszły potężne uderzenie bólu. Było to tak wstrząsające, że Gabriel niemal się ugiął, ale potem jeszcze bardziej wzmocnił blokadę, odpychając intruza, który badał jego mózg. W jego umyśle wybuchła eksplozja ciężkiego zapachu — woń piżma i uroczynu była teraz niemal nieznośnie intensywna — gdy tamten wycofał się z niemal słyszalnym jękiem. Gabriel był zlany potem i chciało mu się wymiotować.

— Gabrielu? — Whittington wyszedł zza biurka i stał teraz przy jego fotelu ze szklanką wody w ręce. — Wypij to. Wszystko w porządku? Mam wezwać lekarza?

— Nie. — Gabriel odsunął jego dłoń. — Wszystko w porządku. Po prostu muszę jechać do domu — było mu bardzo niedobrze i przez moment sądził, że chyba zwymiotuje na bezcenny dywan z Tabrizu. Wziął kilka głębokich wdechów, próbując uspokoić skołatany żołądek.

— Poproszę Flannery'ego, żeby wezwał dla ciebie taksówkę. — Whittington wyszedł z pokoju i kilka chwil później Gabriel usłyszał, jak rozmawia z kimś w holu. Czekał, zamknął oczy. W głowie czuł przeraźliwe pulsowanie. Nie chciał oglądać tego pokoju, w którym światło wydawało się teraz rażąco jasne, a meble potwornie powykrzywiane. Odczuwał przemożne pragnienie padnięcia na swoje łóżko i naciągnięcia kołdry na głowę. Otworzył na chwilę oczy i wydało mu się, jakby Frankie chciała zstąpić z ciężkiej pozłacanej ramy nad kominkiem wprost do pokoju. Jej namalowana postać była wydłużona i dziwna. Znowu pospiesznie zamknął oczy.

Kiedy zjawiała się taksówka, Whittington odprowadził go na ulicę. Zamykając za Gabrielem drzwi, pochylił się przy otwartej szybie.

— Na pewno wszystko w porządku?

Gabriel kiwnął głową, potem skrzywił się. Na kiwanie było jeszcze zdecydowanie za wcześnie.

— Nie martw się. — Spróbował się uśmiechnąć. — Wszystko będzie w porządku — zawahał się, szukając właściwych słów. — I dotrzymam obietnicy. Masz na to moje słowo. Nie przestanę szukać twojego syna, dopóki ty tego nie zaniechasz.

Whittington cofnął się. Podniósł rękę w geście podziękowania lub pożegnania — Gabriel nie potrafił powiedzieć. A potem taksówka odjechała, pozostawiając wysoką, chudą postać za sobą.

*

Jego mózg był jak z maltretowany. Nie było na to innego określenia. Jakby ktoś zamachnął się w niego jakimś tępym przedmiotem.

Gabriel leżał w swoim łóżku, obserwując grę cieni na suficie. Przez na wpół zasunięte zasłony przesączało się światło z zewnątrz. Okno zostawił otwarte, chociaż wiatr był chłodny. Wlatywał do pokoju w nieregularnych podmuchach, chłodząc mu twarz i odkryte ramiona.

Budzik przy łóżku mrugał purpurowymi sekundami. Druga rano.

Pierwszą rzeczą, którą Gabriel zrobił po powrocie do domu, było sprawdzenie dziennika w nadziei, że autorka dodała wieczorem wpis, który mógłby rzucić jakieś światło na to, co stało się z nim w domu Whittingtona. Ale nie pojawiło się nic nowego. Ostatniego wpisu dokonano pełne trzy dni temu. Nie była w nastroju do pisania.

Raz za razem Gabriel odgrywał w głowie wizytę u Whittingtona i moment, w którym zdał sobie sprawę z tego, że ktoś dokonywał na nim zjazdu. Był to bardzo zręczny skan. Zaczął się tak delikatnie, że Gabriel niemal go nie zauważył. Dalekowidzący sprawdzał teren, ale to, co zaczęło się jako swego rodzaju zwiady, zmieniło się w atak, gdy tylko Gabriel spróbował wyrzucić intruza z umysłu. Dalekowidzący, który do niego sięgnął, zdecydowanie nie lubił, kiedy odmawiano mu prawa wstępu.

Na moment Gabriel powrócił myślą do lat w Eyestormie i skanów, których wzajemnie na sobie dokonywali. Czasami ćwiczenie przeprowadzano potajemnie — chodziło o to, żeby przeprowadzić skan w taki sposób, aby drugi widzący nie zdawał sobie z tego sprawy. Lecz Gabriel zawsze natychmiast wyczuwał, kiedy ktoś do niego sięgał, i nigdy nie miał najmniejszych problemów z blokowaniem. Jednak dzisiaj niemal przeoczył sygnały — skan rzeczywiście był jak stąpanie pająka, ta osoba niemal nie zostawiała za sobą śladów. Tylko ta sygnatura z piżma i uroczynu. A kiedy w końcu Gabriel się połapał i spróbował się odciąć, było to jak próba zamknięcia drzwi przed lawiną. I bolało.

Kto to był?

Ktoś o naprawdę niezwykłych zdolnościach dalekowidzenia. Dorównujących jego własnym. Nie, przewyższających je. Gabriel nigdy dotąd nie natknął się na widzącego, który potrafiłby posłużyć się swoim talentem jak bronią, zadając skanowanemu fizyczny ból. On sam z pewnością nie był w stanie tego zrobić.

Z trudem przypomniał sobie przeszywający ból, który przebił mu głowę, kiedy zablokował intruza. Odczuwał wtedy nieodparty impuls, by odpuścić, pozwolić na dalszy skan.

Wszystko, byle tylko powstrzymać ból. A co, jeśli następnym razem nie wytrzyma?

Przestań się mazać. Nikt do tej pory cię nie pokonał. A następnym razem będziesz przygotowany.

Jednak było to dziwne uczucie — wiedzieć, że być może spotkał równego sobie. W Eyestormie nikt nawet nie zbliżył się do jego poziomu. Jak go nazwała Frankie? Panem Superdalekowidzącym.

Och, Frankie. Nagle poczuł przyływ tęsknoty za nią. Pośród całego tego obłędu ona zawsze pozostawała głosem rozsądku. Ciekawe, co teraz robiła. Czy wróciła z imprezy dobroczynnej? Czy już spała? Przypomniał sobie, że we śnie zawsze leciutko marszczyła brwi. Kiedy jeszcze byli razem, nieustannie go to bawiło — jakby Frankie nawet w krainie snu chciała zachować koncentrację. „To tak, jakby spanie było dla ciebie zadaniem do wykonania”, żartował z niej. „A nie odpoczynkiem”. A potem przyciskał usta do maleńkiej zmarszczki między jej brwiami i wyglądał ją pocałunkiem.

Ale Frankie straciła w niego wiarę. Znowu. Pewnie żałowała, że w ogóle poprosiła go o pomoc w sprawie Robbiego.

Nie przestanę go szukać, dopóki ty tego nie zrobisz. Obietnica, którą złożył Williamowi Whittingtonowi. Nadal nie rozumiał, dlaczego to zrobił. Był już niemal zdecydowany powiedzieć mu, że rezygnuje.

Oczami duszy ujrzał twarz Whittingtona. Ściągnięta, papierowa skóra. Inteligentne oczy. Kości pod spodem jarzące się jak holograficzny omen.

Ten mężczyzna był w niebezpieczeństwie.

Ostrzec Frankie.

W niebezpieczeństwie? Ta myśl po prostu zjawiała się w jego umyśle. Whittington był chory. Był człowiekiem bliskim śmierci. Ale słowo „niebezpieczeństwo” raczej nie było tu na miejscu. I nie ma powodu denerwować Frankie. I tak miała już za dużo spraw na głowie.

Podmuch wiatru wzwał lekko zasłony, jakby jakaś niewidzialna dłoń próbowała dostać się do środka. Gabriel naciągnął koldrę na ramiona i zamknął oczy. Następnego dnia były urodziny Minnaloshe i siostry zaprosiły go do Monk House na prywatną uroczystość. Uroczystość dla trojga. Przy urodzinowym stole będzie na niego czekać jego miłość.

I jego wróg.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Kiedy potem Gabriel próbował sobie przypomnieć ten ostatni wieczór w Monk House, nie potrafił ułożyć wydarzeń w kolejności. Szczegóły były rozmazane jak kiepsko wywołane zdjęcie. Czy zaczęli od tańca, czy to było później? Czy suknia Morrighan była zielona czy niebieska?

Kiedy przybył, zastał salon oświetlony ognikami świec. W glinianych słoiczkach tliły się kadzidełka. Szampan w lodzie. Urodzinowy tort lodowy, który pod wpływem impulsu postanowili zjeść przed głównym daniem. On i Morrighan śpiewali *Sto lat*, podczas gdy Minnaloushe otwierała prezenty. Gabriel kupił jej zbiór wierszy Leonarda Cohena *Muzyka Nieznajomego* z autografem. Wydawała się zachwycona podarunkiem.

— My też mamy coś dla ciebie. — Morrighan wręczyła mu małą paczuszkę w błękitnej bibułce, przewiązaną srebrną wstążką.

— Dla mnie? Dlaczego?

— Bo tak.

— To żadna odpowiedź — stwierdził Gabriel lekko. Trzymał paczuszkę palcem wskazującym i kciukiem, czując dziwną niechęć do otworzenia jej.

— No dobrze. Bo świnię mogą latać.

— A zebry nosić piżamy — dodała Minnaloushe.

— Obejrzyj.

Był to medalion na łańcuszku ze srebrnych ogniów. Na wierzchu wygrawerowany był Monas. Wykonanie było nadzwyczajne. W środku znajdowały się dwa pasma przeplatających się, jedwabistych włosów. Rude i czarne. Zwinięte w znak zapytania.

Gabriel potarł wieczko medalionu czubkiem palca, dotykając wyżłobionych linii grawerunku. Nigdy nie przepadał za biżuterią, ale kiedy spozjrzał na pełne oczekiwania twarze obu kobiet, poczuł niemal wzruszenie.

— Dzięki — powiedział. — Zachowam go na zawsze.

Uśmiechnęły się.

Nigdy potem Gabriel nie był w stanie przypomnieć sobie szczegółów urodzinowej kolacji. Pamiętał tylko, że raz za razem napelniano mu kieliszek — najpierw szampanem, potem winem Morrighan. Chyba powinien się bardziej miarkować, ale w końcu był na przyjęciu, i ogarnęło go dziwne poczucie brawury.

Przypominał sobie także, że tańczyli. Chris Isaac śpiewał *Wicked Game*, a Gabriel tańczył z Morrighan, podczas gdy Minnaloushe się przyglądała. Morrighan uśmiechała się do niego tymi swoimi niebieskimi oczami, jej śliczne usta błyszczały. Kiedy sunęli z jednego końca pokoju na drugi, jej biodro i udo ocierały się o niego, jego ręka spoczywała na jej gołych plecach, pod palcami Gabriel czuł mięśnie prawdziwej atletki. *Wicked Game* ustąpiła *Heart Shaped World*. Piosenki, do których tańczyli, na zawsze już utkwily w jego pamięci, razem ze wspomnieniem o majaczących, zniekształconych cieniach, które przesuwaly się po ścianie.

Wtedy właśnie wydarzenia tego wieczoru zaczęły się ze sobą mieszać, rozplywać w plamę szalonych kolorów, fantastycznych obrazów i podwyższonych emocji.

Gabriel z trudem przypominał sobie, gdy leżał na wznak na kanapie, bez żadnego pojęcia, jak się tam znalazł. Nad nim pochylały się obie kobiety. Zapach ich włosów i skóry mieszał się z oszałamiająco

słodką wonią tłących się kadzidełek. Dłonie Minnaloushe przeczesywały jego włosy, palce Morrighan gładziły wewnętrzną stronę jego nadgarstka. Miękkie, rozbierające go ręce. Smak jagód w ustach. Jego język napęczniały i ciężki.

Chcemy, żebyś się z nami pobawił, Gabrielu. Chcemy pokazać ci niebo.

Czy śnił? Czy był to po prostu pożądliwy, alkoholowy sen? Stanowcze, aksamitne palce rozpinają guziki jego koszuli, zupełnie nieśpiesznie. Białe dłonie w niemal całkowitym mroku, gładzące go, obejmujące. Włosy Minnaloushe jak jedwabiste więzy na jego nadgarstkach. Morrighan jak efemeryczna wizja porcelanowej skóry i oczu niczym błękitne klejnoty. Mokry nacisk śliskich, miękkich ust. Wilgotna skóra splatająca się z wilgotną skórą. Którą z nich trzymał w ramionach? Morrighan? Minnaloushe? Trzepot mokrego języka na jego ciele, drobne krótkie liźnięcia, które doprowadzały go do szaleństwa. Zajęczał. Jego skóra była niewiarygodnie podrażniona. Ktoś go całował, wciągając go do środka swoich mokrych, śliskich ust.

Spójrz mi w oczy...

I w tym momencie wiedział, że jest skanowany. Wyczuwał jej obecność, jej sygnaturę. Pachniała uroczynem i pizmem. Maleńka część jego umysłu krzyczała do niego, żeby stanął do walki, chwycił za broń, bronił się... lecz Gabriel był bezsilny. W przeciwieństwie do tępego uderzenia poprzedniego skanu, to było leniwe, powolne badanie. Gabriel czuł, jak otwiera się jego wewnętrzne oko. Rozszerzało się powoli, powoli, aż wreszcie otworzyło się zupełnie. Gabriel próbował blokować, ale był sparaliżowany. Żadnej kontroli. Żadnego odruchu obronnego. Jego wewnętrzne oko było luźne, szeroko otwarte, całkowicie bezbronne. Tak bezbronne, jak zwyczajne oko patrzące w burzę piaskową bez możliwości mrugania.

Ktoś przechodził przez jego umysł spokojnie, delikatnie.

Nie walcz z tym, Gabrielu.

Dlaczego? Pytanie uformowało się ociężale w jego umyśle.

Chodź za mną...

Jej zaproszenie było łagodną pieszczotą. Tak dobrze. W kroczu czuł drżenie, nogi miał ciężkie, umysł miękki, miękki, miękki. Najmiększy wosk.

Kto cię przysłał, Gabrielu?

— William Whittington — żadnego wahania.

Poszukiwania będą trwać, dopóki on będzie żył?

— Tak. Dopóki będzie żył, poszukiwania będą trwać.

Tym razem żadnej odpowiedzi, tylko przeciągłe poczucie żalu i rozczarowania, spowijające jego myśli jak rzadka mgła. Co za strata. Mogło być tak dobrze. Mogłybyśmy zagrać z tobą, Gabrielu; nadać ci twoje prawdziwe imię. Mogłyśmy odmienić twoje życie.

— Odmienić moje życie. Odmienić moje życie — myśl powracała jak fragment utworu z winylowej płyty, w której zacięła się igła. — Odmienić moje życie.

Pozwól, że ci pokażę. To mogło należeć do ciebie.

Gabriel jęknął. Dźwięki i obrazy napływały strumieniem do naczynia jego wewnętrznego oka, niepowstrzymane, jak lawina wrażeń.

Podoba ci się?

O Boże. Jakie to cudowne. Jakie niewiarygodne.

Zobaczył wróbla pikującego gdzieś o tysiące mil dalej, usłyszał jęk wiatrów słonecznych. Niebo nad jego głową było błękitną apokalipsą, jego stopy spoczywały na milionie nienarodzonych słońc. Słyszał furkot anielskich skrzydeł, a dookoła jego kostek wiły się zmięte o aksamitnych oczach.

Wiedział, że bliski jest pojęcia mowy, której nie da się uchwycić. Był na krawędzi poznania istoty, która nie mówi, lecz której wielość słów jest ogromna. A jego świadomość wciąż się rozszerzała. Leciał, wznosił się. Jak cudownie mieć moc lotu. Odkrył, że chichocze niekontrolowanie, jak pacjent pod wpływem gazu rozweselającego.

Lecz naraz spowił go ogromny smutek. Smutek cierpienia, które znoszą miliony dusz. Żal wlał się do jego umysłu, unicestwił go. Zato pił go wielki ocean smutku, i Gabriel załkał. Serce mu pękało.

Już dobrze, Gabrielu. Nie płacz.

Pocieszenie. Wyciągnął rękę do kobiety, która leżała odwrócona do niego plecami. Chciał, żeby się odwróciła, by mógł położyć głowę na jej piersi.

Jej skóra była śmiertelnie biała. Położył dłoń na jej bezwładnym ramieniu. Kiedy jej głowa opadła w jego stronę, zobaczył, że była to Melissa Cartwright. Popielatoblond włosy ubrudzone błotem i zaszniętą krwią. Za jej fiołkowymi oczami ciemność. Gabriel wrzasnął, próbując uwolnić się spod ciężaru jej martwego ciała, które teraz leżało na nim, i w umyśle pociemniało mu z przerażenia.

A potem nagle został sam, ludzik z kreseczek narysowany na pustej białej kartce.

Przykro mi, Gabrielu. Muszę iść.

Wycofywała się, czuł, jak odchodziła. Zapach piżma i uroczyimi się rozwiewał. To było nawet gorsze, niż spoglądanie prosto w martwe oczy Melissy Cartwright. Samotność: nigdy przedtem nie czuł tak strasznego odrzucenia.

— Nie! — słowo wydarło się z jego gardła, pełne rozpaczliwej tęsknoty. — Zostań ze mną.

Ale ona zniknęła.

Teraz Gabriel słyszał skłócone głosy i płacz jakiejś kobiety, a długi czas później ktoś stanął przy nim. W ciemnościach ledwo widział zarys jej postaci. Kiedy okryła go lekkim kocem, spróbował się podnieść, lecz jego członki wciąż były przerażająco bezwładne.

— Ćśśś — raczej domyślił się, niż zobaczył, że przytyka palec do ust. — Śpij, Gabrielu. Już po wszystkim — mówiła szeptem.

Zamknął oczy jak dziecko, z ogromną otuchą. Nagle w jego umyśle zapanował bezruch. Spokój. Na zewnątrz była bezksiężycowa noc,

drzewa szumiały na chłodnym wietrze. Małe stworzonka zagrzebywały się w poszyciu. Nocny ptak śpiewał.

*

Obudził się z najpotworniejszym kacem, jakiego doświadczył w całym swoim życiu.

Otwarcie oczu było bolesne. Przesunięcie powleczonym osadem językiem po wyschniętych wargach również było bolesne. Uniesienie głowy było niewiarygodnie, straszliwie bolesne. I od czasów studiów nie miał takich mdłości po przepiciu.

Opadł z powrotem na poduszki i zorientował się w sytuacji. Leżał na sofie w salonie Monk House. Jego ciało przykryte było różową narzutą w maleńkie fioletowe kwiatki. Okna były zamknięte, a powietrze ciężkie od zapachu wypalonego kadzidła i alkoholu. Nawet światło słoneczne wydawało się nieruchome.

Było cicho. Ze ściany po drugiej stronie pokoju maski Minnaloushe gapily się na Gabriela przez efemeryczny welon wolno wirujących drobinek kurzu. Goliat odpoczywał bez ruchu w swoim szklanym pojemniku.

Gabriel podniósł się powoli, delikatnie zsuwając jedną nogę z kanapy, by się nią podeprzeć. Boże. Ten drobny ruch wywołał nową falę mdłości. Gabriel spojrział na zegarek przez zmrużone powieki. Jednasta cztery. Minęła już niemal połowa dnia.

Pęcherz mu pękał. Gabriel wstał. Z lekkim zdziwieniem odkrył, że jest na bosaka, po czym ruszył w kierunku toalety dla gości, sunąc zygzakiem po podłodze niczym żeglarz próbujący przyzwyczać się do suchego lądu po miesiącach na morzu. Toaleta dla gości znajdowała się tuż za salonem, obok kuchni. Drzwi kuchenne były zamknięte, ale kiedy podszedł bliżej, usłyszał cichy szmer głosów. Przekręcił gałkę.

Minnaloushe i Morrighan siedziały przy stole. Kiedy otworzył drzwi, podniosły na niego wzrok.

Gabriel zawahał się. Nagle zdał sobie sprawę, że ma rozchełstaną koszulę, w spodniach zaś brakuje paska. Na jego szyję oraz uszy zakradł się rumieniec, i Gabriel zawstydził się jak nastolatek. Jego palce odruchowo zaczęły zapinać koszulę.

Kobiety obserwowały go chłodnymi, bezosobowymi oczami.

— Dzień dobry — powiedziała Minnaloushe.

— Dzień dobry. — Gabriel rozejrzał się dokoła. W kuchni wciąż widać było pozostałości wczorajszej uczyty. Niepozmywane talerze i kieliszki. Na wpół opróżniona butelka wina jagodowego na kuchennym stole.

— Usiądź sobie.

Gabriel wskazał kciukiem za siebie w kierunku ubikacji.

— Zaraz wrócę. Muszę tylko...

Morrighan ucięła jego słowa.

— W szafce jest świeży ręcznik i mydło.

W małej łazience Gabriel spojrzął na swoje odbicie w lustrze i zadrzał. Nabiegłe krwią oczy. Czarna szczecina na szczęce. Spocona skóra. Chuchnął sobie w dłoń i niemal dostał odruchu wymiotnego od tego zapachu.

Na chwilę zamknął oczy i oparł się o umywalkę. W jego pamięci zaczynały się budzić echa zdarzeń poprzedniego wieczoru, ale czy to wszystko naprawdę miało miejsce? A może był to po prostu jeden wielki sen erotyczny? Dotknął medalionu na szyi. Przynajmniej to było prawdziwe.

Ale nie mógł przesiedzieć całego ranka w łazience, próbując odkryć, co zaszło. Odkręcił kurek z zimną wodą, spryskał twarz i przepłukał usta. Nie miał grzebienia, a przyczesanie włosów palcami sprawiło tylko, że nastroszyły się jeszcze bardziej. Bardzo pociągające.

Kiedy wrócił do kuchni, Minnaloushe wciąż siedziała przy stole, natomiast Morrighan nalewała wrzątku z czajnika do kubka. Sięgnęła do góry na jedną z półek, zdjęła cienką probówkę i opróżniła do kubka jej zawartość — różowawy proszek.

— Proszę. — Wyciągnęła kubek w jego stronę. — Wypij to.

Gabriel odsunął się.

— No dalej — powiedziała niecierpliwie. — To tylko dzika róża i rumianek. Najlepsze lekarstwo na kaca. Poczujesz się lepiej.

Kiedy Gabriel podnosił kubek do ust, drżała mu ręka. Ale po kilku łykach rzeczywiście poczuł się lepiej. Nie był pewien, czy nie chodziło po prostu o siłę perswazji, ale w głowie zdecydowanie mu się przejaśniło. Oczywiście nie wydobrzył do końca, ale przynajmniej był w stanie skupić się na otoczeniu bez potrzeby zwięzania oczu w szparki.

Po raz pierwszy tego ranka przyjrzał się dobrze obu kobietom. Były ubrane niemal identycznie w czarne spodnie i swetry. Żadnego makijażu, niewinne usta i oczy, włosy związane w luźne wężły.

W powietrzu zaś wisiało napięcie. Gabriel nie miał jednak pewności, czy było to napięcie między nimi dwiema, czy też wrogość skierowana do niego.

Szybko się dowiedział.

— Chciałybyśmy, żebyś wyszedł — głos Morrighan był niski.

— I nie chcemy, żebyś wracał — dodała Minnaloushe.

Poczuł się jakby dostał obuchem w głowę.

— Dlaczego?

— Ty naprawdę nie jesteś niczym więcej jak tylko zwykłym szpiegiem, prawda, Gabrielu? Nie, nie próbuj zaprzeczać. Wiemy, że to ty włamywałeś się do naszego komputera. Jak mogłeś? Nadużyłeś naszego zaufania. Naszej gościnności... Naszej przyjaźni.

Pogarda w głosie Minnaloushe sprawiła, że Gabriel aż się skulił. Lecz następne pytanie dosłownie zaparło mu dech w piersiach.

— Naprawdę sądzisz, że jedna z nas zabiła Roberta Whittingtona?

Był w takim szoku, że nie mógł wydobyć z siebie głosu. Wiedziały, że je szpiegował. Że podejrzewał jedną z nich o morderstwo. Jak się tego dowiedziały?

Istniała tylko jedna odpowiedź na to pytanie: skan z poprzedniego wieczoru wszystko ujawnił.

— A zabiła? — spytał wyzywająco, nagle rozzłoszczony.

— Za kogo ty się uważasz, do diabła? — głos Minnaloushe drżał.

— Za kogoś, kto chce odpowiedzi, kto ma dość bycia prowadzonym na smyczy — jego gniew wciąż narastał.

— Kochaliśmy Robbiego. — Morrighan pochyliła się do przodu, przycisnęła dłonie do stołu przed sobą. — Pomogliśmy mu znaleźć to, czego szukał.

Gabriel wykonał ręką zniesmaczony gest.

— Tak, wiem. „Grałyście” z nim. Chciałbym wiedzieć, co to za gra.

— Najcudowniejsza. Robbie był poszukiwaczem, wyruszył w podróży ku transformacji. My mu w tym pomogliśmy.

— Transformacja. Doprawdy — głos Gabriela ociekał sarkazmem.

— Mogłyśmy zrobić to samo dla ciebie. — Morrighan wbiła w niego wzrok, jej oczy były lodowate, źrenice zwężyły się do dwóch maleńkich punkcików czerni.

— O czym wy do diabła mówicie? — Gabriel wycodził te słowa przez zaciśnięte zęby. — Wybaczcie, ale nie przypominam sobie, że bym którąkolwiek z was prosił o zostanie moim duchowym przewodnikiem.

— Jeśli ktokolwiek potrzebuje tu pomocy, to tą osobą jesteś ty, Gabrielu. Twoja arogancja zapiera dech w piersiach.

— Jeśli jestem arogancki, to wyłącznie moja sprawa.

— Nie, kiedy krzywdzisz tym innych ludzi — powiedziała Minnaloushe wyzywająco. — Jak Melisse Cartwright.

A więc wiedziały też o Melissie. Jak u licha zdołały go przeskanować tak dokładnie? Gabriel był mistrzem w blokowaniu. Lecz jedna z nich sięgnęła do jego umysłu z łatwością klucza otwierającego zamek. Jak? Jeszcze kiedy pytanie formowało się w jego umyśle, oczy Gabriela

padły na puste kieliszki do wina w zlewie. Były brudne, ich dna splamione były czerwonymi obwódkami.

— Podałyście mi jakieś prochy — Gabriel mówił wolno, lecz był teraz tak wściekły, że zakreśliło mu się w głowie.

Podniósł na wpół pełną butelkę wina jagodowego, która stała na stole, i powąchał ją.

Wbił oczy w Morrighan.

— Doprawiłaś to jednym ze swoich eliksirów?

Żadnej odpowiedzi.

— Ale to nie tylko napój, prawda? Powiedzcie, która z was jest dalekowiedząca?

— Dalekowiedząca? O czym ty mówisz? — Morrighan.

— Majaczysz, Gabrielu — Minnaloushe.

Dźwięk pulsującej krwi wypełnił mu uszy. Spróbował uspokoić głos.

— Muszę wiedzieć jedną rzecz.

— Jaką?

— Czyj to Dziennik?

Cisza.

Miał ochotę cisnąć butelką o ścianę, ale zmusił się, by oddychać powoli.

— Proszę. Proszę, powiedzcie mi.

Żadnej zmiany w ich obliczach. Twarze gładkie jak maski.

— Twój? — zwrócił się do Minnaloushe. Popatrzyła na niego bez mrugania czystymi, zielonymi oczami. Niczego mu nie wyjawily.

— Czy twój? — oczy Gabriela utkwily w Morrighan. — Powiedzcie, do cholery. — Chwycił ją gwałtownie za nadgarstek i poczuł, jak pod jego palcami zatrzeszczały jej kości.

— Przestań — tylko jedno słowo, ale zatrzymało go jak pocisk. Kosmyki czarnych włosów opadły jej na czoło, na którym widać było leciutkie lśnienie potu. W jej oczach było coś, co sprawiło, że Gabrielowi zrobiło się niedobrze ze wstydu.

Puścił ją i odsunął się. Zacisnął usta z bólu. Morrighan objęła nadgarstek drugą ręką.

— A teraz odejdz.

Gabriel zerwał medalion z szyi i rzucił go na stół.

— To nie koniec. Będę dalej szukać chłopaka. Jego ojciec zasługuje na to, żeby wiedzieć, co się z nim stało.

Milczenie. Obserwowały go dwie pary nieprzeniknionych oczu.

Odwracając się, Gabriel zatoczył się lekko. Kiedy przechodził przez salon, przed jego oczami unosiło się coś jakby mgiełka. Otworzył drzwi wejściowe i zamrugał. Łagodne jesienne słońce wydawało się dziwnie rażące. Wszystko na zewnątrz zdawało się mieć ostre kontury; każde źdźbło trawy było brzytwą.

Zduślił w sobie impuls, by obejrzeć się za siebie i sprawdzić, czy podążyły za nim. W głębi serca wiedział, że tak nie było. Chciały, żeby odszedł.

Wyszedł na ganek i pociągnął za sobą drzwi, odcinając się od wnętrza domu. Dopiero, kiedy stanął na chodniku, z mdłościami i zamętem w głowie, zdał sobie sprawę, że zapomniał butów i portfela. W dłoni wciąż ścisnął na wpół pełną butelkę wina jagodowego.

Nie miał wielkich nadziei, ale mimo to udało mu się zatrzymać pierwszą taksówkę, na którą machnął dłonią. Kierowca w wystudowany sposób unikał jakichkolwiek komentarzy na temat jego bosych stóp. Zaczekał też cierpliwie przed jego domem, z wyłączonym taksometrem, aż Gabriel pójdzie na górę po pieniądze.

Kiedy Gabriel wszedł do mieszkania, natychmiast zauważył mrugającą lampkę automatycznej sekretarki. Z bijącym sercem wcisnął guzik. Może zadzwoniły w międzyczasie? Może chciały wszystko obgadać i się pogodzić?

— Gabrieliu — nawet metaliczny głos sekretarki nie był w stanie zamaskować historii w głosie Frankie. — Zadzwonź do mnie, proszę. William nie żyje!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

William Whittington III został skremowany w piękny jesienny dzień. Ceremonia była bardzo prywatna. Potem Gabriel odwiózł Frankie z powrotem do jej domu w Holland Park.

Frankie wyglądała na chorą. Była nieskazitelnie zadbana, ale miała ziemistą skórę, a jej usta były tak suche, że schodziła z nich skóra. Kiedy Gabriel wziął ją za rękę, żeby pomóc jej wysiąść z samochodu, jej palce były lodowato zimne.

Przez chwilę Frankie stała nieruchomo, patrząc na imponującą fasadę budynku.

— Uwielbiam to miejsce. To dla mnie dom. Ale na myśl, że mam tu żyć bez Williama... — przerwała, i drżąc ciężko odetchnęła.

— Frankie, tak bardzo, bardzo mi przykro.

— Był wspaniałym człowiekiem. Och, wiem, co szeptano po kątach, kiedy się pobieraliśmy. Łowczymi fortun. Różnica wieku. Jak to w ogóle mogłoby być małżeństwo z miłości? Ale kochałam go — schyliła głowę. — Przez te ostatnie kilka miesięcy zaczął się ode mnie odcinać. Myślał, że mi to ułatwi. A teraz odszedł. A jest tyle rzeczy, które chciałabym mu jeszcze powiedzieć. O Boże — przycisnęła mocno pięści do oczu. — Jak ja to zniosę?

Gabriel przyciągnął ją do siebie. Zerwał się zimny wiatr, więc owinał

ją jedną połą płaszcz, żeby ją ogrzać. Frankie zaczęła płakać: brzydkie, suche spazmy, jej ciało drżące u jego boku. Jej ból był przeraźliwie ostry. Gabriel również poczuł wilgoć w oczach. Poglaskał ją po włosach, wymruczał słowa pociechy.

— Frankie. Moja dzielna dziewczynka. Nie płacz już tak. Nie płacz. Złamiesz mi serce.

Kiedy w końcu ucichła, odsunęła się od niego i wyciągnęła z torebki chusteczki do nosa. Otarła twarz.

— Przepraszam — jej głos był ochrypły.

Była taka blada. I ten wyraz jej oczu...

— Frankie, może zadzwonisz do jakiejś przyjaciółki, żeby u ciebie zanocowała? Czy nie ma nikogo, kogo chciałabyś mieć przy sobie?

Pokręciła gwałtownie głową.

— Nie. Ale myślę, że może na jakiś czas wyjadę.

Serce się w nim ścisnęło.

— Wyjedziesz? Dokąd?

— Nie wiem. Gdzieś, gdzie jest ciepło.

Gabriel zdał sobie sprawę, że każdy przedmiot w domu będzie jej przypominał o mężczyźnie, którego kochała. Nic dziwnego, że chciała uciec. Ale myśl, że mogłaby wyjechać, była nie do zniesienia. Chciał zatrzymać ją blisko siebie. Gdzie będzie bezpieczna.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, Frankie. Nie powinnaś być sama.

— Jestem sama — straszliwy smutek w jej głosie nappełnił go rozpaczą.

— Nie możesz tak po prostu zniknąć. — Położył na jej ramieniu dłoń. — Musisz być ze mną w kontakcie.

— Nie sądzisz, że już czas, byśmy dali sobie odetchnąć?

— Zawiodłaś się na mnie, wiem, że tak. I rozumiem to. — Palce Gabriela zacisnęły się na jej łokciu. W jego piersi zaczynała się budzić panika. — Ale Frankie — proszę, proszę, nie rezygnuj ze mnie!

— Mam zamęt w myślach, Gabrielu. Ty pewnie też. A poza tym, to przecież koniec, prawda? Chciałam, żeby William dowiedział się, co się stało z jego synem. Ale teraz on nie żyje. A zemsta wydaje się w tym momencie raczej bezcelowa.

— Obiecałem twojemu mężowi, że nie przestanę szukać — ale kiedy wypowiadał te słowa, zdał sobie sprawę, jak były beзуżyteczne. Jak miał osiągnąć cel teraz, kiedy siostry wyrzuciły go ze swojego domu? Jego portfel, buty i pasek przysłano do jego mieszkania kurierem, w schludnie zapakowanej paczce. Żadnego liściku. Nic nie wskazywało na to, że były zainteresowane odnowieniem znajomości. Gabriel był wściekły z powodu ich obojętności. — Jak mogły tak po prostu wyrzucić go ze swojego życia, jakby kasowały prenumeratę czasopisma? Ale mimo całego gniewu wiedział, że gdyby tylko kiwnęły palcem, ruszyłyby do nich biegiem. Ale z niego żalosny głupiec.

— William powiedział mi o twojej obietnicy — w głosie Frankie brzmiało zmęczenie. — Ale o ile zrozumiałam, powiedziałeś mu, że zakończysz poszukiwania, kiedy on to zrobi. No, więc chyba jesteś zwolniony z obietnicy.

Gabriel skrzywił się. Ale w oczach Frankie nie było żadnej goryczy, tylko żal.

Przyglądał się bezradnie, jak szukała kluczy. Zdał sobie sprawę, że nic, co powie, nie skłoni jej do zmiany decyzji. Będzie musiał biernie patrzeć, jak od niego odchodzi.

— Zadzwoń do ciebie — powiedziała Frankie. — Naprawdę, zrobię to. Ale muszę pobyć trochę sama. Poukładać sobie w głowie. — Dotknęła przelotnie jego policzka. — Nie rób takiej zmartwionej miny. Wszystko będzie dobrze.

Jednak kiedy szła ogrodową ścieżką do frontowych drzwi, jej krok był niepewny, jakby źle widziała.

Wiatr stawał się coraz bardziej porywisty. Wcześniej niebo było przejmująco niebieskie, lecz kiedy Gabriel wsiadał z powrotem do samochodu, zaczęły napływać ciemne chmury, które zasłoniły słońce.

Lato się skończyło. Pewnie róże w ogrodzie Monk House zaczynają

brązowieć, pomyślał. A może wciąż kwitły rozpaczliwie w ostatnim porywie przed zwiędnięciem. Gdzieś w głębi ducha Gabriel wyczuwał, że zmiana pór roku była odbiciem jakiejś przemiany w jego wnętrzu. Wciąż nie był do końca pewien, co zostawiał za sobą i zupełnie nie wiedział, kim miał się stać.

Zanim zaparkował za rogiem domu Izydora, woda lała się już z nieba strumieniami. Gabriel nie miał przy sobie parasola i musiał przebiec sprintem z samochodu do wejścia. Dzwoniąc do drzwi, zdał sobie sprawę, że przemókł do suchej nitki.

Izydor otworzył. Przez chwilę po prostu patrzyli na siebie.

— Potrzebuję twojej pomocy.

— Więc ją masz — odparł bez wahania Izydor. — Wchodź do środka.

*

Izydor podał mu brudny ręcznik.

— Co z Frankie?

— Niedobrze. — Gabriel wytarł głowę.

— Cóż, chyba można się było tego spodziewać. — Izydor wcisnął mu do ręki kubek czegoś parującego. — Masz. Rozgrzeje cię.

— Co to jest? — Gabriel upił trochę. Napój był tak gorący, że poparzył sobie podniebienie.

— Zupka błyskawiczna. Dobra rzecz.

Napar chrzęścił w zębach i nie miał smaku, ale siedzenie na okropnym fotelu z gardłem wypalonym przez gorącą zupę i patrzenie, jak Izydor krząta się po pokoju, przyniosło Gabrielowi dziwną pociechę. Telewizor był włączony, dźwięk ściszony. Kolejna powtórka serialu. Izydor wciąż kochał się w uwodzicielskiej, choć twardej jak stal Catherine Willows.

Gabriel opróżnił kubek i postawił go ostrożnie na wierzchu rozłożonego okładką do góry komiksu.

— Co się stało, Gabrielu?

Podniósł wzrok. Izydor obserwował go spokojnie.

— Myślę... — przerwał i spojrzał z powrotem na komiks. Okładka przedstawiała ostrą superbohaterkę z dużym biustem, odzianą w obcisły kostium dominy, która stawiała czoła podobnemu do jaszczurki łotrowi o trzech oczach. Panienska wyglądała tak, jakby potrafiła skopać tyłek każdemu pokrytemu łuską draniowi.

— Gabe. Co się dzieje? — Izydor zaczynał wyglądać na zaniepokojonego.

Gabriel wziął głęboki oddech.

— Myślę, że Whittington został zamordowany — teraz, kiedy słowa wreszcie wydostały się z jego ust, poczuł ulgę.

— O czym ty mówisz? Facet był nieuleczalnie chory. Szkoda, że umarł, ale to żadna niespodzianka.

— Izydorze, Whittington był chory na raka. A zmarł z powodu tętniaka mózgu.

— Kiedy człowiek choruje, odporność organizmu spada. Jest się o wiele bardziej narażonym na to, że coś zacznie dolegać innym organom.

— Tu było inaczej. Ja to wiem.

Przez kilka chwil Izydor wpatrywał się w niego.

— Mówisz, że został zamordowany. W takim razie wyjaśnij mi, w jaki sposób morderca mógł celowo wywołać tętniaka w czyimś mózgu. To po prostu niemożliwe.

— Myślę, że zrobiła to dzięki dalekowidzeniu.

— Ona? Kobieta, która utopiła Robbiego?

Gabriel kiwnął głową. W oczach Izydora ujrział przerażenie. Jego własny umysł był upiornie spokojny. Jakby dzięki wypowiedzeniu tych słów nareszcie zdołał przeciąć czyraka. Jednak kiedy spojrzał na swoje dłonie, zobaczył, że drżą.

— Dlaczego? To nie ma żadnego sensu. Czy ona po prostu ma coś do facetów z rodziny Whittingtonów?

— Tamtej nocy mnie zeskanowała, pamiętasz? Więc wiedziała, że będę szukał Robbiego, dopóki jego ojciec będzie tego chciał. Skoro

jego już nie ma, nie ma też powodu, bym kontynuował poszukiwania.

Cisza. Izydor był wstrząśnięty. W tle Gil Grissom mówił do smutnookiej Sary Sidle, z uniesioną zagadkowo brwią: „Najlepsze intencje często kończą się rozczarowaniem”.

Izydor poruszył się gwałtownie na krześle.

— Mam wrażenie, że nie tylko to cię martwi.

Dlaczego nie mógł powstrzymać drżenia rąk? Gabriel zwinął dłonie w pięści. Ale drżenie przeniosło się dalej i zaczynało ogarniać całe jego ciało. Nagle zaczął się mocno trząść.

— Myślę, że to moja wina.

— Wina? Że Whittington umarł? Oh, daj spokój, Gabe, zdejmij tę włosiennicę. Zeskanowano cię podstępem. Te kobiety podały ci prochy.

Gabriel nie odpowiedział. Zrelacjonował Izydorowi szczerze wydarzenia tamtego wieczoru, ale pominął co pikantniejsze szczegóły. Wciąż nie był pewien, czy między nim a którąś z sióstr nie doszło do stosunku. Wiedział jednak, że sam skan był głęboko erotycznym przeżyciem — w równej mierze przyjemnym, co przerażającym. Błogość i niebezpieczeństwo. Poczucie zagrożenia wzmagało jeszcze jego żądzę. Znajdował się pod wpływem narkotyków, ale gdyby nawet tak nie było, czy walczyłyby z tym? Kiedy przypomniał sobie to powolne, powolne badanie, wiedział, że nie. Jedna z sióstr rozpalila w jego mózgu ognistą burzę i każde zakończenie nerwowe jego ciała na nią odpowiedziało. Gabriel pragnął całkowicie oddać się pod jej kontrolę, pozwolić jej zrobić ze sobą, co chciała.

— Cholera — Izydor podniósł głos. — Właśnie przyszło mi to do głowy. Jeśli ta wiedźma potrafi na zawołanie sprawić, że ludziom pęka żyłka w mózgu, to ty również jesteś w niebezpieczeństwie.

— Nie myśl, że mnie też nie przyszło to do głowy. Ale nie jestem Whittingtonem. Ja też mam dar dalekowidzenia. Wiem, jak to zablokować.

— Tamtej nocy ci to nie pomogło. Byłeś właściwie zdany na jej łaskę.

— Sam powiedziałaś, że podały mi prochy. To już się nie powtórzy.

— Gabriel, nie rób tego. Frankie nie żąda od ciebie dotrzymania obietnicy. Skąd ta walka o sprawiedliwość?

Gabriel milczał.

Izydor odezwał się wolno, z niedowierzaniem.

— Tu nie chodzi o sprawiedliwość, prawda? Chcesz wiedzieć, o którą z nich chodzi. Obchodzi cię tylko to, czy kobieta, którą kochasz, jest morderczynią.

Gabriel nie odpowiedział.

— Nie mogę pozwolić, żebyś to ciągnął.

— Nie możesz mnie powstrzymać.

Przez kilka chwil patrzyli na siebie.

— Och, do diabła z tym — Izydor wzruszył ramionami z rezygnacją. — Więc co dalej?

— Cóż, do dziennika nie mamy już dostępu. Nie ma mowy, żebyśmy znowu zdołali włamać się do niego od zewnątrz. Będą się za bardzo pilnować. Ale wciąż musimy się dowiedzieć, co u licha znajduje się w tym drugim, cholernym pliku.

— W „Kluczu Prometeusza”.

— Dokładnie. I owszem, proszę bardzo, powiedz to. Powinienem otworzyć to cholerstwo już wieki temu. I masz rację: miałem szansę to zrobić i zmarnowałem ją.

— Więc co chcesz zrobić? Znowu się do nich włamać?

— Obawiam się, że tak. Przynajmniej tym razem szybko pójdzie. Znam hasło, więc będę musiał tylko wejść i wyjść.

— Kiedy?

— Dziś w nocy. Kiedy pójdą spać.

— No, to idę z tobą.

— Na pewno nie.

— Owszem, idę. Ktoś musi zabezpieczać tyły.

Gabriel spojrział na przyjaciela — zatroskane oczy, blond włosy opadające nieporządnie na czoło, kościste ramiona przygięte w hackerski garb. Nagle poczuł wzruszenie.

— Jesteś dobrym przyjacielem, Izydorze.

— Wiem. Nie zasługujesz na mnie. — Izydor uśmiechnął się szeroko.

— No dobra, możesz iść. — Gabriel podniósł dłoń, gdy oczy Izzydora rozbłysły. — Ale zostaniesz w furgonetce, kiedy ja się wślizgnę i odwalę robotę. Szybko i czysto.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Zanim nastał zmrok, pogoda jeszcze się pogorszyła. Wiatr o sile huraganu kołysał drzewami, a deszcz opadał grubą zasłoną. Nawet we wnętrzu furgonetki Gabriel słyszał odgłos kropli uderzających o maskę jak werble.

Siedzieli w ciemnym pojeździe od dwóch godzin, patrząc na stłumione światło, prześwitujące przez na wpół zaciągnięte zasłony na górnym piętrze Monk House. Reszta domu była ciemna, ale to jedno światełko wciąż się paliło — rozproszony pomarańczowy blask w zacinającym deszczu. Kilka razy Gabriel zastanawiał się już, czy mimo wszystko nie wejść. Ona była na drugim piętrze, a on ograniczył się do parteru. Jeśli będzie bardzo cicho...

Jednak Izydor nie chciał o tym słyszeć.

— Nie będziemy ryzykować — upierał się stanowczo. — Z tą kobietą nie należy zadzierać. Nie chcę, żebyś skończył jak mąż Frankie. Nie chcę, żeby nawet podejrzewała, że jesteś w domu.

A zatem czekali, zabijając czas jedzeniem pączków — był to wkład Izzydora w ich zaopatrzenie na czas obserwacji — i popijając je czarną kawą z termosu, który Gabriel napełnił przed wyjściem z domu. Jednak przy tych ilościach kofeiny i cukru zaczynał mieć problem z opanowaniem niecierpliwości.

Na najwyższym piętrze znajdowały się dwie sypialnie, a światło dochodziło z narożnego pokoju, lecz niestety przez cały ten czas, który spędził z siostrami, Gabriel nigdy nie dowiedział się, która sypialnia była czyja. Piętro zawsze było dla niego terytorium zakazanym, więc nie miał pojęcia, która z nich była nocnym markiem: Minnalosushe czy Morrighan.

Spojrzał na zegarek. Pół godziny po północy. Godzina czarownic.

— Jak to było? — spytał Izydor od niechcienia.

— Jak co było?

— Mówię o tym wszystkim, co ci się przydarzyło na przyjęciu urodzinowym. Latanie w powietrzu, słuchanie anielskiego śpiewu i cała reszta.

— Czemu pytasz?

— Nie wiem. Wyczuwam w tobie jakąś zmianę. Trudno to wyjaśnić. Zastanawiałem się, czy istnieje jakieś połączenie.

Gabriel spojrzał w mrok przed sobą.

— To była najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką kiedykolwiek przeżyłem — zawahał się. — I... to tak, jakbym spróbował czegoś, i teraz tego łaknę.

Tylko że nie wiedział, jak zaspokoić swoje pragnienie. Jak odzyskać to poczucie wszechmocy? Czuł się wtedy dość silny, by wystrzelić ze swego ciała i wzlecieć. Na tę jedną noc przyciąganie ziemskie i śmiertelność przestały dla niego istnieć. Czy tego właśnie poszukiwał Robert Whittington? Jeśli tak, to Gabriel rozumiał już głód chłopaka. To samo pragnienie stało się teraz integralną częścią jego samego: zostało wyryte w jego mózgu.

— Martwię się o ciebie, Gabe.

— Nie musisz.

— Pragnienia są niebezpieczne.

— To był tylko posmak. Nic więcej.

Lecz przecież sama myśl, że już nigdy tego nie przeżyje, była po prostu rozdzierająca. Gabriel nie zamierzał mówić Izydorowi, jak bardzo w rzeczywistości pragnął kolejnego razu. Nie chciał się do tego

przyznawać nawet przed sobą. Ale obsesyjnie o tym marzył.

Deszcz dalej tłukł o furgonetkę i zalewał przednią szybę. Od czasu do czasu słyszeli słaby jęk, gdy wiatr przybierał na sile.

— Patrz — głos Izydora był napięty z emocji. — Zgasło.

Gabriel odwrócił głowę i spojrzał na dom. Oświetlone przedtem okno było ciemne. Położył rękę na klamce, ale Izydor chwycił go za nadgarstek.

— Poczekaj jeszcze dwadzieścia minut. Niech najpierw zaśnie.

Czekali. Deszcz lał dalej.

— Dobra. Idę. — Gabriel naciągnął na głowę kaptur kurtki przeciwdeszczowej i ciasno zaciągnął sznurki pod brodą.

— Komórkę masz ustawioną na wibrację?

— Jasne. — Gabriel poklepał się po kieszeni dzinsów. Komórka miała umożliwić Izydorowi kontakt w razie potrzeby. Na przykład gdyby światło na górze znowu się zapaliło. Albo gdyby pojawił się jakiś policjant. Nie byłoby dobrze, gdyby Gabriel wykradł się z domu tylko po to, żeby wpaść na glinę.

— I pamiętasz hasło?

Gabriel obrzucił przyjaciela miażdżącym spojrzeniem.

— Dobra. Dobra. Tylko się upewniam.

Gabriel popchnął drzwi i skrzywił się, kiedy uderzył w niego wiatr i deszcz. Niezbyt dobra pogoda na spacer. Wskoczył z furgonetki i zatrzasnął drzwi.

Ulica była zupełnie pusta. Przeszedł szybko do alejki na tyłach Monk House, tak samo jak w tamten letni wieczór, kiedy po raz pierwszy odwiedził potajemnie dom. Wieki temu.

Furtka nie była zamknięta na klucz, tak jak się spodziewał. Siostry korzystały z alejki, kiedy wносиły śmieci, i Gabriel wiedział, że prawie nigdy za sobą nie zamykały. Ale drzwi do ogrodu na pewno będą zamknięte, a od czasu jego ostatniego włamania zainstalowano bardziej wyrafinowany zamek. I pomyśleć, że przez ostatnie dwa miesiące w każdej chwili mógł dorobić sobie klucz.

Zaniedbałem się w obowiązkach, pomyślał z goryczą. Był pewien, że nimi kieruje, podczas gdy to jego samego uwiedziono, zmanipulowano i pochlebstwem zmuszono do uległości. Całkowicie się im się poddał, i dlatego właśnie stał teraz w przemoczonych butach w zalanym deszczem ogrodzie, drżąc z zimna i marząc, by nie musiał tu być.

Ogród wyglądał na opuszczony. Zgarbione drzewo nad basenem utraciło ogniste kwiaty. Dom czekał, ciemny i nieruchomy.

Gabriel podszedł do drzwi ogrodowych z witrażowymi panelami. Wsadził cienką latarkę między zęby, żeby mieć wolne ręce, po czym sięgnął do kieszeni kurtki po futerał z wytrychami.

Nowy zamek był trudniejszy do otworzenia niż stary, ale nie było to niemożliwe. Włamywanie się było mocną stroną Gabriela. Jednak robienie tego podczas ulewy nie było bułką z masłem. Pracując nad zamkiem, Gabriel usiłował zignorować deszcz, który wlewał mu się za kołnierz. Mimo to nie potrafił powstrzymać się od drżenia.

Spojrzał niespokojnie na srebrzyste okna domu, wyrastające w nocne niebo ponad nim. Ale wszędzie było cicho. Nic się nie poruszyło.

Nareszcie. Poczul, że zamek ustępuje. Wsadził latarkę z powrotem do kieszeni i popchnął drzwi.

Cholerstwo zatrzeszczało jak wrota do opuszczonej krypty.

Gabriel zamarł, poczym szybko wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi.

Nagła cisza była denerwująca. Przez długą chwilę czekał, spodziewając się w każdej chwili powodzi spływającego po schodach światła. To skrzypnięcie było wystarczająco głośne, żeby zbudzić umarłego.

Dom pozostał ciemny.

Gabriel powoli wypuścił powietrze. Jeszcze przez kilka minut stał bez ruchu, pozwalając oczom przywyknąć do mroku we wnętrzu. Dalej, po drugiej stronie pokoju, stały oba komputery z włączonymi wygaszaczami: dwie wiedzmy słoneczne z pęczniejącymi i malejącymi słońcami unoszącymi się na tle czerni.

Przez umysł Gabriela przemknął obraz śpiących dwie kondygnacje wyżej kobiet. Pewnie oddychały głęboko, pogrążone w objęciach snu. Obejmowały poduszki, a pościel owijała się dookoła ich ciał. Nagie ręce, nagie ramiona, długie nagie nogi. Włosy rozrzucone na poduszkach jak wodorosty. A jedna z nich mogła śnić o nim... Może powinien zakraść się po schodach, stanąć pod drzwiami, posłuchać ich cichych oddechów...

Przezań, powiedział sobie ostro. Boże, ależ jesteś żaloszny.

Znowu włączył latarkę i kilka razy omiół snopem światła pokój. Ostrożnie zrobił kilka kroków naprzód.

Staął. Jego przemoczone buty człapały po podłodze. Gabriel wepchnął latarkę do kieszeni i pochylił się, żeby rozwiązać sznurówki — nie było to takie proste, biorąc pod uwagę, że były mokre — po czym zsunął buty ze stóp. Teraz miał na nogach tylko skarpetki i nie robił hałasu.

Cichutko minął półki, ptasie szkielety, liczydła o paciorkach z kości słoniowej. Doskonale znał ten salon i mieszczące się w nim przedmioty, ale dziś, w prawie absolutnym mroku, z deszczem uderzającym o szare szyby, to miejsce wydawało się obce. Gabriel zawsze kojarzył ten pokój z kwiatami i piękną muzyką. A teraz czuł się tak, jakby oglądał zniekształconą, czarno-białą odbitkę kolorowego wspomnienia. Na wpół zapamiętany obraz pojawiający się w złym śnie. Jakakolwiek muzyka w tym pokoju musiałaby być fałszywa.

Maski. Ciemne kształty na ścianie. Czuł na sobie ich wzrok.

Dotarł do długiego stołu z dwoma komputerami. Dotknął klawisza spacji na klawiaturze Maca. Ekran zapełnił się ikonami pulpitu. Gabriel kliknął na nazwę dokumentu „Klucz Prometeusza”. Ekran zamrugał i pojawiło się okienko z pytaniem o hasło.

Bez wahania wpisał słowa Hermes Trismegistus.

Przez jedną straszłą chwilę kursor dalej migał. Potem jednak ekran pojaśniał. Sezamie, otwórz się.

Przed Gabrielem pojawiło się menu. „Klucz Prometeusza” składał się z czterech podplików: Wschód: Umysł, Zachód: Ciało, Północ: Duch,

oraz Południe: Portal — Chi. Za każdą z nazw znajdował się maleńki kwadracik. Gabriel położył dłoń na myszce i zaznaczył wszystkie po kolei.

Przyniósł ze sobą pustą płytę. Wsunął ją do komputera i wydał polecenie skopiowania wszystkich czterech części „Klucza” na dysk. Światelko przy stacji dysków zamrugalo i Gabriel usłyszał odgłos cichego wirowania. Zaczęło się zapisywanie.

Gabriel odwrócił się na krześle tak, że siedział teraz przed IBM-em. Stuknął w klawisz enter i pojawił się pulpit.

„Dziennik”.

Od kiedy siostry wyrzuciły go z domu, Dziennik był przed nim zamknięty. Zabiły jego trojana. Ale w tej chwili miał bezpośredni dostęp do komputera, a ten wciąż był podłączony do Internetu. Będzie mógł reaktywować swego poległego wojownika.

Wziął się za klawiaturę. Nie powiedział Izidorowi, że jego plan na dzisiaj obejmował również jedno ostatnie spojrzenie na Dziennik. Izidor mógłby zarzucić mu, że był to jedyny powód włamania do Monk House — nie zaś sprawdzenie, co kryło się w „Kluczu Prometeusza”.

Jego palce śmigały po klawiaturze. *7 października. Zdrada to najsmutniejsze słowo, jakie istnieje...* Na chwilę zamknął oczy. Udało mu się.

Zdrada to najsmutniejsze słowo, jakie istnieje... zaufać komuś i odkryć, że cię zawiódł. Zdradził.

Wykorzystał nas. Czy mogłyśmy być bardziej naiwne? Wpuściłyśmy do domu zawodowego hakera i nawet nie pomyślałyśmy, że możemy czymś ryzykować? Co za arogancja. I próżność. Ta myśl nigdy nie przyszła nam do głowy — a dlaczego? Bo uważałyśmy, że nim kierujemy. Zamiast tego to on kierował nami. Uśmiechał się do nas przyjaznymi oczami, a przez cały ten czas jego serce pozostawało zimne, zaś umysł podejrzliwy. Szpieg.

Powinnam być wściekła. Przeczytał mój Dziennik. Ale zamiast wściekłości, czuję tęsknotę. Brakuje mi go. Z jednej strony czuję się zgwałcona. Z drugiej — każda kobieta pragnie podzielić się sobą z mężczyzną, którego kocha, pozwolić mu naprawdę się poznać.

M. jest zła i zawiedziona, a ja obawiam się tego. Gniew i rozczarowanie to potężna mieszanka, a M. prawie wrze. Boję się o G. Boję się tego, co M. może mu zrobić.

Co ja właściwie mówię?

G. sądzi, że R. został zamordowany. Czy ma rację?

Wreszcie to przyznaję. Pozwalam sobie pomyśleć to, co jest nie do pomyślenia. Że R. nie odszedł z własnej woli, ale że coś mu się stało. I że M. może za to odpowiadać.

Czy M. jest morderczynią?

Obawiam się, że G. też może być w niebezpieczeństwie. Boję się, że coś mu się stanie, a ja nawet nie będę o tym wiedziała. A co, jeśli M. spróbuje go skrzywdzić, a mnie tam nie będzie, żeby go ochronić?

Nagle przy jego biodrze zaczęła wibrować komórka. Gabriel chwycił ją i podniósł do ucha. Zasłonił usta dłonią i zniżył głos do szeptu.

— Co?

— Wynos się stamtąd — głos Izydora był pełen napięcia. — Obudzila się.

Gabriel spojrział w kierunku schodów, które, chociaż w cieniu, były wyraźnie widoczne z miejsca, w którym siedział.

— Nie widzę żadnego światła.

— Włączyła je tylko na chwilę i znowu zgasła. Jasna cholera! Nie dyskutuj! Zjeżdżaj stamtąd natychmiast!

Gabriel wepchnął telefon z powrotem do kieszeni i odwrócił się do Maca. Zapisywanie nie dobiegło jeszcze końca. Wschód, Zachód i Północ zostały skopiuwane, ale proces kopiowania Południa — Portalu — dopiero się zaczął.

Spojrzał z powrotem na zaciemnione schody w agonii niezdecydowania. Dotarcie z górnego piętra na dół zajmie jej niewiele czasu. Ale kto powiedział, że w ogóle tu szła? Może po prostu chciała napić się wody i wróciła z powrotem do łóżka.

Schody nadal były ciemne. Stacja dysków mruczała cicho.

A potem, znienacka, pojawiła się. Jak duch.

Stała na pierwszym podeście, jej dłoń spoczywała lekko na poręczy. Jej twarz była pogrążona głęboko w cieniu, ale kobieta miała na sobie długą, obszerną, zwiewną koszulę nocną w bladym kolorze, co potęgowało jeszcze wrażenie Gabriela, że patrzy na zjawę — nie na kogoś z krwi i kości.

Zareagował instynktownie. Kliknął ikonkę „przerwij” i niemal jednocześnie mocno pchnął palcem przycisk otwierania przy stacji dysków. Kieszeń wysunęła się łagodnie. Kiedy jeszcze chwycił dysk, kobieta zaczęła schodzić po schodach.

Gabriel odwrócił się i pobiegł w stronę drzwi ogrodowych. W pośpiechu wpadł na podnózek i jęknął z bólu, kiedy ostra krawędź mebla wbiła mu się w piszczel. Biegnąc dalej ku drzwiom, rozglądał się wśród cieni za swoimi butami. Gdzie one są? Nigdzie ich nie widział.

Trudno. Teraz już za późno. Dotarł do drzwi. Położył dłoń na klamce, szarpnął i wybiegł na deszcz.

Strach pognał go przez ogród i Gabriel nie zatrzymał się, dopóki nie dotarł do furtki, która miała go wypuścić. Dysząc ciężko, z ciałem wciąż buzującym od adrenaliny, odwrócił się i spojrzał jeszcze raz na dom.

Z początku nie mógł jej dostrzec. Potem jednak, kiedy wyteżył wzrok w zacinającym deszczu, rozpoznał jej sylwetkę w oknie, przez które wyglądała. Nie widział jej oczu ani twarzy, ale siła jej obecności ogarnęła go jak światło reflektora.

Przez długą, długą chwilę patrzyli na siebie przez mrok i deszcz. Potem Gabriel odwrócił się do niej plecami i wyślizgnął z ogrodu.

*

Izydor wlał wodę z czajnika do miednicy. — Wsadź tu nogi.

Gabriel zanurzył ostrożnie palec w parującej wodzie i krzyknął.

— Najpierw dodaj trochę zimnej.

— Lwie serce. — Jednak Izidor posłuchał i dołął do miednicy trochę wody z kranu. — Lepiej?

Gabriel stęknął. Jego stopy były jak bryły lodu i całkiem zsiniały. Podeszwa jednej z nich była rozcięta i krwawiła po tym, jak Gabriel pędząc alejką za domem nadepnął na ostrą krawędź pustej puszk. Na piszczelu, tam, gdzie uderzył o podnózek, zaczynał się tworzyć całkiem okazały siniak. Gabriel czuł się tak, jakby wrócił z wojny.

Izidor wyczarował skądś butelkę środka dezynfekującego i wlewał teraz do wody długi strumień bursztynowego płynu, który zmieniał jej kolor na mleczny.

— Żeby powstrzymać infekcję — wyjaśnił. — Ta puszka pewnie była brudna.

Gabriel wciągnął lekko powietrze, wsuwając przemarznięte stopy do wody. Wciąż była piekielnie gorąca. Izidor zamieszał ją drewnianą łyżką.

— To już druga para butów, którą u nich zostawiłeś.

— Fakt.

— I tym razem chyba ci jej nie odeślą.

— Nieważne.

— Ważne, że teraz nasza morderczyni doskonale wie, kim był nocny włamywacz, i kto włamał się do Maca.

Gabriel wrócił myślami do momentu, kiedy on i tamta kobieta patrzyli na siebie przez mrok i deszcz, nie widząc się wzajemnie. Niewidzące oczy, ale umysły zjednoczone.

— Wiedziałyby, że to ja, nawet gdybym nie zostawił tam butów.

— I nie potrafiłeś rozpoznać, która to była?

— Nie. Przez cały czas była w cieniu, a koszula, którą miała na sobie, była ogromna, więc nie mogłem jej poznać po figurze. Ale... — Gabriel uśmiechnął się. — Jedną rzecz udało mi się dziś ustalić — przerwał i uśmiechnął się znowu. — Kiedy czekałem na skopiowanie „Klucza”, zajrzałem do Dziennika.

— Nie gadaj. No i?

— Cóż, jedno jest jasne jak słońce. Autorka nie jest morderczynią. I nie wie, co stało się z Robbiem Whittingtonem. Ale zaczyna mieć swoje podejrzenia. I boi się swojej siostry, a raczej tego, do czego ona jest zdolna. Napisała to wprost.

Izydor pochylił się i trzepnął Gabriela w ramię.

— Brawo, stary. Mogę ci szczerze powiedzieć, że miałem duże wątpliwości. Wiem, że uwielbiasz ten Dziennik, ale moim zdaniem jest dość przerażający. Nietrudno sobie wyobrazić, że jego autorka mogłaby być zdolna do morderstwa.

— No cóż, nie jest. A co więcej, coś do mnie czuje.

— Cieszę się twoim szczęściem. Gdybyś tylko jeszcze wiedział, o którą z nich chodzi...

Gabriel westchnął.

— Przydałoby się.

— No, ja też mam kilka wieści. Pamiętasz mojego kuzyna Dereka? Tego farmaceutę? Poznałeś go jakiś rok temu na tamtej konferencji naukowej w Northampton.

— Trochę.

— No, więc dałem mu tamtą butelkę z resztkami wina jagodowego, którą ze sobą zabrałeś tego dnia, kiedy dziewczyny cię wykopały, i poprosiłem, żeby je zbadał.

— Naprawdę? — zdziwił się Gabriel.

— Człowieku, to potężny szajs. Podobno jest w nim belladonna, cykuta i ashwagandha, i jeszcze od cholery innych rzeczy. Derek był wręcz zafascynowany. Powiedział, że gdyby osoba, która mieszała napój, nie była tak zręcznym chemikiem, już byś nie żył.

— Doprawdy. To pocieszające.

— Podobno taka mikstura jest w stanie zmienić rytm serca. Niemal na pewno wywoła zawroty głowy, halucynacje i wrażenie, że unosisz się albo spadasz. I na sto procent eliminuje zahamowania. Ma również efekt kumulacyjny. Więc im dłużej jej używasz, tym bardziej stajesz się podatny na jej skutki. Piłeś to dość długo, prawda?

Gabriel zastanowił się.

— Około ośmiu tygodni.

— Nic dziwnego, że nie potrafisz oprzeć się skanowi. Zamarynowały cię jak kawałek twardego steku.

— To by się mniej więcej zgadzało.

— Derek mówił też, że trzeba z tym uważać, bo może ci tak stanąć, że nie ma zmiłuj się. Plemię Makonde z Tanzanii używa czegoś podobnego jako viagry domowej roboty.

— Aha.

Izydor rzucił mu ironiczne spojrzenie.

— W porządku. Zobaczmy, co nam powie to maleństwo.

Podniósł płytkę ze skopiowanym „Kluczem Prometeusza”.

Gabriel wyjął nogi z wody. Kiedy zaczął je wycierać ręcznikiem, kichnął. Sięgnął do kieszeni, szukając chusteczki do nosa, ale zamiast tego jego palce natknęły się na coś okrągłego i twardego.

Był to amulet подарowany mu przez właściciela magicznego sklepu. Gabriel zupełnie o nim zapomniał. Obracając malutki przedmiot w dłoni, ponownie zaskoczony był jego ciężarem. Żelazo, jeśli dobrze pamiętał. Na ochronę przed czarami, powiedział mężczyzna. No, chyba dzisiaj spełnił swoją funkcję.

Siedzący przy komputerze Izydor powiedział przez ramię:

— Wiesz, że plik nie jest kompletny. Kiedy uciekałeś, ładowanie czwartej części — „Portalu” — zostało przerwane. Więc mamy tylko trzy pierwsze części.

— Może to wystarczy.

— Wow — głos Izydora zniżył się do szeptu. — Popatrz tylko.

Gabriel niezgrabnie wepchnął amulet z powrotem do kieszeni i podniósł się. Zajrzał Izydorowi przez ramię.

Ekran komputera wypełniły grafiki — tajemnicze ikony, idiosynkratyczne symbole. W miarę, jak Izydor przesuwiał się w dół kolejnych stron, zaczęło to wyglądać jak jakiś dziwny, tajemniczy gobelin.

Były też szkice. Szkice architektoniczne. Drobiazgowy rysunki przejść, mostów zwodzonych, schodów, detale sufitów, galerie. I drzwi. Wiele drzwi. Drzwi z panelami. Drzwi z daszkami w kształcie muszli. Wysokie drzwi obramowane architravami i pilastrami. Małe, skromne drzwiczki. Pokoje, do których prowadziły, były opatrzone podpisami, te jednak były zakodowane i niezrozumiałe. Mimo to, kiedy Gabriel patrzył na plany, zrobiło mu się zimno.

— Ja tam byłem.

— Co? — Izydor obrócił się na krześle.

— To są plany domu o milionie drzwi.

— Jaja sobie robisz.

— Albo przynajmniej częściowe plany. Oczywiście to tylko maleńki, maleńki wycinek. Ale nie ma co do tego wątpliwości: przechodziłem przez te pokoje. Widzisz te drzwi tutaj? Prowadzą do pokoju zapchanego od podłogi po sufit połamanymi skrzypcami. A ten długi, owalny pokój to ciepłarnia pełna mięsożernych roślin. Dokładnie to pamiętam.

— Więc czym do diabła jest to miejsce?

— Nie wiem — powiedział Gabriel, który z zaskoczeniem odkrył, że podniosły mu się włoski na rękach. — Ale wierz mi, kiedy się po nim przejdiesz... możesz oszaleć.

PORTAL



*Szukając tajemniczego portalu, musisz... stać się niewidzialny,
tak, byś mógł prześlizgnąć się niezauważony.*

Nei Pian z Ko Hong

(starożytny traktat o alchemii, medycynie i religii, 320 r. n.e.).

Cytat za Ashida Kim, *Niewidzialna Pięść*

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Koszmar zaczął się następnego dnia po włamaniu.

Po wyjściu od Izydora, Gabriel wrócił do domu i przez bite cztery godziny pracował, próbując rozgryźć informacje na dysku. Jeśli przyjrzy się wystarczająco uważnie, na pewno znajdzie jakąś wskazówkę.

Ale wszystko na nic. Jakby próbował czytać w obcym języku. Zasnął przy biurku tuż po wschodzie słońca, z komputerem wciąż wyświetlającym jedną ze stron „Klucza Prometeusza”.

Kiedy się obudził, zegarek wskazywał godzinę dziewiątą rano. W głowie miał zamęt. Spojrzał na ekran komputera i wzdrygnął się. O nie. Po prostu nie był na razie w stanie pracować nad tym zdradliwym, tajemniczym tekstem. Może powinien pójść na siłownię. Stopa wciąż bolała go po tym, jak nadepnął na puszkę, ale nie aż tak bardzo, żeby nie był w stanie ćwiczyć. Może trening sprawi, że jego synapsy znowu zaczną działać. Pozwoli mu podejść do „Klucza” na świeżo.

Biegł na bieżni w spokojnym, relaksacyjnym tempie, kiedy wszystko się zaczęło. Patrzył na ładną blondynkę o imponujących mięśniach piersiowych, która z przerażającą energią atakowała urządzenie do wiosłowania. W następnej chwili leżał już na ziemi, a bieżnia sunąca z prędkością ośmiu mil na godzinę ściągnęła jego ciało na bok. Gabriel nie był w stanie się podnieść. Wiedział tylko, że jego

głowa zmieniła się w ognistą kulę bólu. A potem, nic.

— On chyba ma atak epilepsji — powiedział zaniepokojony kobiecy głos.

— Dajcie mu oddychać — kolejny głos.

Mężczyzna mówiący rozkazującym tonem.

Gabriel otworzył oczy. Leżał płasko na plecach. Dookoła widział krąg wpatrujących się w niego twarzy. Zupełnie jak na filmach, pomyślał. Kiedy bohater traci przytomność. Teraz pewnie powinien zapytać: „Gdzie ja jestem?”.

Ale Gabriel wiedział, gdzie jest. Głowa potwornie go bolała, ale nie był zdezorientowany. Dokładnie wiedział, co się stało. I kto za to odpowiadał.

Wsparł się na rękach i powoli uniósł.

— Spokojnie — rzekł mężczyzna, który odezwał się wcześniej, jeden z trenerów na siłowni. Pomógł mu wstać. — Wszystko w porządku? Mamy wezwać lekarza?

— Nic mi nie jest.

Trener spojrział na niego z powątpiewaniem.

— Może powinieneś usiąść, co ty na to? Przyniosę trochę wody.

Popchnął Gabriela na siedzisko jednej z maszyn do podnoszenia ciężarów i odszedł zdecydowanym krokiem w stronę automatu z wodą.

Gabriel dotknął czoła. Lepiło się od potu, trudno powiedzieć, czy po biegu, czy z bólu. A we wnętrzu jego czaszki umościł się mały człowieczek. Mały człowieczek z ogromnym kilofem, machający nim na wszystkie strony i wykopujący miękkie bryły tkanki mózgowej.

— Proszę. — Trener podetknął mu pod nos wielką łapę, w której trzymał plastikowy kubeczek z wodą.

— Dzięki. — Gabriel zauważył, jakby że kilka innych osób przyglądało mu się ukradkiem. Niektórzy ze współczuciem, inni z pogardą.

Gabriel łyknął wody z kubeczka. Ale wyglądało na to, że nawet

prosta czynność przełykania dała małemu człowieczkowi z kilofem kopa, by zwiększył tempo.

— Chyba powinienem pójść do domu — powiedział Gabriel do trenera, który wciąż patrzył na niego z obawą.

— Jasne. — Mężczyzna wyglądał, jakby mu ulżyło. — Odpocznij trochę, okej?

W męskiej szatni Gabriel wyjął z szafki swoją torbę. Ale zamiast wyjść na zewnątrz, usiadł na jednej z drewnianych ławek. Oparł głowę o ścianę i zamknął oczy. Czas na podsumowanie. Sięgnął myślami wstecz, próbując w zwolnionym tempie odtworzyć wszystko w pamięci: przypomnieć sobie, co zaszło, klatka po klatce.

Bieg. Sunąca gładko bieżnia. Blondynka ćwicząca na maszynie do wiosłowania. Mdłości, z początku niewielkie, ale wciąż narastające. Dźwięki w pomieszczeniu nikną. A potem niezwykle wrażenie, że w jego mózgu otworzyło się jakieś okienko. Szczelina, przez którą wiała się ogromna kaskada obrazów przygniatających jego umysł z siłą lawiny. Uruchomił się odruch obronny. Jego mózg zaczął gwałtownie blokować. Fala przypływu została zatrzymana, ale Gabriel miał głowę przepełnioną bólem. Bólem, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył, który zdmuchnął jego świadomość. Jego mózg załamał się jak przeładowany komputer. Utrata świadomości.

Atak myślowy. To, co doprowadziło mózg Roberta Whittingtona do uszkodzenia, zanim się utopił, i co zabiło jego ojca. A teraz przyszła kolej na Gabriela.

Już dwa razy weszła do jego umysłu, ale wtedy chodziło o skany: eksploracja, misja poszukiwawcza. Ćwiczenia zapoznawcze.

Ale tym razem to nie był skan. To był atak.

Gabriel siedział spokojnie jeszcze przez kilka sekund, próbując pogodzić się z tym, co to oznaczało. Ale trudno mu było się skupić. Mały człowieczek w jego mózgu nadal dziarsko wymachiwał kilofem. Musiał być w niezłej formie: odkąd rozpoczął swoje dzieło zniszczenia, jeszcze nie zwolnił. Gabriel wiedział, że powinien się wysilić i

wrócić do domu, ale tu było tak spokojnie, a on był tak strasznie zmęczony. Myśl o ruszeniu w drogę wydawała się potwornie przytłaczająca.

Wstawaj, Blackstone. Nie możesz do końca życia ukrywać się w męskiej szatni.

Na zewnątrz świeciło słońce. Na bezchmurnym niebie nie było śladów po burzy, która szalała w nocy. Było jednak bardzo zimno. Albo może po prostu Gabriel wciąż był w szoku.

Przyjechał na siłownię rowerem. Przez chwilę zastanawiał się, czy go nie zostawić i nie wrócić taksówką. W jego stanie nawet nosze byłyby mile widziane. Ale w tych okolicach trudno było znaleźć taksówkę, a gdyby nawet ją złapał, musiałby potem wrócić po rower. Lepiej już wziąć się w garść. Do domu nie było aż tak daleko.

Pedałował wolno, wciąż trzymając się lewej strony ulicy i ostrożnie przejeżdżając przez skrzyżowania. Nie ryzykował. Jeszcze tylko kilka minut i będzie w domu. Azyl.

A potem znowu się zaczęło. I tym razem niemal go zabiło.

Gabriel pedałował wolno i ostrożnie, uważając na rozklekotanego MG, którego kierowca sygnalizował, że chce zmienić pas, kiedy poczuł w całym ciele ból i mdłości. Wrażenie to było tak silne, że niemal wyrzucił się z rowerem. Skręcił gwałtownie, a kierowca za nim zatrałił ze złością. Przez kilka strasznych chwil Gabriel czuł się tak, jakby wpadł do beczki śmiechu podczas karnawału. Wszystko było przeraźliwie jasne. Nic nie miało sensu. Ruch uliczny dookoła niego był jedynym przerażającym chaosem. A potem ktoś opróżnił do jego mózgu ogromny kontener boleśnie ruchliwych obrazów, przez okno jego umysłu pędziła z ogromną prędkością powódź — zbyt szybko, by przetworzyć informacje: chora, psychodeliczna plama.

Blokuj! Blokuj! Okropny zalew obrazów został nagle odcięty, ale w tej samej chwili przez jego głowę przebiła się z miażdżącą siłą strzała bólu. Gabriel niejasno zdawał sobie sprawę, że rower kołysał się pod nim jak opętany — miał jednak wrażenie, jakby działa się to z kimś innym, nie z nim. Z kimś innym...

Z otępienia wyrwał go potężny pisk hamulców i gwałtowne trąbienie autobusu. Gabriel wjechał na pas dla autobusów — prosto pod nadjeżdżający pojazd.

Krzyknął. Gwałtownie skrzył rowerem na bok i wpadł na chodnik, prosto w tłum pieszych. Kiedy rower przewracał się na ziemię, usłyszał okrzyki strachu i złości.

Leżał tam, gdzie upadł. Słyszał głosy, ale nikt nie podszedł, żeby zobaczyć, czy nic mu się nie stało. Ktoś powiedział coś cicho, z obrzydzeniem, i Gabrielowi zdawało się, że usłyszał słowo „pijak”.

Nie wiedział, ile czasu leżał na ziemi, gapiąc się głupio w niebo. Kiedy w końcu podniósł się, był samotną wyspą w morzu przechodniów. Ludzie obchodzili go szerokim łukiem i odwracali od niego twarzą.

Rower miał wygięte koło. Nie można było na nim jechać. Gabriel podniósł go i zaczął jak automat prowadzić obok siebie. Nie potrafił się skupić. Wszystko dookoła było kruche i nietrwałe. Jego myśli niespójne.

Atak myślowy.

Skończyła z zabawą. Gabriel znalazł się na celowniku.

*

Większą część dnia spędził w łóżku. Kiedy dotarł do domu, połknął garść nurofenów i dwie tabletki nasenne. Później będzie dość czasu, żeby zastanawiać się nad tym co zaszło, i opracować plan działania. Lecz w tej chwili działanie było ostatnią rzeczą, o jakiej myślał. Pragnął jedynie wytchnienia od potężnego bólu w czaszce.

Lecz kiedy obudził się pełne pięć godzin później, w głowie wciąż go łupało. Mniej niż poprzednio, ale ból wciąż tam był, czaił się chytrze wśród zwojów nerwowych. Była dopiero czwarta po południu, ale niebo przybrało już żółtawy kolor, a słońce zachodziło. Jego sypialnia była szara od cieni. Gabriel ciaśniej owinął ramiona kocem i spróbował się skupić.

Musiał zdecydować, co robić. Chociaż miał dobrze rozwinięty

odruch blokowania, nie będzie w stanie dalej bronić się przed takimi cięgami, jakie przeżył dziś jego umysł. W czasie drugiego ataku, poczuł, jak jego mózg się zapada.

Dlaczego teraz? W noc przyjęcia urodzinowego był na jej łasce, ale nie zrobiła mu krzywdy, tylko skanowała. Więc co się zmieniło? Co sprawiło, że postanowiła go zniszczyć?

„Klucz Prometeusza”. To, że Gabriel go zdobył, rozwścieczyło ją do tego stopnia, że zaatakowała z całą siłą. Nie było innego wytłumaczenia. Architektoniczne szkice z pewnością pochodziły z domu o milionie drzwi, ale czym był ten dom?

Gabriel podniósł się z łóżka i powlókł do komputera, owijając się kocem jak jakiś bezdomny. Zaczął przewijać strony w dół, przebiegając oczami po nieczytelnych symbolach i tajemniczych odnośnikach. Gdzieś wśród tego wszystkiego musi być coś, co pozwoliłoby zrozumieć...

Zatrzymał dłoń.

Pałac pamięci. Elektrownia = portal.

Wbił wzrok w migający kursor, który wskazywał słowo „pamięć”.

Może dom o milionie drzwi nie był domem. Może był pałacem.

Ale pałac pamięci? Co to jest pałac pamięci?

Nie. Zadawał niewłaściwe pytanie. Powinien pytać nie co, ale kto. Kto był w stanie zaprojektować taki pałac? Kto byłby w stanie stworzyć to miejsce, do którego zwabiono chłopca i gdzie go zabito?

Odpowiedź kryła się w słowie „pamięć”. Gabriel znał tylko jedną osobę, która studiowała problem pamięci z rygiorem uczonego i oddaniem mistyka.

Minnaloushe.

Minnaloushe była architektem pałacu pamięci. Miejsca, w którym Robert Whittington podążył za kobietą, która zaprowadziła go na śmierć.

W końcu ją zidentyfikował.

Och, Minnaloushe. Dlaczego?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Minnaloushe zamordowała Roberta Whittingtona. Trzymała jego głowę pod wodą, dopóki się nie utopił.

Gabriel oddychał płytko. Było mu niedobrze.

Okej. To nie pora na rozklejanie się. Myśl.

Znalazł odpowiedź na jedno pytanie. Kto?

Pozostawało jeszcze jedno. Dlaczego? Dlaczego Minnaloushe zamordowała Roberta Whittingtona?

Odpowiedź na to pytanie wiązała się z pałacem pamięci. Ale Gabriel wciąż nie wiedział, co to takiego. A dopóki się tego nie dowie, nie będzie w stanie rozwikłać zagadki.

Rozwiązanie mogło znajdować się zaledwie o jedno kliknięcie myszką. Kiedy wchodził do swojej ulubionej wyszukiwarki, czuł, jak serce wali mu w piersiach.

Pałac pamięci

Pierwszy link, na który kliknął, prowadził do osobistej strony jakiegoś Adriana Stallworthy'ego. Nie było na niej żadnego zdjęcia, a dane osobiste pana Stallworthy'ego były ograniczone do minimum, jednak strona zawierała dosyć informacji, by przekonać Gabriela, że był to człowiek, z którym chciałby się spotkać.

Adrian Stallworthy. Profesor Kodeksów Średniowiecznych, Uniwersytet Cambridge. Autor pracy Pałace Pamięci, Teatry i Sztuka Pamięci. Opublikowane 1997 Cambridge University Press.

Po tym następowała długa lista publikacji prasowych, z których wszystkie wyglądały na zniechęcająco ezoteryczne.

Gabriel spojrzął na zegarek. Ciężko pracujący naukowiec na pewno siedzi jeszcze w pracy. Na stronie internetowej był podany numer. I faktycznie – telefon zadzwonił tylko raz, zanim go odebrano.

– Adrian Stallworthy – głos był przyjemny.

– Profesorze Stallworthy, nazywam się Gabriel Blackstone. Mam dysk, który chyba zawiera plany pałacu pamięci. Może mógłby je pan zinterpretować?

– Pałac pamięci? Z jakiego okresu?

– Hmm...

– Klasyczna Grecja? Średniowiecze? Renesans?

– Nie. Sądzę, że to współczesny pałac.

Długa przerwa. Kiedy Stallworthy znowu przemówił, w jego głosie wyraźnie słychać było zainteresowanie.

– Jeśli to prawda, panie Blackstone, byłby to unikat. Może podeśle mi pan to w załączniku, żebym mógł rzucić okiem.

– Wolalbym nie przysyłać tego e-mailem, profesorze. – Dopóki nie dowie się, z czym ma do czynienia, Gabriel nie zamierzał wrzucać „Klucza” do Internetu. Nie chciał, żeby jakieś zbłąkane kopie walały się po cyberprzestrzeni. – Może moglibyśmy spotkać się osobiście?

– Cóż. – Stallworthy zamilkł. – Chyba mógłbym spotkać się z panem u siebie w gabinecie. Może dziś wieczorem o siódmej?

– Dziękuję, panie profesorze. Jestem wdzięczny. Czy mogę prosić o adres?

Gabriel odłożył słuchawkę ciężką dłonią. Cambridge. Osiemdziesiąt pięć kilometrów po M11 w godzinach szczytu. Niezbyt zachęcająca

wizja. Zwłaszcza że wciąż czuł się jak umarłak po odgrzaniu.

Nagle żołądek skurczył mu się ze strachu. A co, jeśli Minnaloushe znowu zaatakuje? Co, jeśli za kierownicą samochodu powtórzy się to samo, co dziś rano na rowerze? Poskręcany metal, syreny, migające światła, ambulanse.

Śmierć.

Po raz pierwszy Gabriel pomyślał o tym wprost. Mógł zginąć. Ona mogła go zabić.

Ale jeśli nie uzyska odpowiedzi, nigdy nie będzie bezpieczny. Minnaloushe miała go na celowniku. Nie wiedząc, z czym się mierzy, Gabriel nie będzie miał dokąd uciec. Trzeba poznać swojego wroga.

Mógł poprosić Izydora, żeby go zawiózł. Zmniejszyłoby to ryzyko dla niego samego i dla innych na drodze. A myśl o towarzystwie była pociągająca. Ale nie chciał narażać przyjaciela na niebezpieczeństwo. Zabranie go zeszłej nocy do Monk House było głupotą. Gabriel nie chciał, żeby Izydor pojawił się na radarze Minnaloushe. Od tej pory będzie trzymać go z dala od całej afery. I po raz pierwszy, odkąd Frankie wyjechała, cieszył się, że nie ma jej w kraju.

Teraz, kiedy zdecydował się pojechać, chciał ruszyć w drogę najszybciej, jak się dało. Będzie jechać bardzo wolno i zatrzyma się przy pierwszej oznace skanu.

W łazience obmył twarz i przyczesał włosy. Oczy miał nabiegłe krwią. Bolała go głowa. Pod jedną powieką pulsował maleńki tik. Tylko drżenie, ale Gabriel jakoś nie mógł go opanować. Pragnąc to powstrzymać, przyłożył palce do miejsca, w którym znajdował się drgający nerw. Lecz kiedy cofnął rękę, tik wrócił.

Gabriel włożył płaszcz i zabrał kluczyki do samochodu. Kiedy jednak zamykał za sobą drzwi wejściowe, zawahał się. Wyczuwał czające się wszędzie niebezpieczeństwo, coś śmiertelnego, co wisiało w powietrzu. Zamiast wsiąść do windy — myśl o wejściu do tej zamkniętej przestrzeni nagle wydała mu się przerażająca — wybrał schody.

Nie mógł otrząsnąć się z wrażenia, że ktoś go obserwuje. Poczucie, że jakaś przebiegła, złośliwa istota podąża za nim i czai się gdzieś w cieniu, było silne i bardzo nieprzyjemne. Może to coś przez cały czas czekało tylko, aż Gabriel opuści bezpieczną strefę swojego mieszkania.

Włos zaczął mu się jeżyć. Uparcie schodził dalej po schodach, patrząc prosto przed siebie. W jego głowie pulsował ból. Serce waliło mu mocno.

Przy zakręcie na schodach zmusił się, by spojrzeć do góry. Czyżby coś się tam poruszyło? Mignięcie białej twarzy? Czy ktoś wychylił się przez poręcz tylko po to, by odskoczyć, kiedy Gabriel podniósł wzrok? Czekał przez długą chwilę. Nic się nie poruszyło. Lecz zamiast ulgi, Gabriel poczuł strach, zaciskający się wokół gardła jak pętla. Już za chwilę usłyszy stukot kroków. Na jego ramieniu spocznie ręka...

I nagle zaczął biec, biec — przeskakiwać po dwa stopnie naraz. Serce biło mu tak mocno, że obawiał się, czy nie zemdleje. Kiedy dotarł do holu, pochwycił w lustrze swoje odbicie, a to, co zobaczył, było wstrząsające: osłupiała twarz człowieka sparaliżowanego strachem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Droga do Cambridge zajęła mu pięćdziesiąt minut i była zupełnie pozbawiona przeżyć. Jednak poczucie zagrożenia go nie opuściło. Kiedy wreszcie zaparkował na jednym z parkingów w centrum, od ciągłego napięcia miał zeszywniała szyję i obolałe plecy.

Profesor podał mu adres uczelni, ale żadnych wskazówek. Gabriel dwa razy się pogubił, zanim wreszcie jakaś ładna studentka naprowadziła go na właściwą drogę. Spojrzał na zegarek. Dziesięć po siódmej. Spóźnił się na spotkanie.

Podążając za wskazówkami dziewczyny, myślał o człowieku, którego miał poznać. Średniowieczne kodeksy. Nie była to szczególnie oblegana specjalizacja, nawet jak na najbardziej oderwane od rzeczywistości dyscypliny akademickie. Facet musiał być pewnie więcej niż ekscentryczny.

Jednak Adrian Stallworthy okazał się zupełnie inny, niż Gabriel sobie wyobrażał. W niczym nie przypominał karykatury akademickiego wykładowcy – zgarbionego, łysiejącego, krótkowzrocznego. Był wręcz napakowany. Miał niebieskie oczy, szerokie ramiona i wąskie biodra. Zdjęcie, na którym stał przed kajakiem ze ściśniętym w dłoni wiosłem, wyjaśniało imponującą posturę. Gabriel domyślał się, że facet nie miał żadnych problemów z przyciąganiem na swoje zajęcia atrakcyjnych studentek.

Uścisk Stallworthy'ego był mocny, a jego uśmiech szczerze przyjaźny.

— Pan Blackstone. Proszę siadać. — Machnął ręką w stronę starego fotela.

Gabriel usiadł. Sprężyny siedziska były mocno rozciągnięte, więc zapadł się niemal do ziemi. Ale kiedy człowiek już się przyzwyczaił, fotel był zaskakująco wygodny.

Na biurku profesora stał zdarty kartonik z napisem „Prosimy wyłączyć telefony komórkowe!”. Stallworthy zauważył, że Gabriel przygląda się plakietce, i powiedział przeprasząco:

— Nienawidzę komórek.

— Zrozumiałe. — Gabriel sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął swój telefon. Wcisnął kciukiem przycisk wyłączania i poczekał, aż oświetlony ekranik pociemnieje. — Już.

— Dziękuję. — Stallworthy skinął głową.

Gabriel pochylił się do przodu i popchnął przez biurko dysk z „Kluczem Prometeusza”.

— Byłbym panu niezwykle wdzięczny, profesorze, gdyby mógł mi pan wyjaśnić, co tu się znajduje.

Stallworthy podniósł płytę i wsunął ją do stacji dysków.

— To może trochę potrwać.

— Nie ma pośpiechu.

Gabriel rozejrzał się dookoła. Stallworthy może i nie był kwintesencją zasuszonego naukowca, ale jego gabinet zdecydowanie wpisywał się w tradycję. Zniszczony, miejscami przetarty, orientalny dywan. Koszmarne zasłony w kolorze brązowego mułu. Wszędzie książki. Kopie tego pomieszczenia można było odnaleźć we wszystkich kampusach na całym świecie. Pokój był też wyraźnie chłodny, a ogień na poczerwiałym od sadzy kominku przysparzał więcej dymu niż ciepła.

Stallworthy wydał z siebie cichy okrzyk. Gabriel nie potrafił powiedzieć, czy był to wyraz zaskoczenia, czy też niedowierzania. Jednak to, na co patrzył profesor, z pewnością przyciągnęło jego uwagę.

Po jakichś dwudziestu minutach odchylił się na fotelu i spojrzał na Gabriela.

— Panie Blackstone, muszę wyznać, że od lat nie byłem tak podkscytowany.

— A więc wie pan, co to jest.

— Coś doprawdy wyjątkowego. Wręcz unikatowego. — Stallworthy wcisnął palcem guzik przy stacji dysków i wyjął płytkę, po czym położył ją delikatnie na biurku przed sobą, jakby w obawie, że mogłaby się zepsuć. — Czy słyszał pan kiedykolwiek o czymś nazywanym sztuką pamięci? — W jego głosie słychać było szacunek. Gabriel dosłownie słyszał, jak wymawia „S” i „P” dużą literą.

— Raczej nie.

— To technika, którą zapoczątkowali starożytni Grecy. Później, w średniowieczu i renesansie, stała się narzędziem w rękach alchemików i gnostyków.

Gabriel poczuł, jak ogarnia go poczucie nieuchronności.

— Narzędziem. Narzędziem magii, oczywiście.

— Istotnie. Uprawiając sztukę pamięci, adepci byli w stanie wzniesić swoje umiejętności zapamiętywania na niewyobrażalnie wysoki poziom.

Gabriel zmarszczył brwi.

— Nie jestem pewien, czy rozumiem. Ma pan na myśli, że mieli lepiej wyćwiczoną pamięć?

— Słowo wyćwiczona jest o wiele za słabe, by określić to, co działo się z tymi ludźmi. Ich pamięć była jak na dopalaczach rakietowych.

Stallworthy złączył czubki palców.

— Spróbuję wyjaśnić to w ten sposób. Wszyscy rodzimy się z jakąś wrodzoną pamięcią. Jednak jej zasięg jest ograniczony. Używamy zatem małych sztuczek, by sobie pomóc. Wie pan, jak niektórzy ludzie korzystają z mnemotechnik i, żeby lepiej zapamiętywać imiona? No więc sztuka pamięci jest bardzo wysoko rozwiniętą formą mnemotechniki. Osoba ją praktykująca buduje w umyśle sztuczną pamięć,

w której mogą się pomieścić nieskończenie większe fragmenty wiedzy, niż człowiek normalnie jest w stanie wchłonąć. Można niemal powiedzieć, że umysł takiej osoby staje się skomputeryzowany, przystosowuje się do przetwarzania ogromnych ilości informacji.

Gabriel nawet nie starał się ukryć sceptycyzmu.

— Skomputeryzowany umysł. Doprawdy. A jak to się robi?

— No cóż, istnieje kilka sposobów. Jednym z nich jest konstruowanie pałacu pamięci, którego mamy tu przykład. I to doprawdy zadziwiający.

— Więc jak to działa?

— Cóż, pałac pamięci, taki jak ten, to przestrzeń wyimaginowana.

— Na przykład jakiś budynek?

— Właśnie. I mimo iż jest on wyimaginowany, adept, który go konstruuje, czyni to z niezwykłą starannością, włącznie z dokładnymi rozmiarami pokojów i odpowiednim oświetleniem.

— Mówił pan, że jest on wyimaginowany. Co pan przez to rozumie?

— Pałac istnieje tylko w umyśle adepta. Nigdy nie zostanie wzniesiony w prawdziwym świecie. To przestrzeń architektoniczna osadzona w pamięci. I tam ma pozostać.

Gabriel przypomniał sobie zjazd.

— W tych pokojach... czy są w nich przedmioty, obrazy?

— O tak. Tysiące tysięcy obrazów. Niektóre z nich będą fantastycznie piękne, inne potwornie przerażające. Tak jak w tym pałacu pamięci tutaj. — Stallworthy postukał palcem w płytkę. — W niektórych z tych pokojów znajdują się piękne rzeczy, takie jak motyle i jaśniejące księżycy. A zaraz za następnymi drzwiami będzie pokój przeznaczony na rzeźnię. Wybebeszone świnie. Albo samookaleczający się mnich.

— Co oznaczają te obrazy?

— To symbole. Każdy z nich reprezentuje jakiś fragment informacji. Cały pomysł polega na tym, że adept może przejść przez pałac,

zlokalizować konkretny obraz i odzyskać informację utożsamioną z danym symbolem. Innymi słowy, żeby znowu posłużyć się terminologią komputerową, przechodzi przez przestrzeń zakodowaną. To jak włączenie komputera i klikanie w ikonę, dzięki czemu odzyskuje się przywiązane do niej informacje. Ale zamiast kierowania i klikania myszką, adept sztuki pamięci będzie przechodzić przez wyobrażone pokoje stworzone we własnym umyśle. A kiedy przechodzi z pokoju do pokoju, odnajduje obrazy i zachowane w nich informacje w określonym porządku.

— Porządek miejsc, porządek rzeczy — powtórzył Gabriel.

— Właśnie. — Stallworthy kiwnął głową. — Taka była zasada. Za każdym razem, kiedy adept przechodził przez pałac, musiał oglądać pokoje i obrazy w określonej kolejności. To było niezwykle ważne. Inaczej by się zgubił, a informacja, którą próbował odnaleźć, została by utracona.

Gabriel siedział w milczeniu, próbując przyswoić sobie to, co powiedział mu Stallworthy. Dom o milionie drzwi był budynkiem wyimaginowanym. Tam właśnie dostał się podczas zjazdu przez umysł Robbiego Whittingtona. Dzieciak nie był naćpany. Zupełnie świadomie przechodził przez wyobrażony pałac we wnętrzu swojej głowy. Pałac skonstruowany przez eksperta w kwestii pamięci: Minnaloushe Monk.

Gabriel popatrzył na Stallworthy'ego.

— Powiedział pan, że przedmioty w pokojach pałacu pamięci mogą być albo piękne, albo przerażające. Dlaczego?

— Po prostu dlatego, że obrazy, które wzbudzają silną reakcję emocjonalną, są łatwiejsze do zapamiętania od tych neutralnych. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że zapamiętasz zaćmienie słońca, nie żarówkę. Frapujące obrazy pomagają pamięci.

Przez chwilę Gabriel przypominał sobie niektóre z przedziwnych obiektów, na które natknął się w domu o milionie drzwi. Mnich bez oczu. Fosforyzujące lilie. Skrwawione gołębie. Ukrzyżowane dzieci. Pulsujące galaktyki. Stallworthy miał rację: ciężko było o nich zapamiętać.

Znowu zmarszczył czoło.

— Czy ten pałac pamięci naprawdę działa? Wydaje mi się, że zapamiętanie tych tysięcy obrazów byłoby niemożliwe, nie mówiąc już o przywiązanych do nich informacjach.

— Mówiąc szczerze, współczesny umysł nie jest już w stanie temu sprostać — westchnął Stallworthy. — Nasza pamięć stała się słaba z powodu tych wszystkich technologicznych narzędzi, którymi się posługujemy. Fotokopiarka. Internet. Telewizja. Używamy ich jak przyrządów pomocniczych. Mówił pan, że jest specjalistą od komputerów. To musi oznaczać, że przywykł pan do pracy z informacją. Jednakże — proszę mnie poprawić, jeśli się mylę — pańska pamięć długoterminowa jest pewnie bardzo słaba. Obywatele starożytnej Grecji i Rzymu uznaliby pańską zdolność koncentracji za śmiechu wartą.

Gabriela zaskoczył ton pogardy w jego głosie. Przez chwilę był zbity z tropu.

— Obywatele starożytnej Grecji nie mieli do czynienia nawet z jedną dziesiątą informacji, z którymi ja stykam się co dnia, profesorze — sprzeciwił się. — Technologie komunikacyjne stawiają naszym mózgom niesamowite wymagania. Moim zdaniem jako istoty ludzkie stajemy się o wiele bardziej złożeni, niż chociażby nasi dziadkowie.

— Nie zgadzam się — powiedział z naciskiem Stallworthy. — Człowiek współczesny jest coraz bardziej niezdolny do przyswajania wiedzy. Nasza pamięć stała się płytka. Obsesyjnie serfujemy po Internecie, jednak niemal natychmiast zapominamy o tym, o czym czytaliśmy. Informacja w prasie i telewizji jest nam serwowana w pojedynczych kęsach dla łatwiejszej konsumpcji. Owszem, codziennie otrzymujemy ogromne dawki wiadomości. Ale wpadają one jednym uchem i wypadają drugim. Nigdy ich nie zapamiętujemy i nie czynimy ich częścią siebie.

— A jednak jesteśmy w stanie wykonywać o wiele więcej czynności, niż nasi dziadkowie.

— Oczywiście. Ale ta wielozadaniowość to płytka umiejętność, która pozwala nam prześlizgiwać się po falach chaosu, a nie przepływać

przez nie. Wszyscy rodzimy się z naturalną pamięcią. Ale zamiast przez całe życie ją wzmacniać — trenować ją tak, jak trenuje się ciało w siłowni — pozwalamy, żeby sflaczała. Wiedział pan, że Simplicius potrafił recytować Wergiliusza od tyłu? I że Seneka Starszy potrafił wysłuchać listy dwóch tysięcy nazwisk, po czym powtórzyć je w dokładnej kolejności? Mówimy o mniej więcej czterdziestym roku przed naszą erą.

— Imponujące. Ale to po prostu wkuwanie na pamięć.

— Być może. Lecz w czasach przed prasą drukarską ludzie musieli wszystko zapamiętywać. Wszystko. Studenci słuchali swoich nauczycieli i przekazywali dalej wiedzę, którą otrzymali ustnie. Ich pamięć była dobrze wyćwiczona.

Na chwilę Gabriel sięgnął myślą do letniego dnia i dwóch kobiet pijących wino na cmentarzu, podczas gdy słońce przeświecało przez ich włosy. Cytowały książkę, której od lat nie czytały. Bezbłędnie zapamiętały słowa.

Spojrzał na dysk na biurku Stallworthy'ego.

— A zatem mówi pan, że osoba, która skonstruowała ten budynek, ma dobrą pamięć.

— Nie dobrą. Magiczną.

Głos Stallworthy'ego zmienił się: znowu brzmiał w nim szacunek.

— Ten, kto stworzył ten pałac, jest magiem i geniuszem matematyki. To ktoś, dla kogo idea pamięci jest pasją. Zna go pan?

- Ją.

— To kobieta?

— Tak.

— Naprawdę? To dopiero fascynujące. Wszyscy wielcy adepci sztuki pamięci, których znamy, byli mężczyznami. Trithemius, Fludd, Ramon Lull, Giordano Bruno, Giulio Camillo. Wszyscy byli czarownikami.

— A zatem ta kobieta jest także wiedźmą.

— O tak.

Gabriel zamknął oczy. Minnaloushe trzymająca księgę z obrazami kobiet płonących jak pochodnie. Jej dłonie są blade, jej włosy jak połyskliwa chmura hiszpańskiego mchu.

— Widzi pan... — Stallworthy pochylił się. W jego przystojnej twarzy pojawiło się napięcie, słowa płynęły szybko — ...na początku sztuka miała po prostu wspomagać pamięć, po to właśnie starożytni Grecy ją wymyślili. Ale w średniowieczu i renesansie uległa przemianie, kiedy dostała się w ręce ludzi, którzy pragnęli zyskać boską moc.

— Ma pan na myśli, że zmieniła się w czarownictwo.

— Właśnie. Ci ludzie, tacy jak Giordano Bruno i Ramon Luli, budowali pałace pamięci, które były niemożliwie skomplikowane. Podobno zawierały informacje o każdym aspekcie wszechświata. Całą historię ludzkiej cywilizacji. Zatem pałac reprezentował kosmos, a obrazy w jego wnętrzu — wiedzę o kosmosie. Te budowle były tak naprawdę ogromnymi systemami informacji, wzniesionymi zgodnie z zasadami numerologii i kryptologii zmieszanej z magią, coś jakby mistyczna matematyka, ale wciąż opartymi na starożytnej zasadzie porządku miejsc, porządku rzeczy.

Gabriel starał się przyswoić słowa Stallworthy'ego.

— Ale co oni w ogóle chcieli osiągnąć?

— Ich najważniejszym dążeniem była gnoza, boska wiedza i uniwersalna pamięć. Wierzyli, że można stworzyć rodzaj maszyny pamięci, która objęłaby całą wiedzę wszechświata.

— Jak uniwersalny komputer.

— Tak. Ale komputer osadzony wyłącznie w umyśle. Wetware. Nie hardware. Ich ostatecznym celem było wprowadzenie do tego komputera całej uniwersalnej wiedzy naraz i dostęp do niej. W jednym gigantycznym uderzeniu danych.

— Dlaczego?

— Ponieważ w tej chwili całkowitego poznania osiągnęliby oświecenie. Zespoliliby się ze świadomością kosmosu. *Anima mundi*. Kiedy by do tego doszło, mag ogarnąłby umysłem boską moc. Sam stałby się niczym bóg.

Gabriel wbił w Stallworthy'ego wzrok.

— Szaleństwo.

— Boskie szaleństwo.

— To niemożliwe.

— A kto może powiedzieć, co jest możliwe? Istnieją przekazy o alchemikach chodzących po wodzie. Dożywających niezwyklej starości. Widzących przyszłość.

— To musi być tylko przesąd i mitologia. Wytwór ciemnych wieków.

— Panie Blackstone, oświecenie to jedno z najstarszych pragnień ludzkości. To Święty Graal. Nawet dzisiaj na całym świecie są ludzie, wyznający inne filozofie i pochodzący z zupełnie różnych kultur, którzy dążą do dokładnie tego samego celu. Adeptci sztuk walki biorą udział w *shugyo* lub strasznych rytuałach, mających złamać ciało i ducha. Szamani z Ameryki Północnej korzystają z medytacji i narkotyków, by osiągnąć oświecenie. W tej właśnie chwili jacyś ludzie gapią się w pustą ścianę albo siedzą na bardzo wysokich słupach — i czynią to od lat, by poszerzyć swoją świadomość. Panu może się to wydawać niedorzeczne, nawet śmiechu warte, ale poszukiwacze oświecenia gotowi są poświęcić wszystko dla jednej chwili prawdziwej iluminacji. Adeptci sztuki pamięci niczym się od nich nie różnili. Ale zamiast posługiwać się kung fu czy mantrami, zatapiali się w informacjach i wznosili pałace pamięci.

— Cały ten pomysł jest zwariowany — Gabriel słyszał, jak podnosi mu się głos. — To niemożliwe, że ci kolesie mogli nosić sobie w głowach całą wiedzę wszechświata. Nieważne, jak dobrą mieli pamięć.

Stallworthy wzruszył ramionami.

— Przyznaję, bardzo wątpliwe, żeby którykolwiek z nich faktycznie osiągnął uniwersalną wiedzę. Ale tych ludzi w równym stopniu, co cel, przyciągała sama podróż. Już samo wznoszenie pałaców i osadzanie ich we własnej pamięci było niezwyklej wyczynem. Podróż

wymagająca takiego wysiłku musiała w nieunikniony sposób prowadzić do oczyszczenia siebie. A w miarę, jak podróżowali, zdobywali boskie moce. Niech pan pamięta, że te pałace wznoszono po to, by odbijały bezmiar kosmosu. Próbując ogarnąć umysłem jeden z tych systemów informacji, mag rozciągał się i napinał, popychał się do boskiej przemiany.

— Transformacja.

— Marzenie każdego alchemika.

Gabriel wyjrzał przez okno. Niebo za lśniącymi łożowanymi szybkami było nabrzmiałe.

— A teraz muszę zwrócić uwagę na jedną rzecz... — Stallworthy zawahał się. — W przeciwieństwie do klasycznych pałaców, pałace alchemików ożywiane były za pomocą magii. Przedmioty w pokojach nie były zwyczajnymi symbolami, były to symbole magiczne.

— W jaki sposób?

— Przedmioty znajdujące się w pokojach były obrazami-talizmanami. Każdy obraz czy to wybebeszony prosiak, czy motyl, czy mnich, czy cokolwiek — konstruowany był zgodnie z bardzo konkretną magiczną formułą. Każdy przedmiot, piękny czy straszny, obmyślany był w jednym celu. By obdarzyć maga nadnaturalną mocą.

— Nic prostszego pod słońcem, co?

Stallworthy pokręcił głową.

— Prawdziwa magia nigdy nie jest łatwa. Magia, o której mówimy, jest wysoce usystematyzowana. Kiedy czyta się zapiski adeptów sztuki pamięci, człowiek zdaje sobie sprawę, że stoi w obliczu innego gatunku ludzi. *Cienie* Bruna to dzieło wyjątkowo błyskotliwe. A teatr pamięci Lulla był niezwykle skomplikowanym systemem kół wewnątrz kół. Jego sposób posługiwania się logiką symboli wpłynął na rozwinięcie przez Leibniza rachunku matematycznego. *Ars Magna* zaś została przetłumaczona przez pewnego niemieckiego filozofa na język programowania COBOL. Niektórzy mówią, że system pamięciowy Lulla to okultystyczny przodek dzisiejszych komputerów.

Gabriel przeniósł wzrok na płytę, leżącą niewinnie na zniszczonym biurku Stallworthy'ego.

— A zatem — kiwnął głową w jej stronę — to jest... — jego głos zamarł.

— Tak — powiedział cicho Stallworthy. — „Klucz Prometeusza” to magiczny pałac pamięci. I zdecydowanie najbardziej misterny, jaki kiedykolwiek widziałem.

Gabriel podniósł rękę do oczu. Był taki zmęczony. Pokój, w którym się znajdował, widział jak przez mgłę.

— Kobieta, która stworzyła ten pałac, połączyła klasyczną sztukę pamięci z *Cieniami* Bruna i *Kołami* Lulla, i jeszcze je rozwinęła. Ten pałac kryje niezliczone światy. Galaktyki informacji.

— I ona nosi to wszystko w swojej głowie.

— A przynajmniej próbuje, owszem.

Nagle Gabriel poczuł wściekłość.

— Czy pan zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Chce pan, żebym uwierzył, że ona usiłuje nauczyć się na pamięć całej cholernej Biblioteki Kongresu. Bóg wie ilu terabajtów informacji?

Stallworthy nie obruszył się.

— Nie bardzo wiem, dlaczego to pana złości. Ta kobieta to słoneczna wiedźma dążąca do transformacji, która zaprowadzi ją do oświecenia. Jej pałac pamięci to wytwór bardzo finezyjnego umysłu. Moim zdaniem to inspirujące. Pan zaś wydaje się uważać to za przerażające.

Przerażające? Gabriel niemal roześmiał się na głos. Umysł tak silny, tak rygorystycznie wyćwiczony... i posiadający umiejętność dalekowidzenia. Tak, przerażające było chyba odpowiednim słowem.

Wyciągnął rękę i podniósł płytę, raz za razem obracając ją w palcach.

— Ta jedna płyta nie może przecież zawierać wszystkich informacji o wszechświecie — jego głos ociekał sarkazmem.

— Oczywiście, że nie. Ale zawiera zarysy pałacu pamięci i kody, na

których się on opiera. Oprogramowanie, jeśli można to tak nazwać.

— Czy będzie pan w stanie odcyfrować to wszystko?

— Na pewno nie. Napisano to zielonym językiem, ezoterycznym językiem alchemików i wtajemniczonych. Nie sądzę, żebym kiedykolwiek był w stanie do końca rozkodować system taki jak ten. Roi się tu od symulaków i zaszyfrowanych wiadomości. Nie wspominając już o sigilach i obra-zach-talizmanach. A matematyka, na której się to wszystko opiera, jest co najmniej skomplikowana. Poza tym brakuje portalu. Bez portalu zaś nie jestem w stanie rozpracować systemu.

Portal. W umyśle Gabriela drgnęło echo tej fantastycznej, geometrycznej przestrzeni o ścianach pokrytych symbolami. Przedsięwzięcie szaleństwa i śmierci.

— Czym jest portal?

— To serce systemu: rodzaj elektrowni, jeśli pan woli. Napędza całą konstrukcję. We wnętrzu portalu znajduje się kilka koncentrycznych, obracających się kół, gęsto pokrytych magicznymi obrazami, które można łączyć i przestawiać w ciągle zmieniające się układy. Większość symboli wywodzi się ze starożytniej egipskiej nauki o gwiazdach i gwiazdnej magii. Jednak koła trzeba ożywić i sprawić, by zaczęły się obracać, inaczej system nie zadziała. Oczywiście, aby uruchomić koła, należy również znać hasło.

— Hasło.

Stallworthy kiwnął głową.

— Bez portalu i hasła ten dysk to tylko ciekawostka.

— A z nimi?

— Gdybym je miał, mógłbym zacząć przyswajać ten pałac pamięci. Umagicznić swój umysł.

— Sam stać się alchemikiem.

— Tak. Magiem najwyższym — głos Stallworthy'ego zniżył się do szeptu. Pod wpływem podniecenia na jego przystojnej twarzy pojawiło się napięcie. Potem jednak rozluźnił się nagle. Odchylił się na

krześle i uśmiechnął na widok miny Gabriela. — Wygląda pan na zszokowanego.

— Moim zdaniem to niezwykle, że w dwudziestym pierwszym wieku ktoś o uniwersyteckim wykształceniu może tak swobodnie mówić o magii.

— A czymże innym jest magia, jeśli nie próbą ogarnięcia praw rządzących wszechświatem i zastosowania ich do własnych celów?

— To nie jest magia. To nauka.

— Owszem. Alchemia zaś to nauka duszy.

Milczenie. Jedynymi dźwiękami w pokoju było trzaskanie płomieni i cichutki, tajemniczy szelest osiadającej sadzy. Gabriel potarł czoło.

— To hasło, o którym pan mówił... nie ma pan żadnego pojęcia, co by to mogło być?

— Nie. Tylko autorka pałacu zna jego prawdziwe imię. A ono zamknięte jest w jej umyśle. — Stallworthy pokręcił głową niemal ze smutkiem. — Oczywiście, nawet gdybym znał hasło, nie sądzę, bym z niego skorzystał.

— Czemu nie?

— Bo przechodzenie przez taki pałac jest niebezpieczne. Wysilek umysłowy jest potworny. Można się zagubić w środku, i nigdy nie trafić z powrotem do realnego świata. Kiedy człowiek utraci porządek miejsc, porządek rzeczy, zostaje uwięziony w labiryncie, bez możliwości odnalezienia wejścia lub wyjścia. By odbyć taką podróż, potrzeba doskonale wyszkolonego umysłu. Trzeba być alchemikiem najwyższej próby. To nie dla laika. Na coś takiego powinien porywać się jedynie mag. Albo wiedźma.

Przez umysł Gabriela przemknęła twarz Robbiego Whittingtona. Słodkie usta i bezbronne oczy. Alchemik najwyższej próby? Mag? Na pewno nie. I może w tym właśnie tkwił problem. W jakiś sposób — Gabriel nie wiedział, jak ani dlaczego, ale w jakiś sposób — próba przejścia przez pałac pamięci Minnaloushe skończyła się dla Whittingtona uszkodzeniem mózgu. Ale dlaczego musiała go potem zabić?

Gabriel podniósł się z fotela.

— Profesorze Stallworthy, dziękuję za poświęcony mi czas. Dzięki panu zrozumiałem kilka spraw.

— Ależ nie ma za co. — Stallworthy mocno uściśnął jego dłoń. — Cała przyjemność po mojej stronie. To niesamowite, że nadal istnieje jakaś prawdziwa adeptka sztuki pamięci. Sądziłem, że już ich nie ma. Czy wolno mi spytać, w jaki sposób ta płyta dostała się w pańskie ręce?

Gabriel zawahał się.

— Znajdował się wśród rzeczy osobistych, pozostawionych mi po śmierci tej pani.

— Ona nie żyje? — w głosie Stallworthy'ego pojawił się żal. — Wielka szkoda, że nie mogę jej poznać. Musiała być niezwykłą kobietą.

— Niezwykłą? — Gabriel urwał. Nagle oczyma duszy zobaczył wyraźnie twarz Minnaloushe. Rude włosy, cygańskie usta, oczy jak ocean. — Tak, chyba można tak powiedzieć.

*

Wychodząc z gabinetu Stallworthy'ego, Gabriel spojrzął na zegarek. Było już po dziewiątej. W budynku panowała cisza. Korytarze były opustoszałe. Z gabinetów nie dochodziło żadne stukanie klawiatury. Żadnych krzyczących ani roześmianych głosów. Wszystkie drzwi zamknięte. Powiała leciutka bryza i ulotki na tablicach ogłoszeń zaszeleściły cicho.

Na końcu korytarza Gabriel obejrzał się za siebie. Nawet światło w gabinecie Stallworthy'ego już zgasło. Profesor nie mijał go w korytarzu. Musiał wyjść inną drogą.

Gabriel wsunął dłoń do kieszeni marynarki i wyciągnął swoją komórę. Włączył ją i spojrzął na ekranik. Dwa nieodebrane połączenia. Oba od Izydora.

Za pierwszym razem jego przyjaciel nie zostawił wiadomości. Ale za drugim owszem.

„Gabe. Zadzwoń do mnie...”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Izydor odłożył słuchawkę, nie nagrywając dla przyjaciela żadnej wiadomości. Rzadko się zdarzało, żeby Gabriela nie można było złapać pod komórką, i było to bardzo irytujące. Izydor koniecznie musiał z nim porozmawiać w tej chwili. Musiał podzielić się fantastyczną wiadomością.

Był z siebie niezwykle zadowolony. Czasami zaskakiwała go własna błyskotliwość. Na przykład dzisiaj.

Znowu wykręcił numer komórki Gabriela. Ponownie odsłuchał nagrania z jego głosem informującym, że Gabriel nie może odebrać telefonu. Tym razem zostawił wiadomość.

— Gabe, zadzwoń do mnie. Mam dla ciebie coś ciekawego. Nie, mam coś wręcz niezwykłego. — Izydor zawahał się. Czy powinien odkryć wszystko od razu i powiedzieć Gabrielowi, o co chodzi? Lecz postanowił tego nie robić. Najlepiej będzie porozmawiać osobiście i wyjaśnić, w jaki sposób doszedł do takich wniosków. A poza tym był cholernie dumny z rozgryzienia zagadki i pragnął przedłużyć moment chwały. Zatem dodał tylko tajemniczo:

— Strzeż się kruka...

Pozostawiwszy tę intrygującą wskazówkę, Izydor rozłączył się z uśmiechem. Ale z niego gość, bez dwóch zdań. Inna sprawa, że rozwiązanie zagadki nie wymagało żadnych niezwykłych umiejętności

dedukcji. Szperał sobie po Internecie właściwie bez celu i przypadkiem natknął się na listę zwierzęcych totemów. I proszę bardzo: odpowiedź znajdowała się na wprost jego oczu.

Obrócił się na krześle przodem do komputera i jego uśmiech zniknął. Podejrzewał, że ktoś włamywał się właśnie do jego sprzętu. Urządzenie do maskowania szpiega było całkiem niezłe, ale Izidor dostrzegał pewne zdradzieckie znaki. Nie mógł tylko odkryć, czy jego gość był po prostu ciekawski i przestrzegał hakerskiej zasady, by patrzeć, ale nie dotykać, czy też jego system był zagrożony.

Wcześniej tego dnia sprawdził oprogramowanie od podszewki, ale nie wykrył nic dziwnego. A poza tym większość jego software'u była ukryta w Londyńskiej Szkole Ekonomii. Izidor trzymał na ich serwerze swój protokół FTP. Oczywiście w LSE nikt nie miał o tym pojęcia. Wszystko odbywało się potajemnie. Ale była to świetna kryjówka i bardzo mało prawdopodobne, aby szpieg zdołał cokolwiek wysledzić. Bez adresu FTP, loginu i hasła, jego gość niczego nie znajdzie.

Jednak Izidor czuł niepokój. Istniało kilku hakerów, którzy byli wystarczająco sprawni, żeby przebić się przez jego zabezpieczenia.

Westchnął i postanowił zrobić sobie kubek kakao. Czekaając, aż zagotuje się mleko, podniósł mały żelazny krążek, który znalazł wcześniej w szczelinie pomarańczowego fotela, podczas mało entuzjastycznej próby posprzątania domu. Nigdy wcześniej go nie widział i podejrzewał, że mógł on wypaść zeszłego wieczoru z kieszeni Gabriela, kiedy tamten wycierał sobie stopy.

Kilka razy obrócił maleńki przedmiot w dłoni. Nie wyglądało to na nic specjalnego. Pewnie było bezwartościowe. Izidor ziewnął, odchylił wieko pojemnika na śmieci i wrzucił krążek do środka, gdzie zniknął wśród opakowań po jogurtach, pustych pojemników po jedzeniu na wynos i rozmokłych torebek z herbatą.

Zaniósł kubek kakao do komputera. Najwyższa pora, żeby znowu odwiedził swoją ukochaną sieciówkę. Już od ponad tygodnia nie wchodził do krainy *Dreadshine*.

Wiedział, że Gabriel uważał jego uzależnienie od tej gry za nieco żalodne. I chyba było w tym trochę racji. Zamiast kontaktu twarzą w twarz w realnym świecie, Izidor wolał nawiązywać znajomości w anonimowym, pozbawionym mapy, świecie cyberprzestrzeni. A w *Dreadshine* czuł się najlepiej.

Dreadshine był podręcznikowym cyberświatem pełnym zamków i rycerzy, dam w opresji oraz chwalebnych czynów. Każdy członek tej internetowej społeczności stawał się jakąś postacią, którą sam wymyślił i która prawdopodobnie miała bardzo niewiele wspólnego z tym, jaką osobą był w życiu codziennym. Sam Izidor przybrał postać dworskiego błazna, i takie też nosił tam imię. W *Dreadshine* znano go jako Trefnisia. Nikt nie znał jego prawdziwej tożsamości. Nikt nie znał jego prawdziwego imienia. Było to zupełnie normalne w cyberprzestrzeni. Tam wszyscy nosili maski.

Zalogował się w *Dreadshine*, ale zanim dołączył do reszty w sali balowej zamku, zboczył nieco z drogi, by odwiedzić znajomego, który mieszkał w lochach.

A raczej, który kiedyś zwykł tam mieszkać. Brzytwa był jednookim kaleką, torturowanym w dzieciństwie przez złych mnichów. Jego odrażający wygląd sprawił, że Brzytwa postanowił ukryć się w wilgotnych zakamarkach zamku. Od dawna był przyjacielem Trefnisia i razem zgładzili wiele smoków i wielu złoczyńców.

Lecz kilka tygodni temu Brzytwa został zabity w bitwie z demonicznym gremlinem. Zasady walki w *Dreadshine* były surowe. Jeśli przegrałeś bitwę, musiałeś zapłacić cenę i traciłeś życie. Brzytwa przegrał i został pochowany z wielką pompą przez pozostałych mieszkańców *Dreadshine*. Światło w jego lochu zgasło, i dla wszystkich użytkowników pozostawiono wiadomość: *W domu Brzytwy panuje*

ciemność. Zawsze używano tego zwrotu, kiedy któryś z członków umierał. Jednak loch, w którym mieszkał Brzytwa, pozostał nietknięty, i czasem jego przyjaciele chodzili tam, by złożyć wyrazy szacunku jego pamięci: zapalić świeczkę, zostawić butelkę piwa.

Kiedy Izydor zbliżył się do lochów, z zaskoczeniem odkrył, że ktoś już tam jest. Kobieta — i najwyraźniej nowy użytkownik. Nie rozpoznawał jej imienia. Dama w Zieleni.

Chyba powinien się przedstawić. Cześć, wpisał. Jestem Trefniś.

Wiem, kim jesteś.

Spotkaliśmy się już?

Nie, ale twoja sława cię wyprzedza.

Izydor uśmiechnął się. Flirtowała. Zapowiadała się niezła zabawa.

Proszę, czy mogłabyś powiedzieć mi, jak wyglądasz?

Jestem uwodzicielką. Noszę maskę, ale mam cudowne oczy.

W moich kościach kryje się woń mandarynek. Jestem wstydem i śmiałością. Jestem poznaniem i niewiedzą.

Ja cię. Izydor zamrugał. Ale ostra laska. Jego dłonie zawisły nad klawiaturą.

Trefniś poddał się urokowi Damy w Zieleni i pragnąłby spędzić z nią trochę czasu.

W takim razie spójrz mi w oczy, Trefnisiu. Powiedz mi, co widzisz.

Widzę tajemnicę. I pociągające sekrety.

A co mam na ramieniu?

Izydor zawahał się. Co jej odpowiedzieć?

A co chciałabyś, żebym zobaczył?

Czy widzisz kruka?

Kruka? Zmarszczył brwi. Po chwili jego głowę ścisnęło stalowe imadło. Mózg Izydora pękł na pół, a do jego umysłu wlała się z prędkością światła ogromna lawina obrazów. Wrzasnął. Ból był przeszywający. Jego czaszka płonęła. Izydor chwycił się za głowę obiema rękami, jakby chciał osłonić się przed nieustępliwym atakiem. Jednak w niczym to nie pomogło.

Jego mózg zmieniał się w papkę pod ciężarem danych, spływających do jego umysłu z ogromną prędkością, i Izydor nie mógł uczynić nic, by to powstrzymać.

Ostatnim uczuciem, które przemknęło przez jego umysł, zanim zgasła wszelka myśl, było niedowierzenie. Na ekranie przed nim pojawiały się litery:

W domu Trefnisia panuje ciemność...

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Izydor miał być pochowany na cmentarzu w wiosce, w której dorastał, i w której wciąż mieszkali jego rodzice.

Gabriel pojechał tam pociągiem. Bał się usiąść za kierownicą. Bezustannie drżał i nie potrafił utrzymać rąk w bezruchu. Kiedy z rana przedstawiał się rodzicom Izydora, trząsał się i podrygiwał jak ćpun na głodzie. Nawet nie chciał myśleć, jakie sprawił na nich wrażenie.

W ciągu ostatnich trzech dni przeżył pięć ataków myślowych. Zaczął rozpoznawać sygnały. Brzęczenie w powietrzu. Mdłości. Skóra naciągnięta mocno na czaszce. A potem w jego umyśle otwierało się okno i przez głowę przebijała się toksyczna lawina obrazów i informacji, niczym pociski dum-dum rozdzierające na strzępy tkankę jego mózgu. Teraz Gabriel potrafił przewidzieć, co miało nadejść, i zazwyczaj był w stanie wznieść blokadę, zanim okno otworzyło się do końca. Lecz samo blokowanie zawsze prowadziło do zwiększenia bólu w jego głowie. Za każdym razem, kiedy to robił, czuł się tak, jakby jego czaszka miała wybuchnąć.

Ostatni atak zdarzył się zaledwie kilka godzin wcześniej, kiedy Gabriel zajęty był goleniem. Okno jego umysłu otworzyło się gwałtownie. Ręka, w której trzymał maszynkę do golenia, drgnęła, zostawiając cienkie, lecz palące rozcięcie na napiętej skórze szczęki. Przez

jedną straszną chwilę Gabriel po prostu stał tam, poddając się pędzącej przez umysł lawinie informacji i obrazów. Potem ogromnym wysiłkiem woli wznosił blokadę, a robiąc to, poczuł, że coś w jego głowie ustępuje. Musiał stracić na chwilę przytomność. Kiedy się ocknął, wstrząsany odruchem wymiotnym nad umywalką, spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Jedno oko nabiegło mu krwią.

Gdyby tylko potrafił opanować drżenie dłonie. W rozpaczę wtknął je pod pachy i usiłował skupić się na słowach pastora, cichego człowieka o nieśmiałyach oczach. Był młody, pewnie zbyt młody, by znać Izydora, kiedy ten był chłopcem i chodził z rodzicami do kościoła. W przeciwieństwie do pastora niemal wszyscy żalobnicy byli w starszym wieku: najwyraźniej znajomi matki i ojca. Izydor nie miał wielu przyjaciół. Poprawka. Izydor nie miał wielu przyjaciół w realnym świecie. W cyberprzestrzeni ich grono było bardzo liczne.

Naprzeciwno Gabriela, po przeciwnej stronie grobu, stała matka Izydora. Płakała cicho. Była mocno upudrowana, a jej karminowa szminka rozpląwała się wokół ust. W młodości musiała być prawdziwą pięknoscią. Mąż, który stał przy niej, miał zamknięte oczy. Jego usta poruszały się bezgłośnie w modlitwie. Miał wysokie czoło i wąski, orli nos swojego syna. Kiedy na niego patrzył, Gabriel wiedział, jak wyglądałby Izydor za trzydzieści lat.

Po pogrzebie miała się odbyć stypa, ale wzdragał się na samą myśl o niej. Pożegna się z rodzicami Izydora i wyruszy do domu.

— Pani Cavendish...

Matka Izydora podniosła na niego wypełnione łzami oczy.

— Chciałem tylko się pożegnać. — Jego dłonie wciąż drżały.

Głowa kołysała mu się jak wariatowi.

Jeśli zauważyła cokolwiek dziwnego, nie dała tego po sobie poznać.

— Dziękuję — jej głos był nabrzmiąły łzami. — I dziękuję, że przyjechałeś.

— Chciałem tylko powiedzieć... — Gabriel urwał. Co właściwie

chciał powiedzieć? „Przepraszam, że sprowadziłem na pani syna śmierć?”. Albo: „Gdyby nie ja, pani syn wciąż by żył?”.

Izydor zmarł na udar. To niezwykle u kogoś tak młodego, wyjaśnił Gabrielowi lekarz, ale nie niespotykane. Tętniak może być obecny w mózgu od urodzenia, niewidzialny jak ukryta bomba. Gabriel słuchał i kiwał głową, przez cały czas wiedząc, co naprawdę zaszło. Do głowy jego przyjaciela wdarł się intruz. Skrytobójca. Morderca, który rozplątał jego umysł z brutalnością rzeźnika.

Gabriel spojrzął w smutne oczy matki Izydora.

— Przykro mi — powiedział. — Tak mi przykro.

Dotknęła przelotnie jego ramienia.

— Dziękuję. I niech cię Bóg błogosławi. Wiem, że Francis uważał cię za swojego najlepszego przyjaciela.

W pociągu, w drodze powrotnej do Londynu, Gabriel zamknął oczy, ale nie mógł powstrzymać spływających po twarzy łez. Wiedział, że ściąga na siebie ciekawskie spojrzenia, lecz zupełnie przestało go to obchodzić. Przez jego umysł przesuwwały się wspomnienia o Izydorze. Izydor w swoich klapkach i kąpielówkach robiący mai taia i słuchający hawajskiej muzyki w samym środku zimy. Izydor łamiący kod, z koncentracją zmieniającą jego twarz w maskę spokoju. Izydor śpiewający z idealną intonacją *Och, gdybym miał skrzydła gołębic*. Izydor. Jego przyjaciel.

Przyjaciel, który zginął z jego powodu.

O Boże.

Gdyby tylko mógł porozmawiać z Frankie. Rozpaczliwie tęsknił za jej obecnością. W świecie, gdzie nic nie miało już sensu, Gabriel potrzebował jej agresywnie zdrowego rozsądku. Ale nie potrafił jej odnaleźć. Może wyjedzie gdzieś do ciepłych krajów — powiedziała, kiedy ostatni raz ją widział. Ale nie dała mu znać, dokąd konkretnie się wybierał. I nie odbierała komórki. Od śmierci Izydora Gabriel został w jej niezliczone wiadomości.

Zaczął zapadać w lekką drzemkę, co chwila budząc się i na powrót przysypiając. Rytm pociągu był usypiający. Stuk, stuk, pomyślał Gabriel. Dokładnie jak w jego książeczce o małym silniczku, kiedy był chłopcem. Stuk stuk.

Niejasno zdał sobie sprawę, że naprzeciw niego siada kobieta. Była drobnej budowy i miała długie blond włosy. Z pochyloną głową czytała jakąś gazetę.

Stuk, stuk... stuk, stuk.

Strząsnęła strony i schludnie złożyła gazetę wzdłuż zagięć. Jasne włosy opadały jej na czoło, zakrywając jedno oko. Podniosła rękę i odgarnęła je szczupłą dłonią. I spojrzała wprost na Gabriela.

W jej pustych oczodołach wisiały pajęczyny. Skóra na jej szczęce była zielona w stanie rozkładu.

Melissa Cartwright. Modelka z wybiegów. Młodziutka żona Sir Stephena Cartwrighta. Ofiara porwania.

Zawiodłeś mnie. Jej usta poruszyły się i Gabriel dostrzegł jej gnijące zęby. *Zawiodłeś mnie.* Małeńki czarny pająk wypadł z jednego oczodołu i przebiegł po jej nogach.

Stuk, stuk. Stuk, stuk...

Nie! Próbował się odezwać, ale jego usta poruszały się bezskutecznie, żaden dźwięk się nie wydobywał.

Tak. Tak samo, jak zawiodłeś jego.

Głowa o upiornych oczodołach popatrzyła w punkt gdzieś po jego prawej stronie. Jak w transie Gabriel odwrócił się w tym samym kierunku.

Izydor...

Stracił przytomność ze strachu.

*

Kiedy się ocknął, konduktor potrząsał go za ramię.

— Stacja Waterloo. Ostatni przystanek, proszę pana. Pora się obudzić.

Gabriel rozejrzał się głupio dokoła. Przedział opustoszał. Siedzenie naprzeciwko było wolne. Tak jak siedzenia po jego obu stronach. Został tylko on.

Było mu tak zimno. Wsiadł z jasno oświetlonego przedziału na peron i po plecach przebiegł mu dreszcz. To tylko zimno, powiedział sobie. Tylko zimno.

Kiedy jechał ruchomymi schodami na górę, wciąż oglądał się za siebie. Za trzecim razem ją dostrzegł. Czarny płaszcz, blond włosy. Oczy zasnutę pajęczynami.

Gabriel zaczął przepychać się między ludźmi do przodu. Lecz czuł się tak, jakby nogi ugrzęzły mu w ruchomych piaskach. Próbował przeskakiwać po dwa stopnie, ale ledwo się ruszał. Jego oddech wydobywał się z gardła z chrapliwym świstem. Znowu obejrzał się za siebie.

Zniknęła.

Postój taksówek. Musiał znaleźć taksówkę, która zabierze go do domu.

Do krawężnika podjechała taksówka z zapalonym żółtym znakiem. Kiedy Gabriel otworzył drzwi i pochylił głowę, żeby wsiąść do środka, dostrzegł w szybie jej odbicie. Stała tuż za nim. Gdyby wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć jego ramienia.

Z gardła wyrwał mu się dziwny dźwięk. Wpadł do taksówki i zatrzasnął za sobą drzwi. Kierowca spojrział na niego zaskoczony.

To tylko halucynacje. Twój umysł płata ci figle. Odwracając wzrok od okien, Gabriel podał swój adres kierowcy, który teraz przyglądał mu się z otwartą podejrzliwością.

Mieszka ci w głowie. Zasadza w twoim umyśle te obrazy Melissy Cartwright i Izydora jak trujące nasiona. Nie pozwalaj jej na to.

Jej.

Dlaczego nie mógł wypowiedzieć jej imienia?

Kiedykolwiek o niej myślał, używał słów „morderczyni”, „skryto-bójczym”, „intruzka”. Tak jakby nie używając jej imienia, mógł umknąć przed prawdą.

Minnaloushe.

Staw temu czoła. Zmierz się z tym.

I zastanów się, jak zamierzasz powiedzieć Morrighan, że jej siostra odpowiada za śmierć trzech osób.

Stojąc pod drzwiami, Gabriel zaczął szukać kluczy. Kiedy dostanie się do swojego mieszkania, będzie bezpieczny.

Włączył światło. Salon był pusty.

Ale... dzwoneczki wietrzne, zwisające z sufitu w pustym, nieruchomym pokoju, chwiały się leciutko. Jakby ktoś przeszedł wystarczająco blisko, by poruszyć powietrze.

Nie. To tylko sztuczka.

Tak zimno. Gabriel spojrzął na swoje drżące dłonie. Czy kiedykolwiek były nieruchome?

Wszedł do łazienki i odkręcił kurek nad wanną. Zdjął marynarkę i koszulę. Pomieszczenie zaczynała wypełniać para, perląca się na lustrze niczym lzy. Jego własna twarz, blada, o rozkojarzonym spojrzeniu, wyglądała jak twarz tonącego.

Coś poruszyło się za nim. W pole jego widzenia wpłynęło zamglone oblicze kobiety z włosami jak blond wodorosty. Miękka jak gąbka skóra na jej twarzy rozkładała się.

Gabriel wrzasnął. Zerwał się na równe nogi i w pośpiechu poślizgnął na łazienkowym dywaniku. Wybiegł z pomieszczenia i zatrzasnął za sobą drzwi. Jego palce mocno uchwyciły klamkę, jakby chciały zatrzymać w środku to, co kryło się w łazience. Już za chwilę gałka zacznie obracać się w jego dłoni... Już za chwilę.

Nic się nie stało. Za zamkniętymi drzwiami słyszał płynącą z kranu wodę.

Lecz Gabriel wciąż czekał. Woda dalej się lała. Nie wiedział, ile czasu tam stał, z całej siły trzymając za klamkę. Woda zaczęła przeciekać pod drzwiami łazienki na jego stopy, ale Gabriel nie ruszył się z miejsca.

Ktoś go obserwował. Gabriel odwrócił głowę, sztywny jak lalka, i spojrzął za siebie.

Na ścianie wisiała afrykańska maska Minnaloushe. Drewniana twarz o pustych oczodołach i pustym uśmiechu. Ochrona przed czarami.

Przewróciło mu się w żołądku. Machnął ręką i stracił maskę ze ściany. Upadła z trzaskiem na podłogę. Przez jeden oczodół biegło pęknięcie. Usta wciąż się uśmiechały.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Ten dźwięk go sparaliżował, przykuł do podłogi. Gabriel spojrział ze strachem na drzwi wejściowe. Nagle pomyślał o Izydorze, pochowanym dopiero tego ranka, spoczywającym w trumnie w wilgotnej glebie. Może jego przyjaciel wcale nie był w trumnie. Może właśnie stał za drzwiami z ręką podniesioną, by zadzwonić raz jeszcze.

Dzwonek ponownie zadzwonił. Po kilku chwilach ktoś uderzył pięścią w drzwi.

— Gabrielu? — głos Frankie był stłumiony. — Jesteś tam?

Gabriel zerwał się z miejsca i zdjął łańcuch palcami osłabłymi z pośpiechu i niedawnej paniki.

— Mój Boże — w głosie Frankie brzmiało przerażenie. — Co ci się stało?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Rezonans magnetyczny wyglądał jak dzieło sztuki. Upiorne, ale jednak dzieło sztuki.

— Śliczne, prawda? — mężczyzna po drugiej stronie biurka uśmiechnął się promiennie do Gabriela, jakby pomyślał o tym samym. — Doskonale widoczne szczegóły.

Gabriel popatrzył z powrotem na zdjęcie, przypięte do oświetlonego ekranu. Wciąż nie mógł uwierzyć, że ogląda własny mózg. Wyglądało to jak rozplaszczony biały grzyb unoszący się w studni czarnego tuszu.

Siedząca obok niego Frankie przysunęła krzesło bliżej i ujęła jego dłonie w swoje. Odkąd zastała go poprzedniego wieczoru w mieszkaniu, niemal go nie odstępowała. I to za jej sprawą siedział teraz w gabinecie jednego z najlepszych neurologów w Wielkiej Brytanii.

Wcześniej poddano go rezonansowi magnetycznemu. Gabriel wiedział, że umówienie się na coś takiego — nawet prywatnie — zwykle zajmowało trochę czasu, ale Frankie wrzuciła swój najwyższy bieg. Wystarczyło, że spojrzała na jego nabiegłe krwią oko i roztrzęsione ręce, i od razu zadzwoniła do lekarza, który zajmował się przedtem jej mężem. Ten z kolei umówił ich na wizytę u neurologa. Gabriel nie miał pojęcia, za jakie jeszcze sznurki trzeba było pociągnąć, ale w

ciągu jednego dnia został prześwietlony, opukany, zbadany i wezwany, by usłyszeć wyrok.

Neurolog, który nazywał się Horacjusz Dibbles, położył na biurku dwie pulchne dłonie i spojrzął na Gabriela anielsko błękitnymi oczami.

— Panie Blackstone. Mamy dobrą i niezbyt dobrą wiadomość. — Gabriel spodziewał się, że lekarz spyta go, którą chciałby usłyszeć najpierw, lecz Dibbles ciągnął dalej: — Doznał pan przejściowego niedokrwienia mózgu.

— Udar? — Na chwilę Gabriel pomyślał o swoim wujku Benie, który dostał udaru w wieku czterdziestu lat i potem mówił w taki sposób, jakby miał język zanurzony w smole, a do tego ciągnął za sobą lewą nogę jak bezużyteczny kawałek drewna.

— Przejściowy udar. Otóż jego objawy są takie same, jak przy normalnym udarze, rozumie pan. Mogą wystąpić problemy z widzeniem. A także z zachowaniem, poruszaniem się, mową i myśleniem. Typowym objawem jest zamęt w umyśle.

Zamęt w umyśle. Bez kitu. Przez głowę Gabriela przepłynęła wyniszczona twarz Melissy Cartwright. Dibbles odkaszlnął dyskretnie.

— Niemniej objawy przejściowego udaru są tymczasowe. Zwykle mijają po godzinie, chociaż czasem mogą ciągnąć się nawet przez całą dobę. Ważne jednak, żeby pamiętać, że w większości przypadków trwałe uszkodzenia są mało prawdopodobne.

— Więc jaka jest ta niezbyt dobra wiadomość?

— Cóż, musi pan zrozumieć, że miał pan krwotok w głowie. W arterii pańskiego mózgu jest słaby punkt, tętniak. To jak mały balonik, albo przetarcie po wewnętrznej stronie opony samochodowej. I zrobił się wyciek. Martwi mnie jednak to, że najwyraźniej miał ich pan kilka. Za każdym razem zaleczały się samoistnie i krwawienie ustawało. Ale powtarzające się wycieki to nic dobrego.

— Czy da się to wyleczyć? — Frankie pochyliła się do przodu z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Zwykle kiedy zidentyfikuje się tętniaka, zalecają się go za pomocą mikrochirurgii i usuwa. Ale oczywiście musimy przeprowadzić dalsze badania. — Dibbles znów spojrzął na Gabriela. — Chciałbym, żeby zgłosił się pan do szpitala, żebyśmy mogli się temu dokładnie przyjrzeć. Dowiedzieć się, co powoduje te powtarzające się wycieki.

Nie co, pomyślał Gabriel. Tylko kto.

Neurolog wydawał się zmartwiony jego milczeniem.

— Panie Blackstone...

— To będzie musiało poczekać.

— Zaczekać?

— Tak. Skontaktuję się z panem w późniejszym terminie. — Gabriel odepchnął krzesło i zaczął się podnosić.

— To bardzo nierozsądne. — Z twarzy Dibblesa zniknął pogodny uśmiech.

— Rozumiem. Ale to nie jest najlepsza pora.

Dibbles spojrzął na Frankie.

— Pani Whittington, nie potrafię dostatecznie stanowczo wyrazić, jakie to ważne, by pan Blackstone poddał się obserwacji.

Frankie również wstała.

— Porozmawiam z nim, doktorze Dibbles. Obiecuję, że skontaktujemy się bardzo szybko.

Mina Dibblesa sprawiła, że Gabriel zaczął się zastanawiać, czy doktor nie spróbuje ich zatrzymać. Może miał pod biurkiem włącznik alarmu, dzięki któremu mógł jednym dotknięciem wezwać armię krzepkich pielęgniarek z kaftanami bezpieczeństwa i ze strzykawkami.

Lecz Dibbles westchnął. Złożył z namysłem swoje pulchne dłonie i powiedział głosem pozbawionym emocji:

— Nie mogę pana zmusić, by zgłosił się pan do szpitala, panie Blackstone. Musi pan jednak wiedzieć, że następny atak może być prawdziwym udarem. Może doprowadzić do paraliżu.

Przerwał, przełożył dłonie.

— Albo śmierci.

*

— Na zdrowie. — Gabriel nieco zbyt mocno stuknął swoim kieliszkiem o kieliszek Frankie.

Podniósł lampkę do ust i napił się chciwie. Był to prawdziwy cabernet i tanina paliła mu język. Topienie smutków w alkoholu nie było pewnie najlepszym rozwiązaniem, ale przestało go to obchodzić. Frankie siedziała na jednym ze skórzanych foteli w jego mieszkaniu. Wyglądała na wstrząśniętą.

Gabriel nie chciał nawet myśleć o tym, jak wygląda. Z premedytacją unikał teraz luster. Kiedykolwiek w jakieś spojrzął, widział twarz swojego dziadka. Dziadka na łożu śmierci. Ale nie chodziło tylko o to, że widok własnej twarzy go dołował — popielata skóra, nabiegłe krwią oczy. Gabriel bał się również, że zobaczy za sobą padający na drzwi cień: bezwładną, kiwającą na niego dłoń. Nie wiedział, co było gorsze: myślowe ataki czy halucynacje.

— Jak się czujesz?

— Nieźle. — W głowie go łupało, ale przecież ostatnio zawsze tak było. Zaczynał się przyzwyczajać. A ból głowy był niczym w porównaniu z prawdziwym atakiem.

Jakby czytając w jego myślach, Frankie powiedziała:

— Dlaczego Minnaloushe nie zaatakowała po raz kolejny?

Ostatni atak był dwa dni temu.

— Może się zmęczyła. Może sama potrzebuje chwili wytchnienia, żeby się doładować. — Gabriel wzruszył ramionami, łyknął jeszcze wina. — Kto wie? Ale taki atak pewnie ją również wyczerpuje.

— Boże, mam taką nadzieję — powiedziała Frankie gwałtownie. — Mam nadzieję, że to dla niej naprawdę bolesne. Suka.

Gabriel skrzywił się na dźwięk tego słowa. Dziwne, że przeskoczył mu ten epitet. Potwornie żalosne, z której strony by na to nie patrzeć. Minnaloushe ze wszystkich sił starała się go zniszczyć, a on przejmował się, kiedy Frankie ją obrażała.

Jednak musiał być szczery. Myśl, że Minnaloushe jest morderczynią, wciąż wydawała mu się zupełnie nieprawdopodobna.

Przypomnił sobie, jak wyglądała w wieczór swoich urodzin. Postać z religijnego malowidła. Jedna z tych pięknych kobiet o szczupłych nadgarstkach i promiennych oczach, które zamieszkiwały płótna starych mistrzów. Rozmodlona Maria Magdalena albo szlachetna Judyta. Jej skóra skąpana w świetle, cienie w jej włosach i kącikach ust.

Nagle Gabriel zdał sobie sprawę, że jest pogrążony w żalu. Żalu za utraconą niewinnością. Ale zachowywał się głupio. Nie mógł sobie pozwolić na luksus żałoby. Jeśli nie utwardzi przed Minnaloushe swojego umysłu, to koniec z nim. Ona z pewnością wykorzysta każdą jego słabość, więc ze względu na siebie niech lepiej weźmie się w garść. Ze względu na siebie i na Morrighan. Ona również mogła być w niebezpieczeństwie.

Przywiodło go to do najważniejszej kwestii: jak ochronić Morrighan?

Miał okropne przeczucie, że była w wielkim niebezpieczeństwie i potrzebowała jego pomocy. Gdyby tylko chodziło o fizyczne zagrożenie, w każdej chwili wspomógłby ją przeciw Minnaloushe. Pod tym względem Morrighan była o wiele silniejsza i sprawniejsza z nich dwóch. Ale niebezpieczeństwo nie było fizyczne. Było o wiele bardziej podstępne. A tymczasem jemu przeciekał mózg jak przebita opona, i Gabriel raczej nie nadawał się do roli rycerza w lśniącej zbroi.

Morrighan. Jak ją ostrzec? Jak ją ochronić?

Frankie podniosła butelkę wina i znowu napełniła swój kieliszek. Gabriel machnął ręką, kiedy wyciągnęła do niego butelkę. Pił już trzecią lampkę.

— Frankie...

— Tak?

— Jestem ci bardzo wdzięczny za wszystko, co do tej pory zrobiłaś. Ale chcę, żebyś poszła już do domu. I chcę, żebyś trzymała się ode mnie tak daleko, jak tylko możesz.

— O czym ty mówisz? — Frankie rzuciła mu gniewne spojrzenie.

— Mówię poważnie. Sprowadzam na ludzi kłopoty. Wiesz, co się stało z Izydorem. Nie chcę, żeby to samo stało się z tobą.

— Och, przymknij się, Gabrieliu. — Frankie nie chciało się nawet podnosić głosu. — Gdyby nie ja, w ogóle byś w tym nie siedział. Więc po prostu się zniknij.

— Frankie, naprawdę sądzę...

— Odmawiam dalszej dyskusji na ten temat. — Frankie zacisnęła stanowczo usta. Na twarzy miała wyraz buntu. — Odczep się.

Gabriel odczepił się. Na razie.

— Zróbmy sobie jakiś obiad. — Frankie podniosła się. — A potem możemy porozmawiać, co dalej.

Podczas gdy Frankie gotowała wodę na makaron, Gabriel wyjął z lodówki pomidory, sałatę i pietruszkę. Położył warzywa na desce do krojenia i wyciągnął ze stojaka lśniący nóż. Global. Najlepszy. Wybrał ten komplet w Divertimenti, sklepie z artykułami kuchennymi na Knightsbridge, ledwie kilka miesięcy temu. Była z nim wtedy jego ówczesna dziewczyna. Ale nie potrafił przypomnieć sobie, jak miała na imię. Cathy? Carol? Spróbował się skupić, ale głowa mu pękała.

Trzonek noża wpasował się wygodnie w jego dłoń. Jego krawędź była ostra jak brzytwa. Ciach. Ciach. Ostrze z łatwością przechodziło przez łądźki pietruszki.

Głowa naprawdę go bolała. Gabriel popatrzył na deskę do krojenia przez zmrużone oczy. Ciach. Ciach. Przyciskał pietruszkę palcami i przez głowę przemknęła mu myśl, że ich czubki również wyglądały jak warzywa. Jak blade, gładkie kapelusze grzybów. Młode pieczarki. Ta myśl była w jakiś sposób zabawna, i z ust Gabriela wyrwał się lekki chichot.

— Gabrieliu? Wszystko w porządku?

— Jasne.

Nie podniósł głowy znad deski. Ruchy noża tnącego zielone łądźki pod jego palcami były hipnotyczne. Ciach. Ciach. Białe i zielone. Biel

palców. Zielen pietruszki. Ciach. Ciach. Nóż zbliżył się do czubków jego palców. Może czerwień i zielen byłyby lepszą kombinacją kolorów niż biel i zielen. Czerwony jak krew.

Ciach. Ciach. Wpatrywał się w lśniący nóż, w ostrze pełnące coraz bliżej i bliżej do jego palców. Tak jak ostrze tamtego noża myśliwskiego podpełzało bliżej i bliżej do gardła Melissy Cartwright. Czerwony jak krew. Czerwony jak krew...

— Gabrielu!

Krzyk Frankie wyrwał go z otępienia. W następnym momencie Frankie wyrwała mu nóż z dłoni, chwyciła go za ramiona i zaczęła nim potrząsać.

— Co ty, do diabła, wyprawiasz?

Przez chwilę Gabriel wpatrywał się w nią niemo. Potem zaczął płakać. Oparł się o kuchenne szafki, odrzucił głowę do tyłu i zapłakał z otwartymi ustami i oczami.

Frankie nie próbowała go uciszać. Po prostu czekała. Odezwała się dopiero wtedy, kiedy z jego ust wydobył się ostatni spazmatyczny jęk.

— Chcę, żebyśmy porozmawiali z Alexandrem.

— Nie! — Gabriel poderwał głowę do góry.

— Tak. Już czas.

— Ja nie idę, Frankie. Na pewno nie wybaczył mi Melissy. Nie mogę tego zrobić.

— Owszem, możesz — Frankie przerwała, po czym powtórzyła. — Już czas.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Głowa kobiety została praktycznie odcięta. Wokół szyi poszarpana tkanka, wielkie arterie serca odsłonięte. Przecięta tchawica bielila się wśród skrzepów krwi. Głowę miała odchyloną do tyłu, ale opartą o ścianę, jakby czuwała leniwie.

Melissa Cartwright. Królowa piękności. Wytworna żona sir Stephena Cartwrighta.

Oczy, chociaż martwe nie były pozbawione wyrazu. W jej spojrzeniu była straszliwa świadomość. Lewa powieka opadała zalotnie. Jak gdyby nie mogła się powstrzymać, pomyślał Gabriel. Zalotna za życia. Zalotna po śmierci.

Z dziwnym poczuciem odizolowania zobaczył, że przód kremowej sukni wieczorowej był splamiony. Wykrwawiła się. Guzkowate cekiny na staniku sukni sprawiały, że krew wyglądała jak purpurowe wymiociny. Jej dłonie spoczywały na brzuchu, związane drutem, z białymi kośćmi przebijającymi przez rozciętą skórę. Ale widać było, że walczyła. Niektóre paznokcie popękały tak bardzo, że odsłoniły żywe mięso. Jej długa suknia była podciągnięta i odsłaniała wewnętrzną stronę uda.

— Nie ma na sobie majtek — powiedział jakiś głos za Gabrielem. To jeden z detektywów rozmawiał z koleżanką.

— Pewnie w ogóle ich nie miała. Do tak obcisłej sukni nie wkłada się bielizny. — Policjantka uśmiechnęła się.

— Mimo wszystko nadal wygląda mi to na napaść na tle seksualnym.

Kobieta wzruszyła ramionami ze znudzeniem.

— Poczekajmy na wymazy z pochwy i odbytu.

Ktoś za Gabrielem zapłakał. Sir Stephen Cartwright zakrywał twarz dłońmi. Obok niego stał Alexander Mullins. Obaj mężczyźni mieli na butach plastikowe ochraniacze i spowici byli w białe ochronne kitle, tak samo jak Gabriel. Jak duchy, pomyślał. Duchy nawiedzające zmarłą.

Oczy Mullinsa wypełniał gniew.

— To nie twoje miejsce, Gabrielu, ale chciałem, żebyś zobaczył to na własne oczy. Mogłeś temu zapobiec.

Gabriel spróbował coś powiedzieć, ale miał ściśnięte gardło.

— Najpierw skłamałeś. A potem odmówiłeś zjazdu, bo byłeś... w krnąbrnym nastroju. — Gabriel skrzywił się, słysząc pogardę w głosie Mullinsa.

— Wynoś się — powiedział Mullins drżącym głosem. — Wynoś się stąd natychmiast.

Gabriel jeszcze raz popatrzył na zwłoki. Wydobywał się z nich smród. Utleniona krew. Uryna. Kał. Wiedział, że ten zapach z nim zostanie. Wsączy się w jego wspomnienia.

Wspomnienia. Z czasem się zacierają. Jakby przechowywane były na dysku, który został uszkodzony i teraz wyrzuca z siebie zdradliwą masę fragmentarycznych kodów, kiedy tylko próbujesz dostać się do danych.

Ale pewnych rzeczy nie zapomina się nigdy.

*

Gabriel na zawsze zapamiętał wyraz twarzy Alexandra Mullinsa tego dnia, kiedy oświadczył widzącym z Eyestormu, że zostali zaangażowani przez sir Stephena Cartwrighta do pomocy przy odnalezieniu jego uprowadzonej żony.

— Stephen i ja jesteśmy przyjaciółmi — powiedział Mullins i ten jeden raz na jego twarzy widać było ożywienie. — To sprawa osobista. Wszyscy musimy pracować razem. — Znacząco odwrócił głowę w stronę Gabriela i młody człowiek wiedział, co oznacza to spojrzenie. Weź się w garść. Do szeregu. Bądź częścią drużyny.

Tylko że gra drużynowa nigdy nie była w stylu Gabriela. Kiedy dokonujesz zjazdu, istniejesz tylko ty i twój cel. Nie było tam miejsca na grupowe uściski ani inspirujące pogadanki. Trzymanie się w kupie z innymi widzzącymi, dzielenie informacjami, omawianie spraw, otwieranie się: wszystko to było marnotrawstwem energii. A poza tym Gabriel lubił stawać przeciwko swoim kolegom. Zawsze wygrywał — a jak oni tego nienawidzili.

Melissa Cartwright była supermodelką, a jej fiołkowe oczy uśmiechały się do Gabriela i milionów innych ludzi ze stron dziesiątek czasopism. Psychopata imieniem William Newts najwyraźniej uznał, że jej uśmiech był przeznaczony tylko dla niego. Zanim sir Stephen zgłosił się do nich po pomoc, po jego żonie od trzech tygodni nie było śladu, media zaś szalały.

Gabriel był podekscytowany. Sukces na pewno zrobi wrażenie na Mullinsie.

Relacje między nim a jego mentorem były bardzo nierówne. Gabriel zdawał sobie sprawę, że Mullins podziwiał jego zdolności dalekowidzenia, tamten zaś przyznał raz, że w ciągu trzydziestu lat badań nad dalekowidzeniem nigdy nie spotkał kogoś o większych zdolnościach. Jednak wiedział też, że Mullins uważał go za aroganckiego i samowolnego, a jego niechęć do pracy zespołowej ciągle stanowiła kość niezgody.

Ze swej strony Gabriel uważał, że Mullins był nadmiernie ostrożny, a czasem wręcz celowo nie dopuszczał go do zadań. Mimo wszystko, choć nie chciał się do tego przed sobą przyznać, pragnął szacunku Mullinsa tak samo, jak syn pragnąłby aprobaty chłodnego uczuciowo rodzica.

Miał nadzieję, że sprawa Cartwright okaże się punktem przełomowym. Gdyby Gabriel zdołał sprowadzić Melisse cało do domu, staruszek miałby u niego dług wdzięczności na wieczność.

*

— Co się stało? — Frankie włączyła lampkę przy łóżku. Światło było słabe i kąty ich maleńkiego studenckiego mieszkania nadal kryły się w cieniu. Za oknem miasteczko Oksford pogrążone było we śnie.

Gabriel westchnął i szarpnął z irytacją prześcieradło.

— Nic. Śpij dalej.

— Nie. — Frankie podniosła się. — Jest pierwsza w nocy, a ty wciąż nie śpisz. A ja mam już dość twoich humorów. Od tygodnia nie da się z tobą żyć. Powiedz mi, co się dzieje!

Gabriel wbił w nią naburmuszone spojrzenie.

— Gabrielu, ty i ja jesteśmy w związku. Związku. To oznacza, że ty mówisz mi, co cię trapi, a ja słucham i mówię ci, że będzie dobrze i żebyś się nie martwił. Potem ewentualnie oboje możemy iść spać i trochę odpocząć, a ty nie będziesz się wiercił przez całą noc i zachowywał jak dupek następnego dnia.

Gdyby tylko to było takie proste, pomyślał Gabriel, patrząc na jej zarumienioną twarz. Nagle poczuł się bliski rozpaczy.

— Gabrielu?

— Zjazdy. Chyba już tego nie potrafię. — Słowa z trudnością przeszły mu przez gardło. Jego usta były dziwnie odrętwiałe.

Frankie zmarszczyła brwi.

— O czym ty mówisz?

— Mam kłopoty ze zjazdami, Frankie. Myślę... myślę, że może zacznym to tracić.

Mullins ostrzegał ich przed tym. Czasami dalekowidzący wypalali się i tracili swój dar. Zdarzało się to najlepszym wśród nich. Czy zdarzyło się także jemu?

Frankie westchnęła niecierpliwie.

— Gabrielu, to, że raz się zaciąłeś...

— Trzy razy.

— ...Trzy razy się zaciąłeś, nie oznacza, że się wypalasz. Po prostu nie widzisz jeszcze wyraźnie.

— Frankie, ja w ogóle nie widzę.

— Ale zlokalizowałeś trzy miejsca. Mówiłeś, że jesteś pewien. Alexander dzwonił nawet na policję, żeby to sprawdzili.

— Zmyśliłem to.

— Co!

— Pomyślałem... pomyślałem po prostu, że jeśli kupię sobie trochę czasu...

Frankie była zszokowana. Wyraz jej oczu sprawił, że Gabriel odwrócił głowę. Spekulacje i domysły były częścią pracy każdego dalekowidzącego, ale niezwykle ważne było, aby nie upiększać tego, co się widziało podczas zjazdu. Nigdy nie udawać. Nigdy nie kłamać. Była to mantra, którą Mullins wtłoczył im do głów w trakcie podstawowego szkolenia. Gabriel zawsze trzymał się kodeksu. Aż do tej chwili.

Słowa wylały mu się z ust.

— Nie wiem, co się dzieje. Czuję, że zaczynam przechodzić, że zaczyna się zjazd. A potem wszystko staje. Jakby ktoś zatrząskował mi drzwi przed nosem. Całkowita blokada.

— Musisz powiedzieć Alexandrowi.

— Nie, nie teraz. Może jeszcze się uda, Frankie. Potrzebuję tylko więcej czasu. Wiem, że jakoś przełamie tę blokadę.

— Jeśli ty mu nie powiesz, ja to zrobię — głos Frankie był nieugięty.

— Zdradziłabyś mnie?

— Na litość boską, tu nie chodzi o ciebie i mnie! Ta kobieta może zginąć!

Na widok jej miny Gabriel wzdrygnął się.

— Dobra. — Zaczął naciągać na siebie ubranie. — Dobra.

Pójdę zobaczyć się z nim od razu.

W drzwiach zatrzymał się i odwrócił. Frankie obserwowała go, zakrywając dłonią usta, co nadawało jej twarzy obcy, nieufny wyraz.

*

Jednak reakcja Frankie była niczym w porównaniu z gniewem Mullinsa.

— Nie dziwię się, że nie miałeś moralnej odwagi, by przyznać się do swojego problemu wcześniej, Gabrielu. W końcu zawsze przecież chodzi o ciebie, prawda? Ciebie i twoją próżność. Pani Cartwright to dla ciebie tylko szczegół. Nie zależy ci na niej. Zależy ci tylko na tym, żeby nie wyjść na głupka.

— Alexandrze, tak mi przykro.

— Nie, nieprawda. Przykro ci tylko dlatego, że musiałeś mi o tym powiedzieć.

— Proszę, wysłuchaj mnie...

— To moja wina. To ja zaakceptowałem te twoje problemy z ego, sądząc, że liczy się tylko twoje dalekowidzenie. Zaniechałem zespół, nie poświęcałem takiej samej uwagi raportom pozostałych. Przez ciebie straciliśmy czas, Gabrielu. Czas, który moglibyśmy poświęcić na sprawdzanie innych możliwości. A teraz straciliśmy także zaufanie policji.

Na to Gabriel nie miał odpowiedzi.

— Chcę, żebyś odszedł.

Gabriel odszedł. Kiedy wrócił do mieszkania, Frankie nie było. Padł na łóżko, nawet nie zdejmując ubrania.

Lecz dopiero przed świtem zaczął w końcu przechodzić ze stanu czuwania w sen. A kiedy zaczął odpływać, poczuł, jak otwiera się jego wewnętrzne oko. Zaraz zacznie się zjazd.

Poczuł delikatny nacisk. Odpuść. Odpuść. Przejdź na drugą stronę...

Zawahał się.

Puść się. Przejdź...

Ale po co? Mullins go wykopał. A zresztą prawdopodobnie znowu się zablokuje. Po co znowu się narażać na ten ból?

Puść się...

Nie. Gabriel zdusił impuls i z łatwością zamknął wewnętrzne oko. Skończył z Eyestormem. Co za ulga, pomyślał. Co za ulga wiedzieć, że ta część jego życia dobiegła końca.

Kiedy przekreślił się na drugi bok i naciągnął kołdrę na głowę, zauważył, że niebo za oknem zaczyna pokrywać się najdelikatniejszą jasnością.

Ciało Melissy Cartwright znaleziono jedenaście godzin później na farmie w Yorkshire. Zmarła we wczesnych godzinach porannych.

Tuż po wschodzie słońca.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

— Gabrielu, obudź się. — Ręka Frankie delikatnie potrząsała go za ramię.

Gabriel podniósł głowę z oparcia samochodu i skrzywił się. W drodze do Oksfordu zasnął i teraz jego kark był boleśnie zeszywniały. Czoło miał odrętwiałe i zimne tam, gdzie przyciskał je do zmarzniętej szyby.

Otworzył drzwi samochodu i uderzył go chłód nocnego powietrza. Kiedy wyszedł na zewnątrz, jego oddech zaczął opuszczać usta w postaci eterycznej chmurki.

Przez chwilę Gabriel stał w milczeniu, patrząc na stojący przed nim dom. Z wyjątkiem nowiutkiej komórki w ogrodzie miejsce wyglądało dokładnie tak samo jak trzynaście lat temu.

Frankie wsunęła mu rękę pod ramię.

— Chodźmy.

Kiedy szli ścieżką ogrodową do wejścia, zapaliło się zewnętrzne światło i ktoś otworzył drzwi. Na ganek wyszła wysoka postać odziana w znoszony aksamitny surdut, flanelowe spodnie i buty Nike.

Gabriel zatrzymał się. Na chwilę zapadła cisza. Potem mężczyzna na ganku skinął dłonią.

— Wejdźcie.

Odwrócił się i wszedł z powrotem do środka. Po chwili wahania

Gabriel i Frankie podążyli za nim, zamykając za sobą drzwi.

Wewnątrz domu również nic się nie zmieniło. Natychmiast rozpoznali tapetę z wypukłym wzorem w przedpokoju. Salon wciąż zapchany był porcelanowymi bibelotami — wdzięcznymi pastereczkami i aniołkami o różanych policzkach — oraz stertami książek i czasopism. Słabe żarówki w zakurzonych abażurach z frędzlami spowijały wszystko żółtym światłem.

Ale chociaż dom wyglądał tak samo, to jego właściciel już nie. Alexander Mullins postarzał się. Jego skóra poorana była cienkimi liniami. Jego włosy znacznie się przerzedziły. Poruszając ustami emoknęła, a wstrząśnięty Gabriel zdał sobie sprawę, że Mullins nosił staromodną sztuczną szczękę.

Jednak oczy za okularami w kształcie kocich oczu wciąż były lodowate. A głos, choć nie utracił nic ze swego arystokratycznego brzmienia, wciąż potrafił być ostry.

— No, więc przyjechaliście. Czego chcecie?

*

Gabriel pozwolił mówić Frankie. Dobrze się spisała: wymieniła fakty rzetelnie i zgodnie z chronologią, oczyszczając opowieść z emocji i domysłów. Dokładnie tak, jak Mullins uczył ich streszczać sprawy w Eyestormie te wszystkie lata temu. Przynajmniej jedna studentka wzięła sobie nauki do serca, pomyślał sucho Gabriel. Żadnych kliwów uwag ani osobistych uprzedzeń, które zaciemniłyby sprawę. Mullins powinien być zadowolony.

Kiedy Frankie skończyła, Alexander zwrócił wzrok na Gabriela.

— Więc czego ode mnie chcecie?

Frankie wychyliła się z krzesła.

— Alexandre...

Uciszył ją gwałtownym ruchem dłoni. Gabriel odezwał się zeszywniałymi ustami.

— Wygląda na to, że szukam pomocy.

— Pomocy — głos Mullinsa był cichy.

Cisza. Gabriel przyłapał się na tym, że zaciska dłonie w pięści. Z wysiłkiem rozluźnił palce.

— No cóż, przykro mi, ale bardzo niewiele mogę wam zaoferować.

— Mullins przerwał. — Nigdy jeszcze nie spotkałem takiego dalekowidzącego jak ta kobieta.

Ta kobieta. Minnaloushe. Upadły anioł.

— To jasne, że jej zdolności dalekowidzenia są wyjątkowe — ciągnął Mullins. — Przez wszystkie lata badań nigdy osobiście nie natknąłem się na nikogo, kto potrafiłby wyrządzić komuś fizyczną krzywdę wyłącznie za pomocą dalekowidzenia. — Zmarszczył brwi. — To doprawdy niezwykle. Nie mam na to wyjaśnienia.

— Wyjaśnieniem jest fakt, że to wiedźma — głos Gabriela był szorstki.

— Wiedźma — Mullins wypowiedział to słowo z pogardą.

Gabriel starał się mówić spokojnie.

— Owszem. To czarownica. Wykorzystała swój naturalny dar, dalekowidzenie, i powiększyła go tak, że stał się śmiercionośną bronią.

— A jak zdołała tego dokonać?

— Praktykując alchemię. Wysoką magię.

Na długą chwilę w pokoju zapadła cisza. Potem Mullins wykonał ręką gest, jakby odpychał coś nieprzyjemnego.

— Obawiam się, że nie czuję się na siłach, by zgłębiać z tobą królestwo ezoteryki. Sugeruję, byśmy zajęli się znanymi nam faktami. Jakaś dalekowidząca najwyraźniej potrafi wykorzystać swoje zdolności do spowodowania patologicznych zmian w zdrowym mózgu. Nigdy się z czymś takim nie zetknąłem, więc nie mogę udzielić wam żadnych informacji. Nie mam też żadnego cudownego leku.

— Musi być coś, co moglibyśmy zrobić — powiedziała Frankie cicho.

— Cóż, rozłóżmy problem na czynniki pierwsze. Pytanie: czy istnieje sposób, by zagrozić intruzce dostępu do umysłu Gabriela?

Odpowiedź: owszem. Może zablokować skan. Drugie pytanie: czy jest to trwała ochrona? Odpowiedź: nie. Blokując, Gabriel doznaje fizycznej traumy.

Gabriel wzruszył ramionami.

— Więc będę musiał po prostu wymyślić inny sposób obrony.

— To wcale nie jest proste. — Mullins zdjął okulary i przetarł szkła rękawem surduta. Była to maniera, którą Gabriel dobrze pamiętał: sygnał, że Mullins się koncentruje, skupia swoją inteligencję na bieżącym zagadnieniu. Gabriel pomyślał, że chyba powinien być wdzięczny za to, że staruszek jest przynajmniej na tyle zaintrygowany, by rzeczywiście poświęcić problemowi uwagę. Na to właśnie liczyła Frankie. Miała nadzieję, że ciekawość Mullinsa przewycięży jego osobiste animozje.

Mullins umieścił okulary z powrotem na nosie.

— Opisz mi, jak się czujesz podczas tych myślowych ataków — zwrócił na Gabriela swoje zimne oczy.

— Sensorycznie przeładowany. Takie to uczucie. Jakby ktoś wrzucił mi do mózgu zawartość gigantycznej ciężarówki pełnej zupełnie chaotycznych obrazów i dźwięków. Jakby przez mój umysł przewalała się lawina. A ponieważ wszystko dzieje się tak szybko, nie jestem w stanie niczego rozróżnić — niczego nie widzę wyraźnie — wszystkie obrazy zamazują się w plamę. I nie ma temu końca, jakby miało to trwać w nieskończoność. A potem, kiedy blokuję, czuję się tak, jakby głowa miała mi eksplodować. Ból jest... bardzo silny — prawdopodobnie „potworny” byłoby lepszym określeniem, ale Gabriel wiedział, że Mullins uznałby tak przesadne słowo za niesmaczne.

Na kilka chwil zapadła cisza.

— Pałac pamięci — powiedział wolno Mullins. — Wydaje mi się, że tam tkwi odpowiedź. Jak rozumiem, pałac ten to tak naprawdę ogromny skład danych.

— Tak. — Gabriel kiwnął głową.

— Sądzę, że ona przesyła zawartość pałacu pamięci do twojej świadomości, korzystając ze swoich zdolności dalekowidzenia.

Do rozmowy wtrąciła się Frankie.

— Chcesz powiedzieć, że przerzuca wszystko z własnej głowy prosto do głowy Gabriela?

— Właśnie. Jej umysł jest najwyraźniej dość silny, by pomieścić te wszystkie informacje. A twój — Mullins popatrzył na Gabriela wzrokiem pozbawionym wyrazu — nie.

Chwila napiętej ciszy. Mullins ciągnął dalej:

— Oczywiście rozwiązaniem problemu byłoby zniszczenie pałacu pamięci. Ale jak tego dokonać, nie wiem.

— Może Gabriel mógłby ją zeskanować — powiedziała Frankie. — Wejść do jej umysłu.

— I co dalej? O ile wiem, sam nie jest, jakże to nazwaliście, najwyższym magiem. — Mullins uśmiechnął się. — Więc jaką bronią miałyby się posłużyć? Nie ma żadnego nadmiaru informacji, który mógłby zrzucić do jej umysłu. To działa tylko w jedną stronę. Co najwyżej w końcu zagubiłby się w pałacu, nie mogąc znaleźć drogi do wyjścia.

Mullins nie rozwodził się nad tym. Nie musiał. Zagubienie się w labiryncie cudzego umysłu było koszmarem każdego daleko — widzącego. Czasami — niezbyt często — widzący nie potrafił przeciąć więzi między własnym umysłem a umysłem gospodarza. Były to bardzo trudne sytuacje. Można było skończyć w śpiączce, tkwiąc w półmroku przestrzeni psi: gdzieś na granicy. Zdarzało się to bardzo rzadko, ale jednak zdarzało. Dalekowidzący rozumieli to ryzyko, jednak ponieważ statystyczne prawdopodobieństwo czegoś takiego było maleńkie, zwykle nie martwili się tym przesadnie. Lecz ta wiedza zawsze z nimi była. A w tym przypadku szansa, że coś pójdzie nie tak, była w istocie bardzo duża.

Ciszę w pokoju przerwało pikanie małego budzika. Mullins dotknął swojego zegarka.

— Czas na moje leki.

Oparł się dłońmi o kolana i podniósł z trudnością. Wyraźnie było widać, że spotkanie dobiegło końca.

— Alexandrze, jeśli przyjdzie ci do głowy coś jeszcze... — w głosie Frankie nie było nadziei.

— Oczywiście — powiedział Mullins uprzejmie, ale słowa wydawały się puste.

Kiedy otwierał przed nimi drzwi, odwrócił się twarzą w stronę Gabriela. Stał tak blisko, że Gabriel poczuł jego zapach. Była to woń starego człowieka. Powieki Mullinsa opadały i miały wodniście różową barwę. W jakiś sposób te oznaki starzenia były wstrząsające. Gabriel zawsze myślał o nim jako o wszechmocnym.

Kiedyś kochał tego człowieka, pragnął jego aprobaty. Wiedział, że dziś w nocy stanął na progu jego domu, licząc na to, że znajdzie tam wybawienie. Mullins będzie znał odpowiedź i doprowadzi ten koszmarny do końca. I wybaczy mu sprawę Melissy Cartwright, tak jak rodzic wybacza dziecku. Bezwarunkowo.

— Nie wiem, czy się zmieniłeś, Gabrielu. Mam nadzieję, że tak. — Mullins cmoknął i Gabriel znowu dostrzegł zarys sztucznej szczęki poruszającej się pod cienkimi wargami. — Jeśli zamierzasz stanąć do walki przeciwko tej kobiecie, nie będzie miejsca na dziecinne pieszczoty ze sobą. I tym razem nie będziesz mógł się wycofać.

Gabriel zadrżał.

— Kiedyś byłeś częścią zespołu. Ale uważałeś, że jesteś dla niego zbyt silny. Mogłeś poprosić o pomoc, ale nie, nie ty — ty byłeś samotnym jeźdźcem. Cała ta buta macho... i popatrz, dokąd cię to zaprowadziło, dokąd zaprowadziło Melisę. Gdybyś zwrócił się ze swoim problemem do grupy, może moglibyśmy pomóc ci przełamać blokadę. Ale to byłoby zbyt poniżające dla wielkiego Gabriela Blackstone'a. A potem, kiedy mogłeś to naprawić, nie uczyniłeś tego. Gdybyś dokonał tego ostatniego zjazdu, kto wie, czego byś się z niego dowiedział. Ale ty byłeś obrażony. Zawsze szedłeś na żywioł, Gabrielu. Zawsze polegałeś na talencie. Cóż, ta kobieta ma nie tylko talent. Ma także wyćwiczony umysł.

Zamilkł na chwilę.

— Szczerze mówiąc, uważam, że nie masz żadnych szans.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Droga powrotna do Londynu przebiegła niemal w całkowitej ciszy. Frankie była bardzo znużona, a jej ręce luźno spoczywały na kierownicy.

Kiedy zatrzymali się przed domem Gabriela, odwróciła się do niego.

— Na pewno nie chcesz, żebym z tobą została? Nadal uważam, że nie powinieneś być sam.

— Wszystko ze mną w porządku.

Naprawdę czuł się nieco lepiej. Może to tylko pobożne życzenie, ale zdawało mu się, że pulsujący ból głowy, który ostatnio zdawał się w ogóle go nie opuszczać, trochę zelżał. Oczywiście nie dość, żeby Gabriel mógł zacząć fikać koziołki, ale wystarczająco, by poczuć ulgę. Nie wiedział, dlaczego Minnaloushe nie atakowała, ale był wdzięczny za te chwile wytchnienia. Może w ogóle odpuściła? To dopiero, pomyślał sucho, jest prawdziwe pobożne życzenie. Kiedy pogodzi się z tym, że Minnaloushe nic do niego nie czuła? Kiedy zastąpi Minnaloushe ze swych wspomnień zimnokrwistą morderczynią, którą była?

Spojrzał na Frankie. Ku swemu przerażeniu zobaczył, że z jej oka spływa łza.

— Och, kochanie, nie — delikatnie starł kciukiem łzę z jej policzka.

— Boję się. Tak bardzo się o ciebie boję. A ty nie jesteś przerażony? Na pewno tak.

— Znajdziemy rozwiązanie, Frankie. Mocno w to wierzę. — Co było jednym wielkim kłamstwem, ale nie była to odpowiednia chwila, aby przyznawać się do strachu. — Nie płacz, Frankie. Nie płacz.

Wciąż z oczami pełnymi łez, powiedziała:

— Przykro mi z powodu Alexandra. Miałaś rację: nie powinniśmy byli tam jechać. To była zupełna porażka.

— Nie, to nieprawda. Alexander zdołał wyjaśnić mechanizm tego, co się ze mną dzieje... nawet jeśli uczynił to w typowy dla niego, zgryźliwy sposób.

— Jak to?

— Pałac pamięci. Myślę, że miał rację, Frankie. Myślę, że wszystko, co Minnaloushe zrzuca do mojego umysłu w czasie ataku, to informacje, które przechowuje w pałacu pamięci. Nigdy o tym w ten sposób nie myślałem, ale tylko to ma jakiś sens.

— Więc musimy zamknąć pałac.

— Tak. Szkoda, że Alexander tylko nazwał problem, ale nie potrafił go rozwiązać.

— Wciąż jest taki wściekły. — Frankie przełknęła ślinę. — Nigdy nie sądziłam, że nadal będzie się tak gniewał.

— Jeszcze mi nie wybaczył. Ale ma rację, Frankie. Przez lata wmawiałem sobie, że to nie moja wina, ale prawda jest taka, że gdybym nie był tak arogancki, ona wciąż mogłaby żyć. A gdybym tylko dopuścił do tego ostatniego zjazdu, może zdobyłbym informacje, które zaprowadziłyby nas do niej, zanim Newts ją pociął. Ale nie pozwoliłem na zjazd, bo... byłem rozżalony.

— Zmieniłeś się — powiedziała wolno Frankie. — I nie mówię tylko o tym niewczesnym *mea culpa*. To coś więcej. Widzę to od kilku dni. Coś się z tobą stało, coś dobrego. Kiedyś byłeś pod pewnymi względami bez serca. Zawsze czarujący, ale miałaś w sobie jakąś obojętność. Chłód.

Gabriel spróbował się uśmiechnąć.

— Może źle mnie osądzałaś.

— Nie. Stało się z tobą coś, co zmieniło cię aż do szpiku kości. Kto wie? — Westchnęła. — Może musimy za to podziękować siostrzyczkom.

— Więc nie wszystko było na próżno — powiedział Gabriel cierpko. — Umrę jako lepszy człowiek.

— Nie waż się mówić o śmierci! Nie zniosę utraty kolejnej osoby, którą kocham — Frankie wzięła głęboki oddech. — To jeszcze nie koniec. Została nam jedna opcja. A gdybyśmy zwrócili się do Morrighan? Powiedzieli jej, co wiemy. Poprosili o pomoc. Jeśli ktokolwiek może dotrzeć do Minnaloushe, to tym kimś jest ona. Może nie będzie chciała uwierzyć, że Minnaloushe to zwykła morderczyni, ale warto spróbować.

— Uwierzy. Wiem to z Dziennika. W ostatnim wpisie, który czytałem, było wyraźnie napisane, że ma poważne podejrzenia co do swojej siostry.

— Więc na co czekamy?

Gabriel zawahał się.

— Nie chcę jej narażać. Jeśli Minnaloushe uzna, że Morrighan zwróciła się przeciwko niej, kto wie, do czego się posunie? W którymś momencie będę musiał porozmawiać z Morrighan. Ale najpierw chcę być całkowicie, całkowicie pewny, że jest bezpieczna.

— Zakochałeś się w niej, prawda? — spytała nagle Frankie.

— W kim?

— W Morrighan. Zakochałeś się w Morrighan. Kiedy mówiłeś o Dzienniku, twarz ci się zmieniła.

— To bardzo utalentowana pisarka.

Frankie uśmiechnęła się do niego smutno.

— Ale z ciebie romantyk, Gabrielu. Zawsze to mówiłam, pomimo tej pozy nadętego twardziela, której z takim uporem się trzymasz. Spójrz tylko na siebie: zakochałeś się w jakiejś kobiecie, bo prowadzi dziennik. To prawie średniowiecze. Jak czysta namiętność między damą a jej rycerzem, który może tylko pragnąć jej z daleka.

— Pewnie wydaje ci się to bardzo głupie.

— Nie. To wspaniałe — przerwała. — Gdyby tylko chodziło o mnie. Cisza w samochodzie nagle stała się pełna napięcia.

— Frankie...

— W porządku, Gabrielu. Pogodziłam się z tym, że to nie mnie teraz kochasz.

— Kocham cię.

— I zawsze będziesz. Ale nie mogę konkurować z kobietą taką, jak Morrighan Monk. Ja to kapie i gorące kakao przy kominku. Morrighan to zastrzyk adrenaliny. — Frankie znowu się uśmiechnęła. Był to uśmiech pełen żalu. — Ale chcę, żebyś wiedział, że kiedy zmęczy cię ciągłe bycie na hajju, będę czekać. Adrenalina wyniszcza.

Gabriel wyciągnął ramiona i przyciągnął ją mocno do siebie. Przez długi czas siedzieli tak, po prostu obejmując się, bez słów. Co się z nim działo? On i Frankie byli dla siebie stworzeni. Kiedy znowu pojawiła się w jego życiu, zdawało mu się, że dostali drugą szansę. Ale to było zanim przeczytał Dziennik. Dziennik go oczarował.

Frankie poruszyła się na jego piersi.

— Co zamierzasz teraz zrobić?

— Przespać się. Nie wiem, czemu Minnaloushe się wstrzymuje, ale chyba powinienem się wyspać, póki mogę. Ale najpierw, jest jedna rzecz, którą muszę sprawdzić.

— Co?

— Może to nic ważnego. Ale jeśli tak, obiecuję, że do ciebie zadzwonię. — Poglaskał ją po włosach. — Cokolwiek się stanie, Frankie, chcę, żebyś wiedziała, że jestem ci bardzo wdzięczny.

— Wiem — Uśmiechnęła się krzywo. — Więc splywaj już stąd. Odpocznij trochę.

Patrząc, jak odjeżdża, Gabriel ruszył w stronę swojego domu. Rzeczywiście było coś, co powinien był sprawdzić już dawno temu. Dziwne, że nie zrobił tego wcześniej. Szczycił się swoją rzetelnością: od

tego zależał jego sukces jako złodzieja informacji. Jednak na swoją obronę mógł chyba uczciwie powiedzieć, że przez ostatnie kilka dni miał sporo spraw na głowie. Na przykład krwotoki w mózgu. Na przykład śmierć.

Wchodząc do windy i wciskając guzik na ostatnie piętro, Gabriel wyjął z kieszeni spodni swoją komórkę. Wcisnął połączenia nieodebrane, zjechał w dół do ostatniej wiadomości, jaką otrzymał od Izydora, i wcisnął odtwarzanie.

Podniósł telefon do ucha. Głos Izydora, tak bliski, tak żywy, sprawił, że serce ścisnęło mu się boleśnie.

Gabe. Zadzwonił. Mam dla ciebie coś ciekawego. Nie, mam coś wręcz niesamowitego. Grobowy śmiech. Strzeż się kruka...

Winda stanęła. Gabriel wepchnął telefon z powrotem do kieszeni i wyjął klucze. Ogarnął go dziwny pośpiech.

Mieszkanie było pogrążone w mroku, ale neonowy blask za oknami był dość mocny, by mógł podejść do biurka bez włączania żadnego światła. Nie przystając nawet, żeby zdjąć płaszcz, wsunął się na krzesło i wcisnął klawisz.

Wygaszacz ekranu zniknął. Gabriel wszedł do wyszukiwarki i wpiął tylko jedno słowo.

Kruk

Ekran wypełniło dziesięć pierwszych rezultatów z trzech milionów dziewięciuset dwudziestu tysięcy.

Trzech milionów dziewięciuset dwudziestu tysięcy? Wielkie nieba. Jeszcze raz wcisnął przycisk „nowe wyszukiwanie”.

Kruk i magia

Pojawiło się dziesięć pierwszych stron z „zaledwie” pięciuset czterestu tysięcy możliwości.

Nie będzie łatwo. W zamyśleniu popatrzył na przedmioty na biurku, skąpane w księżycowym świetle ekranu komputera. Na tacce z korespondencją leżała uszkodzona afrykańska maska. Nie pamiętał, żeby ją tam kładł. Ale w końcu przez ostatnie dni jego pamięć była w dość kiepskim stanie. Maska wydawała się mieć dziwnie złojecki wyraz

ze swym wyszczerzonym uśmiechem i szerokim pęknięciem, biegnącym przez jeden oczodół jak blizna po walce.

Gabriel położył palce na klawiaturze.

Minnaloushe i kruk

Znaleziono o rezultatów.

Zawahał się na chwilę.

Morrighan i kruk

Na ekranie pojawiło się coś nowego.

Morrighan: irlandzka mitologia. Pochodzi od irlandzkiego Mhor Rioghain oznaczającego „Wielką Królową”. W irlandzkich mitach była boginią wojny i śmierci. Ofiarowywała się wybranym przez siebie wojownikom, a jeśli ją przyjęli, odnosili zwycięstwo w boju. Ci, którzy odmawiali, ginęli. Potrafiła zmieniać kształt, często przybierając postać kruka.

Przez chwilę Gabriel miał wrażenie, że z jego ciała uszło całe powietrze.

Morrighan. Nie Minnaloushe.

Morrighan była kobietą, którą spotkał w domu o milionie drzwi, z towarzyszącym jej czarnym krukiem.

To Morrighan była morderczynią.

— Czekalam na ciebie — wyszeptane słowa dobiegły wprost zza jego pleców.

Gabriel odwrócił się gwałtownie. Jakaś postać, siedząca na głębokim fotelu zaledwie kilka kroków od niego, podniosła dłoń i zapaliła wysoką lampę stojącą. Światło padło na jej włosy.

Rude włosy.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Rude włosy spływały jej z ramion jak płonący wodospad. Twarz miała bladą.

Minnaloushe. Głos z Dziennika.

Jego ukochana.

I nagle wszystko nabrało sensu. Nic dziwnego, że tak trudno było mu pogodzić się z myślą, że to Minnaloushe jest morderczynią. Przez cały czas coś było nie w porządku. Jego wewnętrzny kompas próbował powiedzieć mu, że patrzy w złym kierunku.

Minnaloushe podeszła bliżej i spojrzała na ekran.

— Więc w końcu się domyśliłeś. Wiedziałaś, że ci się uda.

— Morrighan zabiła Roberta Whittingtona.

— Tak.

— I jego ojca. I Izydora.

— Przepraszam, Gabrielu. Przepraszam za wszystko. Twój przyjaciel... — podniosła dłoń do ust. — Tak mi przykro z jego powodu.

— To Morrighan jest dalekowidząca.

Minnaloushe kiwnęła głową. Jej oczy miały wyraz jak u zaszczutego zwierzęcia.

— Kto zaprojektował pałac pamięci?

— Ja.

— W takim razie nie rozumiem.

— Wszystko ci wyjaśnię. Ale najpierw po prostu mnie przytul. Potrzebuję, żebyś mnie przytulił — podeszła bliżej, aż w końcu stanęła tuż przed nim. Z tej odległości Gabriel widział gładkość jej skóry i delikatne linie śmiechu w kącikach oczu.

Niepewnie położyła dłonie na jego piersi. Nie zareagował.

Jak młoda dziewczyna stanęła na czubkach palców i nieśmiało pocałowała go w policzek.

Gabrielowi zabrakło tchu. Lecz jego ramiona wciąż zwiślały wzdłuż boków jak ołów, jakby był spętany czarem.

Minnalouse odsunęła się i podniosła do ust drżącą dłoń.

Cisza. A potem wypowiedziała ledwie jedno słowo i Gabriel usłyszał, jak jej głos się załamuje:

— Proszę.

Czar przysł. Gabriel wyciągnął ręce i przyciągnął ją mocno do siebie.

*

Kochali się spowici w kokon światła, którego krawędzie rozmywały się w mrocznych cieniach pokoju.

Gabriel przesunął kciukiem po jej brwiach, po krągłości policzka aż do brody.

Była jego.

Dotknął jej ciała nieśmiało. Mógł jej dotknąć, poczuć, wejść w nią. Ta myśl była dla niego niemal nie do ogarnięcia. Czytał jej Dziennik i fantazjował o niej. Lecz kobieta z jego wyobraźni była niematerialna jak powietrze. A teraz, kiedy najmniej się tego spodziewał, zjawiała się — wspaniała, z krwi i kości — jej puls bił mocno pod jego palcami. Oczy miała sennie. Usta rozluźnione. Kiedy ich dotknął, otworzyła je lekko i poczuł pod palcem wilgotne wnętrze jej dolnej wargi.

Podniósł jej opadające włosy i ucałował kark. Pachniała olejkiem różanym. Dotknął językiem jej mostka i przycisnął usta do delikatnej skóry w zagłębieniu szyi.

Wszystko w jej ciele było niezwykle. Blade półksiężycy paznokci.

Wewnętrzna strona ramion lśniła jak macica perłowa. Subtelne, spadziste ramiona o skórze tak miękkiej, że kiedy jej dotykał, zastanawiał się, czyjego ręce nie są zbyt szorstkie. U podstawy jej kręgosłupa Monas w objęciach czerwonej róży. Krople krwi perlące się na ostrych kolecach. Rozkosz. Ból.

Podniósł jej ramiona nad głowę i polizał odsłonięte wgłębienie. Jego usta wędrowały wolno po całym jej ciele, opisując rzeźbiony zarys żeber, uroczo zaokrąglone biodro i długie, gładkie udo. Dookoła kostki nosiła delikatny łańcuszek ze złota. Błyszczał jasno w mroku. Gabriel wziął jej stopę w dłoń, pocałował łuk podbicia, okrągłe różowe palce.

W swoim życiu kochał tylko jedną kobietę: Frankie. Oczywiście były też inne, i zwykle czuł do nich ogromną sympatię. Ale kiedy patrzył na kobietę, która leżała teraz w jego ramionach i spoglądała na niego oczami jasnymi jak woda, rozumiał, że ze wszystkich, które znał, tylko jedną wielbił — prawdziwie wielbił.

Mógłby dać się jej pochłonąć. Mógłby zagubić się w niej, stracić swoją tożsamość. To, co się z nim działo, było wszechogarniająco intensywne. Gabriel mógłby spłonąć w tym wrzącym, wirującym żarze. Ale nie obchodziło go to. Ilu ludzi kiedykolwiek dostało szansę, żeby przeżyć to, co on teraz przeżywał?

Całował jej oczy, jej nos, jej usta, obejmował jej twarz dłońmi. Głaskał jej palce jeden po drugim. Wszedł w nią, wślizgując się głęboko do jej wnętrza. Gdzie kończyło się jej ciało? Gdzie zaczynało się jego?

Wyczuł dochodzące z głębi jej gardła mruczenie. Stukała palcami w jego ramiona. A potem poczuł, jak jej uścisk robi się mocniejszy, a paznokcie wbijają się ostro w skórę jego pleców. Kiedy zaczął tracić kontrolę, poczuł, jak Minnaloushe drży pod nim, i ogarnęło go prymitywne poczucie triumfu. Owinął ją ramionami i przytulił tak mocno, że zaprotestowała stłumionym głosem i roześmiała się.

Odepchnęła go od siebie i przewróciła delikatnie na brzuch. Kiedy

się na nim położyła, poczuł na plecach miękkość jej piersi. Jej ramiona spoczywały na jego ramionach, ich palce były splecione.

Leżeli tak przez długą chwilę, bez ruchu. Na wrażliwej skórze szyi czuł jej łagodny oddech. Oddychała coraz wolniej. Zasnęła.

Gdyby tylko mogli tak już zostać. W tym bezpiecznym pokoju, w tym ciepłym łóżku. Zegary stanęły. Żadnej tragedii. Żadnego niebezpieczeństwa.

Minnaloushe poruszyła się i cicho jęknęła. Wyciągnęła ponad nim ramię w stronę szafki nocnej i odwróciła budzik przodem do siebie, żeby zobaczyć, która godzina.

— Jest bardzo późno.

— Albo bardzo wcześnie. — Gabriel uśmiechnął się i odwrócił nagle, przewracając ją na plecy.

Krzyknęła cicho i roześmiała się, przyciskając ręce do jego ramion. Gabriel podparł się na łokciu i odgarnął ciężkie włosy z jej czoła.

Pięknie się zestarzeje, pomyślał, patrząc na śliczną twarz pod swoją dłonią. Inteligencja w oczach nie przygaśnie; piękna struktura kości pozostanie tak samo delikatna. Śmiech, mądrość i żywa jak rtęć figlarność nie zbledną, tak samo jak ta dziwna, wspaniała promienność, która spowijała całą jej istotę.

— Minnaloushe.

Uśmiechnęła się do niego. Był to uśmiech kobiety, która właśnie uprawiała miłość i teraz czuła się zadowolona i bardzo kobieca. Odwróciła głowę do poduszki, wciskając twarz w miękki puch, i przeciągnęła się.

— Minnaloushe... powiesz mi, co się stało?

Znieruchomiała i Gabriel poczuł, jak spinają się jej mięśnie.

Odwróciła do niego głowę i ujrzał blask w jej oczach. Na dłuższą chwilę zapadła między nimi cisza.

— Opowiem ci wszystko — powiedziała w końcu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

— Dlaczego Morrighan zamordowała tego chłopaka?

Minnaloushe przesunęła się już na drugi koniec łóżka. Owinęła się rękami, linia jej ramion był napięta. Pusta przestrzeń prześcieradła między nimi zdawała się symbolizować nie tylko fizyczny, lecz także duchowy dystans. Gabriel starał się mówić mniej oskarżycielskim tonem.

— Dlaczego, Minnaloushe?

— Morrighan martwiła się, że Robbie mógłby ją zdradzić. Że kiedy się dowiem, przestanę budować pałac pamięci.

— Dowiesz się czego? I dlaczego ten cholerny pałac wart jest tego, żeby dla niego zabijać?

— To najwyższa nagroda, Gabrielu. W jego ścianach kryje się oświecenie. Za jego drzwiami leży poznanie wielkich tajemnic. Ludzie zabijają z dużo bardziej błahych powodów... Śmierć naszej matki. — Minnaloushe pokiwała głową. W jej oczach pojawiły się lśniące łzy. — Wtedy wszystko się zaczęło...

*

Kiedy Jacqueline Monk zmarła w wieku trzydziestu pięciu lat, jej mózg był płataniną proteinowych płytek z miękkimi plamami, w których tkanka po prostu zanikła. Wciąż była piękną kobietą, ale Alzheimer wykasował jej pamięć i zniszczył osobowość. Obraz płaczących

córek stojących przy jej łóżku był ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, zanim przestała oddychać, lecz nie wywarł na niej wielkiego wrażenia. Nie wiedziała, kim były.

Tybetańska Księga Umarłych mówi, że ostatnia myśl człowieka przed śmiercią decyduje o kształcie następnego życia. Patrząc w puste oczy swojej matki, szesnastoletnia Minnaloushe Monk czuła, że serce jej pęka. Ostatnie myśli jej matki... czego mogły dotyczyć?

Dla młodej dziewczyny, której zainteresowanie mistyką i tak było już wybitnie rozwinięte, utrata pamięci przez matkę była głęboko traumatycznym przeżyciem. Pamięć — zaczęła wierzyć Minnaloushe — była tym, co odróżnia człowieka od wszystkich innych stworzeń. Bez pamięci nie ma się świadomości siebie. Nie można zapamiętać drogi, którą się przeszło — niczego się nie wynosi z obecnego życia. Już w tak młodym wieku Minnaloushe zaczęła studiować pojęcie pamięci z niezwykłą gorliwością.

Z upływem czasu jej badania zwróciły się w kierunku jeszcze większego spirytualizmu. Teraz ich obiektem stała się nie tylko pamięć, lecz sama wiedza. Wiedza doskonała, która mogła prowadzić do bezpośredniego kontaktu z Bogiem.

Gnoza.

*

Dziewiętnaście lat wcześniej. Minnaloushe Monk ma siedemnaście lat. Za oknem noc. Światło lampy rozlewa się po stronicach książki, którą czyta.

Stworzenie podstaw gnostycyzmu, lub też religii poznania, przypisuje się powszechnie cudotwórcy Szymonowi Magowi, który przez swoich wrogów został nazwany „ojcem wszystkich herezji”. Gnostycyzm był praktyką piętnowaną, w kręgach ortodoksyjnych chrześcijan uznawany był za niebezpieczną, heretycką sektę. Ale gnostyckie idee pojawiały się w

tajemniczych egipskich kultach oraz w buddyzmie, taoizmie i zoroastrianizmie już przed narodzeniem Chrystusa. Przekonanie, że przez dążenie do ostatecznego poznania człowieka może wejść w tajemnice Boga, sięga bardzo głęboko w przeszłość.

Ruch przy drzwiach odwraca jej uwagę od książki. Do pokoju wchodzi Morrighan. Minnaloushe patrzy, jak jej siostra podchodzi do odtwarzacza CD i po kilku sekundach powietrze wypełnia się dźwiękiem skrzypiec. *Andante cantabile*. Kwartet smyczkowy Czajkowskiego, numer 1, opus 11. Był to ulubiony utwór ich matki.

Minnaloushe czujnie patrzy, jak Morrighan zajmuje miejsce na fotelu. Zawsze jest czujna, jeśli o nią chodzi. Już dawno porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek mogłyby się do siebie zbliżyć. Patrząc na twarz Morrighan — wydatne kości policzkowe, czarne włosy zaczesane w gładki warkocz francuski — myśli, jakie to smutne — patrzeć na własną siostrę i wiedzieć, że nie ma się z nią absolutnie nic wspólnego.

Ale dziś wieczorem Morrighan wydaje się niepewna siebie. Właściwie — Minnaloushe sama siebie zaskakuje tym słowem — wygląda bezbrinnie. Może dlatego, że dziś przypada pierwsza rocznica śmierci matki. Wcześniej, kiedy zносиły kwiaty na grób, zauważyła w oczach Morrighan łzy.

— Jutro wyjeżdżasz do szkoły? — Morrighan kiwa głową w kierunku sterty książek na stole.

— Tak. — Minnaloushe cicho zamyka książkę, którą ma przed sobą. Niech Morrighan myśli, że była zajęta szkolnymi zadaniami.

— Zawiozę cię.

— Nie trzeba. Pojadę pociągiem.

— Proszę. Chcę to zrobić.

Dziwne... i nieoczekiwane. Ale Minnaloushe kiwa głową.

— Dzięki.

Przez chwilę milczą. Potem Morrighan pochyła się do przodu i

wypowiada słowa, które na zawsze odmieniają relacje między siostrami. — Minnaloushe, muszę ci zdradzić pewną tajemnicę.

*

Jeśli śmierć Jacqueline Monk była punktem zwrotnym w życiu jej młodszej córki, to trzeba uczciwie przyznać, że taki sam wpływ miała na starszą. Czarnowłosa Morrighan Monk miała wtedy siedemnaście lat. Od pięciu lat należała do tajnego stowarzyszenia nastoletnich dziewcząt: pseudosabatu czarownic, którego członkinie rozmawiały z równym entuzjazmem o boginiach, lapis-lazuli, magii, chłopakach i MTV. Kiedy Morrighan wyjawiała, że wywodzi się od wielkiego czarownika Johna Dee, nadało jej to w grupie specjalny status oraz silne poczucie tożsamości.

W tym właśnie okresie Morrighan odkryła w sobie także coś, co z początku ją zaniepokoiło, a potem zachwyliło. Miała w swoim mózgu ukryty mięsień, który mogła naginać niemal wedle woli. Pozwalał on jej „widzieć” umysły innych. Była dość mądra, by wiedzieć, że taki dar wzbudzi raczej strach niż podziw koleżanek z klasy, i postanowiła zatrzymać tę wiedzę dla siebie, w przeciwieństwie do historii swojego pochodzenia.

Jednak odkrycie tego talentu podsyciło jej zainteresowanie magią. Dalekowidzenie, o czym Morrighan była przekonana, było w swej istocie aktem magicznym. Po tym zdarzeniu pseudomagia sabatu przestała jej wystarczać i Morrighan zabrała się do poważnych badań nad okultyzmem. Interesowała się przede wszystkim talizmanami: zwyczajnymi przedmiotami, które dzięki zastosowaniu precyzyjnych reguł magii zmieniały się w obiekty magiczne. W późniejszym życiu wiedza o talizmanach miała stać się dla niej najważniejsza, podobnie jak zdolność dalekowidzenia.

Większość widzących odkrywa swój dar w dzieciństwie i dzieli się swoim odkryciem z rodzicami, rodzeństwem lub bliskim przyjacielem. Morrighan tego nie zrobiła. Dalekowidzenie było umiejętnością,

którą się napawała, bawiła i którą doskonaliła. Trzymała ją jednak w najściślejszej tajemnicy. Nie miała zamiaru nikomu jej wyjawiać. A już najmniej swojej siostrze.

Ale wtedy zmarła ich matka. W pierwszą rocznicę jej śmierci Morrighan powiedziała: „Minnaloushe, muszę ci zdradzić pewną tajemnicę”. Gdyby nie była pogrążona w żalu, nie doszłoby do tego wyznania. Potem spodziewała się ze strony siostry drwin. Zamiast tego znalazła bezwarunkową akceptację.

Dotąd nie było między nimi bliskiej więzi. Były o siebie zazdrosne i miały ze sobą niewiele wspólnego. Minnaloushe kształciła umysł, Morrighan była atletką. Dorastały w różnych szkołach z internatami i rzadko się widywały. Jednak tamtego wieczoru, kiedy z ogrodu napływał zapach róż ich matki, a dźwięki skrzypiec budziły wspomnienia z dzieciństwa, odbyły ze sobą pierwszą szczerą rozmowę w swoim życiu. I dokonały zaskakującego odkrycia. Nie tylko miały ze sobą coś wspólnego, ale nawet obie były mistyczkami. Zmierzały do celu innymi drogami, ale odbywały tę samą podróż. Podróż, która z czasem miała przekształcić się w niezwykle ambitny projekt.

Projekt ten — lub gra, jak o niej mówiły, by przedsięwzięcie wydawało się mniej przytłaczające — ostatecznie pochłonął obie kobiety i stał się główną siłą napędową ich życia. By przypieczętować swój pakt, przyjęły za osobisty sigil *Monas Hieroglyphica* Johna Dee. Był to idealny symbol dla ich gry.

Siostrzana rywalizacja została odstawiona na bok. Każda z nich wprowadziła do gry własny, wyjątkowy talent. Wkładem Minnaloushe była nadzwyczajna inteligencja i genialna wręcz kreatywność. Morrighan dokładała swoją znajomość okultyzmu. W końcu zaczęły też korzystać z jej talentu dalekowidzenia.

Obie siostry dążyły razem do najwyższej nagrody: *anima mundi*. Momentu osłepiającej iluminacji, w którym pojmą największe tajemnice wszechświata.

Drogą do osiągnięcia tego celu było wzniesienie domu o milionie drzewi.

W trakcie swoich studiów Minnaloushe natknęła się na dzieła takich mistrzów sztuki pamięci jak Giordano Bruno, Giulio Camillo, Ramon Lull i inni. Oryginalność, erudycja i zdumiewająca okultyzyczna filozofia, która leżała u podstaw ich systemów pamięciowych, zaparła jej dech w piersiach. Jeśli umysł ludzki rzeczywiście był niedoskonałym odbiciem umysłu Boga, to umysły tych ludzi ocierały się o boskość.

Był to stan, do którego uparcie dążyły siostry.

I tak, w przeciągu ponad dwudziestu dwóch lat, wzniosły pałac pamięci, przewyższający wszystkie znane do tej pory. Minnaloushe była architektem i zbieraczką informacji. Jej zdolności matematyczne były niezbędne do zaplanowania systemu. Ale to Morrighan wprowadziła do gry magię. Korzystając z jej zasad, zmieniała pamięciowe obrazy we wnętrzu pałacu w potężne talizmany.

Cegła za cegłą, drzwi za drzwiami, przedmiot za przedmiotem, obie siostry usiłowały stworzyć system informatyczny, zamknięty w całości w szarobiałych fałdach mózgu: system rozległy jak wszechświat, głęboki jak ludzki duch.

Nazwały go „Kluczem Prometeusza”.

Lecz potem coś się popsulo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

— Robbie. — Minnaloushe zamilkła.

Zaczyna się, pomyślał Gabriel. Wreszcie.

— W ogóle nie powinnyśmy były dopuścić go do gry.

— Z rozmysłem nim manipulowałyście — Gabriel wiedział, że jego głos brzmiał szorstko, ale nie mógł nic na to poradzić. Robbie musiał być dla nich łatwą ofiarą. Gabriel wyobrażał sobie, jak siostry go olśniły, jak olśnił go ich świat...

— Gabrielu, chcę, żebyś zrozumiał, że nie uwiodłyśmy go — powiedziała Minnaloushe z naciskiem. — W przeciwieństwie do ciebie, Robbie od początku był poszukiwaczem.

— Musiałyście wiedzieć, że nie sprostą zadaniu, że zawiedzie.

Pokręciła gwałtownie głową.

— Nie chodzi o sukces czy porażkę. Granie w grę to jak ciosanie granitowego bloku wielkości wszechświata i dobywanie z niego iskier boskiego ognia. Już sam widok tych iskier jest wystarczającą nagrodą. Robbie to rozumiał. Wiedział, że nigdy nie zdoła osiągnąć tego poziomu mistrzostwa, do jakiego jesteśmy zdolne Morrighan i ja. Tylko że...

— Tylko że co?

— Jakiś rok po tym, jak Robbie zaczął zajmować się sztuką pamięci, Morrighan doznała objawienia — głos Minnaloushe był pełen

napięcia. — I zmieniła grę. Postanowiła przynieść fragmenty pałacu pamięci z własnego umysłu do świadomości Robbiego, korzystając ze zdolności dalekowidzenia. Zatem to, co normalnie potrwałoby lata, mogło teraz zająć kilka minut. Z każdym transferem informacji pamięć Robbiego powiększała się w postępie geometrycznym. Każdy krok byłby olbrzymim skokiem naprzód.

— I to podziałało?

— Tak. Z początku działało wspaniale. Wiesz, miałyśmy pewne wątpliwości. Transformacja to nie fast food. Nie można jej po prostu zamówić jak hamburgera. — Minnaloushe roześmiała się gorzko. — Samo przrzucanie pałacu do umysłu Robbiego bez żadnych wysiłków z jego strony byłoby co najmniej sprzeczne z celem. I niezwykle niebezpieczne. Jego umysł mógł zawalić się jak sterta gruzów. Zatem z początku Morrighan transferowała tylko fragmenty — zaledwie po kilka pokoiów naraz — a potem Robbie musiał sam domyślić się porządku miejsc, porządku rzeczy. Mówiąc najprościej, miał sam wypełniać luki; połączyć kropki bez cudzej pomocy. Jak mówiłam, początkowo wszystko działało wspaniale. Tak jakby proces był samonapędzający się. Z każdym transferem rozmiar kolejnej dawki danych, którą można było przenieść, niewiarygodnie wzrastał. Można było przynosić coraz więcej i więcej informacji naraz. To było fantastyczne. Po każdym transferze zdolności zapamiętywania Robbiego wzrastały w postępie geometrycznym.

— A potem?

— Ciężar stał się zbyt wielki. Robbie nie był już w stanie tego przetwarzać. Był jak wciąż nasiąkająca gąbka, której włókna zaczynały się rozkładać. Mieliśmy jasne sygnały. Robbie zaczynał cierpieć na bezsenność. A kiedy udawało mu się zasnąć, miał potworne koszmary.

— Dlaczego tego nie przerwał?

— Był uzależniony. Pomimo efektów ubocznych, pragnął tego zastrzyku adrenaliny.

— Dlaczego pozwoliłaś, żeby ciągnął to dalej? Nie martwiłaś się o niego?

— Oczywiście, że tak. Powiedziałam Morrighan, żeby zwolniła transfer danych. Ale zamiast tego, bez mojej wiedzy, przyspieszyła proces. Robbie całkowicie się z nią zgadzał. A ponieważ oboje wiedzieli, że ja bym na to nie pozwoliła, trzymali to wszystko w tajemnicy przede mną.

— Sytuacja wyrwała się spod kontroli.

— I to jak. Ale, Gabrielu, aż do niedawna nie miałam pojęcia, jak bardzo. Wiedziałam, że Robbie miał problemy. Ale myślałam też, że zaczynał mieć wątpliwości co do samej gry. Zawsze martwiłam się, że jego umysł nie ma tej odporności, jakiej wymaga sztuka. Wiedziałam, że gdybyśmy zwolniły transfer, to istniała duża szansa, że Robbie popadnie we frustrację i da spokój. Oczywiście nie zdawałam sobie sprawy, że transfery danych się zwiększyły i napędzały jego uzależnienie — zamilkła na chwilę. — Robbie zniknął, kiedy wyjechałam w interesach do Ghany. Kiedy wróciłam i go nie zastałam, uwierzyłam Morrighan, która powiedziała, że zrezygnował z gry. Byłam zrozpaczona, że odszedł tak po prostu, bez pożegnania, ale nie dziwiło mnie to. Robbie miał zwyczaj odchodzenia bez słowa, kiedy coś mu nie odpowiadało. Nawet jego ojciec to przyznawał. Zatem przyjąłam wyjaśnienie Morrighan bez żadnych pytań.

— Więc co tak naprawdę się stało?

Minnaloushe zamilkła na kilka chwil. Kiedy znowu przemówiła, jej głos był ledwo słyszalny.

— Morrighan postanowiła zabrać Robbiego do portalu pałacu pamięci. Nie powinna była w ogóle tego robić. Robbie wciąż był nowicjuszem na pierwszym poziomie, poziomie powietrza. Wciąż zgłębiał zaledwie wstępne zagadnienia. Nie był jeszcze wprawnym adeptem. Tylko im wolno zbliżyć się do ognia. Zabierając go tam, Morrighan złamała zasady. Dla Robbiego skończyło się to katastrofą. Wejście do portalu doprowadziło do przeładowania danych. Jego mózg nie wytrzymał.

- Dostał udaru.
- To bardzo prawdopodobne.
- Ale nie to go zabiło.
- O Boże. — Minnaloushe mocno ścisnęła palcami prześcieradło, jej kłykcie pobieleały.
- Utopił się. Czemu w ogóle znajdował się w basenie?
- Robbie uwielbiał wodę. Odkryliśmy, że podczas pływania miał najbardziej chłonny umysł. Zwłaszcza nocą. Nie wiem czemu — coś w rytmie pływania, w ciemnej wodzie — cokolwiek to było, pomagało mu otworzyć umysł na Morrighan.
- Więc połączyła się z nim, kiedy pływał. Przeładowała mu mózg. Ale wciąż nie rozumiem, czemu musiała go utopić, na litość boską. On wciąż jeszcze żył.
- Morrighan nie przeładowała Robbiego celowo, Gabrieliu. Jestem tego pewna. Nie chciała go skrzywdzić, ale się przeliczyła. Naciskała zbyt mocno. A kiedy Robbie dostał udaru, przeraziła się, że o wszystkim się dowiem i skończę z grą.
- Chcesz powiedzieć, że z rozmysłem utopiła tego chłopca po to, by utrzymać jego udar w tajemnicy przed tobą? Żebyś nie przestała budować pałacu?
- Tak.
- A ciało?
- Pogrzebała je. Nie chce mi powiedzieć gdzie. Gabriel popatrzył na nią z przerażeniem.
- Kiedy ci to wszystko opowiedziała?
- Dzisiaj. Kiedy się upiła.
- Nigdy nie widziałem, żeby Morrighan wypiła więcej niż jeden kieliszek wina naraz.
- Jeden kieliszek wina ze szczyptą dodatków może dać niezłego kopa. A Morrighan nie jest jedyną, która potrafi zrobić eliksir.
- Na chwilę Gabriel zamilkł. Potem pochylił się i zapalił lampę. Chciał wyraźnie widzieć jej twarz.
- W noc twoich urodzin podałyście mi jakiś eliksir. Wiem o tym.

Minnaloushe uciekła wzrokiem przed jego spojrzeniem.

— Morrighan się uparła. Widzisz, kiedy weszła po twoim mieszkaniu, natknęła się na zaginione zdjęcie Robbiego. Mniej więcej w tym samym czasie odkryłyśmy też, że włamałeś się do naszego komputera. Kiedy Morrighan znalazła to zdjęcie, wpadła w szal. Nie całkiem rozumiałam dlaczego, ale teraz wszystko nabrało sensu: martwiła się, że podejrzewasz coś w związku ze śmiercią Robbiego. Chciała wiedzieć, co knujesz. Już wcześniej próbowała cię skanować, ale zawsze udawało ci się ją zablokować, więc eliksir był niezbędny, żeby przełamać twoją obronę. Teraz rozumiem, że chciała się dowiedzieć, ile tak naprawdę wiedziałeś o zabójstwie Robbiego. Co do mnie, chciałam po prostu wiedzieć, dlaczego tak bardzo interesuje cię Dziennik.

Gabriel popatrzył na jej profil: kameę niezwyklej delikatności.

— To twój Dziennik sprawił, że się w tobie zakochałem.

Minnaloushe uśmiechnęła się, ucałowała wnętrze jego dłoni.

— Tak.

— Moje wspomnienia z nocy twoich urodzin są dość... chaotyczne. Czy my naprawdę... — przerwał, czując się nagle bardzo głupio — no wiesz, czy my się kochaliśmy? I czy Morrighan również brała w tym udział? — Słowa wypłynęły szybko.

Minnaloushe czerwieniła się. Gabriel widział rumieniec zakradający się na jej szyję.

— Gabrielu...

Telefon zadzwonił natarczywie. Brzęczący dźwięk sprawił, że serce w jego piersi podskoczyło. Podniósł słuchawkę.

— Daj mi do telefonu Minnaloushe.

Głos był chłodny jak jedwab. Morrighan. Oczami umysłu Gabriel ujrział piękną twarz w kształcie serca. Granatowoczarne włosy. Lazurowe oczy.

— Morrighan...

— Po prostu zrób to, Gabrielu. Pozwól mi porozmawiać z siostrą.

Gabriel bez słowa podał słuchawkę Minnaloushe, która już wyciągała po nią dłoń.

Rozmowa była krótka. Ze strony Minnaloushe składała się tylko z czterech słów.

— Tak. — Kilka chwil ciszy. — Zaraz tam będę. Powoli odłożyła słuchawkę.

— Muszę iść.

— Nie. — Gabriel podniósł się, zaniepokojony. — To dla ciebie niebezpieczne.

— Gabrielu, nie mogę się ukrywać. I pamiętaj, jestem odporna na myślowe ataki.

Rozluźnił się trochę. To chyba prawda, pomyślał. Niemożliwe, żeby architekt pałacu pamięci sam był zagrożony przeładowaniem informacją. Mimo wszystko...

— Morrighan mówi, że chce porozmawiać.

— Porozmawiać? — Gabriel podniósł głos. — Tu nie ma o czym gadać. To morderczyni. Zabiła trzy osoby — a jedna z nich była moim najbliższym przyjacielem. Trzeba jej wymierzyć sprawiedliwość.

— A jak zamierzasz to zrobić? Oddać ją w ręce policji? Naprawdę sądzisz, że uwierzą w pałac pamięci i transfer informacji? I gdzie znajduje się ciało Robbiego? Zapomnij o sprawiedliwości, Gabrielu. Mnie obchodzi jedynie to, żeby Morrighan przestała atakować twój umysł. I nie chcę, żeby wciągała kogoś innego do gry. Już teraz mówi o tym, żeby poszukać kogoś nowego. — Minnaloushe przerwała. W jej oczach widać było rozpacz. — Ona myśli, że dlatego właśnie została obdarzona dalekowidzeniem. Że Bóg chce, by wprowadzała adeptów gnozy do pałacu przez transfer z umysłu do umysłu. Ma obsesję.

— A co, jeśli nie zechce posłuchać głosu rozsądku?

— Musi. Inaczej...

— Inaczej co?

— Nic. — Minnaloushe potrząsnęła głową i zsunęła się z łóżka, prześcieradła opadły z jej ciała. — Fakt, że chce porozmawiać, to dobry znak.

Gabriel patrzył, jak podnosi swoje ubrania z podłogi i naciąga przez głowę czarny sweter, wstrząsając włosami, by opadły na plecy. Pomimo dżinsów i swetra, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, wyglądała, jakby zesza z prerafaelickiego obrazu. Bładoskóra heroina o płomiennych włosach rodem z opowieści Rossettiego. Tajemnicza. Potężna. Niezwykle zmysłowa.

Sięgnęła do kieszeni dżinsów.

— Proszę, chciałam ci to zwrócić. To należy do ciebie.

Był to medalion. Gabriel poczuł w dłoni jego chłód.

— Kiedy ci go dałyśmy, powiedziałaś, że zachowasz go na zawsze. Pamiętasz?

— Pamiętam — Gabriel zauważył, że srebrny łańcuszek wciąż był pęknięty po tym, jak zerwał go z szyi w dzień po urodzinach Minnaloushe. W dzień, w którym wszystko zaczęło się psuć.

Ogarnął go strach.

— Nie idź, Minnaloushe. Ona jest niebezpieczna.

— Nie może mnie skrzywdzić.

— Nieważne, co o tym sądzisz. Nie ufam jej.

— Morrighan jest chora, Gabrielu, ale jak mogłabym ją nienawidzić? A ty i ona jesteście tacy podobni. Wasze zdolności dalekowidzenia sprawiają że jesteście absolutnie wyjątkowi. Patrzę na was i widzę przyszłość.

— Zostań ze mną. Proszę, proszę, zostań ze mną.

— Cicho — pochyliła się i dotknęła jego ust swoimi. Przez chwilę się opierał, a potem uniósł ramiona i objął ją. Pragnął, żeby ta chwila trwała wiecznie, z miękkim ciężarem jej ciała w jego ramionach. Ale nawet całując ją, Gabriel czuł się samotny.

Odsunął się i położył dłonie po obu stronach głowy Minnaloushe, patrząc w jej oczy o długich rzęsach. Co kryło się w głębi tych oczu? Wrażenia i obrazy, i światy, których mógł się tylko domyślać. Kochał ją. Przeczytał jej Dziennik i zagłębił się w jej najbardziej prywatnych

myślach. Ale nawet, gdyby żył z nią aż do dnia swojej śmierci, pozostałaby dla niego enigmą. Była absolutnie niepoznawalna. To, co działo się w jej umyśle, było zbyt wielkie, by mógł to z nią dzielić.

— Uważaj na siebie.

— Będę uważać. — Kiwnęła głową. — Bądź pod telefonem.

Kiedy szła w stronę drzwi, odprowadzał ją wzrokiem.

— Minnaloushe.

Zawahała się, zatrzymała.

— Spójrz na mnie.

Powoli odwróciła się twarzą do niego.

— Kocham cię.

Jej twarz rozświetliła się i Minnaloushe posłała mu uśmiech pełen takiej słodyczy, że serce mu się ścisnęło. Wiedział, że nigdy nie zapomni tej chwili. Mrok nocy wdzierający się przez okno. Blask lampki nocnej, rzucający cienie na ścianę. Stojąca w drzwiach kobieta o lśniących włosach i bladej twarzy, o wyglądzie anioła.

— A ja ciebie. — Uśmiechnęła się jeszcze raz i zniknęła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Dzwonił telefon.

Gabriel obudził się gwałtownie. Za oknem wstał już dzień, ale niebo było przygnębiająco szare. Ile czasu spał? Chwycił za słuchawkę.

— Minnaloushe?

Na chwilę zapadła cisza. Potem na linii usłyszał głos Frankie.

— Nie. Ale chyba nie będziemy już musieli martwić się tą suką, Gabrieliu.

Kiedy Gabriel wciągał oddech, by zaprotestować, nagle zdał sobie sprawę, że Frankie nie miała pojęcia, co zaszło tej nocy między nim a Minnaloushe. Wciąż myślała, że to ona była morderczynią. Gabriel podparł się na łokciu i spróbował skupić na jej słowach.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że ona nie żyje.

Zabrakło mu tchu w piersiach. Pokój zawirował, a w okolicy serca Gabriel poczuł prawdziwy, fizyczny ból. Próbował coś powiedzieć, ale nie był w stanie wydobyć słowa.

— Tak — ciągnęła radośnie Frankie. — Nie mogłam w to uwierzyć, kiedy otworzyłam gazetę. Sam sprawdź. Napisali o tym w porannym wydaniu „Evening Standard”. Podobno spadła ze schodów w swoim domu i skrzyła kark. Poetycka sprawiedliwość, nie sądzisz? Gabrieliu, jesteś tam?

Nawet nie włożył ubrania. Narzucił na siebie płaszcz i wciągnął buty na bosc stopy. Dłonie drżały mu tak mocno, że nie był w stanie zawiązać sznurówek i w końcu po prostu wetknął końcówki do środka. Kiedy zbiegał po schodach, w myślach wypowiadał raz po raz jedno słowo. Nie. Nie. Nie. Może Frankie coś źle zrozumiała. Może Minnaloushe była tylko ranna. Nie. Nie.

Młody sprzedawca za ladą kiosku wbił w niego osłupione spojrzenie, kiedy Gabriel chwycił gazetę i rzucił na ladę pięciointy banknot. Wyszedł ze sklepu, nie czekając na resztę.

Doniesienie znajdowało się na dole dwunastej strony, w dziale *Dziennik londyński*, i składało się tylko z dwóch akapitów.

Minnaloushe Monk (36) zginęła na miejscu we wczesnych godzinach porannych w wyniku nagłej utraty funkcji oddychania, która była efektem upadku ze schodów w swoim domu w Chelsea i skręcenia karku. Pani Monk była dobrze znana ze swojego udziału w rozmaitych akcjach filantropijnych. Świadkiem wypadku była jej siostra, przedsiębiorcza sportsmenka Morrighan Monk, która jest obecnie w stanie szoku.

Każdego dnia w Wielkiej Brytanii ma miejsce około tysiąca upadków ze schodów. Trzy lub cztery z nich są śmiertelne. Przyczyny tych wypadków są wielorakie, ale za najważniejsze powody uważa się słaby wzrok, nieoświetlenie lub spożycie alkoholu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Niebo było szare od nieustającego deszczu.

Gabriel drżał gwałtownie, a jego twarz była obolała z zimna. Stał na rogu ulicy już prawie godzinę. Ale nawet nie przyszło mu do głowy, żeby odejść. Cała jego uwaga skupiona była na dużym domu z czerwonej cegły po drugiej stronie drogi.

Była piąta po południu i zapadał już zmrok. W większości domów na ulicy paliły się światła, ale pokoje Monk House były ciemne. Stojące na ganku wielkie donice z hortensjami wyglądały na zaniedbane, jakby w domu nie było nikogo, kto by o nie zadbał. Niskie stopnie, zwykle wymiecione z liści i śmieci, były brudne. W kutym żelazie na wpół otwartej frontowej furtki uwięziony był papierek po czekoladce. Dom wydawał się opuszczony.

Ale Gabriel wiedział, że to nieprawda. W środku ktoś był. Wyczuwał to.

Wyczuwał ją.

Było przenikliwie zimno. Gabriel zdał sobie sprawę, że ramiona i nogi zaczynają mu sztywnieć od nieświadomej walki z dreszczami, które wstrząsały jego ciałem. Kilka dużych kropli spadło mu na twarz. Wiatr szarpał jego szalikiem.

Chuchając na przemarznięte dłonie, by je ogrzać, szybko przeszedł na drugą stronę ulicy i otworzył ogrodową furtkę na oścież. Przeskoczył

stopnie po dwa naraz. Nie pozwalając sobie na dłuższe zastanowienie, nacisnął dzwonek.

Czekał. Nic się nie poruszyło.

Ciężkie aksamitne zasłony w oknie na dole były rozsunięte, zakrywała je tylko staromodna firanka. Dwa kawałki koronkowego materiału nie stykały się pośrodku i przez szczelinę Gabriel mógł dostrzec pokój oraz, dalej w przejściu, zarys eleganckiej krzywizny schodów.

Na chwilę jego umysł zalala fala wspomnień. Jego pierwsza legalna wizyta w Monk House. Stał wtedy u podnóża schodów i podziwiał ich pełne gracji proporcje. Obok niego Minnaloushe, chłodna i uroczą w letniej sukience. Gabriel dokładnie pamiętał jej słowa: „Uwielbiam schody — powiedziała wtedy. — Nie mogłabym żyć gdzieś, gdzie by ich nie było. Moim zdaniem są niezbędne dla każdego, kto chce prowadzić ciekawe życie”.

Na chwilę zamknął oczy — wspomnienia były tak bolesne, że odruchowo dotknął piersi. Zaraz za tamtym obrazem zjawił się kolejny. Kobieta spadająca tyłem ze schodów, ramiona jak blade płatki kwiatów wyciągają się bezskutecznie na boki, by powstrzymać upadek, i stacza się, stacza się w dół — płatanina nóg, ramion, rudych włosów, biała szyja nienaturalnie wygięta.

Gabriel otworzył oczy i wciągnął płytko powietrze. Odwrócił się od okna i jeszcze raz położył palec na dzwonku, przycisnął i trzymał tak przez pełne pięć sekund.

Nic. Wszędzie cisza.

Może się pomylił. Może jednak odeszła z tego miejsca.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Odwrócił głowę.

Morrighan odsunęła jedną firankę i ciemne okno stało się idealną ramą, jakby była ekspozycją na wystawie. Błada twarz, błada sukienka, blade dłonie. Jej włosy jak czarny wąż spływające przez jedno ramię.

Wzrokiem bez wyrazu obserwowała go zza okiennej szyby.

Gabriel nie był pewien, czy usłyszy go przez okno, więc podniósł głos.

— Morrighan, otwórz drzwi!

Ruch jej głowy był niemal niedostrzegalny.

— Proszę. Muszę z tobą porozmawiać.

Nic. Żadnej reakcji. Jej czarne oczy pozostały puste. Za szklaną szybą wydawała się tak nieruchoma, jak eksponat w muzeum.

— Niech cię cholera! — Gniew zagotował się w Gabrielu i przepłynął przez jego ciało jak szybko spalający się kwas.

Morrighan przycisnęła rękę do okna. Jej dłoń wyglądała jak biała ćma. Ten gest wzmocnił jeszcze podobieństwo do eksponatu na wystawie. Co to miało oznaczać? Stop? Nie idź dalej?

Poruszyła ustami. Z początku Gabriel nie zrozumiał, ale potem zdał sobie sprawę, co mówiła. Wypadek. To był wypadek.

— Nie!

Nawet jej nie dotknęłam.

— Nie wierzę ci!

Poruszyła obojętnie ramionami. Nie obchodziło jej to.

— To jeszcze nie koniec. — Nie wiedział, czy go usłyszała.

Znowu podniósł głos. — To jeszcze nie koniec!

Poczuł jakieś dotknięcie: ostrzegawcza strzała z jej umysłu, wyceLOWANA prosto w niego. Niedwuznaczne ostrzeżenie. Miało siłę fizycznego ciosu, odpychając go w tył tak mocno, że Gabriel niemal upadł.

W osłupieniu podparł się jedną ręką o ścianę. Miał wrażenie, jakby Morrighan w jakiś sposób sięgnęła przez okno i pchnęła go bardzo mocno w pierś. Nigdy nie doświadczył czegoś takiego.

Nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie przysła. Poruszyła ustami powoli, precyzyjnie. Jej oczy były czarne jak kosmos.

Odwróciła się, by odejść. Przez chwilę widział jej profil: profil łowczy.

Potem firanka opadła i dom znowu ucichł.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Londyn był zakuty w okowy ostrego mrozu. To był najzimniejszy grudzień od dwudziestu pięciu lat.

Poirytowani ludzie spieszyli ulicami ze wzrokiem skierowanym gdzieś do wewnątrz. Witryny sklepów ozdobione były sztucznym szronem i anielskimi włosami. Z ukrytych głośników dobiegały kolędy, te same piosenki powtarzające się z demoniczną regularnością. Gabriel nigdy nie lubił Bożego Narodzenia, ale zdawało mu się, że w tym roku wymuszona świąteczna radość zakrawała wręcz na groteskę. Pod swawolą i wesołością, piernikami i zażywnymi mikołajami kryło się serce z lodu, narastający mrok.

Gabriel czuł się daleki od tego wszystkiego: jego umysł był zimny, zimne było jego serce.

Odwiedza go w najciemniejszych godzinach nocy. Gabriel otwiera oczy, a ona stoi przy jego łóżku, patrzy jak śpi. Jej rude włosy jak chmura światła. Błede ramiona gładkie i lśniące. Podnosi palec wskazujący do ust, wkłada go między wargi, potem dotyka się między nagimi udami.

Jego skórę zaczyna pokrywać pot. Gabriel wyciąga ręce i ściąga ją na łóżko tak gwałtownie, że z jej gardła dobywa się okrzyk. Kiedy w nią wchodzi, ona odchyła głowę i zamyka oczy. Zdaje mu się, że zaraz usłyszy gwałtownie pulsowanie gorącej krwi w jej żyłach.

Ale kiedy dotyka dłonią jej piersi, szukając mocnego bicia serca, ona zmienia się w ducha — jej ciało staje się efemeryczne, ulotne — i wolno znika z jego objęć. W jednej chwili Gabriel trzyma ciało i krew, w drugiej jego niedowierzające palce obejmują pustkę. Kobieta ze snu. Kobieta stworzona z tęsknoty, pragnienia i ze wspomnień.

Dni mijały, lecz czas stracił dla niego wszelkie znaczenie. Jego komputer stał nietknięty. Rzadko odbierał telefony.

Minnaloushe. Ledwo co zdążyłem cię odnaleźć. Jak mogłem cię utracić?

*

Sylwester. Świeży śnieg leżący na ziemi.

Gabriel obserwował białe płatki wirujące w ciemnościach. Ulice były opustoszałe. Lodowate zimno zapędziło do domów nawet najbardziej zdeterminowanych imprezowiczów.

Gabriel spojrzął z powrotem na książkę w swoich dłoniach. Próbował coś czytać, ale czarne litery gapiły się na niego z kartki, słowa pozbawione były znaczenia. Zamknął książkę i odsunął ją.

Wiatr cisnął o szybę śniegiem. Lodówka wydawała z siebie cichy, zmęczony pomruk. Zielony neon na zewnątrz pulsował delikatnie, rzucając na ścianę blask, plamiąc biurko przerywanym strumieniem światła. Gabriel od tygodni przy nim nie siadał, powierzchnię zamkniętego laptopa pokryła warstwa kurzu. Kiedy ostami raz go uruchamiał? Nawet nie pamiętał.

Zawahał się na moment, potem wstał.

Zawiasy laptopa wydawały się sztywne, kiedy podnosił ekran. Wcisnął przycisk „on” i zaczął, aż maszyna się rozgrzeje.

Za oknem śnieg gęstniał w opadającą, rozmytą plamę. Nieprzejrzystą, duszącą.

Było tak cicho. Można było pomyśleć, że na świecie nie ma nikogo poza nim.

Ekran rozbłysnął na niebiesko i zapełnił się ikonami. Gabriel odruchowo przesunął kursor na ikonę skrzynki pocztowej i kliknął.

W jego skrzynce czekało dziewięćdziesiąt siedem nieprzeczytanych wiadomości.

Zjechał tępo w dół listy. Niektóre z imion rozpoznawał, inne były nowe: prawdopodobnie potencjalni klienci. Gabriel nie otwierał wiadomości, po prostu ściągał kursor w dół listy.

Nagle wciągnął powietrze. Jego ciało zalała fala adrenaliny. Wbił w ekran rozplamione oczy.

Wiadomość została wysłana przed trzema tygodniami. Okienko z tematem było puste. Adres e-mailowy nadawcy brzmiał: Minnalouslyshe@Monkmask.co.uk.

Mój najdroższy,

Zaprogramowałam tego e-maila tak, by został wysłany w konkretnym momencie. Przy odrobinie szczęścia nigdy go nie otrzymasz, bo będę mogła skasować polecenie, zanim wiadomość zostanie wysłana. Ale jeśli coś pójdzie nie tak, ten e-mail i jego załącznik dotrą do ciebie z góry ustalonego dnia. Jeśli to czytasz, to wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie żyją, a ty właśnie mnie oplakujesz.

Kiedy wyszłam od ciebie dziś w nocy, pojechałam porozmawiać z Morrighan. Miałam nadzieję, że zdołam wynegocjować z nią twoje bezpieczeństwo, i że ona zapanuje nad tym szalonym pragnieniem wciągania do gry kolejnych uczniów. Lecz Morrighan nam grozi i po raz pierwszy jestem przerażona.

Nie zawsze taka była. Gdzieś we wnętrzu tej kobiety kryje się moja dzielna siostra, która wierzy w pasję, kreatywność i piękno. Jutro, kiedy znów będę z nią rozmawiać, spróbują odnaleźć tę osobą, którą tak bardzo podziwiam.

Jeśli zawiodą... będziemy musieli stanąć do walki.

Morrighan jest potężna, Gabrielu. Nie masz pojęcia, w jaki

sposób pałac pamięci zwiększył jej zdolności widzenia. Kiedyś ograniczały się one tylko do działania w sferze psychiki, lecz ostatnio Morrighan wyszła poza manipulację umysłem i teraz potrafi także manipulować martwymi przedmiotami. Z początku myślałam, że to zabawne — no wiesz, patrzenie, jak włącza i wyłącza telewizor z drugiego końca pokoju, uruchamia mikrofalówkę albo ekspres do kawy. Ale kto wie, dokąd w końcu zaprowadzają te umiejętności?

Zatem nie mamy wyboru. Musimy sprawić, by zapomniała.

Jeśli zdołamy doprowadzić do tego, by Morrighan straciła pamięć o porządku miejsc i porządku rzeczy, zagubi się. Bez mapy będzie skazana na przemierzanie sal pałacu pamięci bez nadziei na ucieczkę.

W szkołach wiedzy tajemnej istnieje tradycja, że każdy poszukiwacz oświecenia powinien otrzymać od swojego nauczyciela tajemne imię. Ponieważ nie miałyśmy nauczyciela, ja nadałam Morrighan jej imię, a ona nadała mi moje. Liczę też na to, że któregoś dnia nadam je tobie, mój kochany, kiedy nadejdzie właściwy czas i zajdziesz wystarczająco daleko. Tajemne imię Morrighan jest bardzo stare i znaczy Poznanie Boga. Jest to również hasło do portalu.

Tajemne imię posiada wielką moc. Zostaje przełożone na magiczne liczby i decyduje o przeznaczeniu poszukiwacza. Jego posiadacz musi stale nad nim medytować, lecz nigdy nie powinien wypowiadać go na głos. Utrzymując je w milczeniu, zachowuje wibracje imienia nietknięte, dzięki czemu zyskuje ono moc. Jeśli je wypowie, staje się ono bezwartościowe.

Zamierzam wyjawić ci imię Morrighan. Musisz wejść do jej umysłu i zmusić ją do wypowiedzenia go na głos. Kiedy to uczyni, imię straci moc, a ona sama zagubi się w porządku miejsc, porządku rzeczy. Będzie bezpowrotnie zagubiona. Przystanie być wiedźmą.

Napisałam zaklęcie, które oparłam na fragmentach starych gnostyckich tekstów. Nauczysz się tego zaklęcia na pamięć i uwolnisz je. To magiczny szyfr, który zadziała jak wirus. Tak jak wirus zżera oprogramowanie, tak samo mój czar zniszczy wewnętrzne wspomnienia Morrighan, jej tajemną siłę. Zmusi ją, by wypowiedziała najpierw magiczne cyfry oznaczające jej imię, a potem samo imię. Będzie próbowała się opierać, ale nie uda jej się. Mój kod ją pokona.

Najważniejsze ze wszystkiego jest to, byś uwolnił zaklęcie we wnętrzu samego portalu. Nie zadziała ono w żadnej innej części pałacu. Tylko w portalu Morrighan jest bezbronna.

Skazuję własną siostrę na to, by bez końca przemierzała pałac własnego umysłu. Nie wiem, jak osądzi mnie za to niebo. Ale wiem, że nie wybaczy mi tego, o co cię proszę — moja miłość, moje serce. Wiedz, że gdybym była obdarzona darem dalekowidzenia, sama weszłabym do umysłu Morrighan. Ale nie jestem. Mam tylko ciebie.

Morrighan prawdopodobnie sama zaprowadzi cię do portalu, tak samo jak Robbiego. Ale jak masz z niego wrócić? Jeśli zaklęcie zadziała, Morrighan zgubi drogę.

A zatem... ty również.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

— To niemożliwe — powiedziała Frankie z przerażeniem.

Gabriel położył palec na klawiszu ze strzałką w dół i patrzył, jak przesuwają się akapity tekstu.

— Gabrieliu, chyba nie myślisz poważnie o tym, żeby to zrobić. To się nie uda.

— Jeśli Minnaloushe mówi, że się uda, to się uda.

— Ale spójrz tylko na to, przecież to jakieś brednie — Frankie utkwiała wzrok w widocznych na ekranie zdaniach. — *Jestem nierządnicą i świętą. Jestem żoną i dziewicą.* Co to u licha ma znaczyć? Brzmi jak porno.

Gabriel zaśmiał się krótko.

— Wręcz przeciwnie. Według notatki Minnaloushe, te wersy pochodzą z gnostyckiego traktatu opisującego umysł idealny. A te wersy tutaj — wskazał palcem inne miejsce na ekranie — są oparte na fragmentach Zwojów znad Morza Martwego i starożytnych pismach mandejskich.

— Ale co to ma znaczyć?

— Nie wiem, Frankie. To zaszyfrowany język. Zakłęcie.

— I zmusi Morrighan do wypowiedzenia jej tajemnego imienia?

— Tak. Najpierw jego numerologii, a potem samego imienia.

— To jakiś obłąd — Frankie wyglądała, jakby było jej niedobrze.

— Musisz przejść przez pałac i jakoś odnaleźć portal. Potem, jeśli zdołasz tam dotrzeć, masz wypowiedzieć zaklęcie. Jak zamierzasz to zrobić, jeśli Morrighan postanowi otworzyć drzwi w portalu i zrobić ci z mózgu papkę? Gabriel nie odpowiedział.

— I na tym nie koniec — Frankie była śmiertelnie zaniepokojona.

— Zakładając, że przeżyjesz swoją małą przygodę w portalu, będziesz musiał jeszcze odnaleźć drogę powrotną z pałacu. Co może okazać się nieco trudne, biorąc pod uwagę, że umysł samej Morrighan będzie wtedy przypominał jajecznicę.

— Nie mam wyboru, Frankie.

— Zawsze jest jakiś wybór.

— Nie.

— Wiem, dlaczego to robisz. Chodzi ci o zemstę. Chcesz ukarać Morrighan za to, co zrobiła Minnaloushe.

Gabriel nie odpowiedział.

— Zemsta to najgorszy możliwy motyw.

— Mnie wystarcza — powiedział Gabriel szorstko.

— Gabrielu...

— To nie tylko zemsta, Frankie. Czy chcesz, żeby Morrighan zapłaciła? Jasne, że tak, do cholery. Ale to nie takie proste. Morrighan nie panuje nad sobą. Tylko ja stoję jej na drodze. Wiem, że to zabrzmi, jakbym się nawrócił, ale po raz pierwszy w życiu czuję, że mój dar dalekowidzenia był mi pisany — a nie, że mam go po prostu przypadkiem. Jeśli ktoś nie powstrzyma Morrighan, to kto wie, co ona może jeszcze zrobić? I będzie szukać kogoś nowego do szkolenia. Kogoś, komu stanie się krzywda. Nie mogę jej na to pozwolić.

— Zgubisz się. Nie ma co do tego wątpliwości. Zastanów się, Gabrielu. Porządnie się nad tym zastanów. Wyobraź sobie, jak strasznie będzie błąkać się bez końca w labiryncie, z którego nie ma wyjścia.

— Nie dojdzie do tego.

— Jak możesz tak mówić! — Frankie zaczęła krzyżeć.

— Mam tajną broń.

Spojrzała na niego w osłupieniu.

— Ciebie.

*

Leżeli na łóżku, ręka w rękę. Zasłony okienne były zaciągnięte. Drzwi zamknięte. Ciemność w pokoju była niemal absolutna.

— Gotowa?

Palce Frankie zacisnęły się na jego palcach.

— Tak.

— Dobra. Jedziemy.

Gabriel zamknął oczy i zmusił się do zwolnienia oddechu. Ze wszystkich sił starał się całkowicie rozluźnić ciało i oczyścić umysł z emocji. Jeśli za bardzo się napnie, odruchowo zablokuje Frankie przy próbie wejścia do jego umysłu. Musiał otworzyć wewnętrzne oko i trzymać je rozluźnione. Chmury. Myśl o chmurach. Chmury płynące, nieważkie...

Wyczuł jej ostrożne próby. Była pełna wahania, nieśmiała. Lecz Gabriel natychmiast przypomniał sobie jej sygnaturę. Lekka, wonna, letnia bryza. Kiedyś, kiedy dopiero zaczynali, często wzajemnie się skanowali. Podczas szkolenia w Eyestormie Gabriel zgodził się brać udział w ćwiczeniach Mullinsa, ale nigdy nie pozwolił nikomu z innych dalekowidzących na pełny dostęp. Nigdy nie pozwolił, żeby jego wewnętrzne oko w pełni się rozluźniło. Nawet przy Frankie się powstrzymywał.

Ale nie tym razem. Po raz pierwszy miał powierzyć swoje życie komuś innemu. Koniec z działaniem w pojedynkę. Frankie będzie pierwszą osobą, która bez przeszkód przejdzie przez jego wewnętrzne oko.

Nie pierwszą, przypomniał sobie. Pierwsza była Morrighan. Gabriel zadrżał na wspomnienie bezczelnej pewności, z jaką poruszała się po jego umyśle w noc urodzin Minnaloushe. Ten ciężki zapach piżma i uroczymi zasnuwający jego mózg niczym mgłą, jego słabnące członki, mrowienie w kroczu, centrum rozkoszy w jego mózgu

gwałtownie podrażnione, tak że jedynym, czego pragnął, było całkowicie się jej oddać...

Ponownie zadrzał i spróbował skupić się na Frankie. Frankie, której sygnatura była świeża jak lato, której obecność w jego umyśle była jak bryza. Ale tak krucha, pomyślał z nagłą rozpaczą Gabriel. Nic była tak wątła — czy wytrzyma?

Musiała wytrzymać. Frankie była jego asem w rękawie, tylko dzięki niej mógł przechytryć najbardziej bezwzględного przeciwnika, z jakim kiedykolwiek przyszło mu się zmierzyć. Frankie była jego jedyną szansą na odszukanie drogi powrotnej przez dom o milionie drzwi. Miała być jego kotwicą. Jeśli przywiąże do niej swój umysł, ona sprowadzi go z powrotem całego i zdrowego. Nic Ariadny, która wyprowadzi go z labiryntu. Zakładając oczywiście, że Gabriel przeżyje to, co przygotowała dla niego Morrighan wewnątrz portalu, i że nie dostanie nagle wycieku z tętniaka w mózgu.

Spokojnie. Rozluźnij się. Jego puls znowu przyspieszył, Gabriel musiał zwolnić oddech. Spróbował rozluźnić mięśnie szyi, które spięły się w nerwowym oczekiwaniu.

Ostatnią godzinę spędził na uczeniu się szyfru Minnaloushe na pamięć. Powtarzał go niczym uczeń zakuwający do egzaminu — najważniejszego egzaminu w życiu. Tekst zajmował nie więcej niż pół strony, ale mimo wszystko Gabriel miał z nim duże problemy i był wstrząśnięty tym, jak słaba była jego pamięć. Wysiłek, jakiego wymagało utrwalenie w niej tych wersów, był jak zimny prysznic. Żadnej myszki, którą mógłby najechać i kliknąć. Żadnych podpowiedzi, żadnych ikonek, które by go poprowadziły. Tylko jego własna zdolność do przyswajania informacji i czerpania z nich w razie potrzeby.

Frankie weszła już całkowicie do jego umysłu. Jej dłoń w jego ręce była nieruchoma, a uścisk jej palców się rozluźnił. Kochana Frankie. Wytworna, uprzejma. Pomysł udania się z nim do pałacu głęboko ją przerażał, Gabriel wiedział o tym. Ale kiedy spytał, czy wejdzie z nim do środka, nawet się nie zawahała. Ta bezwarunkowa miłość była dla

Gabriela lekcją pokory. Ich losy — Frankie i jego — zawsze się przeplatały. A teraz mieli wyruszyć w swoją najdłuższą podróż...

Jego wewnętrzne oko było teraz całkowicie rozluźnione. Czas połączyć się z Morrighan. Czy go przyjmie? Tym Gabriel nie musiał się przejmować. Przyjmie go. O tak. Pewnie już na niego czekała.

Prawą dłonią trzymał Frankie za rękę. Drugą zaciskał na medalionie. Medalionie z jednym puklem czarnym i jednym rudym. Rude włosy. Minnaloushe. Na chwilę całe jego ciało ogarnął żal.

Ale nie było teraz czasu na opłakiwanie. Nie było czasu na łzy. W medalionie znajdował się także pukiel w kolorze najgłębszej czerni. Czarny jak węgiel. Czarny jak pióra na skrzydłach kruka. Kruka, który obserwował go jednym paciorkowatym okiem. Tak blisko, że gdyby Gabriel wyciągnął rękę, mógłby go dotknąć.

Na chwilę ptak przechylił pytająco łeppek, patrząc na Gabriela tak, jakby zastanawiał się, jak zareagować na obecność intruza. Potem jednak przestąpił z nóżki na nóżkę i zaczął czyścić sobie pióra.

Gabriel wszedł do środka. Znajdował się głęboko, głęboko we wnętrzu pałacu.

Rozejrzał się dookoła. Stał w ogromnej, zrujnowanej kamiennej sali. Miejsce było w ruinie. Wysokie okna o nienaruszonych maswerkach były wybijane. W grubych murach były wyrwy, ziejące kwadraty czerni, a wielkie kamienne przypory zaczynały się kruszyć.

W powietrzu słychać było jakiś dźwięk. Zawodzenie. Długa, opadająca kadencja: nieprzerwana, niczym zamarznięty wodospad. Gabriel rozumiał, co to było. Słyszał głos zboląłego umysłu. Morrighan była pogrążona w żalu. Nie tylko Gabriel odczuwał ból z powodu braku Minnaloushe.

Kątem oka dojrzał jakiś ruch i odwrócił się gwałtownie. Lecz to był tylko kruk. Ptak uniósł się w powietrze. Poszybował przez salę w stronę otwartych drzwi i korytarza za nimi. Po chwili wahania Gabriel ruszył za nim.

Wszedł do kamiennego przejścia. Nie był to tak naprawdę korytarz, ale rodzaj antresoli otoczonej grubą, czarną poręczą. Gabriel położył na niej dłoń i nagle poczuł w żołądku pustkę na widok przepastnej otchłani głównego szybu, opadającego niewyobrażalnie głęboko w dół.

Antresola, na której stał, była tylko jedną z wielu. Z miejsca, w którym się znajdował, Gabriel widział piętra powyżej i poniżej: antresole, koncentryczne kondygnacje i galerie wspinające się w górę i opadające w dół zawrotnymi spiralami, które dezorientująco zniekształcały perspektywę. I drzwi, miliony drzwi otwierające się bezustannie w najdalszą dal: mistyczne powielenie.

Umysł Gabriela na chwilę dał się przytłoczyć temu ogromowi. Tyle przejść i żadnej mapy. Kiedy poprzednio przechodził przez pałac pamięci, patrzył oczami Roberta Whittingtona. Za każdym razem, kiedy otwierał jakieś drzwi, prowadziła go wiedza Whittingtona o porządku miejsc i porządku rzeczy. Ale tym razem nie był podłączony do przestrzeni psi chłopaka. Tym razem był sam w swojej próbie przemierzenia umysłu, który był wrogi i zimny. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje i dokąd się udać. Nie wiedział, które drzwi otworzyć, a które pominąć. Nie miał pojęcia, jak odnaleźć portal.

To nieważne. Zacisnął mocno oczy, odcinając halucynacyjny obraz nieskończonej ilości drzwi. Nieważne. Morrighan z pewnością sama go tam zaprowadzi. Chciała, żeby trafił do portalu, ponieważ tam będzie na jej lasce. Mógł wybrać którekolwiek drzwi i wędrować przez ten labiryntowy pałac tak, jak mu się podobało. Ona go odnajdzie.

Czekał z dłonią na poręczy, w każdej chwili spodziewając się jej sygnatury — tego ciężkiego zapachu pizma i uroczymi — lecz nic nie wyczuwał. Jediną sygnaturą w jego umyśle była sygnatura Frankie — słabiotka, ulotna — jak majaczący za szklaną szybą cień. I Gabriel znowu zadał sobie pytanie: czy ich więź zdoła wytrzymać?

Otworzył oczy. Kruk znajdował się mniej więcej metr od niego,

przysiadł na poręczu. Małeńkie oko gapło się na niego bezlitośnie. Może Gabriel powinien za nim pójść. Może kruk miał być jego przewodnikiem. Ale kiedy wykonał ruch w jego stronę, ptak rozłożył skrzydła i przefrunął bezszelestnie ponad poręczą, szybując coraz niżej i niżej, aż sierp jego czarnych skrzydeł zniknął w cieniach daleko, daleko w dole.

Zatem nie będzie przewodnika. Gabriel wyprostował się. Cóż, każda podróż zaczyna się od pierwszego kroku. Przekręcił klamkę drzwi, które znajdowały się najbliżej.

Tyle przejść. Na samą myśl można było oszaleć. A w miarę, jak Gabriel przechodził z pokoju do pokoju, ten upiorny, niezmienny jęk stawał się coraz wyraźniejszy. Głęboka melancholia, lodowato zimna udręka, były wszechogarniające.

Zdawały się wpływać również na fizyczne otoczenie, zmieniając je w dziwaczny, walący się plac budowy. Gabriel przemierzał schody, które wisiały w przestrzeni i donikąd nie prowadziły. Kręte korytarze kończyły się czarnymi, tajemniczymi murami. Za niektórymi drzwiami nie było pokoi, lecz bezkształtna nicość, tak że Gabriel przekraczał próg i zaczynał chwiać się niebezpiecznie na krawędzi pustej przestrzeni. A kiedy wchodził do wykończonych pomieszczeń, ich proporcje wydawały się nieprawidłowe. Ściany były odkształcone, sufity biegły na skos. Okna wyginały się obłądnie w swoich ramach.

Gabriela dręczyło również nieokreślone poczucie, że czegoś tam brakowało. Nie potrafił określić, czego. Lecz w końcu zrozumiał. Komnaty były całkowicie puste. Za drzwiami nie było żadnych przedmiotów, żadnych postaci. Gdzie się podziały mające moc talizmanu pamięciowe obrazy, które powinny zapełniać te pokoje?

W czasie dwóch pierwszych zjazdów każde pomieszczenie, do którego wchodził, było przez coś zajęte — motyle, ślepi mnisi, skrwawione gołębie, ogromne szklane kulki, oczy bez powiek — miliony potężnych, drobiazgowo zaprojektowanych obrazów. Lecz pokoje, przez które teraz wędrował, były puste, wypełnione tylko kruszącymi się

kamieniami. W niektórych z nich ceglane ściany były surowe i niepokryte tynkiem, jakby murarze za wcześniej porzucili pracę. Dlaczego?

Jeszcze kiedy się nad tym zastanawiał, przyszła do niego odpowiedź. Pokoje wyglądały na niewykończone, ponieważ takie właśnie były. Tutaj prace jeszcze trwały. Miejsce to wznosiła Minnaloushe, lecz nie miała okazji go skończyć. A Morrighan nie była w stanie kontynuować prac bez jej pomocy. Udręka, jaką odczuwała, nie była spowodowana jedynie śmiercią siostry. Chodziło także o światy, które teraz, kiedy Minnaloushe nie mogła już pomagać w przesuwaniu granic coraz dalej, pozostaną nieodkryte.

Zawodzenie przybierało na sile. Nieustające łkanie. Mroziło krew w żyłach. Gabriel zbliżał się do drzwi z grubymi zawiasami i grawerowanym zamkiem. Położył dłoń na klamce i drzwi się otworzyły.

Ten pokój nie był pusty.

Było to duże pomieszczenie, bardzo duże. Podłoga pod stopami Gabriela zasłana była ściółką z gnijących liści. Ściany były pokryte gipsem i można było dostrzec na nich słabiutkie zarysy wyblakłych fresków. Wokół belek nośnych pod sufitem wila się bujnie winorośl, a pnące róże opadały z giętkich łodyżek. Było tam również kilka stołów na kozłach, zastawionych tacami z nasionami, doniczkami i narzędziami ogrodniczymi. W powietrzu unosił się słodki zapach rozkładu. W ścianach znajdowało się kilkanaście wąskich okien, zasłoniętych listowiem. Przez brudne szyby sączyło się mętne, zielone światło.

Coś przesunęło się obok ramienia Gabriela. Jakiś czarny cień. Kruk powrócił. Wylądował w odległym rogu pokoju i przysiadł na dwóch wypukłych przedmiotach zasłoniętych czymś, co wyglądało na jutę. Z miejsca, w którym się znajdował, Gabriel nie mógł zobaczyć, co to było. Światło nie było wystarczająco mocne.

Z wahaniem ruszył do przodu. Coś mówiło mu, że nie powinien podchodzić bliżej, nie powinien zaglądać pod jutę.

Zrobił kolejny krok do przodu. W jego mózgu kołatało się złe przeczucie. Nie, nie.

Wyciągnął rękę, by zdjąć podobne do juty płótno, i kruk zaskrzeczał. Zatrzepotał niespokojnie skrzydłami. Nie, nie.

Jęk był teraz ogłuszający. Gabriel chwycił palcami za płótno, które zaczęło się zsuwać, po czym zaczepiło o coś na chwilę. Zdecydowanym ruchem szarpnął materiał i ściągnął.

Ciało Minnaloushe było pokryte pąkami. Wyrastały z niego duże, białe kwiaty w kształcie gwiazdek, jakich Gabriel nigdy jeszcze nie widział. Grube łodygi pączkowały gdzieś w jej wnętrzu i przepychały się z wigorem przez skórę. Kwiaty promieniowały zdrowiem i witalnością, każdy płatek był doskonale uformowany. Oczy Minnaloushe były gwieździstymi białymi komnatami, z jej ust wypływał krwotok śnieżnego kwiecica. Jej włosy poprzetykane były delikatnymi zielonymi pędami.

Obok niej leżał Robert. Jego kwiaty były czerwone, nie białe. Czerwone niczym płomienne pąki na przygarbionym drzewie, które ocieniało basen w Monk House. I nagle Gabriel wiedział już, gdzie Morrighan pogrzebała chłopca.

Zatoczył się do tyłu.

Gabrielu...

Jego imię zostało wypowiedziane niczym westchnienie. Jak wiatr wiejący wśród liści. Od tego dźwięku spocily mu się dłonie. Głos dochodził zza niego.

Westchnienie stężało do szeptu. Gab-rie-lu. Miękki, przeciągły szept — trzy sylaby.

Gab-rie-lu...

I powietrze zrobiło się ciężkie od zapachu piżma i uroczynu.

*

Była ubrana dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy Gabriel zobaczył ją w pierwszym zjeździe. Długa suknia z aksamitu, w trudnym do określenia odcieniu czerni. Pyszna tkanina była ozdobiona szmaragdową nicią, tak że kiedy Morrighan się poruszała, fałdy materiału

połyskiwały w świetle. Rękawy były dopasowane, podobnie jak stanik. Ciemny kolor podkreślał bladość jej skóry. Dekolt był delikatnie marszczony i bardzo wycięty, tak że Gabriel widział cały tatuaż Monas na miękkiej krągłości jej piersi. Na jej szyi wisiał wisiorek z literą M.

Ale jej proste, czarne włosy były odkryte, kaptur płaszcza zsunięty do tyłu. Nie miała na sobie maski. Bo też po co miałyby ją wkładać? Teraz już poznali się nawzajem. O tak, poznali się. Niepotrzebne były żadne wybiegi. Nie trzeba już było grać w chowanego.

Gab-rie-lu...

Podniosła rękę. Skinęła.

Gabriel oderwał od niej wzrok i spojrzał w dół na kwitnące ciała u swoich stóp. Robert krwawiący ognistymi kwiatami. Skóra Minnaloushe jak alabaster: przezroczysta lecz pokryta plamkami cieni. Pod delikatną bladością kryły się ślady rozkładu, lecz kwiaty wciąż kwitły z szaleńczym wigorem. Przedziwny mariaż bujności i śmierci. Grote-skowy obraz poczęty w umyśle Morrighan, by zachować siostrę w pamięci, jak żywą.

Gabriel wyciągnął ostrożnie dłoń, oczarowany połyskiem białych płatków.

Nie rób tego.

Spojrzał z powrotem na Morrighan. Jej niebieskie oczy lśniły. Jej purpurowe usta były jak ogień.

Zostaw ją. Chodź ze mną.

Suka! Nagle zdławiła go wściekłość. Mordercza suka! Rzucił się na nią. Morrighan delikatnym ruchem usunęła się na bok. Gabriel uderzył w powietrze.

Na jej twarzy pojawił się przebłysk rozbawienia. Gabriel pomyślał, że faktycznie było to absurdalne. Mógł podnieść ze stołu tamten rydel o ostrej krawędzi i wepchnąć go w jej ciało, a nic by się nie stało. W tym uniwersum stworzonym przez jej umysł on sam był bezsilny. Tylko w portalu będzie w stanie dokonać dzieła zniszczenia i obrócić ten pałac pamięci w ruinę.

To znaczy, jeśli przeżyje.

Ogarnęło go poczucie bezsilności. Może powinien tu po prostu zostać. Zostać z Minnaloushe. I tak nigdy nie zdoła wydostać się z tego labiryntu.

Chodź. Teraz Morrighan była zniecierpliwiona.

Nie.

Chodź.

Cofnął się.

Coś otarło się o jego stopy. Gabriel spojrzął w dół.

Całą podłogę pokrywały szczury. Falująca, skłębiona masa piszczących, drżących ciał, złośliwych oczek, wąsów, zębów ostrych jak brzytwy. Gryzonie zakrywały jego buty, tłoczyły się dookoła jego kostek.

Gabriel podniósł wzrok. Morrighan zniknęła. Zostawiła go tutaj samego z jego koszmarem.

To nie jest prawda, powiedział do siebie z rozpaczą. To tylko obraz z pamięci. Tylko coś, co wymyśliła Morrighan. To nie jest prawdziwe. Ale wtedy jeden ze szczurów spadł na niego z kratownicy pod sufitem. Gabriel poczuł miękki ciężar gryzonia uderzający o jego ramię, pazurki zadrapały go, a potem wczepiły się w jego skórę. Po chwili stworzenie zatopilo żółte zęby w jego szyi. Ból był przeszywający. Gabriel zerwał szczura z szyi i odrzucił go od siebie, trzęsąc się z obrzydzenia. Ruszył w kierunku drzwi, kopiąc tłuste stworzenia tłoczące się dookoła jego stóp. Drzwi. Ucieczka.

Wypadł z pokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

Czekała na niego na zewnątrz. Chodź.

Gabriel poszedł za nią.

*

W apartamencie Gabriela Frankie wierciła się nieustannie na łóżku, rzucała głową na poduszce z boku na bok. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że jej puls bardzo mocno przyspieszył. Była zawieszona w świetle półmroku, gdzie jej umysł połączył się z umysłem leżącego

obok mężczyzny, teraz niepomnego jej obecności. Więź była krucha, Frankie odbierała tylko fragmenty obrazów i uczuć. Kilka chwil wcześniej poczuła tak gwałtowny wybuch emocji, że łącze niemal zerwało się całkowicie. Jego burzliwe myśli niemal zupełnie kasowały skan. Teraz było lepiej. Znowu zaczęła odbierać wzór jego wędrówki. Korytarz osrebrzony światłem księżyca. Szybkie kroki. Chwiejny cień kobiety ślizgający się po krzywiznach ściany...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY

Gabriel podążał za jej cieniem. Poruszała się szybko, ciągle trzymając się kilka kroków z przodu. Raz czy dwa Gabriel stracił ją z oczu, kiedy szli szybkim krokiem wzdłuż długiego, krętego korytarza, ale za każdym razem rozciągał się za nią cień, wydłużony kształt na splamionej księżycem ścianie, skracający, wskazujący mu drogę.

Przemierzali teraz znowu bardziej zaludnioną część pałacu pamięci. Plac niedokończonej budowy z wyobraźni Minnaloushe został gdzieś daleko za nimi.

Wszystkie pokoje, przez które teraz przechodzili, były wypełnione mistycznymi przedmiotami. Człowiek z głową pawiana spojrział na nich beznamiętnie. Biały koń zarżał dziko i wstrząsnął skrwawioną grzywą. W jednym pokoju Gabriel zauważył z osłupieniem, że chodzi po wodzie. Głęboko pod nim znajdowały się miliony zatopionych książek, niektóre zamknięte, niektóre wirujące wolno ze stronami rozłożonymi na podobieństwo pięknych wachlarzy.

Wiedział, że były to obrazy-talizmany — magiczne obrazy — ale zupełnie nie pojmował, jakie informacje zawierały. Przechodził przez te pełne wiedzy sale i nie rozumiał nic z tego, co widział. Był to niepokojący, obcy świat.

A Gabriel się zgubił. Nie miał pojęcia, ile drzwi otworzyła Morrighan,

przez ile pokojów przeszli. Stracił rachubę obrazów, które minęli. Nie obchodziło go to. I tak nigdy nie zdołałby zapamiętać drogi powrotnej. Teraz obchodziło go tylko dotarcie do portalu. I nie miał żadnych wątpliwości, że tam właśnie go prowadziła.

Oczy miał utkwione w jej poruszającej się postaci. Pięknie się nosiła, każdy krok był pełen gracji, lecz uwidaczniał też moc i siłę drzeмиącą w zgrabnych mięśniach. Włosy miała zaczesane do góry tak, że widział jej długą, smukłą szyję. Jej profil był czysty. Była piękną istotą.

Była też wojowniczką. Silną. Kształtną. Ostrożną. Gotową do bitwy. *Mhor Rioghain*. Wielka Królowa wojny i śmierci. Gabriel nie był dla niej żadnym przeciwnikiem. Nawet Minnaloushe nie pojmowała bezwzględności swojej siostry.

Dlaczego Morrighan postanowiła ostatecznie zabić Minnaloushe? Wypadek, powiedziała. Nieplanowany. Tylko ona wiedziała czy to prawda. Potrzebowała Minnaloushe do pomocy przy budowie pałacu. Ale może zazdrość i paranoja zjednoczyły się w jednym niszczyielskim momencie morderczego gniewu.

Dwie wojowniczki. Umysł Minnaloushe był subtelniejszy, umysł Morrighan bardziej gwałtowny. Minnaloushe uwielbiała uprawiać umysłowe judo, wykorzystywała siłę swojej przeciwniczki przeciwko niej samej. Umysł Morrighan ciął jak katana. Kilka dobrze wymierzonych cięć niszczyło wszystko z okrutną precyzją. Żadnej dwuznaczności.

I w końcu okrucieństwo przeważało. A może jednak? Jeśli tylko Gabriel zdoła dotrzeć do portalu i wypowiedzieć zaklęcie Minnaloushe, może to ona okaże się ostateczną zwyciężczynią?

Zdał sobie sprawę z buczenia unoszącego się w powietrzu. Kiedyś już słyszał ten dźwięk. Wiedział, co to oznaczało. Po grzbiecie przebiegł mu dreszcz.

Morrighan zatrzymała się gdzieś przed nim. Położyła rękę na nierównym kamieniu osadzonym w gładkim murze.

Ściana odsunęła się na bok.

Ogromne pomieszczenie było takie, jak Gabriel je zapamiętał. O jakim śnił.

Portal. Tak długo nawiedzał jego sny. Teraz, kiedy w końcu do niego dotarł, odczuwał dziwny spokój.

*

Jej więź z Gabrielem była krucha. Czasami Frankie widziała wszystko wyraźnie, a emocje, które odbierała, były zrozumiałe, lecz potem skan rozpadał się na części i Frankie dostrzegła zaledwie fragmenty, niespójne obrazy. Lecz kiedy Gabriel wkroczył do portalu, jej pierwsze wrażenie było tak wyraźne jak w akwafortcie: ogromna przestrzeń o wolno obracających się kamiennych ścianach pokrytych tajemniczymi symbolami i fantastycznymi znakami. Frankie nigdy przedtem tu nie była, lecz natychmiast rozpoznała to miejsce. Gabriel tak często o nim opowiadał.

Wiedziała, że wszystkie te symbole można było łączyć i układać w nieskończone wzory szyfru. Oto było serce pałacu pamięci: elektrownia zasilająca całą strukturę. Ponad ciężkimi, okrągłymi ścianami unosiła się niematerialna kopuła, skąpana w świetle.

Było tam także trzydzieścioro drzwi. Tworzyły półkole i wyglądały całkiem niewinnie. Lecz za którymiś z nich kryły się ból i szaleństwo. Otwórz je, a nadmiar informacji przewali się przez twój mózg niczym rozrywająca tamę woda.

Na krótką chwilę Frankie przypomniała sobie o tętniaku, gnieżdżącym się w miękkiej tkance mózgu Gabriela: granacie czekającym na odbezpieczenie.

Wyczuwała podziw i strach, które zaczynały przenikać myśli Gabriela. Przesączały się do jej własnej świadomości jak tusz wchłaniany przez bibułkę. Lecz część jej umysłu pozostawała chłodna, jak u biernego obserwatora. Frankie niepokoiła się: gdzie była Morrighan? Chciała, żeby Gabriel ją odszukał, lecz on skierował uwagę gdzie indziej. Był całkowicie pochłonięty samą ideą portalu. I trwogą czającą się za którymiś drzwiami.

Patrzył w górę na wznoszące się nad nim sklepienie. Obrócił się na pięcie. Oświetlona kopuła zawirowała razem z nim. Frankie zakreśliło się od tego w głowie.

Skan znowu zaczynał się rwać. W jednej chwili widziała wirujący sufit, a zaraz potem przed jej nierozumiejącymi oczami przemknęły niczym ożywiony fryz zniekształcone fantasmagoryczne symbole z jednej ze ścian.

Gdzie była Morrighan?

*

Jakie tajemnice kryła ta komnata? Jaką magię?

Gabriel spojrzął do góry i kopuła sufitu nad jego głową wypełniła się niebiańskim światłem.

Miałeś swoją szansę, by zrozumieć. Nie wykorzystałeś jej.

Odrzucił się gwałtownie. Zdążył już zapomnieć o Morrighan. Stała zaledwie o krok od niego. Nagle powietrze przeniknął zapach jej sygnatury. Piżmo. Uroczyn. Ciekawość. Niezwykłe podniecenie. Płynące przez jej mózg potężne związki chemiczne wzbudzały reakcję także w jego własnym umyśle.

Na naszym DNA znajdują się odciski palców śmierci. One decydują o naszym losie. Dla nas wszystkich końcem podróży jest grób. Lecz pałac pamięci — och, Gabrielu. Pałac pamięci przekształca wędrówkę z mozołu w ekstazę. Kiedy raz posmakujesz jego emocji, zwyczajne życie staje się zwiędłym kwiatem.

Gabriel niejasno pojmował, że Morrighan rozpaczliwie pragnęła, by zrozumiał wspaniałość jej dzieła.

Wskazał na gigantyczne ściany z ich tajemniczymi symbolami.

— Czy to warte było morderstwa?

Czy stanie się magiem nie jest warte wszystkiego?

Położyła rękę na jego ramieniu i przysunęła się jeszcze bliżej. Czuł żar jej ciała. Jakaś część jego umysłu zareagowała na jej fizyczną bliskość. Jej udo otarło się o jego nogę. Miękką krągłość jej piersi. Błada skóra podkreślona sinym znakiem Monas: jak widoczny ślad po

mocnym pocałunku. Pragnienie dotknięcia palcami tego erotycznego znamienia było wszechogarniające.

— Nie. — Spróbował odsunąć się od niej. — Minnaloushe...

Minnaloushe? Jak gdyby to imię było obcym wyrazem, a ona pytała o jego znaczenie. Zacieśniła uścisk na jego ramieniu. Minnaloushe była bojaźliwa. Ale ty i ja jesteśmy tacy sami: pragniemy emocji. Pożądamy ich.

Pragniemy emocji. Dobrze go rozumiała. W nim także niebezpieczeństwo zawsze wzbudzało największe podniecenie. I płynęły z tego pewne korzyści. W życiu Gabriela ryzyko zazwyczaj się opłacało. Ale jeśli tym razem się przeliczył...

Spojrzał w oczy jak niebieskie klejnoty i wiedział, że patrzy w twarz śmierci. Morrighan była zabójcza.

Ponad jej ramieniem widział stojące rzędem drzwi. Jedne z nich stanowiły wejście do puszek Pandory. Jeśli się otworzą, prawdopodobnie nie przeżyje ataku.

Odepchnął tę myśl. Czas działać.

Z rozmysłem położył jedną rękę na jej piersi. Jej skóra była tak miękka, jak sobie wyobrażał. Drugą dłoń położył z tyłu jej głowy, po czym przyciągnął jej twarz do swojej. Poruszył palcami w jej włosach i rozpuścił je tak, by opadły ciemną chmurą na jej ramiona. Kiedy dotknął ustami jej warg, jej oczy były otwarte, utkwione w jego oczach. Niebieskie baseny otoczone rzęsami czarnymi jak atrament. Nic przed nim nie odkrywały.

Gabriel mocniej ścisnął jej włosy.

— Jesteś szalona.

Wiem. Zachichotała rozbawiona. Podniecające, prawda?

Ugryzła go. Poczul w wardze ból i smak krwi.

Ścisnął jej pierś ze świadomością, iż zadaje miękkiemu ciału ból. Lecz jej usta zmiękły i Gabriel poczul jej delikatnie poruszający się język. Jej oddech był słodki. Gabriel. Wyszepiała jego imię jak zakłęcie. Gabriel.

Czar. Zakłęcie. Ale on miał własne zakłęcie. Nadszedł czas, by je wypowiedzieć.

Jedną rękę położył na jej plecach, a drugą objął jej ramiona i przyciągnął ją do siebie jeszcze mocniej. Nie opierała się. Po raz pierwszy zamknęła oczy osłonięte rzęsami.

Jej ciało było tak miękkie, tak rozluźnione, ale gdzieś z jego głębi wydobywał się śmiech. Spróbował się skupić. Skoncentruj się, Gabrielu. Czas sobie przypomnieć. Przypomnieć...

Kiedy wszedłem do Domu Krwi i Powietrza

Ujrzałem mroczny portal

Ujrzałem zamyślonych księżąt ciemności

Fragmenty tekstu przelatywały przez jego umysł. Magiczny szyfr Minnaloushe.

Ujrzałem zbrojnych wojowników

Leżących w czarnych grobach

A imię moje jest...

Oczy Morrighan otworzyły się nagle i Gabriel poczuł, jak jej umysł ocknął się ze strachem. NIE! Ścisnął ją mocniej za ramiona.

— Jak masz na imię, Morrighan?

Potrząsała głową do tyłu i do przodu.

— Powiedz to!

Dwadzieścia Dwa. Słowa wyrwały się z jękiem z jej ust. Mam na imię Dwadzieścia Dwa.

Szepczesz swoje imię

W me znieruchomiłe ucho

I zapisujesz w mej duszy sekrety

Jestem nierządnicą i świętą

Jestem żoną i dziewicą

A imię moje jest...

Podniosła dłoń i rozorała mu paznokciami policzek. Gabriel bez wahania uderzył ją w twarz otwartą dłonią i przygwoździł jej ciało do ściany. Oddychała z trudem, ciężko dysząc.

— Powiedz to!

Gabriel nigdy nie widział w czyichś oczach takiej nienawiści. Próbowwała przeciwstawić się przymusowi: mięśnie jej karku zacisnęły się mocno. Ale słowa wydobywały się z jej ust jakby niezależnie od niej.

Siedem. Nazywam się Siedem.

Już prawie koniec. Jeszcze tylko kilka linijek...

Jak pstrokaty wilk

Podążę u twego boku

Niby czarny jak węgiel kruk

Poszybują nad ziemią

Plakała, a jej płacz był cichy i gwałtowny. Na jej policzkach błyszczały ślady jak od śluzu ślimaka. Opadła bezwładnie w jego ramiona, a kiedy ją puścił, osunęła się na kolana. Głowę miała pochyloną, czarne włosy rozdzieliły się i Gabriel dostrzegł jej odsłonięty kark. Sięgnął w dół, objął dłonią jej brodę i podniósł jej twarz. Spojrzała na niego tonącymi oczami.

Proszę, Gabrielu. Nie rób tego. Jeszcze nie jest za późno. Wciąż możesz wziąć mnie za rękę, byśmy razem podróżowali. Zapomnij o... niej... Kiedyś mnie też kochałeś. Nie pamiętasz?

Patrzyła na niego tymi niebieskimi oczami i przez głowę Gabriela przesunęły się wspomnienia ich wspólnego lata. Morrighan z błyszczącymi ustami, uśmiechająca się do niego, kiedy tańczyli na urodzinach Minnaloushe. Morrighan siedząca w fotelu z zamkniętymi oczami, słuchająca dźwięków skrzypiec. Morrighan pracująca w ogrodzie. Jej sukienka zadarta ponad kolana, pod jej pachami ciemne plamy potu, a cienka bluzka przylega do piersi. Nuci coś pod nosem. Jest szczęśliwa.

Ale potem kolejny obraz. Morrighan stojąca w oknie otoczona ramą

jak przedmiot na wystawie, beznamiętne oczy. Za jej ramieniem krzywizna schodów...

Gabriel odsunął się od leżącej u jego stóp kobiety. Kiedy przez jego pamięć przepłynęły ostatnie wersy zaklęcia Minnaloushe, usta Morrighan rozchyliły się ukazując zęby i różowy, błyszczący język. Oczy jak kosmos. Jej czarne włosy jak wodorosty.

Niech zamilkną
Martwe są me usta, moje pocięte usta
Lecz me imię, moje pełne doskonałe imię to...

Jej usta poruszyły się z bólem: Moje imię to Eldaah.

*

Było po wszystkim. Gabriel zamknął na moment oczy.

Po chwili Morrighan wrzasnęła. Gabriel poczuł, jakby w mózg wbijała mu się stalowa igła. Jedne z drzwi stanęły otworem. Przez szparę runęła z ogłuszającym rykiem lawina informacji. Zmiotła go z nóg, jakby był zapałką stojącą na drodze huraganu.

Gabriel stał się pyłkiem w zamieci oślepiającego ruchu. Lawina popychała go naprzód z tak niewyobrażalną siłą — z taką prędkością — że przedmioty, na które natykał się po drodze, rozpływały się w szalony pejzaż obrazów: chaotyczny, dysonansowy, jak rolka filmu zmontowana przez kogoś, kto postradał zmysły.

Z chaosu wyzierały na niego obrazy piękne i bluźniercze. Obok Gabriela przemknęła postać owinięta giętkim ciałem, a za nią chłopiec w rozwianych szatach, przyciskający do siebie księgę, z jednym palcem przytkniętym do ust, jakby nakazywał mu milczenie. Dziecko z rozdartą piersią trzymało w dłoniach swoje własne pulsujące serce. Gabriel wyciągnął do niego ręce, ale wtedy dziecko zniknęło, a on sam chwiał się na krawędzi przepaści, zaś głęboko w dole znajdowało

się całe miasto schowane pod lodem i słyhać było głosy wrzeszczących aniołów. Ptaki spadały z nieba ze zmiażdżonymi dziobami i z podartymi skrzydłami.

Kontroluj napływ! Nie daj się zalać! Jego zabezpieczenia się kruszyły. Czuł ogromne ciśnienie w oczach. Jego ciało rozpadało się pod ciężarem wrażeń. Nie było temu końca, obrazy wlewały się do jego umysłu, czaszka drżała od hałasu i wstrząsów. A w środku całego tego szaleństwa i zamętu pojawił się nagle kruk, niewyobrażalnie wielki, który przeleciał obok niego z potężnym szumem skrzydeł.

Teraz Gabriel znalazł się we wnętrzu ogromnej, wielopoziomowej komnaty, opadającej spiralą w ciemność. W jednej chwili zaglądał z góry do labiryntu, w następnej zaś spadał, spadał w dół pionowego szybu, zbliżając się coraz bardziej i bardziej do ciemności, którą miał pod sobą. Drzwi — miliony drzwi — przelatywały na skraju jego wizji. Jego umysł walczył o jakiś punkt zaczepienia, o coś, do czego mógłby przykuć swój zdrowy rozsądek. Frankie. Wyczuwał jej niespokojne próby, ale były one tak słabe, tak słabe, jak palce stukające w szkło. O Boże, nie mógł się już utrzymać. Nie mógł już przetwarzać...

Nagła cisza. Milczenie nieskończonych przestrzeni.

Wtedy usłyszał jej głos.

Gabrielu. Wołanie było pełnym smutku jękiem.

Zgubiłam się... Szept sunący przez długie korytarze, odbijający się od stromych ścian, echo za echem. Zgubiłam... Zgubiłam... Zgubiłam...

Gabrielu... Nie zostawiaj mnie tutaj...

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY PIERWSZY

Pierwszą rzeczą, jaką zarejestrował był zapach. Środek dezynfekcyjny. A potem zielony zmierzch w szpitalnym pokoju. Słyszał delikatne stukanie o szybę okienną. Deszcz?

Był podłączony do monitorów. Z jego ramienia wystawały jakieś rurki. Dotknął dłonią czoła i rozpoznał pod palcami fakturę bandaża.

Powoli przebiegł oczami pokój. Stolik nocny ze sztucznego tworzywa. Pasująca do niego szafka. Krzesło ze zmiętym kocem odrzuconym na bok, jakby ktoś dopiero co z niego wstał. Na stoliku jednorozowy kubeczek.

Gabriel objął to wszystko wzrokiem bez najmniejszego zdziwienia. Przez jakiś czas po prostu leżał, słuchając uderzającego o szybę deszczu. Zamknął oczy.

*

Kiedy znowu się obudził, pokój był jasno oświetlony. Koc na krześle przy łóżku był schludnie złożony.

Światło go raziło, więc pospiesznie zamknął oczy.

— Gabrielu.

Przekręcił głowę na poduszce — krzywiąc się z bólu, który przeszył mu szyję — i zerknął przez zmrużone oczy na postać stojącą po drugiej stronie łóżka.

— Gabrielu. Spójrz na mnie. — Frankie zbliżyła do niego swoją twarz. — Cześć.

Uśmiechała się.

— Co...

Jego głos brzmiał jak skrzek. Za plecami Frankie do pokoju zajrzała na kilka sekund pielęgniarka w granatowym uniformie, po czym znowu zniknęła.

Spróbował jeszcze raz.

— Wszystko ze mną dobrze?

Frankie wciąż się uśmiechała.

— Już niedługo. Chce ci się pić? Chciałbyś trochę wody?

— Jak długo tu jestem?

— Pięć dni. Trzy na oddziale intensywnej terapii. Kilka razy odpływałeś i znowu wracałeś.

— Nie pamiętam.

— No, przeważnie byłeś nieprzytomny. Boli cię coś? Mam zawołać pielęgniarkę?

— Nie.

Niezdarnie poruszył ramionami na podpierających go poduszkach. Teraz, kiedy w końcu był w stanie skupić się na otoczeniu, nie chciał, żeby faszerowano go lekami. Chciał wiedzieć, co się stało.

Jakby przewidując jego następne pytanie, Frankie powiedziała:

— Doktor Dibbles wkrótce tu będzie i wszystko ci wyjaśni. Mało brakowało. Tętniak w twoim mózgu pękł i musieli cię operować. Ale wydobrzejesz.

— Dobrze wiedzieć. — Jego myśli były jak wata. Spróbował skupić się na uśmiechniętej twarzy Frankie. — A co z tobą, Frankie? Dobrze się czujesz?

— Stuprocentowo. Chociaż przyznaję, że po tamtym zjeździe miałam piekielną migrenę. Ale teraz już wszystko w porządku.

— I żadnych nieprzyjemnych snów?

— Żadnych snów w ogóle. Mówiąc szczerze, w ogóle nie pamiętam tego zjazdu. Nie mam z niego żadnych wspomnień. Nic, nawet fragmentów.

Tak jakby ktoś wytarł tablicę do czysta. Dziwne — zawahała się. — A ty? Wszystko pamiętasz?

Przez umysł Gabriela przemknął jakiś obraz. Powtarzające się drzwi i kręte korytarze, od których można było dostać zawrotów głowy. Szept kobiety, dźwięk odbijający się zwielokrotnionym echem: Nie zostawiaj mnie tutaj...

Nagle poczuł się bardzo zmęczony.

— Pamiętam.

— Wiesz, ona tu jest.

— Coo? — Gabriel zeszytniał i odruchowo ścisnęło go w żołądku.

Frankie pokiwała głową.

— Cztery pokoje dalej.

— Dlaczego?

— Jest w śpiączce. Ale lekarze nie wiedzą dlaczego. — Frankie patrzyła na niego spokojnie. — Mózg nie odniósł żadnych fizycznych obrażeń. Żadnego guza ani wewnętrznego krwotoku. Nie tak jak u ciebie. Ona po prostu... straciła przytomność.

— Jak się tu dostała. Czy ty...

— Za nic w świecie — powiedziała z naciskiem Frankie. — Nawet nie wiedziałam, że jest w szpitalu. Podobno sprzątaczką znalazła ją nieprzytomną i wezwała karetkę.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Przez przypadek. Morrighan ma kuzynkę, która przyszła ją odwiedzić. Poznałyśmy się przy automacie do kawy i zaprzyjaźniłyśmy się. — Frankie odgarnęła mu włosy z czoła. — Ale nie martw się teraz o to, kochanie. Powinieneś wypoczywać.

— Chyba tak — jego głos brzmiał słabo nawet w jego własnych uszach.

Frankie pochyliła się i pocałowała go lekko w policzek.

— Śpij dalej. Później możemy o tym porozmawiać.

Położył rękę na jej nadgarstku i przytrzymał ją.

— Frankie... dziękuję ci.

— Och — znowu się uśmiechnęła. — Nie ma za co.

— Nie. Mówię poważnie. Zawdzięczam ci wszystko. — do oczu napłynęły mu łzy. — Kiedy tamte drzwi się otworzyły, zacząłem spadać... spadać w ciemność. A potem poczułem, jak sięgasz do mnie umyślem, chwytasz mnie. Ocaliłaś mnie.

— Cicho. Śpij.

Posłusznie zamknął oczy. Głos Frankie dochodził do niego jakby z daleka.

— Teraz wszystko będzie dobrze. To już koniec.

*

Tego wieczoru wyszedł na spacer. Był podłączony do kroplówki i musiał ciągnąć za sobą całe urządzenie na kółkach. Kółeczka wydawały na linoleum nieprzyjemny, skrzypiący dźwięk.

Podreptał wzdłuż korytarza, stawiając kroczyki dziecka i czując się jak starzec. Nic go nie bolało, ale był taki słaby. Myśl, że jego mięśnie odzyskają poprzednią siłę, wydawała się niemal niewiarygodna.

Było późno. Wieczorny posiłek dawno dobiegł końca i ostatni goście już wyszli. Szeroki korytarz, którym szedł Gabriel, był pusty. Za jednymi drzwiami usłyszał odgłosy z telewizora, ale w większości pokoiów było ciemno.

Cztery pokoje dalej, powiedziała Frankie. Gabriel zatrzymał się w samym progu.

Pokój był bardzo słabo oświetlony, ale wystarczająco jasny, żeby coś widzieć. Jej twarz jaśniała blado w mroku. Jej ręce spoczywały bezsilnie wzdłuż ciała. Nie wyglądała na chorą. Gdyby nie kable i różne urządzenia, można by pomyśleć, że spała.

Gabriel zbliżył się z wahaniem do łóżka. Leżała bardzo spokojnie. Ledwo widział ruch jej piersi, kiedy oddychała. Jej oczy nie poruszały się pod powiekami. Jej palce nie drgały.

Czy jej umysł także znieruchomiał? Ten piękny, zdeprawowany umysł?

Podchodziła do życia, jakby było jakimś krwawym sportem. Była

wojowniczką. Teraz stała się śpiącą królową. Ale żaden książę nie przybędzie jej na ratunek.

— Nie zostawiaj mnie tutaj...

Jej rozpaczliwe błaganie miało go nawiedzać do końca życia.

Gdzie teraz była? Czy przemierzała niekończące się korytarze? Czy rozpaczliwie szukała jakiejś wskazówki, znaku, czegoś, co mogłoby przypomnieć jej porządek miejsc, porządek rzeczy? Wiedza o tym kładła się cieniem na jego sercu. To było diaboliczne. Szukać porządku i znajdować jedynie zamęt. Zobaczyć, jak straszną rzeczą jest zgubić się na zawsze.

Starli się w bitwie umysłów, ale Gabriel nie czuł smaku zwycięstwa. Czuł jedynie stratę i głęboki żal.

— Morrighan — wyszeptał.

Jej śliczna twarz pozostała zupełnie pusta.

— Wybacz mi.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY DRUGI

Pozostał w szpitalu jeszcze przez dwanaście dni i nie poszedł już do pokoju Morrighan.

Aż do dnia, w którym go wypisali.

U jego boku była Frankie — trzymała go pod ramię, a w drugiej ręce niosła torbę z jego rzeczami. Gabriel po raz ostatni spojrzął na szpitalne łóżko, w którym spędził tyle dni. Nie będzie za nim tęsknił.

Była pora odwiedzin i przejścia wypełnione były ludźmi o twarzach wyrażających niepokój lub ulgę. Kiedy szli wzdłuż szerokiego korytarza, Gabriel celowo patrzył prosto przed siebie, nie rozglądał się na prawo ani na lewo. Jednak kątem oka widział, że zbliżali się do drzwi pokoju Morrighan.

Zatrzymał się.

— Muszę wejść.

Frankie nie miała na to ochoty.

— To niezbyt dobry pomysł.

— Muszę to zrobić. — pociągnął ją za ramię.

Kiedy weszli, z krzesła przy łóżku podniosła się pulchna kobieta w tweedowym kostiumie koloru musztardy. Skinęła głową w kierunku Frankie.

— Cześć, Frankie.

— Cześć, Liso — powiedziała łagodnie Frankie. — Jak się masz?

— W porządku. — kobieta uśmiechnęła się, lecz uśmiech nie rozproszył wyrazu rezygnacji widocznego na jej twarzy. — To twój przyjaciel? — popatrzyła na Gabriela.

— Tak. Mogę z radością powiedzieć, że dzisiaj go wypisują.

— To wspaniała nowina. Przy okazji jestem Lisa Duval. Kuzynka Morrighan.

— Miło mi poznać. — Przelotnie uściśniły sobie ręce. Jej dłoń była wilgotna. Lisa nie odziedziczyła genu urody, który tak bardzo rzucał się w oczy u obu jej kuzynek. Ale miała dobre oczy.

Do tej pory Gabriel unikał spoglądania na łóżko, lecz teraz skierował wzrok na leżącą w nim postać. Wciągnął powietrze.

Morrighan nie wyglądała już jak śpiąca królowa. W jakiś nieokreślony sposób się postarzała. Jej skóra była kredowa i poszarzała. Czarne włosy miała zwyczajnie założone za uszami. Wydawały się oklapłe.

— Jak ona się miewa? — Frankie zniżyła głos do szeptu.

— Niedobrze.

— Może jej się polepszy — głos Frankie zabrzmiał niezręcznie.

— Nie — Lisa Duval potrząsnęła głową. — Miała bardzo słaby wynik w skali Glasgow.

— Skali Glasgow?

— To standardowy system określania stopnia niesprawności mózgu — odpowiedź Lisy zabrzmiała jak wyrecytowany tekst. Najwidoczniej rozmawiała z ludźmi w białych kitlach. — Wynik Morrighan w skali do piętnastu był bardzo niski.

— Zatem lekarze...

— Lekarze nic nie wiedzą — w głosie Lisy Duval brzmiało ciche zapamiętanie. — Wciąż nie rozumieją, co się z nią dzieje. Jej śpiączka nie ma żadnych fizycznych przyczyn. To tajemnica. — Otarła ze złością oczy. — Przepraszam. Chyba muszę iść do łazienki. Ale miło było

cię poznać — znowu wyciągnęła rękę do Gabriela. — I powodzenia.

Gabriel bez słowa potrząsnął jej dłonią.

Kiedy wyszła z pokoju, między nim a Frankie zapanowała cisza. Nie patrzyli na siebie.

Ciało Morrighan było przykryte gładko ułożonymi prześcieradłami. Jej ramiona leżały wzdłuż boków. Miała duże dłonie — nieproporcjonalnie duże w stosunku do reszty ciała. Gabriel nigdy dotąd tego nie zauważył. Paznokcie wydawały się zabarwione błękitem. Przez skórę widać było duże, zielone żyły.

— My jej to zrobiliśmy. Minnaloushe i ja.

— Nie mieliście wyboru.

— Zawsze jest jakiś wybór. Sama tak powiedziałaś.

— Morrighan sama to na siebie sprowadziła, Gabrielu. Musisz o tym zapomnieć.

— Mam jeszcze jedną rzecz do zrobienia.

Frankie spojrzała na niego pytająco.

— Myślisz, że Monk House stoi teraz pusty?

W głosie Frankie brzmiała ostrożność.

— Pewnie tak. Dlaczego?

— Muszę się tam dostać.

— Co?!

— Muszę skopiować „Klucz Prometeusza”.

— Myślałam, że masz kopię. Tę, którą pokazałeś profesorowi Stallworthy'emu?

— Pamiętaj, że tamta kopia jest niekompletna. Nie udało mi się skopiować kodu do portalu. Potrzebuję całości.

— Po co? — Brwi Frankie uniosły się wysoko.

— Po prostu mnie to ciekawi. — Zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to jak wykręt.

Zapadła długa cisza.

— Kłamiesz — powiedziała Frankie niedowierzająco. — Sam chcesz zostać mistrzem sztuki pamięci. O to chodzi.

— Nie bądź śmieszna — rzekł, lecz nie potrafił spojrzeć jej w oczy.

— Gabrieliu. Porozmawiaj ze mną. Co się z tobą dzieje?

Zaczął szukać jakiegoś wytłumaczenia.

— Pamiętasz, jak opowiadałem ci o facecie z tego straszego sklepiku ze sprzętem do magii? Tym, który dał mi amulet?

Frankie skinęła głową.

— No więc powiedział mi, że od szaleństwa można się uzależnić. Że można się w nim rozsmakować. Powiedział, że kiedy człowiek raz wstąpi na tę ścieżkę, nie ma już odwrotu. Zaczyna łaknąć tych emocji. Wtedy nie miałem pojęcia, o czym mówił. — Gabriel przerwał. — Teraz już mam.

Spojrzał na Frankie i zobaczył w jej oczach niezrozumienie. Jak jej wytłumaczyć, że od ostatniego zjazdu czuł niezaspokojone pragnienie, by znowu doświadczyć emocji, które przeżywał w pałacu pamięci? Jak wytłumaczyć, że odkąd obudził się po operacji, jego życie wydawało się nieznośnie banalne? Jakby miał przytępione zmysły. Kolory nie były tak jasne. Dźwięki nie tak rezonujące. Każdy przedmiot pokrywała warstwa pyłu.

Po jego niezręcznym wyjaśnieniu Frankie poczuła ulgę.

— To tylko efekt operacji, Gabrieliu. To oczywiste, że po tym, przez co przeszedłeś, wszystko wydaje ci się płaskie i ponure. Jesteś zmęczony. Daj sobie trochę czasu. Przejdzie ci.

Gabriel pokręcił głową. Choroba, na którą cierpiał, sięgała o wiele głębiej. Tamten zjazd był przerażający — był najbardziej przerażającym doświadczeniem jego życia — lecz odcisnął na nim swoje piętno. Świat dookoła wydawał się teraz beznadziejnie przyziemny. Całkowicie banalny.

Kiedy patrzył na nieruchomą postać Morrighan, Gabriel przypomniał sobie wyraźnie, jak stała we wnętrzu portalu, pełna życia i promienna, opisując mu wspaniałość swojego dzieła. Zasmakuj go, powiedziała, a zwyczajne życie już nigdy ci nie wystarczy. I uśmiechnęła się z triumfem.

Dopiero teraz wiedział, co miała na myśli. I po raz pierwszy zrozumiał — naprawdę zrozumiał — niezaspokojony głód, który skłonił Roberta Whittingtona, by przyłączył się do Minnaloushe i Morrighan w ich poszukiwaniu transformacji. On sam również zaraził się tą

chorobą. Płonęła w jego krwi i Gabriel wiedział, że nigdy się od niej nie uwolni. Pragnął zostać słonecznym magiem. Stał się poszukiwaczem.

— Myślałem, że ją pokonałem.

— Bo pokonałeś.

— Nie. Ona mnie zaraziła. — Zacisnął pięści. — Muszę zdobyć „Klucz”.

— Gabrieli, daj temu spokój. — W oczach Frankie był strach.

— Potrzebuję go, Frankie. Dopóki nie zdobędę „Klucza”... — zamilkł. Na myśl, że nigdy już nie doświadczy tego zastrzyku adrenalin, poczuł nagle zimno. Życie stałoby się pustynią.

Musiał zdobyć „Klucz”.

Miał go w swoim zasięgu. Znał prawdziwe imię Morrighan: hasło do portalu. Gdyby zdołał złożyć hasło i portal w całość, mógłby zaspokoić swój głód. Byłby to dar Minnaloushe dla niego.

Jego oczy raz jeszcze spoczęły na nieruchomej postaci. Miał ogromne poczucie winy. Lecz jego głód był silniejszy.

— Monk House będzie pusty. Wślizgnę się i skopiuję „Klucz” z komputera. Nikt się nie dowie.

Wziął głęboki oddech.

— A potem będę wolny.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY TRZECI

Nikt się nie dowie.

Kobieta w szpitalnym łóżku usłyszała te słowa. Leżała w śpiączce, lecz jej wewnętrzne oko wciąż żyło. Było uszkodzone — ale odbierało sygnały z zewnętrznego świata jak popsuta antena. Głosy, ruchy, przebłyski kolorów. Krótkie przebłyski informacji z rzeczywistości, po których znowu pogrążała się w udręce własnego umysłu.

Była w piekle.

Była uwięziona, obsesyjnie szukała klucza, pokoju, właściwych drzwi — jakiegokolwiek drogi ucieczki z koszmaru, w którym ją porzucano. Gdyby zdołała ponownie odnaleźć porządek miejsc, porządek rzeczy, obudziłaby się. Wiedziała o tym każdą komórką swego ciała. Ale utraciła swój kompas. Minnaloushe i Gabriel tego dopilnowali.

Wciąż jednak miała swoje wewnętrzne oko. Minnaloushe nie była w stanie jej tego odebrać. Było zepsute, owszem — jak wadliwa antena — czasem jednak umożliwiało jej przelotne ucieczki z pałacu pamięci, zanim Morrighan znowu staczała się w piekło i szukała, szukała.

Wyczuwała blisko siebie głosy i osoby stojące obok jej łóżka. Jej uszkodzony mózg zrozumiał, że była tam jakaś kobieta. I mężczyzna.

Gabriel.

Jej umysł wrzasnął. Szok zatrzasnął jej wewnętrzne oko i Morrighan niemal straciła połączenie. Obsuwała się z powrotem do pałacu pamięci. Pokoje, korytarze, drzwi. Niekończące się drzwi. Trzecie drzwi na lewo, przejść przez most zwodzony...

Nie! Przestań! Skup się!

Wślizgnę się i skopiuję „Klucz” z komputera. Nikt się nie dowie.

Ogarnęła ją pasja. Zaofiarowała mu ostateczną nagrodę, a on odmówił.

Odmówił jej.

Jak go powstrzymać?

Znał już hasło. Hasło, które zostało wymazane z jej własnej pamięci. Jeśli zdobędzie i hasło, i portal...

Dwoje drzwi w dół, jedno w górę. Drugie drzwi z prawej...

Nie, nie. O Boże. Wpadła w całkowitą rozpacz. Skoncentruj się, Morrighan. Skup się. Spróbowała uciszyć huragan w umyśle.

Gabriel i kobieta odchodzili. Wyczuła, jak się oddalają. Ich głosy stawały się coraz słabsze. Potem zniknęli.

Pewnie teraz Gabriel był w drodze do Monk House.

Zatrzymać go!

Gdyby mogła powstrzymać go przed skopiowaniem „Klucza”, ostateczne zwycięstwo należałoby do niej. Bez „Klucza” Gabriel będzie skazany na całe życie bezcelowych poszukiwań. Już nigdy nie poczuje, że coś osiągnął. Tylko głód.

Jak mu przeszkodzić w skopiowaniu „Klucza”?

Jak?

Wciąż miała swoje wewnętrzne oko, lecz było tak okaleczone, że nie zdołałaby zeskanować go lub wejść do jego umysłu. Był zbyt silny.

Ale może mogła je wykorzystać w inny sposób.

A potem zrozumiała. Rozwiązanie wślizgnęło się do jej umysłu jak oddech ducha.

Wewnętrzne oko zawsze było jej własnym, osobistym darem, czymś, czego Minnaloushe nigdy nie potrafiła do końca zrozumieć. A jej umiejętności rosły. Jej moc nie była już ograniczona do wewnętrznego świata czaszki. Morrighan potrafiła także manipulować przedmiotami ze świata realnego. Minnaloushe nigdy tak naprawdę nie pojęła, do jakiego stopnia pałac pamięci pozwolił Morrighan rozwinąć umiejętności dalekowidzenia. Co oznaczało, że kiedy tworzyła swoje zaklęcie, nie wzięła pod uwagę daru siostry.

Widzenie nie stanowiło żadnego cudownego lekarstwa. Morrighan wiedziała o tym. Nie było dla niej ucieczki: pałac pamięci zawsze będzie ją wciągał we własną orbitę. Przez wieczność będzie staczać się z powrotem do labiryntu niekończących się schodów i chaotycznych przejść oraz drzwi. Ale może, tylko być może, mogłaby zebrać wszystkie swoje siły i skupić się wystarczająco długo, by umożliwić wewnętrznemu oku krótką podróż.

Może choć na krótką chwilę... tylko tyle, żeby zdążyła zrobić to, co zrobić musiała...

Kobieta w szpitalnym łóżku leżała w całkowitym bezruchu. Jej oddech był cichy. Ale jej wewnętrzne oko podróżowało. Wracała do domu.

ROZDZIAŁ CZTERDZIESTY CZWARTY

Okna domu z czerwonej cegły były szczelnie zamknięte, a we wnętrzu czuć było woń zaniedbania. Na powierzchni przedmiotów zbierał się kurz.

Dom był pusty, ale wciąż widoczne w nim były ślady zamieszkania. Na aksamitnej poduszce na siedzisku dużego fotela widać było wgniecenie. Na stoliku do kawy leżała grzbietem do góry książka. Obok niej kubek do połowy wypełniony zimną kawą. Na jego krawędzi widać było ślad wyciśnięty przez szminkę. Czarny płaszcz opadał rozłożyste na oparcie krzesła, jego rękawy zwieszały się wzdłuż boków jak zmęczone ramiona. Do wełny przyłgnęła najłżejsza z woni.

Lecz przeważającym zapachem w pokoju była woń rozkładających się kwiatów. Łodygi róż gnily w zastalej wodzie. Rośliny doniczkowe umierały w spękanej ziemi. Nawet mięsiste płatki orchidei zaczynały się marszczyć i brązowieć. Upłynęło za mało czasu, by osuszyć je ze wszystkich soków, zatem woń unosząca się nad marniejącymi roślinami była mocna i wilgotna. Na półce nad stołem do pracy znajdował się szklany pojemnik, a w środku zasuszony martwy pająk.

Na stole stały dwa komputery. Tutaj również osiadł kurz, warstewka

z jego drobinek przylgnęła do kryształowych ekranów. Komputery były wyłączone. Ich twarze — puste.

Nagle kliknięcie. Jakby dotknięty niewidzialną dłonią, jeden z ekranów pojaśniał. Jednocześnie głęboko w mózgu komputera uruchomił się wbudowany wirus. Stworzony został wiele lat temu przez właścicielki komputera — zapasowe zabezpieczenie na wypadek, gdyby coś poszło nie tak. Zabezpieczenie, którego nigdy nie spodziewały się wykorzystać. Dobrze opracowały śmiertelny kod, ale nigdy poważnie nie przypuszczały, że kiedykolwiek będą musiały posunąć się aż tak daleko. Albowiem raz uruchomiony, wirus miał zniszczyć dzieło życia i zrujnować cały magiczny wszechświat.

Jakby wciąż poruszane tą samą dłonią, strony dokumentu zaczęły przesuwając się w dół ekranu, i znikać — ich zawartość wykasowywała się z pamięci i twardego dysku komputera. Na zawsze poza zasięgiem jakiegokolwiek złodzieja.

Symbole, sigile, święte liczby. Pełne wdzięku rysunki i plany: boska architektura. Enigmatyczne zaklęcia i czary. Szeregi magicznego szyfru. Zaklęty pałac pamięci nieugięte — i nieodwracalnie — zsuwał się w zapomnienie.

*

Siedem mil dalej w jednym z prywatnych pokoi skrzydła C siostra Kendall obmywała bezwładne członki pacjentki.

Biedna kobieta. Siostra Kendall przecierała wilgotnym ręcznikiem pięknie umięśnione ramię swojej podopiecznej. Najwyraźniej była atletką, ale już wkrótce dopracowana muskulatura jej ciała zacznie zanikać.

Siostra Kendall położyła obojętne ramię z powrotem na łóżko. Delikatnie odsunęła czarne włosy z czoła pacjentki i przyłożyła ręcznik do jej twarzy. Co za straszny los. Jej zdaniem było to gorsze od śmierci. Lekarze byli w stosunku do tej kobiety bardzo pesymistyczni. Mało prawdopodobne, że zdarzy się tu jakieś baśniowe przebudzenie.

Taka śliczna twarz. Ale podobnie jak ciało, uroda szybko zacznie więdnąć. Choć tego ranka pacjentka wyglądała dziwnie promiennie. Na twarzy miała wyraz niemal satysfakcji — jakby udało jej się dokonać czegoś wielkiego. Przez chwilę siostrze Kendall wydawało się nawet, że czarnowłosa kobieta się uśmiechnęła.

EPILOG



Wyruszam na poszukiwanie wielkiego Być Może.

Ostatnie słowa Franciszka Rabelais'go

EPILOG

— Przepraszam? Czy to pan?

Gdy tylko słowa wydostały się z jej ust, zarumieniła się, już żalując impulsu, który kazał jej się odezwać.

Siwy mężczyzna, siedzący na parkowej ławce o kilka kroków dalej, podniósł wzrok, po czym obejrzał się przez ramię. Kiedy zrozumiał, że rzeczywiście mówiła do niego, spojrzał na nią uważnie.

Wzięła głęboki oddech i wskazała na książkę w jego ręce.

— To pan, prawda?

Mężczyzna odwrócił książkę na drugą stronę, żeby spojrzeć na zdjęcie z tyłu okładki, i uśmiechnął się.

— Obawiam się, że tak.

— Więc jest pan pisarzem.

— Między innymi.

— Wie pan, sama chciałam zostać pisarką. — Mówiąc to, przypomniała sobie o żółtej plamie na rękawie bluzki. Przed wyjściem do parku zastanawiała się, czy zmienić górę. Teraz żałowała, że tego nie zrobiła.

Mężczyzna wskazał na puste miejsce obok siebie.

— Może się pani przysiadzie?

— Dziękuję. — Usiadła na krawędzi ławki. — Muszę tylko mieć na oku Pippę. — Wskazała ręką piaskownicę, w której przykucnęła na tłustych nóżkach Pippa.

Mężczyzna odsunął się dalej na swoją stronę ławki.

— To pani córeczka?

— Tak. Mam też dzidziusia w domu. Dzisiaj zwymiotował prosto na mnie. — Co u licha kazało jej powiedzieć coś tak głupiego, pomyślała załamana. Wszystko w tym mężczyźnie było takie eleganckie, a ona tu nawijała o dziecięcych wymiocinach.

Lecz on nie wydawał się zniesmaczony. Przyglądał jej się uważnie. Miał naprawdę miłe oczy, pomimo głębokich zmarszczek w kącikach, które dopiero teraz zauważyła.

Spojrzała z powrotem na książkę w jego ręce.

— Więc o czym to jest?

Mężczyzna zawahał się.

— To opowieść. O podróżniku... szukającym swojego prawdziwego imienia.

— A, rozumiem. Czyli że miał amnezję?

— W pewien sposób.

— Jak to się stało?

— Został przekłęty.

Popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

— Mogę rzucić okiem?

— Proszę.

Książka była otwarta na środku i kobieta zaczęła czytać na głos, zacinając się lekko przy niektórych słowach.

Jednym z najokrutniejszych żartów stworzenia jest fakt, że obarczono nas mózgami zdolnymi do wyobrażenia sobie stanu wyższej świadomości, na której osiągnięcie mamy jednak niewielkie szanse. Lecz możemy próbować, idąc z rękami wyciągniętymi jak ślepiec, który próbuje zorientować się w obcym miejscu. I czasem nasze niezdarne palce ocierają się o umysł Boga.

Była rozczarowana.

— Nie wygląda to na thriller. Ani historię miłosną.

— Och, ależ tak. Jest i jednym, i drugim.

— A dobrze się kończy?

— Powiedzmy, że kończy się... właściwie.

— Lubię szczęśliwe zakończenia. — Wzruszyła ramionami zawstydzona. — Wiem, że to głupie. Większość ludzi w rzeczywistym świecie jest nieszczęśliwa, więc czemu ludzie w książkach mieliby być szczęśliwi, prawda? Ale kiedy ja napiszę swoją powieść, będzie się dobrze kończyć. — Nagle zauważyła, że Pippa garściami ładuje sobie do buzi piasek. — Pippa! Przestań!

Rzuciła okiem z powrotem na mężczyznę i powiedziała nieśmiało:

— Dzieci. Potrafią człowieka zamęczyć. Ale pewnie dobrze pan o tym wie.

— Nie. Nigdy nie miałem dzieci.

— Och, przepraszam — przerwała. — Ja nie oddałabym swoich maluchów za skarby świata. Ale ciągle myślę, że musi być coś jeszcze poza tym, wie pan? Coś więcej. To głupie z mojej strony, prawda?

Jego usta drgnęły.

— Gdyby nikt nie pragnął czegoś więcej, ewolucja stanęłaby w miejscu.

Na jakiś czas zapadła między nimi cisza. Obserwowała go kątem oka. Był bardzo szczupły. Skórę miał ciemną, jakby wiele czasu spędził na silnym słońcu. Może podróżował?

— Czy on ją złamał?

Mężczyzna wydawał się zaskoczony.

— Co złamał?

— Klątwę. Mówił pan, że bohater utracił imię, bo został przeklęty.

— Cóż, w tym cała rzecz. Zdał sobie sprawę, że to wcale nie była klątwa.

Zmarszczyła brwi.

— Jak to?

— Na początku książki myśli, że jest przeklęty. Ale na końcu wie

już, że lepiej ujrzeć coś przelotnie, niż nie ujrzeć wcale. Lepiej iść przez życie w bólu, lecz doznawszy przebudzenia... niż pod znieczuleniem i w nieświadomości.

Żałowała, że nie potrafi wymyślić w odpowiedzi nic mądrego. Czegoś, co by go zaintrygowało, pokazało, że rozumiała, o czym mówił. Nagle poczuła się zmęczona. Spojrzała na zegarek i wstała.

— Która to już godzina? Muszę wracać nakarmić Tommy'ego.

Wyciągnęła niezręcznie dłoń.

— Naprawdę miło było pana poznać.

— I panią. — Ujął jej dłoń w swoją i przez króciutką chwilę miała przedziwne wrażenie, że z jego palców przepływał do niej jakiś prąd. Lecz trwało to tak krótko, że pomyślała, iż musiało jej się wydawać.

Mężczyzna odsunął się.

— Do widzenia. Mam nadzieję, że napisze pani swoją książkę.

— Tak, któregoś dnia to zrobię.

Podniosła Pippę do góry i posadziła sobie na biodrze. Odchodząc, nagle zatrzymała się i obejrzała na niego przez ramię.

— Wie pan, nadal nie widzę, gdzie w tym wszystkim jest historia miłosna.

*

Patrzył, jak dwie postaci — matka i córka — stawały się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu zniknęły za odległą bramą i stracił je z oczu.

Książka wciąż leżała na ławce, gdzie odłożyła ją dziewczyna. Podniósł ją i schował do torby.

Cienie na ziemi się wydłużyły, a w powietrzu unosiła się zapowiedź chłodu. Kiedy włożył na siebie marynarkę, wyczuł przez warstwę materiału zarys portfela. Wyjął skórzany futerał i otworzył go. W środku znajdował się banknot dziesięciofuntowy i zdjęcie rozmiaru

fotografii paszportowej. Twarz uchwycona przez aparat była młodzieńcza, ale barwy zblakły w ciągu wielu lat, odkąd je zrobił.

Łagodnie potarł kciukiem powierzchnię zdjęcia. Oboje byli wtedy młodzi. Jednak nawet w tamtych dniach Frankie miała w sobie dojrzałość wykraczającą ponad jej wiek i skrytą odwagę, która stanowiła nieodłączną część jej natury. Ta odwaga nigdy jej nie opuściła, nawet podczas ostatecznej bitwy z rakiem, który odebrał mu ją dwa lata temu. Przez całe lata szła u jego boku, jej miłość była balsamem dla jego nieustającej tęsknoty.

Głód. Zmusił go do obsesyjnych podróży w zażartym pościgu za tajemnicą, którą raz tak przelotnie dojrzał. Drzwi zostały zamknięte tuż przed nim, ale jeśli będzie nieustannie pukać, to może — tylko być może — otworzą się znowu.

Jego podróże i studia poszerzyły jego umysłowe horyzonty, nagroziły go w sposób, którego nie byłby w stanie sobie wyobrazić. Czasem potrafił spojrzeć na świat wokół siebie z taką jasnością, że doprowadzało go to do płaczu. Ale były też inne chwile, kiedy czuł się tak, jakby miał nerwy na wierzchu. Lata poszukiwań drapały go sucho w gardle jak kurz. I zawsze, zawsze to widmo głodu, który wzbierał w nim i na powrót się kurczył.

Frankie zaakceptowała jego niepokój, radziła sobie z jego rozpaczą w te dni, kiedy pochłaniała go ciemność. Nie bez słowa skargi — w końcu nie była świętą — lecz z niezmienną stałością.

Nie było między nimi wielkiej namiętności — żadnych szaleństw, żadnych czół okrytych gorączką — raczej coś, w czym kryło się ciche piękno. W miarę upływu lat odkrył, że zaufanie, wdzięczność i spokojna miłość tworzą własny rodzaj magii. Większość ludzi czuje się samotna, nawet kiedy z kimś są. On i Frankie nigdy się tak nie czuli. Poznali się wzajemnie do samej głębi.

Nie była to wielka namiętność. Ale romantyczna historia miłosna.
Wepchnął dłoń do kieszeni marynarki i ruszył w drogę. Światło
zaczynało już przygasać, a nad horyzontem zobaczył Gwiazdę Wie-
czorną.

O tak: z całą pewnością była to historia miłosna.

NOTA ODAUTORSKA

Do obdarzenia moich postaci darem dalekowidzenia zainspirowała mnie lektura tekstów na temat ściśle tajnego programu rządu Stanów Zjednoczonych o nazwie Projekt Stargate. Zanim zamknięto go w latach dziewięćdziesiątych, Stargate otrzymywał rządowe dotacje, a jego kierownik, Dale Graff, szkolił i wykorzystywał dalekowidzących do zbierania informacji wywiadowczych oraz lokalizowania ważnych obiektów i osób. Do znaczących sukcesów Stargate należało odnalezienie zagubionego sowieckiego samolotu i pomoc Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami (DEA). Przygody te zostały opisane w książkach pana Graffa *River Dreas* oraz *Tracks in the Psychic Wilderness*. Muszę przyznać, że postaci w *Sezonie czarownicy* są obdarzone wyjątkowymi zdolnościami — większymi nawet niż utalentowani widzący należący do Stargate — i że określenie „zjazd” jest moim własnym wymysłem.

Kolejny ważny wątek mojej książki stanowi sztuka pamięci. Jest to niezwykle tajemniczy temat i musiałam uprościć wiele wiążących się z nim zagadnień, by sprostać wymaganiom powieści. Tym czytelnikom, którzy chcieliby zaznajomić się lepiej z fascynującym, lecz skomplikowanym światem Giordana Bruna, Ramona Lulla i Giulia Camilla gorąco polecam autorytatywne dzieło lady Frances Yates dotyczące tego zagadnienia.

Jako źródło moich informacji o Johnie Dee wykorzystałam książkę Benjamina Woolley'a *The Queen's Conjurer*, Erikowi Daviesowi zaś jestem winna wdzięczność za jego dzieła dotyczące gnostycyzmu oraz kultury informacyjnej. Przez lata przeczytałam więcej książek na temat duchowego oświecenia, niż potrafię sobie przypomnieć, ale jedną z najlepszych pozostaje wciąż *The Zelator* Marka Hedsela.

W swoim zaklęciu Minnaloushe wykorzystuje fragmenty z mandejskiego gnostyckiego tekstu pod tytułem *Świat mroku*, psalmy 14. i 25. — czyli dziękczynne psalmy ze *Zwojów znad Morza Martwego*, gnostycki traktat pod tytułem *Grom, umysł doskonały*, a także manichejski tekst w języku starotureckim pod tytułem *Zbawienie duszy*. Jednakże, ponieważ jest to jej własne, jedyne w swoim rodzaju zaklęcie, Minnaloushe zaadaptowała te fragmenty zgodnie z interpretacją idiosynkratyczną, zatem obeznani z tematem czytelnicy zauważą znaczące zmiany w słownictwie i koncepcji w stosunku do oryginalnych tekstów. Minnaloushe posługuje się też numerologią pitagorejską.

Imię *Eldaah* oznacza „Poznanie Boga”. W Księdze Rodzaju 25,4 jest wzmianka o Eldaahu synu Midiana, wnuku Abrahama i Ketúrah.

Wszystkich czytelników zainteresowanych zakulisowymi szczegółami tego, jak doszło do napisania *Sezonu czarownicy*, zapraszam na swoją stronę internetową: www.natashamostert.com

PODZIĘKOWANIA

Pisanie *Sezonu czarownicy* było dla mnie wielką radością — i przygodą. Bardzo dziękuję wszystkim, którzy stali przy mnie i razem ze mną dokonywali tego zjazdu.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec całego zespołu z Transworld. W szczególności miałam zaszczyt pracować z dwiema wspaniałymi kobietami: cudowną Francesca Liversidge oraz moją redaktorką Seliną Walker. Selino, dzięki tobie czuję się tak, jakbym była jedyną pisarką w twoim życiu. Dziękuję ci za przycinanie mojej nadmiernie wybujałej prozy, za stawianie przede mną wyzwań i niedopuszczanie do tego, żebym popadła w lenistwo. Jesteś najlepsza.

No i Jonny! Twórczy, niezmordowany i niezwykle bezpośredni, Jonny Geller jest agentem, jakiego pragnę mieć u swego boku wszyscy pisarze. Jestem niezmiernie wdzięczna za wszystkie jego wysiłki podjęte w mojej sprawie oraz za oddanie mi do dyspozycji Curtisa Browna i jego wybitnego zespołu. Alice Lutyens jest moją szczęśliwą gwiazdą: od samego początku wierzyła w tę książkę.

Moim wspaniałym przyjaciółkom i pierwszym czytelniczkom — Catherine Gull, Diane Hofmeyr, Sonji Lewis oraz Niki Mulle — dziękuję wam wszystkim. Wasze opinie są dla mnie bardzo cenne. Specjalne podziękowania dla Gaynora Ruperta, którego baczne oko było

jak zawsze nieocenione, i który nieraz ocalił mnie przed narobieniem sobie wstydu. Mój kolega po piórze Ian Watson to prawdziwy rycerz Jedi, i jestem mu bardzo wdzięczna za wsparcie oraz radę.

Dziękuję mojemu bratu Fransowi za przeczytanie manuskryptu za jednym zamachem i wyłapanie potwornego błędu, który mógł umknąć nam wszystkim. Dziękuję mojemu bratu Stefanowi, który zawsze przypomina mi o tym, żeby myśleć wizualnie. Dziękuję mistrzowi kick boxingu Carlosowi Andrade za to, że utrzymuje tę przykutą do biurka pisarkę w dobrej formie i nie pozwala jej traktować się zbyt serio.

Hantie Prins, moja matka, jest marzycielką i nieustającym źródłem inspiracji. Razem ze mną odbyła tę podróż.

Frederick, mój wspaniały, pełen współczucia mąż, jest moją deską ratunkową. Gdyby nie on, nigdy nie miałabym odwagi zmienić marzeń w słowa.

SPIS TREŚCI

PROLOG	9
DOM O MILIONIE DRZWI	13
CZAROWNE LATO	211
CIENIE	251
PORTAL	305
EPILOG	435